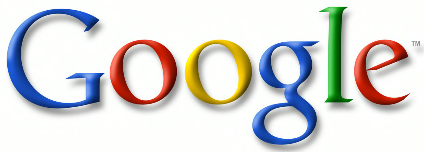
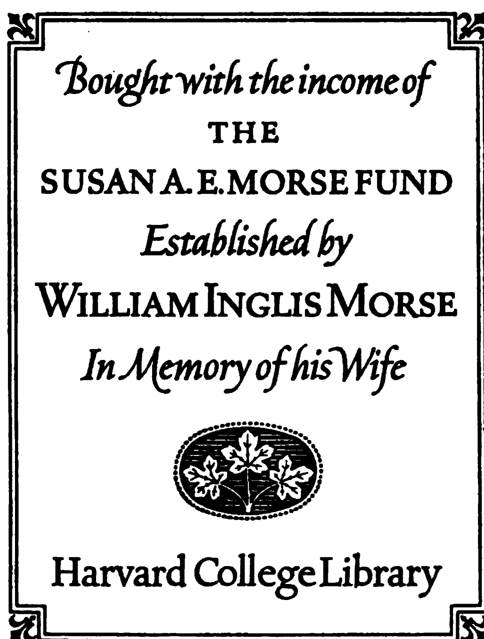


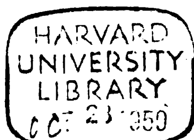

Bought with the income of
THE
SUSAN A. E. MORSE FUND
Established by
WILLIAM INGLIS MORSE
In Memory of his Wife
Harvard College Library

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM,
NAUCE I SZTUCE

POD REDAKCYĄ
WILHELMA FELDMANA.



ROK VIII. — TOM II.

KRAKÓW.
NAKŁADEM REDAKCYI. — Z DRUKARNI LITERACKIEJ
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.
1906.

I. Sprawy kultury.

II. Polityka.

III. Kwestye społeczne.

IV. Filozofia.

V. Poezye.

VI. Nowela i dramat.

VII. Literatura i sztuka.

VIII. Z miesiąca.

IX. Sprawozdania literackie i naukowe.

ROCZNIK VIII. 1906.

ZESZYT VII. LIPIEC.



KRYTYKA,

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

TREŚĆ:

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	za granicą:		w Król. i Rosyi:
rocznie	. K 12·—	Mk. 12·—	fr. 16·—	rb. 7·60
półrocznie	„ 6·—	„ 6·—	„ 8·—	„ 3·80
kwart.	. „ 3·—	„ 3·—	„ 4·—	„ 1·90
Nr. pojed.	„ 1·20	„ 1·20	„ 1·50	„ —·65

W Warszawie: kwart. rb. 1·50, półr. 3 rb., pojed. 60 kop.

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE

Lettres des Mrs.

XII. **T. Canonico,** *viceprésident du Senat, Rome.*
XIII. **Lucien Descaves,** *Paris.*
XIV. **Baron A. de Engelhardt,** *Berlin.*
XV. **B. Hrintschenko,** *homme des lettres, Kieff.*
XVI. **Prof. M. Hruszewskij,** *Lèopol.*
XVII. **H. M. Hyndman,** *London.*
XVIII. **B. Shaw, London.**
XIX. **O. F. Tencajoli,** *secretaire du journal „Idea Liberale", Milan*
XX. **Prof. Giuseppe Tomê,** *Turino.*
XXI. **E. Vaillant,** *deputé, Paris.*

edakcya i Admin.: ul. Zielona L. 28.
RAKÓW 1906

ękopisów, nadesłanych bez zażądania ze stro-
y redakcyi, nie odsyła się.
umer zamyka się 20-go każdego miesiąca.



(f).

DWA ŚWIATY.

Rozczarowanie! oto, co charakteryzuje chwilę, żrącym kwasem rozlewa się po duszach, omdlenie i niemoc sieje w członkach. Rozczarowanie czas przyniósł tem straszniejsze, im bardziej napięte były oczekiwania, im głębsze tęsknoty, im jaśniejsze ideały przyszłości.

Kiedyś-to wielki poeta, palony pragnieniem odrodzenia narodu, śpiewał ekstatycznie:

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec!...

Minęły lata, mróz zimnego doświadczenia niejedno zwarzył marzenie poetyczne i dawno przestaliśmy wyczekiwać cudu: posągu-ludu z jednej bryły—nie przestaliśmy jednak wierzyć w naród. I wytworzyła się charakterystyczna, jedynie u nas możliwa dwoistość w pojęciach o narodzie: jedno realne, odpowiadające codziennej empirycznej rzeczywistości, tej rzeczywistości, która kłuła w oczy, raniła serce, cierń i brud rzucała pod stopy; drugie idealne — które gardziło prozą doświadczenia, urągało prawdzie zmysłów, od widoków spanoszonej lichoty, tryumfującej marności, uciekało w głąb własnego jestestwa, w jakiś świat zaczarowany, gdzie znikali lilipuci wydęci a żyły duchy bohaterskie, ginęły szare, jałowe rozłogi, a rozciągały się obszary, rodzące złote kłosy miłości i olbrzymie dęby w niebo bijące, gdzie tonęły w nicości rozgwary kramarzy i fałsze egoistów, a rozbrzmiewały echa męczeństw, cierpień, proroctw, heroizmów, umiłowań prawdziwie ludzkich i ponad-ludzkich... Dwie Polski były: jedna wśród której, ale nie z którą się żyło, druga — w kraju wspomnień, jakby

pozabytowych i wizyj tęsknoty, Polska odświętna i święta, za piękna dla tego świata, więc tylko odblaskiem po ziemi chodząca, grupkami wyznawców, którzy żyli i żyją, z którymi się czuło i pracowało, ale stanowiącymi tak znikomą, wyklętą mniejszość...

Dwoistość, powiadam, tylko u nas możliwa, gdyż w zaborze rosyjskim niewola spychając całe życie w podziemia, nie pozwalając manifestować się najistotniejszym przejawom bytu, usunęła też z pod krytyki rozległe sfery uczuć i myśli, nie dozwalała porównywać ich ze świadectwem czynów, mierzyć ich siły i proporcye; stąd cały szereg tragicznych złudzeń i marzeń, które rozwłała brutalna rzeczywistość. Wierzyło się np. długie lata, że „patryoci" są nieprzejednanymi wrogami despotyzmu carskiego, że każdy powtarza, jak ongi ostatni sejm warszawski: nie ma Mikołaja! Tymczasem gdy tylko stosunki pozwoliły, p. Libicki poszedł na audyencyę do Wittego (—jak to sam opowiedział w *Słowie Polskiem*—) z oświadczeniem, że Polacy pragną autonomię zawdzięczać raczej wspaniałomyślności monarchy, niż Dumie. Konsekwentnie wolno też kłaniać się sługom i pomocnikom despotów. Patentowani patryoci wybierają posłem z Warszawy ex-urzędnika carskiego, który oddawał hołd katowi Kroż. Inne złudzenie. Jak wysokie wyobrażenie miało się przed rokiem o liczebnej i umysłowej sile postępowej inteligencyi Królestwa! Wszak „królewiak" był wszędzie synonimem postępowca, pisma jak *Prawda*, *Głos*, *Przegląd Tygodniowy*, cieszyły się ogromną poczytnością, ton nadawały umysłowości polskiej. Przyszła próba siły — okazało się, że „postęp" nasz jest stworzeniem bardzo chudem, dychawicznem, które odbierając baty po prawej i lewej, robi bokami, ale porządniejszego ciężaru udźwignąć nie jest zdolne. Suma poszczególnych tych zawodów złożyła się ostatecznie na jeden olbrzymi kontrast między ideałem a życiem, na owe ostre odgraniczenie dwóch ojczyzn, z których jedna we wszystkie czary strojna, była jakby snem, a druga prawdą — ach! jak smutną! I powstała przepaść przeraźliwa, a z tej przepaści tryumfująca rzeczywistość wysuwa coraz bezczelniej łby gadzinowe, bezduszne ślepia krokodyle. Krótki czas wystarczył, aby w Dumie rosyjskiej, na tle zbiorowiska różnych przedstawicieli poślednich kultur, Polacy zyskali sławę wsteczników, aby z wyjątkiem występów Petrażyckiego i Lednickiego — reszta tonęła w szarej masie miernot, z których jedni zwracają na siebie uwagę demonstracyą taką, jak wstrzymanie się od wotum nieufności dla Goremykina,

drudzy ratują miliony swego narodu zbutwiałymi pergaminami historycznymi. A gdy to się dzieje w Królestwie — Galicya ma dla „synów jednej matki“ zimno-obojętną ciekawość połykaczy gazet, od roku ani razu nie zadrgała nerwem żywszego współczucia lub jakiejkolwiek pomocy: ofiary caratu, emigranci niektórzy z Królestwa dosłownie z głodu i wycieńczenia mdleją tu na ulicach. Kraj zajęty zresztą walką z wrogiem wewnętrznym: we wschodniej Galicyi z zuchwałym chłopem ruskim, który śmie myśleć o emancypacyi ekonomicznej i politycznej, w zachodniej zaś doczekaliśmy się widowiska, jak pod wodzą byłego konfidenta żandarmów rosyjskich, Stojałowskiego, młodszy kler, inteligencya małych miast i młodsi profesorzy uniwersytetu Jagiellońskiego chuligańskie urządzają wyprawy, chuligańskie wygłaszają mowy, aby tem łatwiej zeskamotować dla siebie przez robotników wywalczone — na razie zresztą tylko projektowane — prawa polityczne.

...„Żeś wszechzłego wiecznym wrogiem“ — marzył poeta o tobie, Ziemio! „I królową słowiańskich pól“ — pragnął cię widzieć!

* * *

Chwila odrodzenia, chwila w bólu i rozpaczy oczekiwana przez setki tysięcy, śniona w krwawych widzeniach i sprowadzona na ziemię dłońmi miliona rąk czarnych — chwila ta nie *hosanna!* przyniosła, nie przyniosła rozkwitu serc i hymnu duszy, lecz szeroko rozlała fale goryczy, pogłębiła przepaści, obezwładniła zapał i wiarę bolesnem uczuciem rozczarowania.

I nie łudźmy się: my i oni, my — garstka zgnębiona, a oni — tryumfatorzy i władcy dnia, to nie kontrast chwilowy, lecz dwa światy, między którymi zbliżenia nie ma, pojednanie wykluczone.

I niech nas nie oszukają pozory postępu i poza uczuć pięknych, jakie tamci w ostatnich czasach, zawstydzeni własną marnością, przybierać usiłują. Wszak naiwni wzruszają się wiadomością, że wiedeńskie Koło polskie oswoiło się z myślą reformy wyborczej, a petersburskie — nie chce zasiadać na ławach wsteczników...

Dwa światy — dwa pokolenia!

Każdy wielki ruch ma to do siebie, że wyzwalając z głębi siły potencyalne, wyprowadza na widownię nowy typ człowieka. Inny typ wydał okres renesansu i reformacyi, inny ukazała wielka

rewolucya francuska, inny — rok 1848. Są też etapami w drodze rozwoju rodzaju ludzkiego. I u nas wiemy, co oznacza człowiek doby sejmu czteroletniego i konstytucyi Trzeciego maja, co oznacza żołnierz-emigrant po r. 1831 i t. d.

Wielki przełom, dokonywujący się w chwili obecnej we wschodniej połowie Europy, wyprowadza na jaw nowego człowieka, który stanowi znowu wyższy szczebel w drabinie rozwoju człowieczeństwa. Przypomnijmy sobie typ, panujący we Francyi lub w Niemczech — sytego, zadowolonego filistra kultury. Kto nie przyjrzał się stosunkom zbliska, nie ma wyobrażenia, jak zadowolona ze siebie sytość i zajęcze serca rozpanoszyły się we Francyi -- także w klasie robotniczej. Radykał francuski nie może dziś rozumieć Dumy, której prezydent nie nosi fraka; socyalista niemiecki jest dziś właściwie dobrze usytuowanym małym burżujem, jak francuski jest bodaj *in partibus* rentierem. Porównać z nimi typy, które zrobiły obecnie rewolucyę w Polsce, na Litwie, w Rosyi, porównać z nimi przodowników ruchu wolnościowego Rosyi lub naszych Petrażyckiego, Lednickiego, Wróblewskiego z Wilna, Baudouina de Courtenay i t. d. Otworzyli nową kartę w księdze dziejów nieprzygnieceni tradycyami i więzami przeszłości — od nowa tworzą, świeżą rozpoczynają erę. Są to ludzie, wychowani w atmosferze walki i nienawiści do wszelkich kajdan, ludzie niezmechanizowani systemem szkół europejskich, lecz czerpiący wiedzę z źródeł myśli wolnej, z namiętnych dyskusyj na tajnych, nocnych zebraniach; ludzie tak przepełnieni miłością — jak wielką czuli dokoła siebie nienawiść; tak pełni poczucia dostojeństwa człowieka, jak wielkiem dokoła było jego poniżenie i prześladowanie; tak spragnieni wyzwolenia wszech sił twórczych, jak strasznem było wiekowe ich spętanie; ludzie z ognia i krwi idący — pełni też krwi i ognia. Niechaj syci *beati posidentes* Europy zachodniej trzymają się kurczowo rzymskich pojęć o prawie własności — oni uznają za jedyne źródło własności: pracę, a większość odrzuca dziki przywilej latyfundyów, pasożytnictwo wielkiej własności ziemskiej; niech Francuz lub Niemiec dla swojej kobiety wyznacza rolę bóstwa salonowego lub towarzyszki tylko pracy, tylko niedoli — w Polsce, w Rosyi rewolucyjnej musi się kobiecie do ręki, która tak często nieustraszenie dzierżyła oręż walki, dać także kartę głosowania politycznego; niech Francuz i Niemiec przy całej swej wolnomyślności narzuca gwałtem swój język i kulturę innym plemionom, niech uciskają i gniotą — na zebra-

niu autonomistów-federalistów Polak może zasiadać obok Rusina, Rosyanin obok żyda; niechaj gdzieindziej mają dla żydów platoniczne współczucie, złączone z cichem życzeniem niekompromitowania się nimi — w tem gronie żyd czuje się faktycznie równouprawnionym, i to nietylko, jako człowiek, lecz i jako żyd. A demokratyzm Dołgorukich i Szachowskich i ofiarność ich na rzecz demokracyi ma w sobie bohaterstwo w porównaniu z kastowością, faktycznie panującą w Niemczech lub z salonowym frazesem Francuzów. Nie przeoczamy odcieni narodowych i indywidualnych w tej bogatej galeryi; w wielkich sprawach różnice muszą być wybitne; w wielkim czasie jednostki muszą się zarysowywać wielkie — ale ze stanowiska kultury, nie polityki, wszystkim im wspólny jeden pęd ku przyszłości, jeden żar — dusz wzniosłych, jeden ruch — ku ruszeniu z posad bryły ziemi, by na nowe pchnąć ją tory. Z tej perspektywy znikają różnice partyjne — zostaje ogólny obraz człowieka, zostaje bojownik praw wszystkich uciśnionych, śmiertelny wróg krzywdy, *homo novus*, który ospały, zmechanizowany, doktrynerski świat chce odmłodzić — odrodzić — nowy typ człowieczy wyzwolić — w swobodzie, sprawiedliwości, braterstwie.

W świetle tych jutrzni widać dopiero całą małość i nędzotę tryumfatorów dnia u nas, tanich bohaterów najniższych instynktów pseudo-narodowych. Kłamstwo mają na ustach, węże kłamstwa w sercach. O demokratyzmie mówią — ci, co długi czas w Królestwie i w Galicyi ludu polskiego do praw politycznych nie chcieli dopuścić i ani jednego nie stawiają demokratycznego żądania; o parlamentaryzmie mówią — ci, którzy nie dopuściwszy ludzi samodzielnych, z talentem, korzystają z parlamentu austryackiego, teraz i petersburskiego, by kompromitować wobec Europy imię polskie; o kulturze mówią ci, którzy dziesiątki lat karmili lud ogłupiającą lekturą, dziś wydają go na łup rozpasanej agitacyi klerykalnej, a za pół-Polaków, antinarodowców etc. uważają tych działaczy w Królestwie, którzy istotnie szerzyli cywilizacyę, istotnie podnosili poziom duchowy ludu i nie dopuszczają do tej hańby, którą byłyby pogromy żydów w Polsce. A przedewszystkiem patrzmy w głąb, na najważniejszy fakt, na typ ludzki, jaki wychodzi z „nowej szkoły myślenia politycznego“, i „egoizmu narodowego“, oraz z pokumanej z nią tak serdecznie warstwy stańczyków tak galicyjskich jak i Królestwa. Czy jest jeden człowiek, któryby uwierzył w szczerość przewódców wiedeńskich

Koła polskiego, zapewniających, że kochają Rusinów, lub że są za reformą wyborczą, ale chcą skorzystać z jej sposobności dla autonomii? Czy zna ktoś jednego nacyonalistę, któryby nie był antysemitą, a jak wobec tego wyglądają publiczne zapewnienia przewódców, że dalecy są od uczuć wrogich żydom! Kłamstwem jest ich polityka, i ono całej ich fizyognomii nadaje piętno nędzoty. Kto nie zna tych mężów, udających zawsze tajnych radców stanu, przemieniających walkę o ideę wielką w jakąś dyplomacyę gabinetową, w wystudzającą serca trzeźwość kramarską! Dwa takie odległe wypadki, jak przysięganie na pergaminy historyczne w Petersburgu i niemiecka mowa polskiego narodowca, przysięgającego na niemiecki „stan posiadania" w Białej — zjawiska to jednej kategoryi: taktyki dyplomatycznej, nie gardzącej też walenrodyzmem, aby tylko nie prowadzić polityki prawdziwie ludowej, prawdziwie demokratycznej. I nietylko o politykę tu idzie — o cały ustrój duchowy, o duszę, o całego człowieka! Wobec wyłaniających się nowych potęg dziejowych — starcze są twarze młodych i niemłodych naszych tajnych radców narodowych, starcze ich dusze, niezdolne wyprostować kark, by spojrzeć ku słońcu, niezdolne przyspieszyć kroku za duchem czasu. Na spotkanie wielkiej chwili Odrodzenia wyszli karły i opanowali ją i chwycili jej ster w ręce — i mówią, że oni są prawdą, oni są życiem, oni są Polską, — ta druga, piękna i świetlana, to fantom, — a kto w nią wpatrzony, „nie należy do rzeczywistego, realnego narodu"...

* * *

Tak daliśmy się opanować duchowi kłamstwa, że generacya cała zapomniała elementarnych faktów z historyi i pozwala ją fałszować pisarzom, gorszym, niż Iłowajski i Hasse, gdyż usypiają ducha, nie wywołują tej, co obcy, reakcyi. Dochodzi do tego, że mając pełne uznanie dla zwiastunów lepszej doby ludzkości w Rosyi, trzeba przypominać, że Polska dawno ich na tej drodze wyprzedziła, że od przeszło stu lat imiona polskie świecą na tej drodze, którą Rosyanie z tak coprawda szaloną energią od niedawna iść zaczynają. Wobec apostołowania egoizmu narodowego musi się przypominać, że za obcą wolność walczyli obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej: Kazimierz Puławski i Tadeusz Kościuszko, a za nimi cały szereg bojowników z 1831 i 1848 roku, kończąc na szlachetnym wodzu komuny paryskiej, Jarosławie Dąbrowskim. Wobec potępiania hasła międzynarodowej

solidarności proletaryatu, przypomnieć się musi, że zwolennikiem manifestu komunistycznego był Joachim Lelewel. A gdy chodzi o inne problematy kulturalno-polityczne, wyprzedził już współczesnych Adam Mickiewicz, który w swym programie dla legionu polskiego 1848 roku postanawiał:

10. Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku temu dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkiem prawo.

11. Towarzyszce żywota, niewieście, braterstwo i obywatelstwo, równe we wszystkiem prawo.

12. Każdej rodzinie rola domowa pod opieką gminy. Każdej gminie rola gromadna, pod opieką narodu.

O ile upadliśmy od czasu tych mężów, jak łatwo pozwalamy sobie wydrzeć berło przewodniczenia w pochodzie kultury, miano pierwszego intelektualnie narodu słowiańszczyzny! Strach wielkooki po upadku powstań kazał wykreślić z księgi dziejów narodu najpiękniejsze jej karty XIX wieku; stańczycy galicyjscy, ugodowcy warszawscy i nacyonaliści wszechpolscy w zgodny łączą się chór, gdy chodzi o potępienie „romantyzmu“ politycznego...

Otóż do tego „romantyzmu“ chcemy i musimy jeszcze wrócić, jeśli mamy utrzymać nasze stanowisko kulturalne w Europie.

Źle jest, jeśli cały naród jest romantyczny, ale biada narodowi, w którym romantyzm wygasł.

A są pewne momenty dziejowe, w których właśnie romantyzm jest polityką najbardziej realistyczną, jedyną zasadą i wskazówką działania.

Przed trzema laty tylko szaleńcy marzyli o przewrocie jakimkolwiek w Rosyi. Przed dwoma — rządził jeszcze żelazny Plehwe i tylko romantycy myśleli o złamaniu despotyzmu. Jeszcze przed rokiem żaden „trzeźwy“ umysł nie wierzył, że w Rosyi będzie większa niż w Austryi swoboda prasy, także polskiej, i depcący łby hydry ministeryalnej parlament w Petersburgu.

Romantycy to sprawili, romantycy!

Przed dwoma laty o tej porze szowinizm carosławny szalał na ulicach Rosyi, nawet Struve i towarzysze wołali: niech żyje armia! rozpacz ogarniała przyjaciół ludzkości i swobody. Dzisiaj gdzieniegdzie już kozacy złorzeczą służbie katowskiej, a wódz największej armii jest jednem z najnędzniejszych w świecie stworzeń.

Romantyzm to sprawił, romantyzm!

I tylko romantyzm sprawił, że robotnik polski, niedawno *per non est* traktowany, dzisiaj dla wszystkich bez wyjątku jest czynnikiem pierwszorzędnym — i romantyzmowi zawdzięczamy, żeśmy wśród mających prawo do uczty wolności nie ostatni, że najpoważniejsze stronnictwa wszystkie przyznają nam szerokie prawa samorządne — że głos polski z nowej trybuny do Europy dochodzi — wszystko to sprawił romantyzm.

A jeżeli z wielkiego napięcia pragnień korzyść realna dotąd mała — winien temu fakt, żeśmy zamało romantykami! Ziemcy-kadeci garnęli się do Polaków najwięcej, gdy w nich przypuszczali naród romantyków; w Austryi Polacy osiągnęli najwyższe prawa w latach 1867—1872, gdy prowadzili politykę więcej, niż romantyczną — wprost awanturniczą!

I niechaj nikt nie powie, że rola „romantyzmu" już dziś skończona. Zapewne nadejdzie czas, że chwila przełomu i w Rosyi się przesili, że i to państwo wejdzie na drogę banalnego parlamentaryzmu z jego walką apetytów grup rozmaitych. Do tego czasu jednak daleko, do tego czasu wojna, naprzeciwko siebie stoją w pełnem uzbrojeniu dwaj nieprzejednani wrogowie — jeden na placu ledz musi. I kto przypuszcza, że tym, co ulegnie, będzie naród? I kto śmie powiedzieć, że tym, co go wiedzie do zwycięstwa, nie jest i nie będzie duch romantyzmu?

Takim romantyzmem jest dla nas Polska — cały świat, wobec którego z pergaminami w ręku, z wężami chytrości w sercu, stoją egoiści narodowi, strategicy wyborczy, dyplomaci parlamentarni...

Pierwszy to nasz świat, który ostatecznie zwyciężyć musi. Nie łudzimy się, jakoby w przewidzieć się dającej przyszłości zostały zrealizowane najwyższe ideały polityczne i społeczne. Nie. I ta realizacya w formie praw — śmiem powiedzieć — nie jest nawet rzeczą najważniejszą. Najcenniejszą zdobyczą tego okresu — suma ofiarności i poświęceń, jaką wywołuje, nienawiść krzywdy, miłość ideału, tęsknota dobra i sprawiedliwości, pragnienie braterstwa i harmonii, jakie w sercach milionów budzi: w rezultacie wzmożenie i uszlachetnienie duszy ludzkiej, podniesienie typu człowieczego, wyzwolenie zaklętych w nim wartości. Wśród tego przeorania gruntu natury ludzkiej do samej głębi, jakiego jesteśmy świadkami, wychodzą na wierzch niektóre atawizmy zwierzęce, jak robactwo, gdy się odwala kamień; ale tylko odrzuciwszy ów kamień, odkrywamy grunt, z którego mają wyrastać naj-

piękniejsze kwiaty. Poza pewnymi objawami dzikości, które są zjawiskami ubocznemi, cieniami, nie zaś integralnymi składnikami ruchu wolnościowego — ileż to takich kwiatów gleba przeorana już wydała, ileż ich widzieliśmy w Polsce, a także w Rosyi! Polityka sama w sobie jest rzeczą obrzydliwą, ale jako dźwignia kultury może być jednym ze środków najpotężniejszych, a czas wielki, w którym żyjemy, posuwa nas na tej drodze krokami siedmiomilowymi. Bajecznych zdarzeń jesteśmy świadkami, nieprzewidzianych tryumfów geniuszu mas i poświęceń bohaterów, manifestacyi idealizmu tak szczytnych, jakiego zatłuszczona w swym egoizmie Europa od półwieku nie widziała. Wszystko to romantyzm, a życie najrealniejszą stąd odnosi korzyść.

Siewcy egoizmu i kłamstwa, tajni radcy stanu, fałszerze myśli i obłudnicy, zmniejszyciele ducha, oto wrogowie tego romantyzmu, najwięksi szkodnicy na niwie polskiej. Oni zwiększają bezustannie tę dwoistość, o jakiej mowa była na początku, przepaść między ideałem, a życiem. Pseudo-kontynuatorzy myśli i kultury polskiej znieważają i chcą zniszczyć najpiękniejsze jej momenty. Nie uda im się to jednak mimo wszystkich usiłowań.

Duch romantyzmu jest niewygasły, natchnieniom jego niejedno jeszcze możemy, niejedno powinniśmy zawdzięczyć. I na straży jego stoją siły większe, niż w chwilach jego narodzin, większe, niż kiedykolwiek w Polsce. I jeśli mamy nie wegetować, ale żyć, pełnią bytu, jasną przyszłością — świadomi bądźmy różnicy dwóch światów, wybierajmy ten, z którego największe dotąd spłynęły dobra, jakie posiadamy. Świadomość i wola ludzka — ten największy cud, jaki natura zna — niech nas prowadzi...



JÓZEF JEDLICZ.

CZARNE SOTNIE.

Cwałują czarne oddziały!
Ku świtom promiennym, już pędzą! — —
Gdzie przemkną — złe wichry powiały!
I mrokiem się mroczy świat cały —
Żałobą się mroczy i nędzą...

Po dzikich rozłogach, po stepie
Migają jak widma – upiory!
I płomień lśni w każdym czerepie,
Zgon łyska na każdym oszczepie —
W świt pędzą jak wichry — pomory! — —

Gdzie przemkną te hufy piekielne,
Tam świty zmieniają się w groby —
Tam kwiaty i wonie kadzielne
W mrok gasną i jady śmiertelne,
Tam śmierć — i jęki żałoby...

Gdzie przemkną, tam Upiór przeleci!
Tam noc i wrzaski rozpaczy —
Gdzie przemkną, tam łuna już świeci:
Grzmią skony dzieci, nie-dzieci
Na tryumf cesarskich siepaczy! — —

Za cary! — w dal huczą — Za cary!
Krew niesiem, nienawiść i zgony —
Za carskie potęgi i wiary!
Excelsior! Evviva mrok szary! —
W dal huczą te śmierci legiony — — —

I klątwy i jęki i świsty
Straszliwą wzbijają się chmurą!
I świt się staje ognisty!
Świt nowy — pożarny i krwisty!
I krew rozkwita purpurą — —

Pastoj! — — I czarne oddziały
Już murem stanęły na roli —
Pastoj! — — I świty struchlały
I stanął w obiegu świat cały
Na bezruch okrutnej niewoli...

Urra! – I czarne rumaki
Kłusują w dzikiej paradzie — —
I kity się czernią jak ptaki!
Straszliwe gryfy — majaki
Parsknęły, stanęły na zadzie — —

I Demon, wódz walk i postojów
Ponuro formuje szeregi — —
Krzyżowy hetman tych wojów
Do świętych wyzywa podbojów,
Na nowe się zrywa obiegi! —

Na bój! wy czarne oddziały!
Na mord! tak znajtie swe hasło! —
Piekielne trąbki zagrały,
Piekielne gwizdawki, cymbały —
Gwiazd tysiąc w niebie zagasło — —

I klątwy i jęki zagrzmiały;
Gromową wzbijają się chmurą —
I dziko mkną czarne oddziały!
I huczy ich sztandar wspaniały!
Gdy mkną z piekielną brawurą — — —

LEON WASILEWSKI.

Z DZIEJÓW „KOORDYNACYI" POLSKIEGO A ROSYJSKIEGO RUCHU REWOLUCYJNEGO.*)

Świadomość potrzeby łącznego działania sił rewolucyjnych w Polsce z żywiołami opozycyjnymi w Rosyi zawsze była u nas bardzo żywą. Badając historyę naszych sprzysiężeń i powstań, widzimy, że rewolucyoniści polscy nigdy nie zaniedbywali starań o porozumienie się z pokrewnemi sobie grupami Rosyan w celu przedsięwzięcia wspólnych kroków przeciwko wspólnemu wrogowi. Tajne związki patryotyczne polskie w pierwszej ćwierci XIX stulecia utrzymują jak najżywsze stosunki z grudniowcami rosyjskimi, co nawet sprowadza wykrycie pierwszych — po stłumieniu nieudanego wybuchu w Petersburgu i w Białej Cerkwi w r. 1825. W latach, poprzedzających powstanie 1863 r., emigranci polscy utrzymują stosunki z rosyjskimi, a przedstawiciele polskiego rewolucyjnego rządu narodowego wchodzą w formalną ugodę z Hercenem, Bakuninem i innymi reprezentantami Rosyi liberalnej, zapewniając sobie ich pomoc. Ta ostatnia, co prawda, nigdy nie dopisała, z łatwo zrozumiałych powodów. Rosyanie, wchodzący w stosunek z Polakami, niesły-

*) Artykuł, pisany w marcu b. r., dla braku miejsca spóźniony. *Red.*

chanie przeceniali swe siły jakoteż i natężenie nastroju opozycyjnego w Rosyi, wskutek czego, pomimo dobrych chęci, nie mogli przyjść z wydatniejszą pomocą Polakom. Stąd rozczarowanie i rozgoryczenie w obozie polskim, który w jeszcze mniejszym stopniu zdawał sobie sprawę z sił ruchu rosyjskiego, aniżeli sami Rosyanie. Po pewnym jednak czasie rozgoryczenie się rozpraszało i nowe pokolenie rewolucyonistów polskich z dawną naiwną wiarą szukało zbliżenia się z ruchem rosyjskim.

Zmieniały się programy, zmieniali się ludzie, na czele ruchu stojący, zmieniał się sam ruch, ale dążenie do porozumienia się z rewolucyonistami rosyjskimi trwało w dalszym ciągu, przybierając z biegiem czasu coraz to inne formy. Każde pokolenie rewolucyonistów polskich wysuwało to hasło i każde bez wyjątku było świadkiem jego bankructwa.

W styczniu r. 1883 odbył się w Wilnie zjazd przedstawicieli kilku polskich grup rewolucyjno-socyalistycznych, jakie podówczas istniały w Królestwie i wśród młodzieży polskiej, studyującej w wyższych zakładach naukowych Rosyi. Obok Waryńskiego, reprezentującego „Proletaryat", Kunickiego, który był przedstawicielem petersburskiej grupy socyalistów polskich, Krusińskiego (od t. zw. „Krusińszczyków") była tam jeszcze garstka młodych socyalistów polskich. Otóż na zjeździe wileńskim po raz pierwszy w dziejach polskiego ruchu rewolucyjnego postawiono hasło już nie porozumiewania się tylko z ruchem rosyjskim, nie łącznej działalności, lecz całkowitego „utożsamienia się" ruchu polskiego z rosyjskim.

Na pytanie: „Czy ma być utworzona osobna polsko-litewsko-białoruska partya rewolucyjna", odpowiedziano na zjeździe tym j e d n o g ł o ś n i e: „Nie. Natomiast grupy polskie, litewskie i białoruskie mają wejść w skład jednolitej partyi, działającej w granicach państwa rosyjskiego". Postanowienie to, nawskróś doktrynerskie, nie liczące się najzupełniej z warunkami życia tak Rosyi, jak i zagrabionych przez nią i trzymanych siłą bagnetów krajów, nigdy naturalnie w życie nie weszło. Natomiast, pomimo istnienia w Rosyi silnej organizacyi „Narodnej Woli", polski „Proletaryat" rozwijał się i rósł w siły jako najzupełniej odrębna i samoistna jednostka organizacyjna.

O „utożsamieniu się" ruchu polskiego z rosyjskim, organizacyi polskiej z rosyjską nie było już mowy. Słynna umowa Komitetu Centralnego „Proletaryatu" z Komitetem wykonawczym „Narodnej Woli" podporządkowywała pewną część działalności pierwszego temu ostatniemu, to prawda. Punkty te jednak bynajmniej nie mogły krępować samodzielności „Proletaryatu", dotyczyły bowiem bądź momentu wybuchu rewolucyi, bądź też akcyi terorystyczno-politycznej, której „Proletaryat"

właściwie nie prowadził. „Umowa" więc pozostała ciekawym dokumentem historycznym, pozbawionym wszelkiej wartości praktycznej wobec szybkiego chylenia się do upadku „Narodnej Woli", z której rozwojem łączyli tyle nadziei rewolucyoniści z „Proletaryatu".

Nastąpił okres długotrwałego zastoju w rewolucyjnym ruchu rosyjskim. Ruch polski nie miał się z czem w Rosyi koordynować, natomiast uchwalenie święta majowego na kongresie międzynarodowym w Paryżu w r. 1889-ym — święta, które przyjęło się w Polsce od razu, zbliżyło ruch nasz do zachodnio-europejskiego. A jednak, pomimo zupełnego upadku rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, zjazd paryski r. 1892-go, zjazd, który przyczynił się do powstania w roku następnym P. P. S., znowu wysuwa hasło łączenia się z ruchem rosyjskim, uchwalając: „przyjąć w zasadzie potrzebę wspólnej walki przeciwko caryzmowi z socyalistami rosyjskimi."

I oto przez całą historyę P. P. S. jak nić czerwona ciągnie się długie pasmo prób wcielenia w życie tej zasady. Swiadomość potrzeby łączności z rewolucyonistami rosyjskimi przenikała szeregi P. P. S. tak głęboko, że, chcąc przyspieszyć chwilę zawarcia sojuszu z nimi, P. P. S. usiłowała sama przyczyniać się do wytworzenia rosyjskiej partyi socyalno-demokratycznej, z którąby ten sojusz zawrzeć było można. Kiedy w paru ośrodkach Rosyi wytworzyły się pod koniec 10-go dziesięciolecia wieku ubiegłego lokalne organizacye socyalno-demokratyczne, P. P. S. proponuje im zwołanie zjazdu w celu wytworzenia rosyjskiej partyi socyalno-demokratycznej, a sama na swym IV-ym zjeździe formułuje warunki sojuszu z tą przyszłą partyą. Zjazd ów się nie odbył. Odbył się on natomiast pod auspicyami „Bundu", który wszedł w skład założonej w r. 1898-ym partyi nie „rosyjskiej" lecz „S. D. P. robotniczej Rosyi," a więc organizacyi centralistyczno-wszechrosyjskiej. Utworzona jednocześnie a popierana przez P. P. S. partya „rosyjska" z organem „Sztandar Robotniczy" nie zdołała się rozwinąć wobec przeważających wśród socyalistów rosyjskich i żydowsko-rosyjskich tendencyj centralistycznych. Po paru latach znika ona, wchłonięta częściowo przez partyą Socyalistów Rewolucyonistów (Kijów), częściowo przez S. D. P. R. Rosyi (Petersburg) i P. P. S. (na Litwie).

Polski ruch socyalistyczny i jego reprezentantka P. P. S. dążyły do porozumienia się i z S. D. P. R. Rosyi, która, rozbita na swe lokalne części składowe zaraz po I. zjeździe, odrodziła się jako całość dopiero w kilka lat później, ażeby natychmiast znowuż rozbić się na dwie wzajemnie zwalczające się frakcye — t. zw. „mniejszości" (Plechanow) i „większości" (Lenin). Próby, dokonywane przez P. P. S. pozo-

stały bez skutku. Rozbijały się one (pomijając już anarchię panującą w szeregach S. D. P. R. Rosyi) o skrajnie nie-proletaryackie, imperyalistyczne stanowisko tej partyi, oderwanej od masy robotniczej i wskutek tego grzęznącej w jałowej talmudystyce i formułkowstwie.

Charakterystyczne, że nie tylko P. P. S., która, wychodząc ze stanowiska interesów proletaryatu, bardzo konsekwentnie broniła zupełnej samodzielności organizacyjnej polskiego ruchu robotniczego, nie mogła dojść do porozumienia z socyalną demokracyą rosyjską. Grupa Róży Luksemburg (t. zw. S. D. K. P. i L.), która, wpajając w umysły swych zwolenników ideologię fabrykanckiego imperyalizmu, wysunęła hasło „utożsamienia się“ polskiego ruchu socyalistycznego z rosyjskim, tak samo dotychczas nie zlała się z socyalną demokracyą rosyjską. Mimowoli przypomina się zjazd wileński 1883 r. z jego „jednogłośnem“ zaprzeczeniem prawa powstania odrębnej organizacyi polskiej... S. D. K. P. i L. niejednokrotnie postanawiała wejść w skład partyi rosyjskiej, a jednak uchwały te pozostawały martwą literą — nie z winy zwolenników „organicznego wcielenia“ zaiste. Doktrynerskie uchwały były pobierane jednogłośnie, ale życie kpiło sobie z tych uchwał i ta sama S. D. K. P. i L. zmuszona została ostatecznie do żądania półgębkiem autonomii dla Polski, co jest w najzupełniejszej sprzeczności z jej wszechrosyjsko-imperyalistycznem stanowiskiem.

Nagle zagrzmiały działa japońskie pod Portem Artura. Ruchowi wolnościowemu w Rosyi przybywa sojusznik potężny. Admirał Togo i marszałek Oyama przyśpieszają ewolucyą polityczną państwa carów o lat trzydzieści. Wszystko, co tylko żyje, rwie się do wyzyskania klęsk Rosyi w Mandżuryi. Konieczność skoordynowania wszystkich sił, walczących z caratem, staje się pilną, nagłą. Z inicyatywy finlandzkiej partyi oporu odbywa się konferencya paryska partyj opozycyjnych i rewolucyjnych państwa rosyjskiego. Znaczenie jej moralne było duże, praktyczne żadne. Winę tego ponosi, jak to w swoim czasie zaznaczyły „Vorwärts“ i „Arbeiter Zeitung“, socyalna demokracya rosyjska, która w swem zaślepieniu cofnęła się od udziału, zgodziwszy się nań uprzednio, i wolała najgorętszy czas trawić na kłóceniu się o „zasadę“ organizacyi partyjnej, lub prowadzić dziecinną propagandę pod hasłem „precz z wojną!“ jednocześnie rozumiejąc doskonale, że właśnie od dalszego trwania wojny zależy upadek caratu.

Wojna dobiegała końca. Nastąpiła epoka ruchu wolnościowego o charakterze przeważnie liberalnym w Rosyi i socyalistycznym na kresach. Świadomość potrzeby skoordynowania działań antirządowych w całem państwie staje się coraz żywszą we wszystkich sferach. Nawet nasza

narodowa demokracya gorączkowo szuka zbliżenia się z liberalnymi żywiołami rosyjskimi. Wolnościowy ruch rosyjski imponuje wszystkim, nadzieje wszystkich zwracają się ku niemu, wszystkich opanowuje jakaś gorączka rusofilstwa — w tym wypadku po raz pierwszy rusofilstwa nie reakcyjnego.

Ogólnemu prądowi nie mogła się oprzeć i P. P. S., która do ostatnich chwil dość trzeźwo zapatrywała się na sprawy rosyjskie, być może nie doceniając tylko rosyjskiego ruchu liberalnego, zbyt optymistycznie z drugiej strony traktując socyalistyczny. *) Gaponada styczniowa oddziałała wprost oszołamiająco na Warszawę.

Odezwa warszawskiego komitetu robotniczego P. P. S., wydana pod wrażeniem wypadków petersburskich, zawiera ustęp, świadczący wymownie, jak nie zdawano sobie sprawy w Warszawie z tego, co się działo w Petersburgu. Ustęp ten brzmi: „W stolicy cara zaczęła się rewolucya. Musimy więc powiedzieć sobie: dziś albo nigdy! Przy połączonym szturmie proletaryatu spróchniały tron carski się nie ostoi. Do dzieła więc! Do czynu rewolucyjnego! Pod naciskiem naszych sił niech runie w gruzy carat! Zdobędziemy się na ofiary, a zakwitnie nam wolność! Precz z caratem! Niech żyje niepodległość! Niech żyje socyalizm!“

Bardzo prędko ujawnił się rzeczywisty charakter gaponady. Pokazało się, że praktyczne skoordynowanie ruchu socyalistycznego w Polsce z ruchem, powstałym z inicyatywy Gapona, jest wręcz niemożliwe. Jednakże optymistyczne traktowanie ruchu socyalistycznego z jednej strony, a ważność momentu dziejowego z drugiej, zmuszają P. P. S. do dalszych prób koordynacyi. VII zjazd P. P. S., następnie zaś „Rada“ na VII-ym zjeździe ustanowiona, wysunęły sprawę koordynacyi z ruchem rosyjskim na plan pierwszy. „Rada“, wyjaśniająca znaczenie deklaracyi politycznej VII-go zjazdu, uznała, że „rewolucya polska stanowić może tylko część rewolucyi, zmierzającej do przeistoczenia na zasadach demokratyczno-republikańskich ustroju całego państwa rosyjskiego.“ Konsekwencyą takiego, zupełnie nowego w dziejach P. P. S., stanowiska była następująca rezolucya, uchwalona przez tęż samą „Radę“: „Zważywszy, że zwycięztwo rewolucyi w Królestwie Polskiem i na Litwie jest ściśle związane ze zwycięztwem rewolucyi w całem państwie rosyjskim, a zwłaszcza w rdzennej Rosyi, że więc rewolucya u nas musi być częścią skła-

*) W nrze 57 „Robotnika“, wydanym w końcu listopada 1904 r., kiedy Rosyą wstrząsał potężny ruch inteligencyi liberalnej, znajdujemy ustęp, twierdzący, że „proletaryat rosyjski znalazł się w swoich dążeniach przeciwrządowych zupełnie osamotnionym,“ gdyż „liberałowie zamilkli.“

dową przewrotu w całem państwie rosyjskiem, że specyalnie obalenie samowładztwa, jako warunek uprzedni jakichkolwiek zdobyczy politycznych, może nastąpić jedynie pod naciskiem wszystkich sił rewolucyjnych w państwie rosyjskim, Rada uważa, że powinniśmy zmierzać do skoordynowania ruchu rewolucyjnego całego proletaryatu we wszystkich częściach państwa rosyjskiego."

W myśl tej rezolucyi P. P. S. usiłuje wcielać w życie zasadę koordynacyi. Ale tu właśnie następuje szereg tragicznych zaiste niepowodzeń i porażek, zupełnie analogicznych do tych, jakie prześladowały zawsze rewolucyonistów polskich, skoro chcieli działać w porozumieniu z rosyjskimi. Przedewszystkiem „zmierzanie do skoordynowania ruchu rewolucyjnego całego proletaryatu we wszystkich częściach państwa rosyjskiego" okazało się na razie zupełnie niemożliwem wobec odległości, zupełnej odrębności i rozmaitości ruchu na „kresach" Rosyi — w Finlandyi, na Kaukazie lub Łotwie. Konferencya genewska partyj rewolucyjnych w Rosyi nie przyniosła żadnych wyników praktycznych tak samo jak i paryska — znowuż z powodu niedojrzałości politycznej socyalnej demokracyi rosyjskiej. Pozostawał ruch rosyjski we właściwem tego słowa znaczeniu. Ale i tu musiano stwierdzić nieobecność warunków, umożliwiających koordynacyę. Zupełne nieudanie się obchodu majowego w Rosyi w r. 1905-ym jeszcze raz udowodniło, że organizacye socyalistyczne rosyjskie nie posiadają ani w przybliżonym stopniu takiego wpływu na masy robotnicze, jak u nas, i że poszczególne komitety jednej i tej samej S. D. P. R. Rosyi nie potrafią skoordynować swych działań.

Rosnące pod wpływem najróżnorodniejszych czynników wzburzenie całego społeczeństwa wszystkich krajów państwa rosyjskiego zdawało się wskazywać na zbliżanie się momentu, kiedy taka koordynacya stanie się możliwą. Ale, zanim pomyślano o uczynieniu pewnych kroków w kierunku skoordynowania działalności organizacyj rewolucyjnych, październikowy strejk kolejowy, przeprowadzony przez związek kolejarzy, wywołał żywiołowy wybuch na obszarze całego państwa. Żywiołowe skoordynowanie się w strejku powszechnym mas proletaryatu, popieranych czynnie przez wszystkie żywioły antyrządowe, spowodowały cofnięcie się rządu i wydanie manifestu 30 października.

W Królestwie strejk październikowy wypadł wspaniale — tak jak nigdzie indziej w całem państwie rosyjskiem. Trwał on też o kilkanaście dni dłużej aniżeli w Rosyi. Udanie się strejku jednoczesnego w całem państwie ożywiło nadzieję P. P. S. na to, że przecież na przyszłość uda się nareszcie wytworzyć już nie żywiołową, ale całkiem świadomą i planową koordynacyą ruchu polskiego przynajmniej z rosyjskim. I oto

widzimy, jak P. P. S. wchodzi w porozumienie się z Petersburgiem, gdzie, wobec słabości organizacyj socyalistycznych, niespodzianie urosła i zdobyła wpływ przemożny t. zw. „Rada delegatów robotniczych“.

Zdawało się, że dzięki powstaniu w Petersburgu, Moskwie i innych miastach rosyjskich owych „Rad delegatów robotniczych“, ruch rosyjski otrzyma wreszcie jednolity charakter i stanie się zdolnym do jednolitego działania. Praktyka życiowa pokazała jednakże, że tak nie jest. Z Petersburga wychodziły hasła rewolucyjne, wydawane przez „Rady delegatów“ i skojarzone z nią zarządy partyj: socyalno-demokratycznej Rosyi, socyalistów-rewolucyonistów, P. P. S. i „Bundu“ — hasła, wcielane w życie z niezmierną ścisłością w... Królestwie Polskiem, ale znajdujące bardzo słaby oddźwięk nawet w samym Petersburgu. Tak było ze strejkiem grudniowym, wywołanym nieopatrznie wskutek zupełnego niezdawania sobie sprawy z nastroju robotnika rosyjskiego w Petersburgu. Tak było z rocznicą krwawej gaponady, obchodzoną bardzo uroczyście — w Warszawie, Łodzi, Zagłębiu i innych środkach Polski, a niesłychanie słabo w Petersburgu. Tak wreszcie jest obecnie z wyborami do Dumy państwowej. Na hasło z Petersburga socyaliści w Królestwie przeprowadzają jak najściślejszy bojkot wyborów robotniczych, gdy tymczasem socyalni demokraci rosyjscy, uchwaliwszy takiż sam bojkot, nie tylko że nie mogą go przeprowadzić w znaczniejszych fabrykach, ale nawet łamią swe własne postanowienia, każąc swoim zwolennikom głosować na „kadetów“, lub też dają się wybierać na posłów (Mohylew, Kostroma i t. d.).

O koordynacyi więc znowuż niema mowy. Pomimo najlepszych chęci, pomimo wysiłków ogromnych jest ona w dalszym ciągu ideałem niedoścignionym nietylko dla tych, którzy chcą porozumienia się i łącznego działania rewolucyonistów całego państwa rosyjskiego, ale nawet dla tych, którzy gotowi są podporządkować się całkowicie hasłom, wychodzącym z Petersburga i pragną „utożsamić“ ruch nasz z rosyjskim.

Niepowodzenie zupełne, jakie spotyka wszystkie dotychczasowe próby w tym kierunku, da się objaśnić tylko jednem, mianowicie niejednolitością stosunków, rozmaitością rozwoju społecznego i kulturalnego poszczególnych części kolosalnych terytoryów, w ciągu wieków zagrabionych przez carat. Wszystkie usiłowania w kierunku skoordynowania ruchu na tym olbrzymim obszarze rozbijają się o to, że obszar ten nie jest jednolitą całością, lecz stanowi sztuczny zlepek mechanicznie połączonych a całkiem obcych sobie wzajemnie terytoryów narodowych i ekonomicznych. W miarę słabnięcia autokracyi, życie swoiste a odrębne każdego z takich terytoryów musi się uwypuklać coraz bardziej, rozwi-

jać się coraz bujniej, co jeszcze bardziej spotęguje ich obcość wzajemną i utrudni koordynacyę ruchów, o ile te nie wysuną na plan pierwszy haseł usamodzielnienia się, wyodrębnienia — haseł separatystycznych. Tylko dążności separatystyczne w miarę swego rozwijania się i pogłębiania mogą wytworzyć grunt, podatny do działalności skoordynowanej wszystkich „kresów“ przeciwko uciskającemu je centrum, gdyż te dążności odpowiadają całkowicie ich najżywotniejszym interesom. Co się zaś tyczy owego centrum rosyjskiego, to wcześniej czy później musi ono zrozumieć (jeśli chodzi o żywioły rewolucyjne), że i w jego interesie leży, aby „kresy“ się usamodzielniły i przestały być źródłem siły reakcyi, gnębiącej i samo centrum. Dopóki rewolucyoniści rosyjscy tego nie zrozumieją, koordynacya „kresów“ będzie musiała obywać się bez rewolucyonistów rosyjskich i nawet występować przeciwko nim. Z chwilą zaś, kiedy ci ostatni dojrzeją do zrozumienia, że Rosya wolna nie da się pomyśleć bez wolności jej obecnych „kresów“ — wtedy wytworzy się wspólność zupełna interesów i rewolucyonistów rosyjskich i rewolucyonistów „kresowych“, i na tym gruncie wreszcie uda się zbudować gmach realnej koordynacyi rewolucyjnej.

ARTUR ŚLIWINSKI.

STUDYUM POLSKIE O IBSENIE.

Śmierć Henryka Ibsena przeszła w prasie naszej jak gdyby niepostrzeżenie...

Dzienniki poświęciły wielkiemu dramaturgowi mniej lub więcej banalne artykuły, illustracye zamieściły jego portret — i konwencyonalizmowi stało się zadość. Burzliwa chwila dziejowa, w innym kierunku odciągająca uwagę, znowu pochłonęła wszystkie myśli i zgon Ibsena zeszedł do rozmiarów drobnego epizodu...

A przecież Ibsen zasługiwał na większą u nas uwagę. Za życia nie cieszył się on w społeczeństwie polskiem należną mu popularnością. Teatry nasze w haniebny sposób ignorowały jego talent, kompletnego wydania dzieł wielkiego Norwega do tej pory nie posiadamy, a wiele z przetłómaczonych dramatów jego pod względem przekładu dużo pozostawia do życzenia. Nim luki te zapełni przyszłość, tymczasem należy uprzytomnić sobie, że umarł człowiek genialny, umysłem swoim o całe niebo przewyższający setki patentowanych u nas wielkości, zgasła jedna z tych jednostek, które

niezatarty ślad pozostawiają na dorobku duchowym ludzkości. W dodatku Ibsen należał do tej kategoryi artystów, których życie i dzieła są nieustanną walką, prowadzoną w imię praw wolnego ducha i niezawisłości myśli. Wprawdzie Ibsen nie doczekał (na swoje szczęście) zupełnego tryumfu prawd wygłoszonych, ale schodząc ze świata, musiał unosić przekonanie, że zwyciężyła jego bogata i nieugięta indywidualność, przed którą nawet zaprzysiężeni wrogowie kornie pochylali czoła...

Przyjdzie czas, że i dzieła jego zatryumfują na całej linii i staną się, jak dramaty Shakespeare'a własnością mas najszerszych. Ale dzieła te należy przedtem spopularyzować i udostępnić, należy zainteresować niemi i zachęcić do ich poznania.

Żadanie to spełni w części książka Feldmana *).

Powiadam: w części, bo praca Feldmana, aczkolwiek pisana popularnie, wymaga już pewnego wygimnastykowania myślowego i dokładnej znajomości przedmiotu. Dla tych jednak, którzy się wczytywali w dramaty Ibsena a natrafili w nich na labirynty myślowe i znaki zapytania, studyum Feldmana będzie doskonałym przewodnikiem, który często rozproszy ciemności, nieraz zatrzyma się nad przesłoniętym mgłami szczytem, śmiało strzelającym w niebo, a niewidzialnym dla oka zwykłego wędrowca, to znowu czasem pod stalowo zimną powierzchnią intelektu ukaże purpurowy potok krwi burzliwej, gorącej, namiętnej.

Wogóle zaznaczyć należy, iż autor przystępuje do pracy z wielkiem umiłowaniem przedmiotu, w tem, zdaje się, głębokiem przekonaniu, iż odkryje nam prawdy niezbite, wyda wyrok nieodwołalny, który następne instancye mogą tylko potwierdzić. Feldman niemal na wstępie, mówiąc o Ibsenie, twierdzi, że nie znalazł się nikt, ktoby duszę jego odczuł, twórczość pojął; „jeden go tylko — mówi autor — zrozumiał: Brandes — a i ten go nie zrozumiał“ — dodaje natychmiast z refleksyą.

Czy wyrok to słuszny?

Sądzę, że ktytyk, który po Feldmanie napisze studyum o Ibsenie, z taką samą słusznością będzie mógł powiedzieć:

— Jeden Feldman go zrozumiał, a i ten go nie zrozumiał...

I, mówiąc to, będzie miał racyę, jak racyę ma Feldman, kiedy zdanie swe o Brandesie wygłasza. Bo twory wielu genialnych ar-

„Henryk Ibsen“. Wykłady Wilhelma Feldmana, wygłoszone na kursach wakacyjnyth w Zakopanem w lecie 1905 r. Warszawa, nakł. księgarni E. Wende i Sp. 1906.

tystów to mają do siebie, że często nie pozwalają się ująć w żadne stałe i niewzruszone prawdy, nie mieszczą się w żadnej teoryi i same za siebie mówią dużo więcej, niż może wypowiedzieć o nich najwymowniejsza krytyka. Starzeją się sądy i wyroki, ale nie starzeje się piękno. Runął Taine ze swoją teoryą, ale nieśmiertelny gmach piękna, który chciał opasać żelazną obręczą swoich rozumowań, ani na chwilę nie drgnął w posadach. Otóż i Ibsen ma swoje zaszczytne miejsce w tym gmachu, a jako artysta ma tę przewagę nad swemi krytykami, że jest od nich wyższy, głębszy i wymowniejszy.

Są artyści, których dzieła wszyscy jednakowo tłómaczą i rozumieją, są inni, których każda praca daje szerokie pole do tysiąca wycieczek w dziedzinę najrozmaitszych dociekań. W pierwszym wypadku krytyk może poprzestać na analizie środków i osiągniętego za pomocą nich rezultatu, w drugim jest jeszcze obowiązany wytłómaczyć to, co autor chciał wyrazić, a wytłómaczywszy, zdanie swe ugruntować. Stajemy więc przed pytaniem, czy są jakieś niewzruszoue prawa, na których możnaby zawsze oprzeć swe wywody. Twierdzę, że nie. Dziedzina twórczości w zakresie piękna — to olbrzymie, często tajemnicze i niezgłębione morze, w którem każdy poszukiwacz skarbów obowiązany jest wynaleźć swą własną drogę. A drogowskazem nie może być tylko logika, bo prawa logiki nie zawsze wystarczają. Jedno dzieło, dwóch logicznych badaczów i dwa sprzeczne zdania — to zjawisko tak zwykłe, iż nawet przykładami stwierdzać go nie trzeba.

Ibsen należy niewątpliwie do pierwszej kategoryi artystów. Dlatego też każdy, kto sam zagłębiał się w jego dramaty i drogą samodzielnego myślenia doszedł do własnego zdania, o każdem studyum będzie mógł powiedzieć to samo, co Feldman mówi o Brandesie.

Po tem zastrzeżeniu, które uwalnia mnie od polemiki z autorem co do szczegółów, twierdzę odrazu, że dzieła Ibsena — to dziedzina, w której Feldman obraca się śmiało, swobodnie i z pewnością siebie.

Dzieła Ibsena podzielił Feldman na trzy kategorye, z których każda odnosi się do innej epoki jego życia. Podział bardzo słuszny, sam przez się nasuwający się przy czytaniu dramatów Ibsena: każda z tych epok w życiu dramaturga była jednocześnie epoką w jego twórczości.

Więc też mówiąc o dziełach, autor nie zapomina o artyście.

Przyjrzyjmy się najpierw dziełom.

Niektóre z nich, jak Pretendenci do tronu, a zwłaszcza Peer Gynt i Brand, najmniej ogółowi znane, a najobszerniej uwzględnione przez autora, traktowane są z ogromnym pietyzmem, drobiazgowością i mogłyby stanowić zamknięte w sobie całości. Wogóle autor nie cofa się przed zawiłościami, na pytania, których tyle Ibsen nasuwa, daje odpowiedzi jasne, głębokie, zawsze motywowane, przykłady na poparcie swych twierdzeń wybiera umiejętnie.

Na twórczość Ibsena zapatruje się autor, jako na konsekwentny łańcuch przyczyn i skutków. „Nie mam dosyć słów — powiada — aby z dostatecznym naciskiem wyrazić, że dzieła Ibsena nie są „literaturą“, że pisał je nie dla „wdzięcznych tematów“, tem mniej dla efektu lub senzacyi. Wyzwoleniem się przeżycia duchowego jest każdy jego dramat, etapem na drodze dyalektycznego procesu zmagającej się z sobą o prawdę duszy — stąd konieczność powstawania każdego dzieła, dająca się wprost à priori przewidzieć...“

W ten sposób umotywowawszy powstawanie dramatów, autor konsekwentnie rozwija myśl swoją i, wprowadzając czytelnika w głąb twórczości wielkiego poety, ukazuje olbrzymie wyże myśli śmiałej, nieznającej żadnych więzów konwenansu, czasem przenikliwej, jak ostrze sztyletu, to zabójczej i niepohamowanej, a pewnej, jak uderzenia piorunu. Myśl ta rzuca się na szańce kłamstwa, rozwala gmachy obłudy, przenika nawskróś dusze ludzkie i czyta w nich, jak w otwartej książce. Ale potęga intelektu i chłodna obserwacya nie stwarzają dzieła. Te dwa czynniki płyną w niezmierzone dale myślowe na potężnych skrzydłach poezyi, a pod wyrozumowaną na zimno konstrukcyą uderza serce, szarpane cierpieniem, pienią się łzy tłumionego bólu. Feldman połączył umysł nieskazitelnie jasny i logiczny z duszą burzliwą, wrogą wszystkiemu, co jest kompromisem, kłamstwem, bezdusznością i każdemu z tych pierwiastków oddał miejsce należne; ukazując zawrotną głąb uczuć i namiętności ludzkich, przesunął przed oczyma bogatą galeryę postaci. Chwile przełomowe w życiu poety, odbijające się w jego utworach, podkreślił autor rysami śmiałymi i tak przebiegając dramat za dramatem, aż do Epilogu, zatrzymał się na każdym szczeblu rozwojowym.

Wspomniałem już, że pisząc o dziełach Ibsena, Feldman nie zapomniał i o ich autorze. Niestety, postać samego Ibsena nie zadrgała pełnią życia, oczom czytelnika nie ukazuje się cały człowiek. Czemu to przypisać? Czy autor studyum o Ibsenie postąpił

tak rozmyślnie? Prawdopodobnie, nie. Być może, przyczyny w tem szukać należy, iż szczegóły, dotyczące życia Ibsena, mało dotąd są znane. Wiadomo, że młodość miał górną, lecz chmurną i posępną, że w latach młodzieńczych przeszedł przez całe piekło nędzy i upokorzeń, wiadomo dalej, że ze spiżu wykuta natura Ibsena, nie umiała się naginać i nie dała się złamać. Ale chłód, który wiał od potężnej postaci Ibsena, wzgarda ust zaciśniętych szyderczo i zimny przesuwający błysk stalowych oczu odstraszały ludzi od „Sfinksa północy!“ „Wielkość“ trzymała w oddaleniu zwolenników i wielbicieli Ibsena, a jego dusza dumna, niedostępna i wiecznie samotna, nie szukała otoczenia. Listy, ogłoszone przez Brandesa (nawiasem mówiąc, jednego z najpoważniejszych ludzi między nieuznanemi miernościami i najmierniejszych pomiędzy uznanemi powagami Europy) tak mało zawierają w sobie pierwiastku osobistego, że na ich podstawie trudno cośkolwiek o życiu Ibsena powiedzieć *). Ale Feldman rozwalił kilka rozpowszechnionych o Brandesie komunałów, a niektóre cechy jego charakteru silnie uwypuklił. Powiązawszy je ze sobą, nie otrzymamy jeszcze całości, ale nie wiele już będziemy potrzebowali dodać, aby ujrzeć przed sobą lwa, pewnego swej mocy, nieznoszącego nic, co może krępować, co może być niewolą, jarzmem, łańcuchem. Jestto lew-rewolucyonista. Późniejszy wróg polityki w r. 1848 pisze gorącą odę na cześć Węgrów, zbliża się do przywódców ruchu robotniczego w Krystyanii, w r. 1863 i 1866 wzywa rodaków do niesienia pomocy zagrożonym przez drapieżnego Prusaka Duńczyków. Aczkolwiek później Ibsen usunął się zupełnie od udziału w życiu politycznem, nie były to tak zw. „błędy młodości...“ Zarzuty, które go z tej strony trafiają, nie dosięgają celu.

Ibsen przez usta d-ra Stockmana woła:

Największym wrogiem prawdy i wolności jest zwarta większość! Większość ta nigdy niema racyi, tak, nigdy! Jest to powszechnie przyjęte kłamstwo, przeciwko któremu powinien zaprotestować każdy wolny i rozsądny człowiek. Bo kto stanowi większość w każdym kraju? Ludzie oświeceni, czy głupcy? Na całej przestrzeni świata głupcy wszędzie stanowią straszną zwartą większość!...

---

*) Wogóle zauważyć można, że Brandes w swych szkicach o Ibsenie popełnia mnóstwo uwag, nawet, jak na Brandesa... oryginalnych. Przypomnę zdanie, w którem Br. twierdzi, że Ibsen „dość długo trwał w manierze (!) wynoszenia kobiet kosztem mężczyzn“, albo porównanie satyry ibsenowskiej z satyrą... Dumasa i Sardou!

Słowa te były bronią, którą nawet po śmierci nie wahano się atakować sumienie społeczne Ibsena. Feldman kilkoma cytatami z listów do Brandesa wytrąca ową broń z ręki: W trakcie pisania Wroga ludu Ibsen pisał do Brandesa:

„Björnson powiada: większość ma zawsze słuszność. I ze stanowiska praktycznego polityka musi tak mówić. Ja przeciwnie, muszę mówić z konieczności: mniejszość ma zawsze słuszność. Rozumie się, że nie myślę o mniejszości ludzi zastoju...: o mniejszości myślę, która w pochodzie naprzód tam dochodzi, dokąd większość jeszcze nie sięgnęła".

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

SOCYALIZM A KWESTYA POLSKA.

III.

Niepodległość a Międzynarodowość.

Dążymy więc do niepodległości Polski etnograficznej i gotowiśmy o tę niepodległość prowadzić wojnę, o ile tylko ta wojna będzie miała widoki zwycięstwa.

Ale czy nam to wolno?

Słyszę, jak całe pokolenie młodych socyalistów polskich z oburzeniem świątobliwem w oczach, zadaje mi to pytanie: Czyliż nam to wolno? Czy nam, socyalistom, wolno chcieć prowadzić wojnę — i jeszcze do tego wojnę o cel narodowy? Wszak socyalizm jest międzynarodowy!

Racya. Socyalizm jest międzynarodowym. W imię tej międzynarodowości Marks w r. 1848 gwałtownie parł Niemcy do wojny z Rosyą a Engels w r. 1859 do wojny z Napoleonem III. W imię tej międzynarodowości Marks i Engels gorąco życzyli zwycięstwa powstańcom węgierskim w ich wojnie przeciwko Austryi, mimo że w Austryi ówczesnej dalibóg nie brakło żywiołów rewolucyjnych; a Freiligrath, partyjny poeta kierowanego przez Marksa Związku komunistów, ognisty piewca rewolucyi społecznej, jeden ze swoich wybitniejszych utworów poświęcił tej właśnie wojnie, pod hasłem niepodległej republiki narodowej prowadzonej przez Węgrów przeciwko państwu austryackiemu. W imię tej międzynarodowości Marks, Engels i Liebknecht dążyli do odbudowania Niemiec jako republiki niepodległej i jednolitej; niewątpliwie też Engels, biorąc w r. 1849 pod komendą Mierosławskiego udział w powstaniu badeńskiem,

pojmował to powstanie jako część składową walki o utworzenie republiki nie badeńskiej tylko, ale wszechniemieckiej. W imię tejże narodowości ten sam Engels był zwolennikiem ogólno-niemieckiej wojny przeciwko Danii, celem odebrania duńczykom Holsztynu, a nawet Szlezwiku. W imię tejże międzynarodowości bohaterskie boje o odbudowanie niepodległej Italji staczał socyalista — Garibaldi *). W imię tejże międzynarodowości rewolucyjny proletaryat paryski w r. 1870 i 1871 domagał się jaknajenergiczniejszego odparcia najazdu niemieckiego, a niezadowolenie ze słabości i niedołęstwa urzędowych obrońców ojczyzny niemało się przyczyniło do wybuchu powstania robotniczego w Paryżu i do proklamacyi komuny. W imię tejże międzynarodowości w tymże roku 1870 w parlamencie północno-niemieckim z pięciu posłów socyalistycznych trzech: wódz lassalleańczyków. Schweizer, lassaleańczyk Haserclever i marksista Fritsche, głosowali za pożyczką wojenną, a tylko dwóch: Liebknecht i Bebel, wstrzymało się od głosowania, za co ich ostro zganił zarząd ich własnej partyi z Bracke'm na czele **), tenże zarząd wydał odezwę, w której wyrażał nadzieję, że z wojny wszystkich państw niemieckich przeciwko Francyi wyłoni się zjednoczone „państwo niemieckie". W imię tejże międzynarodowości urzędowy historyk socyalnej demokracyi niemieckiej, Franciszek Mehring, jeszcze w r 1904 wyraźnie uznał ówczesną politykę Schweitzera oraz Brackego w kwestyi wojny za słuszną, a potępił zachowanie się Liebknechta w tej sprawie, jako niepraktyczne i marzycielskie. A przecież i Liebknecht w r. 1871 oświadczył przed sądem, że od pierwszej młodości przyświecały mu dwa ideały: wyzwolenie proletaryatu i zjednoczenie Niemiec. W imie tejże międzynarodowości guesdyści francuscy niejednokrotnie oświadczyli na swoich zjazdach, że w razie wojny socyaliści będą najgorętszymi obrońcami Francyi, Bebel zaś niejednokrotnie w parlamencie Niemiec, zjednoczonych pod berłem Hohenzollernów, oświadczył swoją gotowość do bronienia z karabinem w ręku każdej piędzi ziemi p a ń s t w a niemieckiego...

Zresztą, w imię tejże międzynarodowości znaczna część socyalistów bułgarskich z Zakazowem na czele, popiera zbrojny ruch macedoński, dążący do zjednoczenia całej Bułgaryi etnograficznej. W imię tejże

*) O socyaliźmie Garibaldiego i jego stosunkach do Międzynarodówki obacz ciekawy artykuł dra Roberta Michelsa w „Dokumente des Socialismus".

*) Obacz: Franz Mehring Geschichte der deutschen Socialdemokratie, tom IV., str. 5—7. Porównaj także znaną książkę o procesie o zdradę stanu przeciwko Liebknechtowi, Beblowi i Hepnerowi. Bracke i wśród polskich robotników powszechnie jest znanym jako autor broszury: „Precz z socyalistami!".

międzynarodowości socyaliści norwescy, jak wiadomo, bardzo stanowczo popierali akcyę, dążącą do niepodległości Norwegii, socyaliści węgierscy zaś oświadczyli się za zerwaniem ugody z Austryą, za zniesieniem wspólnego wojska i wspólnej linii cłowej, słowem, za zniesieniem „unii realnej" i zastąpieniem jej „unii osobowej", czyli za faktyczną niepodległością Węgier.

W imię tejże międzynarodowości wódz marksistów angielskich, sławny Hyndman, oświadcza się za wzmocnieniem floty wojennej angielskiej, aby Anglia tem łacniej mogła poskromić reakcyjne a zaborcze Niemcy...

A zatem do niepodległości Węgier dążyć wolno, do niepodległości Norwegii dążyć wolno, o niepodległość i całość Włoch walczyć wolno, o niepodległość i całość Bułgaryi walczyć wolno, o niepodległość i całość Francyi walczyć wolno, o niepodległość i całość Niemiec walczyć wolno, Anglię zachęcać do wojny z Niemcami wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Rosyą wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Danią wolno, Niemcy zachęcać do wojny z Francyą wolno. Tylko o niepodle- i całość Polski walczyć nie wolno; tylko Polskę nawoływać do wojny z ciemiężcami Polski — to zbrodnia!

Gdzie tu logika?

Faktycznie żadne stronnictwo socyalistyczne, które się rozrosło do poważnych rozmiarów i ogarnęło szersze masy ludu pracującego, nie było w stanie na dłuższą metę usunąć kwestyi narodowych ze świadomości swoich uczestników. I wcale też takie okaleczenie umysłów nie jest zadaniem stronnictw socyalistycznych. Czy staniemy na dawnem stanowisku Engelsa, którego międzynarodowość niespełna rok po napisaniu Manifestu komunistycznego tyczyła się już tylko „narodów rewolucyjnych", skazując „narody reakcyjne" na rozgromienie i zagładę; czy też staniemy w kwestyi narodowej na szerszem i słuszniejszem stanowisku Bakunina, którego międzynarodowość obejmowała w zasadzie w s z y s t k i e narody świata, nie wyłączając nawet najbardziej wzgardzonych plemion słowiańskich, a który z pewnością nie wahałby się przyjąć do braterskiej wspólnoty międzynarodowego socyalizmu i socyalną demokracyę buryacką, a nawet i socyalistyczną organizacyę Turków Aderbejdżańskich — w każdym razie kwestye narodowe istnieją, i socyalizm musi się niemi poważnie zajmować, o ile sam chce być czemś poważnem. Dążenie do braterskiej zgody między narodami bynajmniej nie obowiązuje socyalistów do ugruntowania swojej polityki na utopijnej przesłance, jakoby ta braterska zgoda już dzisiaj wszędzie istniała. Natomiast wszędzie i zawsze obowiązuje socyalistów w a l k a o d e m o-

kracyę, jako o niezbędną przesłaukę socyalizmu, ponieważ zaś niezbędną przesłanką demokracyi jest niepodległość narodowa, więc dążenie do niepodległości narodowej obowiązuje socyalistów zawsze i wszędzie. Niemniej obowiązkiem socyalistów jest i popieranie narodów sąsiednich w walce o niepodległość i tu właśnie leży jedno z najważniejszych zadań międzynarodowej polityki socyalistycznej. Nie jest to zresztą bynajmniej jedyny objaw socyalistycznej międzynarodowości. Wszak i walki strejkowe mogą wymagać współdziałania robotników różnych narodów, tembardziej, że wyzysk feudalny i kapitalistyczny krocie robotników wyrzuca z ojczyzny i zmusza ich do szukania kęsa chleba na emigracyi. W przyszłości socyalizm położy kres tym bolesnym wędrówkom, zapewniając wszystkim członkom narodu pracę i dobrobyt w kraju; na razie jednak trzeba łatać dziurę jak można, a więc np. nawoływać górników niemieckich i polskich w Westfalii, żdby się nie kłócili między sobą, tylko solidarnie walczyli przeciw przytłaczającemu ich wyzyskowi kapitalistycznemu — chociaż niewątpliwie i dla niemców i dla polaków o wiele lepiejby było, gdyby ci górnicy polscy mogli wrócić do Polski. Zresztą i bez emigracyi zarobkowej wyłonić się może konieczność międzynarodowej solidarności strejkowej, bo strejk może przekroczyć granice etnograficzne; tak np. ostatni wielki strejk górników w austryackich kopalniach węgla przekroczył przynajmniej dwie takie granice, bo sięgał od czysto niemieckich okolic Chebu poprzez ziemię czeskie aż po Karwinę, Frysztat i Orłowa, a więc aż do Polski etnograficznej. A i wtenczas, kiedy udział w strejku biorą wyłącznie robotnicy jednego narodu, czynne poparcie strejkujących przez robotników innych narodów może być wskazanem tak z przyczyn praktycznych, jak i idejowych. Co się zaś tyczy polityki, to oczywista każde zwycięstwo demokracyi i socyalizmu w jednym kraju wzmacnia pozycyę demokracyi i socyalizmu w krajach ościennych; a każda reforma społeczna, w jednym kraju przeprowadzona i pomyślnie funkcyonnjąca, zachęca do naśladownicwa nawet w krajach dalekich. Wreszcie zdarza się często, że nieszczęsny los — spadek po dawnych, barbarzyńskich czasach, kiedy ludność była niczem, a dynastya wszystkiem — w granicach jednego państwa, niby we wspólnem więzieniu, zamknął proletaryat różnych narodów: w takim razie, o ile wróg jest wspólnym, o tyle też stała i ścisła koordynacya walki przeciw temu wrogowi jest w najwyższym stopniu pożądaną. Ale to wszystko nie zwalnia socyalistów od zasadniczego obowiązku walki o wolność narodową, ani od faktycznej konieczności tej walki — konieczności w umysłach ludu pracującego nie zawsze jasno sformułowanej, ale odczutej głęboko i żywiołowo. Wszak właśnie dla ludu pracującego

kwestya wolności narodowej jest kwestyą życia i śmierci; wszak właśnie dla robotnika i chłopa, władającego wyłącznie językiem ojczystym, najwspanialsze swobody polityczne stają się martwą literą, jeśli korzystanie z nich warunkowane jest używaniem obcego języka. Wszak tragedya wrzesińska była tragedyą dla dzieci ludu polskiego, nie dla synów hrabiowskich, z którymi i tak bona mówi po francusku, a „frejlina“ po niemiecku. Wszak sędziowie pruscy za mimowolne krzywoprzysięstwo na ciężkie roboty skazują robotnika i chłopa polskiego, który się po niemiecku wysłowić nie umie, nie zaś inteligenta polskiego, któryby od biedy i książkę po niemiecku napisać potrafił. I tak było mniej więcej zawsze. Wielojęzycznemi i beznarodowemi zazwyczaj były kliki uprzywilejowane: dynastye, rody magnackie, hierarchie kościelne, które różnej maści owieczki jednemi beznarodowemi nożycami strzygły. Beznarodowym był szlachcic polski w owych czasach, kiedy ze szlachcicem węgierskim po łacinie rozmawiał jako z bratem, a polskiemu chłopu po polsku od chama i bydlęcia wymyślał. Beznarodowymi byli książęta niemieccy w owych czasach, kiedy za roczną pensyę służyli królowi szwedzkiemu lub francuskiemu przeciw swoim własnym rodakom — i później jeszcze, kiedy to za gotówkę sprzedawali tysiące swoich młodych poddanych obcym mocarstwom jako żołnierzy, aby gdzieś w Ameryce lub Afryce bili się i ginęli za cudzą sprawę. Kto na tyle jest panem, że bliższym mu jest obcy pan od swojskiego raba, ten zazwyczaj jest beznarodowym, jakkolwiek nieraz obłudnie haseł narodowych nadużywa, aby korzystać z prostodusznej wierności maluczkich. Najbardziej beznarodowymi zaś zawsze bywali ci, którzy krokiem olbrzyma-półboga stąpając po karkach zgarbionych milionów, swobodnie i gnuśnie przechadzali się od stolicy do stolicy od jednego zamku królewskiego do drugiego, od jednych igrzysk dworskich do drugich. Czyż można wymyśleć coś bardziej beznarodowego nad współczesne dynastye europejskie, łączące się między sobą koligacyami ustawicznie wznawianemi aż do kazirodztwa, aż do zidyocienia, aby tylko, broń Boże, krew królewska nie zmięszała się z krwią własnego narodu? Jakich naprzykład uczuć narodowych można się spodziewać po członkach dynastyi holsztyńskiej, panującej dzisiaj w Rosyi, Danii i Grecyi? Albo po członkach dynastyi kooburskiej, która się rozsiadła na pięciu tronach: na tronie książęcym sasko-koburgsko-gotajskim oraz na tronie angielskim, belgijskim, portugalskim i bułgarskim? Natomiast lud pracujący, czy jęczał w niewoli, czy żył w poddaństwie feudalnem, czy pracował w najmie, zawsze swojską tylko władał mową i był szczerze i głęboko narodowym. Mógł sobie nawet nie zdawać sprawy z tego, mógł nieznać nazwy swojego własnego narodu, mógł

mawiać: „my tutejsi“, „my po naszemu mówimy“ — a jednak przy zetknięciu z obcą mową, obcymi obyczajami, obcem panowaniem lud pracujący zawsze ujawnia namiętne przywiązanie do wszystkiego co swojskie, przeto dlań zrozumiałe, a gwałtowną niechęć i nieufność do wszystkiego co obce. I dzisiaj pod tym względem nie tak wiele się zmieniło. Doświadczenie uczy, że i w erze kapitalistycznej zdarzają się chwile, kiedy rozhukana namiętność narodowa, kiedy wojownicza nienawiść do narodu-wroga ogarnia wszystkie warstwy ludności, przyczem im dłużej trwa taki ruch, tem bardziej lud pracujący staje się wprost jego punktem ciężkości. Przytem, chociażby spodziewać się należało, że uświadomienie socyalistyczne potrafi nadać tej namiętności narodowej kierunek szlachetny, nie zaborczy, tylko czysto obronny; jednakże w praktyce nie zawsze to się udaje. Mimo wszelkich eufemizmów Mehringa trudno wątpić o tem, że w r. 1870 w ogromnej większości socyalistów niemieckich międzynarodowy socyalizm poprostu utonął w szale nienawiści francuzożerczej. A kilka lat temu widzieliśmy podobne objawy, chociaż w mniejszym stopniu i wśród okoliczności bardziej łagodzących, u bardzo znacznego odłamu zorganizowanych, wielkoprzemysłowych robotników angielskich. Naturalnie należy żywić nadzieję, że w miarę ugruntowania i pogłębienia przekonań socyalistycznych u ludu pracującego takie masowe wykolejenia coraz rzadziej się zdarzać będą. Ale jeżeli chcemy, żeby międzynarodowość socyalistyczna była wytrzymałą na szalejące burze walk narodowych, to nie wolno nam jej opierać ani na kłamstwie ani na samozłudzeniu; a kłamstwem albo samozłudzeniem jest twierdzenie, jakoby lud pracujący nie miał narodowości. Właśnie lud pracujący jest w głębiach swej duszy nawskroś narodowym, i te właśnie głębie są jedynem prawdziwem źródłem owych potężnych namiętności narodowych, z których politycy klas uprzywilejowanych tylko korzystają, czasem szczerze, najczęściej mniej lub więcej machiawelistycznie. Ale też tylko właśnie od tej szczerej, żywiołowej namiętności narodowej prowadzi jedyna droga do prawdziwej narodowości, która jest całkiem czemś innem, niż beznarodowość. Beznarodowość sfer kierujących, która ignoruje narodowe potrzeby mas ludowych, zawsze tylko zaostrza i zatruwa walki narodowe, bo rzuca słabszych na żer silniejszym, bo rozzuchwala silniejszych, a słabszych doprowadza do rozpaczy. Prawdziwa międzynarodowość natomiast działa jak oliwa na wzburzone fale nacyonalistyczne — bo prawdziwa międzynarodowość, to sojusz żywiołów ludowych różnych narodów na podstawie wzajemnego uznania słusznych praw każdego narodu, z czem się ściśle łączy wyrzeknięcie się wszelkich niesłusznych pretensyi zaborczych. Aby zaś zapoznać, gdzie w spra-

wach narodowych jest sprawiedliwość a gdzie krzywda, na to trzeba „plunąć naskorupę i zstąpić do głębi“, wkroczyć do owych głębin życia ludowego, tak często zamaskowanych dla powierzchownego wzroku pod pokostem „praw historycznych“, „norm państwowych“, „języka urzędowego“ i tym podobnych natarczywych fikcyi. Trzeba zapuścić sondę do owych warstw głębokich, gdzie wbrew narzuconej polskości Galicya wschodnia okazuje się krajem przeważnie ukraińskim, a Śląsk cieszyński, Górny Śląsk pruski, Kaszuby aż po sam Bałtyk wbrew narzuconej niemieckości okazują się dzielnicami polskiemi. Trzeba sięgnąć do owych głębi, gdzie mimo siedmiuset lat niewoli przetrwał do dziś dnia bohaterski lud łotewski, przetrwali Finowie i Estowie; do owych głębi, gdzie mimo tysiącoletniego panowania szlachty niemieckiej przetrwał odradzający się dzisiaj naród słoweński. Te zapomniane nieraz przez urzędową naukę, ignorowane przez dyplomatów ludy ujarzmione, dla których tysiąc lat najazdu są jakby jeden dzień, te ludy, „bez historyi“, które przetrwały tyle dynastyi, tyle państw, tyle ustrojów społecznych, tyle szkół filozoficznych, tyle mód teoretycznych — to podmorskie skały granitowe, niewidzialne dla oka podróżnego, który natomiast wzrokiem pełnym podziwu śledzi groźne bałwany, coraz na nowo piętrzące się na powierzchni morza. A jednak te bałwany huczące, pieniące się i ginące po kilku minutach nie są żadną przeszkodą dla biegłego wioślarza, podczas gdy o te milczące skały podmorskie rozbić się może największy parowiec. Ale tak jak te skały ukryte w głębokiej toni morskiej niewidzialne są dla pasażerów okrętu, a podwójnie niewidzialne dla kosmopolitycznej publiczności w eleganckich kostyumach kąpielowych, maczającej nóżki i flirtującej przytem na płytkiem wybrzeżu, taksamo zasadniczych zjawisk życia narodowego rdzennych mas ludowych nie dostrzegają ani ludzie z wierzchu społeczeństwa: arystokraci i plutokraci, ani ludzie od brzegu społeczeństwa: komiwojażerzy. Dlatego też arystokraci, plutokraci i komiwojażerzy wszędzie skłaniają się do beznarodowości. Ale też właśnie dlatego jedyna prawdziwa i konsekwentna demokracya, która dzisiaj istnieć może: demokracya społeczna, powinna się jak ognia wystrzegać naśladowania arystokratów, plutokratów i komiwojażerów. Socyalna demokracya chcąc powołać do czynnego udziału w życiu społecznem milionowe masy ludu pracującego, powinna na każdem terytoryum narodowem z osobna dostosować całą nadbudowę polityczną do szerokich podwalin ludowych; tylko tą drogą można wytworzyć społeczeństwo szczerze demokratyczne, gdzie podniety do czynu pochodzą od jednego ogniwa społecznego do drugiego nie drogą rozkazów, wydanych w obcym języku, a zatem zro-

zumianych powierzchownie a wykonywanych mechanicznie, tylko drogą owego szybkiego, łatwego i całkowitego porozumiewania się dusz ludzkich, które jest możliwem jedynie na podstawie jedności narodowej. Innemi słowy, międzynarodowość socyalistyczna może się opierać tylko na wzajemnem przyznawaniu każdemu narodowi prawa do niepodległości państwowej w granicachjego terytoryum etnograficznego. Na dążeniu do tej niepodległości powinny się opierać wszelkie sojusze między partyami socyalistycznemi; na urzeczywistnieniu tej niepodległości opierać się będzie w przyszłości braterskie współdziałanie wolnych narodów.

C. d. n.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI

UCZTA.

Życie, z pozoru huczne i „wesołe“, w rzeczywistości było jednostajnem i nudnem.

Codzień to samo.

Wstawała późno, w szlafroku piła herbatę, liczyła uzbierane wigilią pieniądze, przeglądała stroje, cerowała i szyła, jeśli było coś do roboty, potem długo przed lustrem pracowała nad włosami, nad twarzą, nad toaletą, po obiedzie szła na spacer, na główną ulicę. Tu rozpoczynała się praca. Środków i sposobów było wiele, ale cel był jeden...

O zmroku wracała, najczęściej ze znajomym. Wówczas wódka i piwo, kolacya, śmiech i wrzawa...

Samotne wieczory ciągnęły się długo. Przy lampie, bezczynna nasłuchiwała i czekała. Może przyjdzie „ten łysy“, albo „ten z pierścionkiem“, albo „ten w okularach“ nudny gaduła, skąpy i przezorny... Czasami nie zjawiał się nikt. Poziewała, chodziła po korytarzu hotelowym, rozmawiała ze służącym, próbowała czytać jedyną książkę, którą miała, książkę, zabraną z domu rodzinnego, znowu chodziła po korytarzu, wreszcie o 12 głodna i zła kładła się spać. Dzień był stracony.

Nie lubiła „łapać“, zaczepiać natrętnie, wystawać nocami na rogach ulic. Należała do tych, które się szanują, do porządnych.

Miała w pokojach umeblowanych mieszkanie, opłacane z góry, duży i widny pokój, obiady wcale dobre z trzech dań za 12 rubli miesięcznie, suknie, okrycia i kapelusze na każdy sezon i, co ważniejsza, miała stałych klijentów, którzy odwiedzali ją w pewnych odstępach czasu regularnie, przynosili upominki, fundowali kolacye, prowadzili do cyrku, miała zawsze pieniądze i ani rubla długu.

Koleżanki zazdrościły jej. Nie była nadzwyczajnie ładną, ale podobała się. Kto raz poznał ją, wracał do niej niezmiennie. Może znajomi lubili w niej, że nie narzucała się zbytnio, że miała swoją godność i takt, że nie wyłudzała pieniędzy, że w mieszkaniu jej było czysto i porządnie.

Dla wszystkich była jednakowo uprzejmą. Czy to był ten „pan w czarnym futrze“ najbogatszy, zawsze spieszący, roztargniony, który nie raczył rozmawiać z nią i nie podawał jej ręki, czy subjekt z magazynu „z pierścionkiem“, wesoły, tęgi, śmiejący się, ze śpiewem na ustach, z dwiema butelkami wódki w kieszeniach, czy „wdowiec“ w okularach, nudny pedant, gaduła i sknera — wszystkim umiała dogodzić, dla każdego i z każdym umiała być inną.

Roztargnionemu panu podawała jego „czarne futro“, z subjektem piła, śpiewała i tańczyła kozaka, nudnego gadułę słuchała cierpliwie... Byle by przychodzili i płacili...

Bo mimo różnic w zachowaniu się, w ubiorze, w pozycyi, wszyscy oni byli jednacy, wszyscy do siebie podobni... te same koncepty i żarty, spojrzenia, myśli... Mężczyźni!...

W długim szeregu znajomych trafiło się kilku, których bardziej polubiła, do których nawet przywiązała się — ich fotografie stały na stoliku — ale gdy opuścili ją, nie rozpaczała i nie zatruła sobie życia. Zanadto była roztropną. Tych niema — będą nowi... Byle by zdrowie... Choroby bała się jak ognia, choroby i starości. Przecież widziała koleżanki już podeszłe w latach, wysiadujące daremnie dniami całemi na ławkach bulwarów w słoty jesienne i chłody zimowe, i te, jeszcze okropniejsze, w łachmanach, z papierosami w zębach, głodne, otoczone żołnierzami, najczęściej pijane, zaczepiające ochrypłym głosem albo żebrzące... to ją czeka...

Ale w jej żyłach płynęło trochę krwi niemieckiej — i skrzętnie odkładała każdy zaoszczędzony grosz. Troska o przyszłość nie opuszczała jej nigdy, dlatego piła mało i rzadko, nie paliła, ubierała się skromnie, nie pożyczała nigdy pieniędzy, dlatego była prawie zawsze sama. Przyjaciół miała wielu, przyjaciółki — ani jednej. Była inną, niż wszystkie. I życie, z pozoru wesołe, w rzeczywistości upływało nudnie.

Zdarzały się od czasu do czasu okresy, bardziej przyjemne, urozmaicone senzacyą: jakiś przyjezdny kupiec zapłonął dla niej tygodniowym efektem i puszczał z nią pieniądze po restauracyach, koleżanka, wyżej postawiona na drabinie szczęścia, zaprzyjaźniona na stałe z pewnym możnym panem w mieście zapraszała ją do siebie i razem bawiły się — potem zato przychodziły dnie znużenia, apatyi i zniechęcenia, dnie, w których wszystko przejmowało ją nudą, w których prawie tęskniła do

kraju, do wioski rodzinnej, do rodziny, oddawna zapomnianej, w których rada by wyjechać daleko, kędyś w strony nieznane, może uciec...

Taką była właśnie ta wiosenna sobota. Po całym cyklu hucznych wieczorów dziś opadło ją znużenie. Bolała głowa, w piersi — ckliwa nuda, niby jakiś ciężar, niby łachman, mokry i zimny... Nie miała ochoty zabrać się do zwykłych zatrudnień.

Wczoraj popołudniu kupiła kapelusz sezonowy z dużym pękiem lilowych bzów, perfumy, modny luźny żakiet — i cieszyła się. Na ranek zostawiła sobie przyjemność rozpakowania, zbadania, przymierzenia, w innym wypadku zajęło by to pół dnia, — dziś nie rzuciła nawet okiem. Myślała także, że zaniesie do kasy okrągłą uciułaną przez miesiąc sumkę, myślała o tem z uciechą w wigilią, teraz nie chciało jej się ni wstawać, ubierać się, iść... w swoim starym czerwonym szlafroku siedziała nad stygnącą herbatą, przy stole z pułkiem butelek, z resztkami kolacyi, poziewała...

Ktoś szedł po korytarzu, nucąc, zatrzymał się u jej drzwi, zastukał.

— Dzień dobry Marusia! -- rzekł po polsku.

Nie odpowiedziała. Był to hotelowy sąsiad, ubogi chłopak od fryzyera, rodak, który admirował ją platonicznie. We drzwiach ukazała się jego bezwąsa, prawie dziecinna, blada i mizerna, uśmiechnięta twarz.

— Sliczny mamy dzień, Marusia — mówił — słońce, ciepło, prawdziwa wiosna... Idźmy dziś na „wierzby“.

Zniecierpliwionym giestem wyprawiła go z pokoju.

— Marusia zła! — zawołał odchodząc.

— Do djabła! — szepnęła...

I dalej bezmyślnie patrzała to w przestrzeń, to na znane sprzęty.

Etażerka z pamiątkami: jajka wielkanocne, różowe bombonierki, otrzymane od wielbicieli, album w pluszowej oprawie, wizerunki paru młodzieńców, jej fotografie w rozmaitych pozach, sukniach i kapeluszach; szafa pełna sukien, stos kartonów z kapeluszami, łóżko pod baldachimem z białego muślinu, stolik t. zw. gotowalnia, flakony, pudr, szpilki, pierścionki i broszki z fałszywemi klejnotami, duże lustro...

W zwierciedle zobaczyła samą siebie, zmęczoną twarz o podkrążonych oczach, rozczochrane, rozsypane, rozrzucone włosy, brzydką twarz...

Odwróciła się do okna. Za oknem był wielki szmat błękitnego nieba. Wysoko świecił złoty krzyż cerkiewny. Dzień był wiosenny...

Znowu w lustrze ukazała się jej rozczochrana głowa, pomięta twarz...

Wówczas przemogła siebie, ubrała się i wyszła na miasto w nowym kapeluszu z bzami, w nowym żakiecie. Taki spacer mógłby być przyjemnością każdego innego dnia. Zatrzymywała by się przed magazynami, porównywała by wczorajsze sprawunki z rzeczami wystawionemi za

oknami, pilnie przypatrywałaby by się przejeżdżającym stojącym paniom, wstąpiłaby do cukierni na ciastko, obok panów przechodziła by albo z ponętnym uśmiechem albo ze skromną minką pensyonarki, z nieśmiało spuszczonemi oczami i udawała by zalęknienie i naiwność, na co „oni“ są szczególnie czuli... Była by zabawa...

Dziś szła szybko, obojętna na piękny dzień, na mężczyzn, na wystawy sklepowe. Szła bez celu, przebiegła ulicę, wróciła przeciwległym chodnikiem, znowu zmieniła chodnik i znowu chodziła, czyniła to z przyzwyczajenia.

W tem przyszło jej na myśl, że może odwiedzić przyjaciółkę, tę z wysokiego szczebla, i zawróciła do pierwszorzędnego w tem naszem mieście hotelu.

Przyjaciółka przyjęła ją zimno i niedbale. Serdeczny stosunek między niemi popsuł się od paru miesięcy.

— Co słychać?

— Ano nic...

— Piękny dzień...

— Ciepło...

Rozmawiały obojętnie i sztucznie.

Przyjaciółka miała na sobie wspaniały jedwabny szlafrok, kilka prawdziwych bransoletek na obnażonych ramionach, pierścionki na każdym palcu. Siedziała niedbale, założywszy nogę na nogę, szybko wyrzucała nogą, patrzała uważnie na koniuszek z zielonej skóry pantofla.

Ziewnęła, zapaliła papierosa.

— Wyjeżdżasz gdzie? — zapytała.

— Nie, a ty?

— My wyjeżdżamy w maju nad morze.

— Nie żałuje pieniędzy!

— Ale prawda!... nie mówiłam ci jeszcze... tamtego odpaliłam od miesiąca... głupi był i mam teraz swego kota. Jak on mnie kocha... młody, przystojny, bogaty...

Ożywiła się. Skwapliwie i chełpliwie pokazywała fotografie, kosztowności, futro, suknie, kolekcye pantofelków, bieliznę...

— To jeszcze nie wszystko — chwaliła się — ubieram się u Artôt, jeżdżę codzień na spacer powozem, musiałaś mnie spotykać... dwa czarne konie... A jaki on miły! to nie tamten nudziarz...

Słuchała i patrzyła nie tyle z zazdrością ile z gniewem.

Wspaniały pokój z aksamitnemi meblami, kwiaty na stole, zapach drogich perfum, prezenta, szlafrok — wszystko świadczyło o bogactwie.

— I ten opuści — powiedziała złośliwie.

Przyjaciółka zaśmiała się głośno.

— No to i cóż? opuści!... albo ty nie wiesz? znajdę... kochamy się dziś... a może myślisz, że ja tak bardzo... Jest — dobrze, odejdzie — jeszcze lepiej... Wolę jego od tamtego, ale są lepsi... Ja zawsze znajdę... Kto ma takich znajomych, jak ja... Wszyscy kotowi zazdroszczą i tylko czekają...

Znowu zapaliła cieniutkiego papierosa ze srebrnej papierośnicy.

— Chciałaś mnie przestraszyć! Ja się nie boję... znam swoje szczęście... fiu, fiu... pojadę do Warszawy, do Petersburga, wszędzie będę pierwsza... — chwaliła się.

— Zresztą — ciągnęła dalej — zbiorę pieniądze, może wyjdę za mąż za kogoś porządnego, może będę sobie tak... otworzę magazyn... porządnie, spokojnie... już mam dosyć... tylko zbiorę pieniądze... — urwała.

— Bo wiesz przecie — zaczęła znowu — że oni wszyscy i to wszystko w końcu... całują i dają prezenta a na prawdę...

— Któregoś dnia wróciłam do domu niespodzianie — opowiadała — i zastałam swoją pannę służącą w objęciach chłopca hotelowego i... wiesz co... zazdrościłam im... oboje młodzi, może pierwszy raz... — zaśmiała się nieszczerze — usiadłam cichutko, słuchałam, żałowałam tych czasów, gdy nosiłam perkalowe spódnice... Dawne czasy!...

Wyciągnęła się jak długa, piękne swoje ręce zarzuciła pod głowę i chwiała głową, myśląc nad czemś. Ktoś zastukał. Zerwała się spłoszona.

— Zagadałyśmy się... to pewno on... może ty przez pokój sypialny... tam są drzwi...

Pożegnały się.

— Wstydzi się mnie — myślała wychodząc Marusia — udaje przed nim cnotliwą i niewinną, a ten żółtodzióbek, ten „jelonek" wierzy. Chciała by wyjść za niego za mąż a może już dziś oszukuje i zdradza... one wszystkie są takie — szydziła w duchu, jak gdyby sama nie była z tej rodziny. — Łapią głupich i grają komedyę. Chce wydać się za mąż, zbiera pieniądze, a koniec będzie ot jaki...

Patrzała w tej chwili na ohydną kobietę w krótkiej jaskrawej spódnicy, w grubem obuwiu, która wygrzewała się na słońcu, wygodnie rozparta na ławie, i ćmiła papierosa.

— Oto jej koniec — powtórzyła — jej koniec i mój...

Podnosił się w niej gorzki i brzydki gniew, gniew do szczęśliwej przyjaciółki, do siebie samej, do losu, do ludzi, którzy mijali ją. Patrzała na nich ze złością, szeptała pod ich adresem najbrzydsze wyrazy, najgorsze przekleństwa, najbrudniejsze połajanki.

Ona ich zna dobrze, zanadto dobrze. Źli są i wszyscy do siebie

podobni, tylko że jednym się powiodło w życiu. innym nie... I szczęśliwi pomiatają tymi, którzy leżą w błocie. Szczęśliwym wszystko wolno, raj mają na ziemi, i niebo po śmierci, otacza ich poważanie... tacy zacni, cnotliwi, porządni!... Fałsz i kłamstwo!... Modlą się — przechodziła koło świątyni — zakupują msze, biją się w piersi, a grzeszą, gnębią, oszukują, bawią się kosztem innych, bo mają do tego prawo, bo silni są... I oburzają się na każdy występek i gorszą się i prawią nauki... Co mnie szczęśliwemu i silnemu uchodzi, tobie nie uchodzi...

... ją ksiądz na spowiedzi namawiał do „ciężkiej ale uczciwej" pracy, ale ta panienka, która prowadzi ojca tabetyka w niebieskich okularach albo ta młoda żona z mężem i z dzieckiem i bez „ciężkiej ale uczciwej pracy" mają wygodne, czyste, cnotliwe życie... Jej trzeba zostać praczką, pokojówką, wyrobnicą. jej trzeba od rana do nocy zginać kark, znosić głód i niewygody — inaczej grzech, piekło, hańba...

Jadowita gorycz zaprawiała każdą jej myśl dnia tego. Chciałaby plunąć w twarz tym wszystkim, którzy mijali ją, spiesząc na sławny w tym mieście jarmark, zwany „wierzbami", wypluć z siebie przekleństwa i złorzeczenia, które dławiły jej gardło.

Śród przechodniów uwijały się dzieci podmiejskie z pękami gałęzi wierzbowych i wtykały je każdemu, czy kto chciał czy nie chciał. Długo biegała za nią bosa dziewczynka z jasnym krótkim mocno splecionym warkoczem, napraszając się jękliwym głosem. — Matka chora, ojciec umarł — skarżyła się.

Rzuciła jej garść miedziaków, zabrała gałązki i szła dalej.

Jakiś pan towarzyszył jej dosyć natarczywie, ale nawet nie spojrzała na niego.

Nie chce, nie chce...

... i ona ma dosyć... i ona wyrwie się, ucieknie, ukryje się, odjedzie...

— Daj sto rubli, zaraz, sto rubli, rozumiesz — krzyknęła wyzywająco.

— Oho jaka! — zaśmiał się pan i cofnął się. Ze złością zatrzasnęła hotelowe drzwi.

Obiad czekał na nią oddawna, ale nie była głodną i kazała sprzątnąć.

Niecierpliwie zdjęła kapelusz i okrycie, cisnęła na łóżko...

Biegła do domu jak gdyby z jakąś nadzieją, a tu nie było nic, tu było to samo... Zaraz przyjdzie ten, przyjdzie tamten... w sobotę każdy ma wolny czas...

Usiadła jak zrana na wprost okna. Gałązki leżały na stole. Wzięła

je do ręki, patrzała na białe aksamitne bazie, gładziła je, dotknęła ustami i znowu patrzała... Potem wstawiła je do wody.

Niech ożyją, zazielenią się... wiosna idzie...

Lubiła wiosnę, kwiaty, ona, córka ogrodnika. Przywykła niegdyś polewać, pleć, pieścić, radować się... I każdego roku kupowała kwiaty, każdego roku witała wiosnę... Zawsze w sercu ludzkiem kryje się jakaś nadzieja... Oto całe miasto gotuje się do wielkiego święta, do święta wiosennego... Wiosna idzie...

Z uciechą i lubością spoglądała na nieśmiałe bazie.

Coś jej przypominają te wątłe gałązki, coś niezmiernie dawnego, coś, co było może tylko dalekim, dalekim snem... Stanął przed nią obraz serdeczny i czysty.

Ojciec oprowadza ją po parku. Długie aleje, ścieżki, trawniki, klomby i pierwsze kwiaty. Szemrzą wezbrane wody, cicho szumią drzewa, różane niebo, jakiś ptak, zapach dymu i wędlin z wędzarni, zapach mokrej ziemi...

— A to na jutro — gada ojciec, obcinając ogrodniczym nożem pędy krzywej wierzby — panu Jezusowi pod stopy.

Cicho szumią drzewa, słodko gwarzą wody wiosenne.

— A co będzie jutro?

— Uroczystość, kwietna niedziela — uroczyście mówi ojciec.

... Kościół, pełen ludu, las gałęzi, śpiew księdza, kropla święconej wody na czole, powrót do domu pod ciepłym deszczem... Daleki sen, tak daleki, że jak gdyby cudzy, jak gdyby skradziony komuś, wyrwany z czyjegoś innego życia...

Alboż ona była tą dziewczynką i jej to był ten ojciec, staruszek o siwym wąsie, kulawy, gadatliwy i dobry... i jej ten słodki wieczór wiosenny z różanem niebem, z gwarem wód, z zapachem dymu i wędlin?...

Podniosła wzrok. Za oknem był duży szmat jasnego nieba, które czyniło się już zimnem. Gdzieś daleko na krańcach miasta zabrzmiały dzwony kościelne.

Słuchała, patrząc na pęk gałązek, patrząc w swój obraz, który przeszedł niby sen...

Tak, jej było to wszystko... ojciec, dzieciństwo i tamta wiosna, dom rodzinny i park, szumiące drzewa i kwiaty, radość i szczęście... tam nad rzeką pod altaną było pierwsze kochanie... gdzie jest pierścionek zczerniały, który jej kupił za ubogi grosz chłopak stajenny? chowała długo...

Dalekie dzwony kościelne wołają: Jam jest, Ja trwam, Jam jest...

Oddawna tam nie była. Jeszcze przed paru laty chodziła do kościoła,

spowiadała się, pościła w wielkim tygodniu, paliła lampkę przed obrazem — potem... machnęła ręką...

Huczą dzwony...

Ogarnęła ją niezmierna tęsknota. Chciała iść, szukać, gonić — dogonić i zabrać... Zdawało się jej, że dzwony wzywają ją, że słyszy dawny, znany głos, że wraca przeszłość i sen przeszłości staje się rzeczywistością... Zdawało się... Nieokreślone pragnienie kołacze się w piersi, z serca podnosi się wołanie... tęsknota...

„Jutro uroczystość... Panu Jezusowi pod stopy"...

Uczyli ją, że przed laty sam Bóg, Bóg dobry chodził po ziemi i czynił cuda, że w taki sam dzień wiosenny szedł na mękę, a ludzie słali Mu pod stopy gałęzie drzew, słali szaty swoje...

Gdzie jest ten Bóg?... Gdzie? Bóg na ziemi, Bóg między ludźmi i w życiu, Bóg cudów, Bóg dla niej? Gdzie jest ten Bóg?...

W kościele? przy spowiedzi, gdzie ksiądz poziewając strofuje ją i namawia do ciężkiej pracy? między ludźmi? w życiu? w tem błocie i brudach?...

Może chodził tu niegdyś po ziemi Bóg i był — dziś niema go, dziś Bóg jest dla innych... On jest dla szczęśliwych i dla dobrych... Zabrali Boga ci, cnotliwi i porządni, ci, których szanują... opłacają msze i opłacają księży, opłacają krzesła w kościołach i piękne pogrzeby, opłacają swoją cnotę i ją opłacają, żeby grzeszyła z nimi i za nich... bo ich żony i siostry, córki i narzeczone mają być bez zmazy... Bóg opiekuje się niemi, daje im szczęście i raj, wygody i cnotę... dobrze... niech tak będzie... — myślała bezładnie, ogarnięta gniewem.

... dobrze... niech im tam... oni z Bogiem... ona sama... namawiają ją do ciężkiej ale uczciwej pracy... dobrze... pokaże im, że i bez tej pracy... zebrała już pieniądze, jeszcze rok i jeszcze dwa... wyjedzie, najmie w innem mieście wspaniały apartament, w pięknem futrze z lokajem pójdzie do kościoła... i będzie poważanie, będzie cnota... a jeśli spotka na ulicy taką ostatnią, jak ona dziś, to potrafi, to ona już wie... odwróci się, zmruży oczy, westchnie... tak jak oni względem niej... potrafi oburzać się, potrafi udać, że ona nigdy nic, że takie potępione niech w błocie... więc jeszcze rok, jeszcze dwa najdalej... a teraz, kto ma pieniądze, niech przychodzi i płaci... pieniędzy potrzeba, pieniędzy...

Niech tamci się modlą i gorszą — ona tu swoje... a potem pokaże im... potem przyjdą i będą ją całowali po rękach i kłaniać się będą i szanować — a ona cnotliwa i święta, ona najpierwsza w mieście dziś tu ostatnia... Dziś ostatnia jest — dobrze...

Rosło w niej rozdrażnienie. Chodziła po pokoju wzburzona. Wzięła butelkę z resztkami wódki, wypiła trochę, po chwili znowu sięgnęła — i tak aż do dna. Wkrótce zdjęła ją rzadka wesołość. Zaśmiała się do siebie samej, do jakiejś myśli, zapaliła lampę, wyszła na korytarz.

— Jasiek! — zawołała na cały hotel.

Chłopak przybiegł natychmiast.

— Siadaj tu — rozkazała.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

— Podobam się tobie — zaczęła — ładna jestem, nie masz tylko pieniędzy.

Jasiek uśmiechał się, ukazując żółte zęby, poprawił włosy, gładko uczesane, krawat, wysunął brudne mankiety, dotknął wąsa, którego był zaledwie cień.

— Podobam się tobie — mówiła dalej, śmiejąc się — ładna jestem, co? a powiedz, czy ja dobra czy zła? powiedz! pójdę do piekła, co? ja grzesznica?

— Marusia...

— Chodź tu bliżej...

Chłopak przysunął się skwapliwie, objął ją.

— Przyniosłem wody kolońskiej — szepnął — ukradłem, może chcesz? Marusia... moja...

Zapaliły mu się oczy, przytulił się do niej.

— To już umiesz... śmiała się — taki dzieciak, a już... kochałeś już kogo? Chcesz, będziemy kochać się... — pocałowała go głośno...

— Idź, idź... — odepchnęła go po chwili, jak gdyby ze wstrętem... — butelka wody kolońskiej to mało! daj mi sto rubli... inaczej nie...

A gdy on nie chciał jej puścić, uderzyła go mocno pięścią.

— Siadaj tam — rozkazała.

— Marusia! — bełkotał chłopak — raz tak... i znowu zła... ja dostanę pieniędzy, ile chcesz,.. — uśmiechnął się chytrze.

Ale ona nie słuchała go wcale. Było długie milczenie.

— Jasiek — krzyknęła naraz — masz dziesięć rubli, idź do magazynu, przynieś wódki dużo, przynieś piwa dużo, przynieś kiełbasy i chleba dużo, przynieś sera, przynieś wszystkiego... przyniesiesz tu — krzyczała — a potem pójdziesz na bulwar, rozumiesz, tam, gdzie same ostatnie chodzą, rozumiesz, i sprowadzisz wszystkie, dziesięć, piętnaście, ile będzie... żeby były głodne, rozumiesz... Idź zaraz!...

Jasiek wahał się.

Jasiek słyszysz! — powtórzyła groźnie — masz jeszcze dziesięć rubli.

Chłopak wyszedł i po chwili wrócił obładowany, potem wyszedł znowu, ale niechętnie.

— Idź na bulwar — powiedziała raz jeszcze — i zapraszaj... one siedzą na ławach i czekają głodne... powiedz, że dam kolacyę, że nakarmię, powiedz, żeby szły wszystkie... Nakarmię...

I jęła przygotowywać. Odkorkowała butelki, napiła się jeszcze wódki. zadzwoniła o szklanki i talerze i samowar, krajała chleb i mięso, — czekała.

Stuknęły drzwi na dole, na schodach było głośne stąpanie.

Jasiek szedł na czele zgrai. Weszły nieśmiało, przywitały się. Stały kupą bezradne, spoglądając ku butelkom i jadłu. Bały się podstępu, albo figla.

— Siadajcie — głośno mówiła gospodyni — zaprosiłam was. Nie żenujcie się... Ja taka sama jak wy, ostatnia, tylko bogatsza... głodne jesteście? nakarmię... siadajcie... Jasiek nalewaj...

Rozpoczęła się dziwna uczta. Usiadły wszystkie przystojnie, niby damy ze świata, czekały porządnie swojej kolei, jadły powoli i z namaszczeniem, próbowały prowadzić konwersacyę.

— Ładny był dzień dzisiaj.

— Wiadomo, wiosna.

— „Wierzby“ udały się.

— Tramwaj przejechał dziecko.

Gospodyni zapraszała. Jasiek podawał i nalewał, i sam jadł za dziesięciu. A „one“ używały. Chwytały szynkę i ser, kładły na chleb, — i w jednej chwili znikały w ustach olbrzymie porcye, trącały się kieliszkami, piły jednym haustem, wywracając kieliszek do ust, i znowu chciwie a zazdrośnie wyciągały ręce po jadło. Były tak zgłodniałe, że nie mówiły prawie nic. Tylko od czasu do czasu ukradkiem spoglądały ku gospodyni, wciąż bojąc się figla, bojąc się, że zaraz to wszystko się skończy.

Ale pod wpływem wódki ożywiły się, odzyskały humor i pewność siebie. Pękły lody i prysły więzy. Zawiązały się rozmowy, wynikły kłótnie, padały grubjańskie wyrazy, posypały się specyalne żarty, wybuchła piekielna wrzawa. Jasiek przyniósł skrzypce, huknął pijacki ochrypły śpiew, — tańczyły, stukając grubemi butami.

A ona chodziła dokoła stołu, dolewała wódki, piła sama, potem zaczęła przemowę:

— Nakarmiłam was. Byłyście głodne, podjadłyście na cały tydzień, napakowałyście sobie kieszenie. Wesoło wam, co? I mnie z wami we-

sołо!... Dobra kompania... Wy ostatnie i ja ostatnia... Nie chcą was znać ludzie i my nie chcemy! my z błota, my grzesznice, my ostatnie, my potępione... a wesoło nam... oni swoje, my — swoje... mamy i my święto... Jasiek graj! — krzyczała zataczając się.

HELENA D'ABANCOURT DE FRANQUEVILLE.

NIE POMNĘ.

Chcę życia małe podeptać troski
I ból codzienny i żrący żal —
Strwonić jak w wichry siew rzucon boski,
Rozbić jak pianę strzaskanych fal.

W łom podruzgotać, jak skalne piargi
Druzgoce lodu Cyklopny głaz,
Przedrzeć płomieniem zamierzchłe skargi,
Zetlić zamarłe i żywe wraz.

I w mknące, wodne, gładkie podłoża
Rzucić przeszary, zwiany ich pył,
By gdzieś w topielnej otchłani morza
Miot rozświetlony gromów je skrył!...

Dziś — mego szczęścia niech strzaskam kruże,
Co pustką zieją, jak wyschły zdrój,
Niech w błyskawice opną się burze
I pustoszące mkną przez szlak mój!...

A na pustkowiu — cisza niech stanie...
Ku chmurom sięgnę i wesprę skroń,
Niech życia gwarne, zwodne rozgranie
Głuszą osklepi obłoczna toń!...

W otchłań podniebia wprężę ramiona,
Nie pomnę trudu — bolu — ni wiem
Że tam w przepaści życie gdzieś kona,
Co było moim widziadlnym snem!...

WICHER.

I rozwiał się wicher
I gra...
Jak zbroic łoskotem
I trzaskiem i grzmotem...
O pawęż brzeszczotem...
I gra!...
Gdzieś z szczelin chichoce
W gałęziach łomoce
Rwąc liście sieroce...
Chwilę zaczajony
Znów wstał!...
Hen! przypadł z zaświata!
Pył w słońcu zamiata!
Włos chmurom rozplata!
I gna!...
Rozigran pijany,
Zwiódł liści tumany
Na pląsy i tany...
Targane mkną w wirze
Na szał!...
A łany pod niemi
Słaniają po ziemi
Swój kłos!...
Wód nurty im wtórzą
I szumem i burzą
Co z głębin wynurzą!...
Hen! niesie się wicher
Przez świat!...
Krańcowe rwąc progi
W gwiazd obce rozłogi
Pomyka — bez drogi —
Przez świat!...

Kraków.



TADEUSZ MICIŃSKI.

KNIAŹ PATIOMKIN.

Dramat w 4-ch aktach.

AKT TRZECI.

(Weranda bogato urządzonego pokoju. Wielka portyera zakrywa widok na miasto — i odsłania morze szare ze światłami w dali — niebo mroczne zachmurzone. W ciszy zegar. Wchodzi żona Szmidta — w ciemności słychać tylko jej szlochanie. Wreszcie zapala świeczki przed ołtarzykiem św. Mikołaja. I wtedy widać nieładną twarz kabiety ubranej czarno z zapłakaną twarzą. Zaplotła ręce, stoi w niemocy. Wchodzi służąca Dunia.)

Dunia: Pani złota, a? może by tu grobik ustawić?

Pani Szmidt *(szlocha)*: Boże mój, chyba Ciebie niema?!

Dunia: Do Pana Jezusa poszło na służbę. Widać was Panieczko bardzo On kocha — bo Pana to nie tak obejdzie.

Pani Szmidt: Mąż mój wróci zaraz — nie należy zwlekać, ustaw tu trumienkę — niech ujrzy ją taką piękną — dziecinkę moją — tylko cicho, nie obudźmy Iriny — doktór mówił, że to kryzys —

Dunia: W żarze bredzi, gorączka jak w piecu — te rączęta biedne, czerwone, łuską pokryte, wyciąga, szukając tatusia. Ona go najwięcej lubiła — i nie może mu dziecko przebaczyć, że go nie widzi —

Pani Szmidt: Straszne to wszystko — groza w powietrzu — zda się że widzę jędze, które w główeczkę dziecka wbijają szpony ostre, trujące — oh, jakie straszne —

(układają dziecko w trumnie).

Dunia, ty powiedz z głębi duszy swej — wierzysz ty w litość Bożą?

Dunia: Nie możemy teraz, Pani, potem wam coś powiem. Ja byłam kobietą publiczną — i wy Pani też — to nie tajemnica — ja dużo widziałam nikczemnej grubej natury ludzkiej, ale święte tylko ot — to co leży na desce zmarłe —

Choćby to był pies — choć jawny morderca — to bije z niego milczenie — jak od księżyca.

A żywi wszyscy nie dowodzą istnienia Bożego — nawet wprost przeciwnie.

Pani Szmidt: A umarli nie dowodzą niczego, prócz czarnej, złej przemocy: ja nie pójdę więcej się już modlić — nie pójdę — nie pójdę. — To dziecko jest niewinne jak Chrystus i tak cierpiało! —

rozum się obudził w niem nad wiek — samo robiło inhalacye — Ja byłam przy niem jedna — felczer tak wstrętnie chrapał — i konało mi na rękach —

Dunia: Macie jeszcze inne dzieci — nie trzeba ześlizgnąć się z rozumu —

może się jeszcze przyda —

złodziejskie przysłowie mówi: kiedy wisisz — pomyśl, że inni w gnojówce toną. Oh, stukanie!

Pani Szmidt: To nadchodzi pan — idź otwórz —

(Zostaje sama — po chwili wahania też oddala się. Wchodzi Lejtenant Szmidt, z głową pochyloną ku ziemi — zatrzymuje się w progu — nie patrzy na trumienkę — zakrywa ją kotarą — staje pośrodku pokoju z twarzą wyrażającą największy wysiłek woli.)

Lejtenant Szmidt: Teraz musi być objawione. Na tamtym brzegu — lub też nigdzie. Nie rozpaczajmy — aż do chwili — kiedy zawiedzie — wówczas —

(*grozi pięścią niebu.*)

Lewkadya, choć tu.

(*do wchodzącej żony.*)

Tylko żadnych łez. Byłoby to niegodne! Musimy z wiarą — Tak. I musi nam objawione być. Już od tej nocy, abyśmy wiedzieli.

Pani Szmidt: Chcesz seans?

Lejtenant Szmidt: Zakryję okno — lampkę stawiam za szafę — czy nie za ciemno?

Pani Szmidt: Ty miej ołówek — ja w nic już niewierzę — nie mogę —

Lejtenant Szmidt: Nie — ty musisz —

(*Słychać wahanie się stolika — stolik dźwiga się w górę, ciężko z łomotem opada — potem idzie wzdłuż pokoju aż ku trumience.*)

Lejtenant Szmidt: Tam nie! chcemy spokojnego zjawiska. Wilhelmie Ton — tyżeś to?

(*stolik uderza gwałtownie o podłogę).*

Pani Szmidt (*w transie*): Jaki on jest groźny! Oh, całe schody Richelieugo usiane trupami —

ale on ukazuje tam gdzie góra Dżumna —

tam przeznaczenie — każe ci tam iść —

a potem — forteca? a ty — związany

Lejtenant Szmidt (*w nagłem przerażeniu*): Nie mam się na czem oprzeć — widzę mój dom na ziemi bez gruntu, o który otrąciło się morze i natychmiast upadł i stało się obalenie domu mojego wielkie.

Pani Szmidt: On każe iść za sobą — ku jakimś wyżynom —

Lejtenant Szmidt: To jest Rosya wyzwolona —

Pani Szmidt: Lecz ja w ciebie nie wierzę.

Lejtenant Szmidt: Ty nie wierzysz we mnie?

Pani Szmidt: Miłujesz inną — to idź za nią — miej z nią dzieci — mnie wstydzisz się — ty wszedłeś w mistykę aby objaśnić sobie postępek ze mną — a to jest zwyczajne — (*wstaje jakby otrzeźwiona*) zwyczajne zdegenerowanie.

Lejtenant Szmidt: Czemu ty nie wierzysz we mnie?

Pani Szmidt: W tobie jest ciągły chaos.

Lejtenant Szmidt: A czy nie ty jesteś przyczyną? ja świat myśli musiałem przeobrazić, aby cię na wielkiej wyżynie ustawić mego fatum.

Pani Szmidt: Otóż seans zeszedł na kłótnię.

Nie możemy tak żyć. Kto z nas winien — kto nie — darmo sądzić. Ty nie zadawaj już sobie przymusu — zerwij maskę — idź za Ziną — córką isprawnika, ex narzeczoną popa — a wreszcie żoną wychrzczonego pana Richmana — jakkolwiekbądź, jest to twój ideał. Lubisz takie zgniłki.

Lejtenant Szmidt: Milczeć!

Pani Szmidt: Do mnie tak mówisz? wobec tej trumienki —

Lejtenant Szmidt: Nie wyzyskuj mej siły — ja mogę i teraz jeszcze raz ci przebaczyć.

(*do siebie*) Jak ja nią gardzę!

Pani Szmidt: Wyjdźmy.

Lejtenant Szmidt: Czy ty naprawdę widziałaś widmo Wilhelma Tona?

Pani Szmidt: Przywidziało mi się — w tem niema nic prawdziwego — idźmy — znużony jesteś — czeka cię kolacya — przebaczasz mi?

Lejtenant Szmidt: Nie, trzeba już zgnieść wielkie sentymenty — dosyć ci okazywałem uczucia.

Pani Szmidt: Mógłbyś mieć więcej uczucia w takiej chwili —

Lejtenant Szmidt: Rosya mię zwie!

Pani Szmidt: Eh, nikt ciebie nie zwie. Musisz skończyć z temi fantazyami.

Lejtenant Szmidt: Rewolucya wybuchnie lada chwila — okręt Kniaź Patiomkin zapalił wszystkie nadzieje —

Pani Szmidt: Obchodzili się bez Ciebie i obejdą. Idźmy stąd.

Lejtenant Szmidt: Cobym dał teraz gdybym się nazywał Romanow!

Pani Szmidt: Znasz ten wiersz Puszkina do Bułharyna:

Nie to biedá, czto ty poliák!

Lejtenant Szmidt: Więc cóż za wniosek — z pewnością coś przykrego dla mnie —

Pani Szmidt: Nie to bieda, żeś ty Szmidt
bądź ty tatar, albo żyd —
lecz to bieda, że masz w głowie — mit!

Lejtenant Szmidt: Ach, to pięknie — winszuję natchnienia!
Nie to bieda, żeś ty śliczna —
bądź ty jak Wenus antyczna —
lecz to bieda, żeś była — publiczna.

Pani Szmidt: A ty chcesz być publicznym i nie udaje ci się! Jeżeli jednak Abelard i Heloiza mogli grzeszyć w kościele — choć ja nie nazywam tego grzechem!

Lejtenant Szmidt: Tak, jestto nikczemna zasadzka, którą natura na nas zastawiła —

Pani Szmidt: Lecz skoro interes natury stał się już naszym interesem — to w interesie naszym leży, abyśmy jak najskrupulatniej w tę zasadzkę wpadli:
pierwszą twoją zasadzką byłam ja —
drugą jest — Zina —
a trzecią będzie — Rewolucya.

Lejtenant Szmidt: Ja dążę do pogłębienia myśli życiowej — więc wszystko co jest tragiczne — niech się krzewi. I dlatego mówię: won — z instynktem!

Pani Szmidt: Oh, wy burzyciele — ledwo łaty umiecie przemieniać — a to należałoby powiedzieć: won z człowiekiem, bo to najzdradliwszy instynkt.

Lejtenant Szmidt: Kto wie, czy nie powinienem był Ciebie spotkać dawno — przedtem — i pokochać — spojrzałaś na mnie — z takim obłędem?

Pani Szmidt: Zostaw mnie z moim obłędem i trumną.

(*wychodzi.*)

(*Lejtenant Szmidt nabija rewolwer.*)

Lejtenant Szmidt (*sam*): Należeć do walki szczerze i poprostu

i oto jedyne co może ocalić od runięcia w dół hańby (*cichy stuk do szyby.*)

Ach, Zina —

(*uchyla okna.*)

Przychodzisz w takiej chwili, gdy musi nastąpić życie nowe — lub runięcie w otchłań wszystkiego —

(*Księżyc oświeca piękną postać Ziny w czarnym aksamicie.*)

Zina: Mówiłeś, że ty musisz zginąć za wolność — idź, chwila nadeszła — weź tę gałązkę magnolij —

(*Lejtenant Szmidt całuje ją gwałtownie*)

nie ust, nie —

bądźmy tak czyści jak ten księżyc! ja jutro przyjdę w to miejsce —

i powiem ci wtedy milczeniem mojem, żeś ty był — Wielki!

Lejtenant Szmidt: Lub raczej wyznaj: czytałaś przed chwilą — coś inspirowanego?

Zina: Zgadłeś — Lamennais'go — lecz czyż nie mówię z własnej mej duszy? tak jak wróżka Delficka?

Lejtenant Szmidt: Dlaczego nie byłaś na wystawie?

Zina: Zaprosili mię do siebie Iwanowy —

Lejtenant Szmidt: Co — ależ to są chuligany —

Zina: No tak — zachodzę czasem, bo nigdzie na śniadanie nie podają tak przyrządzonego salade olivier — kuchnia wyborna — prosili też ciebie — —

Lejtenant Szmidt (*śmiejąc się*): Ty jesteś rasowa — a ja jestem nieumiejętnym farysem!

(*Dunia wchodzi i niepostrzeżona ciągnie za rękaw Lejtenanta Szmidta.*)

Dunia: Panie! a to musi być, z Irinką jest źle! Nic nie mówi, tylko macha rączkami — oczki otwarła — i stygnie.

Zina: Więc to prawda, że u was zaraza? ja nie o siebie lękam się, ale bądź mężny — tylko silni mają racyę egzystencyi! Na wypadek — masz tu opium! —

(*Znika.*)

(*Lejtenant Szmidt wychodzi spiesznie do innego pokoju — po chwili wyprowadza płaczącą żonę.*)

Pani Szmidt: Te krwawiące i czarne owrzodziałe usta — rączki jak u gadu okryte łuską — oczka zalane ropą — ona poznała istotną prawdę! Spokojne okrucieństwo życia — —

Oh, bólu mnie, najwyższego —

pod wóz Dżagernant rzuciłabym się teraz —
jakiemukolwiek Bogu — lecz nie tej
pustyni dla serca, które w ostatniej
racyi świata znajduje mikroby —

Lejtenant Szmidt: Myślałem, że w mojej obecności ona by umrzeć nie mogła — lecz widziałem przemoc Śmierci nikczemną' wtedy zebrałem w sobie wszystkie siły magnetyczne i dotknąłem dziecka, mówiąc mu w milczeniu:

Zabijam cię — w imieniu Boga.
Uczyniłem to, aby skrócić męczarnie.
I zgasła.
W tem jednem była moja władza. Zabijać mogę.

(Pani Szmidt zaciska wargi.)

Ja mam dużo — ja mam dużo — opium — chcesz.

Pani Szmidt: Ty naprawdę — umarłbyś ze mną!

(Lejtenant Szmidt odwraca się.)

Pani Szmidt: Nie — ty musisz żyć — tobie nie wolno — musisz dokonać —

Lejtenant Szmidt: Nie wiem —

Pani Szmidt: Tam — słyszysz — huczą masy ludzkie — tam wre rzeź — idź, zanieś im wielkie twórcze słowo —

Lejtenant Szmidt: Zginąć mi byłoby teraz tak dobrze!...

(Klęka przed nią — łkając niepowstrzymanie — ona mu głowę gładzi.)

Cóż ty im powiesz? oto poprostu — że należy umrzeć dla rzeczy niemożebnej, lecz wspaniałej —

nie będziemy już kłamali w niczem — a twoją najgłębszą prawdą — twoją najgłębszą to są te łzy —

bo ty nie miłujesz nikogo —
lecz nie jesteś sam —
bo nie masz nawet siebie samego —

Lejtenant Szmidt: A' ty?

Pani Szmidt: Ja — mam strach — o ciebie wielki — — chciałeś żebym umarła, dlaczego nie miałeś woli dać mi opium? Czy to Zina przyniosła? i to dla szczęścia?

Lejtenant Szmidt: Nie mogłaś mi dać szczęścia — ale mi dałaś — najgłębszą niedolę!

Pani Szmidt *(z niepokojem)*: Kto mówi przez ciebie? Wilhelm Ton —

Lejtenant Szmidt: Jakto, więc on ci się tak zwierzał?

Pani Szmidt: Nie pytaj — wsłuchuj się raczej w to co on ci mówi!

Lejtenant Szmidt: Zostało nam morze i dziki, prometeiczny bój—

Pani Szmidt: Nie cofaj — nie cofaj tych słów.

Lejtenant Szmidt: Boga zwalczyliśmy. Trzeba, żebyśmy mieli odwagę zwalczyć siebie samych.

Pani Szmidt: Nie przyjąłeś dowództwa rewolucyi przez pokorę — myśląc, że będzie wiódł Bóg.

Lejtenant Szmidt: Lecz teraz krzykiem jednym się staję: Wielkim targaczem łańcuchów.

Pani Szmidt: Nie wyprzej się i tych słów.

Lejtenant Szmidt: Czy myślisz o chwili św. Piotra?

(*Wpada Dunia.*)

Dunia: Panieczko, panie! chuligany dobijają się do naszego domu —

Pani Szmidt: Puść ich — niech wejdą.

(*Dunia waha się chwilę — lecz na znak pani rozsuwa drzwi — wchodzi banda*).

Bosiak 1: Ja tu ciebie dostanę kosturem, resztko człowiecza!

Makarela: Chodźno tu, synku admiralski, podejmijno maszt — zarzućno mi kotwicę!

Bosiak 2. Ja choć zdechnę, ale wami gardzę, bramy wy piekielne.

Tłum. W śmietniku nieście go — w śmietniku — tu stawcie — w tym salonie — u wielkich państwa —

(*Wnoszą śmietnik, skąd słychać chargotanie.*)

Zakopał się w śmieciach — nie wyłazi — tam zjada i tam trawi — glisty z nim i białe robactwo.

Głos ze śmietnika. Ale miękko na zgniłych cytrynach — zaciszniej tu w odpadkach niż w naszej stolicy.

Tłum. Wstawaj — jesteś na wizycie u jasnych państwa —

Wstawaj — przyjechał Okręt Rewolucyi — wszystko ma być równe — i swoboda najpomyślniejsza — Wysypać śmieci!

(*Wysuwa się ohydny łeb.*)

Łeb. A ja gdzie się podzianę?

Tłum. Na marmurowy stół — do trupiarni — czas tobie, nie?

Bosiak 3 (*zdejmując koszulę*): Oj, sztyfty pogane zlatujcie, czy niema, myślicie, na was sposobu?

Lejtenant Szmidt: Czego tu żądacie? wolności? nie dla Nasona — my musimy zczeznąć — My robaczywe pokolenie — Czego

tu żądamy? śmierci — oto ona jest — uczcijmy ją — nie na klęczkach — ale wzniesieniem się — aż do tragizmu —

Tłum: To jurodziwyj — my idźmy stąd —
zaraz — patrzcie, jakie meble mięciusie —
nie rusz — nie kradnij ze szafy —
patrzcie — ukradł nowiutkie spodnie —
łowi kadyka — kamieniem go!

Głos ze śmietnika: Milczeć tam — ciągle tu hałasy — kruki zdechłe — wszystko mnie boli od waszego krzyku. Łeb zatykam — to znów szczury wpadają mi na plecy. A, jesteś tu, odgryzłeś mi jednej nocy palec — ale ja tobie teraz ukręcę kark! (*Wyrzuca szczura zdechłego, śmiechy, po chwili jęk*:) Życie świńskie!

Bosiak (*pijany dobija się do szafy*): Naplewać tobie — otwiraj! cóż to, nie wpuszczacie mnie? a ja chcę teraz spać — ja w nocy muszę podstrzeliwać wódkę. — Wagony pełne — i wam się dostanie —

Skorpiony nie zobaczą!

Ja w imieniu narodu — rozdaję — Otwirać! Nie? Pluję na Was drzwi moralności — Pluję drzwi miłosierdzia — ja tu do Ciebie, Kapitanie — tu syn ziemi!

Głos ze śmietnika: Trzeba się stać wprzód Synem Gwiazd, aby zasłużyć na dziedzictwo ziemi!

Makarela (*do złodzieja ukazując dziecko*): Weź mu ten łańcuszek złoty —

Złodziej: Patrzy strasznie — wzywa na pomoc wzrokiem —

Makarela: Duch z niego wyszedł — nadmę mu — to będzie miał na jakiś czas tchnienie (*złodziej rozciąga ją uderzeniem pięści — tworzy się piekielny zamęt — z ulicy krzyki — wchodzą marynarze z ciałem Wakulinczuka, kobiety jęczą i całują ręce nieboszczyka*).

Majtkowie: Patrzcie — tu jest ciało niewinnie zamordowanego przez władze marynarza — za to, że nie chciał jeść barszczu — a spójrzcie na to mięso — robaki!

Bosiaki: My i na Wielkanoc takiego nie widzimy — dajcie nam — choć i niedogotowane — lepsze to niźli szczurom wyjadać mózgi.

Tłum: Dzikusy wy nie ludzie — jak odziczeli! — Wielki męczennik — za naród zginął — oh, kiedyż to smoki nas opuszczą? — Trzebaby ich jak sztyftów gorącą parą — to sami rozlazą się —

Mało nas jeszcze jest — trzeba fabryki obejść — niech tu

się zejdzie lud prawdziwy — wolność — konstytucya — precz samodzierżawie!

Hej, bosiaki — i wy z waszej nędzy wyjdziecie na życie nowe.

Bosiaki: Dajcie po rublu na głowę — to pójdziemy. Trzeba kupić ubranie, aby się pokazać w mieście — i módz cierpieć za wolność.

Tłum: Zebrać im — zebrać! to gotowe wojsko — ha ha!

Bosiaki: Nie śmiać się! ogień pożre nasze brudy — i my wyjdziemy z życia niewolniczego. Między nami są i lekarze — i palacze — i nawet jeden pułkownik — my ludzie minieni —

Głos: Wyście nigdy ludźmi nie byli.

Bosiaki: Słyszycie? to nas oświecił!? nó — to nam wszystko wolno — bo my nie ludzie? Pokażemy —

Tłum (*do marynarzy*): A jakie u was karabiny?

Majtkowie: Mauzera — przebija 4 ludzi na wylot — mamy ich tyle ile załogi — dziewięćset. I armat 94.

Tłum: Zuchy marynarze. Strzelcie na wiwat. O święci, święci!

Majtkowie (*strzelają*): Niech żyje wolna rosyjska republika — hurra!

Rewirowy: Oszczędzajcie — oszczędzajcie nabojów — na okręcie przydadzą się — macie bardzo mało amunicyi.

Majtkowie: Mamy na dwa lata walki.

(*Wbiega robotnik.*)

Robotnik: Oj bracia — mordują nas — dziewczęta wyszły z fabryki i zrobiły pochód — i te co idą na przedzie nie wiedzą nawet, że gołemi szablami wysiekli mnóstwo trupów za niemi.

Tłum: Do boju — dajcie znak żeby z okrętu strzelano.

(*Marynarze powiewają czerwoną chorągwią.*)

Majtkowie (*między sobą*): Nie znamy sygnałów — to była rzecz oficerska — i nabojów wzięliśmy jak na paradę.

Tłum: Brońcie nas.

Majtkowie: Weźmy ciało — pójdziemy w pogrzebie — z nami nikt was ruszyć nie będzie śmiał.

(*Wchodzą tłumy dziewcząt fabrycznych — w rękach gałązki i świece zapalone — nucą w ekstazie, nie słysząc dalekiej wrzawy i huku strzałów*).

Dziewczęta (*nucą*):

Ty wzejdź zorzą — zorzą jasną —
nad rodzinnym krajem, krajem ciemnym —

podejmij się — w blasku wzejdź nieziemnym —
niech jasności krzyża już nie gasną,
Tajgi leśne, stepów zimne jary
i serc ludzkich złe otchłanie —
niechaj Łazarz już z mogiły wstanie —
niechaj Boże spełniają się czary!
Poznaj ludu wielki pałac Boga —
co na trzech dzierży się kolumnach —
pierwszy słup — męczennicy w trumnach —
drugi słup — to w dal bezbrzeżną droga —
a słup trzeci — płacz pokutny szczery —
to jest piorun, który bije w morze —
i zakłębi się ciemne bezdroże —
i powstaną dawne bohatery.

Krzyki: Kozacy tu! bez rozbioru biją i rąbią!

Dziewczęta (*do marynarzy*): Zabierzcie ze sobą — na wolne morze — nie będą nas tak piersi bolały — oj mroku ty nad nami — patrzcie, wszystkieśmy suchotnice — ten dym, który mężczyźni wypalają, nas pogrążył w jamę śmierci.

1: Dwa ruble na tydzień — z czego tu utrzymać matkę?

2: Albo kochanka?

Ładna: Ja to sobie pomagam, bom ładna — ale te biedaczki nie zaznają święta. I powiedźcie, czego one żyją? czego to wszystko żyje?

Dziewczęta: Hej, marynarze weźcie nas —

1: Ty — okręt zamieniłabyś w górę Dżumną.

Ładna: Ja pijana dniem wolności — ja Madonna Syfilityczna jestem dziś jak studnia wody żywej — jako kwiat migdału — dajcie mi gromnice dwie w ręce na zaślubiny — hej — kto odważny? —

(*Mitienko ją obejmuje.*)

(*Kozaków dziki ochrypły śpiew.*)

Na ulicie Maryensztadskoj
razigrałsia knut kazackoj,
biej nagajka mieszczanina —
zażgi pakliu kierosina —
aj, toptaj — toptaj!

Tłum: Wychwycili już szable — konie puszczają wcwał — Sądny dzień — uciekaj!

Matiuszenko (*macha chorągwią*): Usuńcie się robotnicy — będą z Kniazia strzelać kartaczami do Kozaków —

Kozacy: Udiraj! bomby! kartieczi! rubi — strielaj! udiraj! (*Uciekają.*)

Tłum: Zwycięstwo! jedno słowo wielkiego Okrętu wystarcza.

Majtkowie: Ot, my zostali — teraz myślmy jak zmusić władze do ucieczki.

Tłum: Oni są w teatrze — wystrzał 1000 funtowego pocisku zmiażdży dach i przywali tę hydrę o tysiącu głów.

Majtkowie: Nie, tam mogą być niewinni. Lepiej idźmy grzebać towarzysza — z góry puścimy rakietę — niech miasto całe raduje się.

Tłum: Wielki męczennik! rozbiegnijmy się — bijcie w dzwony!

(*Majtkowie wysuwają się konduktem pogrzebowym. Za nimi tłum rosnący.*)

Agitator Winawerow (*wskakując na śmietnik*): „Nowe społeczeństwo nie może już żyć po proletaryacku! ono będzie dążyło do tego, aby żyć jak wysoko kulturalny naród — i przytem tak będą żyli wszyscy jego członkowie — od pierwszego do ostatniego." Te słowa wypowiedziane przez wielkiego Bebla — dziś mają dla nas znaczenie zakonu —

Tłum: Mojżeszowego? bij żydów — oni buntują — bij japońskich szpiegów —

Agitator Winawerow: Nie mówię o zakonie religijnym — Boga nie wyrzucamy — podobne nonsensy zostawia socyal-demokracya burżuazyjnym ideologom, którzy podczas rewolucyi francuskiej używali podobnych środków i oczywiście najnędzniej ponieśli rozbicie.

Wszystkie fundamenty współczesnego porządku okazują się naraz obnażone w swej bezczelnej głupocie.

Ludożerca uważa się za moralnego; Moloch — którym jest Cerkiew i Biurokracya — lecz my te obie szczęki podważamy ideją rozwoju — który mówi, że minął niewolnik jak minął człowiek jaskiniowy —

(*Wieko śmietnika podważa się i w ogromnym wzroście powoli wyprostowuje się człowiek rozkładowy. Agitator pada wśród ryczącego śmiechu.*)

Mieszkaniec śmietnika: A ja wam powiem — słup wam telegraficzny w mordę z pakułami! Są tylko dwa programy człowieka

ruskiego, szczerego, jakim ja pozostałem mimo niepozornej powierzchowności:

Ojcze nasz — i J. T. M.

Ojcze nasz — mówi w cerkwi i kiedy jest syty i dobrze odziany — i J. T. M.! kiedy mówi przez niego smutek albo tęgość, jednem słowem — szczery, niekłamany instynkt.

Ja słyszę, jak czytają gazety nademną — śpię — a duch mój czuwa — jest partya s. r. i s. d. p. k. k. i p. r. l. i wiele innych, a ja mówię, że najliczniejsza jest j. t. m. i ja do niej przystaję. To są bolszewiki — partya Mamy.

To są szczerzy ludzie ruscy — słup tobie telegraficzny w mordę z pakułami!

Lejtenant Szmidt: Teraz ja mówię.

Czynimy wszystko, aby przyspieszyć koniec świata.

Macedońskie bomby i piekielne maszyny, to są igraszki.

Należy, abyśmy wszyscy byli zatruci syfilisem, dżumą, tyfusem głodowym i mistyką. Wierzyć w niepojętą Tajemnicę i po pachy stać w rąbach gnijącego Lewiatana. Niech za nas świat urządzają bakterye. Niech żyją drobnoustroje! One w płucach — one w mózgu — one w krwi — one w oczach — one w jelitach — one w każdem tchnieniu naszem. One w miastach, one na morzu, a najwięcej ich w cerkwiach na nabożeństwie i w więzieniu.

Niech żyje zniszczenie wysokich gór,

niech osypuje się zwietrzały nasyp

w doliny ciemne, w doliny łez, w doliny grzechu, w doliny zbrodni —

w otchłań niewiadomego. Niech żyje wiecznie car.

Nie myśleć! Zło wtedy będzie swobodne i zwycięży. Niech zwycięży cokolwiek, byle już zwyciężyło!

Mitienko: A wiesz, kto cię tak nauczył myśleć? Wilhelm Ton, którego zabiłem —

Lejtenant Szmidt: Ty?! zabiłeś jedynego człowieka — bo zaiste, człowiekiem jest ten, kto stoi sam wobec wieczności.

Mitienko: Myśl zabiłem — i oddaję się tobie Madonno Syfilityczna.

(*Lejtenant Szmidt porywa go za bary*).

Lejtenant Szmidt: Mógłbym cię boksem zabić —

lecz uczynię ci coś lepszego —

nauczyłem się

w Indyach poddawać myśli innemu —

więc rozkazuję ci —
uznaj się — za cierpiącego Chrystusa.
Za tego, który skonał w nocy mrocznej —
widziany tylko przez łotra —
niezbawiony świat urąga mu — męczy, go — krzyżuje aż do najgłębszych czeluści jego Golgoty —

Mitienko (*przeobrażając się*): Lejtenancie, lejtenancie! oto szatan pożądał was, aby przesiał jako pszenicę: Alem ja prosił za tobą, aby nie ustała wiara twoja: a ty niekiedy nawróciwszy się, potwierdzaj bracią twoją!

(*Lejtenant Szmidt przerażony dziwną powagą cofa się.*)

Ty mnie wróciłeś do mojej pierwotnej istności.
Bom ja był przed wiekami Boży!

Tłum: Cud, nawrócenie!

(*Tworzy się gromadka dokoła Mitienki, która, słuchając go podnosi ręce do góry i płacze.*)

Lejtenant Szmidt: Za straszne jest wszystko — nie można z życia robić eksperymentu dla myśli swej. (*Do żony.*) Pójdźmy stąd. Spróbujmy w jakim cichym borze nad wielką rzeką odbudować wierzenia nasze —
i siły życiodajne.
Ha, znowu jakieś maszkary?!
miasto czy składa się już z tnących się w obłędzie kruków?

(*Ochrypłe krzyki — wchodzą brodiagi z piłami, toporami, hakami — na jednym śledziona końska — zakrwawione wlecze drugi jelita — trzeci końską głowę wdział i ogonem macha.*)

Krzyki bosiaków: Ura! Kto chce do patryotów? Jechał student — tak my jego mózgami o rynsztok — a z konia rysaka trofej nasz — wy słuchacie żyda — my go nauczym botaniki — jeśli zdjąć skórę z żołędzi — to wyrośnie melon —

Tłum: Wy ludzie bez krzyża — psy wściekłe — ha — z wami policja idzie i oficerowie — wesoło częstują się papierosami — ej, bosiaki — obudźcie iskrę sumienia w piersiach.

Bosiaki: Tą iskrą zapalimy brody żydowskie — namoczywszy je wprzód naftą — idziemy pić — rozbijaj magazyny — tu Berson — tam Luriec — tam Sokołów — czego dusza chce — w bród! hej suki — wykąpiecie się w szampanie —

(*Straszliwy brzęk szkła. Spadają naprzeciw do wnętrza płonącego magazynu — wylewają rzeki gorejącego spirytusu — brodiagi piją i żywcem zapalają się.*)

Student (*w kożuchu i butach do kursistki*): My umrzemy dzisiaj.

Kursistka (*w chustce*): Naturalnie. Musimy dziś zbudować barykady.

Matka: Czyż i ty Tonia pójdzîesz na barykady?

Kursistka: Mateczko? Czy ty możesz powątpiewać?

(*Krzyku nic nie słychać aż po chwili.*)

Student: Twoje rączki zmazały się krwią! Możesz pomagać ranionym bojownikom za wolność.

Kursistka: Ja nie chcę być siostrą miłosierdzia. Ja chcę walczyć za wolność. — Mamo — ty nie chcesz, żebym ja zabijała — ja nie będę — Ja pójdę na barykady — i będę tam trzymała czerwony sztandar —

Madonna syfilityczna: Jaka ty piękna — uh, gorąco — zrzucam szaty naga — czegoż ten student jakiś zawstydzony? idźcie — tam na tę górę Dżumną — tam bzy kwitną, tam idźcie się miłować —

a tu rów ogromny dla wszystkich trupów z ulicy —

Matka: Boże mój, tyle wyginęło —

Madonna (*czyni gest nieprzystojny*): Tu mam fabrykę, z której zrobić mogę całą ludzkość, gdyby tej nocy wyginęła. Ha — ha — nowej rasy — geniuszów, którymby wygniły sumienia — chodź ze mną — ty panna? musisz upoić się tą nocą — ja tobie znajdę innego kochanka — oddam ci oficera kozackiego, który za mną gotów w ogień — masz go!

(*Wbiega oficer kozacki.*)

Oficer: Krasotko moja, aniele — a — quelle societé — vous permettez, la gloire ne vaut pas —

(*Poczyna głośno całować Madonnę.*)

Madonna: Studencie, broń mnie!

Student (*słucha z rewolwerem*): Uciekajmy tej nocy — mnie umysł obłąkuje się — ah, idźmy do cerkwi na ołtarz — —

Madonna: Nie — na trawę soczystą kwietną —

Matka: Misia, co tobie?

Student: Won — dość tej niewoli — ja nie chcę dłużej hipokryzyi — ja chcę żyć —

Madonna: Ty jesteś mój!

(*Kursistka mierzy do niej z rewolweru.*)

Ah, ty pannoczku — nie wiesz, że ta noc ostatnia nasza na tej ziemi? I w twoich oczach świeci żar i ty Czarownica — patrz, a tu moje kruki —

(*Wbiegają brodiagi płonący lub z żagwiami — wycie.*)

Brodiagi: Ty jesteś, Carica! masz — pij krew — w tym kielichu szampańskim — rozkroiłem pierś pięknego chłopczyka — u tych książąt tam na piętrze — pij Carica.

Lejtenant Szmidt: Do ciebie szatanie — głuche tortur na-(szych niebo!

Do Ciebie Szatanie — chuci naszej morze!

Do Ciebie Szatanie! pożerająca nas — matko ziemio!

Trójco Szatana! wiedź nas na okręt —

Bosiaki: Uh, gorąco — rozbierzmy się i my nago.

Madonna: Wara wam — wy nie macie prawa iść nago — wy ohydne ciała —

ja piękna — idę — wiodę was —

ja i tych dwoje Aniołów — którzy tej nocy rzekę życia muszą przejść —

a ty Matko wróć się — i w domu swym czekaj —

może wrócą jutro —

może wrócą — nasyceni tańcem rozkoszy i grozy. Na okręt płyńmy —

Bosiaki: Patrzcie, podnosi się ten kniaź, któremu zabiliśmy synka —

i żona jego — nie, żona nie byłaby tak wesoła!

Daruj ty nam — uh, jaki straszny —

a niby święty — no cóż, mogli i żonę zarżnąć

tfu — tą Panią — i zgwałcić ją — a tak żyjecie —

Lejtenant Szmidt: A wiecie — ja idę walczyć — za powszechne, równe, tajne, bezpośrednie prawo głosowania!

Tłum: Lejtenant Szmidt z nami! ura — zwyciężymy!

Madonna syfilityczna: O, jaki ty piękny — ja ciebie widziałam na okręcie — będziesz mój?

Lejtenant Szmidt: Ja nienawidzę rodu ludzkiego!

Madonna syfilityczna: Mój — nie?

(*Madonna syfilityczna zamierza się go ciąć toporem. Wtem rozlega się wystrzał z okrętu jak uderzenie młota parowego — dom się zatrząsł — tłum wybiega — zostaje Lejtenant Szmidt i jego Żona.*)

Lejtenant Szmidt: Patrz — całe schody usiane trupami —

(*Wchodzi Zina z wieńcem żałobnym.*)

Zina: Ty jeszcze tu? i żyjesz?

ja twoje natchnienie — twoja Walkirya —

słyszysz?! każę ci umrzeć!

(*Rozlega się znowu straszliwy strzał.*)

Lejtenant Szmidt: Niestety, nie mogę ci jeszcze dać biletu na przedstawienie tej krwawej komedyi.

(*Do żony.*)

Idę sam — na górę Dżumną — z niej będę mówił — jak Mojżesz w chmurze wśród piorunów! Patrz!

(*Wilhelm Ton przechodzi, jak był przed śmiercią. Lejtenant Szmidt z najwyższą radością wyciąga ręce i biegnie za nim.*)

Zina: Stój — nie chcę już, abyś zginął — ja wierzę już, że to potrafisz — jest wyspa na morzu Śródziemnem pełna róż — a potem pojedziemy do Paryża — tam będziesz wielkim literatem —

Pani Szmidt (*sama — biorąc trumienkę dziecka*): Śmierć jednak jest jedynem błogosławieństwem.

(*Zasłona.*)



MIĘDZYNARODOWA ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

XII.

Panie! Na miły list Pański, w tej chwili otrzymany, nie umiałbym odpowiedzieć inaczej niż ongi; — że mianowicie przedłożone mi pytania wymagają gruntownej znajomości wszystkich elementów politycznego życia Europy, której to znajomości ja nie posiadam.

Aby jednak milczenie moje nie było tłómaczone jako obojętność dla narodu, który cenię i kocham głęboko, przeto poprzestanę na powiedzeniu:

że dążenie narodu polskiego do odzyskania niepodległości i jedności, jest dążeniem świętem; jest to bowiem dążenie, mające mu umożliwić spełnienie misyi opatrznościowej, wyznaczonej mu wśród narodów, zgodnie z naturą jego geniuszu narodowego:

że dzięki skarbom, złożonym w głębi duszy każdego prawdziwego Polaka, misya ta jest tak wzniosła, że zmartwychstanie polityczne Polski nie może pozostać bez zbawiennego wpływu dla całej Europy:

że, co się tyczy formy rządów i faz, które potrzeba będzie przebyć, by dojść do trwałego odbudowania Polski, to zależy to od wielu okoliczności; będzie jednak można ocenić należycie ich wartość i korzystać z nich w sposób pomyślny tylko wówczas, jeśli dążność do wskrzeszenia Polski utrzyma się w całej czystości, mając za jedyny cel sprawiedliwość, miłość i prawdziwe dobro dla wszystkich — wolna od wszelkich uraz osobistych i wrogich walk partyjnych.

Z odrodzenia prawdziwej Polski w duszach Polaków, z łatwością wypłynie jej odrodzenie zewnętrzne i polityczne.

Przyjm Pan wyrazy najgłębszego mego szacunku,

szczerze oddany

Rzym 8/VI 1906. *Tankred Canonico.*

XIII.

Panie! Rozumiem i podziwiam długie wysiłki narodu polskiego w celu odzyskania niepodległości. Lecz proszę się nie powoływać na interesa cywilizacyi europejskiej!... Interes cywilizacyi, jak go

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE.

(Suite).

XII.

Monsieur! A votre aimable lettre que je viens de recevoir en ce moment, je ne saurais répondre différemment d'autrefois; — que les questions que vous me proposez exigent une connaissance approfondie de tous les éléments de la vie politique européenne que je n'ai pas.

Cependant, afin que mon silence ne puisse être interprété comme indifférence pour une Nation que j'apprécie et que j'aime profondément, je me bornerai à vous dire:

que la tendance de la Nation polonaise à recouvrer son indépendance et son unité, est une aspiration sainte: car c'est l'aspiration à se mettre en état de pouvoir accomplir la mission providentielle que, selon la nature de son génie national, lui est assignée parmi les peuples:

— que selon les trésors qui sont au fond de l'âme de chaque vrai Polonais, cette mission est tellement élévée, que la résurrection politique de la Pologne ne peut être sans une influence salutaire pour l'Europe toute entière:

— que, quant à la forme du gouvernement, et aux degrés par lequels il faudra passer pour arriver à une reconstitution durable de la Pologne, cela dépend de beaucoup de circonstances; mais qu'on ne saura les apprécier à leur juste valeur, ni en profiter heureusement, qu'autant que l'aspiration à la résurrection de la Pologne se soutiendra dans sa pureté, dans le but unique de la justice, de l'amour, et du bien véritable de tous, — libre de tout ressentiment personnel, des luttes haineuses des partis.

De la résurrection de la vraie Pologne dans les âmes des Polonais jaillira facilement sa résurrecion extérieure et politique.

Recevez, Monsieur, mes respects les plus distingués.

Votre Dévoué

Roma 8/VI 1906. *Tancrède Canonico.*

XIII.

Monsieur! Je comprends et j'admire le long effort de la nation polonaise pour reconquérir son indépendance. Mais n'indiquez pas l'intérêt de la civilisation européenne... L'intérêt de la civilisation,

pojmują rządy. polegał zawsze na dławieniu najsłabszych przez najsilniejszych.

Polska nie może przeto liczyć na nic innego prócz własnej energii, jeśli prawa jej mają odnieść tryumf. Podziwiam ją nadto z tego powodu, że ona to w zachwianem mocarstwie rosyjskiem podtrzymuje ognisko rewolucyjne. Tylu męczenników, tyle zarodków wolności! Głosy z za grobu donośniejsze są od wszelkich innych.

Na drugiem posiedzeniu Dumy, demokratyczny poseł Rodiczew domagając się amnestyi zawołał: „Krwawe cienie męczenników cisną się do tej sali, przeznaczonej do pracy spokojnej. Potrzeba je stąd oddalić".

Jeden tylko istnieje środek do oddalenia Polski męczeńskiej, a tym jest zwrócenie jej autonomii. Znaczny był jej udział w zorganizowaniu walki; aż nadto słusznem jest, by korzystała ze zwycięstwa.

Szczerze oddany *Lucyan Descaves.*

XIV.

Na pytanie, czy ze stanowiska prawa narodów dążenie narodu polskiego do odzyskania niezawisłości w granicach swego obszaru językowego uznać należy za usprawiedliwione, muszę z całą stanowczością odpowiedzieć twierdząco. Dążność ta jest u narodu silnego taksamo naturalna, jak u poszczególnej jednostki oddychanie, życie. Przeszkoda prawno-narodowa nie może powstrzymać duchowego popędu całego narodu. A przeszkoda taka wcale też nie zachodzi, gdyż naród polski przenigdy nie dał przyzwolenia na pogwałcenie jego niezależności. Tylko niższorzędna dyplomacya może się stale zajmować śmieszną pracą syzyfową, tępieniem zapomocą zewnętrznego ucisku narodowości historycznej, liczącej siedmnaście milionów i zamieszkującej jednolity obszar rozmiarów Włoch. Myśl niezależności tkwi w każdym narodzie, świadomym swej odrębności. Miłośnikowi dziejów pogardy godnymi wydadzą się narody, w których duszy myśl ta da się zabić. Walki silnych ludów o niezależność przejmują nas zadowoleniem i radością. Jakże my, Europejczycy, moglibyśmy odmówić prawa dążenia do odzyskania niepodległości ludowi, którego bohaterski król Bolesław Chrobry przed dziewięciuset laty władał od Dniepru aż po Bałtyk?

Zbiorowa kultura europejska, jak ja ją pojmuję, niema specyalnego interesu we wskrzeszeniu niezależnego państwa polskiego.

tel que les gouvernements le comprennent, a toujours été de laisser écraser les plus faibles par les plus forts.

La Pologne ne doit donc compter que sur sa propre énérgie pour faire triompher ses droits. C'est bien, d'ailleurs, parce qu'elle entretient un foyer révolutionnaire dans l'empire russe ébranlé, que je la trouve admirable. Autant de martyrs, autant de germes de liberté! Les voix d'outre-tômble s'entendent de plus loin que les autres.

A la seconde séance de la Douma le député démocrate Roditchef réclamant l'amnéstie s'écria: „Les ombres sanglantes des suppliciés se pressent dans cette salle, faite pour un travail paisible. Il faut les en éloigner.

Il n'ya qu'un moyen d'éloigner la Pologne suppliciée, c'est de lui rendre son autonomie. Elle a particîpé largement à l'organisation du combat, il n'est que trop juste, qu'elle profite de la victoire.

Votre bien dévoué *Lucien Descaves.*

XIV.

Die Frage, ob vom Standpunkte des Völkerrechts aus das Streben des polnischen Volkes nach Wiedergewinnung einer unabhängigen Existenz in den Grenzen seines Sprachgebiets als berechtigt auzuerkennen ist, muss ich ganz entschieden bejahend beantworten. Dieses Streben ist bei einem starken Volke ebenso natürlich wie beim einzelnen Individuum das atmen, das leben. Ein völkerrechtliches Hindernis kann dem seelischen Drange einer ganzen Nation nicht Halt gebieten. Es besteht auch keines, denn das Volk der Polen hat nie und nimmer sein Einverständnis gegeben zur Vergewaltigung seiner Selbständigkeit. Nur eine inferiore Staatskunst kann sich auf die Dauer mit der lächerlichen Sisyphusarbeit befassen, durch Mittel äusseren Druckes das Volkstum einer historischen Nation, die siebzehn Millionen stark, ein zusammenhängendes Gebiet von der Grösse Italiens bewohnt, entwurzeln zu wollen. Der Unabhängigkeitsgedanke wurzelt in jedem seiner Eigenart sich bewussten Volke. Dem Geschichtsfreunde scheinen die Völker verächtlich, in deren Seele dieser Gedanke getötet werden kann. Die Kämpfe starker Volksstämme um ihre Selbständigkeit, erfüllen uns mit Genugtuung und Freude. Wie sollten wir Europäer dem Volke jenes gewaltigen Heldenkönigs Bolesław Chrobry, der vor neunhundert Jahren vom Dniepr bis zur Ostsee herrschte, das

Straszne konflikty orężne, które jedynie byłyby w stanie odbudować całkiem niezależne państwo polskie — przy dzisiejszym stanie rzeczy zresztą geograficzny absurd — zadałyby kulturze europejskiej rany okropne. Jednakowoż do utrzymania i dalszego rozwoju narodu polskiego nie jest zgoła koniecznem, by cały polski obszar językowy przeobraził się w państwo niezależne — na przykład w neutralną republikę demokratyczną. Polska właśnie w epoce nieszczęścia, w czasie niewoli, wydała w obejmującej cały świat sferze ducha szereg osobistości wspaniałych. Sprawy duchowej i społecznej kultury nie są wogóle związane ze stworzeniem odrodzonego państwa polskiego, które stanęłoby przecież znów w centrum zaciekłych sporów politycznych. I wogóle: polityka rasowa i kultura świata? Dwie rzeczy zgoła różnorodne. Utrata niezależności politycznej wcale nie przeszkadza Polakom w rozwoju ich odrębności narodowej. Tego dowiedli w sposób świetny w ciągu XIX wieku.

Jeśli przeto zupełnie niezależną republikę polską, obejmującą cały obszar językowy, uważałbym za twór zgoła niepożądany, gdyż nie dający się utrzymać na stałe, to z drugiej strony muszę wyznać, że przeobrażenie Polski kongresowej w królestwo autonomiczne, sfederowane z państwem rosyjskiem, wydaje mi się jedynem logicznem rozwiązaniem dziewięciowiekowych konfliktów rosyjsko-polskich. Po wielkiej likwidacyi Austryi, Galicya, tworząca pod względem geograficznym dalszy ciąg Polski kongresowej, aż po naturalną granicę Karpat, sama przez się przyłączyłaby się do owego polsko-rosyjskiego sfederowanego państwa. W unii z Rosyą mogłaby znaczna część dawnego Królestwa zająć stanowisko zgoła niezależne w wewnętrznym swym ustroju. Na zewnątrz dodawałby organizmowi temu odpowiednią siłę i podporę związek z potężnem, odradzającem się państwem rosyjskiem. Oczywiście, że przy takiej unii, muszą w ustawodawstwie, kościele, szkole, ustroju społecznym, jednem słowem w całym organizmie kraju stać się miarodajnemi zasady, które żyją w duchu i w tradycyach narodu polskiego i są wypływem jego dziejów.

Ale też na tej drodze postępu i rozwoju będzie naród polski musiał poprzestać. W fakcie, że tego nie uczyni, kryje się niebezpieczeństwo dla przyszłości, dla spokoju Europy. Polska wzmocniona w ten sposób obok Rosyi, może też powiększona o Galicyę, pocznie wywierać niebezpieczną atrakcyę na utracone prowincye dawnego państwa. Widzieliśmy, jak Litwa przyłączyła się była do ostatniego powstania polskiego, jak jeszcze w r. 1862 szlachta Podola, gu-

Recht absprechen, nach Wiedergewinnung einer unabhängigen Existenz zu streben?

Die europaeische Gesamtkultur hat, wie ich sie auffasse, kein besonderes Interesse, an der Wiedererrichtung eines unabhängigen polnischen Staatswesens. Die ungeheueren bewaffneten Konflikte, durch die allein ein wirklich völlig unabhängiger polnischer Staat — heute übrigens ein geographisches Unding — geboren werden könnte, würden dem Kulturleben Europas furchtbare Wunden schlagen. Für die Erhaltung und Weiterentwicklung der polnischen Nation aber ist es keineswegs notwendig, dass das ganze polnische Sprachgebiet in einen unabhängigen Staat — etwa eine neutrale demokratische Republik — umgewandelt werde. Polen hat gerade in der Zeit des Unglücks, der Unselbständigkeit dem erdumfassenden Reiche des Geistes eine glänzende Reihe grossartiger Persönlichkeiten gestellt. Das Interesse der geistigen und socialen Kultur ist nicht verknüpft mit der Errichtung eines verjüngten Staates Polen, der doch wieder mitten im wilden politischen Streite stehen würde. Ueberhaupt: Rassenpolitik und Weltkultur? Zwei heterogene Dinge. An der Entfaltung seiner Eigenart wird das Volk der Polen durch den Velust seiner politischen Existenz nicht gehindert. Das hat es im Verlaufe des neunzehnten Jahrhunderts glänzend bewiesen.

Wenn ich also eine völlig unabhängige Republik Polen, die das ganze polnische Sprachgebiet umfasst, für eine entschieden unerwünschte, weil dauernd ganz unhaltbare Schöpfung halten würde, so muss ich andererseits gestehen, dass die Umwandlung Russisch-Polens in ein autonomes; dem russischen Reich föderativ angegliedertes Königreich mir als einzig brauchbare Lösung der russisch-polnischen neunhundertjährigen Konflikte erscheint. Nach der grossen oesterreichischen Liquidation würde sich Galizien, die geografische Fortsetzung Russisch-Polens bis an den natürlichen Wall der Karpathen, jenem polnisch-russischen Föderativstaat von selbst einverleiben. In der Union mit Russland könnte sonach ein grosser Teil des einstigen Königreichs eine durchaus selbständige Stellung in seinem ganzen inneren Organismus einnehmen. Nach aussen hin würde dieser Organismus durch seine Angliederung an das gewaltige, sich verjüngende Russische Reich die nöthige Stärkung, den nötigen Rückhalt finden. Natürlich werden bei einer solchen Union die Grundsätze, welche im Geiste, in den Traditionen des polnischen Volkes lebendig sind und seiner Geschichte entstammen, in Gesetzgebung, Kirche, Schule, gesellschaftlicher

bernii Mińskiej, żądała przyłączenia tych gubernij do korony polskiej. Wiemy, że nierozsądni patryoci o gorącym temperamencie, których Polska posiadała i posiada zawsze aż nadto wielu, tylko ze zgrzytaniem zębów znoszą niemieckie rządy w prowincyach, które Prusom przypadły w udziale.

Tylko wówczas, gdy Polacy uczciwie, stanowczo i na zawsze zrezygnują z Litwy, obszarów małoruskich i białoruskich, oraz prowincyj wcielonych do Prus, tylko wówczas polityka europejska zdoła się oswoić z istnieniem Polski kongresowej, królestwa sfederowanego z Rosyą, a obejmującego ewentualnie także Galicyę. Dopóki jednak zdaje się istnieć niebezpieczeństwo, że owe utracone obszary jawnie czy potajemnie dążą do połączenia z Polską sfederowaną, dopóty będzie to oznaczać trwałe niebezpieczeństwo dla pokoju Europy. Już sama perspektywa okropnych nieszczęść, które w razie zakłócenia tego pokoju, zwaliłyby się przedewszystkiem także na ciężko doświadczany naród polski, powinnaby ustrzedz Polaków, mieszkających w dzielnicach zlanych z Rosyą i Prusami, od wszelkiej fatalnej próby ponownego złączenia wszystkich dawnych krajów Rzeczypospolitej.

Dzielnice te w zbyt silnych i pewnych znajdują się rękach. Nigdy już polska flaga nie będzie mogła powiewać na morzu Bałtyckiem. Naród o stalowych ramionach, który opancerzony, w liczbie siedmdziesięciu milionów zajmuje centrum Europy, nie może się już obejść bez owych prowincyj i wybrzeży, które ongi należały do Polski. Dzień tak fatalny, jak ów lipcowy w r. 1410 nie powtórzy się w dziejach przed drugą wędrówką ludów.

Zamęt w Rosyi jest może ostatnią szansą, jaką Opatrzność jakaś nasuwa Niobie narodów. Podobnie jak znacznie mniejsze Czechy, których córa w ślubnym podarku przyniosła Polsce niegdyś chrześcijaństwo, znów odzyskały samodzielność w ramach większego organizmu państwowego, tak Polska stoi dziś niewątpliwie przed wielkim momentem, kryjącym w łonie coś analogicznego. Narodowi wielkiego króla chłopów życzę z serca, by mu się otworzyły złote podwoje wolności, jak otworzyły się bramy Kijowa, gdy Bolesław uderzył w nie Szczerbcem. Przedewszystkiem jednak mądrość: nie żądać od wielkiej chwili więcej, niż ona dać może!

Baron Alexis v. Engelhardt.

Ordnung, kurz — im gesamten Organismus des Landes massgebend werden.

Aber mit diesem Wege des Fortschrites und der Entwicklung wird sich die polnische Nation begnügen müssen. Darin, dass sie es nicht tun wird, liegt die Gefahr für die Zukunft, für die Ruhe Europas. Polen, auf diese Weise neben Russland erstarkt, vielleicht durch Galizien vergrössert, wird eine gefährliche Anziehungskraft auf die verlorenen Provinzen des einstigen Reiches auszuüben beginnen. Wir haben gesehen, wie Litauen sich dem letzten polnischen Aufstand angeschlossen, wie noch 1862 der Adel Podoliens, der von Minsk die Wiedereinverleibung dieser Gouvernements mit der polnischen Krone verlangte. Wir wissen, dass die vielen heissblütig unvernünftigen Patrioten, an denen Polen immer nur allzu reich war und ist, nur zähneknirschend die deutsche Herrschaft in den an Preussen gefallenen Landesteilen tragen.

Nur wenn die Polen ehrlich, überzeugt und für immer auf Litauen, auf die kleinrussischen und weisrussischen Gebiete, auf die Preussen einverleibten Provinzen Verzicht leisten, nur dann wird die europäische Politik sich mit der Existenz eines Russisch-Polen und eventuell Galizien umfassenden, mit Russland unierten Königreichs befreunden können. Solange aber die Gefahr vorhanden scheint, dass jene verlorenen Gebiete oder ein Teil derselben offen oder heimlich nach einer Vereinigung mit dem Föderativpolen streben, solange wird dieses eine permanente Gefahr für den Frieden Europas bedeuten. Das ungeheure Elend, das bei einer Störung dieses Friedens auch vor allem wieder über das Haupt des vielgeprüften polnischen Volkes hereinbrechen würde, sollte schon in der Vorstellung genügen, die Polen jener in Russland und Preussen aufgegangenen Provinzen an jedem unglücklichen Versuch der Wiedervereinigung aller einstigen Länder der res pospolita zu verhindern.

Diese Gebiete sind in zu starken, sicheren Händen. Keine polnische Flagge kann je auf der Ostsee wehen. Das Volk mit dem stählernen Arm, das mit siebzig Millionen im Zentrum Europas gepanzert dasteht, kann jene Provinzen, jene Gestade, die einst zu Polen gehörten, nicht mehr missen. Ein Tag wie der schlimme Julitag des Jahres 1410 kehrt nicht wieder vor einer zweiten Völkerwanderung.

Die russischen Wirren sind vielleicht die letzte grosse Chance die eine Vorsehung der Niobe unter den Völkern in die Hände

XV.

Szanowny Panie! Na Pańskie pytanie w sprawie autonomii, albo niezależnego bytu polskiego narodu w jego etnograficznych granicach, mogę odpowiedzieć, co następuje:

Sam należę do narodu, pozbawionego praw narodowych, odczuwam więc dotkliwie cały ciężar takiego położenia. I już dlatego tylko (z pominięciem innych okoliczności) zawsze i wszędzie staję po stronie uciśnionego narodu. Któż ma prawo powiedzieć narodowi: umieraj, kiedy on pragnie żyć i rozwijać się samodzielnie? I czy nie jest to jego własną sprawą i jego świętem prawem wybierać sobie taką formę życia, jaką uważa dla siebie za najlepszą — rozumie się bez krzywdy dla drugiego narodu?

Zapytuje mię Pan, jaki wpływ na europejską i wogóle na światową politykę mieć będzie przeobrażenie się współczesnej rosyjskiej Polski w jej etnograficznych granicach w państwo autonomiczne? Najlepszy wówczas, jeżeli Polska osiągnie autonomię nie sama tylko, lecz równocześnie z innymi niepaństwowymi narodami Rosyi w ich etnograficznych granicach. Co się zaś tyczy wpływu przemiany etnograficznego polskiego terytoryum w niezawisłą demokratyczną republikę, to przemiana taka nastąpić może tylko w połączeniu z wielu innemi zmianami i wpływ tu wywierać będzie cała suma tych faktów. To też, od natury tych faktów, zależeć będzie wpływ na politykę światową, jaki mogłaby wywierać Polska niezawisła.

Kijów, 5/VII 1906. Z głębokim szacunkiem

Borys Hrinczenko.

gibt. Wie das viel kleinere Böhmen, dessen Tochter einst den Polen das Christentum als Brautgabe bescherte, wieder selbständig geworden ist im Rahmen eines grösseren Staatengebildes, so steht Polen heute gewiss vor seiner grossen Stunde, die ähnliches im Schosse birgt. Dem Volke des grossen Bauernkönigs wünsche ich von Herzen, dass sich ihm die goldene Pforte zur Freiheit auftue, wie das Thor Kiews sich auftat, als Bolesław mit dem „Szczerbiec“ dagegenhieb. Aber vor allem Weisheit: fordert von der grossen Stunde nicht mehr als sie geben k a n n!

Freiherr *Alexis von Engelhardt*

Wilmersdorf bei Berlin.

Den 12 Mai 1906.

XV.

Високоповажаний Добродію! На Ваше запитання що до автономного, або незалежного істнування польського народу в його етнографичних межах можу сказати от що.

Я сам належу до народу, позбавленого прав нації і відчуваю всю болючу вагу такого становища. Уже через одно те (минаючи все инше) я завсігди і скрізь стаю на боці пригніченого народу. Хто-ж має право сказати нації: умри, коли вона хоче жити і розвиватися як окрема нація? І хиба-ж це не її власне діло, не її святе право вибрати собі таку форму життя, яку вона вважае для себе за найлійшу, — звичайно — без кривди якому иньшему народові?

Ви питаєте мене який вплив на европейську і взагалі світову політику буде мати переміна сьогочасньої россійської Польщі в її етнографичних межах на автономну країну? Найкращий, коли Польща досягне автономії не сама тільки, але коли того-ж добуде собі і кожна недержавна народність Россії в своїх етнографичних межах. Що-ж до впливу переміни етнографичної польської территорії в незалежну демократичну риспубліку, то така переміна може наступити тільки вкупі з багатьма иншими перемінами і впливатиме тут уже ціла сумма тих подій. І від того, які саме були-б ці події, залежав би і той вплив на світову політику, який могла-б мати самостійна Польща.

З великою шанобою

Борис Грінченко.

1906. V. 7.

І Києва.

XVI.

Wielmożny Panie! Postawienie kwestyi polskiej na zasadzie etnograficznej, tak jak ją Pan stawia, mówiąc o organizacyi rosyjskiej Polski w granicach współczesnego terytoryum etnograficznego, — uważam za jedynie sprawiedliwą i realną, względnie za możliwą do urzeczywistnienia drogę do rozwiązania tej kwestyi. Ten postulat autonomii na zasadzie terytoryalno-etnograficznej opiera się, zdaniem mojem, na naturalnem prawie każdej jednostki i każdego społeczeństwa do ustroju najbardziej odpowiadającego jego potrzebom, nie zaś na zasadzie historycznej czy też międzynarodowo-prawnej. Mam to przekonanie, że zasada narodowościowej autonomii, oparta na podstawie terytoryalno-etnograficznej, powinna być główną osnową przeistoczenia całej Rosyi, jako jeden z pierwszorzędnych warunków racyonalnego jej ustroju. Przeistoczenie jej w tym kierunku, w federacyę ciał autonomicznych zorganizowanych na zasadzie narodowościowo-terytoryalnej (w granicach etnograficznych) z zabezpieczeniem praw mniejszości, nie tylko rozwiązałoby kwestyę narodowościową w Rosyi, ale niezwykle korzystnie mogłoby wpłynąć na stosunki europejskie, na załatwienie narodowościowej kwestyi w innych państwach przez tę zasadę autonomii narodowościowej i na osłabienie międzynarodowego naprężenia i militarnego ustroju. A czy związek tych autonomicznych ciał w rosyjskiej federacyi będzie silniejszy czy słabszy, zależeć będzie od tych przyszłych stosunków wewnętrznych (ekonomicznych w pierwszej linii) i międzynarodowych, których nie mogę przewidzieć. Podyktuje je własny interes tych poszczególnych ciał autonomicznych.

Z głębokiem poważaniem

M. Hruszewski.

XVII.

W odpowiedzi na pytania:

1. Zawsze byłem zdania, że odbudowanie Polski jako państwa niezawisłego i autonomicznego, na podstawie etnograficznej i językowej, jest taksamo pożądane, jak niem było podobne odbudowanie Włoch, pozostających pod obcem panowaniem w połowie ostatniego stulecia. Ze stanowiska sprawiedliwości międzynarodowej, jest

XVI.

Високоповажаний Пане! Поставленнє питання польського на основі етноґрафічній, як ставите Ви його, говорячи про орґанїзацію російської Польщі в границях сучасної етноґрафічної територ її, — уважаю одиноко справедливою і реальною, себто можливою до здійснення дорогою до розвязання сього питання. Сей постулят автономії на територіально-етноґрафічній підставі в моїм переконанню опираєть ся на натуральнім праві кождої одиниці й суспільности на устрій найбільше приладжений до її потреб, а не на основах історичних чи межинародноправних. Маю то переконанне, що принціп національної автономії на територіально-етноґрафічній основі мав бути положений в основу перестрою цілої Росії, як одна з першорядних умов її раціонального устрою. Перестрій її в сім напрямі, в федерацію автономних тїл, орґанїзованих на національно-територіальній основі (в етноґрафічних границях) з забезпеченнем прав меншостей, не тільки розвязав би національне питанне в ній, але назвичайно корисно міг би вплинути на відносини европейські, на полагодженне національних відносин в иньших державах сим принціпом національної автономії і на ослабленне межинародного напруження і мілїтарного устрою. А чи буде звязь сих автономних тїл в російській федерації сильнійша, чи слабша, се буде залежати від тих будучих відносин внутрішних (економічних в першій лїнії) і межинародних, яких не берусь предвиджувати. Подиктує то власний інтерес тих поодиноких артономних тїл.

З глубоким поважаннєм

М. Грушевський.

XVII.

In answer to questions:

1. I have always considered that the reconstitution of Poland as an independent and self-governing State, based upon ethnografical and linguistic considerations, is quite as desirable as was the similar reconstitution of Italy, then under foreign domination, in the middle of the last century. From the standpoint of internatio-

to nietylko usprawiedliwione, lecz mojem zdaniem, nie ulegające kwestyi z punktu widzenia najwyższej etyki. Jakkolwiek w oczach wielu ludzi, dążenia czysto narodowe uchodzą może za fakt godzien pożałowania, jako mogący przyćmić ważniejsze jeszcze spory międzynarodowej walki klas, to jednak pewną jest rzeczą, że zanim takie nadzieje narodowe zostają urzeczywistnione, warunki propagandy socyalistycznej są niekorzystne. My Anglicy, widzimy to u siebie w sprawie Irlandyi, która nigdy nie odegrała w dziejach Europy tej wielkiej roli, jaka była udziałem Polski, a gdzie jednak domaganie się „Irlandyi narodu“ nie pozwala uwzględniać w pełnej mierze najważniejszych zmian społecznych.

2) Sądzę, że istnienie i dalszy rozwój narodu polskiego są pożądane w interesie ogólnej cywilizacyi Europy. Polacy jako naród stworzyliby pożyteczne, niezależne i wysoko cywilizowane społeczeństwo pomiędzy wielkim związkiem teutońskim, rozrastającym się na Zachodzie, a Rosyą na Wschodzie Europy. Wpływ ich dałby się w zbawienny sposób odczuwać na obydwu granicach, i niewątpliwie działałby na korzyść pokoju i w kierunku osłabienia antagonizmów, gdyż państwo takie utrzymywałoby niejako równowagę w Europie wschodniej, rzucając własne siły na szalę jedną lub drugą.

3) *a*) Nie wiem.

b) Wielka podnieta do stworzenia podobnej formy rządów w całej Europie, zarówno na Wschodzie jak na Zachodzie, i zachęta dla demokratycznego i socyalistycznego republikanizmu na całym świecie.

H. M. Hyndman.

XVIII.

1. „Sprawiedliwość międzynarodowa“ jest nonsensem. Narodowość nie jest wynikiem jakichś teoretycznych postanowień Europy, lecz popędem życiowym, na który niema żadnego usprawiedliwienia, i który żadnego też nie wymaga, prócz własnej potrzeby zadowolenia.

Tak. Polacy posiadają bardzo wyraźną idyosynkrazyę narodowościową, byłoby przeto bardzo pożądanem, by mogli rozwinąć własne instytucye, zgodne z własnymi ich ideałami. Podobne instytucye przyczyniłyby się w znacznej mierze do wzbogacenia cywilizacyi europejskiej.

nal equity, assuming such a thing to exist, it is not only justifiable but in my judgment indisputable on the highest moral grounds. However regrettable mere national aspirations may seem to some, as being likely to obscure the even more important issues of international class war, it is quite certain, that until such national hopes are realised, the propaganda of Socialism is conducted at a disadvantage. This we English see close at home in the case of Ireland which has never played the great part, which fell to the lot of Poland in European history, but where the demand for „Ireland a Nation" blocks the way for the full consideration of most important social changes.

2. I consider that the existence and further development of the Polish nation are desirable in the interest of general European civilisation. The Poles as a nation would constitute a useful, independent and highly civilised society between the great Teutonic combination growing up in the West and Russia to the East of Europe. Their influence would be beneficially felt on both frontiers and could scarcely fail to exercise a determining weight in favour of peace and in the minimising of antagonisms as such a State would almost hold the balance of power in Eastern Europe by throwing its strength into the one scale or the other.

3. *a)* I don't know.

b) A great impulse to the establishment of a similar form of government throughout Europe, East and West alike, and an encouragement to democratic and Socialist Republicanism all over the world. *H. M. Hyndman.*

XVIII.

1. „International equity" is nonsense. Nationality is not a corollary from any theoretic European constitution, but a vital impulse which has no justification, and requires none, except its own need for satisfaction.

2. Yes. The Poles have a well marked national idiosyncrasy which makesit highly desirable that they should develop their own institutions according to their own ideas. Such institutions would be a distinct contribution to European civilisation.

3. Nobody can say. If Poland will not free herself until somebody pretends to guarantee the consequences, she will never

3. Tego nikt powiedzieć nie może. Jeśli Polska nie zdoła się wyswobodzić, zanim ktoś nie podejmie się wziąć na siebie odpowiedzialności za skutki, w takim razie nie wyswobodzi się nigdy. Wszystko, co się da powiedzieć, to tyle, że obecnie żadne państwo nie może być istotnie „niezależne" od cywilizacyi europejskiej, że zatem federacya jest hasłem dnia. Polska może się starać o to, by stała się częścią jakiejś wschodnio-europejskiej federacyi autonomicznych społeczeństw, czy z rządem republikańskim, czy konstytucyjno-monarchicznym jest dziś kwestyą obojętną (wobec tego, że Anglia jako monarchia konstytucyjna ma większe swobody niż Stany Zjednoczone). Czy taka federacya nazywałaby się państwem rosyjskiem, toby się okazało następnie. Jest rzeczą niemal pewną, że państwo rosyjskie w obecnym swym ustroju nie nadaje się do federacyi. Zdolne jest jedynie do podbojów i autokracyi. Dlatego właśnie jest ono tak okropnym anachronizmem w Europie współczesnej. Pierwszem zadaniem Polski jest wyswobodzenie się w jakikolwiek sposób. Później dopiero może rozważyć, o ile zdoła wzmocnić swe stanowisko przez związek federacyjny.

G. Bernard Shaw.

XIX.

1. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego uważam dążenie narodu polskiego do odzyskania niepodległości politycznej na całym etnograficznym obszarze polskim za więcej niż usprawiedliwione. Rozczłonkowanie Polski było świętokradztwem, zbrodnią przeciw ludzkości.

2. Sądzę, że stworzenie i utrwalenie potężnego państwa polskiego, niezawisłego i wolnego, byłoby bardzo pożądane dla cywilizacyi, a to w celu zdławienia żądzy megalomanii ze strony Niemiec, oraz wstrętnego panslawizmu świętej Rosyi.

3. Wpływ Polski na politykę europejską byłby ogromny w dziedzinie postępu, literatury, sztuki, nauki, przemysłu i handlu. Polska, odzyskując po 120-letniej niewoli niezależność polityczną, własny parlament, własną milicyę etc. byłaby idealnem państwem do stawienia tamy pożogom zaborczości.

Odrzucam myśl federacyi z państwem rosyjskiem, która nie

free herself. All that can be said is that no State can now be really „independent“ of European civilisation, and that Federation is consequently the order of the day. Poland may well aim at being a member of some East European Federation of self-governing commonwealths, whether republican or constitutionally monarchical does not matter at present (since England under a constitutional monarchy is clearly freeer than the United States). Whether that Federation will call itself the Russian Empire remains to be seen. It is quite certain that the Russian Empire as it is at present constituted does not admit of Federation. It is capable only of conquest and autocracy. That is why it is so gross an anachronism in Europe today. Poland's first business is to get free anyhow. She can then consider how far she can strenghten her position by a federal alliance.

3 — 6 — 1906. *G. Bernard Shaw.*

XIX.

RÉPONSE.

1-o. Au point de vue du droit international, je crois plus que justifiée la tendance de la nation polonaise á réconquérir une existance politique indépendante dans tout le territoire ethnographiquement polonais. Le demembrement de la Pologne a été un sacrilêge, un crime de lèse-humanité.

2-o. Dans l'intérêt de la civilisation, je pense bien que la formation et la conservation d'un puissant État polonais indépendant et libre, serait très désirable pour étouffer les comoitises mégalomanes de l'Allemagne et le panslavisme odieux de la Sainte Russie.

3-o. Son influence exercée sur la politique européenne serait immense pour le progrés, pour les lettres, les arts, les sciences, et le commerce et l'industrie. La Pologne en reconquérant son indépendance, aprés un esclavage de 120 ans, avec son parlement, sa propre milice etc. serait l'État tampon idéal qui pourrait empêcher des conflagrations.

da nic dobrego i pozytywnego i przy której Polska nie może znaleźć żadnego szczęścia.

Co się tyczy stworzenia nowego państwa w formie republiki, to zdaje mi się, że Polska nie dojrzała jeszcze dla tej idei. Dałoby to obcym narodom sposobność do wtrącania się w jej sprawy i źle byłoby widziane przez Europę monarchiczną. Ja wolałbym monarchię konstytucyjną — w rodzaju angielskiej — z monarchą wybranym z dynastyj królewskich Belgii, Anglii, Włoch lub Austryi.

Polska mogłaby być silną atrakcyą dla ludów słowiańskich, osiadłych na Bałkanie i odegrać ważną rolę na szachownicy europejskiej. *O. F. Tencajoli.*

Medyolan, 25/IV 1906.

XX.

Szanowny Redaktorze Krytyki!

Jestem bardzo wdzięczny za zaszczyt wyświadczony mi przez skierowanie do mnie kwestyonaryusza dziś otrzymanego. Odpowiadam natychmiast:

Na pytanie I-sze: tak.

„ „ II-gie: tak.

„ „ III-cie *a*) Polska wywarłaby wpływ bardzo znaczny, przedewszystkiem na ogólny pokój Europy i całego świata, a także dałaby początek rozbrojeniu, przynajmniej częściowemu;

b) wywarłaby wpływ bardzo znaczny w kierunku urzeczywistnienia zasady autonomij etnograficznych i stworzenia Stanów Zjednoczonych z Europy — a lepiej jeszcze z całego świata cywilizowanego.

Z najgorętszemi życzeniami bliskiej szczęśliwej przyszłości politycznej dla kochanej Polski, zasyłam wyrazy pozdrowienia.

Gaeta, 5/IV 1906.

Wasz
Prof. Giuseppe Tome.

XXI.

Panie Redaktorze! Nie otrzymałem listu, o którym Pan wspominasz, że wysłałeś był do mnie poprzednio, gdyż byłbym nań niewątpliwie odpowiedział. Kwestya przez Pana poruszona, niema isto-

Je rejette l'idée féderative avec l'empire russe, qui ne pourra jamais donner rien de bon et de positif, et avec lequel la Pologne ne peut trouver ancun salut.

L'idée de la constitution du nouvel État sous la forme républicaine ne me semble pas assez mûre pour la Pologne. Elle donnerait occasion á des ingérences étrangères, et serait mal vue par l'Europe monarchique. Je prefère une monarchie constitutionelle — genre anglais — avec un souverain choisi parmi les maisons royales de Belgique, d'Angleterre, d'Italie, ou d'Autriche.

La Pologne pourrait exercer une grande attraction sur le peuples slaves des Balcans, et jouer un rôle important dans l'échiquier européen. *O. J. Tencajoli.*

Milan, 25 april 1906.

XX.

Honorable Direction de la „Krytyka".

Je suis bien obligé à Vous de l'honneur que Vous m'avez fait, par les propositions presentées par votre circulaire, aujourd'hui reçue. Je vous reponds aussitôt:

à la 1-ère — oui.

„ 2-de — oui.

„ 3-me: *a*) je reponds: influence très grande, surtout pour la paix générale de l'Europe et du monde et pour le commencement du désarmement au moins partiel;

b) je reponds: influence très grande pour la réalisation du principe des autonomies ethnographiques, — et pour la constitution des Etats-Unis d'Europe — mieux de tout le monde civilisé.

Avec mes plus chauds souhaits d'un prochain avenir politique heureux pour la chère Pologne, agreéz mes particuliers salutations.

Votre

Gaeta, 5 avril 1906. *Giuseppe Tome*

XXI.

Monsieur le Redacteur! Je n'ai pas reçu la lettre qu'antérieurement vous dites m'avoir envoyée et à laquelle j'aurais certainement répondu. Votre question n'a pas en effet le sens natio-

tnie owego ciasnego znaczenia nacyonalistycznego, które byłoby wywołało z mej strony protest międzynarodowy, a co najmniej byłoby mnie skłoniło do powstrzymania się od odpowiedzi.

Pytasz Pan, czy przeobrażenie się Polski kongresowej w „część federatywną“ państwa rosyjskiego, czy to przeobrażenie się kraju podbitego i uciskanego w kraj wolny i sfederowany, w „republikę demokratyczną“, którąby wszystkim mieszkańcom bez różnicy pochodzenia i wiary zapewniła niezależność i swobodę — czy przeobrażenie takie byłoby postępem dla Polski i dla świata. Na pytanie to mogę dać jedynie odpowiedź twierdzącą. Wynik taki jest nietylko w najwyższym stopniu pożądany dla ogólnego pokoju i rozwoju, lecz ponadto odpowiadałby najlepiej nietylko naturze rzeczy, lecz także działalności i pragnieniom socyalistycznym, ponieważ kazałby przypuszczać zwycięstwo rewolucyi rosyjskiej, jedynie zdolnej do urzeczywistnienia takiego wyniku.

Jeśli socyaliści słusznie uważają, że sprawa proletaryuszy jest takasama w każdym kraju i w każdej części kraju i że wyzwolenie ich będzie się mogło dokonać li pod warunkiem, że będzie ono wspólne, to doskonale zdają sobie sprawę, że do tej walki emancypacyjnej potrzeba zdobyć wszystkie swobody polityczne, a przedewszystkiem usunąć wszelki ucisk za wiarę, narodowość i rasę. Rewolucya, która uwolni Rosyę od caratu, uwolni odeń także Polskę; a im wyzwolenie to przybierze większe rozmiary ekonomiczne i polityczne, tem bardziej zespoli ono w wolny związek federacyjny proletaryat i kraje Polski i Rosyi. Oto mojem zdaniem kres bliższy czy dalszy, lecz niewątpliwie upragniony i potrzebny wypadków bieżących.

Przyjm, Panie Redaktorze serdeczne pozdrowienie

Paryż 9/VI. *E. Vaillant.*

(C. d. n.).

naliste étroit, qui eut provoqué ma négation internationaliste ou tout au moins m'eut engagé à m'abstenir, à ne pas repondre.

Vous demandez, si par la transformation de la Pologne russe en une „part fédérative" de l'Etat Russe, par sa transformation de pays conquis et opprîmé en pays libre et fédéré, „en republique démocratique" assurant à tous ses habitans de toute origine et foi l'independance et la liberté, un progrés serait réalisé pour la Pologne et pour le monde. A cette question je ne puis que repondre affirmativement. Non seulement ce resultat est au plus haut point désirable pour la paix du monde et son développement; mais il répondrait au mieux non seulement à la nature des choses, mais à l'action et à la volonté socialiste, car il supposerait la victoire de la Revolution russe, seule capable, de le donner.

Si les socialistes considèrent avec raison que la cause des prolétaires est la même en chaque pays et en chaque fraction de pays et que leur émancipation ne pourra être effectuée qu'à la condition d'être commune, ils se rendent très bien compte, que pour cette lutte emancipatrice il est nécéssaire de conquérir toutes les libertés politiques, qui comprennent, avant tout, l'anéantissement de toutes les oppressions de foi, de nation et de race. La revolution qui liberera du Tzarisme la Russie, en liberera aussi la Pologne; et plus cette liberation s'accroîtra économiquement et politiquement, plus elle associéra dans une libre fédération le proletariat et les pays de Pologne et de Russie. C'est je crois la fin plus ou moins prochaine, mais certainement desirable et nécéssaire des évenements en cours.

Recevez Monsieur le Redacteur mes biens sincères salutations

Paris le 9/VI 1906. *E. Vaillant.*

(Suite).

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

I. Przegląd prasy.

Z prasy ukraińskiej. Prof. Hruszewski bawił w ostatnich czasach w Petersburgu, przypatrywał się zbliska współczesnemu politycznemu i społeczno-narodowościowemu życiu Ukrainy, którego środowiskiem stała się obecnie Duma rosyjska, i podzielił się swemi wrażeniami z czytelnikami „List. — Nauk. Wistnika“. Sądzimy, że czytelnicy „Krytyki“ będą także ciekawi posłuchać głosu wybitnego uczonego i bystrego obserwatora i dlatego opieramy tym razem nasze informacyjne uwagi o ruchu ukraińskim nie na sprzecznych nieraz wiadomościach gazet, ale właśnie na osobistych spostrzeżeniach prof. Hruszewskiego.

Wybory do Dumy odbyły się na Ukrainie prawie bez przedwyborczej agitacyi. Tylko w Połtawie ukraińska partya demokratyczno-radykalna agitowała i markowała siebie i swoich kandydatów. Po innych miastach nie wiązali się Ukraińcy z innemi grupami, nie markowali swych kandydatów, swej platformy; to też wyszli z urny wyborczej posłowie ukraińscy albo jako kandydaci „narodowej swobody“, albo jako kandydaci włościańscy, bezpartyjni — i jedynie poseł Szemet wybrany został jako reprezentant ukraińskiej partyi demokratyczno-radykalnej. Zło wyszło w całej pełni na jaw dopiero przy otwarciu Dumy: Weszli tu jako posłowie ukraińscy ludzie przeważnie nowi, bez partyjnej marki. Trzeba było jakoś radzić i dzielne jednostki poczęły krzątać się koło stworzenia klubu ukraińskiego. Zaraz w pierwszych dniach stanęli do pracy z zakasanemi rękoma posłowie: Szrach, Czyżewski, Szemet i Bilaszewski, i praca nie poszła na marne. Do klubu ukraińskiago zgłosił się cały szereg posłów, którzy acz związani byli z ogólno rosyjskiemi kołami liberalnemi, przecież czuli się zobowiązanymi wobec Ukrainy, a więc: prof. M. Kowalewski, Prysecki, Zdanowski (Polak), Szolp, baron Steingel, Swieczin i inni, a wkońcu wstąpili do klubu także włościanie. W ten sposób klub wzrósł do liczby 44 członków.

Celem wymiany zdań między posłami i Ukraińcami petersburskimi urządza klub poselski publiczne posiedzenia, na których bywa petersburska „gromada“ tz. polityczny klub ukraiński. Zgromadzenia te są zarazem szkołą polityczną dla posłów, włościan. Pierwsze posiedzenia miały na celu wyjaśnienie postulatów autonomii ukraińskiej, jako tej wspólnej podstawy, na której mają schodzić się posłowie różnych kierunków i partyj; dalsze zajmowały się wyjaśnieniem kwestyi agrarnej, która niezwykle żywo zajmuje umysły włościańskie.

Z ukraińskiego klubu nie utworzyła się dotychczas partya. Prawie wszyscy członkowie ukraińskiej grupy z inteligencyi należą do partyi kadetów, znaczna zaś ilość włościan należy do tz. „grupy pracy“, do której wstąpili reprezentanci włościan i robotników całej Rosyi. Jakkolwiek w interesie parlamentarnej działalności posłów ukraińskich leży skrystalizowanie się klubu w partyę ukraińską, jednakowoż z pewnych względów taktyki politycznej nie uczyniono dotychczas tego. Prof. Hruszewski wprost nawet uważa przedzierżgnięcie się klubu w partyę na razie za niebezpieczną rzecz, a to z dwu przyczyn: narodowościowe i polityczne postulaty ukraińskie nie są dość jasne dla szerszych kół; przedwczesne skonsolidowanie się „zamknęłoby ściany klubu“, odstręczywszy wprzód wielu posłów, którzy obecnie sympatyzują z postulatami ukraińskimi, a później bliżej zaznajomiwszy się z niemi, kto wie, czy nie przystaną na nie. Poseł Steingel,

syn niemieckiego barona i Ukrainki, który wpisał się na listę posłów Dumy jako Ukrainiec, otwarcie sprzeciwia się przetworzeniu grupy ukraińskiej w partyę, twierdząc, że nie mógłby poddać się dyscyplinie partyjnej, nie naruszywszy swego związku z partyą kadetów, acz z drugiej strony wystąpiłby z partyi kadeckiej, gdyby ta wyraźnie sprzeciwiała się zasadom autonomii i równouprawnieniu narodowości.

Pierwsza parlamentarna reprezentacya rosyjskiej Ukrainy robi bardzo miłe wrażenie — są w niej, jak mówi Hruszewski, elementy niezwykle cenne i rokujące wielkie nadzieje. W szczególności włościaństwo ukraińskie wykazuje taką wielką — jak na swe stosunki — siłę inteligencyi, politycznego i społecznego rozumu, obywatelskiego wychowania, że powinno rozwiać wszelkie pesymistyczne myśli co do przyszłości Ukrainy rosyjskiej wśród nowych, lepszych okoliczności.

Związek autonomistów wysuwa obecnie na pierwszy plan projekt ustawy o równouprawnieniu języków, później ma zamiar wystąpić z reformą agrarną i ordynacyą wyborczą. Dużo krwi psuje obecnie kadetom właśnie kwestya językowa. Oficyalny ich organ „Rjecz" silnie występuje przeciw stawieniu na porządek dzienny kwestyi narodowościowej, a nawet doradza autonomistom, aby zerwali z narodowościami, których postulaty „tylko wczoraj narodziły się". Będą musieli tedy autonomiści nie jedną bitwę stoczyć z kadetami.

Ciekawe zebrał Hruszewski spostrzeżenia, dotyczące Polaków. Do niedawna cieszyli się Polacy ogromną sympatyą wśród rosyjskich kół liberalnych, obecnie w tychżesamych sferach stali się oni ogromnie niepopularnymi. Powodem tej niepopularności: wyborcza kampania w Królestwie, gdzie polscy demokraci narodowi, kierując się motywami narodowej solidarności, nie dopuścili do mandatów poselskich nikogo ani z postępowców, ani z Żydów; deklaracya polskiego koła, stojąca na zasadzie historycznych praw i międzynarodowych traktatów; wreszcie opozycya ich otwarta albo dwuznaczna w sprawie agrarnych reform. Niepopularność owa nie pozostała bez wpływu na bieg spraw parlamentarnych, owszem wywarła ona wpływ i to w ujemnym kierunku, a mianowicie usunęła obecnie z porządku dziennego sprawę autonomii.

Pod koniec powyższego sprawozdania musimy wreszcie z obowiązku swego donieść czytelnikom o jednym dziejowym dla Ukraińców fakcie. Oto przed kilkunastu dniami z pojawieniem się „tymczasowych prawideł o nieperyodycznych wydawnictwach", znoszących cenzurę prewencyjną i zastępując ją nowemi formami kontroli cenzuralnej, pogrzebano milczkiem barbarzyński ukaz z 1876 roku, proskrybujący ukraińskie słowo. I tak skonał, jak mówi Hruszewski „upiór obrzydliwy, co pił krew najszlachetniejszych synów narodu ukraińskiego" — i spodziewać się należy, że z tego „nieczystego" miejsca, gdzie spoczęło jego cielsko, nie spróbują odgrzebać go, nieprzebierając w środkach „ręce biurokratycznych zbawców ojczyzny". *M. M-ski.*

Mercure de France 15. czerwca ...„H e n r y k I b s e n był jednym z proroków tegoczesnych"... tak rozpoczyna studyum swe p. G. — P. C h e s n a i s o zmarłym mistrzu, którego postać za życia jeszcze otaczała legenda tragiki i tajemniczości, fałszywa zgoła. Natomiast z kilku tych kartek, pamięci i charakterystyce Ibsena poświęconych wyziera oblicze jego prawdziwe. Widzi się go dumnym, odosobnionym, przebywającym z myślą swą twórczą samowtór, oddalić usiłującym

to wszystko, co idei jego i powołaniu na przeszkodzie staćby mogło. Strzegł on zazdrośnie „dobra swego“ *(deres eget)* — jak się kilkakrotnie w listach swych do Brandesa i Björnsona wyraża; a dobrem tem było jego życie duchowe. U Ibsena podstawowym rysem charakterystycznym jest harmonia zupełna między dziełem jego a osobą. Więcej jeszcze! człowiek — Ibsen podporządkowanym się staje kompletnie zadaniom tworczym Ibsena-poety. Zważywszy to — dopiero zrozumieć możemy psychikę wielkiego Norwegczyka, więc jego mniemany egoizm, oschłość serca jego, brak tych sentymentów, które miłość tłumu zyskują. Ibsen „rozmieniać się na drobne“ nie chciał i był nie powinien, temu to przypisać należy, iż nawet od przyjaźni stronił i jej ugiąć się nie dał.

Aż do lat ostatnich p o w o ł a n i e, m i s y a, o b o w i ą z e k — były przewodniczemi ideami Ibsena; jako Brand w i n i e n niezłomnie zadanie swe wypełnić, jako Jatgejrowi n i e w o l n o nie być skaldem — tak i Ibsen wypowiedzieć się był z o b o w i ą z a n y. Dopiero pod wieczór życia „ironia żywota“ przeniknęła i mistrza, a wtedy w „Kiedy się zbudzimy między zmarłymi“, Życie samo ponad wszystkie musy, zadania i powołania postawił.

Zaznaczyć należy (w tymże czerwcowym zeszycie) nowelę turecko-ormiańsko-paryską, p. Klaudyusza F a r r è r e, która eskuzować się zdaje, a już co najmniej tłómaczyć rzezie tureckie Ormian. Za usymbolizowanie tych ostatnich służyć ma tanecznica do użytku pań i panów i jej ormiańsko-złodziejska rodzina. Rzecz napisana subtelnie a nosi tytuł **„La grande muraille“**. — Murem tu przedziela dusze nasze — giaurów i dusze egzotyczne Wschodu brak pono wspólnego języka psychologicznego.

Courrier Européen 15 czerwca. „O zagadnieniu agrarnem rosyjskiem z punktu widzenia Zachodu“ *(Le problème agraire russe vu de l'Occident)* mówi nam p. Dimitry F i ł o z o f o w. Artykuł p. F. jest odpowiedzią na wyłuszczenie tej palącej sprawy przez p. Pawła Leroy-Beaulieu w „Journal des Debats“. Francuski polityk twierdzi, iż postulaty Dumy są nieziszczalne i zgoła szkodliwe, a dążność ku rozdrobnieniu własności ziemskiej, wyrażona przez jej członków — antispołecznym i antiekonomicznym faktem. Parcelacya ta bowiem utrwali jeszcze bardziej rutynę obecną i niemoc produkcyi rolnej rosyjskiej. Zniesienie „miru“ (projekt Wittego) i podniesienie uprawy roli wydaje się p. Pawłowi L. — B. jedynym racyonalnym punktem wyjścia. W replice swej p. Fiłozofow nie roztrząsa sprawy według zasad socyalistycznych unarodowienia, uspołecznienia ziemi, wykazać się tylko stara, jak powierzchownie problemat postawiony został „od strony Zachodu“. Skreśliwszy pokrótce historyę ruchu agrarnego za ostatnie lat kilka, jako to: komitety lokalne z r. 1902 (utworzone w myśl Wittego i mające zaradzić pauperyzmowi wiejskiemu), rokosz prowincyi Baltyckich, żakeryę po pobrzeżach Wołgi i t. p. — p. Fił. dowodzi, że półśrodkami działać nie można. „Tak długo, jak potrzeba ziemi, głód jej istny chłopstwa nie będzie zaspokojonym — tak długo o uśmierzeniu kraju nie podobna myśleć“ — mówi autor, przyznając zresztą, iż wywłaszczenie paljatywem doraźnym tylko być może. Duma wie o tem i rozumie; ale ameljoracye w uprawie ziemi, jej użytkowanie według sposobów i praktyki zachodnio-europejskiej nastąpić winny potem, po uspokojeniu namiętności i po zaspokojeniu potrzeb pierwszych i najsilniejszych.

Tamże p. Jarosław F e d o r c z u k prowadzi spór z p. Kurnatowskim

o „Rusinów w Galicyi" *(Les Ruthènes en Galicie)*, spór, w którym bardzo kurtuazyjnie omawiane są argumenty znane nam „pro et contra".

P. Stanisław Mikulski daje przyczynek do „Kwestyi rolnej i kwestyi robotniczej w Królestwie Polskiem" *(La Question agraire et la question ouvrière dans le Royaume de Pologne)* i kreśli stan obecny proletaryatu wiejskiego i miejskiego. Cyfry przytoczone przez p. M. w art. jego mają wymowę stokroć większą, niźli wywody ekonomistów w rodzaju pp. Leroy — Beaulieu.

La Revue 15 czerwca. P. Aleksander Ular traktuje sprawę „Narodzin i zgonu Trójprzymierza" *(Naissance et mort de la Triplice)* i daje jego historyczny przebieg i nazywa sławetny związek ten: „ostatniem doświadczeniem dyplomacyi dynastycznej w Europie"... Konkluduje zaś pracę swą p. U. w ten sposób: „Na przyszłość alianse tworzyć się będą nie na gruncie interesów domów panujących, ale na podstawie interesów rzeczywistych ludów; i one to, ludy same, zadecydują o charakterze stosunków międzynarodowych".

Pani G. Avril de Sainte-Croix referuje o *„Radzie międzynarodowej Kobiet"* i o jej sekcyach: Dobroczynności, Wychowania, Prawodawstwa i Pracy. Do „Rady" należą z Francyi: autorka referatu, pp. Sara Monod, Siegfrid, Marya Pognon, Bonnevial i Wiggishopp. Adherentek liczy Związek francuski 70,000 (po pięciu latach istnienia). „Rada" ta jest sekcyą Związku Międzynarodowego, na którego prezydentkę honorową wybrano p. Sarę Monod. Zadaniem Związku Kobiet jest — według szanownej sprawozdawczyni — nie tylko wywalczenie praw dla kobiet, ale także oswobodzenie ludzkości od barbarzyństwa odwiecznego". Allons, tant mieux!

P. I. Roux streszcza dochodzenia i eksperymenty Ryszarda Lynch'a Garner'a co do zdolności edukacyjnych i „respective" ewolucyjnych antropoidów (tytuł art. *Autour des anthropoïdes)* — Podług Haeckl'a już i jego teoryi antropogenicznej Allatus, pra-szczur ludzki przekształcił stopniowo krzyk swój anormalny na artykułowane dźwięki. Chodziło więc teraz o sprawdzenie ekperymentalne owej hypotezy i prof. Garner w tym celu porobił doświadczenia, które stwierdzać się zdają Haecklowską naukę. Szympans wybrany, z pomiędzy symüdów, otaczających klatkę amerykańskiego uczonego (jak wiadomo umieścił się on w klatce, ustawionej na polance leśnej, gdzie małpy schodziły się swobodnie), szympans ów więc po długich próbach doszedł do możności wymówienia francuskiego wyrazu: „feu", najzgodniejszego pono dzwiękowo z fonetyką małpich okrzyków. — Pozatem prof. G. skonstatował zdatność antropoidów do odróżnienia kształtu, a nawet koloru w zacządkowych jego fazach. I tak np. kołki o rozmaitych formach geometrycznych: cylindryczne, czterokanciaste, trójkanciaste, wielokątne należało przystosować do otworów odnośnych, wyrżniętych w desce; później, dla skomplikowania, kołek i otwór miały — jedne kolor biały, drugie — czarny. Trzeba je było odpowiednio do barwy zestawić. Owóż pupile dr. Garnera wywiązywały się z zadania nieomylnie. Z wielomiesięcznych obserwacyi wyniósł prof. G. przeświadczenie o podatności antropoidów do rozwoju intelektualnego; a nadto poznał pogwar ich, który empirycznie konstatować się zdaje tezę istnienia języka z przed ludzkich czasów, języka będącego dziś w różniczkowaniu swem naszą mową.

Literaturno-naukowyj Wistnik (ks. IV i V). Ogólne wrażenie po przeczytaniu ostatnich zeszytów „Wistnika" — dość szare. Poezye — mierne. M. Zda-

nowska poucza w swym wierszu, że teraz należy tworzyć rymy, omawiające jedynie niedolę i pracę i życie smutne, gdyż majętni gnębią biednych, a Christia Ałczewska w większej części spełnia już owo przykazanie. Wiersz Staryckiego piękny, chociaż przypomina nam minioną manierę; strofy Kozaczki wywołują niezłe wrażenie swą bezpretensyonalnością. Przekłady obcych pieśni — za mało ciekawe, a po części wcale niezgrabne. W 4 zeszycie mieści się nowe opowiadanie O. Kobylańskiej: Idee. Rzecz ta pisana również bez większych pretensyj, odznacza się jednak ciekawym tematem. Redakcya „Wistnyka" pozwoliła sobie na rozmaite dowolne skreślenia w tekście Kobylańskiej, chociaż nie odważył się na to taki mistrz słowa, jak Kociubyński, gdy równocześnie z „Wistnykiem" umieścił to opowiadanie w swej książce zbiorowej: Z potoku życia. Szkic Z. Mysłewycza (W gorączce) świadczy nieźle o dobrej woli i pewnym trafnym instynkcie swego twórcy, natomiast nowele Kmita (Muzykant) i Tawryczanina (Ruch) grzeszą słabem opracowaniem tematu. Rzecz Tamarenki — niezdecydowana. Trudno osądzić, czy nadaje się ona do fejletonu w czasopiśmie, czy też do rubryki społecznych artykułów. Również p. T. W. (Stracił cel) nie ma nic do powiedzenia, czegobyśmy już dawniej, w lepszej formie, nie słyszeli. Ratują sytuacyę przekłady (Heine: Nocy Florencyi. i Todorowa: I znowu kwiaty zakwitną). W dziale społeczno-naukowym zasługują na wzmiankę artykuły: A. Lichtenberga: Heine i S. Symonism (przekład), Herbaczewskiego i Jesajtysa Studya o Młodej Litwie, M. Łozyńskiego: Z austryackiej Ukrainy M. Sadowskiego: Wspomnienia z rosyjsko-tureckiej wojny (1877—78 r.) i prof. M. Hruszewskiego artykuł p. t. Polsko ukraińskie motywy. Prof. Hruszewski jeszcze raz omawia kwestyę ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie łącznie z teraźniejszym stanem sytuacyi tej sprawy i przychodzi do przekonania, że jeśli tak dalej pójdzie, to niebawem usłyszymy w Dumie rosyjskiej energiczny okrzyk, skierowany do polskich posłów dumy. „A jak postępują wasi rodacy w Galicyi?!" Wogóle artykuł ten powinien zwrócić na siebie uwagę społeczników i polityków polskich. Można by na tem skończyć, gdyby nie słowa A. Kruszelnickiego (recenzya nowel Iw. Franki (Na łonie przyrody) i B. Łepkiego (Kara). Ale jakże tu wytłumaczyć p. Kruszelnickiemu, że w Dryadzie Franki mogą mieć artystyczną wartość obrazy przyrody a nie kwestya hoteli na wierchach Czarnohory, że zarazem sprawa ta nigdy mącić nie będzie „marzeń poety", jak to myśli p. Kr., — że nonsensem jest twierdzenie, jakoby Franko w „Skrzydle sojki" wniósł ideę miłości na niezwykle górne szczyty, że trzeba mieć pewną dozę subtelnej wrażliwości, by odczuć i zrozumieć nastroje i stany psychiczne, uchwycone w szkicach Łepkiego, że recenzent Łepkiego ani wogóle piękna nie rozumie i nie wie gdzie i w czem go szukać — i że nonsensem jest nazwanie Łepkiego: poetą rozpaczy? Jak by mu to wszystko wytłumaczyć? *O. Ł.*

Z prasy rosyjskiej. Jednym z najbardziej interesujących objawów rewolucyi rosyjskiej jest walka prasy o własne prawa i wyzwolenie z pod cenzuralnego ucisku. Walka ta, namiętna, pełna ofiar, wre już od dwóch lat pomimo bezustannych konfiskat i zawieszań wydawnictw. Rząd, podrywając materyalnie prasę, chce ją zmusić, jeśli nie do uległości, to przynajmniej do obniżenia tonu. Ale napróżno.

I nie będzie przesadą, jeśli powiem, iż obecnie najśmielej w druku można się wypowiedzieć właśnie w Rosyi. Niezrozumiałem więc wprost jest powstanie poza jej granicami (Paryż) politycznego wydawnictwa „Oteczestwiennaja Oborona“ pod redakcyą Ks. M. Koczubeja. Jest to miesięcznik o niewyraźnem liberalnem pragnieniu. markowanem jednak dość umiejętnie. Na bieg politycznego życia nie wywrze on zapewne żadnego wpływu.

W majowym numerze „Ot. Ob.“ spotykamy względnie ciekawy artykuł M. Orlika „Polsko-ukraińskie zagadnienie“.

Autor na podstawie historycznych, geograficznych i innych naukowych danych wykazuje, że interesy Polski i Ukrainy były i są ze sobą ściśle związane.

Jest on co zatem idzie zwolennikiem porozumienia się polsko-ukraińskiego, a to w celu wspólnej walki o przyszły federacyjny ustrój państwa.

W sfederowanej Rosyi według autora Polakom, jako narodowi o wysokiej kulturze, przypadnie jedno z miejsc naczelnych.

Ogólne sympatyczne wrażenie artykułu Orlika osłabia jego tendencya monarchiczno-panslawistyczna.

„Ruskaja Myśl“ po krótkim okresie pozornej opozycyi znowu wpadła w stan liberalnej śpiączki.

Niejaki W. Chraniewicz w pracy „Zagraniczne zarobki nadwiślańskich(!) włościan“ (R. M. V.) nawołuje do rychłego uregulowania wychodźctwa polskich chłopów na doroczne roboty do Prus Ignorowanie tej sprawy przez rząd przynosi państwu tylko straty.

Al. Kołyszew zastanawia się nad pracą nieletnich w rzemiosłach („Praca dzieci w zakładach rzemieśniczych“).

„Żurnał dla Wsiech“, jeden z najlepiej redagowanych rosyjskich miesięczników o programie społeczno-demokratycznym, poświęcił prawie cały majowy zeszyt zagadnieniom doby obecnej. Engelgardt w artykule „Włościanie i Duma“ wykazuje, że pomimo wadliwej ordynacyi wyborczej, obliczonej na to, aby do Dumy przeszło jak najmniej włościan — stanowią oni przecie prawie połowę wszystkich posłów.

Dowód wielkiego wyrobienia politycznego u włościan rosyjskich, którzy, wbrew zakusom biurokratycznym, przeprowadzili drogą kompromisów z innemi partyami swoich przedstawicieli.

Praca P. Wichlajewa „Jak unormować korzystanie z ziemi?“ — jeden więcej przyczynek do wyświetlenia zawiłej kwestyi rolnej.

Autor „prawo na ziemię“ uważa za taki sam przywilej wolnej jednostki, jak prawo na swobodę wyznania.

W wychodzącym w Moskwie od Nowego Roku społeczno-literackim miesięczniku „Sowremiennaja Żyźń“ pomieszczono „Warszawiankę“ St. Wyspiańskiego w przekładzie W. Wysockiego. O ile mi wiadomo jest to pierwszy utwór Wyspiańskiego przyswojony literaturze rosyjskiej. Przekład bardzo staranny; w wielu miejscach zachowana forma oryginału.

Tłómacz pozwolił sobie na nieliczne skróty, które się jednak nie dają niczem usprawiedliwić.

Szkic literacki o Wyspiańskim („Poeta współczesnej Polski“) Wysockiego. drukowany jednocześnie z „Warszawianką“ w „Sowr. Żyźń“, zaznajamia Rosyan z twórczością autora „Wesela“. Praca Wysockiego ma charakter czysto kompila-

6*

cyjny i trudno w niej znaleść coś więcej nad to, co powiedziano u nas o Wyspiańskim.

O drugim wielkim współczesnym duchu twórczym, Stefanie Żeromskim, pisze w „Słowianskia Izwiestia" (Nr 2 kwiecień — maj) A. Jacymirskij. Nie podziela on, sam to zaznacza, entuzyazmu jakim darzy autora „Popiołów" krytyka polska. Żeromski bezsprzecznie jest wybitnym artystą, ale tylko w swoich drobnych utworach. Większe zaś jego powieści „Ludzie Bezdomni" i „Popioły" należą do podrzędnych utworów literackich. P. Jacymirski ma nawet odwagę „Popioły" postawić na jednym poziomie z powieściami Wernego i Montepina. Streszczać dalsze poglądy p. Jacymirskiego na twórczość Żeromskiego zdaje nam się zbytecznem.

Mereżkowskij (Wiesy V „Dekadenci i społeczność") analizuje typ współczesnego dekadenta w stosunku do życia.

Zupełny zanik, lub brak moralnych więzów, któreby łączyły jednostkę ze społeczeństwem — oto znamienne cechy takiego typu.

W rosyjskiej literaturze do dekadentów Mereżkowskij zalicza Balmonta(?) i Bloka. *N.*

Po Białymstoku.

...„Ziemia już krwi nie chłonie".

„Rzeź białostocka jest odpowiedzią rządu na wszystkie nasze interpelacye" — powiedział w Dumie jeden z posłów wileńskich — Lewin.

Ostrze prawdy tkwi w przytoczonem zdaniu głębiej, niż je ukazują same wyrazy.

Odpowiedź taką wykuł jeszcze Plehwe, mistrz krwawej intrygi i prowokacyi, gdy groził „zatopieniem anarchii we krwi żydów". On środek ten upaństwowił, zlegalizował, wcielił do zbrojowni politycznej jako gilotynę, puszczoną w ruch tyle razy, ilekroć w jego inkwizytorskiej głowie świtała groźba nadchodzącej rewolucyi.

I oto się stało, że Kiszyniów, Homel, Odessa, Kijów — przez samo brzmienie swych nazw, utworzyły w pamięci spółczesnych krwawe węzły, czerwone plamy, czerwoną zmorę mordu; na retrospektywnej mapie Rosyi historya podkreśliła już te miasta purpurą, jako hańbę i przekleństwo minionym wiekom, — ludowi! I znowu przybyło jedno miasto umarłych: Białystok.

Czas nas nauczył nie oburzać się, lecz — dziwić, nie krzyczeć, gdy jednym płomiennym krzykiem czynu — jest rewolucya, lecz patrzeć w ducha zbrodni, patrzeć w jutro i rozumieć, że Czerwone morze krwi, zalewające dziś całą Rosyę, zabierze z sobą i pogrzebie warowną wyspę zuchwałych tchórzy, którzy walczyli nie z „Rewolucyą", lecz z istotą bytu człowieka, jako człowieka — z życiem, jako takiem. Byli to obłędni, przeżyci padalce, co chcieli oszukać trwanie słońca przez trwanie zbrodni, zagłębiając noże w piersi ludów, nie zrozumieli nawet krzyku ofiary.

Czas, krzesząc najpotworniejsze obrazy, piekła, tortur, mordu, waląc w nasze mózgi maczugą bez miary i wytchnienia, odbiera nam już niekiedy wyrazy grozy i żalu, oburzenia i tylko przez jakieś prawo psychicznej kompensacyi, podobne do naturalnego prawa kompensacyi mięśni sercowych, — rośnie i wzbiera jednocześnie pewność i wiara w żelazną, niechybną i nieodwrôconą Potęgę Od-

kupienia, która zgniecie, zetrze z oblicza ziemi całą zawiłą machinę katowania społeczeństw, ludzi — przez tych, których one postawiły nad siebie.

Danem nam jest wszak już dziś być świadkami rozpadu starego świata w Rosyi.

Coraz szerzej w głąb rozwierają się rany a z ran wycieka czarna ropa kłamstw, rozpusty, nikczemnego egoizmu uprzywilejowanych.

Na powierzchni strupieszałego ustroju żerują jeszcze takie... takie... owady, jak Durnow — jak Goremykin — jak Trepow — Styszyński — Skołypin — owady, co jeszcze, — jeszcze śnią o potędze i traconych, jeżeli już nieutraconych rajach.

Dość spojrzeć dziś na to, co dokonała już Duma. „Dokonała“ — nie w znaczeniu rezultatów pozytywnych — lub w zakresie jej funkcyi prawodawczych.

W dzisiejszym stanie wrzenie wszystkich wybuchowych sił, robota pozytywna byłaby igraszką, którą najbliższe jutro wyrzuciłoby na śmietniki wraz z „rządem“ Goremykina, i byłaby zbrodnią, jak wszystko, co przedłuża plugawe egzystencye zbrodniarzy.

Na szczęście — szczęście nie przypadkowe, lecz wynikające z również koniecznej ślepoty rządu, — rząd we krwi broczący po uszy, nie umie i nie może się cofać, i musi palić za sobą wszelkie mosty kompromisu z Dumą.

Jeżeli dziś przypomnimy sobie warunki, w jakich powstał ten twór czy nowotwór na starym ustroju, matactwa i gwałty rządowe przy wyborach, wreszcie samą ordynacyę wyborczą, zapomocą której rząd zamierzał przecedzić przez sito „wolę ludu“ i otrzymać tym sposobem męty lojalne lub nijakie, to powinno nas tem większe ogarnąć zdumienie na widok oporu ludzi, którzy nie tylko ściągnęli na siebie gromy Rewolucyi, ale jeszcze przyspieszyli Diem illam końca przez doskonały w ostatnich konsekwencyach bezrozum i lekkomyślność.

Wiemy, że „grupa pracy“ w Dumie jest dziś jak najbliżej spokrewnioną ze stronnictwami socyalistycznemi, które bezpośrednio nie brały udziału w wyborach i bojkotowały Dumę; wiemy, z jakim gorącym protestem spotkała się nieudolna deklaracya rządu nawet wśród „październikowców“, z którymi w przededniu rzezi styczniowej w Petersburgu paktował Witte; ma więc rząd nie tylko normalną opozycyę w łonie radykalnego i tylko — liberalnego mieszczaństwa, ale i opozycyę opozycyi i nadopozycyę proletaryatu miejskiego i rolnego, a chociaż sarkastycznem zrządzeniem losu znalazł rząd w kole polskiem, względnie najcichszych i najumiarkowańszych — tam, gdzie chodzi o sprawy ogólnopaństwowe przeciwników, to jednak przewaga energii rewolucyjnej -- stronnictw rosyjskich znakomicie pokrywa bierność i gnuśność narodowej demokracyi z Królestwa, poza tem zaś grupa autonomiczna Dumy, do której weszli Polacy, przez samą istotę dążeń odśrodkowych, stanowi siłę rządowi wrogą. Ciekawy obraz daje dziś Duma i to, co się dokoła niej dokonywa.

Oto wnoszone są na stół parlamentowy dziesiątki, setki „interpelacyi“, które już niemi nie są, są zaś nieprzerwanym gradem i biczem oskarżeń, miotanych z ogromną siłą rzutu i przekonania.

Każda z nich obiega całe imperyum, każda pogłębia świadomość ludu, każda wzmacnia i podnosi autorytet Dumy, jako przewodnika, po którym w górę i w dół przebiegają wspierające się nawzajem prądy rewolucyjne.

Istnieje właściwie w Dumie jeden nieprzerwany „porządek dzienny“:

ujawnianie gwałtów rządowych, rewolucyonizowanie społeczeństwa, skupianie sił Rewolucyi...

Niezrównana, krwawa ironia dziejów! Każdem swojem słowem, biernością i rozmachem, krzykiem i wzgardą, agitacyą i lekceważeniem Duma godzi w samo serce cara i jego lokai. „Mordercy! — krzyczy Duma w twarz rządowi, a cała młoda Rosya — powtarza tysiąckrotnem echem: mordercy!“

— Podajcie się do dymisyi! Precz! krzyczy Duma, a rząd nie przepędza, nie waży się zbyć z oczu „państwa w państwie“, które istnieje tuż obok niego, jako zgromadzenie, które ma dwa oblicza: jedno formalne, urzędowe, pozorne, zapewniające mu byt „podług prawa“, i drugie groźne — ścigające wzrokiem ponad słowa, interpelacye, komisye i referaty...

I rząd się liczy z tem drugiem, niewidzialnem — z tem nieświadomem „jestem“, co stoi za Dumą, rozproszone i ukryte po małych wsiach, miastach, więzieniach i na wygnaniu. Bo nie to, co uchwali i czego nie uchwali Duma, składa się na trwogę, krępującą ręce nawykłe do samowoli.

Oto zbawczy cud konieczności.

Rząd niema ludzi; mieć ich nie może.

Lepsi nie przyjdą, lepsi — przy zachowaniu tego, co jest — nie pomogą, jak nie pomoże konającym wlana mu do gardzieli młoda krew. Słyszymy wciąż o tych samych „ostatnich“; dwadzieścia tysięcy Trepowych — znaczy tyleż, co jeden Trepow; i dwadzieścia tysięcy po stokroć przychodzących do władzy i dymisyowanych Goremykinych, Durnowów, Styszyńskich — znaczy tyleż, co jeden szpieg Kaczkowski, jeden prawdziwy rosyanin Pawłow — lub Kruszewan — lub generał Bogdanowicz i cała sfora krwawych psów i piesków z Petershofu;

każde ustępstwo — to pogłębianie mogiły,

każda zwłoka — przybliżenie końca

i każdy mord — to lęk i rozpacz, szamotanie się i śmierć caratowi, śmierć prowokatorom, śmierć wszystkim, którzy wtykają ręce w szprychy koła Rewolucyi!

I dalej trwa Duma, nierozwiązalna Duma, którą rząd sprowadził, ściągnął na swoją głowę.

Po niewczasie dziś zrozumiały stronnictwa socyalistyczne, że Duma jest dużym kawałem czerwonego sukna, który rozwścieczonego byka kontr-rewolucyi prowadzi na zgubę, że Duma stała się ogniskiem Rewolucyi, że Duma wysunęła się na widownię, jako pierwszy aktor, w którego ręku spoczywają losy dramatu, że Duma chcąc czy nie chcąc, nieci i rozrzuca po całym kraju żagwie gniewu, że Duma, w którą rząd niema odwagi wgryźć się tak, jakby tego pragnął i która przez to stała się jakimś czarownym niezdobytym zamkiem, skupiającym wszystkie żądze wolności i wyzwolenia — że taka Duma, bez względu na konkrety danego dnia i godziny i na błachą wartość rewolucyi, — jest dziś dynamicznym kłębem zwartej energii, który wyda z siebie mordercze pociski w pożądanym kierunku i o pożądanej sile. Forma, forma pozostanie obojętną. Obojętnem być może nawet zagadnienie, czy Duma zamieni się w konstytuantę. Tu, jeżeli szerzej patrzeć na rozwój wypadków, szło o archimedowy punkt oparcia Rewolucyi, który znaleziono, który musiał zrobić sam rząd.

Zanim się zebrała Duma, wiele mówiono i pisano o tem, iż rząd zechce zawikłać pierwszy parlament w sprawę „agrarną“ i w ten sposób zmylić czuj-

ność społeczeństwa na zasadnicze pierwsze sprawy konstytucyonalizmu i porządku państwowego.

I oto się okazało, że właśnie sprawa agrarna była groźniejszą od „gwarancyi praw“ i amnestyi. Ona to była fermentem, tworzącym stronnictwo „grupy pracy“ i ona przyparła do muru rząd nieuków, pyszałków, fałszerzy. Ona też głównie rozbudziła i wyczarowała najgroźniejsze widmo — czynnej rewolucyi chłopskiej, i ona uniemożliwiła dziś politykę półśrodków i rozwiązania tej przeklętej dla rządu sprawy zapomocą „banku włościańskiego“ lub temu podobnych niedorzecznych paliatywów.

Temi zaś czasy, gdy rząd zwłóczy, tworząc nowe, mozaikowe kombinacye „prawdziwie mocnego rządu“, tak prawdziwe, jak osławiona „nietykalność jednostki“ w carskim manifeście 30 października 1905 r., a ruchy chłopskie wybuchły ze wzmorzoną siłą, dodały ostrogi Dumie i milionom, wyglądającym od Rewolucyi zbawienia.

Ale poczęło się jeszcze coś gorszego: bunty w armii i flocie; znowu Sebastopol, znowu Kronsztadt, a nadto agitacya we wojsku, w Petersburgu, Warszawie, Odessie.

Pozostaje walka armii z armią — rządu z tem, czem on stoi — z sobą.

O, blizki, blizki już jest Dzień Wyzwolenia!

Bywają okrutne myśli, okrutne logiką noża i prawem bryły, osuwającej się na głowy śpiących.

Białystok — jest taką myślą. Białystok, jako jedna straszna, dzika chwila, która krwią tuczy zaród Pomsty i przybliża dzień ostatecznego sądu nad katami, by na ich głowach mogła stanąć Wolna Rosya, Wolna Polska.

Każda ofiara, której ręce przygwożdżono w Białymstoku do tułowia, każde dziecko, któremu wykłuto oczy, każdy starzec, któremu rozwalono głowę o kamienie — dadzą przemianę krwi i ciała w chleb wolności ludu.

Z żył wyprutych ludom Rewolucya zwije powróz, na którym zawisnąć powinna idea samowładztwa i jego żywych wyrazicieli.

Reforma szkolna w Galicyi.

Obradujący przed paru miesiącami w Wiedniu zjazd nauczycieli szkół wyższych uznał po długich debatach, że o reformie szkolnictwa w Austryi „pomyśleć“ należy. Galicyjską szkołę reprezentował prof. Twardowski, który potrzebę odrębnego traktowania szkoły polskiej energicznie zaznaczył. — Przyznać trzeba, że od $^1/_2$ roku mniej więcej zapanował w Galicyi około spraw wychowawczych ruch ożywiony. Kiedy przed rokiem na Walnem zgromadzeniu towarzystwa szkoły gimnazyalnej żeńskiej jeden z członków oświadczył: że dążyć się powinno do tego, żeby szkoła nie była „fabryką maturzystek“, lecz wychowywała zacnych i dzielnych ludzi — ogół grona profesorskiego poczuł się tem zdaniem osobiście dotknięty. Dziś co kroku słyszymy zdanię: „galicyjska szkoła wychowuje karłów“, a gdy przed paru miesiącami ksiądz Gralewski w auli Collegium novum w Krakowie wyraził się, że szkoły galicyjskie

są to „fabryki c. k. automatów“, zyskał już nawet poklask ogólny. Najciekawszem jednak zjawiskiem jest artykuł podpisany przez 9 profesorów szkół średnich z marcowego Nru Muzeum z r. b. Jest tam bardzo bezwzględna krytyka szkoły dzisiejszej, profesorów w niej wykładających i całego systemu szkolnego w Galicyi. Rzecz cała jednak mimo wielu zalet w ogólnym tonie zalatuje pleśnią. Ideał społeczny, który autorowie stawiają przed oczy młodzieży, to... praca organiczna, a środkiem mającym zbawiennie wpłynąć na stosunki szkolne jest... ostra klasyfikacya uczniów. Autorowie artykułu konstatują, że szkoła wydaje „inteligencyę, pozbawioną wszelkiego zapału, wszelkich dążeń, szukającą tylko spokoju i wygody“ (str. 210) a na stronie 212 powiadają: „trzeba żeby młodzież ukochała hasło pracy organicznej tak, jak niegdyś w epoce pozytywizmu i warszawskiej Szkoły głównej..., bo młodość jest gruntem, na którym ideały i zapał najlepiej się przyjmują. Mógłby ktoś pomyśleć, że to cytat ironiczny! Zagadkę wyjaśnia jednak ustęp następny. Owa praca organiczna ma uchronić młodzież przed „agitacyą i fanatyzmem stronniczym“ czyli bądźmy szczerzy... przed socyalizmem. Ale jeśli przymus religijny przed socyalizmem nie uchronił, jeśli przed socyalistyczną agitacyą pozaszkolną nie uchroniła jawna i z urzędu prowadzona w szkole agitacya klerykalno-antysemicko-rządowa, to tem mniej uchroni przeżyte hasło pracy organicznej.

I jeszcze jedno. Nie wolno profanować wyrazów „ideał“, „zapał“, „szlachetne dążenia“, jeśli się pod nie ma zamiar postawić fabrykowanie patryotycznych mydełek „na hakatę“ lub atramentu i ołówków z Kościuszką“.

Zresztą młodzież „ideał“ znajdzie sama, jeśli tylko szkoła nie zabije w niej duszy. Artykuł, o którym mowa, gdy chodzi o krytykę szkoły jest znakomitym, ale posiada bardzo małą wartość, gdy chodzi o rzeczy pozytywne. Próbką owa „ostra klasyfikacya“ lub praca „organiczna“. Z projektem pozytywnym zreformowanej szkoły wystąpili ci sami profesorowie na zjeździe Tow. nauczycieli szkół wyższych podczas zielonych Świąt w Krakowie. Prof. Stein w referacie naogół bardzo sympatycznym, przedstawił zebranym potrzebę równoległej akcyi w kierunku wprowadzenia powolnych reform do szkół typu dzisiejszego oraz stworzenia wzorowej szkoły na wsi typu angielskiego z możliwem przystosowaniem do naszych warunków. Rzecz sama, aczkolwiek dla Krakowa nic nowego nie przedstawiająca, już bowiem od lat 4 potrzeba nowej szkoły jest szeroko omawianą*) a od września szkoła taka wejdzie już w życie dzięki inicyatywie p. Gedroycia i p. Dobrowolskiej — znamienną jest jednakże jako fakt, że pod presyą nacisku ze strony młodzieży i społeczeństwa najbardziej nawet oporny żywioł, jakim jest nasze nauczycielstwo, potrzebę zmiany szkolnych stosunków zrozumiał.

Jakie zaś stosunki i jaki duch panuje w szkole dzisiejszej, o tem przekonać się może każdy, kto ma dzieci w zakładzie naukowym galicyjskim. Że z roku na rok jest lepiej — nie ulega kwestyi. Każdy kto

*) Po raz pierwszy poruszono ją w seryi odczytów urządzanych przez Stow. im. Kraszewskiego p. Głos kobiet w kwestyi kobiecej „Wykształcenie kobiet“.

widział w r. b. młodzież szkolną defilującą w pochodzie w d. 3 Maja — nie wierzył oczom własnym, bo jeszcze przed paru laty branie udziału młodzieży w patryotycznych demonstracyach z „pedagogicznego punktu widzenia“ uważane było za zbrodnię. Dziś z obawy przed „czerwonym“ sztandarem pozwolono już młodzieży na czerwono-biały, — być może, że za lat parę „czerwony“ sztandar tak samo uzyska łaskę pedagogów galicyjskich, by uchronić młodzież przed sztandarem „czarnym“.

Ale to jeszcze nie stanowi ducha szkoły! O tym zaś duchu pouczy czytelnika książka p. Stefanii Sempołowskiej p. t.: *Niedola młodzieży w Szkole galicyjskiej* oraz książka wydana przez młodzież samą p. t.: *Młodzież społeczeństwu.*

Naturalnie według galicyjskich pedagogów książka p. Sempołowskiej jest napisana ze „zdumiewającą nieznajomością stosunków i wprost dziecięcą naiwnością (Muzeum, str. 456), tak naturalnie, bo przecież p. Sempołowska nie posiada „galicyjskiego“ dyplomu i według p. Gajczaka (Muzeum 452) „nigdy nie była i nie będzie pedagogiem“.

„Galicyjskim“ pedagogiem ani recenzentem nigdy nie była i nie będzie p. Sempołowska, o tem możemy p. Gajczaka zapewnić, ani też nigdy się nie posunie do dowcipów w rodzaju; życzymy jej, żeby ją Pan Bóg obdarzył kilkorgiem dzieci“. Tak piszą poważne oceny poważni „galicyjscy“ pedagogowie. Niestety mimo wszystko nie mogli recenzenci nawet przy całej swojej złej woli zarzucić nieprawidłowości głównej tezy książki: „szkoła galicyjska nie jest szkołą narodową polską! P, Tadeusz Pini (Muzeum, str. 455) powiada wyraźnie: autorka poparła to twierdzenie szeregiem faktów przeważnie prawdziwych i smutnych“. Co się zaś tyczy oceny wychowawczej akcyi szkoły galicyjskiej, która według p. Sempołowskiej opiera się na fałszu i obłudzie i dąży do wytworzenia lojalnych urzędników państwowych — na to już się p. Pini zgodzić nie może i nie godzi się jedynie dla tego, że materyał dowodowy czerpie autorka z *Promienia, Teki* i innych pism młodzieży.

Tak więc według p. Pini'ego świadectwo młodzieży nie jest wiarygodnem! Czyż to nie wspaniałe potwierdzenie zdania, że system wychowawczy przyjęty w galicyjskiej szkole jest złym zasadniczo! Czyż taki zarzut p. Piniego nie jest dla młodzieży obelgą? Młodzież może być surową, ostrą, brutalną nieraz nawet nielitościwie bezwzględną, ale jest zazwyczaj szczerą i tam gdzie czuje krzywdę i ból, tam kłamać nie będzie. Nie potrafi nakładać miękkich rękawiczek, obwijać prawdy w bawełnę, ale nazwawszy rzeczy po imieniu upominać się będzie głośno o swoją krzywdę. Takim głosem wołającym o zmianę stosunków panujących w szkole galicyjskiej jest świeżo wydana książka p. t.: *Młodzież społeczeństwu.*

Znajdujemy tam historyę akcyi prowadzonej przez galicyjską młodzież w sprawie reformy szkolnej (str. 5—18). Niestety! Przewidywania p. Maciszewskiego, że młodzież straci zaufanie do szkoły, jest już dziś faktem. Ale nie wywołały tego braku zaufania ani artykuły i odczyty osób „niepowołanych“, ani krytyki szkoły przez profesorów, pisane jak to przypuszcza p. Maciszewski, ale to zaufanie zburzyła szkoła

sama, zarówno system szkolny jak i jego wykonawcy. W artykule p. t. „Szkoła i człowiek“ znajdujemy obszerny ustęp, dotyczący stosunku młodzieży do wychowawców. „Stosunek ten nie na archaicznej zasadzie bezkrytycznego posłuszeństwa ma być oparty, lecz na ufności i rozumnem przedstawieniu ma się wznosić“. (Str. 69) „Miłości zaś i zaufania ani prawa boskie ani ludzie nakazać nam nie są zdolne, już choćby dlatego, że są to uczucia, paragrafami ująć się nie dające“. (Str. 71). „Skutkiem tej nieufności, jaką nas wychowawcy darzą, jest śledzenie nas na każdym kroku (76 str.) a stąd uczniowie, zmuszeni są kłamać, kłamać i jeszcze raz kłamać. Kłamią lojalność, kłamią wiarę, kłamią posłuszeństwo, naukę, uczą się ukrywać swe przekonania, nie okazywać na zewnątrz swych myśli“.

I dalej z gorzką ironią tak sama siebie charakteryzuje młodzież: „na łaskę i niełaskę profesorską zdany, codziennie wodą wyzwisk oblewany, na każdym kroku śledzony, każdego słowa pilnując, ust swoich niepewien, każde śmielsze słowo swoje z pogardliwem śmiechem odrzucane widząc, a godności swojej bronić nie mogąc, inkwizycyjną presyę bez protestu znosząc, nagany publiczne z własnej dla siebie czci go rabujące cierpiąc, karę karceru demoralizującą i poniżającą odsiadując, śmieciami odpadków wiedzy i balastem gratów zbytecznie sobie mózg zaprzątając... rozkwita młody człowiek i rośnie na większą cześć i chwałę szkoły, ojczyzny, społeczeństwa, i państwa!“

Gorzkie, lecz prawdziwe słowa! Wogóle broszura zawiera kilka wprost znakomitych artykułów, że wymienimy choćby tylko „demokratyzacya szkoły“, która całkiem słusznie zdaniem autora związaną jest ściśle z niezależnością szkoły oraz jej moralną i naukową wartością. Przez demokratyzacyę nie należy rozumieć zniżania jej do poziomu tych, dla których istnieje, lecz podnoszenie wychowanków do światła wiedzy i kultury. „Żadna partya nie da szkoły wolnej, tem gorzej, w warunkach dzisiejszych, gdzie aż munduru było potrzeba, aby wychowankom równość zaszczepić“. „Szkoła musi się wewnętrznie zdemokratyzować, to znaczy wyzwolić ze wszystkiego, co ją wiąże, ze wszystkich partyj, wyznań, ograniczeń, dopiero za tą wnętrzną wolnością szkoły nastąpi i swoboda zewnętrzna. Sama bezpłatność nauczania bez wewnętrznej demokratyzacyi szkoły nie doprowadzi do niczego: zyska się zamiast 3 milionów analfabetów, 3 miliony pseudo-inteligentów“. (Str. 80—81).

Nie mniej dobrym jest artykuł „Wykształcenie kobiet“, domagający się całkowitego równouprawnienia kobiet na polu wykształcenia. Dotychczas niema ani jednej rządowej szkoły średniej dla kobiet w Austryi, sfery rządzące nie mogą uznać, że dziewczyna ma przecież takie same prawo do wbijania sobie w mózg głupich deklinacyj łacińskich, jakie przysługuje chłopakowi“. (Str. 86). „Zadaniem wychowania kobiecego nie jest pielęgnowanie „kobiecości“ (patrz program liceów żeńskich) ale wskrzeszenie w kobiecie „człowieka“ odzyskanie jej dla człowieczeństwa. A takie wyzwolenie kobiety to olbrzymi krok ku uczłowieczeniu ludzkości“ (87 i 89).

Broszura zawiera przedruk wszystkich odezw, wydanych w ciągu roku ostatniego przez Komitet młodzieży krakowskiej. Widzimy z nich,

że młodzież myśli, zastanawia się i czuje gorąco. Odezwy dotyczą spraw najrozmaitszych, — zarówno kwestye pedagogiczne, jako też społeczne i etyczne znalazły w nich wyraz. Na podkreślenie specyalne zasługuje odezwa, dotycząca zakładania kółek etycznych. Rozpatrzono w specyalnym artykule plany i podręczniki szkolne, najmniej może udatna część całej książki — dalej artykuły w sprawie nauczania religii, w sprawie organizacyi samodzielnych młodzieży — a wreszcie pomieszczono przemówienie jednego z uczniów na wiecu (naturalnie tajnym) w dniu 19 grudnia. W przemówieniu tem zarzuca młodzież społeczeństwu „zapomnieliście o nas ojcowie i wychowawcy, o dzieciach waszych zapomnieliście, popatrzcie oto już u progu życia grzyb przerósł dusze nasze“ (str. 91). Rezultatem tego zapomnienia była konieczność ocknięcia się młodzieży samej. „Ruch w sprawie akcyi szkolnej czyli inaczej dyabeł, który tak straszy filistrów krakowskich, wyszedł z łona nas samych, z łona młodzieży“. „Zrozumieliśmy że na nic i na nikogo liczyć nie możemy*) (str. 93).

A wreszcie „my mamy prawo mówić w naszej sprawie, jeśli nie to, zamknięte w paragrafach biurokratycznych ustaw, to inne, zamknięte w duszy naszej, w udręczeniu tej duszy, prawo wewnętrzne nieodwołalne i święte prawo życia“ (str. 92).

Przewidujemy, że sfery „pedagogiczne“ galicyjskie oburzą się na to, szczere, a tak strasznie czarnemi barwami malujące stosunki szkolne odezwanie się młodzieży galicyskiej. Ale ostatnie z przytoczonych zdań o „prawie życia“ na wszystkie jęki i biadania starczyć powinno za odpowiedź. Młodzież, która się w szkolnej atmosferze „dusi“ (str. 1), nietylko ma prawo, ale obowiązek wołać głośno o zmianę tych stosunków, jeśli chce dowieść, że „żyje“ jeszcze. To też ze szczerem zadowoleniem witamy pojawienie się tej książki. — To samo odczuwali ci wszyscy, co przedmowę do niej podpisali. Spotykamy tam nazwiska ludzi różnych przekonań i różnych obozów politycznych, których jednak do wspólnej pracy nad „odrodzeniem średniej szkoły w Polsce“ zjednoczyło poczucie obowiązku i miłości w obec młodzieży.

I jeszcze jedno wrażenie ogólne z książki wydanej przez młodzież. Pisali ją ludzie młodzi, lecz wyrobieni. Na str. 94 powiadają „chcemy, aby każdemu zapewniony był swobodny, niczem nie skrępowany rozwój jego duszy. Nie przedstawiamy żadnych prądów politycznych ani społecznych, nie jesteśmy ani narodowcami ani socyalistami — jesteśmy przedewszystkiem ludźmi.

Na wolności i prawdzie oparta do dzisiejszych potrzeb pedagogicznych i potrzeb narodowych przystosowana a indywidualne cechy uczniów uwzględniająca szkoła oto ideał, którego od uczelni swojej wymaga młodzież. Jak się powinno w obec tego głosu młodzieży zachować społeczeństwo — chyba dwóch zdań o tem być nie może. Wierzymy, że dzisiaj, gdy potrzeba reformy szkolnej oprócz teoretycznych i czysto naukowych roztrząsań (Reforma szkolna -- pismo, wydawane przez pana Adama Szymańskiego, który całą akcyę, można powiedzieć, w Galicyi

*) W sprawie zniesienia matury.

zapoczątkował) zyskała odczucie wśród sfer bezpośrednio interesowanych t. j. młodzieży i profesorów (boć wychowawcy i wychowańcy razem tworzą szkołę) — sama reforma posuwać się zacznie szybszym niż dotychczas krokiem. *K. Bujwidowa.*

Przegląd sztuk plastycznych.

Kraków.

Sezon wiosenny, który bywa chwilą najżywszego ruchu wystawowego, najżywszej korespondencyi między artystą a puplicznością, — u nas staje się coraz... nie tyle bardziej martwym; ile obojętniejszym. Jesień i zima jeszcze pewien silniejszy lub słabszy ruch wykazują — potem cichnie porozumienie między ogółem a wytwórcami duchowymi na wszystkich polach. Jednak ta praca wtedy właśnie tętni najsilniej i rezerwuje tylko swe wystąpienie publiczne na inne pory.

Wystawy wiosenne stają się u nas coraz polem, terenem doboru, dla sił młodszych, zdobywających. Za to obudza się — u dojrzałych — ruch w nową stronę, na zewnątrz, na wystawy zagraniczne. Próba ta pomyślana jest praktycznie, wywołana koniecznością, bo niemożliwością zbytu na miejscu, a bądź co bądź dowodem budzącej się aktywności. Może się okazać korzystną materyalnie, dając ekonomiczną możność produkcyi bogatszej i ilościowo i jakościowo — jednakże szkoda kulturalna jest niewątpliwa. Dla ogółu i dla młodszych sił artystycznych, które powinny być rozwijane w ogniu walki o sztukę, przed sceną tworzenia się dzieł, zmagania się prądów. Dla ogółu, który coraz jednak zwraca oczy na ten objaw życia, albo który należy wciągnąć w zainteresowanie nim, powołując go do brania udziału, do współmyślenia z artystami.

Mimo to przyniosła obecna wystawa wiosenna jak na te warunki dość rozmaitości. Rozmaitej.

Najwięcej oburzenia u publiczności wywołały obrazy Gwozdeckiego. Jak wyglądają? Po kilka olbrzymich plam bardzo ciemnych a barwnych na ogromnych płótnach. To na pierwszy rzut oka. Poza tem są to prace jednostki psycho-fizycznie ogromnie o własnym punkcie wyjścia, mającej też zatem własne zdecydowane stany uczuciowo-wrażeniowe, upodobania. Kilka pejzaży, kilka portretów. Wśród ciemnej atmosfery pokoju widać jasną plamę twarzy; rysunek skupiony a przytem subtelny, szczególnie w twarzach: przeprowadzenie oświetlenia zdradza siatkówkę niezwykle czułą. Ma przytem pewną jednostronną subtelność, mianowicie w oddawaniu najlżejszych odcieni w barwie naskórka n. p. na plecach i szyi czeszącej się damy. Jest charakteru dość i typowości w postaciach przedstawianych, jednak brak im poza tem ożywienia.

Jeszcze bardziej, niż portrety, są „uproszczeniem“ natury jego pejzaże. Już wybór motywu jest odpowiedni: składa się z kilku pasów poziomych, z których pierwszy przedstawia brzeg, dalsze plany morza, nad tem plamy nieba lub chmur. Znowu obraz składa się z kilku silnych prawie jednostajnie założonych plam. Ale w tem uogólnieniu mają one tak „zważoną“ harmonię barwną, że : nadzwyczaj przekonywujące. Pewnie że prace te są jednostronne, zbyt zdradzaj zamiar uogólniania aż brutalnego, ale są pierwotnie jędrne i gdzie się artyści podobało, potrafią być lekkie, wyszukane n. p. w świeceniu wody morskiej. Ji na debiut, to mocno.

Widać przejście w inną manierę u Uziembły, życie nieba u Podgórskiego, pewien postęp w subtelności barw u Rychterowej. Do rzadkości należy tej artystki makata aplikowana z różnobarwnych sukien. Jest to rzecz tego rodzaju, co zeszłoroczne z wystawy tekstylno-ceramicznej Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej, zakupione z takiem uznaniem do muzeów niemieckich, tylko jeszcze doskonalsza. Kwiatkowskiego pejzaże to na pierwszy rzut oka utwory czysto optyczne. Takim jest duży widok rynku krakowskiego w śniegu i rannem słońcu. Ten ranek barwnie jest wyrażony jak najtrafniej. Poza tem jednak jest w nim ruch mieszkańców taki charakterystyczny dla tej godziny, to samo, co się zauważa, oglądając to miejsce po raz pierwszy. Więcej wrażeniowości ma drugi podobny motyw, tylko inaczej „wykrojony". Tu taka ciężkość masy Sukiennic i taka półsenność ranka. W szczególnie łagodnej dyskretnej barwnej harmonii. I czuć, że ten ton nie jest świadomie zamierzony, że jest subjektywną koniecznością, szczerością. Bardzo interesującym jest jego portret kobiecy. Poza upozowaniem sztywnem może, ale dającem zręcznie rozmieszczoną plamę, ma ta praca znowuż tę łagodność matową i zdmuchliwą tonu barwnego — i wyraz twarzy jasno interpretujący charakterystykę psychiczną i życiową osoby.

Ogromnie wiele też wyrazu ma pastelowy portret Pieńkowskiego. Ruch ciała i strój i oczy na pół opadłe, na pół oczekujące. Szary, ale drżący barwnością koloryt. Zaaranżowanie całości inspirowane z mody zachodniej.

W charakterystyce rysów twarzy i postaci znajdują zadanie portrety Fleiszmanna; rysunkowo przekonywujące. W przeciwieństwie do ich ostrej techniki, uderzają miękką, lekkiem dotknięciem wywołaną robotą głowy Hirszenberga. Pewne szczególne momenta w grze twarzy: jakaś badawczość w oczach.

Kamocki nie działa bezpośrednio — narzuca się w pierwszej chwili ciężka farba i ołowiana szarość całości. Trzeba dać działać na siebie — opłaci się. „Chcesz się znaleść na wsi w jednej chwili, wśród puszystych i t. d. — dać się owionąć swobodnemu powietrzu, czuć zapach ziemi... opuszczam resztę superlatywów, to chodź na wystawę, popatrzymy na Kamockiego", proponował mi przyjaciel. Czuć zapach naszej ziemi; istotnie! trudno o wierniejsze oddanie tutejszych okolic — falistych z roślinnością, co cierpi od klimatu, napół męczona przez mało się zaznaczającego człowieka, napół pozostawiona sama sobie, przypadkowi. A forma wyrażenia: przyciężka na pierwsze wrażenie, ale nieskończenie znuancowana, subtelna jak cienka do przejrzystości płytka. Władanie materyałem mistrzowskie, zrównoważenie szczegółów i pewność w działaniu całości na odległość. Z naciskiem stawiam pytanie: czemu dotąd niema Kamockiego w Muzeum Narodowem, wystarczająco reprezentowanego? Czy czekamy, aż obce galerye dzisiejszej sztuki wpierw się na nim poznają? Czy nie wystarcza najnowszy przykład, że zagranica co innego u nas ceni, niż nasz zakątek, że za tem może pewna stronniczość się wyrobiła?

Przemianie uległ Filipkiewicz. Czarność, która wiązała dawniejsze prace, ustąpiła. Artysta stał się wolnym w użyciu farby. Obrazek wystawiony jest szczególny — od barw tej siły doznaje się uroku fizyologicznej podniety w silnym stopniu. Śnieg świeci w nachylonem słońcu barwami, których jasność chyba z jaskrawością barwnych lamp elektrycznych znosi porównanie; albo odbicia w gładkiej wodzie rzeczki z najmilszymi grudkami śniegu płynącymi tak bezwładnie. To są więcej niż barwy. Tak żywo barwny widzieć świat — to kawał ochoty do życia, bo to budzi współgranie organizmu, dostrajanie się jego do tej

wysokiej nuty życia. To kipi barwami. Tego użycia doznać może ktoś tylko, kto przezwyciężył szarzyznę widzenia a zachował wezbrane zdrowie nerwów.

Kuczkowski sadza słusznego mężczyznę czarno ubranego pod czerwonym, jaskrawym abażurem i przeprowadza na nim oświetlenie. Określenie osoby uzasadnione. Inny efekt świetlny, — lamp elektrycznych na gościach kawiarni na wolnem powietrzu; tłum. ruch, noc, migotliwość strojów. Złudzenie rzeczywistości mogą dać portrety Cerchy. Tak, jak on przedstawia, widzimy, kiedy obojętni. spokojni patrzymy powoli — wszystko odpowiada prawdziwym, zwykłym warunkom i oświetlenie i kształty i wyraz i ułożenie osób. A jednak.

A jednak w tej samej sali wiszą portrety Merkla...

Kiedy jesteśmy przejęci w głębi duszy bez wiadomego powodu (to tak przychodzi), w chwilach szczególnej podniety duchowej mamy błyski patrzenia zewnątrz siebie ze szczególnem wniknięciem w głąb rzeczy. Zdarza się nam, że od jednego spojrzenia, prawie nie widząc otoczenia, ledwie jakby przez mgłę, odczytujemy ducha ludzi i rzeczy do głębi, widzimy we formie nie ją samą, lecz oderwaną treść, skupioną, wzmocnioną — — i blady fantom wnet znika, a wraca widzenie zwykłe, po wierzchu. Z takich chwil są portrety Merkla. Młody mężczyzna o brutalnym ruchu, silnej twarzy, wyzywającem spojrzeniu widocznie coś rozważa — i raczej jest to uosobione ufne w swą moc rozważanie, niż portret, mimo skończonego podobieństwa. Na innym: młody blondyn oparty o ścianę, zwisła głowa, opadłe ręce. I znów raczej to uosobione przeczulenie, marzycielstwo, niż portret. Ale jaki portret. Zarzucono Merklowi naśladowanie i bezbarwność. Co do pierwszego, — to tradycya działała na początki najdzielniejszych twórców, a już dobrze świadczy, jeżeli adept sztuki okazuje stanowczą skłonność w jakimś oryginalnym kierunku, choć już poniekąd istniejącym. Co do drugiego, to właśnie ową psychiczną zjawiskowość nadają te matowe barwy, które mimo swej tonowości są w obrazie.

Wyspiańskiego: Dziewczątko ukwiecone skłoniło głowę na stół. Bujność, pucołowate zdrowie, natura i słowiańskość w bezczynności.

Dziwny człowiek ten Malczewski. Niema nic bardziej przekonywującego, jak forma, jak strona malarska jego obrazów. Poprzez całą jej subjektywność. Każde miejsce obrazu jest przemyślane, świadomie i ściśle obrachowane w stosunkach. Bezwątpienia ten artysta ma styl, jak nikt drugi. Ze stanowiska tej konstrukcyi myślowej, która ten styl stanowi, są jego postacie skończenie prawdziwe t. zw. wiarygodne, aż do szczegółów. Tym razem n. p. zwróciłem więcej uwagi na uszy. Warto porównać — u każdej osoby inne i tak określone, że zdaje się możliwem ocenić z uszu osobę n. p. na portrecie starca, podłużne, grube, prawdziwe starcze ucho — a wiele uroku ma n. p. szczególnej cienkości i chrząstkowości uszko młodej kobiety z lewego skrzydła tryptyku.

Takie ucho tylko do takiej głowy; odczułem, zgadłem przedstawioną osobę szczególnie po tem uchu. Artysta więc, który tak suggeruje we formie, kazałby przypuszczać równą siłę przekonywującą i w artystycznej stronie swych dzieł.

b. ol.

SPRAWOZDANIA.

Sz. Asz: Nowele. — Tłumaczenie z żydowskiego — Warszawa; 1906 r.; nakł. Księg. Powszechnej.



DOM BANKOWY I KANTOR WYMIANY

WE LWOWIE, UL. HETMAŃSKA 12

SOKAL I LILIEN



kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, galic. Banku krajowego, jakoteż obligacye komunalnego Banku krajowego i oblig. pożyczki krajowej, wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszymi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia, wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje się jak najrychlej.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów **bez potrącenia prowizyi.**

Filia c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

wydaje oprocentowane **asygnaty kasowe**

oraz przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym i wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

ROCZNIK VIII. 1906.

ZESZYT VIII-IX.

SIERPIEŃ - WRZESIEŃ.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

ŁEŚĆ:

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	za granicą:	w Król. i Rosyi:
rocznie	K 12·—	Mk. 12·— fr. 16·—	rb. 7·60
półrocznie	„ 6·—	„ 6·— „ 8·—	„ 3·80
kwart.	„ 3·—	„ 3·— „ 4·—	„ 1·90
Nr. pojed.	„ 1·20	„ 1·20 „ 1·50	„ —·65

W Warszawie: kwart. rb. 1·50, półr. 3 rb., pojed. 60 kop.

UÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE

Lettres des Mrs.

edakcya i Admin.: Stachowskiego 14.

RAKÓW 1906

ękopisów, nadesłanych bez zażądania ze strony redakcyi, nie odsyła się.

um r zamyka się 20-go każdego miesiąca.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu. Redakcya i administr.: Kraków, Stachowskiego 14



(f)

Z WAKACYJ.

Kochany przyjacielu! Od kilku tygodni „cały świat inteligentny“, t. j. ludzi dobrze ubranych, rozsypał się po górach, lasach, wybrzeżach morskich, wśród rozmaitych idyllicznych i mniej idyllicznych rozkoszy używając wywczasów wakacyjnych.

„Na łonie przyrody“ — cierpliwej tej, a właściwie wzniosłej, nie troszczącej się o nas, bosko-obojętnej przyrody. Wdziewa ona cały przepych rozkwitu lata, rozpina nad sobą najcudniejszy modry i gwiaździsty baldachim, w nieskończoność biegnie widokiem majaczących w dali wód i szczytów, marzy w poszumie, dosycie i skwarze, chmurzy się i płacze wichrem smagana — nieczuła na ruchy i głosy depcących ją ludzi, jak gigant przedpotopowy mógł nie czuć siedzącego na nim owadu. I dobrze tak, dobrze dla tych dziesiątek i setek tysięcy, którzy na jej „łonie“ spędzają swoje wczasy. Coby oni poczęli, gdyby duch tej ziemi nagle przed nimi stanął, przemówił. „Nie są usposobieni do dyskusyi... chcą wypoczynku...“ Wypoczynku — w obliczu tej przyrody, która właśnie spoczynku nie zna, w której każdy moment jest przemianą, odnową, rozwojem, walką! w której nawet rozkład jest tworzeniem, a sen — kiełkowaniem nowego życia! która nie zna pozoru, kłamstwa, lecz kontemplacyę i nieskończony szereg czynów...

A w nas — w nas co się dzieje? Mózg drzemie, nerwy wypoczywają, krew się utlenia, a dusza, dusza?

Nie myśl, żem się ze spóźnionem wybrał kazaniem — przeciw wakacyom, przeciw związanemu z niemi próżnowaniu. Chodzi tu o co innego. Wakacye nasze to przywilej. „Ktoś musi nie spać, aby ktoś mógł spać“, a ktoś musi ciężko pracować, aby co dziesiąty inteligent mógł używać wczasów letnich. Nie mówię o tych,

których całe życie jest próżniaczem świętem — to są złodzieje, okradający ludzkość i czas, i nadejdzie moment, gdy jak ze złodziejami z nimi się postąpi. Ale warunki nasze „normalne" są tak nienormalne, iż tylko jednostki „lepszych klas" mogą na pewien czas oderwać się od mechanizmu pracy społecznej, by żyć sobą — dla siebie; ich próżnowanie reszta niepróżnujących ciężko opłaca; a ci wybrani, szczęśliwi, dopiero próżnować — nie umieją.

Szlachetne próżnowanie — wszak to najpiękniejszy dział życia, najszczytniejsze, powiedziałbym, powołanie człowieka. Pracować potrafi każdy, ale próżnować należycie?! Rozumiem najzupełniej starożytnych, którzy z pogardą pracę pozostawiali istotom niższym, a sami poświęcali czas pięknemu próżnowaniu, w mądrej antytezie do ponurego, ascetycznego ducha hebrajskiego, który człowieka przekleństwem pracy obarczył. „Müssigang ist aller Psychologie Anfang — was, wäre Psychologie eine Sünde?" Tak, tylko człowiek, który się oderwał od przelewania potu czoła nad pracą fizyczną, ten stworzył sztukę, literaturę, filozofię; tylko człowiek, odrywający się od kół i śrubek „podziału pracy", sam przestaje być kółkiem, staje się myślą, wnętrzem, głębią. Odrywając się od codzienności, staje wobec niej w należytej perspektywie — i ponad nią, jest krytykiem, duchem. I nie po jarmarkach przechadzają się boginie muz pięknych i nie wśród tłumu nawiedza człowieka gołębica natchnienia. Powiedz mi, bracie, kochasz ty godziny swojej samotności? Wielu znasz ty ludzi, którzy potrafią przestawać z samymi sobą i z wielką ciszą? Widzicie wy atmosferę, zaludnioną cudami, gdzie krótkowidze, choć w okularach badaczów, ich nie widzą — słyszycie wy muzykę, gdzie głusi, choć grający na wszystkich instrumentach, jej nie słyszą? umiecie wy, oderwawszy się od warsztatu, coś więcej, niż ziewać nad książką i — grać w karty?

Zdala od ludzi, rzuciwszy obowiązki powszednie, Największym ukazywały się duchy i obowiązki wieków. Wobec siebie samych musieli być — wobec wieczności. Dwór królewski swojego ojca i blask i przepych tronu rzucił Budda, aby rozmyślać nad nędzą i smutkiem wszechstworzenia. I czterdzieści dni i czterdzieści nocy w pustyni z Ojcem swoim rozmawiał ten, który żywot nieśmiertelny chciał ludziom przynieść. A ten, który nad Buddą i Chrystusem miał wydać wyrok, rzekłszy: *Der alte Gott ist tot!* także to uczynił po długich latach rozmowy z samotnymi szczytami gór, w towarzystwie orła tylko i węża swojego...

Iluż, iluż mamy taterników — do tych szczytów?
Ilu — takich „przyjaciół zwierząt"?
Widzę, widzę na twem czole chmurę, z której wypadnie grom...

Otóż nie, nie odrywam jednostki od życia, nie do czystej kontemplacyi buddystycznej lub nietzscheańskiej chcę ją powołać. Problem wakacyj — prożnowania — to kwestya właściwie społeczna, treść procesu społecznego, w jakim żyjemy.

Trzy fazy można rozróżnić w dziejach rozwoju społecznego. W pierwszej ideałem uciśnionej przez mniejszość większości jest prawo do życia. Czasy niewolnictwa starożytnego i feudalizmu. Olbrzymie masy, oddane na łaskę i niełaskę garstki właścicieli, sprowadzone do znaczenia rzeczy użytkowej, którą każdej chwili dla kaprysu lub jako narzędzie zepsute niszczono, na cmentarz jak na śmietnik rzucano; ogromne masy „współludzi" podzielały zupełnie los kotów i psów, których młode, o ile niepotrzebne lub o ile się ich nie rozdarowuje, topi się we wodzie (— przyjemny to zwyczaj, panujący u nas dotąd — prawda?), a starych niezdolnych do służby, na śmierć skazywano, gdy z osobnikami tęgimi postępowano jak z bydłem rozpłodowem. W społeczeństwach nietylko pogańskich lecz także „chrześcijańskich". I miliony osób miały jedną tylko troskę, by ujść temu losowi psów i kotów, jeden tylko cel bytu: by bodaj nagi byt uratować, możność istnienia pod słońcem. A gdy humanitaryzm nareszcie człowieka z rzędu rzeczy podniósł, było to wyzwolenie czysto iluzoryczne, wolność umierania z głodu: brakowało prawa do pracy. I o to walczą miliony w okresie kapitalistycznym. Najważniejszą ich troską: módz znaleźć kupca na siłę swych muszkułów i mózgów. Największą tragedyą: przy potężnych nieraz mięśniach i najbardziej czynnym mózgu — cierpieć z rodziną głód lub egzystencyę, niegodną istoty ludzkiej. Bodaj mordercza, wysysająca krew, zabijająca duszę praca — ideałem milionów. Temu ideałowi jak w paszczę molocha, rzucają żony, córki, dzieci nieletnie, jak w starożytności tańcząc i ciesząc się, że moloch łaskaw, dzieci ich raczy przyjąć a wraz z niemi matki; dostarcza pracy, pracy! Wysysa im wprawdzie krew, wyżera oczy, plugawi, hańbi, ale zsyła błogosławieństwo: daje zarobek, daje życie. Jeśli łaskaw — bo prawa do pracy „ludzkość" jeszcze nie uznaje, a walka o prawo do pracy jest właściwie ciągiem dalszym walki o realizacyę prawa do życia. Jądrem socyalizmu cóż jest? uznanie prawa do

pracy; udzielenie każdej jednostce wychowania według zdolności, każdej zdolności zajęcia według sił, każdemu zajęciu — wynagrodzenia według produkcyi.

Wówczas dopiero nastąpi ostatnia faza: umożliwienie prawa do próżnowania. Społecznie zorganizowana praca usunąwszy z jednej strony anarchię produkcyi, z drugiej — tysiące pasożytów, okradających większość z jej owoców, będzie mogła zredukować czas pracy do minimum społecznie niezbędnego, i jednostce zaoszczędzić jak najwięcej czasu, poświęcanego dotąd na pracę — dla innych. I bez smutnej konieczności obrócenia części ludzi w niewolników, by reszta mogła oddawać się szlachetnym zajęciom, jak to przyjmował Nietzsche, wpatrzony tak dalece we wzory piękna Hellady, że zasłoniły mu one zupełnie wiek XX. z jego maszynami.

Prawo do próżnowania — to cel, do którego prowadzi ewolucya nieuchronnie i ono dopiero przywraca człowieka rodzinie, przywraca go sprawom najużyteczniejszym, bo bezużytecznym: zadumie i obcowaniu z samym sobą. Tylko społeczeństwo, które miało tylu ludzi próżnujących, mogło chodzić na agorę, słuchać mów Peryklesa, dysput Akademii i podziwiać zręby Partenonu; tylko wyrwawszy się ze szczęku oręży i życia gromadnego mogły jednostki stworzyć obcowanie z duchem świata i *Fioretti* i system Kartezyusza. Myślicieli nieraz zastanawiał fakt, że świat starożytny, szczególnie grecki miał znaczną ilość wybitnych indywidualności, tak samo wieki średnie, gdy my mamy poziom przeciętności wyższy, ale jednostek mało. Co dziwnego? Wówczas ludzie mogli więcej próżnować. I głębsi pewnie byli, bez ruchliwości i nerwowości dzisiejszej więcej w duszę własną wchodzili. „Samotność mędrców mistrzyni...“. Praca uspołecznia, próżnowanie indywidualizuje. Dlatego w okresie najwyższego rozwoju socyalnego, proces uspołecznienia i indywidualizacyi będzie szedł równolegle — między jednym a drugim antagonizmu nie ma.

Z tej perspektywy rozpatrywana, cała historya społeczna jest walką o prawo próżnowania, a my, szczęśliwcy dnia dzisiejszego, jużeśmy je sobie w części zdobyli: w postaci krótkiego dnia roboczego, parutygodniowych wakacyj.

Pytanie tylko, czy próżnować umiemy.

Cała obrzydliwość współczesnej burżuazyi w tem właśnie się wyraża, że nie stworzywszy solidarności społeczeństwa — zatraciła także sztukę próżnowania i dar samotności. Mniejsza już

o jej salony — jedyne to miejsca, gdzie człowiek może być samotny. Ale jej teatry, stworzone na to, by grupa uświęcała, czego jednostka nie dokona: bezmyślność i najniższy trywializm; ale jej dzienniki, *familienblatty* i ulubieni pisarze, mający za zadanie zabijać czas i co najwyżej pewne tylko nerwy łechtać; ale jej rozrywki: handelki, karty, konie, dziewki luetyczne; ale jej wakacye: cztery—sześć tygodni w najpiękniejszej porze roku z całym rozmysłem obliczone na to, by za maximum pieniędzy minimum uczynić dla duszy — te wakacye z wleczeniem ciał opasłych i robaczywych po badach, wakacye z ich życiem hotelowem, wystawami toalet, nudami, zabijanemi przez karty, w najlepszym razie przez flirt, ten erotyzm tchórzów i bohaterów języka...

Nie, nie zatruwajmy chwil naszego próżnowania tem plugastwem.

Nie zapominam i zapomnieć nie mogę, że każda chwila mego próżnowania jest okupiona pracą i cierpieniem drugich. Ażebym ja mógł ze splecionemi pod głową dłońmi patrzeć w gwiazdy, jak złote oczy przedzierające się przez gąszcz gałęzi, musi o tejsamej porze tyle a tyle szwaczek oczy sobie wypatrzyć nad maszyną, albo oddawać się hańbie. Gdy w mojej głowie szum fal się układa w melodye, inne głowy omal nie pękają od troski, co się da jeść tym gorączkującym przez sen dzieciom. Cała nasza kultura, cała ta suma rozkoszy mniej lub więcej pięknego próżnowania, jest możliwa tylko przez to, że ogromna część ludzi wytwarza materyalną podstawę naszego bytu — nie dojadając, nie dosypiając, żyjąc haniebnie, ginąc marnie. Nie pocieszajmy się, że myśmy temu nie winni, gdyż ani ja, ani ty nie zagarniamy plonów cudzej pracy, nie żyjemy z nadwartości. Mała to pociecha, że właściwymi zbrodniarzami w obliczu ludzkości są lichwiarze, którzy za odrobinę swego kapitału lub trudu niezmierzone zbierają dochody: oni najwięcej, zresztą wszyscy-śmy winni, wszyscy jesteśmy odpowiedzialni. Jakiem prawem my używamy życia, używamy estetycznie lub bydlęco, gdy obok mrą z nędzy starcy, mrą dzieci, a setki tysięcy na zaspokojenie pierwszych tego życia potrzeb nie mają! Prawem naszego wykształcenia? ale ono jest produktem społecznym, zawdzięczamy je szkołom, na które się składa grosz, płacony państwu także przez ostatniego nędzarza, z każdego suchego kawałka chleba, a duchowo: kultura, będąca również dziełem pracy zbiorowej... Prawem naszych zdolności? a skąd wiadomo, że wśród tego olbrzymiego procentu dzieci, umierających z powodu ubóstwa

rodziców, nie znajdują się zarodki geniuszów, że codzień nie ginie z głodu, albo dla braku sposobności nie rozwija się jakiś Kopernik, Michał Anioł, Darwin? Wszyscy jesteśmy winni; wyrastamy jak kwiaty na gruncie, nawożonym przez krew i pot milionów żywych, przez szpik przedwcześnie w trudzie i smutku zmarłych — jak kwiaty mające świadomość swego podścieliska i korzystające z niego... w spokoju, zadowoleniu, z kłamstwem tzw. sumienia, wyrafinowanego przez chrześcijaństwo i cywilizacyę... Starożytny, który wierzył w świętość ustroju niewolniczego, przynajmniej był w zgodzie z sumieniem!

I myśleć o tem trzeba, myśleć o tem się musi szczególnie teraz... Oto, na jakich kłamstwach jest oparta cała nasza kultura. Tuż w sąsiedztwie dom się pali, ale ponieważ nasz wysokim murem jest odgrodzony, więc wyjeżdżamy spokojnie w góry. Tam brata zarzynają, ale ponieważ pomódz mu wprost nie mogę, więc daję składkę na sieroty, przy czytaniu dziennika oburzam się i idę na przedstawienie operetki. Niedaleko garstka szaleńców pazurami i zębami wpiła się w gmach krzywdy i nikczemności, by go wyważyć, wywrócić — przyglądamy się senzacyjnemu widowisku z oklaskiem dla aktorów, odgrywających dobrze swą rolę, lub irytujemy się, bo widok działa na nerwy, mąci spokój, obniża kurs pewnych akcyj... I zawsze z tem pobożnem samooszukiwaniem się, do którego tysięcy motywów dostarcza ów przebywający u nas chytry instynkt sobkostwa, ów niewygasły w nas duch Kaina, który mówi: „żalim ja stróżem mego brata?“ Bo pomagam zabijać — nie pomagając ratować, bo utrwalam krzywdę i nikczemność, nie spiesząc do pomocy, gdzie się burzy Bastyllę. Jeśli nie osobą swoją, to intelektem pomódz może każdy, jeśli nie tem współpracownictwem — to groszem, bodaj połową tego grosza, które się wydaje na „zabicie“ czasu wakacyjnego, — gdy ten nas zabija; bodaj tym groszem, który na podatki bierze moje państwo — wszystkiem raczej będące, ale nie mojem państwem. A przedewszystkiem pomagam — wznosząc siebie i drugich na stopień, na którym krzywda już nie gości, nikczemność pierzcha. Wymaga to pracy niekrwawej , ale niemniej natężonej, niemniej bojowej. Tymczasem — gdy tam światy się walą, światy się budują, z krwi i męki nowy duch się rodzi — my wczasom oddajemy się miłym, próżnowaniu słodkiemu!

Cudownie u nas się rozwinął ten chytry, padalczy instynkt sobkowstwa, który tysiące wynajduje racyj, aby usprawiedliwić

Kaina, zabijającego — biernością. A jeżeli mimo naszej bierności, naszego tchórzostwa, naszego egoizmu „sprawa“ zwycięży — jak chętnie każdy będzie brał udział w obchodzie zwycięstwa, jak szybko każdy dłoń po owoce tego zwycięstwa wyciągnie! To także należy do właściwości natury burżuazyjnej — umiejętność korzystania z cudzych poświęceń. Nie znało tej cnoty rycerstwo w szlachetnych swych czasach, gdy każdy uważał za punkt honoru na grot nieprzyjacielski rzucać się pierwszy; nie zna jej proletaryat, gdzie wszyscy cierpią wspólnie i dla solidarności narażają się wspólnie. Wszak cały dobrobyt i kultura burżuazyi pochodzi z poświęceń i prac cudzych. Wszak wszystkie rewolucye europejskie miały dotąd ten typowy przebieg, że lud krwią swą obficie zraszał pole — plon i władzę zagarniało tchórzliwe mieszczaństwo. Tylko patrzeć, a po wysoko bijących falach krwi bojowników zaczną pływać łódki spekulantów, by jak najprędzej dobić do portu, gdzie się mieszczą giełdy, ciała prawodawcze, gmachy komend rozmaitych. — Bez troski, bez wahania korzysta się z ofiar i całopaleń cudzych — podobnie, jak z całym spokojem korzysta się z wakacyj, t. j. z miłego próżnowania, opłacanego przez ciężki trud i nieludzki byt armii pracy.

Jedynem usprawiedliwieniem, jedynem pojednaniem: próżnowanie, podnoszące i rozszerzające duszę.

Nie myślę bynajmniej, byśmy godziny i tygodnie naszego wypoczynku w klasztorach mieli spędzać — bodaj w tych klasztorach świeckich, o których marzył Taine. Samotnym człowiek myślący może być w najliczniejszem towarzystwie, a podniet i wzruszeń towarzyskich dostarczy mu także samotnia leśna. Piękno znajdzie on we wszystkich szlachetnych ćwiczeniach ciała, — do ucieleśnienia w pięknośći i sile będzie każda jego myśl dążyła. O treść chodzi — a nią może być tylko takie ukształtowanie swego życia, by być uspołecznionym w pracy a jak najbardziej rozwijać, wzbogacać, potęgować swą indywidualność. Uspołecznienie w pracy dozwoli każdemu być syntezą tysięcy, indywidualizmem zaś swym będzie wybiegał w przyszłość. W trudzie i zajęciu codziennem spłaca się dług obowiązkowi życia powszedniego, które nas karmi i utrzymuje; cofając się na pewien czas od tego życia, nie gubi się w niem człowiek, z wyżyny je rozpatruje i nabiera tchu, siły, by być zwiastunem, odrodzicielem. Czemże jest indywidualista poza formą? W treści, o ile świadomie jej nie bierze od czasów minionych, jest tylko obrazem stanu, do którego ogromna

większość będzie zdolna za lat dziesiątki lub setki. Szukaniem w sobie i wyzwalaniem tych sił jutrzejszych niech będzie próżnowanie. Każdy, korzystający z przywileju wycofania się na pewien czas z koła obowiązków bezpośrednich i pracy fizycznej, obrazem niech będzie człowieka jutra, jego uduchowienia, jego piękna, jego wolności, jego ogarnienia całego człowieczeństwa i ustawicznego wzrastania ponad nie. Niech każdy nasz powrót w atmosferę trudu i znoju, w atmosferę ciężkiej walki i przytłaczających wysiłków, będzie powrotem ludzi, którzy cudowne zwiedzali krainy, ojczyzny przyszłości, i stamtąd przynoszą dobrą nowinę, odblaski jutrzni, poszum skrzydeł. Tem samem przezwycięży się i wyrówna nędzę bytu, w której wszyscy na razie musimy przebywać i z której niezasłużeni, ale szczęśliwi korzystamy.

Napisz mi, przyjacielu, jak spędziłeś ostatnie wakacye.

EDWARD LESZCZYŃSKI.

GDY W MOGIŁĘ ZAMKNĄ CIEMNĄ...

Gdy w mogiłę zamkną ciemną
me serce tułacze,
ludzka miłość niech nademną
umarłym nie płacze;

bo mi trumna nie za ciasna,
ni mię noc przestrasza;
moich pieśni gwiazda jasna
niech mi mrok rozprasza —

niech nademną oddech boży
płynie z chłodem ros —
już mię żaden lęk nie strwoży,
ni doścignie los;

bo grot losu już bezsilny
u żelaznych bram,
już ja wtedy pan mogilny
odpoczynek mam.

Już ja wtedy rosnę w ciszy,
niewidzialny duch —
w szumie liści mię usłyszy,
kto otworzył słuch.

Gdy się łany zazielenią,
gdy zapachną kwiaty,
w dal odśmiechnę się przestrzeniom,
kędym żył przed laty.

A gdy będzie bardzo cicho,
gdzieś, gdzie ludzie siędą,
przy łuczywie, w chatę lichą
przyjdę jak z kolendą.

W własnem sercu mię usłyszy,
kto otworzył słuch
i harmonią będę ciszy,
niewidzialny duch.

W. F.

CZTERDZIESTOLECIE ELIZY ORZESZKOWEJ.

W roku 1866 pojawił się w *Tygodniku ilustrowanym* obrazek „Z lat głodowych", podpisany nieznanem wówczas nazwiskiem Elizy Orzeszko. Obrazek bardzo charakterystyczny. Młoda autorka, wychowanka bogatych dworów litewskich, wysokiej kultury, dziedzicznej w jej rodzinie. dobrych i złych tradycyi szlachty ówczesnej — pierwszy krok samodzielny skierowuje nie ku światu salonów i zabaw, miłości i użycia, lecz w głąb idzie, w głąb warstw społecznych, które pracują ciężko, ciemne, nędzne, z piękna odarte, zaniedbane i wydziedziczone... W tę głąb idzie nie z ciekawością wrażeniowca, schylającego się nad przepaścią, nie z paletą artysty wydobywającego kontrasty, i nie z krzykiem pomsty na widok złych potęg, staczających ludzi w otchłań, ale też w dłoni nie trzyma plasterków dla zasklepiania głębi, plasterków z apteczki dworka litewskiego i zakrystyi. Zna skrzydła i zna niebo, ale inne, niż tradycyjne; zwiastuje ludziom „żywy cel ukochania i zachętę dążeń

ku postępowi, który zbliży szczęście nie jednostkom, lecz ogółowi całemu".

Wielka miłość człowieka jako człowieka, nie zaś jako objektu artystycznego, stała u źródła twórczości Orzeszkowej; u celu zaś — nie idea metafizyczna, lecz chęć skłonienia nieba ku ziemi. Dobro ogniem gorejącym zapełniało jej duszę — idea dobra została też treścią i celem całej jej twórczości.

Lat czterdzieści.

* * *

„Z lat głodowych" obrazy i obrazki pisywała Orzeszkowa i nadal — zdaje się, że przez blisko pół wieku nic innego nie pisała. Bo też głód panował w kraju, który był jej sercu najbliższy — głód nienasycony trawił jej serce.

Głód dobra...

Rozszerzyło się tylko to pojęcie — istota została niezmieniona. Czy to, jak w pierwszym swym utworze, opisywała dziewczynę, okazującą parobczakowi swą miłość odejmowaniem sobie od ust strawy dla niego, czy to przedstawiała zaścianek Bohatyrowiczów albo Chama w całej sile bytu żywiołowego; ukazując Sewerynę, która dwukrotnie najcięższe serca ponosi ofiary („Dwa bieguny", „Ad astra"), lub Meira Ezofowicza, biorącego na młodą swą głowę klątwę i łzy, aby odpłacić się światłem i miłością; śpiewając melancholijną „Pieśń przerwaną", czy też malując bankructwo „Argonautów", wybierających się w świat bez busoli ideału — zawsze z tej samej czerpała przeczystej krynicy i zawsze skierowywała srebrny swój strumień ku morzu dobra. Nie należy Orzeszkowa do typu artystów, będących tylko narzędziem w rękach siły wyższej, tworzących w świętym szale natchnienia, bezwiednie, żywiołowo; akt jej twórczości zdaje się być kierowany przez inteligencyę chłodną, trzeźwą, która świadomie nadaje pomysłom bieg, przystań i port ostateczny, z rozwagą, dedukcyjnie przystosowuje cały aparat artystyczny do idei powziętej z góry; czujemy to dobrze w toku czytania i razi nas nieraz aprioryzm tej metody — zawsze jednak czujemy równocześnie, że idea naczelna dzieła jest pierwotnym, niewyrozumowanym stanem najgłębszym, istotą i sercem serca każdego dzieła, a tą ideą — dobro. Orzeszkowa to dobro. Ono było w niej, zanim się rozwinęła w wielką artystkę, ono zostanie, gdy bieg czasu niejedno z jej dzieł w dal usunie, ono promieniuje przez lat czterdzieści nieprzerwanie, jak z niezachodzącego nigdy

słońca. I oto stało się, co stać się musiało: słońce wywarło swój wpływ na ziemię. Orzeszkowa stała się więcej niż znakomitą, a u nas najznakomitszą pisarką: przeniknęła swym duchem część niemałą życia, wydobyła swem ciepłem z ziemi mnóstwo ukrytych w niej pierwiastków, jest jedną z twórczyń współczesnej kultury polskiej.

* * *

Kobieta w całem znaczeniu wyrazu, po kobiecemu dawała wyraz swojej duszy. Piękny, przepiękny w swej powadze i prostocie obraz. Po roku 1863 głód panował w umysłach, gruzy w świecie nadziei, ran pełno było i bolu morze. Orzeszkowa zjawiła się, jak jedna z tych dawnych bohaterskich kobiet kresowych, które brały w swe ręce rządy, gdy mężczyźni bawili na wojnie lub ginęli. Pierwsze jej powieści nie są też tworami artystycznymi, ale są też czemś więcej, niż literaturą. Prawdziwa kobieta — piastunką chciała być swemu społeczeństwu, wychowawczynią dorastających pokoleń, zawiadowczynią ich dóbr, strażniczką świętości. Dla kobiety wobec dziatwy żadna robota nie jest poniżającą, żadna ofiara za dużą. Orzeszkowa prowadziła też generacyę po roku 1863 od kolebki do mogiły. Tępiła lekkomyślność, pretensye arystokratyczne, sobkostwo („Pompalińscy“, „Pierwotni“), reformowała wychowanie („Pamiętnik Wacławy“, „Pan Graba“), ostrzegała przed małżeństwem nierozumnem („Na prowincyi“, „W klatce“, „Ostatnia miłość“), wtykała ołówek do ręki, nawołując do pilnowania interesów („Eli Makower“), przedstawiała straszną przyszłość tych, co pracować nie umieją („Marta“), ostrzegała, gdy kobiece trwożne serce dostrzegało bodaj widmo niebezpieczeństwa („Widma“, „Sylwek Cmentarnik“). Ogrom miłości często wylewał się w nadmiarze strofowania i przekonywania, z kobiecą chęcią strzeżenia od wstrząśnień, z ustawiczną tendencyą przystosowania do życia, byle przedmiot ukochania przyszłość miał czystą, niezbyt może górną, ale pewną, jasną, w zgodzie z głosem obowiązku i ludzkości. Kobieta jest romantyczną w stosunku do kochanka, narzeczonego, rzadko jednak jako matka — i u Orzeszkowej nie znaleźć romantyzmu społecznego. Dobro, jako naczelny pierwiastek duszy, do utylitaryzmu raczej prowadzi, niż do idącej przez krew i pożogę idei wielkości. Nie o wielkości też śniła Orzeszkowa dla przedmiotu swego ukochania, ale jak matka u łoża chorego dziecka: o zdrowiu jego, czystości i sile, potrzebnej na to, być żyć dla obowiązku względem siebie

i drugich. Nie wystarczała jej forma belletrystyczna, przekonywała, nawoływała w szeregu rozpraw teoretycznych, tchnących zawsze troską serdeczną, myślą wychowawczą (rozprawy o kobiecie, o Żydach, o kosmopolityzmie i patryotyzmie), a w treści, a w dewizie, zawsze, jak pierwszego dnia twórczości, nosiła ów „żywy cel ukochania i zachętę dążeń ku postępowi, który zbliży szczęście nie jednostkom, lecz ogółowi całemu...“

Przez długie lata pisarka tak przemawiała, obywatelka — jeszcze nie poetka, dusza nawskroś kobieca, a na miarę ludzkości całej...

* * *

Ciekawy fakt psychologiczny. W ciągu wieków — najwięcej zaś w czasach ostatnich, kobieta na wszystkich polach twórczości spróbowała swych sił i często z rzetelnem powodzeniem — z jednym tylko wyjątkiem: nie znamy prawdziwych tragedyj z pod pióra kobiety. W matematyce jest więcej śladów myśli kobiecej, niż w dziedzinie dramatu. Zdaje się, że serce kobiece za tkliwe jest, za miękkie, by pozwalało myśli być logiczną, gdzie ta operuje losami żywych ludzi; nie umie kobieta śmiało spoglądać w oczy Losowi, być, jak on, bez miłosierdzia. I Orzeszkowa ideę dobra zbyt uosabiała, by módz dochodzić do niej po gruzach i trupach. Czujemy też w mnóstwie jej utworów, że logika artystyczna załamuje się, serce kobiece bierze górę nad bezwzględnością prawdy życiowej, zaciera jaskrawości i kanty, łagodzi, koi, unika starć, kataklizmów, boi się idei i ideałów, o których nie wie, czy aureola ich płonąca krew oznacza, czy też świtu zorzę...

Ten sam objaw także w formie. Styl Orzeszkowej pozbawiony burzliwości; w treści wysoce nieraz dramatyczny, rzadko jednak potęgą słowa. Zdania toczą się długimi okresami, jak u ludzi, których pierś nie wstrząsana uczuciami gorączkowemi; porównania obfite, szeroko rozsnute, mieniące się wszystkimi kolorami spokojnej, łagodnej łąki kwietnej. Na straży każdego ustępu stoi czujna inteligencya, przeplata tragiczne momenty aforyzmem, refleksyą, cytatem; nie daje się porywać potokowi natchnienia, nie porywa też czytelnika siłą elementarną, któraby działała jak prąd wartki, gwałtowny, lecz niesie w dal, za tokiem dobrze obmyślanej akcyi, jak głęboka, a spokojna, uregulowana rzeka. Troska kobiety, która od młodości wzięła na swe barki ciężar ogromny, wyraża się także w braku — śmiechu; z czoła autorki zmarszczka rzadko schodzi, częściej pojawi

się w kątach ust drgnienie goryczy i bolu. Na ironię obrazowanie jej często nastrojone — wystarczy przypomnieć świetne karty „Nad Niemnem“ — na szczerą dźwięczną wesołość nigdy. Cechy równowagi i harmonii nosi też wyobraźnia Orzeszkowej. Wolna ona zupełnie od chimer i koszmarów romantycznych, od gorączki i rozwichrzenia, nie wyolbrzymia wypadków i ludzi, nie zapuszcza się w labirynty i podniebia, po ziemi chodzi, w bliskie sobie ludzkie gniazda i serca zagląda. Daleka przytem od naturalizmu. Z predyspozycyi swej: apostołki dobra, dochodzi naturalnie do pojmowania sztuki, jako organu kształtującego, nie zaś odtwarzającego życie. Fantazya jej więc, lubo wierna ziemi, trzyma się jej nie jako aparat fotograficzny, ani jako niewolnica. Życie jest dla niej materyałem, który fantazya przetwarza, formuje podług tchnienia idei dobra. Stąd życiu w utworach Orzeszkowej bardzo często brak wiewu bezpośredniości: czuć niejednokrotnie, że przeszło przez elembik mózgowy. Np. obrazowaniu jej brak niejednokrotnie konkretności, dyalogom — naturalności. Bardzo chętnie posługuje się w opisach, rozmowach, refleksyach określeniami nie realnemi, lecz szeregiem przenośni i abstrakcyj. Jest w tem coś więcej, niż przymus ukrywania myśli, wywołany przez wandalizm cenzury: właściwość to organizacyi artystycznej, która unika zbyt wyrazistych konturów, brutalnych barw, prawdy zmysłowej. Temperamentowi tej organizacyi brak przytem krwi, namiętności. Stąd szeroka, spokojna epika typową jej formą. Życie namiętności zajmuje w pięćdziesięciu powieściach naszej autorki bardzo szczupłe miejsce, słyszymy o niem — nie widzimy go ani razu; o ile się z niem spotykamy, to jako z przykładem smutnym, odstraszającym. I ten brak namiętności spowodował też odporne stanowisko wobec wszelkich skrajnych idei społecznych i umysłowych.

Właściwości te organizacyi psychicznej złożyły się na całokształt duszy zrównoważonej, rozmiłowanej w pięknie bez dysonansów i zgrzytów, w pięknie przedewszystkiem duchowem, dążącej zawsze do zsyntetyzowania kontrastów, do harmonii, która dla niej byłaby tajemnicą i celem bytu.

Taka indywidualność była właśnie potrzebna społeczeństwu w latach osłabienia i rekonwalescencyi; nie wstrząsała organizmem który niedawno przebył tak ciężkie przesilenie, podawała mu myśl i karm ręką spokojną, racyonalną, wskazywała cele, dostępne nietylko jednostkom wyjątkowym, lecz każdej dobrej woli — dobra,

mądra wychowawczyni, prawdziwa pomnożycielka kultury swego narodu.

* * *

Gdyby nic więcej Orzeszkowa nie była napisała, jak tylko szereg utworów, ciągnących się do roku mniej więcej 1880, imię jej byłoby złotemi zgłoskami zapisane w księdze zasług obywatelskich — w księdze sztuki potomność spotkałaby się z niem tylko, jako ze wspomnieniem.

Orzeszkowa żyje jednak i żyć będzie, jako wielka artystka.

Jestto właśnie tajemnicą wielkiej duszy, że nie ma dla niej ludzi i spraw małych; widzi ona głębiej i dalej, niż ludzie przeciętni; pod pozorami, narzuconymi przez czas i miejsce, dostrzega pierwiastki wiecznie-żywe, wszechludzkie, idee i uczucia, spokrewnione z najogólniejszymi tymi procesami, które stanowią nieskończoną treść wszechbytu. To dalekowidztwo wyrobiła sobie Orzeszkowa, ostrząc wzrok nad drobnoustrojami życia, ostrząc myśl nad ich losami. Nie zgubiła się wśród trosk gospodarskich — w paru chwilach natchnienia przerastała normalną swą naturę. Wówczas zdobywała się na energię myślenia, nie przystawającą w połowie drogi, przebijającą wszystkie przeszkody, snującą nić podjętą śmiało, bezwzględnie, do końca — tragicznie. Nie wyrwała się z swej indywidualności: idea dobra pozostała i nadal wiecznie bijącem źródłem jej twórczości, ale biegowi jego nie kładła tamy, nie przepisywała mu z góry celu: pozwalała falom płynąć wedle ich natury, wedle praw, rządzących ogarniającym je kosmosem. I powstało wówczas kilka arcydzieł, takich jak „Cham“, „Meir Ezofowicz“, i mnóstwo drobnych nowel ze zbiorów „Melancholicy“ i „Z różnych sfer“.

Tylko serce przepełnione miłością mogło się zdobyć na to jasnowidztwo, które jest potrzebne do przenikania duszy takiego „Chama“ lub całego tego świata żydowskiego, z którym się w wielkiej części jej utworów spotykamy. Kto wie, ile zapór nieprzebytych dzieli jednostki od jednostek, szczególnie różnego pochodzenia, różnej uczuciowości, różnej logiki, ten nigdy nie oprze się zdumieniu na widok niesłychanej tej prawdy, jaką tchną postacie żydów lub chłopów litewskich Orzeszkowej. Błędy popełni ona czasem w opisach życia zewnętrznego — nigdy zaś obrazowaniem dusz. Mylić ją może wzrok fizyczny, nie zaś intuicya w tych szczęśliwych godzinach, kiedy magnetycznie brała w siebie całe światy obce. Zapomina wtenczas o wszelkiej dydaktyce spo-

łecznej, — nie pisze cyfr w księdze bieżącej kraju — pisze i czyta w otwartej przed nią wiecznej księdze duszy ludzkiej. Widzi tam tego ciężkiego, prostego chłopa, szamocącego się ze złym demonem Franki, aby go wprawdzie nie powalić, ale samemu uróść na olbrzyma; widzi tam pogrążonego w szarzyźnie nędzy i smutku żyda, którego oczy raz ujrzały miraże piękna i bohaterstwa, aby odtąd na zawsze zasnuć się łzami żalu i tęsknoty bezmiernej; inne dwa światy widzi, walczące z sobą, jak Aryman i Ormuzd, w otoczeniu młodego Ezofowicza. Nie, i w te zjawiska patrząc Orzeszkowa nie zapomniała o znaczeniu ich dla bilansu społecznego, ale idea dobra, będąca jej cor cordis, urosła do takiej potęgi, iż śmiało mogła spojrzeć w oczy Losowi i z nim się mierzyć. Jeden to z największych tryumfów sztuki. W takich dziełach, jak „Cham“ lub „Ezofowicz“ pozwoliła poetka toczyć się wypadkom podług wymogów wewnętrznej ich logiki, z całą nieubłaganością i tragizmem; w poprzek kołu, tratującemu szlachetnych, nie kładzie hamującego dobrego swego serca — i Zło na pozór tryumfujące, a przecie... Nieskalane dzieła sztuki są zarazem dziejami zwycięstwa geniuszu dobra. Wszystkie pierwiastki bogatej natury zdobyły się na całość, która wzbogaciła zarówno skarbiec literatury, jak i księgę czynów cywilizacyjnych.

* * *

Córa a zarazem twórczyni okresu walki kulturalnej, Orzeszkowa jest postacią pełną, skończoną, bez kompromisów i ustępstw. Wiarą jej — miłość, orężem — słowo, najwyższą cnotą — zaparcie się samego siebie. Dobro, którego ona uczy, nie umie wojować, umie zwyciężać wyższością moralną, ocalać swą dostojność — abnegacyą. Czy broń to jednak nie zawodna, a cnota nie za dobra dla tego świata? I Chrystus miecz przypasał karzący, a siłą wypędzał przekupniów z świątyni...

Cały szereg ostatnich powieści społecznych Orzeszkowej nastrojony jest na nutę wysoce melancholijną. Poetka widzi coraz częściej, że życie oplata jednostkę takiemi sieciami i węzłami, że nic innego jej nie pozostaje, jak złożyć znękaną głowę na poduszce tradycyjnego obowiązku, póki śmierć oczu nie zamknie; rozcięcia sieci i węzłów, torowania sobie drogi do nowych krain i nowych cnót nie chce dopuścić. Widzi dalej, jak cały naród znalazł się jakoby w matni bez wyjścia, i wszystkim jednostkom, wpadającym z tego powodu w tysiączne kolizye, zaleca jeno ratowanie dóbr

najświętszych: indywidualności własnej, opartej po anteuszowsku o ziemię; znowu metody rozcinania węzłów dławiących, nowych dróg, nowych cnót nie uznaje. W rezultacie musi dojść do konkluzyi, obcych czasom jej młodości wierzyć w jakąś sprawiedliwość pozaziemską, w krainę nadbytu, w której się wyrównywują krzywdy, goją rany, a wszelkie dysonanse w harmonię wieczną zmieniają...

Przy całem pięknie tej wiary, człowiek dzisiejszy nie może się jednak oprzeć uczuciu protestu. Potrzeba pełni i całkowitości wyżycia się jest w jednostkach tak silna, że stawiać jej z góry ideał rezygnacyi, znaczy skazać się dobrowolnie conajmniej na bezpłodność. A juści całemu narodowi, całej klasie, grupom całym wprost już niepodobna wskazywać jako środka — bierności doczesnej, a jako celu — sprawiedliwości w krainie metafizyki.

Stąd w stosunku Orzeszkowej do najmłodszego pokolenia rozdźwięk przykry.

Wykarmieni zasadami nauki o ewolucyi, wiemy jednak dzisiaj wszyscy, co zawdzięczamy okresowi, który nas wydał. Był on wielkim budowniczym; z gruzów wzniósł cały gmach naszego bytu, napoił go myślą światłą i wolną, gromadził w nim ludzi w imię czystego człowieczeństwa. Wzmocnić od podstaw i rozszerzyć ten gmach pragną najmłodsi, nie zaś zburzyć; więcej tam chcą wprowadzać niż stamtąd wypędzać. Jest on jednym z kościołów, prowadzących po Kalwaryi ludzkości nie do męki, lecz do odrodzenia, a jednym z duchów dobrych, co najwięcej światła, mądrości i dobra tam wniosły, jest Eliza Orzeszkowa, twórczyni kultury i wychowawczyni pokolenia; zaś z kilku ksiąg, które nam dotąd dała, przez długie, długie czasy spływać będą wzruszenia artystyczne, głębokie i szlachetne..



DR. JÓZEFA KODISOWA.

FILOZOFIA NOWOKRYTYCZNA.

Tomik, który mamy przed sobą*), zawiera wybór prac różnych autorów. Są tu dwa artykuły Ryszarda Avenariusa, dwa Karola Goeringa, jeden W. Siebecka, jeden Doeringa, jeden Waihingera i jeden W. Wundta. Wszystkie te prace drukowane już były dawno, przed laty, w „Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie". Ponieważ jednak w Polsce mało znaną jest wogóle peryodyczna literatura filozoficzna zagraniczna, a szczególniej tak poważne pismo, jakiem w swoim czasie było „Vierteljahrschrift", więc też przyswojenie językowi polskiemu tych prac, z których niektóre po dziś dzień są cenne, uważamy za sprawę pożyteczną. Wydawnictwem tem tak „Przegląd filozoficzny" jak i pp. Mahrburg i Massonius, którzy zredagowali tę książkę, zasłużyli się niewątpliwie ogółowi. Do tych słów zasłużonej pochwały, niech nam wolno będzie dodać jednak i kilka słów krytyki.

Przedewszystkiem w książce takiej, jak omawiana właśnie przez nas, poszukuje się jakiejś jednej myśli głównej, jakiegoś celu, który spowodował zredagowanie właśnie w dany sposób wydawnictwa. Dlaczego wybrano mianowicie te, a nie inne prace? Albo chodziło tu o utorowanie drogi w Polsce pewnemu kierunkowi filozoficznemu, albo o poznanie historyi jakiegoś zagadnienia. W tem ostatniem przekonaniu utwierdza nas i przedmiot artykułów, których większość dotyczy wprost kwestyi d o ś w i a d c z e n i a. Tylko praca Wundta o z a g a d n i e n i u k o s m o l o g i c z n e m stoi zupełnie na stronie. Przypuśćmy jednak, że w danym razie skuszono się wielkiem imieniem Wundta i zastanówmy się bliżej nad resztą artykułów. Wyszły one z pod piór autorów przedstawiających rozmaite kierunki filozoficzne. Typowy metafizyk Doering, pozytywista Karol Goering, dalej Avenarius i Siebeck i t. d. są zbiorem imion tyle i tak odmiennie nam mówiących, że tylko chęć oświetlenia z różnych stron jakiegoś zagadnienia, w danym wypadku rozbiór pojęcia, doświadczenia i jego stosunku do rzeczywistości, mogło pobudzić do zestawienia ich ze sobą. Jednakże tytuł i przedmowa p. Massoniusa wskazują nam, że jesteśmy w błędzie. Chodziło tu o zaznajomienie publiczności z kierunkiem n o w o k r y t y-

*) „Filozofia nowokrytyczna". Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego" 1905.

cznym. Otóż zdaniem naszem, grzechem kardynalnym danej książki jest właśnie ten jej tytuł, łączący w jedno prace istotnych neokrytyków i ludzi zupełnie innej szkoły, tak w pewnych razach przerastających duchowo rzeszę neokrytyczną, jak kukułka przerasta fizycznie gromady szczebiotliwych szczygłów, z którymi przypadek połączył ją w jednem gnieździe.

W „Vierteljahrschrift für wissenschaftliche Philosophie“, z którego tomik nasz został przetłómaczony, zjednoczył był Avenarius prace, które w jego przekonaniu służyły do rozwoju filozofii naukowej, nie zaś nowokrytycznej. Filozofia zaś naukowa obejmuje w sobie bez porównania więcej niż nowokrytycyzm. W znacznej swej części wyrosła ona zupełnie niezależnie od Kanta i jego krytyki rozumu czystego. W innych wypadkach związek jej z Kantem był zupełnie zewnętrzny. Sam Avenarius wytworzył swój system na zgoła innych, niż Kantowskie podstawach. Determinujący wpływ na ukształtowanie się jego filozofii miał pierwotnie Spinoza, później Herbart, a w końcu i przeważnie studya psychiatryczne. To oparcie się na faktach, nie na rozumowaniach, które zawdzięcza Avenarius przejęciu się metodą psychiatryczną, wytwarza tę głęboką otchłań, jaka oddziela filozofię Avenariusa od systemów filozoficznych jego poprzedników. Podsuwając więc artykuły Avenariusa w grupę prac neokrytycznych czyni się mu krzywdę.

Ale chodzi nam nietylko o Avenariusa. Wilhelm Wundt chociaż więcej już zależny od Kanta w swej teoryi poznania, tak bardzo różni się od niego metodami badań psychologicznych, podstawami fizyologicznemi swych twierdzeń, wreszcie przejęciem się teoryą ewolucyi, że tylko sztucznie może być podciągnięty pod nazwę neokrytyka, dawaną zwykle neokantyanom.

Nie o wiele lepiej stoi sprawa z Karolem Goeringiem, który uważany jest zwykle za niemieckiego pozytywistę, z A. Dühringiem, który bądź co bądź może być uważany za oryginalnego myśliciela. Właściwie pozostają nam tylko H. Vaihinger i W. Siebeck, jako autorowie, do których słusznie można zastosować nazwę neokrytyków.

Mimowoli powstają podejrzenia, że nazwa ta użytą tu została nieco dowolnie, w tym sensie, że wszelaki nowszy krytyk filozoficzny został nazwany neokrytykiem. Podejrzenie to upada jednak stanowczo, skoro przeczytamy przedmowę M. Massoniusa. Przedmowa ta, jako jedyny przyczynek pióra polskiego do całego wydawnictwa (oprócz tytułu) zasługuje na ściślejszą uwagę. Niestety

przekonywujemy się niebawem, że zamiast odpowiednio zoryentować czytelnika, może ona służyć jedynie do większego jeszcze zagmatwania myśli, niż sam ów tytuł. Przedewszystkiem okazuje się z niej dokładnie, że autor wiąże cały współczesny nam rozwój filozofii, a przedewszystkiem filozofię Avenariusa z filozofią Kanta i z reakcyą krytyczną przeciw materyalizmowi. Oba te poglądy są niestety grubymi błędami, dowodzącymi nieznajomości historyi filozofii. I tak pisze Massonius: „filozofią nowokrytyczną nazywamy kierunek filozoficzny, który się ukształtował w siódmym i ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, a który za obowiązujący punkt wyjścia dla dalszych badań filozoficznych uznał wyniki Krytyki czystego rozumu Kanta..."

Jeżeli tu mowa o neokantyanach, to zgoda. Ależ na miłość boską! Toż przedmowa do książki zawierającej artykuły Wundta, Avenariusa, Goeringa! Któż z nich uznał za obowiązujący punkt wyjścia wyniki krytyki czystego rozumu?

„Nie w tem znaczeniu, ciągnie dalej autor, jakoby wszystko co w tem wiekopomnem dziele zostało wypowiedziane, uznane być miało za słuszne i niewątpliwe, ale w tem, że postawione przez Kanta zagadnienia są podstawowemi, i że koniecznym warunkiem filozofowania naukowego jest albo ich rozwiązanie, albo wykazanie ich nierozwiązalności".

Wygląda to tak, jak gdyby cała wiedza tegoczesnych krytyków miała się datować od Kanta. W istocie problemata kantowskie są odwieczne. Niedawno Deussen wykazał ich istnienie w filozofii staroindyjskiej. Kant nie jest zatem bynajmniej niezbędnem ogniwem dla powstania danych zagadnień. Uważanie zaś za konieczny warunek filozofowania naukowego rozwiązania kantowskich zagadnień lub wykazania ich nierozwiązalności jest już zgoła dziwolągiem. Wszak filozofia naukowa może rozwijać się nietylko na tle nauk filozoficznych, ale i nauk specyalnych (n. p. matematycznych lub przyrodniczych). Jest to zatem wymaganie równe żądaniu, ażeby zawsze rozpoczynać tańce od komina. Wreszcie fakt rozwiązania jakiegoś zagadnienia nietylko nie świadczy jeszcze o naukowości filozofowania, ale często dowodzi płytkości myśli lub małego jej naukowego wyrobienia. W końcu pierwsza część okresu przeczy drugiej. Jeżeliby bowiem uznano za punkt wyjścia wyniki krytyki czystego rozumu, to nie należałoby już dyskutować ich rozwiązalności. Wynik jest to bowiem już rozwiązanie jakiegoś zagadnienia, nie samo postulowanie problematu.

Otóż niezaprzeczenie wszyscy filozofowie cenić muszą wysoko pracę Kanta, jako objaw tego indywidualnego geniuszu. Nie oznacza to wcale aby filozofia naukowa mogła istnieć, trzymając się tylko szaty Kanta. Jak wiadomo Goering powstał z kierunku wprost opozycyjnego Kantowi. Każdy, kto zna Wundta, zgodzi się ze mną, że większość jego zagadnień psychologicznych rozwinęła się zupełnie niezależnie od Kanta, i że nawet zauważyć można u tego autora pewien wysiłek w celu historycznego związania ich z nauką Kanta. Avenarius, jak to mi wiadomo z osobistych z nim rozmów, nadawał podstawowe znaczenie tylko nauce o antynomiach Kanta, pod innymi względami uważał on kantyzm i neokantyzm za cofnięcie się wobec dawniejszych systemów filozoficznych, jak Descartes'a, Leibnitza, Humea, Locke'a i t. p.

Przechodzimy do drugiego twierdzenia p. Massoniusa, mianowicie, że filozofia naukowa powstała z protestu przeciw materyalizmowi. I tu znów niefortunne zmięszanie neokantyzmu z filozofią naukową. Neokantyzm protestował przeciw materyalizmowi, pozytywizm niemiecki, do którego przedstawicieli należy i K. Goering, rozwijał go dalej i dopełniał jego braki. Avenarius, który żył w tym czasie, kiedy jeszcze pogląd mechaniczny na świat nie był tak ściśle jak dziś odróżniany z poglądu materyalistycznego, wahał się czas jakiś, czy nie ma nazwać swojej filozofii materyalizmem. W rozmowie kiedyś z piszącą te słowa o niezmiernie cenionym przez siebie Herbarcie, wyraził się w ten sposób: „Wissen Sie, was ihm fehlte, um sein System Materialismus zu nennen? Ihm fehlte bloss der Muth". Chociaż zatem materyalizm faktycznie usunięto, nie w drodze jego krytyki jednak powstał kierunek empiryo-krytyczny.

Wundt też nie wytworzył swego systemu filozoficznego dla zaprotestowania przeciw materyalizmowi, a pod wpływem nauk przyrodniczych. Twierdzenie powyższe jest więc błędem.

Moglibyśmy się zgodzić z p. Massoniusem, że dążność do obalenia metafizyki zjednoczyła współpracowników „Vierteljahrschrift". Ale posłuchajmy, jak p. Massonius określa metafizykę. „Metafizyką nazywa się wszelki system doktrynalny, zmierzający do zasadniczo jednolitego objaśnienia całości świata". Nie, stanowczo nie tak pojmowali metafizykę wielcy jej przeciwnicy. Ani Wundt, który zresztą i sam jest metafizykiem, ani Avenarius, ani Doering, (też metafizyk) nie zgodziliby się nigdy na podobne określenie. Przedewszystkiem określenie to jest zbyt wąskie. Obejmuje ono

jedyny tylko problemat kosmologiczny ze wszystkich zagadnień, jakie może ogarnąć systemat filozofii metafizycznej. Dla p. Massoniusa „mniemanie o ustroju, przyczynie, racyi bytu i celu świata“ stanowi „właściwą treść, realną metafizyki“. Otóż mniemania o ustroju świata powstają nieraz na gruncie bynajmniej nie metafizycznym. Przyczyna i cel, o ile nie są zaczerpnięte z grupy pojęć rożnorodnych z danemi do zbadania, np. przeniesione z etyki dla zbadania zjawisk przyrodniczych, nie obwarunkowują też bynajmniej metody metafizycznej. Mechanika przecież stale posługuje się pojęciem celu! Wreszcie jednolitości w myśleniu nie wyrzekał się żaden filozof, lub mąż nauki, który stworzył system, bo wszelaki system filozoficzny jest właśnie próbą zogniskowania całej wiedzy ludzkiej. Jedyną słuszną cechą metafizyki jest „dążność do objaśnienia całości świata“. O ile całość przekracza obręb doświadczenia ludzkiego, o tyle pojęcie jej jest metafizyczne. Jeżeli jednak pod całością świata rozumiemy całość doświadczenia ludzkiego o świecie, to i tu stoimy na gruncie naukowym, a nie metafizycznym. Błędem też jest twierdzenie autora, że to od czasów Kanta metafizyka utraciła wartość naukową i racyę bytu. Metafizyka nie miała nigdy wartości naukowej, racyę zaś bytu (biologiczną, nie zaś logiczną) miała zawsze i ma po dziś dzień.

Dalej znajdujemy jeszcze twierdzenie, że „wobec nie powstrzymanego naporu myśli naukowej z tego, co w skład dawniejszej (przedkantowskiej) metafizyki wchodziło, ostały się pierwiastki formalne nie oparte na doświadczeniu, a przeto mogące utworzyć niezależną od treści doświadczenia całość naukową. Z tych pierwiastków powstała naukowa teorya poznania“. Z powyższych twierdzeń nie wolno w żadnym razie zrobić wstępu do artykułów Avenariusa i Wundta, ponieważ obaj z nich kategorycznie twierdzili, że są innego zdania, a mianowicie, że t. z. formalne części poznania są rezultatem logicznej analizy doświadczenia, i że pojęcia o nich urabiają się przez doświadczenia i na doświadczeniach.

Nie będziemy dalej rozbierali przedmowy p. Massoniusa, chociaż z łatwością możnaby w niej wykazać wiele jeszcze grzechów przeciw historyi filozofii. Wzmiankujemy tylko jeszcze o wniosku, jaki autor wyciąga z wpływów kierunku „neokrytycznego“ na kulturę tegoczesną. Twierdzi on mianowicie, że filozofia naukowa, zbadawszy drogi jakiemi chadza nauka, określi zara-

zem jej granice, że religia wskutek tego, przestanie łączyć się z tem, co miała dotychczas za naukę, a co było istotnie metafizyką, i że człowiek pojmie w końcu, że „nie wszystko, co jest prawdą musi stanowić część jakiegoś systemu myślowego(!)", a zatem wiecznie sięgający po ogień z nieba duch Prometeusza zdobędzie sobie „swobodę i odwagę lotu".

Tak to wszystkie drogi wiodą do Rzymu! Wartoż to było walczyć o filozofię naukową, ażeby wreszcie uzyskać z niej maksymę wysoce praktyczną dzielenia ducha ludzkiego na szufladki, w których obok siebie pięknie i szczelnie zamknięte będą leżały teorye naukowe, serdeczne wyznania wiary, i rozmaite inne wzloty prometeuszowe, „nie ujęte w żaden system myślowy!" Wedle potrzeby wyciągnie się tę lub ową szufladkę i konflikt wewnętrzny rozwiązany! Ależ cała krytyka doświadczenia czystego właśnie powstała z chęci wytworzenia jednolitego poglądu tak na teoretyczne, jak i na praktyczne życie ludzkości. Avenarius wyraźnie to na początku pracy swej zaznacza. Stary kantowski podział na rozum praktyczny i teoretyczny, jako na odrębne zupełnie dziedziny ducha ludzkiego jest dziś już punktem widzenia dawno przezwyciężonym. Psychologia wykazała dobitnie, że nie ma faktycznie zjawisk psychicznych wyosobnionych, nie stanowiących części jakiegokolwiek systemu myślowego. Wszak obok grupy apercepowanej jest zawsze grupa apercepująca! Faktycznie więc dorywcze systemy myśli tworzą się wciąż same, a dziełem filozofii i nauki jest ich regulowanie i kontrola. Dotychczas też nie Prometeusze zrywali z dążnością do ogniskowania myśli ludzkiej, a poprostu starali się o to zwykli bigoci. Zapewne też i w przyszłości tak będzie.

TADEUSZ DĄBROWSKI.

JULIUSZA SŁOWACKIEGO „SAMUEL ZBOROWSKI".

Przed trzema laty przedstawiono świadomości powszechnej Samuela Zborowskiego. Nie jego samego, ale takiego, jakim go widział Słowacki. Przedstawiono dramat Słowackiego p. t. „Samuel Zborowski". Czy o Samuelu Zborowskim i czy dramat — o to mniejsza.

Okaże się zresztą niżej. Faktem jest, że przedstawiono go świadomości powszechnej i że ta żywo zareagowała. O ile, naturalnie, możemy stwierdzić. Świadomość powszechna działa przez swoje organy, przez naukę, sztukę. W tym wypadku krytykę. Zareagowała na dramat o Zborowskim: naiwnie pp. Jankowski i towarzysze, wraz z dr W. Hahnem[1]), krytyczniej St. Lack[2]).

Zaopónowano przeciw dramatowi o Zborowskim. Dr Hahn ze stanowiska rzeczywistości historycznej, p. Lack ze stanowiska logiki artystycznej. Walczono zacięcie — z marą. Rozumiem: tytuł! „Że prof. Małeckiemu podobało się nazwać utwór" „S. Zb.", to z tego nie wynika, aby naokoło pewnego gestu profesora Małeckiego osnuwać całą sieć domysłów, polemik i „słów i słów i słów". (Lack 27). Bardzo słusznie. Ale dlaczego pan, p. Lack, marnotrawi około tego jednego gestu tyle słów? „Przyjąwszy zaś, że napis „Zborowski" pochodzi od samego Słowackiego (jak jest — dodam — w istocie), to zrozumieć łatwo, że to był znak, taki punkt wytyczny dla pamięci, skrócenie, rzecz bardzo dobrze znana „psychologom". (27). Tak! to był znak. O ile, to się okaże.

Dramat więc — zostawiam na razie tę nazwę — o Zborowskim? Nie, bynajmniej! „P. Hahn widzi w utworze Słowackiego to, czego tam niema. Widzi mianowicie Zborowskiego, a Zborowskiego tam niema". (24). Tak, istotnie, Zborowskiego tam niema. On jest: w sferze możliwości. Nawet jako postać dramatu. Ale nie taki, jakimby go chciał widzieć p. Lack. Nie, jako bohater. A więc go niema?

„Istotnie też Zborowskiego w dramacie niema. I jest głęboki powód, dla którego go niema. Jest natomiast jakiś strasznie nieszczęśliwy człowiek, który w trzysta blizko lat po śmierci jeszcze nie zapomniał o swej śmierci i, który tymczasem daje znać, że nie wie o swojej idei". (25—6). A jakaż jego idea? Oczywiście w dramacie; chodzi nam o kwestyę artystyczną, nie historyczną.

Kto to jest Zborowski? „Hahn uważa tego Zborowskiego za prawdziwego człowieka, czem nie jest." (22). „Słowacki wprowadza na scenę nieboszczyka, lamentującego, żalącego się niemal bez miary i taktu i smaku, płaczącego do zbytku" (24). Więc żywy człowiek? Nie! Rzecz dzieje się w niebie i w trzysta lat po śmierci.

---

[1]) Dr W. Hahn. J. Sł. Sam. Zb. Lwów 1905.

[2]) St. Lack. Notatki i uwagi 1900—1906 I. Wyspiańskiego Lelewel, Sł. Sam. Zb.

Trup? Nie! mówi, oskarża, płacze! Duch? Także nie, czerepem oskarżonego oświeca. A więc upiór? Brrr! Znowu ten upiór nieszczęsny!

„Zborowski, mówiąc obrazowo, był naczyniem“. (29). Doskonale, był naczyniem. Mówiąc lepiej, językiem Słowackiego, był formą, wytworzoną przez ducha. Albo, przełożymy na nasz język: Zborowski był osobistością uwarunkowaną przez jaźń. A osobistości tej jaźń pozbawiono. Pozbawiono gwałtem.

Więc o to tu przed Sądem sprawa! „Faktem dla nas niezbitym jest, że Zborowskim, sławnym Zborowskim stał się dopiero przez swoją śmierć. Śmierć ta jest najwynioślejszym czynem tego człowieka“. (20). Doprawdy? Gdzież tam! „Śmierć Zborowskiego przerwała jakiś szereg czynów i działań — więc to jest krzywda“. (31—2) „Zborowski zrzuca z siebie odpowiedzialność — chce odpowiadać za co innego (?? niekoniecznie, można z siebie zrzucać jakąś, a nie brać żadnej innej!) — cnota wszystkich tych, którzy nigdy nie mogą być ani poetami, ani bohaterami“. (21). Zatem Zborowski niema w sobie materyału na bohatera, bohatera dramatu.

Rezetnijmy ten powikłany splot myśli! Zasuggerowany przez tytuł, chcesz pan koniecznie znaleść w dramacie dramat Zborowskiego; ostatecznie możliwości dramatu Zborowskiego; mowę o możliwościach. I dziwisz się pan, że niema dramatu Zborowskiego i usiłujesz przekonać, że go tam niema, ale mógł być, że o tych możliwościach mowa. Tak! tak! Ale któż mówi, że on tam miał być? Niema go, a więc widocznie nie miał być, a więc nie mógł być.

Warto obserwować, gdy kto przychodzi do dramatu ze swoim dramatem i chce go tam w tym dramacie odnaleźć. Oczywiście bezskutecznie. Tragizm to. A przytem zabawny! co?

Zborowski miał brać na siebie odpowiedzialność? I można było napisać tragedyę grecko-fatalistyczną i szekspirowską i tysiąc innych. „Słowacki żadnej z tych wszystkich nie napisał tragedyi, ponieważ napisał utwór inny“. (21). A jeśli tak, to musiał mieć głębokie powody. Przedewszystkiem, że nie chciał cofać swego rozwoju.

Zborowski miał wziąć na siebie odpowiedzialność. Za co? Oczywiście za ideę, którą reprezentował, czy którą powinien był reprezentować (mowa o dramacie!) I za czyny, którymi ideę realizował. I ta odpowiedzialność by go nieodwołalnie złamała. Niedobrze jest, gdy człowiek zbyt polega na własnych siłach. Bogowie mściwi są. Los nas dościga szybkozwrotnem kołem Ironii. Albo upadamy pod samym ciężarem odpowiedzialności moralnej, przyjętej na siebie własnowolnie. Odpowiedzialności za własną myśl i własny czyn.

Dlatego właśnie, że on jest samowłasny. Słowem: biorąc na siebie odpowiedzialność, temsamem wyzywam Los. Mściwy Los. A więc popełniam winę. A zatem muszę paść ofiarą. Każda wina sama siebie karze. Upadek jest tylko zewnętrznym znakiem winy; jest realizacyą winy.

Śmierć staje się znakiem winy, jej nieubłagalną konsekwencyą. A wina pochodziła z przyjęcia na siebie odpowiedzialności. Z samowłasnego działania. Samowłasne działanie osiąga tedy szczyt najwynioślejszy w śmierci. A zarazem odkupienie. Wina spełniona przestała istnieć. Zaistniała, ale na moment i zapadła w przeszłość.

I to są Prometeusze. Działacze, zmagający się z Losem. Takim powinien był być Zborowski?

Zatem nawrót do Beatrix Cenci, Balladyny, Horsztyńskiego, Lilli Wenedy, Ks. Marka? Bohater działał na własną rękę i własnowolnie. By poznać granicę swej mocy? A nad nim w chmurach zakołysany grom mścił winę. I chłodnym uśmiechem Ironii blade wargi wykrzywiał Los.

Tak! było to, było! dawno... Za radę Słowacki niewątpliwieby serdecznie podziękował.

Bohater, dawny heros grecki, czy szekspirowski człowiek, był z góry przeznaczony na zagładę. Gdy tylko wystąpił na scenę, już ze wszystkich stron echa donosiły grobowe, smętne: biada! A więc byli zbrodniarzami. Prometeusz niedarmo w mycie popełnił kradzież ognia...

Jak traktuje swego „bohatera" Słowacki?

(Lucyfer):

2114 Widząc się prawie sam, podniosłem wieka,
Myśląc że ujrzę świętego człowieka,
Myśląc, w insygniach ujrzę senatora.
Patrzę, *przede mną leży jak Pan Jezus*...
Zda się, że spiąca woskowa pokora,
I jakiś człowiek wielki, ale cichy.

A o Zawiszy Czarnym wyraża się:

(Gniewosz):

I potem szelmy Czechy honor jak polano
Przeważyli na szalkach... i *to drogie ciało*
Przedali... jak Chrystusa...

(Chorus):

O jak pięknie wygląda przy tej cudnej dziewicy
Ten rycerz... pod rozpękłym nad ojczyzną piorunem.

Jako posąg żelazny, w czerwonej błyskawicy,
Nadpoczęty przez ogień... i robiony zwiastunem,
Kassandrą — i Orestem... tak do Bożego Syna
Podobny... Filozofa straszliwego ruina...
Z ust jego miód miłości... słowem łagodnem leje,
A nad frontonem czoła pannje pokój Boży.

(*Górski str. 48*).

Itd. itd. A więc bohaterowie modelowani na Chrystusie. A Chrystus nie nadaje się na bohatera dramatu. Chyba na postać ośrodkową misteryum. Chrystusa wielkość w tem właśnie, że śmierć jego była bez winy; była czynem nie winy, lecz miłości odkupicielskiej. P. Lack zaś z Chrystusa chciałby uczynić Prometeusza, z Odkupiciela — Lucyfera. (Prometeusz skradł ogień. Mówiąc kategoryami Słowackiego: zaczerpnął u słońca, źródła twórczego pierwiastka światła — ognia, pierwiastka niszczącego. I w tem jego wina, że nie sięgnął po światło; przez lenistwo ducha. A więc Prometeusz-Lucyfer-Eliasz-Zorjan itd. A jego siostrzyca Prometejanka — Rzepycha jest złodziejką ducha.

Sprawa całkiem jasna. Tak jasno postawił ją Słowacki. Znacie „Poetę i natchnienie“ Słowackiego? A czy rozumiecie? Pisał o tem ostatnio obszernie dr Hahn i prof. Tretiak, ni jeden ni drugi jednak nie dotarł podobnoś do myśli zasadniczej. Problem: duch siły, czy miłości.

(Duch):

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją
Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wie, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła
To wielkie duchy i wydarte niebu!

(Poeta):

Czegoż odemnie oni chcą?

(Duch):

Pogrzebu...

(Poeta):

O tak pogrzebanymi będą...

Dlaczegoż grzebie poeta tego Beniowskiego i Wernyhor i ks. Marka? A na ich miejsce stawia Zborowskiego? Bo nie był duchem nowi.

(I ja to widzę, że wola Jehowy
Jest, aby nowy świat stanął przed świtem).

Tak, nawet ks. Marek, ten cudowny ks. Marek! Zabiły go cuda przezeń spełniane, nadużywana moc ducha. Cudotwórczość stała się dla poety prawdą absolutną, ale w zastosowaniu doczesnem szkodliwą. A tamci: bo wylewali napróżno „ducha serca krzykiem", walką ze światem.

Zborowski więc nie bohater? Nie, męczennik. Bez winy, jak Chrystus. Bez winy — świadomie; nie dla sentymentu. Tak bez winy był Zawisza i Agis. Tak nawet ów w „Królu — Duchu": (V. I. 26).

I rzekła: W tobie jest krew Włodzimierza
Świętego! Miałam ducha objawienie,
Że ty za Rosyą weźmiesz mękę krzyża
I cierń — i ćwieki... ocet i ościenie.
Przysiąż! bo śmierć się moja szybko zbliża,
Że ty za moje dalsze pokolenie
Weźmiesz zgon taki dobrowolnie krwawy
Jak Chrystus...

Męczennik? Zatem Słowacki nie mógł napisać żadnego z tych dramatów, które byłby napisał na jego miejscu p. Lack. Byłby napisał dramat inny: swój. Gdyby był chciał napisać dramat o Zborowskim. Od tego zamiaru był daleki.

Dramat cały ciąży ku jednej najwynioślejszej i najprzedziwniejszej scenie: scenie Sądu. Dla sceny tej dramat stworzony. Dla tej sceny, bo ku niej całą mocą zdąża, aby w niej osiągnąć szczyt i rozwiązanie. Jakież zadanie ma spełniać Sąd? Ma być miejscem, gdzie sprawa dana dostępuje swej samowiedzy. Gdzie siebie przemyśla i przełamuje myślą. Aby później osiągnąć realizacyę. Jaki to Sąd? O to mniejsza; to się zresztą samo ujawni.

Jakaż sprawa ma dochodzić swej samowiedzy? I samowiedzę ujawnić w formie zewnętrznej. W postaci wyroku, lub jego egzekucyi. T. zn. jego praktycznych konsekwencyj?

Pozywa Zborowski Zamojskiego, wielkiego kanclerza. Pozywa o niewinne stracenie. I to wszystko? Krzywda się stała jego ciału? I to Sąd? Ta sprawa dochodzi swej samowiedzy? Sprawa błaha zaiste.

Sąd o to, że kogoś tam pozbawiono głowy? I z tego robić może dramat? Dramat sentymentalny. A cóż to kogo może obchodzić! Codziennie tysiące nieszczęść i krzywd się dzieje. A niebo

nie grzmi! Więc o śmierć Zborowskiego miałby się toczyć Sąd? Niebiański Sąd?

(Lucyfer):

1668. Przeczę
A to naprawdy wywiodę zwierciadło,
1670. Że nie o głowę, bo sto głów opadło
Niesprawiedliwiej, nie o jego łono,
Bo mnie na świecie gorzej gdzieś raniono
W serce, a przecież nie dochodzę sprawy,
Że nie o jego ród, bo większej sławy
1675. Jest oskarżony niźli oskarżyciel.
O cóż więc staję tu ja, jego mściciel,
A Pan mściwości mej miłośnie słucha?
O cóż ja staję tu? O jego ducha
Staję, przez który duch szła Polska w górę...

Tak! rozumiemy! Sprawa Zborowskiego nabiera znaczenia syntetycznego. Jest sprawą ogólną, dotycząca Ducha, i to przed Sądem niebiańskim sprawa. Sąd w Duchu. Niebo miesza się w tok spraw ludzkich wtenczas, jeśli splot ich zagraża porządkowi Świata. Drogą czynnej ingerencyi. Karci wybujałą dumę. Albo ocala sprawiedliwego na puszczy. Krzywda, jeśli zagraża biegowi spraw Ducha, zmusza do uświadomienia; prowadzi za sobą postęp samowiedzy. Stąd płodny posiew krzywdy. I sztuki, krzywdę tę realizującej. Nb. jeśli krzywda ma znaczenie syntetyczne.

(Samuel):

1555. I oto, widzisz, jest przed Bogiem sprawa,
I oto, widzisz, bo nie o mnie chodzi,
Ale o tę myśl, co narody rodzi,
A była we mnie twoim mieczem ścięta.

Tak więc staje owa płaczliwa skarga Zborowskiego. Stopniowo w ciągu opowiadania faktu (narratio rei gestae) wyłania się to jej znaczenie. Sprawa osiąga swoją samowiedzę.

(Lucyfer):

1585. Sprawa poszła wyżej,
I schodzi kilka gwiaździc złotych krzyży,
I chmura srebrna cudownej świętości.

Lecz w czem pewność, że sprawa ta ma istotnie znaczenie syntetyczne? W czem dowód? Duch w drodze do samowiedzy dowodów szukać musi. One są etapami jego rozwoju w ruchu umysłowym. A może „sprawa ta jest zbyt ciemna, nawet tajemnicza,

czyli po prostu potrzebuje sankcyi. Nikt jej sensu nie odgadnie, tu trzeba jakiejś omniscyencyi, jakichś potęg nadprzyrodzonych, niebiańskich“ (19)? Może sprawa ducha załatwia się poza Duchem? Dążenie do samowiedzy odbywa się bez Ducha, dążącego do samowiedzy?

Albo: może Duch dążąc do samowiedzy, pozostawia wiedzę prawdy jakiejś omniscyencyi, jakimś potęgom nadprzyrodzonym, niebiańskim? Sam zadawalając się wiarą w prawdę? Tak! samowiedza drogą wiary, nie myśli. Samowiedza nie przez wiedzę, lecz przez wiarę? Duch dąży drogą ruchu umysłowego do samowiedzy, luki zatyka — dogmatem?

Pamiętamy przecież wyraźnie słowa adwokata-Lucyfera: 1° Probandum est... 2° Dowieść muszę... 3° Dowiodę... Dowodzi? Kto? Lucyfer, duch. Dowodzi komu? Niebianom? Tak, niebianom. Dowodzi Duch, dążący do samowiedzy. Dowodzi, że sprawa Zborowskiego istotnie ma znaczenie syntetyczne.

Mniemacie, że Bóg, omniscyencya, nie ma nic lepszego do roboty, jak ustawiczną ewidencyę prowadzić nad stworzeniem i jego dziwnie plątającymi się losami? Bóg, omniscyencya, karcić zuchwalców? Mścić się nad wyzywającymi mu butnie? Tak było to niegdyś, było! Gdy złoty grom się kołysał w zagniewanych niebiosach nad skronią Balladyny. Lecz czas ten pozostawiliśmy daleko za sobą.

(str. 196).

A było głośne Jehowy zaklęcie,
Który się zaklął na tęczę i siebie,
Że nie pozwoli sobie nawet w niebie
Poruszyć trupa. Bo cóżby to było,
Gdyby on ciągle ruszał tą mogiłą
Nie zapytawszy nas o czas i wole,
Gdybym ja oto kamień chwycił w dłonie,
A kamień oto wziął skrzydła sokole
I gdzieś roztrzaskał mego brata skronie,
Oblał mię jego mózgiem i oczyma
A na mnie sąd był jako na Kaima
Przed ludzkiem prawem i przed Bożym Sądem?

Więc gdy Jehowę wyzywać będzie do walki na wielkość Popiel: Bóg uśmiechnie się tylko na tronie z szafirów. Popiela pokona Zorjan-Lucyfer. Duch dążący do samowiedzy. Samowiedza własnej nicości...

I siedzi oto omniscyencya na szafirowym tronie swojej myśli, pogrążona w własnych głębiach. Kontemplująca własną głębię. Pozwala Duchowi drogą ruchu umysłowego dążyć do samowiedzy. Samowiedzy coraz pełniejszej. I coraz głębiej przenikać sprawy Ducha. Synowi Cieniów z Boga na Boga wyrastać. Co Duch samowiedzą osiągnie — jegoć jest. Nic nad to. I oto Duch sam zbierać musi dowody, etapy własnej samowiedzy; wytaczać je przed boski trybunał.

Jestże więc sprawa Zborowskiego sprawą syntetyczną, sprawą Ducha? Jakież dowody na to, że na śmierci Zborowskiego ucierpiała sprawa ducha? Dowody zbiera Lucyfer — obrońca — Duch (nie duch), dążący do samowiedzy, w trzy tezy.

Pierwsza i podstawowa:

1793. Probandum est, że ducha droga
Przez Polskę idzie, za nią ginąć każe.

Słowacki rozumiał oczywiście Ducha, nie ducha. I mylne jest mniemanie p. Lacka: „Zdaje się, że tu o Zborowskiego wcale nie idzie, ale o Lucyfera. Jego to sprawą jest sprawa Zborowska, on ją musi wygrać, bo inaczej nie może pójść dalej, a dalej może pójść właśnie teraz, w 1845 r., bo znowu są warunki po temu“ (27). „Owo przypuszczanie (I. teza) jest właśnie u Lucyfera pewnością wewnętrzną, dla której okazania trzeba sądu bożego, nie ziemskiego. Udowodnić tego istotnie nie można — ale sędziowie niebiańscy o takie dowody nie pytają, skoro dobrze wiedzą, że to sam Lucyfer jest owym duchem“ (32). Nie! tu idzie właśnie o Zborowskiego! Nie mieszajmy w algebrze symbolów! (Dok. nast.)

ANDRZEJ STRUG.

ZMORA.

Dopóki można było bodaj cośkolwiek jeszcze dojrzeć, Juszkiewicz czytał pod okienkiem. Wodził nosem po książce, nastawiał się do światła, wysilał wzrok i jakoś przecie piąte przez dziesiąte dochodził treści. Aż raz oderwał oczy i mimochodem spojrzał w głąb celi, którą ciemności już zdążyły wypełnić. Z rozpaczą rzucił się oczami na książkę, ale już nie widział nic, literalnie nic.

— Przed sekundą jeszcze mogłem czytać, a teraz już nie mogę, ani weź. Dlaczego to? Pomiarkował się odrazu, że taksamo, temi same-

mi słowy dziwił się o tej porze wczoraj i przedwczoraj i zeszłego tygodnia i zeszłego miesiąca. Zawsze i niezmiennie o tej samej porze, o tej samej przeklętej godzinie. Z odrobiną jakiejś fałszywej, naciąganej nadziei, poprostu z nałogu i zadawnionego przyzwyczajenia stąpił przed siebie w ciemność z książką oburącz trzymaną, w trzech krokach stanął przed drzwiami, kędy przez wązką pionową szczelinę sączyło się z korytarza pasemko wątłego, bladego światła. Tu oparł się mocno plecami o drzwi, aż szczęknęły zasuwy (co za znajomy dźwięk!) i podstawił otwartą książkę pod ukośny promyczek. Na stronicy odbiło się natychmiast posłusznie pasemko mdłego światła, dając dokładne odbicie szczeliny w drzwiach. Juszkiewicz w jednej chwili uregulował odległość, nastawił wąziutkie pasemko na wiersz i ostrożnie przesuwał książkę, pilnując ze skupieniem, żeby promyk nie ześliznął się z upatrzonego wiersza. Z niezmierną trudnością, łapiąc każdą literę z osobna przeczytał cały wiersz od początku do końca; przy drugim bawił się znacznie dłużej, — a kiedy doszło do trzeciego, załzawione, wysilone oczy, odmówiły posłuszenstwa, widziały tylko i jedynie mętne i wązkie pasemko światła, przesuwające się po papierze, gdzie czerniały jakieś litery nie litery, mrówki nie mrówki...

Więc z irytacyą odepchnął się plecami ode drzwi, aż szczęknęły zasuwy (co za znajomy dźwięk!). Taksamo odpychał się wczoraj o tej samej porze — i przedwczoraj i zeszłego tygodnia i zeszłego miesiąca. Taksamo zaczął krążyć po celi wśród tajemniczych, barwnych plam i świetlanych kręgów, które wydobywały się z ciemności zewsząd, gdzie tylko rzucił obolałemi i łzawiącemi się oczyma. Krążył tak przez czas jakiś, aż pochowały się i potonęły w ciemnościach jasne, wędrowne plamy i czerwone koła i została sama jedna ciemność, czarna, gęsta, namacalna. W górze szarzał kwadrat okienka, pokreślony przez kratę, a kiedy odwracał się ku drzwiom, zawsze w jednem i temsamem miejscu wyrastała szczelinka świetlana. Były to słupy graniczne, upewniające, że ocean ciemności, otaczający go ze wszystkich stron, nie jest żadnym mistycznym oceanem, ale prostą, marną sadzawką mroków, podłą i poniżającą człowieka bajurką, ciasną i plugawą, gdzie nawet wyobrazić sobie nie można niczego, bo wiadomo z góry i raz na zawsze; i tu ściana i tu ściana, a jakby się komu wydało, że buja w niezmierzonym oceanie mroków, gdzieś w międzyplanetowej, astralnej, odwiecznej... to dość wyciągnąć rękę i ściana.

Teraz cisnął Juszkiewicz swoją książkę w przestrzeń. No — i znowu nie zaszło nic nadzwyczajnego, żaden kataklizm, żadna odmiana, żadne zakłócenie naturalnego porządku świata. Przeklęta realistka książka

pacnęła się o zupełnie realną ścianę, odbiła się z szelestem, padła gdzieś w kącie. Tak samo padała i nawet w to samo miejsce, wczoraj o tej porze i przedwczoraj i zeszłego tygodnia i zeszłego miesiąca. To samo będzie jutro, pojutrze...

Odrobiwszy to wszystko, jakby jakiś przepisany obrządek, chodził Juszkiewicz jeszcze z pół godziny od drzwi do okna i pracowitą pamięcią odnawiał sobie w myśli wszystko, co przeczytał dnia tego.

A więc: nonsensem jest utrzymywać, że zniesienie wspólnej własności było wynikiem swobodnego postanowienia ludzi, mających do niej prawo; że oni to je powzięli, skoro sobie wyrozumowali, że żaden postęp ekonomiczny (oho!) nie będzie możliwy bez ostatecznego podziału gruntów!

Tak jest: rozważcie zatabaczeni (i parszywi!) ekonomiści XVIII-go wieku, fizyokraci, encyklopedyści i wszelka uczona hołota wmawia to w ludzi, pisząc setki bibulastych tomów!

Jak Anglicy Sinclair i Marshall, jak to samo we Włoszech: Genoresi, Zaccone, Vasco, Filiander... nie Filanceri — nie, psia krew, jakże, jakże? Aha — Vasco, Fi-lan-gie-ri. Napewno Filangieri. Filangieri. Dlaczegoż poszły w niepamięć mądre traktaty, prorocze słowa starych pisarzy angielskich, jeszcze z czasów Henryka VIII-go i Elżbiety, którzy dążyli do powstrzymania rozkładu wspólnej własności!? Nauka się omyliła? Co? Pisali o tem More Stubbes — Harrison...

Juszkiewicz wysilał pamięć, pracował zwłaszcza nad wiernem zachowaniem nazwisk, powtarzał je sobie niezliczoną ilość razy, radował się, kiedy nareszcie, po długiem wykręcaniu języka, natrafiał na właściwe brzmienie. Przebiegał tak stronicę po stronicy, spiesząc się strasznie, udając, że to są rzeczy niezmiernie doniosłe, że nad niemi trzeba się głęboko zastanowić, udając, że go to wszystko niezmiernie zajmuje i że właściwie jest szczęśliwy, że siedzi tu na Pawiaku, bo tu zabrał się na seryo do nauki, bo nareszcie zdobył (a jeżeli jeszcze nie, to napewno zdobędzie) jasny pogląd na najzawilsze prawa i zjawiska społeczne, bo w życiu wolnem człowiek się demoralizuje i przedewszystkiem nic nie czyta, a to przecie jest rzeczą monstrualną, żeby człowiek niby inteligentny i w trzydziestym roku życia dowiadywał się dopiero o istnieniu tak znakomitego uczonego jak Studers — Stubers — nie — jakże, jakże? Aha, jak Stub-bes, Anglik, który bronił chłopa angielskiego od proletaryzacyi. O nim się nie wie, ale wie się o wszystkich łachmytach i rajfurkach, którzy się tłukli po dworach różnych Henryków francuskich i angielskich. Fatalny system szkolny! A potem niema na nic czasu. Na Pawiaku można się przynajmniej wykształcić i żeby nie

Pawiak, to socyalizm polski zeszedłby na manowce. Bo i kiedy tu co czytać, kiedy niema kiedy? A tak, na Pawiaku...

Myśli goniły się nawzajem, spieszyły się, wymijały, zawadzały o siebie, tłukły się, gniotły. Rodziły się w stu miejscach odrazu postanowienia niezłomne, plany dalekie rozszerzały się na gwałt — — — coraz to dalsze, coraz to dalsze, aż stało się wszystko, wszystko, co tylko jest jasnem, wyraźnem, niezbitem, zrozumiałem i oczywistem.

I latał tak Juszkiewicz, jak opętany w ciemnej klatce i w zapamiętaniu myślenia nie zdawał sobie sprawy z tego; gdzie jest i poco. Pełen radości i szczęścia burzył i wznosił światy, przesuwał milionowe gromady ludzi z jednego końca świata na drugi, wykreślał nowe granice państwowe, przeskakiwał całe stulecia, wygrywał bitwy lądowe i morskie i tym podobne hece, wszystko naturalnie pociemku. Było tego ze dwie dobre godziny.

Aż kiedy mu zupełnie ustały nogi, a w głowie uczuł ból i ciężar na ciemieniu, siadł na tapczanie i z radością skonstatował:

— Tak się myśli na Pawiaku! Tak na Pawiaku pracuje głowa! Dobrze jest, dobrze jest!

I czemprędzej zaczął ściągać buty.

— Spać się chce, o, jakże mi się chce spać. Będę dzisiaj twardo spał. Spracowałem się nieźle. — Myśl tę wypowiedział słowami, głośno.

Ziewał głośno i demonstracyjnie, jakby chciał samemu sobie dowieść niezbicie, że jest zupełnie śpiący.

Spieszył się zaś okropnie, ciskał butami, urwał jakiś guzik i rozbierał się błyskawicznie, rzucając rozmaite części garderoby prosto w ciemność.

Gdzieś tam, w umyślnie niedostrzeganym zakąteczku świadomości, gdzieś tam, niewiadomo gdzie, czaił się chytry głos — popędzający, przynaglający: prędzej, prędzej, prędzej!... Więc spieszył się, jak waryat i czemprędzej zdyszany ułożył się na wyrku, przykrył się kołdrą z głową i jeszcze zacisnął oczy. Pod kołdrą jeszcze ziewał głośno i przytakiwał sobie: rzeczywiście, jak mi się strasznie chce spać! Zaraz natychmiast zasnę, już zasypiam.

Leżał tak chwilę z zamętem w myślach, z bólem w ciemieniu, wyczerpany i zmachany, jakby przeleciał jednym tchem ze dwie mile. Duszno mu było pod kołdrą, więc odsłonił głowę, ułożył się wygodniej i z rozkoszą roztapiał się w uśpieniu.

Nagle podrzuciło go coś na tapczanie, grzebnął nogą i ocknął się. Na sekundę tylko otworzył oczy, ujrzał jasną szczelinę w drzwiach... I natychmiast, w tejże chwili z całej siły ścisnął powieki, nasunął koł-

drę na głowę, zagrzebał się w bety i przyczaił się, ale już w zimnym pocie. W bezgranicznem przerażeniu, z jękliwem, złowrogiem dzwonieniem w uszach.

Jeszcze przez chwilę się łudził, jeszcze usiłował jakby kogoś podejść, oszukać!... Nie, nie..

Pod kołdrą, przez zaciśnięte powieki, zaczęło coś świtać, coś się zaczynać, ustalać, przyciekać i rozpływać się i powracać... Jest już, Jest.

Juszkiewicz wciska twarz w poduszki. I widzi wyraźnie szczelinę w drzwiach. Narazie tylko tyle.

Drobna szparka od okienka w drzwiach, rozświetlona lampą z korytarza. Taka sama, jak tamta „prawdziwa". Narazie tylko tyle.

Dopiero po sporym momencie, poniżej jasnego pasemka, ciemności zaczęły się jakby odsuwać ode drzwi. Odpływały, jakby woda. Na ich miejscu, u progu celi gromadziło się i skupiało jakby światło jakieś, rosło, wzmagało się. Działo się to, jak gdyby ktoś sypał potrochu pod próg drobne żarzące się węgle. Oto dorzucił jeszcze, jeszcze jeden węgielek, jeszcze jeden, ale spory odrazu. Całe drzwi już widać, można liczyć gwoździe w deskach. Ale blask nie idzie daleko, cela pełna jeszcze ciemności. Tylko tam od progu zelżało może na jaki krok szerokości, a tuż stoi mrok od góry do dołu. Pode drzwiami coraz i coraz widniej...

Juszkiewicz wciska twarz w poduszkę, za głowę się trzyma oburącz, mocno, kurcz go chwyta kleszczami za ramię. Dreszcz przerażenia, niewypowiedzianego wstrętu, łkanie rozpaczy, beznadziejnej, nieutulonej rozpaczy.

— Na nic, wszystko na nic, żadne starania, żadne chytrości. Jego nic nie oszuka, jego nic nie przebłaga. Przyjdzie, przyjdzie, o Boże, o Boże miłosierny!...

Odezwała się gdzieś daleko reszteczka rozsądku, przypomnienie dnia jasnego i tych postanowień, które codziennie czynił, kiedy w celi panował dzień jasny. Przypomniało się jasno rozumienie tych spraw nocnych i uśmiech pogardliwy dla własnej słabości i niemocy i stanowisko „objektywne", jakie należało zająć wobec tego wszystkiego i ta myśl, którą codzień systematycznie, aż do znudzenia wbijał sobie w głowę: „całe te hece są nadzwyczaj ciekawe i pouczające — trzeba się tylko nauczyć obserwować" — „przedewszystkiem nie dać się otumanić żadnym pozorem, nie dać się skusić żadnym prowokacyom, nie ruszać się z miejsca, nie pisnąć ani słowa"...

Teraz pamięć na te wszystkie rzeczy rozsądne ulotniła się, wsiąkła w ciemności teraz — został tylko strach.

A pod progiem zarzewie rozpalało się i widać było dokładnie całe drzwi i futrynę, czytać można było napisy powyskrobywane na deskach i blask bił na całą celę, jakby kto dmuchał we węgle, potem przygasał odblask, gasł i zostawała tylko marniutka łuna, jakby wspomnienie. Na moment zagasło wszystko i Juszkiewicz oddychał głęboko z ulgą i już rodziła się nadzieja, że może na tę noc skończy się wszystko na tem...

Ale już, już tam u drzwi majaczy jakiś kształt. Przez zaciśnięte powieki widzi go Juszkiewicz. Z całych sił wciska twarz w poduszkę.

Kształt odbija się już wyraźniej na tle drzwi, układa się w zarysy. I Juszkiewicz poznaje.

Ale przerażenie nie sięga jeszcze do dna duszy, jeszcze nie orze się głębokim pługiem w mózgu. Jeszcze czas... Jeszcze sekunda... Długa ukochana sekunda!... W strachu śmiertelnym, który go oblewa morzem, jeszcze zostaje kropelka władzy nad sobą, jest jeszcze drobina otuchy. „On" jeszcze nie wchodzi, „on" stoi tam, tam, na niezmierzonej odległości, za grubemi deskami drzwi, w korytarzu, o sto mil...

Widać go, bo widać, ale przecie są jeszcze drzwi, jeszcze nie wchodzi — czeka. Postać urasta, sięga głową futryny, rozsadza się, wypełnia całe drzwi i widać już wyraźnie na ciemnem tle obmierzłej postaci duże głowiaste ćwieki drzwi, widać napisy, widać zrysowane miejsca i te z których oblazła farba...

Nagle — postać stała się wyraźniejszą, jakby jej skąd przybyło światła; z sylwetki ciemnej wyglądają już niejasno rysy twarzy, odznaczające się ręce, nogi. Światłość rośnie, rośnie... postać przepycha się przez deski, wysila się, walczy z zaporą, wreszcie.

— A — Aa — Aaaa!! Straszny bezdźwięczny krzyk przerażenia. Przeszedł. Stoi w progu. Odbija się, jak żywy na tle drzwi.

I w tejże chwili w celi robi się dzień biały.

Juszkiewicz leży nieruchomy, boi się odetchnąć, boi się nasunąć kołdrę na głowę, nie dlatego, żeby nie wierzył, że to pomoże, że go to zasłoni, ale wprost ze strachu. Skamieniał. Resztką panowania nad sobą udaje, że śpi, śpi głęboko. Niema tylko sił zachrapać głośno, żeby „jemu" dać poznać. Niema sił.

„On", jak zawsze jest w obłoconych długich butach, w obszarpanym czarnym kapeluszu, obdarty i połatany cały. Przyszedł, jak zawsze ze swoim okropnym workiem na plecach. Stoi w progu, rozgląda się. Chytre, podłe oczy szybko przebiegają celę, szperają po kątach. Mina człowieka, który gdzieś przyszedł po raz pierwszy i rozgląda się w nowem miejscu. Na sekundę zatrzymał spojrzenie na tapczanie, natrafił nań jakby przypadkiem i odrazu zaczął kiwać się w poufałych, życzli-

wych ukłonach i brać się raz po raz za kapelusz. Niezmierne zdziwienie odbiło się na wyrazistym pijackim pysku. „Co?! To ty jeszcze tu gnijesz? Patrzajcie no, patrzajcie? A to cię urządzili, niech ich wszyscy dyabli! Toć na psa takie życie! Rok czasu u ciebie nie byłem... Co ja gadam rok? Będzie więcej — rok i trzy miesiące! Przypadkiem tu zachodzę i no, powiedzcie ludzie, dziw... O tobie tom już całkiem zapomniał. Aż tu patrzę...

Juszkiewicza strapiły niezmiernie te słowa. Pogrążył się w obliczaniu, kiedy to ten sam drab z tym swoim workiem był u niego po raz ostatni. Czyżby prawda? Był przecież wczoraj, męczył go całą noc, pamięta o czem rozmawiali, pamięta, na czem się wszystko skończyło... A tu rok i trzy miesiące.

Kto to wie — może i prawda? Dlaczego niema być rok i trzy miesiące. Zupełnie możliwa rzecz. Czas wogóle nie jest pojęciem ustalonem. Mogę się mylić — bo skądże by mu przyszło do łba naciągać, na co mu to mogło być potrzebne?

— No i co? Tak się ze mną witasz? Gniewasz się jeszcze o tamto? Głupi z ciebie szlachcic! Toż tyle czasu! Ja jużem wszystko zapomniał, przecieżem nawet dostał od ciebie po pysku! A nie gniewam się. Dałbyś spokój. No, zgoda, zgoda! Toć już przecie tyle czasu!

Juszkiewicz nie zdradził się najmniejszem poruszeniem, wstrzymał nawet oddech — dusił się.

Obdartus ze zmarszczonemi brwiami bacznie wpatrywał się w niego przez chwilę.

— No, patrzajcie? Śpi, naprawdę śpi — wyszeptał — trza mu dać spokój. Niech sobie śpi. Zmarnowali mi chłopaka. O, psy moskiewskie. Niech sobie wypocznie, poczekam.

I po cichu, ostrożnie, na palcach zaczął roztarasowywać się w celi, Zdjął worek z pleców i ostrożnie złożył go na ziemi. Na palcach przesunął się ku oknu i coś tam przez chwilę robił. Juszkiewicz ścierpł czując go tuż za swojemi plecami. Po chwili wrócił ku drzwiom, odwrócił się, popatrzał jeszcze badawczo na tapczan i zaczął sadowić się na „paraszy", która oprócz tapczana, była jedynym meblem w celi.

Usiadł, podparł się ręką pod brodę i zamyślił się. Rysy ściągnęły mu się — twarz wyrażała skupienie.

Rozmyślał.

Wciąż zachowując wszelkie środki ostrożności, Juszkiewicz zaczął obserwować go ukradkiem, a pilnie.

— Tak, to nie musiało być wczoraj.

Obrośnięty cały, zmienił się. Jeszcze bardziej pijacka morda. Jeszcze bardziej bezczelna. Ale smutny jest.

Kto go wie, co on teraz myśli? Jak on może myśleć? Sam ze sobą. Jak to jest możėbnem?

Obdartus poruszył się. Zaczął się drapać, iskać po głowie, potem grzebał po kieszeniach. Wyjął z kamizelki zegarek, otworzył, popatrzał na godzinę, zamknął, schował i znowu siedział, oparłszy się o ścianę. Nogi wyciągnął aż na środek celi, z nad obdartej podeszwy wyglądały czarne palce, które poruszały się szybko.

— Denerwuje się. Oho! Baczność! Zegarek ma złodziej i jeszcze złoty. Naturalnie kradziony. A ciekawa rzecz, która też godzina? Jakaż teraz wogóle może być godzina? Teraz nie może być żadnej godziny. Tak na zaczajonej obserwacyi, czujnej na każdy ruch gościa, upłynęło mu sporo czasu.

Wreszcie obdartusowi znudziło się, zaczął się roić, gmerać po kieszeniach, ziewać głośno, wreszcie wstał (wciąż na palcach) poszedł w drugi kąt, gdzie leżał worek. Pochylił się nad nim.

W Juszkiewiczu zabiło serce gwałtowną, szaloną, radosną nadzieją.

— Odchodzi! Odchodzi!!

Ale gość coś zadługo bawił w kącie. Z zaciśniętemi zębami patrzał na to Juszkiewicz. I widział, jak obdartus ciężko ukląkł na ziemi i coś robił koło worka. Niecierpliwił się, mozolił, klął szeptem.

— Zamotane, żeby cię cholera...

Okropne, bezgraniczne przerażenie rzuciło Juszkiewiczem. W jednej chwili, jakby podrzucony obcą siłą, zerwał się z tapczana.

— Nie odwiązuj!! Ani się waż!!! — zaryczał dzikim nieswoim głosem, pełnym śmiertelnego strachu i piekielnej nienawiści. Gotów był się rzucić na przybysza.

Ale ten nie dziwił się, nie zmienił pozycyi. Klęczał i dalej spokojnie robił coś rękami koło worka.

— Słyszałeś?! Czy ty słyszałeś?!! Nie odwiązuj!!

— O, przepraszam cię, nie chciałem cię budzić. Ale mi się znudziło czekać i z nudów chciałem zajrzeć...

— Nie trzeba! Nie trzeba! Nie trzeba! Nie trzeba!!!

— No, rzecz prosta, że nie trzeba, jakeś się już obudził, to nie trzeba. Pogadamy. Stęskniłem się za tobą.

— Łżesz! Po coś przyszedł?

— A odwiedzić. To mnie, myślisz, serce nie boli, że ty tu już dwa lata gnijesz? Nieraz ja o tobie myślałem przez ten czas.

— Wszystko łżesz! Dlaczegoś się dziwił, jakeś tu wchodził? Coś gadał? Łgarzu! Łgarzu bezczelny!

— Com gadał? Tak sobie gadałem. Po raz ostatni takeśmy niegrzecznie się rozstali, że mi było głupio i dlatego takem zaczął żeby zagadać...

— Głupio zacząłeś!...

— Skądże mnie wiedzieć, jak się zaczyna taka wizyta? Cham jestem zwyczajny, a zresztą skąd takie ceremonie na Pawiaku?...

— Wczoraj byłeś tutaj! Psie, kto ci pozwolił tak często? Żadnego roku i trzech miesięcy nie było! Ja pamiętam wszystko! I ciebie się nie boję, żebyś to wiedział raz na zawsze! Dostałeś wczoraj w zęby? Dostaniesz i dzisiaj!

— Mój ty Boże, czy to już taka straszna rzecz „w zęby". Mnie to przecie nie boli, ani ja tego nie czuję i czuć nie mogę, jako że to się wszystko tylko wydaje, że jest. Mnie nic, bo ja się na tych rzeczach rozumiem, ale ty toś bardzo na to głupi, choć chodziłeś do uniwersytetu.

— Zabieraj swój worek i marsz!! Dosyć tego.

— Czego?

— Wszystkiego.

— Jakto wszystkiego? Nie wiesz jeszcze, co ci powiem, poczekaj! Mam nowin huk! Naco mam się kłócić? Parę słów chcę powiedzieć i pójdę. Bo i nie z własnej ochoty tu przyszedłem. Przysłali mnie ludzie. Zatom dostał pięć rubli. Idź, powiadają, opowiedz to i to. Dużo rzeczy. Idź, powiadają, bo on od dwóch lat o świecie nie wie. Nic a nic. Żal mi się zrobiło i przyszedłem, a z tych pięciu rubli ani grosza nie wziąłem dla siebie. Poszło wszystko na koszta.

— Jakie znów koszta? Koszta? Ty łgarzu!

— No, duchem przecie nie jestem. A żandarmi tu nikogo nie puszczą. Musiałem przez cały wieczór pić z żandarmem o tu na Dzikiej, co nie przepił i nie przejadł dostał do łapy. Dopiero puścił, bo powiada, przysięgałem. To nie dawniejsze czasy, kiedym łaził, kiedym chciał. Oho! Takie tu teraz u was porządki, żandarmów nasłali jak psów. Mówię ci, gorzej niż w X-tym pawilonie.

— Byłeś tam? Gadaj prawdę!

— Byłem, byłem, często tam bywam teraz. Wiesz, że mnie ciekawość zawsze ganiała po świecie. Szukam co ciekawsze. Mało teraz tego, mało. Wszystkie świństwa w tej Warszawie zwyczajne, marne. Ot, w pawilonie ciekawe rzeczy można zobaczyć. Lubię tam chodzić. A i mnie polubili.

Zwłaszcza Wojtek — woła mnie do siebie co noc, aż mi się znudziło...

— Co Wojtek?

— Tak sobie, trochę się rozgadał z panem rotmistrzem Knajfosem i teraz mu weselej. Całymi dniami lata po celi i śpiewa. Tańcuje też, ale to za boki się brać. Wiesz, jaki on zgrabny, ha-ha-ha! Wesoło koło niego, wesoło...

Juszkiewicz ścierpł i słuchał chciwie.

— Powiadam ci, jakie ten chłop kawały opowiada! Co za talent! Nawet mnie to dziwi, bo wy socyaliści wywłóczycie zawsze poważne materye, nudne. Słucham nieraz tylko tyle, że z obowiązku. Taksamo i z tobą (nie gniewaj się, wiesz, żem ci prawdziwie życzliwy). A on ci humorek ma, że i ja się przy nim rozruszałem. Powiada, że teraz dopiero wie, co to żyć. Tańcuje. Dawniej to mnie przez całe noce agitował na socyalizm, że już o mały włos mnie nie przekonał. Naprawdę! A teraz powiada otwarcie, żem ja mądry. Ty, powiada, jesteś prawdziwy proletaryusz. Moje dziurawe buty go rozrzewniły. Ty, powiada, nowy socyalizm założysz. Kto wie, może i założę, powiadam, tylko jeszcze popatrzę na stary i trochę się pouczę, jak nie trzeba. Gadaliśmy długo. Aż on mi kiedyś powiada. „Przekonałeś mnie, zrobiłem po twojemu“ To doprawdy zawstydziłem się. Złoty on chłop, ten twój Wojtek. A jaki gorący! Wszystko, powiada, teraz po nowemu, precz z przesądami! Chodził ci goły przez parę dni, a tam przecie mróz, zima na dworze. Zaziębił się, zachrypł. Doktora wygnał, stołkiem za nim cisnął. Wczoraj znowu w moich oczach wsadził sobie do gęby szczoteczkę od zębów i połknął ją całą. No, słyszana to rzecz? Jak można taką rzecz połknąć?

— Nie łżyj! Słuchaj człowieku! Dlaczego ty mnie dręczysz? Dlaczego tak bezczelnie kłamiesz? Trzeba było powiedzieć, że połknął całą miotłę, albo piec. Wszystko zełgałeś, naturalnie.

— Jak sobie chcesz. No, a powiedzże ty mi, ale szczerze, szczerze! Zawsze chciałbyś, żeby to była prawda? Chciałbyś? Zaglądał mu w oczy i zaczął robić miny.

— No, ciekawy jesteś, ciekawy. Naturalna to rzecz, przecie o najbliższego przyjaciela chodzi. Ale to, coś gadał „nieprawda“, to tylko tak dla przyzwoitości. Bo w gruncie rzeczy, (przyznaj się — przecież między nami?) toś już uwierzył. W takie rzeczy się odrazu wierzy, zwłaszcza, jeżeli się rozchodzi o przyjaciela. A zwłaszcza o takiego blizkiego przyjaciela i towarzysza. Wojtek ogromnie się szczyci twoją przyjaźnią. Mało to razy mnie o tobie gadał? Nie wiedział on, że ja

ciebie też znam. Mało to razy gadał panu rotmistrzowi Knajfusowi: „Juszkiewicz — to największy mój przyjaciel. Juszkiewicz — to najpierwszy człowiek w całej partyi“.

Knajfus długo nie wierzył. Aż Wojtek się rozgniewał naprawdę i zaczął mu dowodzić. Masę rzeczy o tobie naopowiadał. Zapomniał o paru sprawach, ale naogół to na wszystko, co tylko było powiadał, że to twoja zasługa. I o tym prowokatorze też, jakże on się nazywał...

— Piwarek — skwapliwie podpowiedział Juszkiewicz, słuchający w strasznem naprężeniu.

— Otóż właśnie. Jan Piwarek, blacharz.

Pan rotmistrz Knajfus nie wierzył. To ci powiadam posłali ludzi z łopatami w to samo miejsce, jak mówił Wojtek i odkopali jego. Tam, wiesz, za brudnowskim cmentarzem. Dopiero z wielkim honorem zgarnęli na kupę całą Piwarkową zgniliznę, napchali tego pełną trumnę i policja mu wyprawiła suty pogrzeb. Od szpiclów warszawskich miał wieniec blaszany z czarnemi wstęgami: „dorogomu towariszczu, żertwie dołga“. Było dwóch księży i karawan parokonny. A nad grobem sam pan komisarz z ochronki miał mowę, wielu ze szpiclów płakało rzewnie. Można wogóle co do szpiclów być rozmaitego zdania, ale przyznaj, że w tem wszystkiem jest coś wzruszającego.

No, od tej chwili pan rotmistrz Knajfus, zaczął Wojtka szanować bardzo. „Wszystko panu wierzę — powiada — teraz niech pan siada i to wszystko spisze“. Dali jemu do celi kałamarz i pióro i furę papieru. Siedział ci chłop nad tem pisaniem cały tydzień. Jak papieru zabrakło, to mu z kancelaryi zaraz przynosili. Jak bywało, zajdę w nocy do niego, to aż łzy w oczach staną. Zmęczony, niewyspany, przepracowany, ubabrany w atramencie i mizerny, tylko oczy mu się jarzą. Daj spokój, powiadam, nie warto się tak starać dla żandarmów, zdrowia twojego szkoda. Nie dla żandarmów ja, powiada, pracuję, (choć i oni, powiada, ludzie, jak i my) ale dla prawdy i wyższych celów. Całemi nocami o tych wyższych celach gadał, słuchałem, ale nie wielem z tego rozumiał. A żal ci Juszkiewicz? — pytam — godziłoż się tak towarzysza osmarować? Toż jego teraz gotowi powiesić.

Na to, on roześmiał się tylko, poklepał mię po ramieniu i powiada: „głupi ty jesteś, Kaczorowski“...

— Dlaczego „Kaczorowski“?! Co to znowu?!! — zakrzyknął nagle Juszkiewicz w strasznej irytacyi.

— Jakto, dlaczego Kaczorowski? Takie jest moje nazwisko!

— Kaczorowski?!

— Łżesz! Ty się całkiem nie nazywasz. Całkiem się nawet ni

możesz nazywać. Przecież tu się nic kupy nie trzyma. Nawet łgać nie umiesz. Ani słowa ci nie wierzę. Zupełnie, jakby mi się to śniło — i ty i wszystko, a tu on mi wyjeżdża ze swoim Kaczorowskim. Ha-ha-ha, idyota!...

— Jakiś ty dziwny... Nerwy, nerwy... Odmawiać komuś prawa do nazwiska! To jest zupełnie nowy wynalazek. Myślisz, że w ten sposób sobie ze mną poradzisz? Niema nazwiska, więc niema człowieka? Głupie rozumowanie, jak na takiego inteligenta. A i radość krótka. Bo ja dowody mam. Nijako tylko takiemu socyaliście pytać człowieka o paszport, od tego są policyanci. Ale jak ci na tem zależy, to ci go pokażę. Owszem. Niech się już raz wszystko wyjaśni...

Skulił się i zaczął szybko rozplątywać sznurki u worka. Juszkiewicz chwycił go za ramię.

— Daj spokój. Nie trzeba paszportu. Wierzę, wierzę. Niech będzie Kaczorowski. Słuchaj, Kaczorowski, daj spokój, powiadam! Po dyabła mi twój paszport?

— A co? Wstyd ci się zrobiło? Widzisz. Istota człowieka, to on sam, a nie jego paszport, albo nazwisko. Dziwno mi, że ci to muszę przypominać. A słuchaj?

Przysunął się o krok i zaczął mówić szeptem:

— Możebyś ty i rad zobaczyć dokument, tylko się boisz? Nie bój się — nic tam znowu takiego niema za tym razem. Pieska się mojego boisz? Niema pieska, słowo honoru ci daję, niema!

— Nie boję się i twojego pieska — odburknął Juszkiewicz; także szeptem.

— Masz racyę. To taki poczciwy psina. Wojtek go bardzo polubił. Póty prosił, aż mu go zostawiłem na stałe. Pies się do niego przywiązał, aż mi zazdrość. Całą swoją porcyę mu oddaje i bułki i cukier i obiad. Sam pije tylko herbatę i łapie muchy i tem się żywi...

— Skąd teraz muchy? W zimie? Znowu łżesz.

— Myszy chciałem powiedzieć. Myszy łapie. Porobił sobie takie pułapki z pudełek. Much teraz przecie niema, a choćby były, to któż się kiedy muchami najadł. Omyliłem się poprostu.

Juszkiewicza wstrząsnęło na samą myśl o tych myszach.

— Słuchaj ty — zaczął groźnie. — Odpowiadaj natychmiast bez wykrętów.

— O Wojtku prawda?

— Prawda najświętsza!

— Wszystko prawda?

— Co do słowa.

— Więc co? Zwaryował? I to wszystko w obłąkaniu? Co?

Kaczorowski uśmiechnął się dwuznacznie.

— Niewiem — doprawdy, jak ci to wyłożyć. To jest sprawa delikatna. Nikt go tam znowu specyalnie nie dręczył. Siedział, jak każdy inny. Miał dużo wolnego czasu, więc myślał. I nie można tego tak brutalnie traktować, jak ty. Zaraz „sypał". Co to znaczy „sypał"? I to o najbliższym przyjacielu? Robił tak, jak mu się wydawało, zmienił światopogląd, odmienił zasady utartej, filisterskiej (czy tam partyjnej) moralności. Uniezależnił się. Można to nazwać, jak chcesz, tylko nie tak szablonowo, po chamsku (daruj przykre słowo, ale ja przecie sam jestem chamem), nie można stosować do tego robociarskiego żargonu... To sprawy tajemnicze. Żebyś ty widział jego oczy natchnione, żebyś ty słyszał te wielkie słowa, grzmiące słowa! Przez cały dzień głosi swoje nowe słowo donośnie, na cały świat. Co za szkoda, myślałem sobie nieraz, że nikt tego nie słyszy, że nikt tego nie zapisze. Raz specyalnie przyniosłem ołówek i papier, żeby przecie coś zostało dla potomności, ale ani sposób, niepodobna nadążyć, a zresztą na to trzebaby sekretarza inteligentniejszego, a ja, wiesz, kiedyś tam przed laty wyleciałem z 6-tej klasy i nie mogę się uważać za inteligenta. Ale sercem, ale sercem odczuwałem wzniosłą wielkość. Ileż to razy płakałem rzewnie, słuchając. A on na to: „płacz, płacz Kaczorowski, albowiem wielu ofiar potrzebuje nowa sprawa; płacz, albowiem jeszcze cisnąć muszę na szalę nowe ofiary, aż przeważy szala i odmieni się świat cały. Tylko, prawdę powiedziawszy, to nowych ofiar żadnych już nie będzie, bo on już wszystko do dna powiedział, co tylko wiedział, a nawet znacznie więcej, już z wyobraźni, z samego rozpędu, porwał go talent twórczy.

Siedzi przez niego nawet sporo ludzi zupełnie niewinnych, to jest powiadam ci najzupełniej niewinnych, jakichś tam jego krewnych, czy znajomych, którzy o niczem nawet pojęcia nie mają. Siedzi jakiś stary babsztyl, ciotka jego, czy coś w tym rodzaju.

Sam Knajfus raz powiedział: „eto uże czort znajet czto takoje". Nie, możesz być spokojny, Wojtek już nie będzie „sypał" (mówiąc twoim językiem). A o tobie napisał z dziesięć arkuszy maczkiem, opisał cię tak, jak tylko najlepszy przyjaciel może. Stworzył poprostu małe arcydzieło. Ja ciebie wprost uwielbiam potem, com się stamtąd dowiedział. Co za poświęcenie, co za zaparcie się, co za męstwo i wytrwałość! A zakończył swoją monografię w te mniej więcej słowa: „Oto wizerunek wielkiego czynu i szlachetnej zasługi, czemuż ach czemuż oddane sprawie obłędu i czynom zaślepienia!"

Wzruszające!...

Kaczorowski umilkł i rozczulonem słodkiem okiem wpatrzył się w Juszkiewicza, pijacka twarz nabrała wyrazu współczucia, życzliwości. Niebieskie wyblakłe oczy zaszły łzą rozrzewnienia, około ust wyrosła żałosna rysa. Zadrgała siwa broda. Zdawało się, że lada chwila stary zaszlocha. Już pociągnął nosem... Oczy zwarły mu się i przez wązkie szpareczki błysła iskierka jedna i druga, zastrzęsła się siwa broda, pijacki nochal zakrzywił się, jak dziób i stary zaczął rechotać zcicha i podrygiwać całem ciałem. (Dok. nast.)

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

SOCYALIZM A KWESTYA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Ale może to tylko demokracya mieszczańska, czy drobnomieszczańska tak rozgranicza narody? Czyż ustrój socyalistyczny, czyliż wspólna własność środków produkcyi nie zleje wszystkich narodów w jeden, nie zniesie wszelkich granic?

Zarzut ten, bardzo często stawiany, świadczy o tem, że stawiający go „ortodoksalni marksiści" jeszcze nigdy się bliżej nie zastanowili nad tem, czem się właściwie różni państwo socyalistyczne od państwa kapitalistycznego. Państwo kapitalistyczne, a szczególnie najczystszy typ jego, państwo manczestersko-liberalne, jest sobie, ot wiotkim dachem czy parasolem wspólnym, chroniącym od ulewy, gradu i zawieruchy dziesiątki tysięcy wzajemnie niezależnych gospodarstw prywatnych. A ponieważ między tym parasolem a chronionemi przezeń gospodarstwami żadnego ścislejszego związku organicznego niema, więc jedno i to samo gospodarstwo prywatne może się doskonale rozsiąść pod dwoma lub trzema parasolami państwowymi. Jeden i ten sam kapitalista może posiadać kopalnie we Francyi i w Niemczech, fabryki maszyn w Anglii i w Ameryce, zakłady tkackie w Berlinie i w Łodzi, może odcinać kupony od akcyj kolejowych austryackich i włoskich, pobierać procenta od renty tureckiej i hiszpańskiej. Olbrzymie masy towarów, na prywatny rachunek zakupionych, z łatwością przechodzą granicę w jednym i drugim kierunku; wszak na granicy pobiera się tylko cła, a cła są tem niższe, im czystszym jest kapitalistyczny charakter państwa. Wygórowane cła rosyjskie świadczą o tem, że kapitalizm rosyjski znajduje się dopiero w pieluchach; minimalne cła angielskie, tyczące się niektórych

zaledwie towarów, świadczą o dojrzałości kapitalizmu angielskiego*). Tak więc państwo manczestersko-kapitalistyczne, nie roszczące pretensyi do organizowania przemysłu, wyrzekające się kierownictwa czynności gospodarczych na rzecz prywatnej inicyatywy i wolnej konkurencyi, sprowadza znaczenie granic do minimum. Przy takim systemie państwowości przesunięcie lub zniesienie jakiejś granicy jest dla światowych kapitalistów aferą trzeciorzędną, bo żadna granica na seryo im nie przeszkadza w robieniu interesów po obu stronach kordonu. Takie państwo, przez samowładny kapitalizm sprowadzone do marnej funkcyi „stróża nocnego", obojętnie patrzeć może nawet na masową emigracyę swoich poddanych, lub immigracyę obcych. Emigruje sto tysięcy chłopów do Ameryki? a niech jadą, jeśli konkurencya ich wyparła!**) Przybyło 60.000 Włochów, Rusinów, Słowaków? I owszem — praca stanieje! Wychodźcy głodzą się, chorują, mrą w podróży? Przedsiębiorcy, widząc bezradność przybyszów, wyzyskują ich w sposób nieludzki? Dozorcy biją ich, znęcają się nad nimi? Opuszczone rodziny wychodźców żyją w nędzy, dziczeją? To nie sprawa państwa; państwo nie jest opiekunem dorosłych ludzi, ani ich rodzin — każdy sam swego szczęścia kowalem!

Tak więc, powtarzam, państwo kapitalistyczne sprowadza znaczenie granic do minimum. W biegunowem przeciwieństwie zaś do państwa kapitalistycznego, republika socyalistyczna nie jest ani dachem ani parasolem, tylko gmachem. Państwo socya-

---

*) Protekcyonizm Ameryki jest tylko pozornym wyjątkiem. Ameryka wprawdzie ma bardzo dużo przemysłu, o ile chodzi o cyfry bezwzględne, albo nawet o procentowy skład ludności; ale jeszcze więcej ma terenów słabo zaludnionych, gdzie się zmieścić mogą jeszcze liczne dziesiątki milionów ludności, tak rolniczej jak i przemysłowej. Wyraża się to w rażąco niskiej cyfrze przeciętnego zaludnienia (9 mieszkańców na kilometr kwadratowy — zaś w Królestwe Polskiem 74, w Galicyi 93, na Górnym Śląsku 141). Wobec tego zrozumiałem jest, że Ameryka w kwestyi ceł zachowuje się wciąż jeszcze jak młody kraj osadniczy, którego przemysł jest po większej części jeszcze do stworzenia. Protekcyonizm niemiecki zaś jest anachronizmem ekonomicznym, wywołanym przez anachronizm polityczny — przewagę polityczną nie burżuazyi przemysłowej, tylko pruskiej szlachty ziemiańskiej, która swoją bankrutującą gospodarkę rolną ratuje cłami.

**) Jeśli galicyjskie władze czasami utrudniają chłopom emigracyę, to dzieje się to bynajmniej nie ze względu na potrzeby kapitalizmu, tylko ze względu na potrzeby feudalizmu—konkretnie mówiąc, ze względu na szlagoneryę galicyjską, jeszcze jałowszą od pruskiej pod względem ekonomicznym, a która za przykładem junkrów pruskich stara się przymusem przykuć do siebie uciekające siły robocze.

listyczne — to jednolite gospodarstwo narodowe, którego wszelkie części i cząstki, jakkolwiek autonomiczne, działają ku wspólnemu celowi i według wspólnego planu. Przypuśćmy dla przykładu, że Francya stała się republiką socyalistyczną. Otóż, w takim razie francuska kopalnia węgla to już nie kopalnia, która przypadkowo tylko leży we Francyi, a której właściciel lub główny akcyonaryusz może być Niemcem, Anglikiem, czy Amerykaninem; nie, to kopalnia stanowiąca własność narodu francuskiego, a zarazem kopalnia, wchodząca w skład zbiorowego gospodarstwa tego narodu. Węgle z tej kopalni ogrzewają mieszkania francuskie, opalają lokomotywy francuskie, wytwarzają siłę mechaniczną dla fabryk francuskich, a dopiero zbyteczna we Francyi nadwyżka tych węgli może być przez naród francuski sprzedaną jakiemuś narodowi obcemu. A jeśli granicę francuską przekracza naprzykład ładunek jedwabiów francuskich wartości trzech miljonów franków, to wysyłającym nie jest żaden prywatny kupiec lub fabrykant, tylko naród francuski; a zatem rząd narodowy pobiera od tego ładunku nie jakieś cło, wynoszące 1%, 5%, lub chociażby 20% wartości, tylko całą wartość sprzedanego towaru. A Francuz — to w tej przyszłej socyalistycznej Francyi już nie człowiek, mający paszport francuski, ale któremu poza tem wolno na własną rękę z głodu umierać i we Francyi i poza Francyą; nie, to członek wielkiej rodziny francuskiej, która wszystkich swoich synów wychowuje, karmi, odziewa, ugaszcza i zatrudnia we własnem gospodarstwie. Usunięcie stu francuzów od pracy — to pozbawienie się stu sił roboczych, którym tak czy siak utrzymanie dawać trzeba. A wyjazd stu francuzów za granicę — to dla tej wielkiej rodziny utrata stu synów i córek, których nie można zastąpić obcymi, bo z obcymi utrudnione porozumienie, bo obcym trzeba rozkazywać, bo obcych trzeba dozorować, podczas gdy ze swoimi półsłówkiem porozumieć się można, podczas gdy swoi, od dzieciństwa wychowani do wspólnej pracy, z przywiązania dla narodu-rodziny pracują bez przymusu i bez rozkazów. Republika socyalistyczna musi więc gorliwie i czujnie dbać o pracę dla swoich u siebie, bo utrata obywateli jest dla niej utratą krwi, a zastąpienie ich obcymi bolesną i niebezpieczną transfuzyą. To też republika socyalistyczna podniesie wyzyskanie przyrodzonych bogactw własnego kraju, wykorzystanie wszelkiej możliwości pracy wytwórczej na własnym terenie, słowem, umiejętne zagospodarowanie swojskiej gleby, tak pod względem rolniczym jak i przemysłowym, do niebywałego dotąd napięcia. Regulacya swojskich rzek, wykończenie swojskiej sieci kolejowej, ulepszająca klimat racyonalna gospodarka lasowa, przyswojenie nowych odmian pożytecznych roślin i zwierząt, uprzy-

stępnienie wszelkich odłogiem leżących skarbów mineralnych swojskiej ziemi, tworzenie fabryk, na miejscu przerabiających wszelkie surowce przez swojską przyrodę dostarczane; a jednocześnie wydobywanie, przez czujną a dyskretną pracę wychowawczą, z dusz swojskiej młodzieży wszelkich drzemiących w tych młódych duszach zdolności, planowe rozwijanie tych zdolności drogą kształcenia fachowego i wykorzystanie ich celem obsadzenia swoimi wszelkiego rodzaju posterunków w każdej dziedzinie pracy narodowej, słowem, wychowywanie wszechstronnie uzdolnionego narodu — takie będą główne zadania mężów stanu w okresie socyalistycznym. I tylko z tego jak najintensywniejszego rozwijania sił każdego narodu z osobna wyniknie w końcu trwała harmonia międzynarodowa — wedle zasady, którą tak trafnie sformułował Fryderyk Rückert, ów skrzętny Niemiec karmiony mądrością Wschodu: „Gdy się róża sama stroi, ogród stroi sobą!“

Ale to wszystko znaczy, że państwo socyalistyczne podniesie znaczenie granicy do maximum. Granica stanie się niezmiernie ważnym organem socyalistycznego państwa. A ta granica nie może bujać gdzieś w powietrzu, tylko musi być pociągniętą na ziemi. A jeśli ma być pociągniętą na ziemi, a odpowiadać swojemu celowi, to oczywista musi być pociągniętą tam, gdzie istotnie dzieli swoich od obcych — a mianowicie między dwoma teryoryami etnograficznemi.

Dobrze więc, niepodległość jest potrzebną, granice są niezbędne nawet w socyalistycznym okresie. Ale prowadzić wojnę o niepodległość, przelewać krew o granice? Czyliż samo pojęcie wojny, tej systematycznie przygotowanej rzezi masowej nie sprzeciwia się pojęciu demokracyi, a cóż dopiero socyalizmu?

Otóż przyznaję, że istotnie w demokracyi tkwi tendencya do zniesienia wojen. Wolny naród lekkomyślnie nie wszczyna wojny. Może sobie samowładca lekkomyślnie szafować krwią plebsu, może arystokracya lekkomyślnie szafować krwią chamów; mogli i w minionych wiekach bogaci patrycyusze miejscy lekkomyślnie szafować krwią obcéj, najemnej hołoty, krwią przybłędów „bez czci i wiary“; ale wolny naród swojej własnej krwi nie przelewa dla żartu. A tem bardziej państwo socyalnodemokratyczne, które przecież tyle trudu wkłada w wychowanie każdej jednostki z osobna, będzie się wystrzegało trwonienia drogocennej krwi swoich synów. Ale z tą tendencyą pokojową krzyżuje się inna, niemniej silna, która właśnie najbardziej postępowe społeczeństwa najbardziej prze do wojny o postęp. Znamy tę tendencyę wszyscy, znamy ją oddawna imię jej — tendencya rewolucyjna. Ta tendencya oswo-

bodzicielka nietylko prze klasy ujarzmione danego narodu do zbrojnej walki przeciw swojskim klasom panującym; prze ona także wyzwolone narody do obrony krwawo wywalczonych swobód od wroga zewnętrznego, od międzynarodówki reakcyi. Jakkolwiek niefortunnym był ów Engelsowski podział narodów na rewolucyjne i reakcyjne, to jednak o tyle jest prawdą, że żadna postępowa zasada nie zwycięża u wszystkich narodów odrazu; a naród, który wprowadza w życie nową, rewolucyjną zasadę, jeszcze wyklinaną i prześladowaną przez rządy narodów sąsiednich, naraża się na wojnę z sąsiedniemi państwami. Tak było w wiekach średnich od czasów pierwszej krucyaty przeciwko Bogumiłom bośniackim, ojcom duchowym wszystkich późniejszych komunizmów chrześciańskich w Europie, a przeto pośrednio i socyalizmu nowoczesnego: tak jest dzisiaj i tak jeszcze dosyć długo będzie. Naród, który u siebie przestaje palić protestantów na stosie, tem samem naraża się na wojnę z narodem sąsiednim, u którego inkwizycya jeszcze jest górą; przykładem Anglia za Elżbiety, kiedy to Filip hiszpański wysłał przeciwko niej Niezwyciężoną Armadę pod dowództwem admirała Medina Sidonia, poprzednika Rożdiestwieńskiego. Naród, który otoczony monarchiami absolutystycznemi pierwszy u siebie zaprowadza republikę, ściąga na siebie świecką krucyatę, czyli koalicyę mocarstw reakcyjnych — dowodem wielka rewolucya francuska. Naród, który u siebie znosi szlachectwo, tem samem ściąga na siebie gniew swojego arystokratycznego sąsiada, nawet jeśli z nim przebywa w najczulszej z federacyi; przykładem Norwegja, która z tej przyczyny z r. 1821 stała bezpośrednio przed wojną ze Szwecyą, i tylko grube ustępstwa finansowe ze strony Norwegii w ostatniej chwili zażegnały burzę. Naród, który u siebie toleruje socyalistów, podczas gdy sąsiad ich prześladuje, naraża się na wojnę z tym sąsiadem; doznała tego Szwajcarya, która od r. 1879 do 1888 pozwalała socyalistom niemieckim wydawać swój nielegalny organ partyjny w Zurychu, aż w końcu groźby rządu niemieckiego zmusiły ją do wydalenia redaktorów tego pisma.*) A przecież chodziło tylko o tolerowanie socyalistów, nie o socyalizm. Tembardziej więc naród, który pierwszy w Europie zaprowadzi u siebie ustrój socyalistyczny, ściągnie na siebie zbrojną koalicyę państw kapitalistynych, krucyatę czcicieli Mammona przeciw jego bluźniercom. Ta przyszła wojna koalicyjna będzie może krwawszą, niż wszystkie wojny napoleońskie razem wzięte.

*) Byli nimi: Edward Bernstein (główny redaktor), Juliusz Motteler, Schüter i Tauscher. Porównaj: Mehring, Geschichte der deutschen Socialdemokratie, tom IV, str. 168—69 i str. 305

Ale jeśli się nie znajdzie naród bohaterski, który tę wojnę świadomie na siebie sprowadzi, to i socyalizmu nigdy nie będzie.

Oczywista, że żadna wojna rewolucyjna, ściśle biorąc, nie jest wojną przeciw narodowi wstecznemu. Nie naród jest wstecznym i kontrrewolucyjnym, tylko rząd jego i klasy panujące. To też logicznym wynikiem każdej takiej sytuacyi jest wezwanie, przez rząd postępowego państwa skierowane do ludu z tamtej strony granicy, aby odmówił posłuszeństwa swoim panom, chcącym go użyć do usług katowskich i stanął po stronie szermierzy wolności. Małoż to takich proklamacyi do ludności niemieckiej wydawały niegdyś francuskie wojska rewolucyjne? Słowem, dewizą każdej takiej walki jest hasło, tak dobrze znane nam Polakom: „za naszą i waszą wolność!“ Ale niestety, piękne to hasło nie robi zbytecznymi bagnetów i kul przeciwko tym, którzy go słuchać nie chcą. A ostatnie zdarzenia pod caratem chyba nas wszystkich przekonały, że zbrojnej reakcyi jeszcze bardzo długo nie zabraknie jańczarów. Gdybyśmy chcieli czekać, aż ich zabraknie, moglibyśmy się spać położyć na długie, długie stulecia...

Wojna jest straszną, ale stokroć straszniejszem jest gnicie bezbronnego narodu pod batem tryumfującej reakcyi. A tego bata niełatwo się pozbyć bez wojny. Kto więc dąży do wolności, temu nie wolno się wyrzec wojny o wolność. A to się tyczy i wolności społecznej, i politycznej, i narodowej.

Otóż i odpowiedź na pytanie; czy wolno nam o niepodległość Polski prowadzić wojnę? Wolno nam, o ile ta wojna będzie możliwą i potrzebną. Szczerze i serdecznie witamy jako braci wszystkich tych Rosyan, którzy gotowi są do zbrojnej walki o wolność u siebie, a jednocześnie gotowi są do odmówienia rządowi rosyjskiemu katowskich usług przeciwko rewolucyjnej Polsce. Ale wobec tych Rosyan, którzy się do tych usług katowskich użyć dadzą, bynajmniej nie będziemy Tołstojowszczykami. Będziemy ich zwalczać na śmierć i życie, tak samo jak zresztą i zbirów, katów i zdrajców, z naszego własnego narodu wyszłych.

Tak stawiając kwestyę, jesteśmy w najzupełniejszej harmonii z owymi sławnymi socyalistami europejskimi, którzy tylekróć oświadczyli swoją gotowość do wojny o niepodległość i całość swojej ojczyzny. Wszak Bebel gotów jest nawet wojować z republiką francuską w imię całości Niemiec monarchicznych i reakcyjnych. A mybyśmy się mieli cofnąć przed wojną za niepodległą republikę polską przeciw państwu Trepowów i Abramowów? (C. d. n.)

TADEUSZ MICIŃSKI.

KNIAŹ PATIOMKIN.

Dramat w 4-ch aktach.

AKT CZWARTY.

(*Wieczór na pokładzie. Morze świeci złocistymi poblaskami wśród mrocznych głębin.*

Namiot żaglowy zakrywa widok na pancernik.

Na kłębie lin zwiniętych siedzi zamyślony Mitienko. Maszt opancerzony rzuca fantastyczny widmowy cień.)

Mitienko: Więc przyobiecujesz, że tej nocy zginie wszystko? Cieniu w głębinie — ty jesteś wieszczych Pan tajemnic — i wszystkie łańcuchy fal trzymasz w swojem ręku.

Wyspowiadać się, o Morze? wejść w twoje głębiny? jakie ty dobre — ciągniesz mnie, ty stara odwieczna zbrodnicza Matko! Ławicom ryb, kiedy się trą — ludzie sprawiają ohydną rzeź — potem w parafialnym kościołku odprawiają mszę za szczęśliwy połów. Cmentarzu ryb i okrętowych szczątków!

Kocham Cię — niepojęta mroczna dolino wielkich łez.

Milczenie!...

Nie tym skrzypcowym jękiem — ale Gaurizankarem zapładniać twoje myśli falujące, obojętne, złe —

piorunami załachotać, abyś doznało śmiechu najgłębszych zagadek.

O, już nie słów —

ale pogardy — gardzić tobą — tak, jak ty mną.

Jestem duch zwierzę! Chciałbym się tarzać w namiętności, jak wieloryby w morzu — ich miłość — jest to widowisko potworne, zdaje się, że morze dostaje wściekłości.

I chciałbym, jak fakir indyjski w grocie nad Oceanem, lub jak nasz święty Sergiusz stać w ciasnem skalnem wyżłobieniu wyspy nad polarną wyjącą Ładogą —

i patrzeć w tę Otchłań, której jest imię Żelazna Nicość.

Wszystko, co jest, niema celu. Wszystko jest w przeznaczeniu. Wszystko być musi. Nikt nie jest odpowiedzialnym.

Morze, w nocy obłędnej, burzliwej, zagnałbym wszystko co żyje w twe tonie — i tam wciągałbym wielkiem zaklęciem — jak łowca dusz — kto tu jest — dyabeł?

(*Widać wspartego o maszt opancerzony Nieznajomego.*)

Głos: Dusz łowca.

Mitienko: Może to echo odbiło się od żelaznej wieży? Może to obłędu miraż wspaniały — takie widmo Brokenu na głuchej mglistej otchłani życia —

(*Nieznajomemu odchylają się szczęki i widać język czarny, wirujący. Mitienko podchodzi trzęsąc się i palcem próbuje dotknąć umarłego. I wtedy staje się rzecz dziwna: Nieznajomy w spokojnym lodowym tańcu, wirując dokoła masztów i armat, wciąż szybciej i szaleniej — znika w mroku — tylko błyśnienie nagłe — — Mitienko jakby się budził, wstaje.*)

Nie trzeba zanadto myśleć — zapada się w trzęsawy — —

Będzie cyklon morski — chmury mroczne — i to jest coś mitycznego: kawał księżyca krwawego w chmurze wschodzi — niby twarz okrwawionego Sfinksa — —

(*patrząc na wschodzący księżyc*)

Mocnem i wiecznem jest tylko zlodowacenie ziemi, zgaśnięcie słońca!...

(*Majtkowie unoszący fotele, podchodzą cicho i znienacka brutalnie uderzają Mitienkę, śmieją się.*)

Majtkowie: Mitienko, ż... u ciebie się zaczerwieniła, boli — a?

(*Mitienko gwałtownym uderzeniem zwala z nóg majtka i wrzuca go do morza — i nagle wydobywszy nóż, staje chmurny i straszny przed gromadą.*)

Majtkowie (*rzucając linkę tonącemu*): Niełądno, Mitienko — skąd ci wyłażą takie pazury?

Ha, ha! może to na śmierć — bo mówią, że i zając przed śmiercią, też mocno drapie pazurami.

(*Odchodzą.*)

Mitienko: Gdzie jest spokój —? chciałbym nie widzieć nic — tylko patrzeć w morze — — Wejdę na maszt — tam w bocianiem gnieździe nie wyśledzi mię nikt — —

(*wdrapuje się na maszt i znika.*)

(*Rozlega się muzyka — wchodzą majtkowie — twarze ich brunatne, pasiaste koszule — jeden z nich śpiewa i gra na cymbałkach, inni na trąbach i skrzypcach — tłum zasłuchany — komitetowi poważnie zasiadają na fotelach, rozkładając mapy na stole, maszynę do pisania i wielkie napisy płócien, rozciągniętych na ramie: Wolność — Równość — Braterstwo! Proletaryusze łączcie się! Niech żyje Rewolucya!*)

Śpiew: Błyszczą się zimne fale,
biją o morski brzeg —

latają czajki nad morzem —
rozpaczy pełen ich bieg.
I jęczą wciąż — krzyczą te czajki —
jakiś zatrwożył ich wróg —
ha — rozległy się grzmoty —
dalekich kartaczy huk.
Tam pośród morza szumnego
błyskają krzyże dwóch flag —
walczy z przemocą zwycięską
dumny krasawiec — Wariàg.
Strzaskane wysokie maszty,
pancerz rozleciał się wkrąg,
walcząc z morzem i wrogiem
załoga nie spuszcza rąk.
Pieni się Żółte morze,
bałwanów ciemny gniew —
z wrogich pancernych olbrzymów,
grzmi straszny wystrzałów śpiew.
Nasz okręt nagle zamilka —
czajki, zanieście tę wieść —
my w bitwie wrogom nie zdani,
giniem za ruską już cześć.
Przed wrogiem my nie zniżyli,
świętego Andrzeja dwóch flag —
myśmy wzerwali Koriejca —
nami zatopion Wariag.
Widziały czajki śnieżyste,
jak skrył się bohater wśród fal — —
zamilkły armat pioruny —
i morza ścicha już dal —
Błyszczą się zimne fale —
biją o morski łęg —
czajki do Rosyi wracają —
rozpaczy pełen ich jęk.

Riesniczenko: Muzyka niechaj umilknie. Idźcie stąd. Otwieram posiedzenie Komitetu Wykonawczego. Straż niech tu przyprowadzi oficerów.

Majtkowie: Widzicie, jak się rozsiedli na fotelach. A co, Wasze Błagorodie — nie pogardzicie koźlą nogą — czy tylko już

hawańskie? — Jak tu jest cicho — marynarze dotąd boją się mówić głośno w tych miejscach, gdzie siadywała władza. —

(*wychodzą dwaj majtkowie z gwintówkami*)

W kasie okrętowej znaleziono 27.000 rubli i pakiet z 4.000 inżyniera Charkiewicza. Co z nim uczynić?

Aleksiejew: Wybraliście mnie komendantem, więc ja mam chyba głos: radzę, żeby połowę oddać na koszta rewolucyjne.

Majtek I (*z małoruska*): Chiba mi złodii?

(*Śmiech.*)

Majtek II: Rewolucya nie jest kwecem, który zabija — aby kradł.

Aleksiejew: Tak to tak! Kot gdy ma parę godzin i jeszcze błonę na ślepkach — też nie je myszy.

Matiuszenko: Niema o czem mówić. Te pieniądze należą do inżyniera lub jego rodziny i będą mu doręczone.

Werkmajster: Ej oszczędzajcie, oszczędzajcie — przyjdzie potrzeba — okręt wielki — żołądków dużo —

(*Wchodzi kilku oficerów pod strażą.*)

Aleksiejew: Oficerowie z dobrowolnie przyłączonej Wiechi i nasi — proszą żeby ich puścić na ląd. Trzeba im zapłacić.

Majtkowie: Niech będą radzi, że wynieśli głowy całe z naszej paszczy.

Aleksiejew: To nie pora na żarty, ja sądzę. Im należały się pensye zaległe. Wszak przed chwilą słyszałem, że rewolucya nie — nie jest dawnym systemem. Ja chyba mam głos? radziłbym, żeby połowę całej sumy przeznaczyć na wierzycieli.

Majtkowie: Ha, ha — oni nam kiedy co zawierzyli!

Matiuszenko: Miejmy tę satysfakcyę, żeby panom oficerom dać po sto rubli.

Majtkowie: Miejmy!

(*Matiuszenko rozdaje storublówki.*)

Matiuszenko: Na szampańskie — bo do nich nie wypada mówić — na wódkę.

Majtek: Wódka po rządowemu nazywa się też wino, to na jedno wyjdzie.

Oficer: Zdrowo powiedziane — ruski człowiek lubi prawdę.

Oficer II: Kto mnie rozmieni 500 rublową?

Majtkowie: Oho, ten bogaty — nie przyjmie —

Oficer II (*ukazując gestem rąk do siebie*): Ręce są tak. a nie — tak. Powiedziano w Ewangelii: rękę, która sobie nie bierze — odrąb.

Co mnie się z prawa należy — czemu nie brać?

Matiuszenko: A jakże, i Panu się należy 100 rubli. To tak, jakby wszystkim rozdać kopnięcie, a Pana oszczędzić.

Riesniczenko: Oficerowie nas dawniej znieważali, nie odpłacajmy im takimże sposobem. To nie przystoi Wielkiej Młodej Rosyi.

Oficer III (*mrucząc*): Ażeby prędzej już od tej śmierdzącej kanalii. Nawet nas siadać nie proszą.

Oficer I: A mnie oni teraz zaczynają się podobać. Ano, spróbowaćby tak teraz dać któremu opleuchę. Wyzwałby na pojedynek, jak równy z równym —

Oficer IV: Daj spokój — to jest najdumniejsza arystokracya — Dyogenesów sankiulotów.

Aleksiejew: Ja muszę jednak was prosić o większą sumę. Mam żonę na lądzie — pisała, że jest w ciąży — potrzeba mi gwałtem 1000 rubli. Nie odmówcie, kochani towarzysze. Różnie z człowiekiem bywa.

Matiuszenko: Wy chcecie zatem dziesięć kopnięć? Ja jestem za tem żeby dać.

Aleksiejew: Ot tobie krzyż, nie mogę obejść się bez tych pieniędzy. (*Wyciąga chustkę i ociera się.*)

Majtkowie: Kiedy płacze, to widać potrzeba.

(*Riesniczenko daje mu banknot.*)

Ale pamiętaj, abyś wysłał pieniądze i sam wrócił, bo ty musisz okręt wieść — zaprzysiągłeś.

Aleksiejew: Sam dobrze wiem.

(*do odchodzących oficerów półgłosem*)

Mam genialną idejkę — posyłam do rządu memoryał.

Oficerowie (*też cicho*): Liczymy na pański takt. Admirała usposobimy dla pana życzliwie.

(*Odchodzą.*)

Matiuszenko: Wróćcie się panowie. Zapomnieliście —

Oficerowie (*wracają*): A — może być — jeszcze w rachunkach —

Matiuszenko: Należy komitet wykonawczy Wielkiej Rosyjskiej Rewolucyi pożegnać.

(*Oficerowie chmurzą się.*)

Czy wy ludzie? czy tylko manekiny zardzewiałe w atmosferze przesytu i dymu, kart i kobiet i wina!! Dla prostego człowieka macie tylko poniżenie?

W jedną noc traciliście to, co na was zapracowało ludzi tysiące.

I za to jeszcze pięściami biliście po twarzy.

Koszuba: My byliśmy zmuszeni jeść zgniłe suchary i ohydnie zgniłe mięso, podczas gdy oficerowie obżerali się różnymi jadłami i pili zagraniczne wina.

Przed oczyma naszymi urządzali ciągłe hulanki — gdy nas obrońców ojczyzny — morzyli głodem.

Nas szczuli, szczuli systematycznie — i mówiąc otwarcie, doprowadzili do stanu dzikich zwierząt.

Zanim poznaliśmy socyalizm — chcieliśmy ten pancernik rozbić na skałach, przerżnąwszy łańcuchy u steru — ten sposób walki był niegodny — ale cóż było zrobić? Nasz okręt zmienił się w pływające więzienie.

Zamiast zebrać nas w wolnym czasie — porozmawiać — jakiemi morzami idziemy — jakie okręty u innych — choćby u wrogich Japończyków — to słyszymy tylko —

Majtkowie: To już minęło!

Koszuba: Tak — słyszeliśmy swołocz, dureń, bałwan — a to mówiąc, kuli nas pod zęby. Przecież od takich słów lub od opleuchi nie zmądrzejesz. Trzeba być ostołopem, żeby tego nie rozumieć. Wszystkie osły zdaje się powinnyby to nareszcie pojąć.

Nie zajrzeli nawet będąc dyżurnymi — do kuchni. Wciąż tylko oglądali burty mosiężne, które tak musiały błyszczeć, jak czarcie oko.

Oficerowie: My z mordercami rozmawiać nie możemy.

Koszuba: Tak? a ty gorszy — ty Kain.

My przecież znaliśmy się pod Cuszimą —

Byli tam majtkowie Król i Suslienko w karcerze „za bunt“. To z rozkazu tego tu oficera postawiono ich w łańcuchach przy baszcie, kiedy Japończycy kartaczowali okręt. I rozerwało ich tak, że nikogo nie można było poznać — leżały tylko nieforemne okrwawione kąski mięsa.

Kiedy nasz pancernik Osliabia tonął — i w nim już zabulgotała woda — wszyscy z dzikiem wyciem rzucili się na pokład —

Boże mój, jak zawyli wtedy ranieni w lazaretach! Ci, którzy zdrowi, od razu zmięli ich sobie pod nogi — i wydobywając się na wierzch, niemiłosiernie deptali.

Riesniczenko: Nie wspominajmy już tych bied — Koszuba

Koszuba: Nie, to musi być raz wypowiedziane — oficerowie wiedzieli, że w maszynowych oddziałach było 250 ludzi zamknię-

tych pancerzowymi płytami w czasie boju. Te można było odkrywać tylko z góry. I ci żywcem pogrzebani krzyczeli, żeby im kto otworzył wyjście —

każdy zbawiał tylko siebie.

Ja miałem oderwane palce u obu rąk.

Temu oficerowi mówię: tam jest dwa i pół set ludzi w tem żelaznem więzieniu. On mnie pchnął —

Oficerowie: Możemy już iść?

Riesniczenko: Teraz już nie.

Koszuba: Kto ma wyobraźnię — niech ujrzy położenie tych ludzi. Przy wywracaniu się pancernika w górę sterem — oni polecieli wszyscy głowami w dół — a za nimi — zabijając ich, poleciały wszystkie żelazne przedmioty, które były źle przyczepione. Wszystko zagruchotało — zaszumiało — zatrzeszczało... Elektryczne światło od razu zgasło, tworząc nieprzebity mrok. Ale główne maszyny i potem jeszcze tworzyły robotę, krusząc i przecierając wpadających w nie ludzi na drobne kawałki. Wodą te zakryte oddziały nie zapełniły się od razu — i oni długo tam jeszcze byli żywi. Jaki szatan mógłby wymyśleć takie piekło, jakie już zrobione jest przez ludzi?

Majtkowie (*do oficerów*): — — Krwiopijcy — co wyście przedsięwzięli? Zginąćby wam wszystkim ze świata Bożego!

(*Oficerowie stoją z głowami opuszczonemi.*)

Koszuba: Pancernik leżał już na boku, a z rur jego wciąż jeszcze nie przestawał wychodzić dym — który się rozścielał nisko — jakby od kainowego całopalenia.

Kapitan (*dotąd milczący*): Tak — ja jestem winien — sprawiedliwość i Rosya chcą, abyście mnie rozstrzelali.

Matiuszenko: My zaczekamy sądu na was. Przez Rosyę przeszliście z ogniem i z nahajem, zasiewając rodzinne miasta i wsie trupami i zgliszczami. Ludzka myśl, przystosowana do wszystkiego, nauczyła się obejmować to, co wydawało się dawniej nieobjęte.

Dla najbardziej jednak nierozwiniętego umysłu jest teraz jasne, że bezmierne przestępstwa władzy nie dają się wyrazić żadnem kryminalnem prawem, i nigdzie jeszcze nie jest napisana ta kara, która ich czeka.

Możecie iść.

Kapitan: Pozwólcie słowo. Nasze pokolenie całe było zgniłe. Mszczą się na nas grzechy sodomskie i nieprawdopodobna dzika rozpusta od najwcześniejszej młodości. Ilu najszlachetniejszych mło-

dzianów zginęło z chorób i występków, którym niema miana! Przez wszystkie domy publiczne Kilu, Hamburga, Brestu, Hawru, Spezii, Lizbony, Manilli i Yokohamy — szła za nami śmierć —

i ostatnią szaloną orgię sprawiła nam w wodach mrocznych Cuszimy.

Zatopić na dnie oceanu historyczne dzieło Piotra Wielkiego i razem z niem może losy Rosyi — to, jak chcecie, panowie — jest ciężko. Domagam się dla mnie śmierci. Mnie już nie tłómaczy młodość.

Oficer I: I dawniej i zawsze u nas tak było. Historycy nie mogą nawet opowiadać szczegółowo, jak ohydne były obyczaje XVI wieku u nas, a potem Katarzyna, a potem kadeckie korpusy — — Można sobie strzelać w łby — to nikomu nie zaszkodzi, ale cóż pomoże? (*Do majtków.*)

A myślicie, że wy jesteście lepsi? „Rusi jest' wiesielie piti“.

Jeżeli wierzyć uczonym — dziedziczność przekazuje się na dwadzieścia pokoleń.

Ciało i duch wasz też nie jest trzeźwy.

Wszystko w was jest zatrute z momentu poczęcia. Wszyscy macie skrofuły i usposobienia karamazowskie — pijaków.

Taż sama gniewliwość, toż samo zapomnienie w chwili najważniejszej, taż sama maligna myśli.

Czy daleko zapłyniecie z waszym pancernikiem Rewolucyi? Mnie się zdaje, że do pierwszego portu, gdzie jest wielki lupanar i wódki w bród. Płyńcie ludowi Argonauci, szczerze was błogosławimy na drogę.

(*Odchodzą.*)

Inżynier Kowalenko: Ja z wami. Ja pieniędzy nie brałem na drogę — i jestem z tych, co nad Rosyą płaczą.

(*Zakrywa twarz. Milczenie wśród majtków. Wielu ociera rękawem łzy.*)

Dr. Golenko: Ja teraz ani tu, ani tam — jabym rad, — pozwólcie mi przysłuchać — przejąć się duchem rewolucyi — —

Riesniczenko: Posiedzenie trwa dalej. Wyborcza komisya do zarządu ekonomią okrętową donosi, że potrzeba sto tysięcy pudów węgla, dwa tysiące ton wody słodkiej — chleba pudów tysiąc, mięsa również. Na to pieniędzy nie starczy. Przyjdzie zdobywać siłą. Czy to nas nie obniży w obliczu Rewolucyi, że staniemy się piratami?

Matiuszenko: Jabym myślał, że najważniejsze na teraz jest uwiadomić robotnicze organizacye i zdecydować plan walki. A wtedy

już nie cofać się przed żadną nazwą moralną naszego czynu. Musimy naprzód obronić Odesę.

Miasto całe się burzy.

Ludzie tam stoją jak zakochani na brzegu — i patrzą z radosną wiarą w dal ku morzu, myśląc, że wszystko nagle się zmieniło i armaty nasze od razu wywrócą to, co należałoby dziesiątkami lat i tysiącami ofiar zdobywać. Nie zawiedźmy tej wiary.

Nikiticz (*z owiązaną głową wnosi na plecach trupa*): W mieście wojsko zwierzęco morduje — bosiaki odbijają już pakhauzy — piją koniak wiadrami, wina drogie i likiery — a gubernator Nejhardt wypuszcza ich przeciw Żydom.

Ja wracam z pogrzebu — i świadczę, po żadnym królu tyle łez nie wylano, co po naszym drogim towarzyszu. Zdradziecka władza pozwoliła na pogrzeb — a gdy wracaliśmy z cmentarza — ostrzeliwali nas — i zabito kilku marynarzy —

wśród bezliku publiczności wymordowanej.

Nie mogłem wam donieść wcześniej — leżałem na brzegu omdlony pod ciężarem tego, który konał na mem ramieniu.

Koszuba: Trzeba czynu wielkiego jak niedola tej ziemi, głębokiego jak groby naszych ofiar (*ukazuje morze*).

Matiuszenko: Zasypmy kartaczami forty — wysadźmy na ląd żołnierzy — szturmem wziąć kazarmy —

Riesniczenko: Nie mamy na to oficerów.

Koszuba: Naznaczmy z pośród siebie.

Aleksiejew: Tylko bieda, że takich jak wy nikt nie będzie słuchał. Oficerowie muszą być lub muszą wydawać się istotami wyższej rasy — spełniającymi wolę niedosiężnego prawa.

Werkmajster: A to, co my tu uradzimy — to tyle, co kupa mielących języków na jarmarku.

Aleksiejew: Nasz pancernik wogóle za dużo mówi.

Kozak: Zmienia się w bałagan. Trzeba strzelać, ot co.

Zwenigorodzki: Nasz pancernik zmienia się w wielki sąd nad Rosyą. I wara obniżać wielkie znaczenie słowa.

Napiszmy proklamacyę do całego cywilizowanego świata —

Zwróćmy się z zaklęciem bratniem do żołnierzy i Kozaków.

Kto umie na maszynie pisać?

Inżynier Kowalenko: Ja mogę.

Dr. Golenko (*ciągnie go za połę*): E, nie umiecie — zrobicie jeszcze błąd — i puls nieprawidłowy — o, to źle.

Jako lekarz, zabraniam inżynierowi Kowalence sforsowania — jest słaby na serce — choć on o tem sam nie wie.

Inżynier Kowalenko (*do majtków*): To dobry człowiek, ale czasem mówi jakby na głowę upadł.

Piszmy.

Kozak: Ho, ho — jak starii Kozaki do sułtana? Tylko ostroumnie — i nie zabudźcie mamy.

(*Inżynier siada na uboczu i pisze — Zwenigorodzki układa odezwę — schodzą się majtkowie, tłumem oblegają komitet.*)

Majtkowie: Teraz już będzie Wielki Bój. Pancernik wpoi we władzę uszanowanie dla naszych żądań.

Aleksiejew: Pozwólcie mi zabrać głos. Rozsądek nie powinien być wykluczonym z działań terrorystycznych. Mówicie, że pancernik jest potęgą. Takby się zdawało. Kosztował dajmy na to 30 milionów — ma grube pancerze — armaty 320 milimetrowe, całą armię ludzi —

ale ja wam odpowiem na to ciekawym memoryałem — to — będzie niedługo znane i w Petersburgu — i w świecie całym.

Daję mu tytuł „Zguba pancernika“.

Majtkowie: Wilhelm Ton zawsze myślał o tem, jakby zgubić pancernik.

Koszuba: Długo przewracaliście w kajucie Wilhelma Tona, nie wiedziałem, że to były wasze studya.

Aleksiejew: A tak, moje! (*ukazując zeszyt*): Zestawiłem tu w licznych faktach, jak pancerniki z tysiącem ludzi w trzy minuty znikały pod wodą.

Tym mikrobem, który zabija olbrzyma, jest statek podmorski, lub nawet dobrze rzucona zwykła torpeda.

A my wiemy, że rząd rosyjski posiada w Sebastopolu podmorskie statki — Francya przysłała niedawno kilka torpedowców i pięć pancerników idzie z admirałem Wiszniewieckim. Możemy oczekiwać znienacka napadu. Umyślnie podkreślam znienacka. Pancernik, który oświetla reflektorem morze dla zbadania, gdzie są torpedowce, tym samym ukazuje miejsce ściśle, gdzie sam jest. Więc jest niebezpieczeństwo jeszcze większe, niż być w ciemności —

Majtkowie: A my wciąż reflektorami oświecamy!

Aleksiejew: Zły stan torped japońskich łagodził efekt wybuchu — jednakże pod Cuszimą pancerniki nasze otrzymywały jakby uderzenie potwornego młota — zaczynały się chwiać — woda bul-

gotała dokoła — aż utworzyła się na miejscu okropnie krzyczących ludzi jedna ponura lejowata wirująca jama.

Majtkowie (*niespokojnie*): My wiemy co to znaczy wyczekiwać torpedy. Jechaliśmy z eskadrą Rożdiestwienskiego. Za każdym statkiem handlowym, za każdym przylądkiem — w każdej mgle wyczekiwaliśmy torpedowca.

Aleksiejew: Torpedowiec w swym biegu podobnym do nietoperza — a bystrym jak kula — przybliżał się w nocy — a nawet za dnia, wprzód nim armaty do niego wycelowano —

To nas doprowadzało do obłędu.

Co innego pierś z piersią spotykać się — ale gdy torpedowce błądzą jak widma —

Koszuba: Więc niech mię Bóg skarze, cóż za wniosek — że mamy się bać — my, przed którymi drży miasto!

Aleksiejew: Drży? bynajmniej! Wszakże podczas pogrzebu strzelano do was i zabito już kilku marynarzy! A co do okrętu, każdy fort może nas ostrzeliwać olbrzymiemi armatami, a my nic mu zrobić nie możemy. Jedynie bezbronne miasto zamienić w kupę gruzów — i pogrzebać z garścią Kozaków setki niewinnych — to możemy.

Maszynista: Dodajcie, że kotły już źle funkcyonują, z powodu napełniania ich wodą morską, która zostawia osad.

Aleksiejew: A, tak? Dla oczyszczenia ich trzeba zajechać do specyalnych doków —

na to jest tylko jedna rada — i muszę wam donieść, że obmyśleliśmy już w trójkę z inżynierem Kowalenko i doktorem Golenko, gdzie najlepiej nam się schronić —

Inżynier Kowalenko (*zdala*): Ja nie uznaję już tego tryumwiratu.

Aleksiejew: Ale gdy mieliście wolny sąd i opinię, to wybraliście z nami drogę jedyną — do Rumunii.

Tłum: Tam przetrwamy, zanim nam dadzą amnestyę.

Koszuba: Padlece, my do walki — a oni po amnestyę.

Tłum: Ty masz na twoich rękach dowód żeś walczył, i co z tego? wzięli cię do niewoli, a Osliabia z 700 ludźmi utonął.

Nie daj Boże w nocy nagle uczuć, że okręt miażdży się od torpedy.

Aleksiejew: Was kilku chce tyranizować nas wszystkich! Posłuchajmy co mówi naród!

Tłum: Do Rumuńskiej respubliki!

Inżynier Kowalenko: A czy naród wie, że w Rumunii jest

królestwo, że prawa portowe żądają wydania oficerów na wojennym okręcie, że nie pozwolą nam prowiantować?

Tłum (*tłum padając na klęczki*): Batiuszki, zmiłujcie się — choćby do Turcyi, byle daleko od tych brzegów.

Werkmajster Birdiukow: U mnie jest znajomy w monasterze na górze Afon: tam ugoszczą nas rybami i winem. Wstańcie, riebiata, w kotłach się pali — wykręcimy tylko ster.

Matiuszenko (*dobywa rewolweru*): Kto jeszcze jest za rewolucyą? *(Błyskają rewolwery i noże.)*

Aleksiejew: Komitetowi mają broń, jak na lądzie żandarmi! i w naszem ręku może się za chwilę znaleźć.

Werkmajster: Nasze hasło większe: Car i Boh! Dajcie nam wódki!

Majtkowie rew. I my za Carem, ale konstytucyjnym — i my za Bogiem, który nie trzyma się wódką —

Aleksiejew: To wy spytajcie za pomocą równego tajnego bezpośredniego głosowania — czego chce większość? czy ona chce być tarczą dla niewidzialnej pod morzem płynącej żmii, której ukąszenie tworzy wybuch wody spienionej wysoko ponad kominy?

Tłum: Do Rumunii! my nie dźwigniemy rewolucyi sami — nikt nas nie podtrzyma — zginiemy tu — lada chwila ktoś może wysadzić arsenał —

Aleksiejew: Ja sam dawno to uważam — na okręcie jest jakby zapach tlejącego lontu.

Riesniczenko: Oskarżam praporszczyka Aleksiejewa — że sieje popłoch — to jest karane statutem wojskowym.

Aleksiejew: A, więc wy zachowaliście statut wojskowy? powinniście wtedy zająć bardzo wysokie posady — tam na masztach, jako buntownicy.

Mitienko (*z góry niewidzialny*): Chodźcie tu wszyscy — tu jest wyzwolenie — tu są niesłychane gwiazdy.

(*Majtkowie niemieją — w przerażeniu najwyższem rozlega się krzyk.*)

Tłum: To umarły — Wilhelm Ton —

(*Poczynają uciekać, depcąc i tworząc kupę ciał — jęki — pasowania — pięści bijące — przekleństwa.*)

Aleksiejew (*biega zacierając ręce*): Doskonale, nie daj się Birdiukow, — a ty, feldwebel Żurawlew, jakoś nie szanują cię —

Inżynier Kowalenko: To nikczemność!

(*Chwyta go za bary i zaczynają się przepierać. — Okrzyki:*

Zdrada! — Bij kramołę! bij żydowskich sług! — Wchodzi Lejtenant Szmidt — w najwyższem zdumieniu patrzy — i nagle zdejmuje z Aleksiejewa trąbkę — daje sygnał boju: ostry donośny dźwięk. Cała wataha zrywa się na równe nogi.)

Lejtenant Szmidt: Wy tu zabawiacie się atletyką — wolni rosyjscy obywatele! a ja na aparacie bezdrutowym przejąłem wiadomość, że idzie na was admirał z flotą.

Majtkowie: Zgubieni! —

Bronić się! — Do armat!

Lejtenant Szmidt: Idzie pięć pancerników i niewiadoma ilość torpedowców.

Może widząc gotowość do boju — przyłączą się do was niektóre okręty, a może i cała eskadra.

Majtkowie: Aleksiejew mówił, że niema elektrycznych celowników — że dopiero jutro w Odesie kupimy —

(*Lejtenant Szmidt ogląda armaty.*)

Aleksiejew (*zmieszany*): Możemy ich i tak nastraszyć.

Inżynier Kowalenko: Prowadzicie nieuczciwą grę —

Aleksiejew (*cicho*): Nie chcę powiększać winy tych ludzi. Gubicie mnie.

Inżynier Kowalenko: Winą jest dać się zatopić jak szczury.

Lejtenant Szmidt: Pancernik jest w doskonałej bojowej gotowości — i niczego mu nie brak. (*Do Aleksiejewa.*) Wy tu jesteście komendantem, proszę wydać hasło boju od siebie.

(*Aleksiejew gra w rożek — pokład nagle się oczyszcza z ludzi — namiot wyniesiony — widać morze dokoła — armaty mocą elektryczności poruszają się — i celują — oddział wojska w bojowym szyku na znak Aleksiejewa schodzi w dół.*)

Lejtenant Szmidt (*do Aleksiejewa*): Każcie zakryć pancerzami wejścia do maszyn.

Aleksiejew: Oni będą strzelać — oni mnie zgubią — co ja mam uczynić?

(*Płacząc, rzuca się w objęcia inżyniera Kowalenki.*)

Inżynier Kowalenko: Możesz pan iść po prostu do dyabła! (*Aleksiejew odchodzi.*)

Lejtenant Szmidt: Telegrafuje nam admirał:

„Wy, kochani marynarze! Co robicie waryaci, upokórzcie się“.

Majtkowie (*przy armatach, śmieją się*): No, jak my kochani — to zwycięstwo mamy już w czapce. Musi być nie pewny swoich.

Lejtenant Szmidt: Pokład oblewać wodą, aby się nie zapalił

od pękających granatów. Już widać. Płynie pięć pancerników, jeden minowiec, pięć torpedowców. To jest coś fantastycznego! gdyby z rewolweru wypalono — odpowiedziałoby 350 armat i wybuchłoby kilkadziesiąt torped.

Tu podpływa Gieorgij. Chciałbym, żeby który z was przemówił do tamtych marynarzy.

Matuszenko (*bierze tubę*): My wolny okręt — przyzywamy wszystkich ludzi kochających Rosyę, aby strząsnęli jarzmo!

Krzyk z morza: Niech żyje wolność!

Lejtenant Szmidt: Gieorgij wyszedł z rzędu, przyłącza się do nas — Sinop waha się — Gieorgij sygnalizuje o pomoc!

Matiuszenko: Szalupę tu — warta za mną — pomóżmy Gieorgiu załatwić się z oficerami.

(*Okręt Gieorgij podpływa tak blisko, że marynarze podają sobie ręce. Matiuszenko i kilkunastu ludzi z gwintówkami wskakuje na pokład Gieorgia.*)

Matiuszenko: Aresztujemy oficerów — kto z nich się ruszy — zginie.

Doktor (*z łysiną, w okularach*): Słuchaj — czego ty chcesz?

Matiuszenko: Ja nie twój „słuchaj“, źle wychowany człowieku.

Doktor: Słuchaj, dobry bracie!

Matiuszenko: Ja nie dobry brat dla was.

Doktor: Chwilę mi poświęćcie, a nie będziecie żałowali. Było raz ciało. To ciało miało głowę — ręce — nogi. I zbuntowały się nogi, mówią: poco my będziemy nosić tę próżną — próżniaczą głowę? I rzekły ręce: poco karmić będziemy tego próżnego żołądek — chcę mówić — tego żołądka próżnego — próżniaczego.

(*Śmiech majtków.*)

Tak i wy przeciw władzy.

Marynarze: Ha, ha — czyta nam bajkę dla dzieci. — Trzebaby tobie powiedzieć prawdę o szubienicy.

Lejtenant Szmidt: Admirał z innymi okrętami odpłynął.

Majtkowie (*do Szmidta*): Towarzyszu, odpowiedźcie wy temu doktorowi na jego bajkę.

Lejtenant Szmidt: Odpowiem mu nie bajką, ale smutną prawdą. Nasze wiary są tak, jak nasza stara eskadra: ładnie pomalowane, ale na złudzenie oka. Są to tratwy przedhistoryczne, a jak mówią młodzi oficerowie o tych okrętach: zdarte kalosze.

Szkielety ich napełnione są więcej gipsem niż stalą — zatopią się przy pierwszem uderzeniu.

Widzicie, dlatego uciekał Admirał.

My tylko jesteśmy okrętem nowej mocnej konstrukcyi, który wie, że trzeba iść naprzód, kiedy wszystko zmienia się dokoła niego.

My jesteśmy okrętem ludowych Argonautów — z nami tęskni, z nami się łączy — z nami walczy wszystko, co Rosya ma bohaterskiego, co nie zostało jeszcze zduszone od lat 150 w kazamatach i na Sybirze.

(*Od brzegu straszny głuchy jęk. Wbiega:*)

Agitator Feldman: Słyszycie — ten krzyk tysięcy:

Ratujcie, braaacia!

tam pali się port — weźcie szkła — tam czarni maleńcy ludzie zrozpaczeni, biegną w płomieniach — wybuch za wybuchem — wszystkie oleje i spirytusy w ogniu. Zapala się morze — tak wiele wylano tam nafty, smoły i spirytusu!

Patrzcie — czarni ludzie rzucają się w gorejące morze i tam spalają się.

Tam zapala się drewniana rampa.

Zapaliły się parostatki.

I to jest coś niemożliwego! patrzcie — tam strzelają —

ten bezdarny i tchórzliwy Nejhardt, który przez dzień cały nie zrobił nic, aby uprzedzić pożar —

ludzie bez przeszkody schodzili w dół — bez przeszkody upijali się maderą i likierami — bez przeszkody niszczyli towary, rzucając w morze — w strasznem obłędnem milczeniu —

on nie posłał tam ani jednego żołnierza — ani jednego stójkowego; policya — w mieście na górze mordowała niewinnych mieszczan. Lecz kiedy w dole — w porcie ludzie upoili się — zbezsilnieli, — gdy ich objął płomień — wtedy tylko zeszli się żołnierze i zaczęli strzelać. — To zemsta! strzelają wciąż, jak deszcz sypią się kule.

Majtkowie: Prowadź nas do walki!

Lejtenant Szmidt: Unikajmy walki bratobójczej — ogłosimy Zgromadzenie ustawodawcze!

(*Do siebie.*)

Tak jakbym nędzarzowi choremu zapisał maderę i bażanty! Widzę zdziwienie w ich oczach —

opuszcza mię moc —

cóż ja im powiem? Tam są w mieście wszyscy, których kocham.

Zostaje tylko straszliwy bój —

wzdrygam się —

Mnie nie wolno im dać tego hasła — mogę sam zginąć — lecz muszę mówić: ani jednej kropli krwi więcej! Zły instynkt dałby mi moc porwania tych ludzi. Z mojem uczuciem nieczynienia złego, muszę w chwilach najwyższych kryć się — i milczeć.

Majtkowie: Czego milczysz? ty Wódz rewolucyi — może ty już zaprzedany? Miałeś iść ku wyzwoleniu całej Rosyi —

(*Przystawiają mu lufy gwintówek.*)

Matiuszenko: Czy wy oszaleli? Ten człowiek jest wyższy ponad wszelkie podejrzenie. Jeśli chce milczeć — niech milczy. Jeśli chce nas wieść — niech wiedzie. Jego duch zwycięża za nas.

(*Majtkowie cofają się.*)

Lejtenant Szmidt: Zaiste, muszę dzisiaj urodzić się nowym człowiekiem. Trzeba mi strasznej mocy — nie oglądania się ani na górę ośmiu ewangielicznych błogosławieństw, ani na krzyk nienawiści klasowej. Trzeba mieć postępową moc Piotra Wielkiego, miłość do wszechnatury Gotamo Buddy —

Morze, ty mi daj wspaniały rozmach swej dziewiątej fali, która zatapia stary psujący się okręt. (D. n.)

BAZYLI.

OBRONA FILISTRA.

Do filistra rzekł raz malarz
(kształt wychudły, w pelerynie):
„Tylko imię ludzkie kalasz,
Żyjesz bowiem tak, jak świnie.

Ledwo się podniesiesz z łoża —
Pół godziny trwasz przy jadle!
Gdzież ta twoja „iskra boża“?
Utonęła w cielsku, w sadle.

Dla koryta i dla chlewka
Możesz wszelkie znieść ofiary:
Prztyki w nos brać, chocieś stary,
I sprzedawać się jak dziewka.

Grzbiet gniesz, jakbyś miał w nim trzcinę,
Że aż widzieć to — obrzydle!
Ja w bawełnę nie owinę:
Takiem życiem żyje bydlę.

A nie człowiek, bo on lepsze
Cele w duszy swej ukrywa.“

— — — — — — — — — — — — —

Zaczepiony dopił piwa
I tak napad ten odeprze.

„Dobrze tobie, panie malarz,
Chodzić w życiu z miną wilka:
Kawał płótna farbą zwalasz —
Już ci wpadnie reńskich kilka.

A wszak potrzeb masz tak mało,
Że aż nieraz zazdrość bodnie:
Chuderlawe swoje ciało
W ladajakie wsuniesz spodnie.

I nie zdejmiesz ich dopóty,
Póki same już nie zlecą;
Masz na nogach... niby buty,
A na głowie — dyabeł wie co!

Gdzieś pod strychem mieszkasz przecie,
Bo, jak mówisz, tam ci widniej,
Jadasz obiad raz na trzy dni
I to taki, że niechże cię!...

Powiedz, ty z „nadludzki“ rodem:
Wiesz ty, co to jest zajączek?
Co — kurczątko w maśle młodem
Zrumienione niby pączek?

Jaki frykas zrobić można
Z tłustej kaczki lub perliczki?
Znasz przynajmniej pieczeń z rożna?
Dobry bifsztyk z polędwiczki?

Skosztuj raz, choć raz przy święcie:
Skłamię — niech mi głowę utną:
W kąt porzucasz pendzle, płótno
I kark będziesz miał... przy pięcie“.

MIĘDZYNARODOWA ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

XXII.

Na kwestyonaryusz szan. redakcyi „Krytyki“ odpowiadam co następuje:

Jest rzeczą oczywistą, że na początku XX-go wieku, gdy wszelkie życie społeczne całej wykształconej Europy unaradawia się i demokratyzuje, naród o tak sławnej przeszłości, tak dojrzały kulturalnie i zdolny ekonomicznie, jak bratni naród polski, ma całkowite i niezaprzeczone prawo do narodowej autonomii i samoistności. W nacyonalizmie i demokratyzmie chwili dzisiejszej upatruję również gwarancyę tego, że słuszna ta pretensya, etyką polityczną uzasadniona, stopniowo się urzeczywistni.

Przyszłość ludzkości polega właśnie na swobodnym rozwoju autonomicznych, samoistnych narodów. Im bardziej zupełne prawo obywatelskie będzie ogarniać najszersze warstwy ludowe, tem bardziej będzie uznawanem żądanie narodowej autonomii i stanie się czemś oczywistem.

Do nacyonalizmu należy przyszłość, tkwi w nim wielka siła moralna, wykłada on przeznaczenie każdej narodowości, i wyłącza w interesie ludzkości wszelki gwałt, ucisk, podbijanie i uniewalnianie narodowości drugiej.

Ztąd to wytwarza się w czasach najnowszych specyalny stosunek pomiędzy narodem i państwem. Naród jest substancyą, państwo akcydensem. Naród jest organizmem, naturalną społeczną jednostką, odrębną istotą, czemś trwałem, mającem określone oznaki — państwo przeciwnie jest relatywną, czasową formą życia narodowego. Coraz więcej wraz z narodowym i ludowym charakterem naszej cywilizacyi będzie się rozszerzać i utrwalać przekonanie, że jakikolwiekbądź ustrój państwowy ma racyę bytu tylko dopóty, dopóki zabezpiecza sobą dobro pojedynczych obywateli swoich, czyli dopóki zapewnionem jest istnienie i bezpieczeństwo narodu. Państwo jest, krótko mówiąc, organem, narzędziem, środkiem i ma wartość, dopóki umożliwionem jest w niem życie narodowe, dopóki naród, do którego władza najwyższa należy, może si w wązkiej formie państwowej umieścić, objawiać swą wolę, ży swem indywidualnem życiem. Nawet mniejsze narody dawniej nie

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE.

(Suite).

XXII.

K dotazu slav. redakce „Krytyky". odpovídám takto:

Je samozřejmo, že na počátku 20. století, kdy veškerý život veřejný celé vzdělané Europy se nacionalisuje a demokratisuje, národ té slavné minulosti, té kulturní vyspělosti a hospodářské zdatnosti, jako je bratrský národ polský, má plné a nepopěrné právo na národní svéprávnost a samostatnost. V nacionalismu a demokratismu doby přítomné spatřuji také záruku toho, že právní tento nárok politickou morálkou odůvodněný postupně bude realisován.

Budoucnost lidstva záleží právě ve svobodném vývoji svéprávných, samostatných národů. Čím více plné občanské právo bude zabírati nejširší vrstvy lidové, tím více požadavek národní svéprávnosti bude uznáván a stanese něčím samozřejmým. Nacionalismu náleží budoucnost, je ý v něm velká síla mravní, znamená právo *sebeurcení* každé národnosti a vylučuje v zájmu lidskosti veškeré násilí, potlačování, podmaňování a zotročování národnosti cizí.

Odtud se utváří v nové době zvláštní poměr mezi národem a státem. Národ je substance, stát akcidence. Národ je organismus, přirozená společenská jednotka, zvláštní bytost, něco trvalého s určitými znaky — stát naproti tomu je relativní, dočasná forma života národního. Stále více ve shodě s národní a lidovou povahou naší civilisace bude se šířiti a uplatňovati přesvědčení, že státní ústrojí kterékoli má oprávněnost jen potud, pokud jím blaho jednotlivých občanů v něm obývajících je podmíněno čili pokud existence a bezpečnost národa je zajištěna. Stát je, krátce řečeno, orgán nástroj, prostředek a má cenu, pokud se v něm umožňuje život národní, pokud národ, jemuž náleží svrchovanost, v určité formě státu může se uplatniti, projeviti svou vůli, žíti svůj svérazný život. I menší národové v minulosti nesamostatní dnes žijí způsobem svým a nabývají politické svéprávnosti a samostatnosti. Zřejma je tendence nové doby vytvořiti státy jednonárodní a tam, kde v jednom ústrojí státním více národů je soustředěno, zajistiti každému z nich svéprávnost a samosprávu. Ve směru samosprávy národní bude se dojista bráti další vývoj moderních států.

samoistne żyją dziś na swój sposób i nabierają politycznej autonomii i samoistności. Oczywistą jest tendencya nowszych czasów *do wytworzenia państw o jednolitej narodowości*, a tam, gdzie w jednym organizmie państwowymześrodkowanym jest więcej narodowości, zapewnienia każdej z nich jej praw i samorządu. W kierunku *samorządu narodowego* będzie się naturalnie kierowało dalszym rozwojem państw nowoczesnych.

Różne państwowe ustroje, które przeszły z dawnych czasów do naszych, nie czynią oczywiscie zadość wielu tym żądaniom, ale w przyszłości oczywiście się do nich zastosują. Z tego punktu widzenia *rozerwanie ongi samoistnego państwa polskiego* na trzy części i przyłączenie każdej z nich do innego mocarstwa staje się *zbrodnią*, z punktu widzenia etyki politycznej i nie może dziś być usprawiedliwionem tem, że przetrwało już całe stulecie. Skutki jego dla życia i rozwoju narodu polskiego były fatalne. Rozbiór ten był naturalnie skutkiem również win wewnętrznych, zwłaszcza grzechów szlachty polskiej (był ten rozwój w Polsce zupełnie analogiczny do rozwoju państwa czeskiego), ale nie trzeba zapominać, że rozbioru tego nie dokonał żaden obcy naród — boć wówczas narody we właściwem znaczeniu tego słowa nie decydowały w polityce — *że było to dziełem polityki dynastycznej*, interesem dynastyi Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowów.

Dzisiejszy stan zatem, gdy naród polski językowo, duchowo i kulturalnie jednolity podzielonym jest prawno-państwowo na trzy części, równa się *ciężkiej krzywdzie mu zadanej*. Krzywda ta jakkolwiek z punktu widzenia dzisiejszego prawa międzypaństwowego nabyła sankcyi, nie może być miarodajną na przyszłość. Ale w warunkach dzisiejszych, samoistności swej nie może się naród polski spodziewać od przewrotów politycznych tyle, co od *nacyonalizmu* i demokratyzmu, które mu przyniosą wyzwolenie i usamoistnienie.

O jednem państwie polskiem na całem terytoryum języka polskiego niepodobna dziś mówić — przeszkody do odrodzenia wielkiej Polski są dziś zbyt wielkie, a usiłowania te byłyby w zarodku swym zgniecione przez zainteresowane rządy, dość silne w tym celu. Usiłowania wszystkich przyjaciół narodu polskiego w chwili obecnej powinny być skierowane ku temu, by *w obrębie teraźniejszych państwowych ustrojów otrzymali Polacy zupełną samoistność, wszystkie wa-*

Různá zřízení státní, jak z minulosti přešla na dobu naši, nevyhovrýc ovšem na mnoze těmto požadavkům, ale v budoucnosti dojista se jim přizpůsobí. S tohoto hlediska roztržení dříve samostatného státu polského na tři části a přidělení každé z nich jiné říši jeví se býti zločinem s hlediska politické morálky a nemůže dnes býti omlouváno tím, že přetrvalo již celé století. Následky jeho pro život a vývoj polského národu byly osudné. Rožtržení to bylo ovšem zaviněno také příčinami vnitřními, zvláště hříchy šlechty polské (byť, vývoj v Polsce vývoji českého statu zcela analogický), ale třeba nůti na zřeteli, že roztržení to neuskutečnil žádný národ cizí — tehdy přece národové ve vlastním slova smyslu nerozhodovali o politice — že to nebylo dílo politiky národní, nýbrž politiky dynastické, zájem dynastií Hohenzollernů, Habsburků a Romanovců.

Nynější stav tedy, kdy národ polský jazykově, duševně a kulturně jednotný je rozdělen státoprávně na tři části rovná se těžké křivdě na něm páchané. Křivda ta, ať s hlediska nynějšího práva mezistátního nabyla sankce, nemůže býti směrodatna pro budoucnost. Ale za poměrů nynějších samostatnosti své nemůže národ polský očekávati tak od převratů politcikých, jako spíše od nacionalismu a demokratismu, jež přinesou mu osvobození a osamostatnění.

O jednotném státu polském na celém území jazyka polského není dnes možno mluviti — překážky obnovy velké Polsky jsou dnes příliš veliké, a pokusy o to vládami účastných statů dosti silnými na překonání jich, v zárodku byly by potlačeny. Úsilí všech přátel polského národa v době přítomné musí směřovati, k tomu, aby v rámci nynějších státních ústrojí dostalo se. Polákům plné samostatnosti, všech podmínek svépravného a svérázného národního jich žití!

Polákům v Rakousku dosud podařilo se nejvíce pokročiti na dráze národního sebeosvobození, a při velikých vnitřních převratech, jež v říši ruské se dějí v době přítomné, jest si přáti, aby i Poláci ruští dosáhli největší možné míry samosprávy, aby vytvořili vlastní své správní území s vlastním sněmem a zemskou vládou federativně spojené s velikou říší ruskou.

Nejsmutnější poměry jsou v nynějším Pruském Polsku (Pozňansku atd), a nevidíme ještě znaků toho, že by při nynějším rozpínavém německém imperialismu i Polákům pruským se podařilo v brzké době zajistiti si všechny podmínky vlastního samostatného

runki do autonomicznego i indywidualnego narodowego życia!

Polakom w Austryi dotychczas udało się najdalej posunąć na drodze narodowego samowyzwolenia, a wobec wielkich przewrotów wewnętrznych dokonywujących się w chwili obecnej w państwie rosyjskiem, pożądanem jest, by i Polacy z pod zaboru rosyjskiego osiągnęli jak największą autonomię, aby wytworzyli swoje własne uprawnione terytoryum z własnym sejmem i rządem krajowym, federatywnie spojone z wielkiem państwem rosyjskiem.

Najsmutniejsze stosunki panują w pruskiej Polsce (Poznańskiem i t. d.), i nie widzimy jeszcze znaku tego, żeby przy dzisiejszym rozprzężliwym imperyalizmie niemieckim Polakom pruskim udało się w krótkim czasie zapewnić sobie wszystkie warunki własnego, samoistnego, narodowego bytu. Tu można się spodziewać zwrotu ku lepszemu dopiero wtedy, gdy Niemcy zrozumieją i uznają, że narodowościowe gwałty nie zgadzają się z nowożytnym nacyonalizmem, że jest to próżna praca przy dzisiejszej intenzywności narodowego czucia i wręcz niezgodne postępowanie z humanitarnym charakterem nowożytnego nacyonalizmu, jak to wielcy niemieccy humaniści, np. Herder wskazywali, a w czasach dzisiejszych w oczywisty sposób się to okazuje.

Uniezależnienie Polski miałoby dobroczynny wpływ nietylko na rozwój narodowości polskiej, lecz i na stosunki międzynarodowe, zwłaszcza zaś na wzajemne stosunki narodów słowiańskich wogóle.

Chodzi więc obecnie — a to wyraźnie wskazuje Pańskie 3 pytanie — o przemianę zaboru rosyjskiego (bez Litwy i Rusi) w autonomiczne terytoryum samorządne, połączone federacyjnie z Rosyą, mające swój sejm i wydział krajowy.

Tego powinni dziś Polacy żądać w rosyjskiej Dumie. Nie myślę, żeby było można zdobyć własne wojsko (jak o tem mowa w kwestyonaryuszu), boć panowania wojskowego Rosya nie zrzeknie się nigdy dobrowolnie — ale w żaden sposób nie uważam tego żądania za potrzebne dla autonomii i samoistności narodowej (por. stosunki Węgier do Austryi). Można tu żądać tylko tyle, aby we wspólnem z Rosyą wojsku urzeczywistniła się narodowa równoprawność t. j., aby i Polak jako żołnierz nie potrzebował przestawać być Polakiem.

Na pytanie 3 b odpowiem, że ustrój republikańsk

národního bytí. Zde jest očekávati obrat k lepšímu teprve tehdy, až i Němci pochopí a uznají, že národnostní znásilňování není s nacionalismem novověkým ve shodě, že je to marné počínání při nynější intensitě národnostního cítění a v krutém rozporu s humanitní povahou moderního nacionalismu, jak velicí Němci humanisté jako Herder ji vyznačovali a v přítomné době zřetelně se vyvíjí.

Osamostatnění Polska by mělo blahodárné účinky nejen na vývoj polské národnosti, ale i na poměry mezinárodní zvláště pak na vzájemné vztahy národů slovanských vůbec.

Ide tedy v přítomné době — a to vytýká zřetelně Vaše 3. otázka — o přeměnu Ruského Polska (bez Litevska a Rusínska) v autonomní území svéprávné, s Ruskem federativně spojenê s vlastnim sněmem i správou zemskou.

Toho mají Poláci požadovatí dnes v ruské dumě. Nemyślím, že by bylo možno dosíci i vlastního vojenství (jak v dotazníku naznačujete), neboť suverenity vojenské se Rusko nezřekne nikdy dobrovolně — ale nepovažuji tento požadowek nikterak za nutný pro svéprávnost a samostatnost národů (sw. poměry mezi Uhrami a Rakouskem). Je možno zde žádati jen tolik, aby ve vojsku s Ruskem společném národnostní rovnoprávnost se uskutečnila tj. aby i Polák jako vojín nemusil přestati býti Polákem.

K otáze 3b. odpovídám, žè zřízení republikánské pro Ruské Polsko považuji za nemožnost potud, pokud by Rusko samo nestalo se republikou. Státní ústrojí zajisté, jak výše vyloženo, i v budoucností budou se přizpůsobovati požadavkům nacionalismu, a šířící se stále demokratismus bude jim zjednávati platnost a uznání. Nejvýše však je žádoucno, aby mezi všemi národy kulturními vytvořil se orgán mezinárodní inteligence, jenž by pečoval o to, by práva každého národa na sebeurčení a svéprávnost nebyla potlačována, by zkrátka státy evropské upravily senárodnostě, a každý proskytoval národnostem o něm obývajícím všech podmínek národní jich existence.

„L'Union pour les droits des nations" (Jednota pro práva národů), jejíž ustavení loňského roku ze Ženevy bylo ohlášeno, má zde vděčné pole záslužné a úspěšné působnosti. Dovedeli za členy své získati a sloučiti k uvědomělé práci vzdělance různých národů proniknutých i ideou moderni humanity kotvící v zásadách nacionalismu a demokratismu, jež objevují se hybnou pákou moderního vývoje dějinného, pak hlas její může pro-

uważam dla Królestwa Polskiego za niemożliwy tak długo, dopóki sama Rosya nie stanie się Rzecząpospolitą. Ustroje państwowe oczywiście, jak o tem mowa wyżej i na przyszłość będą się stosowały do żądań nacyonalizmu, a coraz bardziej szerzący się demokratyzm będzie im zjednywał wartość i uznanie. Najbardziej jednak jest pożądanem, aby wśród wszystkich narodów kulturalnych wytworzył się organ międzynarodowej inteligencyi, który by się troszczył o to, by prawa każdego narodu do decydowania o swych losach i do autonomii nie były naruszane, i by wkrótce i każde zaręczało narodowościom w obrębie jego przebywającym wszystkie warunki do ich narodowej egzystencyi.

„L' Union pour les droits des nations", którego zawiązanie się w roku zeszłym w Genewie ogłoszonem zostało, ma tu wdzięczne pole do potrzebnej i owocnej pracy. Jeżeli zdoła pozyskać członków i połączyć do uświadomionej pracy ludzi światłych z różnych narodów przejętych ideą nowoczesnego humanizmu, polegającego na zasadach narodowości i demokratyzmu, będących ruchomą dźwignią nowoczesnego rozwoju dziejowego, wówczas głos jego może zbudzić sumienie europejskiej ludzkości ku narodowej, sprawiedliwości i ku zjednaniu narodowi polskiemu politycznej autonomii i niepodległości.

Prof. Dr Franciszek Drtina.

Praga, dnia 19 czerwca 1906 r.

XXIII.

Panie!

Było mi niemożliwem odpowiedzieć wcześniej na kwestyonaryusz *Krytyki* w sprawie przyszłości Polski i odbudowania państwa polskiego (kwestyonaryusz został mi doręczony przez jednego z mych uczniów naszej Szkoły nauk politycznych).

Od najwcześniejszej młodości, nie przestałem zanosić modłów za Polskę i Polaków, aby prawa ich do bytu narodowego zostały przez wszystkich uznane. Nie wiem w jakiej epoce Polska niezależna będzie mogła być odbudowana. Rozumie się, że co do mnie byłbym szczęśliwy, gdyby odbudowanie to było możliwem i rychło się dało urzeczywistnić. Nie wierzę, aby to było możliwe obecnie; główna przeszkoda — mojem zdaniem tkwi w Berlinie.

Jakkolwiekbądź sądzę, że dzięki rewolucyi rosyjskiej i prze-

budit svědomî evropského lidstva pro národnostní spravedlnost i zjednati národu Polskému politickou svéprávnost a samostatnost.

Frant. Drtina.

XXIII.

Monsieur!

Il m'a été impossible de repondre plus tôt au questionnaire de la *Krytyka* sur l'avenir de la Pologne et la reconstitution d'un Etat Polonais (le questionnaire m'a transmis un de mes élèves de notre Ecole des Sciences Politiques).

Depuis ma premiére jeunesse, je n'ai cessé de faire des voeux pour la Pologne et pour les Polonais, pour que leurs droits à une existence nationale fussent par tous réconnus.

Je ne sais à quelle époque une Pologne indépendante pourra être reconstitué.

Il va de soi que je serais heureux, quant à moi que pareille reconstitution fut possible et qu'elle fut prochaine. Je ne crois pas qu'elle le soit encore; l'obstacle principal selon moi, c'est à Berlin.

obrażeniu się polityki rosyjskiej, nowa era nastanie dla Polski nad Wisłą. Mam nadzieję, że rychło otrzyma ona szeroką autonomię i zdaje mi się, że w tym kierunku powinni patryoci polscy skierować swe usiłowania.

Posyłam Panu nr *Revue Bleue,* gdzie znajdziesz Pan te idee wyłuszczone przezemnie w koferencyi, jaką miałem w Paryżu.

Proszę przyjąć zapewnienie uczuć szczerej sympatyi.

Paryż. *Anatol Leroy Beaulieu.*

XXIV.

Wszyscy ludzie uczciwi winni pragnąć, aby naród tak dobrze zasłużony cywilizacyi jak Polacy, osiągnął i urzeczywistnił swe ideały.

Wystarcza spędzić godzinę w Warszawie i zobaczyć roznamiotowane obozy uzbrojonego wojska z armatami zwróconemi przeciwko miastu, jak w czasie wojny, aby zrozumieć, że tylko obcy wysiłek brutalny przeszkadza Polakom w osiągnięciu ich ideałów narodowych; wystarcza pomyśleć o gwałtach pruskich nad szkołą i językiem, aby zrozumieć, że pruski gwałt nie ustępuje rosyjskiemu.

I dopóki obydwa odłamy narodu nie będą połączone i nie zadowolą swego pragnienia jedności i wielkości narodowej, dla której położyli tyle ofiar — pokój nigdy nie będzie osiągnięty. Przez wydatki okupacyi i prześladowań i przez ciągłą obawę powstań Rosya i Prusy tracą wszelką korzyść z zaboru i zbrojnej okupacyi.

Z drugiej strony uspokojenie trzech wielkich części Polski, zaniechania dalej z jej strony wszelkiej brutalnej supremacyi nad Litwinami i Rusinami i t. p., wszelkiej nietolerancyi religijnej i wszelkiego fanatyzmu średniowiecznego, wywrze na narody słowiańskie i otaczające ich niemieckie wpływ zbawienny — być może równy temu, jaki miała Polska w swych początkach.

Turyn 6/VI 1906. *C. Lombroso.*

XXV.

Jakkolwiek jestem niekompetentny do rozstrzygnięcia ważn kwestyi politycznej, przedłożonej w kwestyonaryuszu, to w każdy

Quoiqu'il soit, je pense que, grâce à la révolution russe et à la transformation politique de la Russie, une ère nouvelle va s'ouvrir pour la Pologne de la Vistule.

J'éspère qu'elle obtiendra bientôt une large autonomie; et c'est de ce coté me semble t'il, que les patriots polonais doivent dirîger leurs efforts.

Je vous adresse un nro de la *Revue Bleue* où vous trouverez ces idées exposés dans une conférence que j'ai faite à Paris.

Veuillez Monsieur croire à mes sentiments de haute sympathie.

Paris. *Anatole Leroy Beaulieu.*

XXIV.

Tutti gli uomini onesti devono desiderare e augurarsi che un popolo cosi benemerito della Civiltà come il Polacco raggiunga i propri ideali.

Basta passare una ora per Varsavia e vedervi accampata e attendata sulle colline vicine tutta un' armata coi cannoni rivolti contro — come in stato di guerra — per capire che solo lo sforzo brutale straniero impedisce ai Polacchi di raggiungere gli ideali patriottici; basta pensare alle violenze Prussiane contro la scuola, contro alla lingua per capire che il Prussiano in brutalità non cede il posto al Russo.

E fino che questi due frammenti di Popoli non saran ricongiunti; e non avran soddisfatta quella sete di unità, e dì grandezza patriottica per cui si fecero tànte vittime — la pace non sará raggiunta mai. E colle spese di occupazione, di persecuzione e col timor continuo di insurezzioni la Russia e la Prussia perderanno ogni vantaggio della conquista e dell' occupazione forzata.

A sua volta pacificate le tre grandi regioni polacche, abbandonate a sua volta da esse ogni violenta supremazia sui Lituani, sui Ruteni ecc. ogni intolleranza religíosa ed ogni fanatismo medio evale, eserciterà sui popoli slavi, e tedeschi che la circondano una influenza benefica — forse pari a quella che ebbe la Polonia nelle sue origini. *C. Lombroso.*

Torino 8 Giugno 1906.

XXV.

Quoique je suis incompétant pour trancher la grave question politique posée dans le questionnaire, je suis au moins convaincu

razie jestem przekonany, że szeroka autonomia narodu tak inteligentnego, artystycznego i żywotnego jak Polacy, byłaby dobrodziejstwem dla całej ludzkości. Zbyt to oczywiste, by wymagało wypowiedzenia. A ludzie, którzy temu przeszkadzają są bydlętami. Lecz kto o tem wątpi?

Paryż. *A. Meillet.*

XXVI.

Szanowny Panie Redaktorze! Na pytanie Pańskie pozwolę sobie odpowiedzieć głównie z punktu widzenia narodowo uświadomionej części ludu żydowskiego, którego znaczny odłam żyje w Polsce i z losami jej tak ściśle jest związany, że wobec kwestyi poruszonych przez redakcyę „Krytyki" poniekąd rzec może: *tua res agitur*.

I. Dążność narodu polskiego do odzyskania bytu niepodległego w granicach jego dzisiejszego terytoryum językowego uważam za całkowicie zgodną z prawem narodów, zwłaszcza o ile występuje w formach walki politycznej, gospodarczej i kulturalnej, pozostawiając ostateczne unormowanie stosunków odpowiedniej konstytucyi politycznej lub epoce wyższej światłości i etyki politycznej. Dzisiejsze usiłowania narodu polskiego w tej mierze uznać należy wprost za wzór racyonalnej i legalnej ze stanowiska prawa narodów walki o niepodległość. W pracy mej „Die Entwicklung des Zionismus" (przekład polski p. t. „Nowe drogi w syoniźmie", Lwów 1905) zaleciłem naśladowanie wzoru tego narodowi żydowskiemu.

Oto ustęp odnośny:

„Istnieje naród, który się niegdyś w dniach swej niedoli pokrzepiał duchem żydowskich proroków, a od którego my Żydzi możemy uczyć się dziś praktycznej polityki. Są nim Polacy. Politykami w poezyi, poetami w polityce nazwał ich niegdyś Bismark. Dawno już nimi nie są.

Tak jest, przez lat dziesiątki polegała polityka ich na tem, że z pieśnią na ustach „Jeszcze Polska nie zginęła" przeciągali przez obsadzone żandarmami ulice swych miast, przez całą Europę, że żądali swych „praw historycznych", że na entuzyastycznych zgromadzeniach oznajmiali światu, jako cel swój jedyny, odbudowanie Polski „od morza do morza", mówiąc krótko, że manifestowali.

Polityka ta znajdowała swe uzupełnienie w nieustannych dyplomatycznych usiłowaniach, które miały na celu odbudowanie Polski z pomocą obcych mocarstw, a więc osiągnięcie celu za jednym

qu' une large autonomie d'un peuple aussi intelligent, aussi artiste et aussi vif que les Polonais serait un bien pour l'humanité toute entière. C'est trop évident pour être dit. Et les gens qui empêchent cela sont des brutes. Mais qui en doute?

Paris. *A. Meillet.*

XXVI.

Geehrter Herr Redakteur! Ihre Frage beantworte ich hauptsächlich vom Standpunkte des seiner Nationalität bewussten Theiles des jüdischen Volkes, dessen grosser Bruchtheil in Polen lebt und mit seinem Schicksale so innig verwebt ist, dass es angesichts der von der Redaktion der „Krytyka“ angeregten Frage fast sagen kann: *tua res agitur.*

I. Das Streben der polnischen Nation zur Wiedergewinnung ihrer Unabhängigkeit in den Grenzen ihres heutigen Sprachgebietes, ist meines Erachtens durchaus vereinbar mit dem Völkerrechte, besonders wenn dieses Streben Formen des politischen, oekonomischen und kulturellen Kampfes annimt, und die allerletzte Normierung der Verhältnisse einer dazu berufenen politischen Constitution, oder einer Aera höherer politischen Erleuchtung und Ethik überlässt. Die heutigen Bestrebungen des polnischen Volkes in dieser Richtung müssen vom völkerrechtlichen Standpunkte als muster giltig für einen rationellen und legalen Unabhängigkeitskampf anerkannt werden. In meinem Werke: „Die Entwicklung des Zionismus“ (in polnischer Uebersetzung betitelt: „Neue Wege des Zionismus“, Lemberg 1905) habe ich dem jüdischen Volke die Nachahmung dieses Musters anempfohlen.

Die bezügliche Stelle lautet wie folgt:

„Es gibt ein Volk, das sich einst, in seinen Unglückstagen, an dem Geist der jüdischen Propheten gestählt und aufgerichtet hat und von dem wir Juden heute praktische Politik lernen können. Dieses Volk sind die Polen. Politiker in der Dichtung, Dichter in der Politik hat Bismarrk sie einst genannt. Sie sind es lange nicht mehr.

Jawohl, Jahrzehnte hindurch bestand ihre Politik darin, mit dem Liede „Noch ist Polen nicht verloren“ durch die gendarmenbesetzten Strassen ihrer Städte, ja durch ganz Europa zu ziehen; ihre „historischen Rechte“ zu verlangen, die Wiederherstellung Polens „von einem Meere zum anderen“ in enthusiastischen Versamm-

zamachem. Do tej akcyi dyplomatycznej Polacy byli daleko lepiej uzbrojeni, niż my syoniści. Nietylko, że zdolności dyplomatyczne są rasie ich właściwe, że w szeregach swej szlachty mieli zastęp prawdziwych mężów stanu do dyspozycyi, że wspólność religii i interwencya papieża torowały im drogę do katolickich dworów; ich pierwsze rodziny były z panującemi dynastyami spokrewnione, towarzysko-przyjacielskie węzły łączyły arystokracyę polską z najwpływowszemi politycznemi osobistościami wszystkich krajów. Umiano nawet pozyskać sobie faworyty monarchów, co więcej, piękne i czarujące patryotki polskie nie szczędziły starań, by pozyskać mężów, którzy trzymali w rękach swych losy Europy. Napoleon na szczycie swej potęgi dał hrabinie Walewskiej swoje słowo. I więcej jeszcze, niż węzły pokrewieństwa i niewieście wdzięki rzucono na szalę: bohaterskie i bitne armie mogli dyplomaci polscy stawić swym koronowanym zbawcom na usługi. Nic nie pomogło; armie przelewały krew swą na bojowiskach, kwiat narodu padł na barykadach, dyplomacya okazała się ciężką złudą. Polacy skorzystali z tych doświadczeń. Przywódcy ich postawili program nowy, program organicznej pracy i od tej chwili datuje się nadzwyczajny wzrost sił ich, który odbywa się w najspokojniejszych i najlegalniejszych formach. Zamiast gorączkowego dyplomatyzowania, wyczekiwania potężnych interwencyi i rewolucyjnych zbrojeń, wzięto dwa wielkie działy pracy pod uwagę. Najsamprzód pracę około rozwoju narodowej kultury, wiedzy, literatury i sztuki. Intenzywne życie, stanowisko światowe, którego w dziedzinie politycznej mieć nie mogą, zdobyli sobie dziś Polacy w nieśmiertelnej krainie ducha. Oto jest polonizm kulturalny, jeżeli można stworzyć analogię kulturalnego syonizmu.

Poza tem jednak stał się systematyczny postęp w dziedzinie gospodarczej; utrzymywanie i odzyskiwanie gospodarczych placówek, a ziemi przedewszyskiem, ogólnem narodowem hasłem. I tu, w tej walce, która prowadzi się poważnie przeciwko zniemczaniu Księstwa, okazało się, co rozumnie prowadzony naród zdoła nawet przeciwko stokroć przeważającym siłom. Nadaremnie śle się dziś w pole miliony, jak niegdyś armie, aby odebrać Polakom ojczystą ziemię. Przy końcu kampanii, która kosztowała Prusy tyle a tyle milionów, okazuje się, że Polacy zyskali tyle a tyle tysięcy hekta rów na nowo. A jeśli nawet nowe prawo kolonizacyjne chce im wzbronić nabywania ziemi we własnym kraju, to nie przyjdzie im mimo to na myśl założyć w Ameryce lub Afryce niezależne pań

lungen als ihr einziges Ziel der Welt bekannt zu geben, mit einem Wort: zu manifestieren.

Ihre Ergänzung fand diese Politik in unablässigen diplomatischen Bestrebungen, welche die Restauration Polens mit Hilfe ausländischer Regierungen, also die Erreichung des Endziels mit einem Schlag zum Zwecke hatten. Für die diplomatische Aktion waren die Polen viel besser ausgerüstet als die Zionisten. Nicht nur, dass die diplomatische Begabung ihrer Rasse eigen ist, dass sie unter ihrem Adel eine Reihe wirklicher Staatsmänner zur Verfügung hatten, dass die Gemeinsamkeit der Religion und die Intervention des Papstes ihnen den Weg zu den katholischen Höfen ebneten: ihre ersten Familien waren mit den herrschenden Dynastien verschwägert, freundschaftlich-gesellschaftliche Bande verknüpften die polnische Aristokratie mit den einflussreichsten politischen Persönlichkeiten aller Länder. Man war auch so klug, die Maitressen der Gewalthaber zu gewinnen, ja patriotische Polinen von Geist und Schönheit scheuten nicht davor zurück, Männer, die die Geschicke Europas in der Hand hielten, an sich zu fesseln. Ein Napoleon hatte auf dem Gipfel seiner Macht der Gräfin Walewska sein Wort verpfändet. Und mehr noch als Verwandtschaftsbande und Weiberreize wurde in die Wagschale gelegt: streitbare, tapfere Armeen konnten die polnischen Diplomaten ihren gekrönten Befreiern zur Verfügung stellen. Es nützte alles nichts: die Armeen bluteten auf den Schlachtfeldern, die Blüte des Volkes fiel auf den Barrikaden, die Diplomatie erwies sich als schwere Täuschung.

Die Polen haben sich diese Erfahrungen zunutze gemacht. Ihre Führer stellten ein neues Programm, das der organischen Arbeit auf, und seit dieser Zeit datiert ihre erstaunliche Erstarkung, die sich in den ruhigsten, legalsten Formen vollzieht. Statt des fieberhaften Herumdiplomatisierens, des Ausblickens auf mächtige Interventionen, der revolutionären Rüstungen wurden zwei grosse Arbeitszweige ins Auge gefasst. Zunächst die Pflege der nationalen Kultur, der Wissenschaft, Literatur und Kunst. Das intensive Leben, die Weltstellung, die ihnen auf politischem Gebiete versagt ist, haben sich die Polen heute im unvergänglichen Reiche des Geistes gesichert. Das ist der Kulturpolonismus, wenn man ein Analogon zum Kulturzionismus schaffen darf.

Daneben aber wurde das systematische Vordringen auf wirtschaftlichem Gebiete, das Festhalten und Wiedergewinnen aller wirtschaftlichen Positionen, vor allem aber des Bodens, zur nationalen

stwo. Walczą dalej. Uprawiają politykę reprodukcyi, „mnożą się jak króliki“ i postępują spokojnie, nieprzeparcie dalej. Ktoby dziś obwiniał Polaków, że noszą się z planami zdrady stanu i pracują około odbudowania swego państwa, powiedziałby świadomie nieprawdę. A przecież dopiero dziś, daleko bardziej niż w okresie manifestacyi i dyplomacyi, mogą słusznie podnieść okrzyk: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

II i III. Ze stanowiska kultury europejskiej i ogólno ludzkiej niewątpliwie pożądany jest dalszy samodzielny rozwój kulturalny narodu polskiego. Najzagorzalsi nawet zwolennicy zbratania ludów i jednolitej kultury światowej doszli dziś do przekonania, opartego na wynikach nauk przyrodzonych, że całkowite pokrzyżowanie narodów, wytworzenie jednej olbrzymiej rasy mieszańców znacznie by obniżyło poziom i polot twórczości umysłowej. Podobnie jak oryginalna indywidualność u jednostki, tak odrębność narodowa dla szerszych grup człowieczeństwa jest źródłem i tajemnicą najwyższego spotęgowania władz twórczych w filozofii, nauce i sztuce. Dziś już, wśród warunków wielce niekorzystnych, produkcya umysłowa narodu polskiego dowodzi wysokiej wartości, odrębnego jego rozwoju kulturalnego. W ramach niezawisłości państwowej rozwój ten wydałby niewątpliwie owoce wspanialsze jeszcze, świetnie usprawiedliwiające racyę bytu kultury polskiej.

Mówiłem dotychczas tylko o kulturze intelektualnej, o produkcyi artystycznej. Inna kwestya, jaki wpływ wywarłaby Polska autonomiczna lub niezawisła na kulturę społeczną, na etykę polityczną, europejską i światową.

I oto przechodzę do pytania trzeciego, któremu zarzucić muszę, że pomijając realne dane życia politycznego, obraca się w sferze idealnych postulatów. O ile życzę narodowi polskiemu z całego serca autonomii i niezawisłości w każdej postaci, na jaką stosunki europejskie i własna jego mądrość polityczna zezwolą, o tyle zaznaczyć muszę, że wpływ tej wskrzeszonej Polski wtedy tylko będzie cennym dla ogólnego postępu politycznego, jeżeli istotnie urzeczywistnionym będzie warunek, zawarty w pytaniu redakcyi „Krytyki“, t. j., jeżeli w obrębie jej wszyscy mieszkańcy bez różnicy wyznania i narodowości będą pod względem praw politycznych i obywatelskich równouprawnieni, i to nie na papierze, lecz w życiu.

Tylko Polska sprawiedliwa i prawdziwie demokratyczna oznaczałaby zdobycz dla rozwoju ludzkości. Polska autonomiczna lub

Losung. Und hier, in diesem Kampfe, der wesentlich gegen die Germanisierung in Preussisch-Polen geführt wird, zeigte es sich, was eine vernünftig geführte Nation selbst unendlich überlegenen Kräften gegenüber vermag. Vergebens werden, wie einst Armeen, so nun Milionen ins Feld geschickt, um den nationalen Boden zu entreissen. Am Ende jeder Kampfperiode, welche Preussen so und so viel Hunderte von Milionen kostete, zeigt es sich, dass die Polen so und so viel Tausende von Hektaren neu gewonnen haben. Und wenn ihnen das neue Ansiedelungsgesetz sogar verbieten will, in ihrem eigenen Lande Boden zu kaufen, so fällt es ihnen darum doch nicht ein, in Amerika oder Afrika ein unabhängiges Reich zu gründen, sondern sie kämpfen ruhig weiter. Sie treiben Reproduktionspolitik, sie „vermehren sich wie die Kaninchen" und dringen ruhig, unaufhaltsam vor. Wer die Polen heute beschuldigen würde, dass sie mit hochverräterischen Plänen umgehen und an der Wiederherstellung ihres Reiches arbeiten, der würde eine bewusste Unwahrheit sagen. Und doch wären die Polen erst heute, viel mehr als in der Periode der Manifestationen und der Diplomatie, ernstlich zu dem Rufe berechtigt: „Noch sind wir nicht verloren!""

II. und III. Vom Standpunkte der europäischen und der Gesamtkultur ist die weitere selbständige kulturelle Entwicklung der polnischen Nation unzweifelhaft erwünscht. Sogar die fanatischsten Bekenner der Völkerverbrüderung und einer einheitlichen Weltkultur sind bereits zu der auf Ergebnissen der naturgeschichtlichen Wissenschaften basierten Ueberzeugung gelangt, dass die völllige Völkerkreuzung, die Hervorbringung einer einzigen riesigen Mischlingen-Rasse das Niweau und den Schwung des geistigen Schaffens beträchtlich herabdrücken würden. Wie die originelle Individualität bei einem Einzelwesen, so ist bei grösseren Menschengruppen die nationale Eigenart, als Quelle und Geheimniss der höchsten Potenzierung der Schaffenskräfte in Philosophie, Wissenschaft und Kunst zu betrachten. Schon heute, bei sehr ungünstigen Verhältnissen, bezeugt die geistige Produktion der polnischen Nation einen hohen Werth, eine eigenartige Kulturentwicklung. Im Rahmen einer staatlichen Unabhängigkeit dürfte diese Entwicklung zweifelsohne noch ausgezeichnetere Früchte zeitigen, die in glänzender Weise die Existenzberechtigung der polnischen Kultur rechtfertigen würden.

Bisher sprach ich bloss von der intellektuellen Kultur, von der künstlerischen Production. Anders verhält sich die Sache, wenn

niezawisła natomiast, któraby w granicach swych hołdowała zasadzie siły przed prawem, uprawiała imperyalizm narodowy i bezwzględną politykę narodowego wywłaszczania, byłaby dla postępu obojętną a może nawet szkodliwą; dziś bowiem należy do ofiar tego systemu i przyczynia się do obalenia jego, jutro wzmocniłaby zastęp gwałcicieli politycznych.

Póki naród polski sobie wyłącznie rościć będzie prawo do swobodnego rozwoju narodowości swej, uważając ruchy narodowościowo-wolnościowe innych szczepów na terytoryum wspólnie z nim zamieszkiwanem za zdradę i odszczepieństwo; póki odrębności kulturalnej, której sam tak gorąco pragnie, odmawiać będzie Litwinom, Rusinom i Żydom; póki jedną ręką wznosić będzie krzyż męczeństwa i sztandar wolności, tłumiąc drugą ręką żądania sąsiadów, sprzeniewierzając się własnej idei — póty we wzroście autonomii jego niepodobna upatrywać poręki dla postępu ogólnej sprawiedliwości politycznej.

Wybory do Dumy w Królestwie, agitacye połączone z nowym systemem wyborczym w Galicyi dowodzą, że Polacy na razie nie korzystają z praw autonomicznych w duchu „republiki demokratycznej". Wprowadzając podwójną miarę w rachunkowość polityczną, podkopują sympatye innych narodów dla idei niezawisłości Polski, odpychają od siebie najbliższych, naturalnych swych sprzymierzeńców.

Tylko Polska, jaka się objawiła w Konstytucyi 3 Maja, tylko Polska Kołłątaja i Mickiewicza będzie zwycięstwem ludzkości; ta tylko, która wypisała na sztandarze swym: „Za naszą i waszą wolność!"

Berlin. *Alfred Nossig.*

ich nun erwäge, welchen Einfluss das unabhängige und autonome Polen auf die soziale Kultur, auf die politische Ethik Europa's und der ganzen Welt ausüben würde.

Und nun komme ich auf die dritte Frage zu sprechen, an der ich zu rügen habe, dass sie die reellen Verhältnisse des politischen Lebens ausser Acht lassend, sich in der Sphäre der idealen Postulate bewegt. Obwohl ich der polnischen Nation die Autonomie und die Unabhängigkeit in jeder von den europäischen Verhältnissen und seiner eigenen politischen Klugheit zulässigen Form vom ganzen Herzen wünsche, so muss ich's dennoch hervorheben, dass der Einfluss dieses aufzuerstehenden Polens nur dann für den allgemeinen politischen Fortschritt werthvoll sein könne, wenn die von der Redaktion der „Krytyka" gestellte Bedingung verwirklicht wird, nämlich, wenn alle in den Grenzen Polens lebenden Einwohner, ohne Unterschied des Glaubens und der Nationalität politisch und bürgerlich gleichberechtigt werden, nicht bloss auf dem Papier, sondern im Leben.

Nur ein vom Gerechtigkeitsgefühl erfülltes und wahrlich demokratisch gesinnes Polen würde für die Entwicklung der Menschheit einen Sieg bedeuten. Hingegen ein autonomes, oder unabhängiges Polen, welches in seinen Grenzen jenem Grundsatz huldigte, der Gewalt vor dem Rechte gehen lässt, ein Polen das den nationalen Imperialismus und die rücksichtslose Politik der Entnationalisierung betreiben würde, so ein Polen wäre für den allgemeinen Fortschritt gleichgültig, und vielleicht sogar nachtheilig; denn heute gehört es zu den Opfern dieses Systems und trägt zu seiner Umstürzung hinzu, morgen würde es aber die Zahl der politischen Gewaltthäter vermehren.

Solange die polnische Nation sich anmasst, einzig und allein des Recht der freien nationalen Entwicklung zu besitzen, und die national-freiheitlichen Bewegungen anderer gemeinschaftlich mit ihr auf demselben Territorium lebender Stämme als Verrath und Abtrünnigkeit betrachtet; solange sie das Recht der kulturellen Eigenart, welches sie selber so heiss erstrebt, den Lithauern, Ruthenen und Juden versagt; so lange sie in der einen Hand des Märtyrerkreuz und das Freiheitsbanner tragend, mit der andern die Forderungen ihrer Nachbarn erstickt, auf diese Art ihrer eigenen Idee untreu werdend; — so lange wird man in der Befestigung ihrer Autonomie keine Gewähr für den Fortschritt allgemeiner politischer Gerechtigkeit sehen können.

XXVII.

1. Jak każda gałąź prawa, taksamo prawo międzynarodowe da się ująć z punktu widzenia czystego rozumu, lub też z punktu widzenia rzeczywistości istniejącej.

Biorąc filozoficznie, wszelki aglomerat społeczny, tworzący jednolitą całość, o własnym charakterze, odrębności i specyalnych skłonnościach, stanowi istotę, indywidualność, naród i ma prawo do niezależności i rządów własnych.

W rzeczywistości prawo międzynarodowe liczy się z sytuacyą, wypływającą z podbojów, układów, faktów historycznych.

Z punktu widzenia pierwszego, Polska może się upominać o swą niezależność.

Z punktu widzenia drugiego, powinna znosić los, jaki jej został zgotowany przez podział na części.

2. Kwestya ta jest tak zawiła, że wydaje się niemożliwą do rozwiązania.

W zasadzie wydaje się, że niezawisłość każdego narodu jest dobrodziejstwem, o ile oparta jest na sprawiedliwości. Niemniej jednak zależy to od tego, w jaki sposób naród pozostawiony sobie samemu potrafi jej używać. Należałoby się pod tym względem poradzić dziejów Polski i z nich usiłować wysnuć prognostyki, co do zachowania się jej obywateli po odzyskaniu niezależności.

3. *a*) Stworzenie z Polski żywiołu i części związkowej państwa rosyjskiego jest rozwiązaniem transakcyjnem, zależnem równocześnie od faktów historycznych i praw. Jest li to w praktyce możliwem?

Die Duma-Wahlen in Kongress-Polen, wie auch die Agitationen. die als Begleiterscheinung des neuen Wahlsystems in Galizien zu Tage treten, beweisen, dass die Polen bisher keinen Gebrauch machen von der Autonomie im Geiste einer „demokratischen Republik“. Indem sie das Doppelmass in die politische Buchhalterei einführen, untergraben sie die Sympathie anderer Völker für die Idee der Unabhängigkeit Polens, und stossen von sich ihre nächsten und natürlichen Verbündeten.

Nur das durch die Konstitution vom 3 Mai geoffenbarte Polen, nur das Polen des Kołłątaj und Mickiewicz wird den Sieg der Menschheit bedeuten; nur dieses Polen, welches auf sein Banner die Aufschrift setzte: „Für unsere und eure Freiheit!“

Berlin. *Alfred Nossig.*

XXVII.

1. Comme toutes les branches du droit, le droit international est conçu soit au point de vu de la raison pur, soit au point de vu de la réalité positive.

Philosophiquement, toute agglomération humaine constituant un tout homogèn, ayant ses caracteres propres, son originalité ses tendances spéciales, constitue un être, une individualité, u n e n a t i o n et a droit a son indépendance et a son gouvernement personnel.

Positivement ce droit international tient compte des situations acquises résultant de la conquête, des traités, des événements historiques.

Au regard du 1-e cas, la Pologne peut revendiquer son indépendance.

Au regard du 2-e elle doit subir le sort que lui fait son demembrement.

2. La question semble insoluble tant elle est compliqueé.

En principe, il semple que l'indépendance de chaque nation est bienfaisante autant qu'elle es juste. Cela dépend, neanmoins, de la façon dont cette nation livrée a elle-même saura se conduire A cet égard il faudrait consulter l'histoire de la Pologne et essayer d'en tirer des pronostics sur la façon dont ses citoyens sauront se conduire s'ils retrouvent leur gouvernement propre.

3. *a*) Faire de la Pologne un elément et une confederation russe est une solution transactionnelle qui tient compte à la fois

Jedynie doświadczenie mogłoby wyświetlić ten trudny problem. Rozwiązanie takie jest dość pociągające, w myśl maksymy że: rządzić, znaczy radzić, a nie uciskać.

b) Uczynić z Polski republikę autonomiczną, znaczy uczynić z niej państwo całkowicie niezależne, czemu zdają się przeciwdziałać przeszkody olbrzymie.

Jest rzeczą niezmiernie trudną określić, jaki wpływ miałoby jedno lub drugie rozwiązanie tej kwestyi na Europę lub na cały świat.

Pierwsze, o ile się zdaje, trzymałoby Polskę w kręgu polityki rosyjskiej, wytwarzając pewne sytuacye, które przykro dawałyby się odczuwać obydwom narodom, niecąc ustawiczne konflikty.

Drugie rozwiązanie dozwoliłoby Polsce wybierać w każdym wypadku pomiędzy Rosyą a Niemcami, a przynajmniej, co byłoby korzystniejsze, nie stwarzać dla nowego państwa neutralności jak w Belgii. Należy to bardzo polecać.

Jednakowoż jak można spodziewać się tych zmian bez pożogi wojennej, która przekształciłaby całą mapę Europy? Nadto pożogi te musiałyby być tego rodzaju, by politykę zmusiły do uwzględnienia drobnych narodowości. Tymczasem należy się spodziewać raczej czegoś wręcz przeciwnego.

Najlepsze, czego należy pragnąć, to tego, by Rosya traktowała Polskę życzliwie, nie obrażając jej obyczajów, lecz nie odcinając jej też od całego państwa. Czy można się tedy spodziewać, by rząd starał się o urzeczywistnienie zjednoczenia, ponownego, zjednoczenia tego wszystkiego, co się składa na owe olbrzymie terytoryum, a Polacy okazali się niezmiennymi?

Ostatecznie, w obec ogromnej zawiłości całej tej kwestyi ogarnia chęć zdania się na los wypadków i instynktów narodowych...

Edmund Piccard.

XXVIII.

Na Pańskie pytania pozwalam sobie odpowiedzieć co następuje:

Ad 1. Tak zwane „prawo międzynarodowe“ opiera się głównie na *fait accompli* i na zatrzymaniu stanu posiadania bez względu na to, jak to posiadanie nabyto. Oczywista, że z tego stanowiska powstanie państwa polskiego, chociażby w czysto etnograficznych

des faits historiques et des droits origínaires. Est-ce pratiquement possible?

Seule une expérience pourrait eclaírcir ce' difficile problème. Cette solution est assez seduisante étant donneé la maxime que: gouverner c'est concilier et nonoprimer.

b) Faire de la Pologne une républíque autonome, c'est l'indépendance complète, et ce résultat semble soumis à des obstacles gigantesques.

Il est d'une extrème difficulté de déterminer l'influence européenne ou mondiale qu'aurait l'une ou l'autre de ces solutions.

La première maintiendrait plutôt, apparemment, la Pologne dans l'orbite de la politíque russe, avec certaines résistances qui gêneraient les deux peuples et susciteraient d'incessants conflits.

La seconde permettrait à la Pologne de choisir dans chaque occasion, entre la Russie et l'Allemagne, à moins ce que peut-être serait préférable qu'on n'institue, pour le nouvel état, la neutralité comme en Belgique. Ceci est très recommandable.

Mais comment esperér ces changements sans une conflagration qui remanierait la carte de l'Europe? Et encore faudrait íl s'imaginer une conflagration imposant à la politique le respect des petites nationalités. Or c'est plutôt le contraire qui est à craindre.

Ce qui semble le mieux à souhaiter, c'est de voir la Russie traiter la Pologne avec bienveillance sans heurter ses moeurs, mais sans la détacher de l'empire.

Est-ce à espérer alorsque le gouvernement poursuit la réalisation de l'unification, de la réunification de tout ce qui constitue cet immense territoire bigarré et que les Polonais paraissent irreductibles?

Finalement on est induit, tant la question est obscure, à s'en remettre aux événements et aux instincts populaires.

26 avril 1906.

Edmond Piccard.

XXVIII.

На ваші питаня позволю собі відповісти як слїдує:

Ad 1) Так зване „право міжнародне“ опирає ся головно на fait accompli і на задержуваню стану посїданя без взгляду на се, в який спосіб се посїдане набуто. Очивидна річ, що з того становища повстане польскої держави, хочби лиш в чисто етнографічних

granicach, jest dla *beati possidentes* odnośnych ziem wcale niepożądanem i ze stanowiska „międzynarodowego prawa“, które oni uznają — zupełnie nieuzasadnionem.

Inaczej, jeżeli idzie o prawo narodów samych, oparte na poczuciu międzynarodowej solidarności.

Jednak poczucie to, przyznające każdemu narodowi równe prawo do życia i wszechstronnego rozwoju, powstaje z pełną siłą tylko w klasie pracującej, która nie pożądając cudzych ziem, a będąc zahartowaną w walce o emancypacyę społeczną, tem łatwiej zrozumieć może dążenie całych podbitych narodów do politycznej niepodległości.

Ze stanowiska takiego prawa narodów jest oczywiście i tego rodzaju dążenie Polaków nie tylko usprawiedliwione, ale i pożądane. Usunięcie każdego bezprawia, tem bardziej dokonanego na całym narodzie, oczyszcza atmosferę moralną, zwiększa poczucie altruistyczne, związuje węzłami solidarności nawet tych, którzy dotychczas uważali się za nieprzejednanych wrogów.

Ad 2. Każdy naród chowa w swojem wnętrzu jakieś specyficzne, oryginalne piękno, coś dobrego i pięknego, sobie tylko właściwego, co z jego utratą ginie także dla całej ludzkości.

U narodów kulturalnie wyżej rozwiniętych, to „piękne i dobre“ łatwiej występuje na jaw, łatwiej krystalizuje się i staje się wspólnem dobrem całego kulturalnego świata. Ale tylko sam odnośny naród zna drogę do tych ukrytych w nim skarbów, sam on wie to tajemnicze zaklęcie, na które otwierają się wrota narodowego Sezamu. I dlatego wszelkie przeszkody, stawiane danemu narodowi w jego kulturalnej pracy, są z punktu widzenia wszechświatowej kultury, grzechem o pomstę wołającym.

A największą taką przeszkodą jest polityczna zależność, brak możności decydowania samemu o swoich sprawach. Widzę właśnie na ukraińskim narodzie we wschodniej Galicyi, co to znaczy polityczna zależność, choć przecie polska szlachta i biurokracya uciskają go tylko jako quasi mandataryusze austryackiego rządu, (na który taksamo jak i na parlament centralny muszą się trochę oglądać) i nie mają tej ogromnej władzy nad nimi, jaką ma naprzykład rosyjska biurokracya nad Polakami w Kongresówce.

A przecież jak kolosalnie szkodzą sprawie postępu, sprawie szerzenia kultury, te ustawiczne, chociażby drobne, ale ogromnie oburzające szykany (jak na przykład zakaz noszenia odznak siczowych, prześladowanie za pochody i t. d.), na które ukraiński naród

границях є для beati possidentes дотичних земель вповні непожадане і зі становища „міжнародного права“, котре они узнають — цілком неузасаднене.

Иньша річ, коли іде о право народів самих, оперте на почутю міжнародної солїдарности.

Те почуте однак признаюче кождому другому народови рівне управнене до житя і всестороннього розвою повстає з повною силою лише в клясї працюючій, що нежадна займів чужих земель, закалена в борбі о еманципацію суспільну — може тим легше зрозуміти змагане цілих поневолених народів до політичної самостійности.

Зі становища такого права народів є очивидно і того рода змагане Поляків не лиш усправедливлене але і пожадане. Усунене кождого безправства, тимбільше безправства доконаного на цілім народі, прочищує атмосферу моральну, збільшає почуваня альтруїстичні, звязує вузлами солїдарности і тих що доси уважали себе за непримирнмих ворогів.

Ad 2) Кождий народ хоронить у своїм нутрі якусь специфічну, оригінальну красу, щось доброго і гарного, яке лиш єму причасне і котре з загубою єго гине також для цїлої людскости. У народів більше культурно розвинених се „гарне і добре“ легше виступає на верх, легше кристалїзує ся і стає спільним добром цілого культурного сьвіта.

Та лише сам дотичний народ знає дорогу до тих укритих в нім скарбів, лиш сам він знає те таінствение закляте, на котре отвирають ся брами національного Сезаму. І тому всякі перешкоди ставлені даному народови в єго культурній роботї є зі становища всесьвітної культури гріхом вопіючим до неба.

Та власне найбільшою перешкодою того рода є політична зависимість, брак можности рішати самому о своїх справах. Я-ж бачу на українскім народї у східній Галичинї, що значить політична зависимість, хоч преці польска шляхта і бюрократія тиснуть єго лише яко quasi мандаторі австрийского уряду (на котрий, як і на парлямент центральний всеж таки троха мусять оглядати ся), і не мають тої величезної власти над ним, що має на пр. росийска бюрократія над Поляками в Конгресівцї.

А всеж таки, як кольосально шкодять справі поступу, справі ширеня культури ті безустанні, хочби дрібні але крайно обурюючі шикани (от як на пр. закази відзнак січових, переслїдуване за наради, походи і т. ин.), на які українский народ є наражений у східній Галичинї — від своїх таки найблизших сусїдів, так близько спорідненних із ним. Кілько енергії суспільної іде на поборюване та-

we wschodniej Galicyi jest narażony ze strony swoich najbliższych sąsiadów, tak blizko z nim spokrewnionych. Ile energii społecznej idzie na zwalczanie takich nizkich sekatur, chociaż można i trzebaby jej użyć raczej w innym kierunku, a to na podniesienie kultury naszego narodu.

Cóż dopiero mówić o niesprawiedliwych i oburzających stosunkach w szkolnictwie, o przeszkodach stawianych przy zakładaniu nowych szkół średnich i uniwersytetu!

Jakże inaczej byłoby przy zupełnej politycznej niezawisłości naszego narodu w Galicyi i na Ukrainie rosyjskiej! A czego sobie życzymy, tego nie możemy odmawiać i drugim, chociażby część tych „drugich" była naszymi nieubłaganymi przeciwnikami! Tak! Niezależny byt państwowy polskiego narodu w etnograficznych granicach jest pożądany i konieczny ze stanowiska kultury wszechświatowej. Im mniej krzywdy na świecie, tem więcej porozumienia i wyrozumiałości, tem więcej miłości, tem korzystniejsze warunki rozwoju kulturalnych instytucyi i uczuć altruistycznych.

Ad 3. A. Na razie utworzenie autonomicznego terytoryum polskiego w Rosyi, nie jest pożądane, przedewszystkiem ze względu na polski lud pracujący. Jak to z pierwszych wyborów do Dumy widzimy, między Polakami w Rosyi przewagę ma partya narodowo-demokratyczna, *de facto* ogromnie konserwatywna w sprawach socyalnych (na przykład w agrarnej) i widocznie na wskróś przesiąknięta szlachetczyzną. Będzie ona radykalnym reformom społecznym tak samo przeciwną, jak naprzykład Koło polskie w Wiedniu. Zanim elementy radykalno-demokratyczne osiągną siłę i między wiejską polską ludnością w Rosyi, będzie ze względu na przyszłość polskiego narodu daleko korzystniejszem podlegać na razie centralnemu parlamentowi, w którym zresztą dążenia autonomiczne są zbyt silne, ażeby kresy rosyjskiego państwa miały przez ten konstytucyjny centralizm ponieść jakąkolwiek szkodę w swoich specyalnych potrzebach. A zresztą czas ten nie potrzebuje trwać długo. a utworzenie czy to autonomicznego terytoryum polskiego w Rosyi. czy nawet niepodległej republiki demokratycznej, byłoby dla polityki europejskich narodów (nie rządów), zjawiskiem bardzo pożądanem. Demokracya wszędzie wygrałaby na tem, a we wschodniej Galicyi zradykalizowałoby to bezwarunkowo polską inteligencyę tak bardzo zdemoralizowaną przez swoje dominujące (społeczne i polityczne) stanowisko, przez zarozumiałe deptanie i ignorowanie praw bratniego narodu.

ких низьких секатур, хоч можна і треба-би еї ужити радше в иньшім напрямі, а то на піднесенє культури нашого народа.

Щож доперва говорити о крайно несправедливих і обурюючих відносинах в шкільництві, о перешкодах ставлених закладаню нових шкіл середних і універзитету!

Якже инакше булоби при повній полїтичній независимости нашого народа і в Галичинї, і в Україні росийскій. А чого собі желаємо. сего не можемо відмовити і другим, хотя-би частина тих „других" була нашими безпощадними противниками. Так! Независимий бит державний польского народа в етнографічних границях є пожаданий і доконечний зі становища всеєсьвітної культури. Чим меньше кривди на сьвітї, тим більше порозуміня і вирозуміня, тим більше любови, тим кориснїщі услівя для розвою культурних інституцій і альтруїстичних почувань.

Ad 3. a) На разї утворенє автономічної територiї польскої у Росиї є передовсїм непожаданє зі становища таки самого польского народа працюючого. Як бачимо з перших виборів до Думи то між Поляками в Росиї має перевагу партія національно-демократична, de facto сильно консервативна в справах суспільних (нпр. в аграрнїй) і очивидно перенята наскрізь шляхоцкими бакцилями. Она буде так противна радикальним суспільним реформам, як нпр. „Коло польске" у Відни. Заки елементи радикально-демократичні осягнуть силу і між сельским населенем польским у Росиї, буде з уваги на будучність польского народа далеко кориснїйшим підлягати покищо центральному парляментови, в котрім впрочім стремлїня автономічні досить сильні, як щоби окраїни росийскої держави мали через той конституцийний централїзм понести яку шкоду з уваги на свої спеціяльні потреби.

Впрочім той час не потребує довго тревати, а утворенє чи то автономічної територiї польскої у Росиї чи навіть самостійної републики демократичної булоби для полїтики европейских народів (не правительств) явищем незвичайно пожаданим. Демократія всюда. вигралаби від того, а в східній Галичинї се зрадикалїзувалоби безусловно польску інтелїгенцію так здеморалїзовану своїм домінуючим (суспільно і полїтично) положенем, гордим топтанем і ігнорованем прав братного народа.

Така преважна переміна підтялаби корінь ріжним царизмам і імператоризмам, так, як глупе загиренє справи норвежскої републїки через тамошню буржуазію — їм незвичайно помогло. Та „щасливо посїдаючі" правительства не допустять до польскої републики без оружної борби із ними і тому доки що треба через радикально-політи-

Tak ogromnie ważna zmiana podcięłaby korzeń różnym caryzmom i imperyalizmom, podobnie jak głupie zaprzepaszczenie sprawy norweskiej republiki przez tamtejszą burżuazyę, nadzwyczaj im pomogło. Lecz rządy szczęśliwie posiadające, nie dopuszczą do polskiej republiki bez orężnej z nimi walki, dlatego też na razie trzeba przez radykalno-polityczną i socyalną agitacyę i organizacyę w rosyjskiej Polsce (zwłaszcza między wieśniakami), przygotowywać jej autonomię na demokratycznych zasadach.

Dr. Kyryło Trylowski
prezes ukraińskiego politycznego towarzystwa „Narodna Wola" w Kołomyi.

(C. d. n.)

KAZIMIERZ ROMIN (ROMUALD MINKIEWICZ).

O PEŁNI ŻYCIA I O KOMUNIE DUCHOWEJ *).

FRAGMENT ZE „WSTĘPU".

Nie wiem, zali to co powiem wręcz oryginalnem będzie — być może „wszystko to już było" — wiem jedno, że będzie to moje, moje własne... Są rzeczy tak sokami duszy nabrzmiałe, że niby dojrzałe owoce ciężą drzewu, co je wydało, aż zrzuca je wreszcie na ziemię... Milczenie wówczas męką się staje, a staje się także nieraz kłamstwem wobec samego siebie...

Mówić więc będę, bowiem „towarzyszy potrzebuję, ludzi żywych — nie martwych towarzyszy lub trupów, których tam niosę dokąd zechcę. Żywych ludzi potrzebuję, którzy dlatego ze mną pójdą, że taka jest ich wola, by pójść tam, dokąd ja podążam" (N i e t z s c h e „Zaratustra"). Zresztą przeczucia szepcą, jakoby niewiele mi już życia zostaje — miesiące tylko może — a niechciałbym zejść, słowa swego nie wypowiedziawszy...

[1]) Parę fragmentów i część druga w całości. Trzecia część: „Akordy przyszłości" dotycze komuny duchowej wyłącznie — i tu nie jest uwzględniona.

чну і суспільну агітацію і організацію в російскій Польщі (особєнно між селяньством) приготовляти єї автономію на демократичних основах.

Др. КИРИЛО ТРИЛЬОВСКИЙ
голова українського товариства політичного „Народна Воля" в Коломиї.

(Suite).

Zaś, czy doń „fałszu ze siebie nie przymieszam", niechaj sądzą ci — kilka duchów, tu i owdzie po ziemi rozsianych — którzy duszę moją i moje życie poznali do głębi... i niechaj sądzi własna dusza moja, ów sędzia najstraszniejszy i „mściciel własnego zakonu".

FRAGMENT Z CZĘŚCI PIERWSZEJ P. T.: „AKT STWORZENIA".

W życiu duchowem jednostki ludzkiej nie masz ważniejszego i bardziej wzniosłego zadania, nie masz głębszej i bardziej naglącej potrzeby nad znalezienie siebie samego, nad owo „γνῶθι σεαυοὸν" mędrców starogreckich, nad wykrycie w sobie swej istotnej treści indywidualnej, swej „samości" — (das Selbst) jakby Nietzsche powiedział — swej własnej drogi duchowej, nad „odczytanie właściwego sensu z księgi swego żywota".

W rozumieniu mojem nie mieści się po prostu, jak można przejść życie, nie załatwiwszy tej najbardziej palącej sprawy życiowej, nie ugasiwszy tego zwęglającego duszę pragnienia... jak można żyć, nie usiłując być „jedynostką" („Der Einzige", Maksa Stirner'a), naturalnym osobnikiem, sobą, człowiekiem... Jest to najpotężniejszy akt twórczy, na jaki człowiek i tylko człowiek

zdobyć się może, bo wykrycie swej istoty, swej wyłączności, swej „inności“ duchowej jest stworzeniem siebie, stworzeniem, wywołanem z niebytu, z nicości jednego ducha ludzkiego, samoistnego odtąd i niezamienialnego przez żaden inny.

Oczywista, znalezienie siebie nie jest tylko poznaniem swej zawartości intelektualnej, zasobów pojęć, myśli, ideałów i nie tylko doskonałą znajomością swego życia uczuciowego, ale docieraniem do najgłębszych źródeł ukrytych w tajemnym mroku przedmyślowych, wzruszeniowych, cenestezyjnych obszarów naszej duszy. Jest wykrywaniem w sobie najtajniejszych odruchów duchowych, właściwego mojej duszy sposobu reagowania na każde wydarzenie zewnętrzne i wewnętrzne, właściwego memu pryzmatowi duchowemu kąta załamywania wszelkich biegnących przezeń promieni.

Nie idzie tu więc o zbadanie podsłonecznej krainy świadomości w całej jej rozciągłości i głębi, lecz o dotarcie do bram, wiodących w ciemny, otchłanny labirynt Nieświadomego, z którego przecie ustawicznie wynurzają się jakieś widma, jakieś postacie — nieraz na jedno oka mgnienie — a zjawienie się ich każdorazowe wytwarza prądy, wydyma fale w morzach duchowych... idzie o stanie na straży u bram tych w wyczekiwaniu owych postaci, o pochwycenie ich ruchów tajemniczych, o podsłuchanie ich rozmów szeptanych, o wyczytanie z ich rysów oznak bólu czy radości, znękania lub zadowolenia w odpowiedzi na każdorazową krystalizacyę duszy naszej w myśl, czyn, uczucie, ideał lub marzenie... by wedle tego określić, a raczej wyczuć, jakie myśli, jakie ideały, uczucia, marzenia, czyny są istotnie mojemi, wypływają nieuniknienie i z żywiołową koniecznością z „samości“ mojej... by wedle tego nabrać pewności niezłomnej, że nie są wypadkowym, napływowym pierwiastkiem, lecz zasadniczą, najrealniejszą rzeczywistością moją, moją prawdą wewnętrzną.

Idzie o odsłonięcie świętej tajemnicy mojej jaźni, objawienie się Boga wewnętrznego... idzie o znalezienie osi pacierzowej i rdzenia mego ustroju duchowego, o wykrycie podstawowego logarytmu moich równań duchowych.

„Znać siebie samego — mówi Maeterlinck — nie znaczy jedynie znać siebie w stanie biernym, mniej lub więcej w czasie teraźniejszym lub przeszłym; przeciwnie, cała potęga istot, o k rych mówię, polega na tem, że przewidują one przyszłe swe my i czyny, że przeczuwają, w jaki sposób ukształtuje się przyszłe i. życie. Świadomość swojej wewnętrznej istoty równa się dla n

więcej stojących jednostek poznaniu — oczywiście do pewnego tylko stopnia — swojej gwiazdy, swego przeznaczenia. Ludzie tacy przewidują swoją przyszłość, ponieważ w nich samych tkwi już pewna część tej przyszłości. Mają wiarę w siebie, wiedzą bowiem już dzisiaj, w jaki sposób ich dusza oddziaływać będzie na zewnętrzne wydarzenia" („Mądrość i przeznaczenie"). Nie znaczy to zgoła, że kto znalazł siebie, zaprzestać może czuwania i stania na straży... O, nie! obszarów Nieświadomego przeniknąć do krańców nigdy nie zdoła, zaś potok życia przynosić i nadal będzie masy drobnych i większych wydarzeń, na które dusza odpowiedzieć musi i nieustannie baczyć trzeba, by obce pierwiastki nie płynęły po wodach, bijących z czystego źródła „samości".

Trzeba żyć, ustawicznie wglądając w siebie, nieznużenie „czatując na swego Boga".

II.

BOG W ŻYCIU.

„Lecz nie dość jest posiadać prawdę, trzeba aby prawda nas posiadała".
M. Maeterlinck („Skarb pokornych").

„Coś myślą pojął — dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy - coś przeczuł natchnieniem" —
Z. Krasiński („Syn cieniów").

„Kocham tego, który złotemi słowy swe czyny uprzedza i zawsze więcej dotrzymuje, niźli był obiecał".
Fr. Nietzsche („Zaratustra").

Jakże niezmiernie radosną, jak nieobjęcie wielką, jak uroczyście świętą jest i na wieki zostanie godzina stworzenia siebie, godzina powtórnych, godzina istotnych moich narodzin, narodzin mego Boga!...

Od tej chwili rozpoczyna się życie właściwe, odrębne, samoistne, niezamienialne, moje życie, „wymawianie siebie w Bycie".

A jakiż twórca, największe dzieło twórczości człowieczej — duch ludzki — stworzywszy, nie ukochałby go miłością bezwzględną, wszechmocną i wszechogarniającą?

Jakżeżby tworzyć mógł tak wytrwale, z taką zabójczą, otchłanną tęsknicą, w bólach piekielnych, w męce — nadludzkiej nieraz?

I jakżeżby inaczej zniósł widok jego i w chwili wydania na świat w gruz go nie rozwalił?

Przeto „powiadam Wam, kto się odrodzi a nie ukocha siebie, odpada na nowo w ciemności przedstworzenia. (A. Baumfeld). Atoli indywidualność nasza duchowo-moralna składa się z nas samych w sobie, oraz z ideałów, dążeń i marzeń naszych.

Owoż z chwilą znalezienia siebie — potrzeby moje, pragnienia, ideały, dążenia i marzenia muszą być sprawdzianowi „samości" mojej poddane, muszą być ponownie we mnie, w miłości wielkiej i niepokalanej poczęte, i ponownie zrodzone muszą być, prześwietlone na wskróś i przepojone promieniami słońca — Boga mego. Bo wszystko musi być rzeczywistością moją... cała intellektualna i uczuciowa treść życia, wszystkie akty woli, muszą być konieczną i niezbędną nadbudową mojej samości, muszą wypływać z niej jako z jedynego żywego źródła.

Wszystko, co nie jest takiem, musi być nieodwołalnie z tą chwilą skazane na zagładę, musi być wyważone i precz odrzucone, jako zbyteczny balast, jako spaczony pierwiastek napływowy, jako szkodliwy głaz narzutowy, obcy glebie macierzystej duszy, a przygniatający jej rodzoną wydajność... musi być wyplenione, jako urągliwy chwast śmietny w plonie, krwią serca mego pojonym.

Pomnijcie, że „każdy ideał, nieodpowiadający zasadniczej, wewnętrznej rzeczywistości, jest tylko niepotrzebnem, jałowem, nizkiem kłamstwem" (Maeterlinck), a czyż kłamstwo miejsce mieć może tam, gdzie miłość i twórczość berło królewskie dzierżą?

„Ale nie dość na tem — mówi A. Mickiewicz — trzeba przeczucie w czyn zamienić, tak wyrobić swego ducha, żeby jego natchnienie było czynem... a czyn natchnieniem..."

Nie dość jest znaleźć siebie, a potem zamknąć się w swojej celi, „w ciszy własnego istnienia" duchowego, by w odosobnieniu komtemplować Boga swego i w głosy tajemne swej duszy wsłuchiwać się... Ach, nie! „osobistość twoja jest długiem, który musisz spłacić do ostatniego włókienka, do ostatniego wrażenia, jeżeli chcesz zdobyć samego siebie na olbrzymiej nędzy Stawania się" (hr. de Villiers de l'Isle Adam: „Axel"). To jest mus wewnętrzny twórcy ducha, to niechybna konieczność, to istotny kategoryczny imperatyw.

„Za myślą twoją idź!" (J. Słowacki: „Król-Duch").

Urzeczywistniaj siebie, realizuj własną treść!

I cóżby to było za ukochanie siebie, bezwzględne, wszechmocne i wszechogarniające — o jakiem mówiłem — gdyby nie było nabrzmiałe pragnieniem i tęsknotą wcielania się w życie?

„Jeśli żyjemy duchem, duchem też postępujmy!“ — woła Paweł-Apostoł. („Do Galat V.“). To konieczność... i to potrzeba...

Bowiem nieurzeczywistnianie treści swojej jest umniejszaniem siebie, jest gaszeniem płomieni świętego Ognia, jest obcinaniem — więziennemi mury — obszarów własnej duszy.

Bo jak mówi przedwcześnie zmarły filozof M. Guyau: „Myśli nasze ściśle odpowiadają rozległości naszych przejawów czynnych... potrzebą wewnętrzną jest rozwinąć się zupełnie, nadać wykończenie ideom naszym, zmuszając je przejść w czyn. Ten, kto nie czyni jak myśli, myśli w sposób niedoskonały“. („Esquisse d'une morale sans obligations ni sanction“).

Wcielanie siebie w życie jest to, jakby powiedział M. Barrés — „Zbogacanie świata naszych myśli przez przyłączenie doń obszerniejszych jeszcze pól doświadczenia“ — — jest to otwieranię dla aktów woli, dla wszystkich władz moich tego, co inaczej otwartemby zostawało dla świadomości jedynie, jest to wprawianie w stan czynny wszystkich przejawów ducha mego, jest to integracya ich, spajanie w naturalną, harmonijną całość, uzgadnianie ich w sobie, w „samości“ mojej.

Przeto kto stworzył siebie i ukochał miłością wszechogarniającą, musi pragnąć pełni swej istoty... a pełnią być pożądając, z Bogiem swym w życie iść musi — spełniać jego przykazania, słowa jego z ciszy własnego ducha w rozgwar żywego życia nieść i w ciało oblekać, tchnięte przezeń ideały i marzenia w rzeczywistość realną zamieniać...

Tak w ciągu stulecia ubiegłego ideał socyalistyczny wyłamał się żywiołowo z ciasnych szranek utopijnych marzeń o szczęśliwości przyszłej i niewstrzymaną rozlewną falą runął w życie społeczne, dążąc do urzeczywistnienia się w wielkich ruchach masowych.

Taksamo jednostka — twórca ducha nie może twórcą życia nie być!

„Odrodzony z ducha — mówiąc językiem Baumfelda — musi się odrodzić i z natury“.

Umiłowawszy istotę swoją i płynące jeno z niej ideały, inaczej żyć nie może, jeno według nich, zgodnie z prawdą wewnętrzną.

„Twórcy bowiem twardzi są!... I jeśli przeznaczeniami być nie chcecie nieubłaganemi — jakże byście wraz ze mną mieli kiedyś tworzyć?

Kocham tego, który ani kropli ducha sobie nie pozostawia, lecz chce być całkowicie duchem swej cnoty...

Kocham tego, co ze swej cnoty czyni skłonność ducha i przeznaczenie własne: i tako k'woli swej cnoty chce żyć jeszcze i przestać już żyć". (Nietzsche — „Zaratustra").

Kto pełnią być chce, nie może oddzielić życia swego od duszy swojej.

Taki jest mechanizm wewnętrzny istoty człowieczej.

Tak chce jednolitość ustroju, wykładnikiem której jest ów zjawiający się stale w sumieniu ludzkiem „przymus wewnętrzny — będący właśnie świadomością zasadniczej tożsamości myśli i czynu". (M. Guyáu). — Ideał nie jest moim ideałem — koniecznym wykwitem mej samości, lecz czemś mechanicznie przyczepionym do mej duszy, jest kłamstwem wewnętrznem, jeśli nie przenika do głębi wszystkich władz moich, wszystkich moich członków, jeśli nie przedostaje się do koniuszka każdego palca, jeśli — utajony — nie drga w każdej komórce nerwowej, w każdem włókienku mięsnem.

Pomnijcie to, towarzysze-socyaliści! i wy artyści, pomnijcie!

Dla twórcy ducha nie masz przepaści między ideałem a czynem, pomiędzy życiem a duszą.

Myśl-czyn, życie-marzenie — to jedność, łańcuch o dwóch ogniwach nierozerwalnie spojonych.

„Marzeniom naszym musi czegoś niedostawać — mówi Maeterlinck — skoro nie zyskały one sankcyi życia..."

Oczywista, o ile po urzeczywistnienie marzeń nie wysyłaliśmy samego tylko marzenia.

I „niech wam to wolę prawdy znamionuje, iż wszystko przeistoczone zostaje w bardzo wyobrażalne, ludzko widome, ludzko wyczuwalne!...

... Waszym rozumem, waszą wolą i miłością, obrazem was samych stać się to winno...

Jakżebyście mogli znieść to życie bez takiej nadziei?" (Nietzsche — „Zaratustra").

Wszelka próba zboczenia w życiu z drogi swojej — przez samość wykreślonej, wszelka próba zluzowania spojeń owego łańcucha, przepołowienia owej jedności — rujnowałaby „pełnię", będąc zabójczą sprzecznością w sobie, umniejszałaby istotę moją, raniła ją, kaleczyła, łamała... bolała bólem piekącym, jako ohydne bluźnierstwo własnemu Bogu, jako „coûp d'état wewnętrzne"...

Zaś zerwanie łańcucha jedności, oddzielenie życia od duszy byłoby wydaniem na siebie wyroku śmierci, zapadaniem się w nicość, konaniem w męce...

„Niegodni, niegodni istnienia!...
zaparliście się tworzenia,
odprzysięgliście się sumienia,
cóż ręce wasze mogą?...
Trwożliwe duchy, zaprzańce,
precz w otchłań, w Noc zapomnienia —
Niegodni, niegodni istnienia".

(*St. Wyspiański* — Legion.

„Albowiem Duchy... które pojmą najwyższą myśl Bożą i podług tej myśli rozpoczną świętą postępu budowę a dla trudności pracy od myśli Bożej odstąpią... zgruchotane są pod ruiną niedokończonej budowy" (J. Słowacki).

Nie, nie, nie!

Nie masz przeszkód tak wielkich, ani tak nieznośnych cierpień, nie masz tak potężnych zapomnień, ani pożądań tak niezwalczonych, nie masz tak chłonących rozkoszy, dla których twórca ducha stać się mógłby własnym apostatą, dla których odkrywca i kapłan Boga — Bogaby się zaparł, dla których kochanek samości — zdradzić ją mógłby.

Nie! człowiek co siebie znalazł, ze siebie jeno i według siebie żyć może, według swoich ideałów i marzeń swoich.

I nic ze siebie — z istoty swej — poświęcić nie może, dla żadnych powodów, dla żadnych celów czy „obowiązków" dla niczego i dla nikogo.

Błędem grubym, szkodliwym, zabójczym jest rozpowszechnione mniemanie o „szczytności" poświęcenia.

Przeciwnie! „zrzeczenie się jest tylko zamaskowaną ciemnotą, bezsilnością lub też lenistwem... Daleko łatwiej jest wogóle poświęcać się, czyli składać swoje życie moralne w ręce pierwszego lepszego, kto chce je wziąć, aniżeli czynić zadość swojemu przeznaczeniu moralnemu i wypełnić do ostatka zadanie, dla którego stworzyła nas natura... Niemożność udzielania innym czegoś więcej ponad pragnienie poświęcania się dla nich, jest zadawalnianiem się ofiarowywaniem im nędznych zaledwie okruchów...

Unikajmy postępowania na modłę owego legendowego latarnika, który rozdawał mieszkańcom biednych chat sąsiednich olej z wielkiej latarni, mającej rzucać snopy światła na wody oceanu". (M. Maeterlinck. „Madrość i przeznaczenie"). Duch odrębny i samoistny jest w sobie strażnikiem takiej latarni.

Przeto „nie wolno nic z ducha tego odrzucić, a zbrodnią jest nad zbrodnie, gdybyście go skalać chcieli oddaniem z niego choćby

cząsteczki na rzecz tego, czego w nim niema... powiadam Wam, kto odrodziwszy się, wszedłby w pokuszenie poświęcenia siebie, odpada w ciemność przedtworzenia“ (A. Baumfeld).

Tak chce integralna spoistość twórczej istoty ludzkiej.

Ze siebie jeno i według siebie!

Zawsze sobą, z siebie toczącem się kołem, przeznaczeniem nieubłaganem, sędzią swoim i katem, twórcą „twardszym nad spiż, szlachetniejszym nad spiż“.

W każdym dniu życia swego, w każdym czynie, każdej chwili... „kocham tego, kto zawsze więcej dotrzymuje, niźli był obiecał“. (Nietzsche) Ach, jeśli nie więcej, to tyle przynajmniej, wiele winien duszy swojej.

I nie wolno już czekać z założonemi rękami na okazyę nadludzkiego wymarzonego czynu, na godzinę bohaterstwa, bo tu nie idzie o jedną chwilę istnienia wyjątkową i całopalną, lecz o istnienie samo, o nieustanne przejawianie się istoty naszej we wszystkich czynach ludzkich, o ciągłe i wszechobecne realizowanie swojej treści.

Dla człowieka, co znalazł siebie i ukochał, niema dni małych, pospolitych, ani godzin powszednich, bo niema myśli ni aktów woli, nie z niego płynących.

Nie masz nic mniej, niezwykłego nad słońce, codzienne i wszechobecne, a czyż jest coś bardziej promiennego i zachwytniepotężnego? — I czyż mógłbym kochać siebie od święta, a pogardzać co dnia... i co dnia zdradzać?

I zali twórca, pełni spragniony — może być podobny temu,

„Kto wielką żądzą chce ogarnąć ziemię,
a kroki jego mierzą się na łokieć?
Giętkie ramiona do lotu rozkłada,
złudę — olbrzyma uczuwasz w swem wnętrzu,
a po podwórku skacze, jak ten wróbel,
któremu ptactwo, równie, jak on liche,
umiało pióra wydziobać ze skrzydeł?“ (*J. Kasprowicz:* Napierski).

Nie! zaprawdę!

Ach! oczywista, trzeba z setek, setek drobnych zadowoleń życiowych zrezygnować, trzeba na tysiące większych i mniejszych przykrości i cierpień być przygotowanym.

„Wiele gorzkiego zamierania musi być w życiu waszem, wy twórcy... Niejednom pożegnanie przeżyć musiał i znam rozdzierające serce, ostatnie godziny.

Lecz tak chce ma wola twórcza, dola moja!" (Nietzsche— „Zaratustra").

I trzeba znowu być niezmordowanie uważnym, trzeba być wiekuiście wpatrzonym w oblicze Boga swego, trzeba żyć ciągle w powadze i skupieniu, trzeba chcieć i umieć czuwać na placu publicznym.

Trzeba, aby było tak, jak L. Staff mówi, że człowiek

„sam siebie ciągle jeno śni,
przeżywa swoją własną baśń o sobie".

Słyszę, słyszę już głosy: „to niemożliwe! to somnambuliczna fantazya marzyciela! to utopia, zupełna utopia!"

Żaliście spróbowali? — powiedzcie... i żaliście w próbę włożyli całą potęgę ukochania, cały bezkres wiary, cały niezmiar wytrwania, całą prężność energii, cały tytaniczny hart woli?

A czy i wówczas istotnie ta „niemożliwość" w rzeczywistość nie da się przemienić? — powiedźcie...

„Nie proponuję wam ślepej wiary w ideał, proponuję pracować nad jego realizacyą...

Jest coś pośredniego między wątpieniem a wiarą, to — czyn; za jego jedynie pośrednictwem niewiarogodne stawać się może rzeczywistością.

Religie głoszą: — mam nadzieję, gdyż wierzę; wierzę zaś w objawienie z zewnątrz. Należy mówić: — wierzę, bowiem mam nadzieję, zaś mam ją, bowiem czuję w sobie czysto wewnętrzną energię, która masi być brana pod uwagę. Dlaczegóż rozpatrywać wyłącznie jedną stronę sprawy? Jeśli jest niewiadomy świat, jest przecie znane „ja"! Nie wiem, do czegom zdolny na zewnątrz, nie mam żadnego objawienia, żadne „słowo" wieszcze nie grzmi nademną wśród milczenia wszechświata, ale wiem natomiast, czego chcę wewnętrznie; — „wola moja stanowić może siłę moją". (M. Guyau).

„O wolo ma! Wszelkiej odwrotnico niedoli, ty mojej doli musie niechybny!...

Ty duszy mojej zrządzenie, które przeznaczeniem zowię! Ty we mnie będące! Ty nademną!" (Nietzsche).

Niemożliwe, mówicie?

Skoro faktem jest życie Chrystusa i pierwszych chrześcijan, skoro faktem jest życie współczesnych „duchoborów" i „sztundystów" rosyjskich, dlaczegóż by w dziedzinie niemożliwości pozostać

miało jedynie życie człowieka, który mówi wraz z L. Feuerbachem: *Der Mensch ist dem Menschen das höchste Wesen"*, który w samości swej znalazł swój własny kategoryczny imperatyw, który poznawszy siebie, sobą być pragnie w życiu?

Utopia, mówicie?

A czyż socyalizm nie zaczął się od utopii? od marzeń? i czyż się nie zamienił w wiarę możną i pewność niezłomną, odkąd podjęły go jako własny żywy ideał i stanęły do walki czynnej o jego urzeczywistnienie milionowe rzesze ludu?

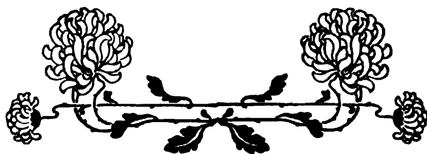
„Idźcie a czyńcie". mogę jeno wołać wraz z Chrystusem; pójdźmy! spróbujmy! a obaczymy.

Wiem, próba nie jest łatwa.

Ach, wiem nawet, że jest nieraz okrutnie ciężka. Lecz pomnijcie to dumne: „tak chce ma wola twórcza, dola moja!"

I wiem jeszcze, że dziś, w obecnych czasach, w społeczeństwie nienawiści i gwałtu, wyzysku i niewoli, będzie to możliwem dla małej, — bardzo małej garstki jednostek... a to nietylko dlatego, że dla nielicznych jedynie otwarty dziś jest wstęp do świątyni „Boga wewnętrznego", lecz dlatego również, że i ci nieliczni — twórcy Bogów — napotykają nieraz fizyczne, że tak powiem zapory w dążeniu do urzeczywistnienia się swego, a główną może jest to, że dookoła tylu, tylu, tylu ludzi nie wyszło i wyjść nie jest w stanie z ciemności przedstworzenia. — Ale dlatego właśnie ci co wyszli i słońce swe ujrzeli, na sztandarach samości swej, jak lwy powinni się ułożyć.

I dlatego, dlatego znowu szeregowcem armii socyalistycznej jestem, bo tęsknię sercem, myślą gonię, dążę wolą do onej przyszłości świetlanej, gdy na gruzach dzisiejszego ustroju ludzkość tak wolna stanie, że prysną przeklęte zapory materyalno-kulturalne, i niepomiernie, w tempie coraz szybszem rosnąć będzie liczba twórców ducha, „pełnią" żyjących.



PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

I. Przegląd prasy.

A) Prasa polska.

Biblioteka warszawska. Najstarszy ten miesięcznik polski jest jedynym, który obęcnie pozostał w Warszawie — w czasie represyi i przewrotów. W sposobie redagowania go czuć też poczucie ważności posterunku i korzystanie z niego w interesie zachowawczości. Kilka prac, jakie przynosi, zasługuje jednak na szerszą uwagę.

W nrze lipcowym prof. Askenazy rozpoczął druk obszernego studyum o Waleryanie Łukasińskim. Legendarna to postać ów „Prometeusz polski", jak go Wyspiański w swej Nocy listopadowej nazywa, „imię jego dzwoni głuchym brzękiem wiecznych kajdan". Część studyum, którą mamy przed sobą, doprowadzona jest zaledwie do początku zajmujących nas w życiu Łukasińskiego wypadków: do wstąpienia jego w szeregi wolnomularstwa. Dotąd odsłonił się tylko żołnierz narodowy o cnotach niezwykłych: pełen surowej powagi i najwyższych wymagań tak wobec siebie, jak i drugich. Ciekawym jest Łukasiński, jako autor: raz jeden wystąpił w tym charakterze — z broszurą o kwestyi żydowskiej; przedstawia się tu, jako obywatel surowy, ale pełen humanitaryzmu i przewidujący statysta.

Studyum prof. Askenazego bogate jest w fakta i szczegóły — także szerszego znaczenia, np. o publicystyce, traktującej sprawę żydowską w początkach Królestwa kongresowego lub o wolnomularstwie. Mógłby sobie jednak szan. autor, króry dopiero rok temu się poparzył na polityce, dać pokój „syntezom" mającym więcej znaczenie aktualno-polityczne, niż rzeczowe, związane z traktowanym przezeń przedmiotem. Do tej kategoryi należy np. walka z „legendą" o charakterze Polaków, szczególnie zdolnym do konspiracyi. „Obrona" ta nikogo nie przekona, szczególnie, że autor sam ją gruntownie rozwiewa, mówiąc, że już w Polsce dawnej rozwinęła się forma jedynego w swoim rodzaju spisku, jakim bywał rokosz i konfederacya. Zaś wiek XIX. — ale my przecie charakteru polskiego od grzechu spiskowości „bronić" nie potrzebujemy.

W dziale literackim uderza rzecz Maryi Konopnickiej z okazyi książki Sarrazina o romantyzmie polskim. Sąd o dziele francuskiego autora jest dosyć ostry, ale nie to jest w artykule ważne, lecz cały szereg świetnych i oryginalnych uwag znakomitej poetki o bohaterskim okresie poezyi polskiej. Paralela np. między Konradem a Anhellim, lub ustęp o Krasińskim pełne są błyskawicowych rzutów.

Wł. Bogusławski omawia ostatnie, „pod znakiem tymczasowości" grywane nowości teatru warszawskiego; przecenia przytem Kozłowskiego „Esterę" i dość niewyraźnie określa sztukę Nowaczyńskiego o Węgierskim. — Pracowity referent z literatury zagranicznej Wł. Jabłonowski, pisze o Balzaku z okazyi pojawienia się o nim dwu prac wybitnych krytyków francuskich. Sprawozdanie pisane ładnie – nie oświeca nas jednak o tem, co najważniejsze: o ile charakterystyka tytana powieści francuskiej, podana teraz przez Brunétiera, różni się od znanego studyum Taine'a, co przynosi ona nowego i oryginalnego; wszystko, co tu wyczytujemy, czytało się już ostatecznie u Taine'a.

Na uwagę zasługuje studyum dra Kazimierza Rakowskiego p. t. „Gospo-

darcze niedobory naszego kraju". Autor zajmuje się sprawą rolną Królestwa. Pracę swą oparł na danych statystycznych [ostatnich publikacyj urzędowych, a pisał ją widać jeszcze przed podjęciem u nas dyskusyi w sprawie agrarnej. Oto grupki faktów, wydobytych z lasu cyfr przez autora. Stan rolnictwa w Królestwie bardzo jest smutny. Wywóz stale się zmniejsza: w roku 1894 wynosił 4·2 miliony, w roku 1898 — 1·8! Siła spożywczości wzrasta, a zaspakajana jest wzrastającym z roku na rok importem. Czy wzrost spożywczości — pyta dr. Rakowski — nie mógłby być pokryty własną wytwórczością kraju? Przeszkadzają temu rozmaite czynniki. Królestwo ma ogromną ilość ziemi nieprodukcyjnej, na dziesiątki milionów da się ona obliczyć. Fakt to, jak ciężki wyrzut sumienia krzyczący, gdy z drugiej strony trzeba mu przeciwstawić fakt, że z pomiędzy 7·4 mil. ludności rolnej (w r. 1897), aż 5 mil., albo wcale nie posiada roli, albo też posiada ją w rozmiarach poniżej 15 morgów. Rezultat wiadomy: nędza, wzrastająca proletaryzacya, wychodźctwo itd. Przyczyny tego smutnego stanu dr. Rakowski widzi w polityce gospodarczej rządu rosyjskiego, który albo zaniedbuje Królestwo, albo wprost mu szkodzi. Rozbiera autor pierwszą i drugą seryę zarzutów i kończy żądaniem ustanowienia w Królestwie rządu autonomicznego. „Bo w gruncie rzeczy autonomia oznacza dla nas naprawę dróg i mostów, zwiększenie sieci szos, zaprowadzenie poczt po wsiach, uporządkowanie miejskich gospodarstw, postęp na polu rolnictwa przez powołanie do życia setek stowarzyszeń zawodowych, ochronę melioracyi, zniesienie szachownicy i serwitutów, rozwiązanie sprawy parcelacyi i drobnego kredytu — prawodawstwo dla robotników i zorganizowanie krajowego pośrednictwa pracy"...

Zdaje nam się, że wszystko to razem jakkolwiek piękne i użyteczne, kwestyi 5 milionów ludzi bez- i małorolnych nie rozwiązuje...

Przegląd filozoficzny. Rok IV. Zeszyt II i III. Warszawa, 1906. Prace ogłoszone w tym zeszycie (p. t. „Przyczynowość") są wynikiem konkursu, rozpisanego w roku zeszłym przez redakcyę Przeglądu filozoficznego. Plon, aczkolwiek nie obfity, odznacza się doborem, wykazując, że zamiar nie zawiódł celu, tembardziej, iż w czterech ogłoszonych pracach problemat przyczynowości rozpatrywany jest z rozmaitych punktów widzenia, dając niejako całokształt naukowego poglądu na to bezwątpienia jedno z najważniejszych zagadnień filozoficznych.

Praca Dra Łukasiewicza rozważa przyczynowość tylko z logicznego punktu widzenia, jako pojęcie abstrakcyjne, stawiając sobie za zadanie „podać logiczną analizę, oraz konstrukcyę pojęcia przyczyny". Jest to stanowisko niezgodne, jak autor zaznacza, z powszechnym obecnie poglądem na przyczynowość, a rozważającym zagadnienie to przeważnie z punktu teoretyczno-poznawczego, lecz sam autor stwierdza, że nie uznaje teoryi poznania za naukę. Należy dodać, że stanowisko to, odpowiadające kierunkowi neoscholastycznemu, ułatwia niezmiernie zadanie; wszelkie zagadnienie, rozważane logicznie, a więc formalnie jako pojęcie, względnie konstrukcya pojęć bez uwagi na jego stronę materyalną, pozwala dać nam rozwiązanie na pozór zupełnie pozytywne i naukowe, którego wartość jednak w zastosowaniu do świata rzeczywistego okazać się może wysoce problematyczną. To też pomimo całą jasność i konsekwencyę wywodów, nie nabiera się zaufania do twierdzenia autora, że w pracy tej chodziło mu „o stworzenie realnego po-

jęcia, któreby swym zakresem obejmowało konkretne, rzeczywiste przyczyny. Definicya jego brzmi: „Przyczyna jest przedmiotem rzeczywistym, wywołującym z koniecznością jakiś inny przedmiot rzeczywisty, ale nie wywołanym przezeń w sposób konieczny.“

Sam fakt zauważania związku przyczynowego jest wynikiem doświadczenia, konstrukcya tego pojęcia jest czysto logiczną. Czy świat rzeczywisty rozważany w myśl takiego pojęcia, zaczerpniętego z doświadczenia lecz skonstruowanego tylko formalnie według zasad logicznego myślenia, odpowiada rzeczywiście wymogom współczesnej nauki? Autor twierdzi, że tak; owszem, przypisuje pracy swej wielkie znaczenie, jako nowej rewizyi tego zagadnienia i oczyszczenia go z tych animizmów, w jakie wtrąciły go zdaniem autora teoretyczno-poznawcze rozważania filozofii nowoczesnej, w szczególności filozofia kantowska. Lecz autor zapomina, że dziś już nikt nie zadowoli się prawdą formalną, że realizm zbyt szerokie objął kręgi, by chociażby najskuteczniej i najlogiczniej skonstruowane pojęcia mogły zastąpić prawdę materyalną. Autor za hasło podaje „aneo psychologiam“, ale też pogląd jego, to myślenie o świecie z zamkniętemi oczyma wobec ogromu i różnorodności naszego otoczenia, obawa przed niemożnością ujęcia całokształtu zjawisk, operowanie słowami, ale nie filozofia naukowa. „Zbadajmy — woła autor — dokładnie te związki koniecznie tam, gdzie one jak najwyraźniej występują: w dziedzinie przedmiotów abstrakcyjnych; może uda nam się wytworzyć teoryę, która w zastosowaniu do rzeczywistości pozwoliłaby nam lepiej pojąć i zrozumieć budowę świata“. Świata nie wytłumaczy nam nikt, tylko świat sam. Kto szuka świata poza rzeczywistością lub we własnych pojęciach, ten właśnie stwarza ów czarodziejski świat bajek, o którym autor przy końcu swej pracy wspomina.

Drugą z kolei jest praca p. Kozłowskiego o charakterze wybitnie odmiennym. Autor rozważa przyczynowość w zastosowaniu do przyrodoznawstwa, pracę też jego zaliczyć należy raczej do dziedziny filozofii przyrody. To też nie będziemy bliżej rozpatrywać się w jego wywodach, nie noszących znamienia specyficznie filozoficznego: zaznaczam ogólnie, że autor przechodzi poszczególne działy przyrodoznawstwa, rozważając, o ile i jakiego rodzaju konstrukcye związków przyczynowych znajdują w nich zastosowanie. Próba zastąpienia teoryi przyczynowości teoryą funkcyi, występuje słabo i niejednolicie, gdyż wymaga ona przyjęcia pewnych postulatów empiriokrytycznych, które autor w innem miejscu zbija. Praca pisana naogół jasno i przystępnie, niema tej filozoficznej ścisłości i metodyczności, jaką odznaczała się poprzednia; ale właśnie ten jej wybitnie przyrodniczy charakter i teoretyczno-poznawczy punkt widzenia stoi niejako w przeciwieństwie z wywodami poprzednika, będąc ich antytezą, a w wielu wypadkach nawet odpowiedzią na wywody Dra Łukasiewicza.

Najmniej samodzielną ale może najbardziej „filozoficzną“ jest trzecia z kolei praca Dra Kobyłeckiego, który zajmuje stanowisko najbardziej zgodne z obecnym stanem nauki i filozofii. Nauka stara się obecnie oczyścić dziedzinę zjawisk z szaty pojęciowej, zamiast słów - przedstawiać fakty. Takie pojęcia jak siła, materya, celowość, przyczynowość i t. p. straciły lub tracą swój dogmatyczny charakter, pozostaje doświadczenie jako ogół zjawisk naszego świata. Nie wolno nam posunąć się poza fakty, a jedyną możliwą drogą do poznania świata jest jak najprostsze, jak najzgodniejsze z rzeczywistością opisanie zjawisk. Stąd wysuwa się na pierwszy plan postulat „czystego doświadczenia“,

którego rozwiązanie jest zadaniem filozofii naukowej. To stanowisko jest wyrazem dzisiejszej nauki, chodzi raczej o kwestyę możliwości osiągnięcia tego czystego doświadczenia. Z tego stanowiska rozważa przyczynowość i dr Kobyłecki, ale nie daje odpowiedzi rozstrzygającej. Przedstawiwszy w ogólnych zarysach poglądy dotyczące tego postulatu w rozmaitego rodzaju doświadczeniach, w ostatnich wywodach pozwala się nam domyślać, że zajmuje stanowisko Wundta, wyraźnie opowiadając się za jego „psychiczną przyczynowością“. Nie miejsce po temu poddawać rozbiorowi i krytyce znane skądinąd poglądy starego mistrza, zaznaczam ogólnie, że praca aczkolwiek najmniej samodzielna nosi najwybitniejszy charakter filozoficzno-naukowy i do zapoznania się z problematem w jego dzisiejszym rozwoju jest najodpowiedniejsza.

Ostatnia praca p. Bobińskiego w części swej krytycznej daje nam krótki ale jasny rozbiór historyczny, w części natomiast pozytywnej jest słabem echem dawno przebrzmiałych poglądów Hume'a.

Z ogólnego tego przeglądu przekonać się możemy, iż prace te nie przynoszą nam nic wybitnie nowego, gdyż uroszczeń Dra Łukasiewicza trudno za takie uważać, ale pozytywny rezultat jest, a mianowicie, że tak ważny temat przedyskutowany został rzeczowo i wielostronnie, czego brak w literaturze filozoficznej polskiej dotkliwie dał się uczuwać. Należy to policzyć za wielką zasługę redakcyi „Przeglądu filozoficznego“. Czy jednak szczęśliwą była myśl ogłaszania konkursu z dziedziny filozofii z góry naznaczonym tematem tak ścisłym a zarazem tak rozległym jak przyczynowość? Minęły czasy, kiedy filozofia zajmowała się pewnymi „problematami“ wchodzącymi w jej zakres, dzisiejsze zadanie filozofii, jako nauki o ogóle zjawisk, wyklucza tego rodzaju różniczkowanie, to też autorzy, chcący się w tej kwestyi wypowiedzieć, częstokroć czuli się skrępowani, lub też wybiegali poza ramy zadania, jak to widzimy w pracy Dra Łukasiewicza. Samo postawienie pytania nadaje mu pewien dogmatyczny charakter, gdyż to, co jest dopiero wynikiem naszego doświadczenia i chęci ujmowania ogółu zjawisk, przypuszczonem już jest jako postulat z góry wymagający pewnego rozwiązania. To też tylko praca Kobyłeckiego ustrzegła się tego dogmatycznego tonu, ale też nie daje nam żadnej pozytywnej odpowiedzi na... zagadnienie.

Adam R.

B) Prasa obca.

Artystycznyj Wistnyk (nr. 9 i 10). Jedyny ów ukraiński miesięcznik, poświęcony muzyce i sztuce, pozostający dotychczas pod redakcyą wielce utalentowanego malarza Iwana Trusza, przy wybitnym współudziale najdzielniejszego (z młodych) kompozytora muzycznego S. Ludkiewicza, — wypełnia bezsprzecznie (o ile to jest możliwem) wielką i dotkliwą lukę w szeregu wydawnictw literacko-artystycznych na całej przestrzeni ziem ukraińskich. Niestety — każdy świeży zeszyt tegoż pisma pojawia się o kilka miesięcy za późno. Ostatni zeszyt zjawił się np. przed kilku tygodniami, — ale z datą 1 października r. 1905. Coś w rodzaju żywota warszawskiej „Chimery“. Z artykułów zamieszczonych w tym (podwójnym) numerze, większą wartość posiada rozpra[wa] S. Ludkiewicza p. t.: Narodowość w muzyce. Autor po raz pierw[szy] (niestety) stara się krytycznie rozebrać kompozytorską twórczość znakomite[go] M. Łysenki i jakkolwiek wywody jego w tym kierunku są miejscami dość [za]wiłe i niejasne, to przecież w wielu szczegółach zniszczył autor wiele utarty[ch]

frazesów, łączących się zawsze z imieniem Łysenki. W kwestyi samego nacyonalizmu w muzyce, autor w ostatecznych swych konsekwencyach twierdzi, że dla muzyki ukraińskiej, jako takiej, przyjdzie chwila prawdziwego rozkwitu dopiero w czasie wolnych, szerokich, elementarnych porywów i prądów w ukraińskiem życiu i w ukr. sztuce w ogóle. — Ciekawą kwestyę poruszył I. Petruszewycz w artykule: Kostyum narodowy. W głosach do tegoż artykułu występuje Iw. Trusz energicznie przeciw kostyumom ludowym na balowych salach itd. Informacyjny charakter mają artykuły: Bereżnickiego (Nasi muzycy), H. Chotkiewicza („Dom ziemców“ w Połtawie) itd. W zasadzie może słusznym, ale w praktyce niemożliwym jest pomysł Iw. Trusza, wypowiedziany we wstępnym artykule („Koncentracya“), poddający myśl zrzeszenia wszystkich ukr. sił literackich w jednym jakimś organie literackim. Z literackiej niwy spotykamy drobne, ale piękne kłosy: Oli Hansson (Poza śmiercią), O. Kobylańskiej (Poezye prozą), P. Karmańskiego (Dwa wiersze). Największą wartość (jak zawsze w A. Wistnyku) posiadają ilustracye: Iwana Makuszenki („U babusi“) i talerz (huculska rzeźba snyc.) W. Szkryblaka. Poza tem kilka portretów współcz. ukr. muzyków i malarzy i kilka pięknych ilustracyj ornamentacyjnych J. Pankiewicza. Najsłabiej przedstawia się dział recenzyjny. Nieraz cięte, nieraz dowcipne i złośliwe uwagi — stają się śmieszne, gdy adresuje się je wiecznie do Paluja lub Łopatyńskiego. Ponadto dział ten ma na swem sumieniu takie sądy, jak np.: „Kulisz, wogóle trzeciorzędny pisarz“... i t. d. Smutne to, czy wesołe? Czy też może pretensyonalnie naiwne? A szkoda... *(O. Ł.)*

Świt (ukraińskie literacko-naukowe czasopismo). Obok „Literaturno-naukowego Wistnyka“, w którym trudno było pogodzić rozmaite prądy we współczesnem piśmiennictwie ukraińskiem, powstał staraniem kilku młodszych pisarzy nowy ukr. organ literacki: Świt. Wychodzi dwa razy na miesiąc w postaci jednoarkuszowego zeszytu, opierając się na młodych siłach literackich, zamieszkałych we Lwowie. Dotychczas mamy 11 numerów. W dziale beletrystycznym znajdują się rozmaitej wartości utwory następujących pisarzy ukraińskich: O. Kobylańskiej (powieść: „Nioba“), Bohd. Łepkiego, W. Paczowskiego, M. Jackowa, W. Szczurata, W. Byrczaka, P. Karmańskiego, H. Chotkiewicza, O. Łuckiego, M. Derłyci, I. Hawryluka, K. Hrynewiczowej, J. Kmita, M. Kociubińskiego, S. Mowczana. J. Łuhowicza, O. Burłaki, W. Korosteńskiej, i innych. Ponadto redakcya zamieściła jeden nieznany wiersz i jedną nowelę dawno zmarłego, genialnego poety huculskiego J. Fedkowycza. Zaznaczyć trzeba, że imiona, O Kobylańskiej, M. Kociubińskiego, B. Łepkiego, P. Karmańskiego, M. Jackowa, W. Paczowskiego, W. Szczurata, w ukr. świecie literackim mają słuszny rozgłos i znaczenie. Obok nich redakcya „Świtu“ nie powinna odstępować miejsca poezyom Maślaków. To zaciemnia program i wprowadza niepotrzebne zamieszanie. Wcale dobrze przedstawia się w „Świecie“ dział przekładów. Spotykamy się tutaj z utworami: Amicisa, Maeterlincka, H. Foscola, Plaena, Nietzschego, Heinego, E. Poego, Seneki. Tucicza, A. France'a, Nykolicza, . Wildego, I. Porickiego i z całą gromadą współcz. poetów niemieckich (Dehiel, Falke, Remer, Schur, Piper, Busse*). W dziale literackich krytyk, spra-

*) A jak reprezentowana literatura polska? *(Red.)*

wozdań znajdujemy w „Świcie“ kilka cennych rzeczy. Wymienić trzeba ciekawe relacye dra W. Szczurata. (Do historyi kultu Szewczenki w Galicyi, „Senne mary“ Fed'kowycza: Ukraiński kaznodzieja i poeta z końca XVIII. st.), rzecz prof. dr. C. Studyńskiego (Do historyi wzajemnych wpływów Ukrainy i Galicyi), — artykuł O. Łuckiego (Nowiny literackie w 1905 r.), — recenzye: W. Byrczaka (na zbiór nowel E. Mandyczewskiego) M. Jackowa (ocena wyboru nowel A. Kruszelnickiego), i O. Łuckiego, studyum S. Ludkiewicza (Odrodzenie bandury), oraz liczne mniejsze oceny i sprawozdania informacyjne, między innemi szkice o Heinem (P. Karmańskiego), o Ibsenie (Ł), Mozarcie itd. Dział oryginalnych pierwszych prób literackich — obszerny. Ogólnie biorąc, grupują się, obok „Świtu“ młodsze siły, które rzeczywiście mają swym kołom dużo do powiedzenia. Początek zrobiony! Spodziewać się należy, że z czasem obejmie „Świt“ jeszcze szersze koło współpracowników i że w utworach zamieszczonych na kartach jego zjawi się świeży, młodzieńczy rumieniec i zapał. Dla społeczeństwa swego może mieć „Świt“ wybitne znaczenie.

(W. O.)

Volná Myslenka, Praga, Rocznik II. Nr. 1.

Władysław Kunte pisze rozprawę „o naturze katolicyzmu i potrzebach kultury“. Kryteryum wiedzy jest w pierwszym rzędzie własne doświadczenie i własny rozum. Jednak ponieważ doświadczenie pojedyńczego człowieka jest ograniczonem, zmuszeni jesteśmy wciąż się powoływać na doświadczenie obce, względnie na wiadomość o niem: to kierunek, z którego powstaje wiara. W znaczeniu wyłącznem jest wiara zupełnem poleganiem na obcym sądzie lub cudzem doświadczeniu, mianowicie polegamy poprostu na obcem źródle informacyjnem — kościele, który nauczki swe „do wierzenia podaje“. Tej religijnej wierze brak zupełnie głównego znamienia wiary krytycznej; krytyka nietylko nie jest przy niej pożądaną, ale nawet zakazaną: nie apeluje nikt do mego rozumu, lecz poprostu powiada: wierz, bo jak nie uwierzysz, zostaniesz potępiony. Nigdy i nigdzie nie dopuścił Kościół katolicki krytyki, któraby się odważała naprawdę powątpiewać o prawdziwości jego nauk, nie mówiąc już o takiej, którαby śmiała nauki te odrzucać. Rozum odrzucający objawienie z góry jest już potępionym, ponieważ kościół, który nauki te objawione układa, jest o ich prawdzie z góry przeświadczonym. Kryteryum prawdy, jest to twierdzenie autorytetu: tym zaś ze stanowiska wierzącego laika jest ksiądz. A wszak rozum księdza jest w takim samym stosunku do treści wiary, jak właśnie rozum laika. Najwyższem wyobrażeniem religijnem jest wiara w Boga. Charakter jej antropomorficzny; Bóg przedstawiony na wzór osoby ludzkiej, jako pan najwyższy, surowo wymagający przynależnego mu szacunku. Jest panem w państwie niebieskiem. Wszystko wogóle co człowiekowi jest przyjemnem i co uważa za pomyślne, są to dary boże, za które wierzący dziękują Bogu i modlą się; ale modlitwy te nie zawsze bywają bezpośrednim wyrazem uczuć wewnętrznych — bywają czasem odmawiane zbiorowo na zgromadzeniach, a i samo modlenie się nie jest pozostawione dobrej woli wierzących, lecz uważane za obowiązek i t. d. Wszystko to zwiększa podobieństwo, zachodzące pomiędzy stosunkiem katolika do iluzyi Boga z jednej strony, a stosunkiem niewolnika do pana z drugiej. Pokorne oddanie się Bogu, od którego człowiek jest zupełnie zależnym i poleganie na nim jest podstawą katolickiego światopoglądu. Ale Bóg nie jest sam;

poza nim istnieją jeszcze inne istoty nadprzyrodzone, a więc aniołowie, święci i dobrzy duchowie umarłych. Za każdym człowiekiem stoi anioł stróż, niewidzialny. I pojedyńcze stany, gminy, narody, państwa mają swych aniołów-stróżów. Prócz aniołów są tu święci; każdy chrześcijanin ma w niebie swego patrona, mają go również poszczególne stany, kraje, narody, miasta i t. d. Prócz tego są święci o szczególnych pełnomocnictwach i zakresach: tak św. Antoni pomaga w wyszukaniu rzeczy zgubionych, Jan Nepomucen chroni od utraty czci, Alojzy pielęgnuje czystość płciową i t. d.

Karol Pelant wywołuje z zapomnienia postać Arnolda z Brescyi. Niezliczonym jest szereg męczenników za wolność myśli, przez Rzym zamordowanych (Hus, Hieronim, Savonarola, Bruno, Dolet), ale to tylko garstka tych o których świat wie. Nazwisko Arnolda z Brescyi, znane dotychczas zaledwie kilku historykom, jest jednem z tych zapomnianych; dopiero dziś pamięć o nim ogarnia szersze warstwy, zrzuca przeszłość ośmiu wieków i staje się nową bronią i świadectwem przeciw Rzymowi. Około r. 1100, gdy Bresya była widownią burzliwych politycznych przewrotów we Włoszech, jednej z bogatych patrycyuszowskich rodzin tamtejszych narodził się synek Arnold. Mając umożliwione kształcenie się, zdecydował się kierować na księdza. W Paryżu w owym czasie rozpoczął naukę Piotr Abélard, wnoszący do scholastyki świeże tchnienie racyonalizmu, i chcący pogodzić wiarę z rozumem. Burza poczęła się budzić, a zakochany w pięknej Heloïzie Abélard na rozkaz stryja Fulberta, katolickiego kanonika, zostaje wyklętym. Ze stoicyzmem filozofa znosi ciężką dolę cierpliwie. Arnold dowiaduje się w r. 1122 o tragedyi Abélarda i pośpiesza, już wyświęcony całkowicie, do Nagenty nad Sekwaną, gdzie filozof zakłada ognisko nauki, wykładając w dalszym ciągu; tam słucha Arnold mistrza i przez trzy lata czerpie odeń mądrość, pod hasłem: „co się dzieje wbrew sumieniu jest występkiem“. Po wypędzeniu Abélarda, opuszcza i on Nagentę i idzie głosić naukę swym rodakom. Głos Arnolda grzmiał z kazalnicy przeciw wszystkim brudom kościoła i budził zgrozę i zdumienie zarazem; nie mogąc poprzestać na Brescyi, podróżował po całych północnych Włoszech, każąc o niemoralności kościoła. Aż wreszcie Rzym na zwołanym w r. 1139 synodzie Laterańskim ogłosił Arnolda za kacerza, a papież Inocenty II wydalił go z Włoch. Na synodzie następnym w 1140 w Lent bronił Arnold nauki Abélarda z takim ogniem i zapałem, że się aż prawowierni zlękli; potępiony przez synod ucieka do Paryża, gdzie w kościele św. Genowefy wykłada z ambony dalej, strofując Rzym. List gończy od papieża dościga go w Paryżu; Arnold ma być uwięzionym, pisma jego spalone; chcąc niechcąc ucieka do Szwajcaryi.

I oto dziś kościół św. Genowefy zamieniono na francuski Panteon z napisem: „Wielkim mężom wdzięczna ojczyzna“. Dziwne to zdarzenie; z kościoła tego musiał uciekać wolny myśliciel, by życie uchronić, a historya z biegiem czasu mści jego pamięć w sposób wspaniały — znajduje się tam Panteon, w którym spoczywają zdecydowani nieprzyjaciele Kościoła: Voltaire, Rousseau, podziwiani i czczeni przez miliony. *(Tad. Nal.)*

L'Ermitage. Lipiec. J. M. Bernard budzi z zapomnienia Francis'a Viele-Griffin, jednego z pierwszorzędnych, dawnych poetów-symbolistów doby wczorajszej. — Po nim przyszli Maurycy Magre, Ferdynand Gregh; za nimi — Lacuzon i Integraliści, i zdało się im, iż oni to z nowa „odkryli“ życie

i oni pierwsi, po subtelnościach symbolicznych, śpiewać je poczęli. — Fałszywe to mniemanie zgoła, albowiem, wtenczas nawet, kiedy symbolizm był pałacem zaklętej królewny, kiedy każdy zapach, blask, dźwięk każdy, z zewnątrz przygnany wydawał się symbolistom świętokradztwem i zdradą — Vielé-Griffin skruszył senne pęta i ukazał:

Le Ciel et la mer folle et verte.

Jak Karol Guérin, Francis, Jammes, jak Ludwik Le Cardonnel, mistrz i zaszczepca Vielé-Griffin'a, tak i on sam w ewolucyi, logicznej w danym wypadku zresztą, powrócił do katolicyzmu. W kształtowaniach swego talentu Francis Vielé-Griffin dąży od względności do absolutu; ale wszystkie postaci, jakie przybiera jego poezya, czy to kiedy w siebie patrzy zmęczonemi oczami, czy też gdy dźwięczy poszumami i szmerami rozigranej natury — wszystkie te postaci, mówię, są transpozycyami nastrojów duszy jego.

Rivasol i Chamfort są ostatniemi ekshumacyami literackiemi we Francyi. Dzięki im namnożyło się też obecnie pod-Rivasol'ów a wice-Chamfort'ów na korce. — P. Alfons Seché np. daje (w tymże zeszycie): „Pour parler d' amour" — trzy ułamki o dowcipie, giętkości, o eleganckim cynizmie epoki „de talons rouges". Uśmiecha się p. Seché, jak wytworny a sceptyczny labuś, kiedy prawi: „Galanteries de Candide a une passante" (tytuł jednego z fragmentów), jest impertynencki w miarę, gdy opowiada o „Subtilités féminines", z pogardliwym zaś dandyzmem klasyfikuje te kategorye kobiet, które Francuzi „filles" nazywają (w ustępie zatytułowanym „Des filles et de l'argent").

W tymże n-rze Ferdynand Caussy stawia paralelę i znajduje punkty styczne między Józefem de Maistre a Schopenhauer'em; a p. Rémy de Gourmont daje fragment poematu: „l' Exil de la Beauté", w którym szuka przytułku dla Piękna, dziś jakoby z życia wygnanego.

„Dérobe aux hypocrites ta noble nudité,
Sois pour eux la Laideur, toi qui es la Beauté"!...

taką radą i takim aleksandrynem kończy swój fragment poeta.

Nowela „Les Bienfaiteurs" p. Piotra Villetard'a, złośliwa i pełna soli atyckiej zamyka zeszyt.

Revue de Paris, lipiec, drukuje pracę p. Waliszewskiego o Polsce. Autor szuka rozwiązania kwestyi polsko-rosyjskiej z oględnością niezmierną. Doprawdy zdaje się, jakby p. W. na palcach się skradał — tak cicho i potulnie o sprawie naszej mówi. Przyznaje np., iż zastosowanie autonomii w Polsce pociągnąćby mogło liczne trudności, zadawalnia się też w wymogach swoich, nie! źle mówię, w delikatnych propozycyach, zmianą personalu administracyjnego, szkolnego, jakoteż sądowniczego i porzuceniem rusyfikacyjnego systemu.

Quinzaine. Lipiec. Ciekawe studyum N. Vaschide'a, gdzie w świetle nauki postawione są zagadnienia chiromancyi. Uczony rumuński w swym „Essai sur une psychologie de la main" wykazuje, jak i o ile kształt i linie ręki odpowiadają psychice jej posiadacza.

Revue. Sierpień. W podznaczonym czterema gwiazdkami artykule be imienny historyograf daje podobiznę moralną (raczej rzecby należało niemoraln generała Trepowa. Widzi się tu tego leader'a caratu i autokracyi w mnie niż naturalnej wielkości. Nie „monstrum-horrendum" jest on nawet, ale wpros

potworkiem karyerowicza bez skrupułów ni zasad, kreaturą Wielkiego księcia Sergiusza; nie wilk to, ale kundys w wilczej skórze. *Jan Topass.*

SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Krauz (Michał Luśnia). Wybór pism społecznych. „Życie“ — wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych — Tom I. Kraków, 1902. str. 6 + 272.

Wydawcy zbioru niniejszego wyjęli z obfitej spuścizny literackiej, pozostałej po najwybitniejszym u nas teoretyku socyalizmu naukowego, garść artykułów, przedstawiających największy interes w chwili obecnej. Są to prace, w ten czy inny sposób wiążące się z zagadnieniami polityki bieżącej na całym obszarze wschodniej i południowo-wchodniej Europy. Punkt centralny zajmuje kwestya niepodległości Polski w programie socyalistycznym — temat obrabiany przez Krauza niejednokrotnie. W tomie niniejszym znajdujemy szereg artykułów, poświęconych tej sprawie, a obszerna praca p. t. „Niepodległość Polski a materyalistyczne pojmowanie dziejów“, umieszczona na końcu „Wyboru pism politycznych“, jest bezwarunkowo najlepszą pomiędzy istniejącemi w literaturze, a zajmującemi się tą kwestyą monografiami.

Uzasadniając z niepospolitą bystrością program polityczny P. P. S., Krauz musiał z natury rzeczy zajmować się argumentami wytaczanymi przez przeciwników tego programu. Znajdujemy też w tomie niniejszym odpowiedzi na wszystkie, stawiane programowi P. P. S. zarzuty. Na specyalną uwagę zasługuje mały artykulik p. t. „Rynki rosyjskie Finlandyi“, obalający tak bardzo rozpowszechniony, a tak bezsensowny argument rynków wschodnich, który ma rzekomo uzasadniać „fakt“ organicznego wcielenia Polski do Rosyi.

W ścisłym związku z programem P. P. S. w zaborze rosyjskim stoi sprawa programu narodowościowego socyalnej demokracyi austryackiej i stosunku tej ostatniej do Węgier i ich dążeń wolnościowych. Ten temat został uwzględniony w „Wyborze pism politycznych“ Krauza w paru artykułach. Zwłaszcza wartościową jest krytyka teoryj narodowościowych Dra Springera.

Parę artykułów zajmuje się specyalnie zagadnieniem stanowiska socyalnej demokracyi w polityce międzynarodowej, umieszczony zaś na wstępie artykuł polemiczny, napisany w odpowiedzi na znaną broszurę Ostoi (Z. Balickiego), a chłoszczący bezlitośnie ignorancyę i obłudę „uczonego“ narodowo-demokratycznego, najdokładniej odzwierciedla poglądy Krauza na całokształt zagadnień i zadań socyalizmu.

Artykuły, umieszczone w niniejszym „Wyborze“ były pisane w różnych czasach (1897—1905), ale i najstarsze z nich nie straciły nic na swej wartości dzięki stosowanej w nich konsekwentnie ścisłej metodzie naukowej. Skutkiem tego „Wybór“ niniejszy będzie bardzo cennym nabytkiem naszej literatury politycznej, zasługującym na jaknajwiększe rozpowszechnienie.

A. Judym. W kwestyi haseł programowych i taktyki Warszawa. 1907. (!)

Res. Koordynacya czy utożsamienie? (Kilka słów o naszym stosunku do rewolucyi rosyjskiej). Warszawa.

A. Wroński. Zadanie ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim w chwili obecnej Warszawa.

Trzy wyżej wymienione broszury stanowiące II. III. i IV. tomiki „Życia". nowego wydawnictwa dzieł społeczno-politycznych — zajmują się kwestyami. aktualnemi. wysuniętemi na porządek dzienny przez burzliwe życie zaboru rosyjskiego. Autorowie tych prac, stojąc na gruncie programu P. P. S., pragną dać odpowiedzi na zagadnienia palące. nie krępując się stanowiskiem oficyalnem partyi. Traktują też niejedno w działalności i poglądach obecnych P. P. S. krytycznie, wskutek czego broszury posiadają jeszcze i tę wartość, że odzwierciedlają zachodzące obecnie w łonie partyi ścieranie się prądów ideowych. Nie streszczamy tu broszur, powyżej wymienionych, nadmieniamy zaś tylko. że został w nich omówiony cały szereg spraw nadzwyczaj interesujących. Stosunek do ruchu wolnościowego w Rosyi, rola proletaryatu polskiego wobec innych partyj. konstytuanta warszawska i jej stosunek do całokształtu zadań polskiego ruchu rewolucyjnego, Duma państwowa i jej znaczenie, agitacya w wojsku itd. itd. — wszystko zostało omówione bądź w jednej z broszur wymienionych, bądź też w każdej z nich z osobna. *lw.*

Wincenty Lutosławski: Logika ogólna czyli teorya poznania i logika formalna. Kraków, Gebetner i Sp.

Do oceny dzieła p. W. Lutosławskiego należy inną przykładać miarę, niż się to zwykle czyni. Wartość naukowa nie wybiega poza ramy ogólnie przyjętych zasad, oryginalnem jest ujęcie tych zasad, jakie nadaje im autor w myśl swych przekonań i zastosowanie ich praktyczne dla idei wychowania narodowego. Logika a zarazem, jak już zaznaczono w tytule, „teorya poznania", w pierwszych swych rozdziałach zawiera wykład filozofii eleuterystycznej. System ten zbliżony do monadologii Leibnitza, a. rozbijający świat i poszczególne osobniki na nieskończoność jaźni czyli „psychemów", wymagałby bliższego omówienia. Ale tego rodzaju metafizyczne spekulacye mogą wzbudzić jedynie ciekawość specyalisty lub zachwyt ze strony wielbicieli, nauce nie przynosi nic. Sam wykład logiki obejmuje tylko jej stronę formalną, której schemat już dawno w nauce został ustalony. Należy oczekiwać drugiego tomu zapowiedzianego przez autora, dotyczącego kwestyi metodologicznej. który przyniesie nam zapewne osobiste poglądy autora na zagadnienia, będące obecnie przedmiotem żywych dyskusyi i sporów. Na teoryę pojęć, wyłożoną w myśl w zwyż wspomnianego poglądu eleuterycznego w wielu miejscach nie możnaby się zgodzić, gdyż sprzeciwia się dotychczasowym wynikom i badaniom psychologicznym. Także teorya sądów, przedmiot tak ważny w logice, sprowadzoną jest do tych określeń, jakie stworzyła już filozofia przedkantowska, t. j. Arystoteles i logika scholastyczna. Ta właśnie strona odejmuje książce tej wartość naukową, aczkolwiek znajdujemy w niej nowość pedagogiczną niezastosowaną n. p. w logice Biegańskiego. Jest nią podanie szeregu zadań logicznych; wiele z tych zadań jest co prawda wysoce naciąganych, zastosowanych dla osobistych celów i pragnień autora, ale należy życzyć sobie, by nowość ta, wprowadzona za przykładem angielskich logików, znalazła jak najszersze zastosowanie, w szczególności w podręcznikach szkolnych.

Styl jasny, miejscami piękny, forma wykładu ujmująca i przystępna — szczególnie w doborze przykładów zajmujących i pociągających zmuszałaby nas do polecenia tej książki każdemu i powitania jej z radością, jako znakomitego

nabytku dla nauki polskiej, gdyby nie właśnie ten specyalnie metafizyczny charakter, który jej nadaje owo nieszczęśliwe połączenie z „teoryą poznania".

Bo nasuwa się nam jedna uwaga w formie zapytania do p. Lutosławskiego. Dla kogo właściwie on tę książkę pisał? Z przedmowy i charakteru dzieła wynika, że jest to podręcznik dla młodzieży, a nie wykład systematyczny logiki. Istnieją we filozofii spory co do zadania i zakresu logiki, wartość jej pedagogiczna jest już dokładnie określoną. Czyż książka rzeczywiście odpowiada swemu zadaniu, jeżeli ją poprzedza wykład systematu tak zawiłego i wysoce metafizycznego? Zamiast wprawiać umysł młody i filozoficznie niewykształcony w prawa myślenia, które poznawszy, będzie on się mógł wprawić w krytykę i analizę rozmaitych światopoglądów, książka ta wprowadza odrazu w świat jaźni i jej różnorodności; wszak zbliżone do eleuteryzmu systemy, jak n. p. monadologia Leibnitza, lub panteizm Spinozy albo neoplatonizm Plotyna, toż najtrudniejsze „partye" historyi filozofii. Wszelki podręcznik, szczególnie dla młodzieży, musi stać zdala od wszelkich bezkrytycznych i dogmatycznych rozumowań. Książka p. Lutosławskiego zaczyna tam, dokąd powinna dopiero prowadzić. Dla młodzieży jest niebezpieczną, bo zaraz z początku narzuca świat pojęć bezkrytycznych i dogmatycznych, a dla filozofów, dla specyalistów? Dla nich mógł napisać osobną książkę, poświęconą temu, co autor określa przez „teoryę poznania", gdyż sam wykład logiki nie zawiera prócz drobnych szczegółów nic nowego. Przykro mówić to o książce, która z innej strony posiada wartość literacką i filozoficzną, gdy tendencyjny charakter odbiera jej wartość naukową.

Książkę zamyka sprawozdanie z Wszechnicy Mickiewicza w Londynie za lata 1902—1905. *Adam R.*

Zofia Rygier-Nałkowska: Kobiety. Warszawa. Księgarnia Powszechna.

Była śpiącą królewną, która zbudzona całunkiem miłosnym ze snu wiekowego, na ołtarzu małżeńskim spełniła samoofiarę i przypasawszy pęk kluczy, została w literaturze naszej uwieczniona... Marynią Połaniecką.

Była uciekinierką z pod sztandaru noszącego godło „wiecznej kobiecości", szukającą wyzwolenia, praw człowieczych, równości, pod znakiem emancypacyi i jako taka figuruje w oświetleniu jasnem lub ponurem w powieści tendencyjno-społecznej.

Ale poza strażniczką ogniska domowego i społecznicą, spełniającą z bezdusznością narzędzia lub gestem bohaterki rolę kółka w wielkiej maszyneryi życia, istnieje kobieta, znana nam raczej z określeń negatywnych, jako istota krańcowo różna od mężczyzny, wobec której wszelkie miary ogólno-ludzkie zamienić należy na specyficznie kobiece. Tę kobietę, czy oby nie najlepiej ujęła Zofia Rygier-Nałkowska w swej powieści: „Kobiety". Samem ujęciem kwestyi autorka odstępuje stanowczo od wzorów dotychczasowych, przedstawiających kobietę w liniach idealnych, znaczonych poświęceniem i abnegacyą, lub też jako mechaniczny niemal produkt ekonomicznej walki klas. Nałkowska jest indywidualnością zbyt wyraźną, by miała się posługiwać zużytym szablonem. „Swego typu nie znam, nie posiadam go prawdopodobnie" mówi przez usta swej bohaterki. Powieść jej, mająca chwilami bezpośredniość pamiętnika, to z ogromną wnikliwością psychologiczną i artystyczną brawurą nakreślona autoanaliza kobiety, która dawno prześniła dobę, kiedy miłość była jedynem pragnieniem i zdarzeniem jej życia, a przekroczyła też ową naiwną fazę społecznikostwa,

gdy formułką ekonomiczną rozwiązywano wszystkie problemy, leczono cierpienia duszy i ciała. Zerwawszy pęta, narzucone jej przez tradycye, nakazy i zakazy społeczne, Janina Dernowiczówna (postać z pierwszej i nawiasem mówiąc najbardziej skończonej części powieści) wchodzi w życie, uwrażliwiona w wysokim stopniu na jego piękno zewnętrzne, lecz umiejąca też jeśli nie zgłębiać, to w każdym razie zagłębiać się w „lodowe pola“ abstrakcyi, duszy. Natura wielostronna, nietyle bezwiednie żywiołowa, ile trawiona świadomie podsycanym głodem wrażeń, reaguje na wszystkie przejawy życia, by je bujną wyobraźnią przetworzyć w motywy artystyczne, intelektem przekuć w problemy ogólne, zabarwione silnym indywidualizmem. Daleka od wszelkiej krańcowej jednostronności, pełnią sił, a raczej pragnień, zbliża się do ideału kobiety przyszłości, gdy równocześnie niemożność sharmonizowania dawnej sfery uczuciowej z świeżo zaanektowaną dziedziną intelektu wyciska na niej piętno kobiety przejściowej. Po śpiącej królewnej, którą czar miłosny powołał był do życia, odziedziczyła spotęgowaną w ciągu wieków intenzywność życia uczuciowego, którego błogostan nieświadomości zakłóca ferment, wytworzony przez trofea umysłowe emancypantki. Dualizm wewnętrzny, będący konsekwencyą tego podwójnego dziedzictwa, staje się węzłem dramatycznym w życiu kobiety przejściowej. Intelekt, który jest niejako naleciałością, przygłusza w niej pierwotną siłę instynktu, odbierając mu naiwną bezpośredniość i komplikując życie uczuciowe, które mimo wszystko nie przestaje być osią jej jestestwa, centrum, w którem rozgrywają się najistotniejsze jej losy. Ten najgłębszy, zasadniczy rys natury kobiecej z ogromną finezyą psychologiczną oddaje autorka w końcowym ustępie „Lodowych Pól“, gdzie rozsądna analityczna Janka odwraca teorye filozoficzne, przemianowuje dotychczasowe wartości, wszechświat wyrzuca ze zwykłych kolei, dlatego, że na głos jej serca „on“ odpowiedział: „nie“.

Tej pełni władz życiowych przy całym ich rozdźwięku — psychologiczny wyraz kobiety przejściowej — nie oddała autorka w drugiej części swej powieści. Tu, jak zapowiada już sam tytuł, bogata symfonia życia przemienia się w jednostajny, choć dźwięczny hymn miłosny. Problem kobiecy się rozszerza, gdyż ujmuje już nietylko losy i poglądy kobiet przejściowych, lecz także przejściowe urządzenia społeczne i instytucye, jak małżeństwo, prostytucya (co do których autorka wygłasza teorye zarówno śmiałe jak paradoksalne), natomiast typ kobiecy zwęża się do tego stopnia, że wydaje się raczej jakiemś zbłąkanem echem z owej epoki, kiedy śpiąca królewna oczekiwała rycerza-wybawiciela, niźli zapowiedzią kobiety przyszłościowej, od której autorka żąda, by się wpierw wyzbyła cech czysto-kobiecych, a później dopiero potrafi się rozwinąć w człowieka. Wprawdzie śpiąca królewna z bezwolnego medyum stała się istotą wysoce uświadomioną; analizuje ściśle swe stany, chwyta najlżejsze wibracye swego życia wewnętrznego, które jednak jak ongi, w tym dusznym ogrodzie miłości, nie przekracza granic strzeżonych przez Amora. Jakby owa gwiazda płomienna, o której mówi poeta, zbyt się zbliżyła do ziemi i łuną ognistą objęła całe jestestwo tych kobiet, przy całem swem uświadomieniu krążących jak lunatyczki w zaklętem kole erotyzmu. Ciężkie jego opary coraz bardziej przesłaniają dalekie widnokręgi „Pól lodowych“, po których w chłodnem świetle zorzy polarnej chadzała Dusza, tęskniąc do purpury krwi, życia... Dlaczego pierwotny ten motyw, osnuty na pełnej koncepcyi życia, w dalszych dwóch częściach powieści zanika niemal w zupełności, dlaczego kobieta przejściowa, która bodaj w karykatu-

ralnych załamaniach powinna odzwierciedlać tę pełnię, mającą wszak być udziałem kobiety przyszłościowej, zostaje nagle wciśnięta do retorty mysogenów, jako objekt demonstracyjny w zagadnieniach seksualnych, to już pozostaje zagadką autorki, tem zawilszą wobec jej oświadczenia, że kobieta musi się wyzbyć cech czysto kobiecych, by się dalej módz rozwijać. Czyżby w trakcie tworzenia autorka zmieniła swój pogląd pierwotny i karykaturę swej społecznicy uważała istotnie za kobietę przyszłościową?

Niewątpliwie, że wielka fala ewolucyi musi od czasu do czasu wyrzucać też podobne poczwarki, lecz one nie mogą żadną miarą rozwiać wiary „utopisty“ w kobietę przyszłości, jak wyzywająco rzuca raz autorka. Przeciwnie. sama nawet Janka Dernowiczówna będzie dlań nową rękojmią dla ziszczalności jego utopii, która nadto wieści, że w pełnem, ku wewnętrzej harmonii i swobodzie dążącem życiu kobiety przyszłości, miłość pozostanie wprawdzie jednym z przejawów najsilniejszych, lecz nie będzie już tym czynnikiem destrukcyjnym, który naturę tak bogatą jak Janka, wiedzie do pracowni Obojańskiego jako rozbitka, szukającego asylu... klasztoru świeckiego.

To zwężenie kobiety-człowieka do kobiety-samiczki, uświadomionej coprawda, lecz do której doskonale da się zastosować określenie Wilde'a: „sfinks bez tajemnicy“, jest ideowem wypaczeniem pierwotnego założenia autorki.

A ze stanowiska artystycznego możnaby też od talentu tak wybitnego jak Nałkowska, żądać większej plastyki w szkicowych sylwetkach Obojańskiego i Rosławskiego, (tego ostatniego znamy jedynie z kilku ogólników i lichej interpretacyi Wagnera). Poza tem „Kobiety“ jako dzieło twórczości bardzo samoistnej i śmiałej jest jednem z bardzo interesujących zjawisk najnowszej literatury.

mf.

Janusz Korczak: Koszałki opałki. Warszawa, nakł. Księgarni Powszechnej.

Imię autora tej książki spopularyzowała ostatniemi czasy świetna jego praca, drukowana w *Głosie warszawskim*, a nosząca tytuł „Dziecko salonu“. Dał nam w niej autor szereg impresyonistycznych, z niezmierną siłą nakreślonych szkiców, malujących życie społecznych mętów stolicy. Rozgłos talentu zwabił wydawców, którzy przypomnieli sobie, że tensam autor karyerę swą rozpoczął od feljetonów, pisywanych dla tygodnika humorystycznego *Kolce*. Te to właśnie feljetoniki złożyły się na zbiorek, wyżej wymieniony.

Zamieszczone tu prace, jako satyry, przedstawiają wartość rozmaitą: jedne z nich trafiają celnie w jądro poruszanych kwestyj, inne — pudłują. Rezoner w humoresce „Poczciwości człowiek“ zapytuje kolegów biurowych, czy należy podawać rękę obarczonemu rodziną towarzyszowi, pozwalającemu, by nim szef pomiatał. Żądło satyry zwraca się tu przeciw solidaryzującemu się z onym rezonerem autorowi; zuch cudzym kosztem bardziej na ośmieszenie zasługuje, niż sterany i znieczulony pracownik. Gdzieindziej znów spotykamy kaznodziejstwo, często nawet wielce naiwne (np. „Kelner jest człowiekiem“) i wojujące starymi komunałami.

Braki te pochodzą z dwu przyczyn: z wykonywania na obstalunek aktualnych feljetonów przez bardzo młodego i rozglądającego się dopiero w życiu pisarza; następnie — z konieczności przystosowywania się do tonu i maniery szmatki brukowej.

To też jeżeli czytelnik dwie te okoliczności uwzględni, potrafi już łatwo dnaleźć w „Koszałkach opałkach“ rysy, znamionujące pazur podrastającego

lwiątka. Pomijając świetny humor niektórych nowel („Oświata“, „Na wydaniu“ itd.), spotykamy w nich rzadką dziś niezależność i samodzielność w poszukiwaniu prawdy, oraz głęboki, rzeczywisty sentyment, wstydzący się mdłych tkliwości, wybuchami śmiechu głuszący łkanie, lub też walący od niechcenia młotem chłodnych faktów Z urywków, posiadających te cechy, zwracam uwagę na humoreski: „Wcale niedowcipny“, „Ostatni wieczór“, „Okrutnie śmieszny“, „Nieszczęśliwi“, „Franek“ itp.

Ciekawa jest szczególniej pierwsza z wymienionych. Autor maluje tłum uliczny, zebrany dokoła dziecka, które głód zwalił na ziemię. Każdy gapi się chwilę, rzuci litościwy frazes i odchodzi. Tylko jakiś obdartus okazuje gotowość dania pomocy: chce mianowicie dla wzmocnienia malca nalać mu w usta łyk własnej wódki. Tłum oburza się: „Precz, pijaku, nie rozpajaj dziecka!“ W obrazku tym zbudził się przyszły Korczak, autor „Dziecka salonu“. *Behra.*

W. Bölsche: Miłość w przyrodzie. Przekład dra Bornsteina. Warszawa. Księgarnia G. Centnerszwera i Sp.

„Miłość dla wiedzy mieć w sercu trzeba, aby wiedzę popularyzować — i tę cechę, która z popularyzatora czyni apostoła, posiada w wysokim stopniu Bölsche“, mówi tłomacz tego dzieła, dr. Bornstein, o autorze. „Miłość w przyrodzie“ łączy spostrzeżenia naukowe z religijną niemal ekstazą nad cudami natury. Autor pragnie nietylko dać czytelnikowi zrozumienie zjawisk przyrody, ale i rzucić go na kolana przed jej ołtarze. Czytelnikiem swym pragnie mieć człowieka, który szuka poznania: „z takim człowiekiem mogę się porozumieć, pozostali są mi obojętni“ — bo ci pozostali nie ujrzą w dziele Bölscha nic ponad wiązkę faktów i piękną formę literacką, gdy w niem czego innego przedewszystkiem szukać i co innego odczuć trzeba.

Rozwiązanie zagadki miłości ludzkiej leży w przeszłości, gdy człowiek był jeszcze groteskowym tworem bez śladu postaci ludzkiej. Więc snuje Bölsche wszechświatowe dzieje miłości, będące rozdziałem własnych dziejów człowieka, jego prawspomnieniem.

Zawieszeni w małem czółenku żaglowem na błękitach morza Śródziemnego, widzimy weselny wzlot jednodniówek, odbywających się dziś tak, jak odbywało się w praformacyi dewońskiej. I wtedy, jak dziś, z brzydkiej gąsienicy ulatał kryształowy owad... by zaszaleć i zginąć natychmiast.

Norwegia! Zdala ciągnie srebrzysta ławica śledziowa. Masę tę zwykle samotnie żyjących ryb pędzi ku brzegom na pewną zgubę pragnienie miłosne. I to działo się w tensam sposób przed wiekami jeszcze. „W dzikiem nieruchomem spojrzeniu ryby przegląda prastary świat, który oglądał ten ogród ziemski jeszcze bez człowieka. I oto w ciemni macicznej, gdzie niema lądu ni wody, na szyi ludzkiego embryona pojawiają się szpary skrzelowe, które odziedzicza po przodku — prarybie“.

Trzeci moment historyi miłości wiedzie nas przed Madonnę Rafaela, w którą twórca wcielił to wszystko, czego ludzkość doznała w miłości. Oczy dziecięcia, wielkie i tajemnicze śnią wspomnienia ludzkości. Matka zwraca myśl naszą w dalekie ziemie do dziobaka australijskiego, prototypu miłości macierzyńskiej, oddającemu dziecku soki własnego ciała — lecz z drugiej strony jej urok nadziemski unosi myśl ku krainie miłości idealnej, religijnej ekstazy, mi-

łości ludzkości, sztuki. — Środkiem problematu miłości pozostanie jednak zawsze akt zapłodnienia. A odrodzenie przez potomstwo — to nieśmiertelność.

Opis zapłodnienia jaja w ciemniach organizmu ludzkiego — jest przepysznem dziełem sztuki.

Dalej wyczarowuje autor idyllę miłosną ichtyosaura i trylobita. Od nich przechodzimy do ustrojów coraz prostszych. Ale i najprostsze: pojedyncze komórki znają już uczucie miłosne — rozmnażają się; choć same zapewne nie doświadczyły na sobie miłosnego aktu (samorództwo).

Powinowactwo chemiczne prostszych jeszcze dzieci natury — ciał nieorganicznych, możnaby też porównywać ze zjawiskami erotycznemi.

Początek rozmnażania płciowego — to koniugacya pierwotniaków.

Autor omawia też problematy krzyżowania się i doboru. Przebiega prawdopodobną drogę od komórki przez jej kolonie aż do złożonego ustroju.

Podaje rozdziały miłosne szkarłupni, mięczaków, pajęczaków, skorupiaków, pszczół oraz cierników. Podając interesujące nadzwyczaj zjawiska tworzenia się dojrzałego jeżowca z larwy zwanej Nempliusem a raczej z pewnych jej części oraz rozpadania się żywej, normalnej zupełnie rozgwiazdy na dwie połowy, którym potem przyrastają brakujące części i które żyją w dalszym ciągu jako 2 osobniki, pyta: jakiem więc pojęciem jest właściwie indywiduum?

Przy rozpatrywaniu stosunków w społeczeństwie pszczół zatrzymujemy się na ich problemacie płciowym.

Tyle wypowiedział autor o miłości ogólnie i w świecie bezkręgowców.

Z posad miało świat ruszyć zwierzę kręgowe, które wzniosło się do człowieka.

„Ale tu dźwięczy już nowa melodya"... a ta będzie treścią tomu drugiego.

Przeczytawszy tę niezwykłą książkę, zgadzamy się w zupełności na zdanie autora. „Opowiadać ci o tem będę w takim duchu, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie odczuwano" (str. 10).

Co do formy literackiej, to wypływa ona z wygłoszonej przez Bölschego zasady: „Sztuka jest tym pomostem, który łączy wiedzę ścisłą i popularyzowanie jej".

Przekład bardzo piękny. Wydanie staranne. *J. W.*

Wilhelm Bölsche: Naturgeheimniss. Jena, Eug. Diederichs.

W nowej tej książce ukazuje się nam Bölsche w charakterystycznej swej roli przyrodnika-poety. Zdawałoby się, że połączenie to jest pospolite i nietrudne: wszak poezyi w przyrodzie nie brakuje, a przecież o prawdziwego poetę-przyrodnika tak jest trudno! Bölsche'go do takich śmiało można zaliczyć, ba, nawet można powiedzieć, że więcej w nim poety niż przyrodnika. Nie znaczy to, żeby Bölsche nie posiadał dość ścisłej wiedzy przyrodniczej, bo ma jej ogromny i wszechstronny zasób, lecz umysł jego odznacza się tą cechą charakterystyczną, że z większą lubością zapuszcza się w mgły bardzo śmiałych hypotez, niż w ścisłe i czasem suche dociekania. Ta charakterystyka jest jednocześnie rozwiązaniem zagadki, dlaczego Bölsche w stosunkowo krótkim czasie stał się ulubionym i powszechnie znanym popularyzatorem wiedzy przyrodniczej. Dyletanci, szeroki ogół lubi tego rodzaju karkołomne wycieczki do krainy hypotez, jakiemi Bölsche krasi swe dziełka przyrodnicze.

Dwa ostatnie dziełka Bölschego: „Weltblick“ i omawiane przez nas teraz „Naturgeheimniss“ nie należą właściwie do popularnych dziełek przyrodniczych, a są raczej poematami filozoficzno-przyrodniczymi na temat idei ewolucyi. Najbardziej charakterystycznym jest tu rozdział, zatytułowany: „Goethe i Haeckel“.

W domku, wśród gór Bölsche rozpatruje odrobinę zagadkowego pierwiastka i myśl jego na skrzydłach poetyckiej fantazyi rozmiłowanego w swej nauce przyrodnika leci w świat hipotez, od których przeciętnemu czytelnikowi głowa się zawraca. I to właśnie jest jedynym ale ważnym zarzutem, jaki można do prac Bölschego — popularyzatora zastosować: niewprawny umysł łatwo może wziąć hypotezę za pewnik naukowy, bo poeta-przyrodnik czasem za słabo granicę przeprowadza. Z drugiej jednak strony ten poetycki sposób podawania wiedzy przyrodniczej ogółowi, tak zaniedbanemu pod tym względem, sprawia, że Bölsche jest dziś bodaj najpożyteczniejszym popularyzatorem wiedzy przyrodniczej. Nawet u nas bardzo szeroki ogół czyta i to z korzyścią dziełka Bölschego: „O pochodzeniu człowieka“, „Miłość w przyrodzie“ itp. Omawiana przez nas „Tajemnica przyrody“ mniej się nadaje jako lektura dla szerokiego ogółu: trzeba mieć trochę przygotowania, aby nie zgubić myśli w labiryncie zagadnień, pobieżnie przez autora-poetę poruszonych. Kto jednak ma to przygotowanie, ten może znaleźć wielką przyjemność w tych wycieczkach w krainę znanego i nieznanego z takim przewodnikiem, jak Bölsche. *S. Krauz.*

Dr. Jerzy Jellinek: Deklaracya praw człowieka i obywatela. Przełożyła Zofia Libkind-Lubodziecka. Warszawa, Księgarnia Powszechna.

Przed ośmiu jeszcze laty ukazało się pierwsze wydanie tego dziełka prof. Jellinka. Śmiałe wywody autora wywołały wówczas wielką wrzawę zwłaszcza we Francyi, gdzie przeciw twierdzeniom Jellinka wystąpił w namiętny sposób członek francuskiego Instytutu Boutmy, oburzony tem, że Jellinek odmawia wszelkiej oryginalności francuskiej deklaracyi praw. Do drugiego wydania swego dziełka włączył Jellinek rozdział, w którym zestawia deklaracyę francuską i wirginijską.

Gwałtowna polemika w świecie uczonych była wynikiem niezrozumienia tendencyi niemieckiego pisarza. Jellinek nie pisze zupełnie o kulturalnem, społecznem lub politycznem znaczeniu francuskiej deklaracyi, lecz bada wyłącznie jej doniosłość prawną oraz znaczenie dla historyi konstytucyi. Zbija on gruntownie rozpowszechnione mniemanie, jakoby deklaracya praw wyrosła z zasad zawartych w *Contrat social* a tylko formalnym jej wzorem był akt ogłaszający niezawisłość 13 stanów Ameryki północnej. *Contrat social* — to wszechwładza nieograniczonej prawnie woli ogółu. Deklaracya z 26 sierpnia 1789 r. przyznaje jednostce nietykalny zakres „nieodzownych, naturalnych, świętych praw człowieka“.

Wzorem dla Konstytuanty francuskiej były amerykańskie *bills of rights* albo *declarations of rights*. Bezpośredniem źródłem projektu Lafayettea była deklaracya stanu wirginijskiego. Przez porównanie obu tych aktów widzimy, że naśladownictwo jest widoczne nietylko co do treści ale nawet w formułowaniu danych zasad. Własnością Francuzów są wyłącznie ogólne, doktrynerskie roztrząsania, należące już do metafizyki politycznej. Z praktycznem znaczenien francuskich zasad prawnych nie mają one nic wspólnego. W jednym tylko

punkcie różni się deklaracya francuska od amerykańskiej. Artykuł 10 deklaracyi francuskiej głosi tolerancyę religijną, podczas gdy *bills* amerykańskie zapewniają ludności zupełną wolność religijną. Rekapitulując: Jellinek udowadnia w swej rozprawce, że deklaracya praw człowieka i obywatela nie jest dziełem rewolucyi (względnie literatury społecznej, prawniczej i filozoficznej, która rewolucyę poprzedziła), lecz owocem walk religijnych z okresu reformacyi. Pojęcie prawa przyrodzonego, naturalnego, świętego, ma źródło religijne a nie polityczne. W miejsce wodzów rewolucyi (Lafayette) stawia Jellinek sekciarzy reformacyi z 14 wieku (Roger Williams). *Henryk K. Mileński.*

Lebensgeschichte eines modernen Fabrikarbeiters. Jena. Eug. Diederichs. Dzieło nader zajmujące, poprzedzone przedmową Pawła Göhrego. Göhre, ksiądz-socyalista może być uważany w literaturze za wynalazcę do pewnego stopnia nowych torów. Powieść, zbudowana z kartek pamiętnika współczesnych robotników — to specyalna forma literacka, którą z zamiłowaniem rozwija. Ta, którą omawiamy, nie jest pierwszą tego rodzaju. Göhre wydał już kilka prac w tym rodzaju: „Drei Monate Fabrikarbeiter" oraz „Wspomnienia robotnika, Karola Fischera" poprzedziły ostatnią powieść i obudziły w Niemczech i w innych krajach zaciekawienie, graniczące z sensacyą. Sensacya nie jest jednak celem tych powieści. Ich zadaniem jest odmalowanie prawdziwe życia robotnika z dzisiejszych fabryk, opisanie go przez niego samego, przez człowieka, który dziś już tak poważną rolę w społeczeństwach odgrywa, a który w przyszłości będzie potęgą.

Otóż ta prawda, to rzeczywiste życie tryska swą szarzyzną a zarazem swą niezliczoną ilością barw z każdej stronicy tej powieści. Chociaż Göhre pamiętnik uporządkował, jednak nie zmienił w nim stylu, sposobu wyrażania i wogóle tego, co nadaje właśnie tym pamiętnikom wartość. Nie Paweł Gehre, wysoce wykształcony człowiek przemawia do nas z tej powieści, lecz robotnik, Teodor Bremme, prosty robotnik, chociaż umysłowo wybiegający może nieco nad poziom, bo skończył średnią szkołę. Pomimo to jednak, okoliczności tak się składały, że Bromme pozostał na nizinach i przeszedł koleje życia zwykłego robotnika. Mając 22 lata ożenił się, z rokiem każdym zwiększała się jego rodzina i zmuszała do coraz cięższego jarzma fabrycznej pracy. Bromme był w najrozmaitszych fabrykach; jako guzikarz, tkacz itd., jadł chleb z różnych pieców, jak się to mówi i poznał dolę robotniczą doskonale, a ludzi z tej sfery umie rysować. Gdy się czyta pamiętniki Brommego, opanowuje czytelnika żal i zdumienie. Ile tam prawdziwych a różnostronnych talentów ginie w tych huczących fabrykach, ile bogatych dusz marnuje się bez rozwoju przy ciągłem wierceniu dziur w guzikach! Dzisiejsze społeczeństwo jest doprawdy „fabrykantem aniołków" — z dusz i talentów ludzkich!

Szczególnie jeden rys z psychologii współczesnego robotnika uwydatnia się w pamiętnikach, redagowanych przez Göhrego: stoicyzm właściwy tej klasie, z którym jej synowie przyjmują wszelkie ciosy zmiennego losu. Zdarzenia, które dla należących do lepiej uposażonej klasy byłyby dramatami, mają tylko epizodyczne znaczenie dla robotnika, otrzaskanego z surowymi warunkami życia.

We wstępie zaznacza Göhre jeszcze jeden ciekawy punkt, uwydatniający się w pamiętnikach Brommego, a mianowicie jaskrawą dysproporcyę pomiędzy ogólnym postępem ludzkości po drodze kultury materyalnej a postępem w po-

prawie bytu klasy robotniczej. Położenie klasy robotniczej, odbijające się w pamiętnikach nie wiele się różni od położenia przed kilkudziesięciu laty, a przecież ogólne bogactwo zwiększyło się wielokrotnie.

Na ponurem tle opowiadań Brommego występuje jako jaśniejszy punkt postać inspektora fabrycznego, który rzeczywiście jest przyjacielem robotników i dba o ich dobro, o ich zdrowie. Zdarza się to, — zdarza... ale jak często?

St. Krauz.

Und Pippa tanzt. Ein Glashüttenmärchen von Gerhart Hauptmann. Berlin, S. Fischer.

Między baśnią a realnym obrazem obraca się ostatni utwór Hauptmanna. Przynajmniej na początku stara się poeta zachować także zewnętrzną prawdę postaci i środowiska. W dalszym dopiero toku akcyi pierwiastek baśniowo-symboliczny zupełnie bierze górę.

Noc zimowa. Na dworze zamieć śnieżna — w oberży ciepło i zacisznie. Jak w bajce. A Pippa tańczy. Dziecię Wenecyi wnosi odblask słońca i piękna i poezyi do nędznej spelunki robotników z śląskiej huty szklanej. Możny dyrektor huty, dla widoku Pippy, budzącej w nim nieokreślone tęsknoty, co wieczora naraża się na niebezpieczną jazdę po śliskiej, ciemnej drodze (gotów i cięższe może ponieść ofiary), a robotnicy raz w raz odrywają roznamiętnione oczy od kart, by patrzeć na pląsającą. Nawpół dziki olbrzym leśny, Huhn, w niedźwiedzich skokach i dziwacznych podrygach okrąża Pippę i usiłuje ją pochwycić, lecz ona wymyka mu się trwożnie, jak ptak spłoszony. Niebawem nadchodzi też, szukając noclegu Michał Hellriegel, poczciwy niemiecki Michel. W zlodowaciałej dłoni ściska instrument, a zwieszony przez ramię tłómoczek wypchany jest fantazyą tak barwną i słoneczną, jak Wenecya, ten symbol słońca i czarów, do którego dąży na oślep. Dziewczę naturalnie od pierwszego wejrzenia przylgnęło odrazu do poety i gdy między nimi zadzierzgnął się węzeł, świat realny może już runąć — zaczyna się dramat artysty i jego poezyi.

W II. akcie spotykamy Pippę w chacie dzikiego Huhna. Podczas bijatyki w karczmie, w której Włoch zginął, olbrzym porwał dziewczę, ale ono należy oczywiście do młodego poety. I on się zjawia i we dwoje już mają wędrować do wyśnionego grodu... Przeszkody? zamieć? góry? poeta w fantazyi łatwo je przebywa. Na dworze tymczasem dziki olbrzym, jak jakiś straszny bóg leśny, zwrócony ku wschodowi, oblany pierwszem światłem słońca, woła po swojemu o radość... o radość dla wszystkich...

Spleceni uściskiem Michel i Pippa wychodzą z chaty Huhna. Ale mimo takich skarbów w tłómoczku poety, jak „stoliczek nakryj się“ i flaszeczka eliksiru i cudowna nić, mająca ich zawieźć prosto do ziemi obiecanej, argonauta piękna traci rychło siły wśród śnieżnej zawiei i dzięki Pippie, znajduje schronienie w samotnem obserwatoryum sędziwego Wanna. Mędrzec, czy magik z wysokiej swej wieżycy ogarnia duży kawał świata, a znakomicie oryentuje się w tajemniczej krainie, co się duszą ludzką zowie. Na jego czarodziejskiej gondolce z szkła weneckiego Michel w jednej sekundzie staje u celu swych marzeń, widzi ziszczony sen swej tęsknoty.

— Wann: I cóż tam widzisz?

— Hellriegel: O, widziałem więcej, niż kiedykolwiek dusza pojąć zdoła, A lot mój przez hyacentowe wiedzie morze!

W: (wyjmuje mu z rąk gondolkę):
Dość! Do zatraconej chaty wracaj znowu,
Do wygnańców śniegiem zawianych wracaj znów,
I siej i strącaj złocisty plon podróży
Na łono tych, co ciężką dźwigają dolę.

A gdy oni tak szybują w krainie podobłocznej, potwór Huhn, dzika, zachłanna żądza życia, instynkt nienasycony, wtargnął do cichej pracowni mędrca.

Wann: Oto do chaty mej zimowej wtargnął czar.
Jak zbój zdruzgotał lodowy wał Mądrości,
On, Złotowłosy...

Przez chwilę Wann uczuwa jego moc, poddaje się czarowi Pippy. I w nim zmartwychwstaje na jeden błysk sekundy pragnienie szczęścia, rozkoszy. Lecz rychło otrząsa pokusę, on, mędrzec, co dawno zamknął był pod kloszem płochliwe motyle fantazyi, wśród antykwaryjnych zbiorów uwięził dzikie ptaki pożądań. Po raz ostatni Huhn wszedł mu w drogę.

Dzika potęga żywiołu i uduchowiony intelekt staczają ostatni, straszny bój. — Huhn pada. W agonii przedśmiertnej raz jeszcze błaga Pippę-poezyę:

Tańcz, tańcz! by było trochę jaśniej! Błyśnij tu, błyśnij tam, by ludzie ujrzeli światło! Zaświeć, zaświeć! trzeba nam się wziąć do pracy.

I Pippa tańczy! Bielmem śmierci zasnute oczy olbrzyma wpijają się w nią, wygłodzone, pożądliwe. Nareszcie zdołał ściągnąć dla siebie złotą iskierkę, za którą gonił całe życie.

„Chodź — za — mną — w mrok — mała — iskierko“ — — mamrota konając.

A Pippa wśród dzikiego, ekstatycznego tańca nagle drętwieje i martwa osuwa się w ramiona Wanna.

Przemocą ściągnięte na ziemię piękno rozpływa się w nicość, jak fata morgana, co zdala czarowała oczy znużonych wędrowców. A poeta Michel idzie w świat...

Z krainy złudy już nie wyjdzie: oślepł na rzeczywistość, stał się jasnowidzącym w świecie fantazyi. Dla niego Pippa nie umarła, z jej cieniem rusza w świat ślepy wid, mocarz pieśni, który poślubił Piękno, ale nie ziemskie, który idzie w wymarzoną „Wenecyę“ słońca i czarów, by nigdy cielesnemi nie patrzeć w nie oczyma...

Przejmujące są sceny ostatnie, przemawiające znowu najczystszą poezyą, która w ciągu utworu kilka razy Hauptmanna opuszczała, aby ustąpić miejsca dyalektyce. Zawsze jednak stoi to dzieło na wyżynach. Wspaniale zdołał autor w pierwszym akcie zharmonizować tło realne ze znaczeniem symbolicznem, a w dalszych — potężne wprowadzić postaci i sceny ogromnego znaczenia.

A całość?

Trafnie jeden z krytyków niemieckich nazwał twórcę „Tkaczy“ Orfeuszem cierpienia. W harmonii czy dysharmonii bytu cierpienie jest dla niego tonem zasadniczym, który powrotną falą raz w raz trąca jego duszę, budząc w niej głębokie echo współczucia. Natężenie i barwa tego współczucia stanowią o każdorazowej fazie twórczości Hauptmanna, która w głównych swych przejawach jest właściwie coraz dalszem rozsnuwaniem motywu cierpienia w formie coraz innej, konsekwentnie wypływającej z treści utworu. Przyjmując treść dzieła za duszę, a formę za jej uzewnętrznienie, musimy wobec naturalizmu „Tkaczy“, symboliki „Dzwonu zatopionego“, baśniowego stylu „Pippy“, gdzie treść najściślej wiąże się

z formą — musimy myśleć o pięknej wierze średniowiecznych mistyków, podług których dusza kształtowała sobie ciało, mające jej służyć na czas ziemskiej tułaczki.

Duszą trzech głównych utworów H. jest cierpienie, na które poeta reaguje współczuciem. Rozbudzone najpierwotniejszą formą cierpienia: głodem i męką ciał, współczucie to stwarza „Tkaczy". Poeta stoi tu na twardym gruncie życia realnego i przemawia jego głosem -- głosem walki. Męką szarpiącej się duszy jęczy „Dzwon zatopiony". odgłosem nizin paraliżując lot artysty, co miał zerwać z przeciętną moralnością tłumu. W „Pippie" problem się pogłębia. Z wyżyn wieczności spogląda tu poeta na zapasy głodnych nędzarzy; walka jednostki genialnej z tłumem traci ostre kontury wobec wiecznotrwałej, nieuchronnej, zaciekłej wojny człowieka z sobą. Instynkt (Huhn), bezwiedna tęsknota (Dyrektor), intelekt (Wann), kolejno wydzierając sobie władzę, walczą o piękno, poezyę (Pippa), by ostatecznie kończyć przegraną. Zwycięzcą ten, kto zamknie oczy na rzeczywistość i poprzestanie na pięknej złudzie marzenia (Michel).

Rozterka mistrza Henryka przebrzmiewa w bolesnej rezygnacyi Wanna. Rezygnacya — ostatnim na razie akordem w smutnej pieśni Orfeusza cierpienia.

Mimowoli przypominają się słowa Ibsena: „Odziedziczyłem dar bólu i zostałem pieśniarzem". A jednak testament mistrza północnego zgoła odmienne zawiera wskazanie. Nie ucieczka od rzeczywistości, nie kompromis z losem, lecz pojednanie i zharmonizowanie wszelkich przeciwieństw, lecz strącenie losu czy fatum z dawnego piedestału.

Hauptman — poeta, czuje smutek wszechistnienia i o nim śpiewa;

Ibsen — bojownik, każe z nim walczyć i zwyciężać.

Hauptman — pieśniarz, z lutnią swą usuwa się od gwaru w kraj marzenia i baśni;

Ibsen — bard, staje w odmęcie walki i wiedzie szeregi w bój;

Hauptman — marzyciel uczy tragicznie czuć;

Ibsen bohater — tragicznie żyć. *M. Kreczowska.*

NOWE KSIĄŻKI.

Wychowanie. Zasady hygieny szkolnej. Podręcznik dla użytku nauczycieli, kierowników szkół i lekarzy, napisał O. Janke, przełożyli Dr. St. Korczyński i Dr. Br. Handelsman. Warszawa, Księg. naukowa. — Młodzież społeczeństwu. Kilka uwag o szkole galicyjskiej. Kraków, nakładem Komitetu młodzieży krakowskiej.

Literatura i sztuka. *O. F. Tencajoli: Enrico Sienkiewicz:* Appunti biografico-litterari. Milano, Petro Barelli. — ***Stan. Lack: Notatki i uwagi.*** I. Zawiera uwagi o Lelewelu Wyspiańskiego, oraz uwagi o tak zw. Samuelu Zborowskim Słowackiego. Kraków. — *Wacław Makowski:* Godzina pogardy. Wilno, Księgarnią W. Makowskiego. — *Wiliam Ritter:* Etudes d'Art etranger. Paris, Société de Mercure de France.

Historya. Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia. Wydał Ja Czubek. Kraków, nakł. Akademii umiejętności.

Dramat. *Leopold Kampf.* Am Vorabend. Drama in 3 akten. Berlin. Schu ster & Löfler. — Tożsamo po rosyjsku. Berlin. Hugo Steinitz. — *Roman Pc*

trzebiński: Karol, Król szwedzki. Tragedya w 5 aktach. Kraków, Gebethner. — *Amelia Hertzówna.* Zburzenie Tyru. Warszawa, E. Wende i Sp. — *Nero-Wandal-Herod-Katonowicz:* Cezar. Sztuka w 9 odsłonach. Kraków. – *Bronisław Szabłowski:* Na krańcach niedoli. Sztuka w 3 aktach. Kraków, Księg. D. E. Friedleina. — *Stan. Łempicki:* Surmy. Pieśń patryotyczna w 3 obrazach. Chicago.

Poezya. *Nero-Wandal-Herod-Katonowicz:* Panopticum. Walka, sąd i piekło. (Ułomek z panoramy świata). Kraków.

Powieść. *Gorkij-Andrejew-Korolenko:* Godziny więzienne. Przełożył Józef Mondszein. Warszawa, wyd. „Książnicy polskiej".

Publicystyka. *Wiesław Sclavus:* Finis Poloniae. Poznań. Księg. Polska W. Templowicza. — *Leo Belmont:* Ocaleni i skazańcy sądu wojennego. Warszawa. — *M. W.:* Protest patryotów polskich, obcokrajowców względem Galicyi, którym wystawiono pomniki we Lwowie. (Wierszem.) Lwów. — Jak powstało i co oznacza święto 1-go maja. Wydawnictwo P. P. S. Kraków, „Książka". — *E. Belfort Bax:* Historya komuny paryskiej. *Tenże:* Historya rewolucyi francuskiej. *K. Legien:* Niemieckie związki zawodowe. Warszawa, Księgarnia Powszechna. — *S. W.:* Zarys stosunków galicyjskich. Warszawa, Księgarnia Naukowa. — *Lech:* Nasza spuścizna. Lwów, nakładem redakcyi „Odrodzenia". — *J. Baudouin de Courtenay:* Projekt osnownych położenij dla rieszenia polskago woprosa (ros.). Petersburg. — *Alfons von Parczewski:* Ein Ueberblick über die Sprachkarte Europas und Entwurf eines internationalen Friedensvereines zum Schutze der sprachlichen Minderheiten. Paris, Paul Geutner.

Varia. *Dr. Stan. Goliński:* Przeszczepienie drzew owocowych. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Katalog rękopisów Akademii Umiejętności w Krakowie. Zestawił Jan Czubek. Kraków, nakładem Akademii.

Nauki przyrodnicze. *Michał Doboszyński:* Hypoteza o powstaniu naszego systemu słonecznego i o niektórych zjawiskach w wszechświecie. Kraków, Gebethner.

Biblioteka powszechna W. Zukerkandla w Złoczowie. *Hebbel:* Marya Magdalena. — *Kamiński:* Zabobon czyli Krakowiacy i Górale. – *Syrokomla:* Janko cmentarnik. Kęs chleba. — *Maeterlink:* Joyzella. — *Rzewuski H.* Listopad Tomów 2. — *Heyermans:* Ogniwa. Sztuka w 4 aktach. Przekład W. Prokescha. — *Starkman:* Monologi humorystyczne. — *J. Kochanowski:* Pieśni. Ksiąg czworo.

Książki dla wszystkich M. Arcta. Warszawa. Maurycy Mochnacki, jako krytyk literatury, napisał Edward Przewóski. — O życiu i budowie rośliny, podług Dr. A. Bernsteina, oprac. M. Arctówna. — *Wilkoński A.* Wybór ramot i ramotek. — Co to jest cholera i jak ją zwalczać, napisał Dr. K. Łazarowicz. — Frytjof. Opowieść z opowiadań Skandynawskich, opracował K. Król. — Zarys ewolucyi ekonomiczno-społecznej (Ideały Fabiuszów), napisał W. Szukiewicz. — *Renard Wł.* Psyche. Godzina życia artysty. Sztuka w 1 akcie. — *Hertz J. A.* A teraz co? Obrazek dramat. w 1 akcie. — *Gorczyński B.* Policzek. Sztuka w 1 akcie. — Ustawa normalna Towarzystw Wzajemnej Pomocy. — Ustawa normalna Towarzystw Współdzielczych Spożywczych. — Ustawa Kas Przezorności i Pomocy przy fabrykach i zakładach przemysłowych i handlowych. — Projekt ustawy Koła Przyjaciół Zdrowia fizycznego i moralnego. — *Mickiewicz A.* Sonety i inne wiersze z czasów odeskich, objaśnił H. Galle. — Hygiena i szkoła, napisał Dr. K. Niedzielski. — Dla naszych synów, gdy dojdą do dojrzałości fizycznej. Rady lekarza, podał Dr. A. Fournier. — Szkoły mieszane (Koedukacya),

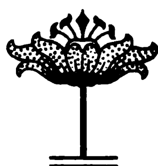
napisała T. Męczkowska. — *Hertz J. A.* Związek dusz. Obrazek sceniczny. — *Kipling R.* Z pod nieba Indyi. Nowelle. – Ze świata mineralnego, objaśnione 50 rysunkami, napisał A. Sprockhoff, spolszczył K. Sporzyński. — Prawo w życiu ludzkiem, wykład popularny, napisał prof. Dr. A. Białecki. — *Wergiliusz Publiusz:* Eneida, oprac. K. Król. — *Gorczyński B.:* Inteligient. Scena z życia. *Gorczyński B.:* Sytuacya z dramatu. Utwór sceniczny w 1 akcie. — Wskazówki do hodowli motyli oraz urządzenia zbiorów, z 17 rysunkami, nap. B. Dyakowski. — Rzecz o mistycyzmie, napisał A. Miecznik. — Japoński system trenowania ciała. napisał Hancock Irwing, przełożył W. Szukiewicz. Z 19 rycinami oryginalnemi. Japoński system trenowania ciała dla kobiet, tegoż, z 32 rycinami. — Japoński system trenowania ciała dla dzieci, tegoż, z 32 rysunkami. — Jak zachować zdrowie niemowląt, nap. Dr. Jan Bączkiewicz. Aprobowane przez Tow. Hyg. — Jak ochraniać dzieci od chorób zakaźnych, napisał Dr. Jan Bączkiewicz. Aprobowane przez Tow. Hyg. — Nauka życia. Książka dla rodziców, wychowawców i nauczycieli, przez Fr. W. Foerstera, tłómaczyła M. Bujno-Arctowa. — Nauka życia w przykładach. Pogadanki kształcące charakter dzieci i młodzieży, tegoż. Część I-sza.

Biblioteka polityczno-społeczna tygodnika „Prawo ludu". IV. *W. Bracke:* Precz z socyalistami. — *Feliks P.:* Socyalizm dzieckiem chrząściaństwa. — *Fr. Młot:* Wózek judaszów, czyli rzecz o klerykalizmie. Kraków, nakł. administracyi „Naprzodu".

Druk ukończono 30 sierpnia 1906 r.

Odpowiedzialny wydawca i redaktor **Wilhelm Feldman.** . Drukarnia Literacka w Krakowie.

Prosimy uprzejmie o odnowienie przedpłaty! Adres wydawnictwa: Kraków, ul. Stachowskiego 14.



DOM BANKOWY I KANTOR WYMIANY

WE LWOWIE, UL. HETMANSKA 12

SOKAL I LILIEN



kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, galic. Banku krajowego, jakoteż obligacye komunalnego Banku krajowego i oblig. pożyczki krajowej, wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszymi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia, wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje się jak najrychlej.

Kantor wymiany

Filii c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów **bez potrącenia prowizyi.**

Filia c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

wydaje oprocentowane **asygnaty kasowe**

oraz przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym i wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

ROCZNIK VIII. 1906.

ZESZYT X.

PAŹDZIERNIK.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

…EŚĆ:



PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	za granicą:		w Król. i Rosyi:
rocznie	. K 12·—	Mk. 12·—	fr. 16·—	rb. 7·60
półrocznie	„ 6·—	„ 6·—	„ 8·—	„ 3·80
kwart.	. „ 3·—	„ 3·—	„ 4·—	„ 1·90
Nr. pojed.	„ 1·20	„ 1·20	„ 1·50	„ —·65

W Warszawie: kwart. rb. 1·50, półr. 3 rb., pojed. 60 kop.

…ÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE

Lettres des Mrs.

…XXIX. **G. N. Barnes**, *M. P. London.*

XXX. **Tancrède Canonico**, *vicepresident du Senat à Rome.*

…XXXI. **W. Kusznir**, *redacteur de la „Ukrainische Rundschau", Vienne.*

…XXXII. **E. R. Pease**, *secrétaire de la „Fabian Society", London.*



…dakcya i Admin.: **Stachowskiego 14.**

…RAKÓW 1906

…isów, nadesłanych bez zażądania ze stro…

…lakcyi, nie odsyła się.

…r zamyka się 20-go każdego miesiąca.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu. Redakcya i administr.: Kraków, Stachowskiego 14

Księgarnia G. Gebethnera i Spółki w Krakowie

poleca:

Andrejew Z. Żywot Bazylego Fiwejskiego. Przekład St. Kruszewskiej K 1·60
Askenazy S. Książę Józef Poniatowski 1763—1813. Wyd. skrócone przez W. St. K —·50.
Giersberg Fr. dr. Nawożenie w leśnictwie. Z 24 rycinami, z upoważnienia autora tłómaczył z 3go wydania Henryk Gebethner 2 kor. 10 hal.
Jeleńska E. Obrączka, powieść 3 kor. 20 hal.
Korzon Tad. Historya nowoczesna (1788—1805) Zeszyt 1 i 2. Kor. 7·50.
Lemański Jan. Ofiara królewny, powieść fantastyczna 2 kor. 60 hal.
Marion. Życie, powieść kor. 4·—.
Müller J. P. Mój system, 15 minut dziennie dla zdrowia! Z przedmową tłumacza z 44 rycinami i tablicą z rozkładem czasu 2 kor.
Renouvier K. O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela. Z nowego wydania, ogłoszonego z notatką o Karolu Renouvier przez J. Thomasa. Przełożył K. Drzewiecki 2 kor. 60.
Sawicki-Stella Jan dr. Hygiena panien. Z rysunkami w tekście. Kor. 1·60. W ozdob. opr. Kor. 2·20.
Schiller Fryderyk. Dzieła poetyczne i dramatyczne w najlepszych przekładach polskich zebrał i wydał dr Fr. J. A. Zipper. 6 tomów kor. 7·—. W oprawie kor. 9·—.
Séailles Gabryel. Demokracya i oświata. Przełożył K. Drzewiecki 2 kor. 60 hal.
Sieroszewski Wacław. Ol-Soni Kisań, powieść 3 kor. 50 hal.
— W matni: Jesienią — Skradziony — Chłopak — Chajłach — W ofierze bogów. Wydanie 3cie 2 kor. 60 hal.
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty wygłoszone w wydziale wychowczym warsz. Tow. higienicznego. Serya I. Kor. 2·60.
Tetmajer-Przerwa K. Anioł śmierci. Romans. 2 tomy w jednym. Wyd. 4-te. K 4·—.
— Poezye II. Wyd. 4-te. Kor. 2·60. W oprawie 3·60.
Wagner C. Młodzież. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Przekład z 22go wydania. Wydanie 2gie 3 kor.
Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki pod redakcyą Ig. Chrzanowskiego, H. Gallego, Stan. Krzemińskiego. Tom I. Wypisy nr. 1—142. Kor. 4·80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

PISMA
WILHELMA FELDMANA

Współczesna literatura polska. 4 tomy, bogato ilustr. .	K	20·—
O twórczości St. Wyspiańskiego i Stef. Żeromskiego Wykłady zakopiańskie	„	2·—
Na posterunku. Szkice publicystyczne. Serya I.	„	1·50
„ „ „ „ II. . . .	„	2·—
Rzecz o tzw. demokracyi narodowej	„	1·—
O Rosyi. Wrażenia z wycieczki	„	1·—
Ananke. Powieść. Wyd. II.	„	2·40
Cień. Dramat w 3 aktach. Wyd. II.	„	1·50
Życie. Sztuka w 4 aktach	„	1·60
Trzech muszkieterów. Satyra.	„	2·—
Henryk Ibsen. Studyum.	„	4·40

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



(A)

ET TU AUSTRIA...?

Wiadomości z Królestwa z każdym dniem bardziej Hiobowe. Duch zniszczenia objął panowanie nad nieszczęśliwą ziemią i rządów jego kresu nie widać. Niszczy leżący w konwulsyach agonii despotyzm resztki swobody i życia, które rewolucya z zakrwawionej paszczęki mu wydarła — niszczy rewolucya narzucone ludowi pęta i dzierżące je narzędzia. Padają winni i tylu, ach, niewinnych. Ziemia krwią przesiąka, gruzami się okrywa, zachodzi obawa, że przez lata całe rodzić nie będzie mogła. Strach biały przeciąga po miastach i siołach, sieje przerażenie, paraliżuje. Siedlce! Złoczyńcy i tchórze w mundurach, którzy na wojnie tylko uciekać lub za pieniądze kapitulować umieli, okazują swoje bohaterstwo, strzelając z armat do domów mieszczan, których wprzódy ostatniej broni pozbawili, bombardując szpitale, przebijając starców, pod gradem kul każąc spacerować lekarzom, dzieciom, deputacyom. I widmo podobnych objawów waleczności puka do okien wszystkich innych grodów. Rewolucya nie może, jak tylko siłą, wytrącać mu kosę jego podstępną. Gdyby rząd miał zamiary uczciwe, zwołałby Dumę; ale on tylko do bohaterstw chuligańskich i zamachów zdolny — i trzeba się przeciw nim bronić. Krwawa mgła przesłania widnokręgi najbliższej przyszłości, przebija ją jednak gwiazda wiary. Wiary potrzeba — wiary w naród i lud, który jest silniejszy od przemijających rządów, wiary w konieczność dziejową, która jest bardziej decydującą, niż wola histeryka koronowanego, wiara w rewolucyę, której bohaterzy tyle już cudów dokazali, tyle nieprawdopodobnych osiągnęli już rezultatów. Wiary potrzeba — ale i w sercu, w którem ona za-

mieszkała, rana krwawi się straszna i wzrok wytęża się, szuka pomocy, szuka oparcia, szuka innych jeszcze środków uwolnienia się od potwora, szarpiącego nieszczęsną ziemię.

* * *

A cóż na to wszystko Austrya?

Charakterystycznem jest, że od wybuchu rewolucyi od czasu do czasu pojawiają się wieści, że Królestwo ma być zajęte przez Prusaków. Przyjmowana naprzód z przestrachem, pogłoska ta w ostatnich czasach spotyka się u znacznej części społeczeństwa tamtejszego z przyjęciem prawie życzliwem, jest prawie córą życzenia; dzienniki nacyonalistyczne dały temu wyraz otwarty. Myśmy w tę pogłoskę nie wierzyli; Prusy, państwo protestanckie, broniące się przeciw centrum, państwo, nie mogące strawić niewielkiego procentu Polaków, nie może chcieć wzmocnienia siły katolicyzmu i żywiołów obconarodowych, żywiołów, gotowych zrewoltować tyjącą w dobrobycie socyaldemokracyę. Mimo to wiadomość o wkroczeniu do Królestwa Prus wypływa i jeszcze niejeden raz wypłynie.

A co na to Austrya?

Czy Austrya nigdy nie potrafi skorzystać z położenia Rosyi, aby pomyśleć o przyszłości? Czy zawsze biernym tylko będzie świadkiem rozgrywających się wypadków dziejowych a najlepsze myśli i postanowienia będzie uświadamiać sobie zawsze po niewczasie?

Jedną z najsmutniejszych kart historyi XIX wieku jest historya stosunku polityki austryackiej do Rosyi. Karta zapisana pomysłami, które małoduszność zawsze wypaczała, porywami, którym silnej brakowało ręki, dążeniami, które chytrość umiała w najbłędniejsze skierowywać strony.

Dalej trochę patrzący mężowie stanu austryaccy zawsze czuli niebezpieczeństwo, grożące im od wiecznie zachłannej polityki rosyjskiej, pragnącej zdobyczami zagranicznemi zaspakajać nienasycone apetyty biurokracyi cywilnej i wojskowej, a zarazem usypiać aspiracye ludności wewnętrzne. Pamiętali dobrze słowa jednego z dyplomatów rosyjskich, że droga do Konstantynopola prowadzi na Wiedeń, pamiętali, jakiem niebezpieczeństwem dla monarchii jest opasanie z trzech stron dzierżawami Rosyi, lub państewkami słowiańskiemi od niej zależnemi. Obowiązki „wdzięczności“, jaką panujący czuł dla Rosyi za r. 1849, ciężko się po-

tem mściły, krępując Austryę podczas wojny krymskiej, potem w r. 1863. Powoli, powoli otrząsała się z nich dyplomacya państwa; po utracie prowincyi włoskich i stanowiska w Rzeszy niemieckiej, po dojściu do władzy wpływów węgierskich, hr. Beust z końcem lat sześćdziesiątych zaczął był myśleć o przyłączeniu do państwa Polski kongresowej. Dążyła też do tego ówczesna polityka polska Galicyi. Hr. Andrassy, węgier-patryota, nienawidzący Rosyi, układał w tym kierunku z politykami polskimi plany daleko idące; gdy doszedł do steru, jako minister spraw zewnętrznych, chciał te plany urzeczywistnić. Przeszkody pojawiły się ze strony monarchy i Bismarka. Monarcha przewidywał, że aneksya Królestwa osłabi siłę centralnego parlamentu, gdzie Polacy pełnili służbę dla rządów bardzo wygodną; całą uwagę skierowywał na południe, do wcielenia Bośnii i Hercogowiny dążył. Mimo to Andrassy jeszcze w r. 1872 pytał Bismarka, czyby miał coś przeciw przesunięciu granicy Austryi do Warszawy; „bardzo wiele miałbym przeciw temu“ — odpowiedział kanclerz. — „W takim razie nie mówmy więcej o tem“ — miał zakonkludować Andrassy. Bez powagi wewnętrznej i energii czynu hrabia-dyplomata węgierski dał potem dojść do skutku przymierzu trójcesarskiemu, dał sobie „zamienić dziecko“; sam myślał o związku dwóch cesarzy — przeciw Rosyi. Jeszcze w r. 1876 podczas wojny wschodniej roztrząsał możność uderzenia na Rosyę...

Sposobność minęła; poraz ostatni zdarzyła się w warunkach, które byłyby zdołały Rosyi zadać cios śmiertelny. Pamiętamy, jak z początkiem r. 1888 w powietrzu wisiała wojna między przymierzem austryacko-niemieckiem a Rosyą; pamiętamy próby mobilizacyjne w Galicyi, budowanie kolei strategicznej przy pochodniach w nocy, mowę groźną Bismarka, zakończoną emfatycznym wykrzykiem, że Niemcy tylko Boga się boją, nikogo więcej. Niemcy boją się jednak także — Polaków, a właściwie Polski. Gdyby nie ta trwoga, a także zabobonna obawa przed militarną siłą Rosyi, w którą wierzył także Bismark, (co raz jeszcze zadaje kłam legendarnej jego bystrości), gdyby nie te motywy — Rosya z pewnością nie byłaby się oparła atakowi wojsk sprzymierzonych i mapa Europy zupełnie inaczej dziśby wyglądała.

Stało się — i dyplomacya austryacka od tego czasu zdołała zejść tak nisko, iż stała się wprost narzędziem w ręku Rosyi. Zasługa to „ministra-rodaka“, hr. Gołuchowskiego, który za bytności cesarza Franciszka Józefa w Petersburgu w r. 1897 wszedł

w „porozumienie“ z Rosyą, na późniejszych zjazdach bardziej jeszcze zacieśnione, i Austrya wzięła na siebie rolę komisarza policyjnego Rosyi w Macedonii. Jeden to z szatańsko zręcznych pomysłów dyplomacyi rosyjskiej, to zaprzątnięcie Austryi „misyą“ na południowym wschodzie, rycersko-bezinteresowną, dla dobra oczywiście „równowagi“ Europy, która to równowaga nie przeszkadza ściągać na bezinteresowną Austryę coraz większą nienawiść ze strony słowian południowych i każe im spoglądać ku Rosyi, jako wybawicielce. Sześćdziesiąt blisko lat polityki rosyjskiej Austryi sprawiło, że „równowaga“ europejska jest nadal mytem; Austrya ma w Serbii, Bułgaryi, Macedonii więcej wrogów, niż kiedykolwiek; monarcha, chcąc po trzydziestu latach aneksyi stopą dotknąć ziemi Bośnii i Hercogowiny — zachorował; a obecnie podczas procesu rozkładu, któremu maszyna państwowa Rosyi ulega, wobec okropności, na które każde serce się wzdrygą, mając przed sobą miliony, wśród których oddawna legendy krążą o konstytucyjnej, wpływami polskimi rządzonej Austryi, zachowuje ta Austrya bezmyślną bierność. Czy czeka na zwycięstwo rewolucyi? Ta jej za bierność nie będzie wdzięczna. Więc może na zwycięstwo reakcyi? Zwycięstwo starej Rosyi, biurokratyczno-wojskowej, będzie śmiercią nietylko dla wolności ludów, zamkniętych w więzieniu carskiem, lecz także dla Austryi.

* * *

Czy kwestya polska jest sprawą międzynarodową, czy nie? Odpowiedź, zdaje się, nie powinna być wątpliwa z tej strony, która się uważa za przedstawicielkę Polski wobec Europy, ze strony polityków wied. Koła polskiego; a przecie przy najskrzętniejszych poszukiwaniach, przy najlepszej woli a minimalnych wymaganiach, nikt w polityce Koła polskiego nie znajdzie cienia polityki, lub polityki ogólno-polskiej. Jest ono ekspozyturą możnowładztwa galicyjskiego i jego adherentów dla załatwiania ich bieżących interesów; od dziesięciu miesięcy zajęte jest złym „interesem“, jakim jest potrzeba pozbycia się reformy wyborczej z najmniejszemi ile możności stratami — sprawy zakordonowe, szersze idee polityczne od wielu lat są stąd wykluczone. Zapomniało Koło, że Ziemiałkowski i tow. uczynili je stronnictwem rządowem tylko z tą myślą, aby wzmocnić Austryę — dla wojny z Rosyą; zapomniało Koło, że kilk lat walczyło niegdyś o wyodrębnienie Galicyi w tym jedynie celu aby z kraju uczynić Piemont polski; zapomniało, że jeszcze pod

czas wojny wschodniej i kongresu berlińskiego nie kto inny, jak Grocholski i Dunajewski interpelacyami i mowami w parlamencie i delegacyach wskazywali Austryi całą błędność i słabość jej polityki wobec Rosyi, organiczną jej łączność z kwestyą polską. Zaprawdę gigantami ci posłowie nie byli, ale wydają się takimi w porównaniu z karłami dzisiejszymi, którzy przewodzą potężnej delegacyi polskiej, z tylu głów się składającej, a nie mającej ani jednej głowy. Resztki instynktu politycznego zatraciło pokolenie, którego reprezentacya jest podporą polityki, związanej trójprzymierzem z Niemcami a serdecznem porozumieniem z Rosyą. Wygodna to może pozycya dla Austryi, jeżeli się państwo uważa za starą, spróchniałą szafę, którą należy podpierać z kilku stron, a pod groźbą, iż się rozleci, ruszyć jej nie wolno; ale gdzie tu miejsce na politykę polską? Gdzie tu przyszłość dla narodu, który może uzyskać niepodległość, ba, ulgi i prawa połowiczne otrzymywać (o co pewnym politykom »polskim« więcej chodzi, niż o niepodległość) tylko wskutek antagonizmu między Niemcami a Rosyą! Mamy dzisiaj około tuzina tajnych radców w Kole, ministrów i dyplomatów-rodaków na najwyższych stanowiskach, a ani śladu polityki polskiej. „Niech na całym świecie wojna“, niech państwa zaborcze przechodzą rozmaite kryzysy zewnętrzne i nieraz stają nad brzegiem przepaści — monarchia, do której mamy szczęście należeć i na której losy silnie wpływamy, jest od tego, by na konferencyi międzynarodowej ratowała z toni Niemcy, mające przeciw sobie potężną ligę francusko-angielską, i parzyła sobie palce na Bałkanie, piekąc kasztany, które z czasem zagarnie Rosya! To jest rezultat „polityki polskiej“ ostatnich lat trzydziestu.

* * *

Stoimy i staliśmy od pierwszego występu publicystycznego na stanowisku niepodległości i cel ten nie przestanie nam nigdy przyświecać. Twarda konieczność życia zmusza jednak do tworzenia między rzeczywistością a ideałem mnóstwa stopni przejściowych, form pośrednich. Przewidzieć ich nikt z góry nie może, tworzą je wypadki i środowiska, do których wbrew woli naród, w danym wypadku zabór rosyjski, przykuty. Ktoby z wierzących w ideę niepodległości nie pragnął, by ogniw pośrednich nie było? Ale skoro być muszą, jestto ostatecznie kwestyą nie zasad-

niczą, czy mamy związkiem federacyjnym być złączeni z Rosyą, czy z Austryą.

Byle — wracamy do punktu wyjścia — Królestwo wydostało się z tego koła błędnego, z tego wiru barbarzyńskiego, w którym zamknął je rząd »opiekuńczy», dość silny, aby mordować, za słaby, by nagiąć się do konieczności procesu ewolucyjnego. Austrya powinna z momentu korzystać. Nie naszą zaiste rolą bronienie interesów dynastycznych, ale nie ulega wątpliwości, że związanie się z ziemiami polskiemi, bez względu na formę, także ze stanowiska austryackiego w olbrzymie obfituje korzyści. Osłabia dziedzicznego wroga, dzięki zwiększeniu swej potęgi staje się atrakcyą dla innych ludów, z większym spokojem pozwala spoglądać na ciążenie Niemców ku wielkiej ich ojczyźnie; co najważniejsza: nie stalibyśmy tutaj przed aktem rozrywania żywego organizmu narodowego, lecz jego zespalania.

Ale ta właśnie okoliczność ostatnia przywołuje odrazu na pamięć pytanie co do zachowania się Niemiec. Od czego jednak dyplomacya, mająca wzrok skierowany na zespół wszystkich stosunków międzynarodowych? Można uważać za rzecz bardzo prawdopodobną, iż Niemcy chętnie wezmą na siebie rolę wybawiciela Niemców nadbałtyckich. Takie „odzyskanie" braci powinnoby ich pocieszyć po smutku, sprawionym przez widok względnie oswobadzającego się Królestwa. Mimo rozszalałego i coraz bardziej wyzbywającego się resztek ludzkości hakatyzmu, wielka część nawet szowinistów na podobną kombinacyę się zgodzi. Zamało bowiem zwraca się u nas uwagi na fakt, iż wielu wybitnych Niemców w ostatnich czasach otwarcie przyznaje, iż zbankrutowała wiara ich w germanizacyę; radzą raczej myśleć o Polsce, jako o »Pufferstaat« między ich krajem a Rosyą; przypominamy interesujące w tej mierze niedawne głosy znanych szowinistów: Petersa i Jentscha.

A przedewszystkiem narzuca się pytanie: czemu na wypadek wzrastającej w Rosyi anarchii przewidzianem jest wkroczenie do Królestwa Niemiec? Czemu powtarza się systematycznie ta pogłoska, a nie jest przewidywane wkroczenie do Warszawy wojsk austryackich? Tu leży punkt ciężkości zagadnienia i wskazówka na przyszłość. Czy istotnie znaczenie Austryi w polityce międzynarodowej upadło do tego stopnia, że nikt się z nią nie liczy? Czy ma ona być skazaną na bierne przypatrywanie się coraz bardziej tyjącemu organizmowi Prus? Czy zresztą prawdą ma być,

co powiadają, iż w razie konieczności Austrya ma zaanektować Podole i Ukrainę po Kijów? Ta kombinacya byłaby dla nas najniekorzystniejszą i Polacy w parlamencie do najgwałtowniejszej musieliby przejść opozycyi, aby uniemożliwić utopienie ich w morzu ruskiem.

Może są te wszystkie kombinacye mylne i bezprzedmiotowe. Oby takiemi się okazały! Oby ruch wolnościowy jak najrychlej zgniótł hordę barbarzyńską satrapów i chuliganów, która po nerońsku gospodaruje; oby bohaterskim wysiłkom tych, co nie zwątpili i walczą w Królestwie, udało się dziką przemoc z kraju zrzucić. Ale nie zanosi się na to w czasie tak rychłym, jakby pragnęła nasza wola, choć świadoma, że gdzieindziej rewolucye dłużej znacznie trwały. Kresu i dróg rozpaczliwych stosunków nie widać, przyszłość grozi walkami desperackiemi, zmaganiem się potępieńczem, wybuchami szałów zapamiętałych z jednej, wściekłości rozpasanej z drugiej strony, bezkresnym, jak konwulsye przedśmiertne miotającym się szeregiem klęsk, bolów, ohyd...

Wierzymy, że dobry geniusz ludzkości zwycięży. Ale zanim słońce wznijdzie...

Niema Europy, są jednak jeszcze państwa europejskie, umiejące spoglądać przed się i dokoła siebie. Tę zdolność spoglądania — celowego, za którem, jak za rzutem oka sępa, czyn następuje, przypisuje świat Niemcom.

Et tu Austria — nube, tylko *nube* umiesz powiększać sferę swych wpływów politycznych?

Prześwietne Koło polskie! wszak chodzi tu o... koło polskie!

WŁADYSŁAW ORKAN:

Z POEZYI.

SĄD BOŻY.

Przez serce przeszedł ostry nóż...
Gdybyż choć kolec zdradnych róż!
Bólem nawskroś przeszyty,
Choć róże krwawe bym wspominał...
Ale ten ostry nóż-puginał
Do serca z namysłem po rękojeść wbity...

Nikt nigdy się nie dowie,
Kto winien — czyja ręka...
Serce w skonie imienia Twego nie wypowie.
Chyba wyjawi męka,
Chyba odkryje Sąd boży:
Gdy, nieobaczna w swej dumie,
Wejdziesz w żałobnym tłumie,
A rana się w mem sercu otworzy...

Oto w mej męce co noc ów Sąd się odgrywa:
U czarnej wspomnień trumny
Staje mar bladych orszak tłumny,
A krew zastygłej pieczęci nie zrywa;
Lecz kiedy Ty ośmielasz mym myślom się jawić,
Serce poczyna krwawić...

KRWAWY STRUMIEŃ.

Przez dziki obumarły step mego żywota,
Przez wszystkie dni — jeden się strumień krwawy wije...
W cieniach przyleśnych błyszczy, jak srebrzyste żmije,
W słońcu zaś wyłyskuje się, jak taśma złota.

Oczyma nurtu, jako wąż ofiary mota...
I wszystko, czego dotknie swym ziewem — zabije,
I wszystko, co z nad brzegu w zwyż wychyli szyję,
Połknie... Jedyna stawać tu może — Martwota.

A urok jego ciągnie... rwie oczy ku sobie.
Nieraz też, za straconą ofiarą w żałobie,
Dusza staje i limbą nad brzegiem się chwieje...

Widzi w nurcie toczone łzy... kwiaty... pamiątki...
Topielce... blade widma... snów najdroższych szczątki...
Patrzy długo — i z grozy przeraźnej martwieje.

NA ROZSTAJU.

I.

I oto przyjdzie czas surowych zważeń
Wszystkiego coś dokonał przez dni upłynione —

Weźmiesz pamięć zostrzoną, jak żelazną bronę,
I będziesz wlókł po polach zagrobionych zdarzeń...

Będziesz rozrywał ostrzem groby zadarnione,
Mogiły zapomniane swych młodzieńczych marzeń,
I będziesz napotykał miejsca przeobrażeń,
Święte dni, choć tak ongi w twem sercu przeklnione.

Wszystko porównasz broną w jeden łęg zorany...
Tak chwast rosnący dziko jak i plon zasiany
Zarówno ostrze myśli twej u świata zetnie.

I obaczysz, że twoje trudy wieloletnie
Próżne są, gdy je zimne doświadczenie zmierzy.
Pole daremnych siewów znów odłogiem leży.

II.

I staniesz wobec jesieni żywota
Posępny, jako wobec drzew odartych z liści
Lub polnego ołtarza, gdy go deszcz oczyści
Z gwiazd, girland papierowych, z illuzji złota:

Pojrzy na ciebie ikon tak surowy, iż ci
Strach zziębi krew i bezwład członki ci omota —
Tak spojrzy życie bez złud... Przyjdzie-li-ć ochota
Pytać o przyszłość: jakie ci nadzieje ziści?

I gdy tak będziesz trwał, lękowi zdany,
Duszę zwilżać ci będzie mgłą siąpiąca słota,
Abyś nie zasechł w skórze, jak smrek nad upłazem.

Uderzy o cię próbą czas z grobu zawiany,
Czas martwy, kiedy nawet umiera tęsknota,
A na serce stacza się smutek ciężkim głazem...

III.

Na głazie smutku siedząc, po tęsknocie wdowiec,
Będziesz bezradny patrzał przed siebie i za się,
Jak ten pasterz, co we mgle siwe owce pasie
I nie może w mgle siwej dojrzeć swoich owiec.

Sam w pustaci przestrzennej, niby krzew-jałowiec,
Sam — głuszą ochłonięty — czujący się w czasie —
na głazie smutku... Obok puste gniazdo ptasie,
Skowrończane, i u stóp dziwny kwiat — żmijowiec.

Wonczas padnie-ć na piersi płacz taki drapieżny,
Jak zwierz... bezgłośne, śmiertelne zdławienie —
Potem ukój — prószący, jako ten kwiat śnieżny.

I wonczas odejdzie cię zbolała żywotność —
Skurczone u stóp twoich siędzie Opuszczenie
I otoczy cię pustką bezkreśną — Samotność.

ARTUR ŚLIWIŃSKI.

NOWELLE I POWIEŚCI.

Atmosfera, w której żyje obecnie społeczeństwo polskie, nie sprzyja rozwojowi twórczości artystycznej. Wypadki, rozgrywające się na terenie Królestwa, z jednej strony zwracają uwagę ogółu ku sprawom znaczenia dziejowego, z drugiej przeszkadzają pracy twórczej, rozpraszając skupienie i przenosząc myśl, zagłębiającą się w krainie piękna, w świat walki i czynu. Nie ulega kwestyi, że z czasem, kiedy olbrzymie koło dziejów toczyć się pocznie drogą normalną, a okowy, krępujące myśl wolną, pękną i staną się wspomnieniem przeszłości, wtedy i ojczysta niwa literacka zakwitnie tęczowym kobiercem kwiatów rzetelnego piękna. Tymczasem twórczość beletrystyczna wązkim płynie łożyskiem, a piętno chwili zauważyć się daje i w dziedzinie literatury. Jednak mimo niepomyślne warunki, w jakich trzeba dziś tworzyć, na półkach księgarskich ukazało się w ostatnich czasach kilka książek, które i za lepszych czasów zwróciłyby na siebie uwagę i żywsze obudziły zajęcie.

Przedewszystkiem wyróżnić należy trzeci tom „Chłopów“ Reymonta,*) owego dzieła, o którem miał się podobno wyrazić autor, że wejdzie przez nie do literatury. Co prawda, Reymont dawniej już „wszedł do literatury“ i to wszedł z trzaskiem a hukiem prawdziwego uznania, od razu wywalczywszy dla prac swoich miejsce

*) Wł. St. Reymont. „Chłopi“, powieść współczesna. III. Wiosna. Warszawa 1906. Nakł. Geb. i Wolffa.

zaszczytne. Od tej chwili każda nowa książka utrwalała zdobytą pozycyę, a dwa pierwsze tomy „Chłopów“ dodały autorowi nowego uroku. Już w noweli „Sprawiedliwie“ Reymont dał się poznać, jako niepospolity znawca ludu wiejskiego, a „Chłopi“ są nowym dowodem, iż świat, odtwarzany przez niego, jest sferą, którą R. doskonale zna, rozumie, w której obraca się z łatwością i swobodą, jeśli tak można powiedzieć, zupełnie nieliteracką. Chłopi tak skończenie prawdziwi, jak przedstawia ich Reymont, po raz pierwszy „weszli“ do literatury polskiej. Takich chłopów nie widzieliśmy ani w pierwszych utworach Sienkiewicza, ani w drobnych pracach Świętochowskiego, Konopnickiej, lub większych Jasieńczyka, Sewera, ani nawet w „Placówce“ Prusa, słusznie przez długi czas uchodzącej za najlepszą powieść, osnutą na tle życia chłopów polskich. Co prawda, zaznaczyć trzeba, że olbrzymia rozmiarami praca pozwoliła Reymontowi uwypuklić wszystkie charakterystyczne cechy duszy chłopskiej, uwydatnić najdrobniejsze szczegóły ich życia, uzewnętrznić ich smutki i troski, radości i wesela, słowem, ukazać w pełni ten świat „bajecznie kolorowy“, taki nam blizki, a taki daleki, bo... tak źle znany z konwencyonalnych powieści poczciwych autorek i małych autorów.

Trzeci tom „Chłopów“ jest dalszem, niemal pod każdym względem równie świetnem, barwnem i żywem pasmem doli chłopskiej. Jak w poprzednich, tak i w omawianym tomie autor trzyma się tej samej metody tworzenia, polegającej na tem, że życie chłopów opowiada tak, jak chłopom się ono przedstawia, jak chłopi je widzą, czują, rozumieją. O metodzie, a raczej o tym sposobie pisania autor na chwilę nie zapomina, wierny jest mu w każdym wierszu, ba! niemal każdem słowem przypomina o nim. Nawet język „Chłopów“ pozbawiony cienia konwencyonalizmu, jest językiem chłopskim, a więc prostym, niewyszukanym, ale bogatym i dosadnym, ale śmiałym i bezwzględnym, jak uderzenie topora, a szczerym i prawdziwym, jako te wichry, co się po równinach mazowieckich włóczą, a bujnym, jako łan zboża na glebie urodzajnej. W tym samym przepysznym języku snuje się dalej nić opowiadania. Wyprawa na las dworski, zakończona w drugim tomie zwycięstwem lipczaków, miała swój niewesoły epilog, bo zwycięskich bohaterów osadzono w więzieniu i Lipce, w których tak niedawno jeszcze buchało życie i kipiały namiętności, smutny przedstawiają widok. Jeno kobiety utyskujące na dolę swą, rozżalone pozostały w chałupach. Więc choć „zwiesna“ siała się prosto z nieba, wozy nie turkotały i nie

skrzypiały pługi, ciągnięte na rolę. Źle się działo we wsi. Cisza smętna i pustka spadła na Lipce. Kiepsko na tej bójce z „dworskiemi“ wyszli gospodarze i ich żony, ale i Reymont wsadziwszy całą płeć mocną do „kreminału“, również na niej stracił, bo powieść, jako to smutne życie niewieście bez chłopa, zaczęła się wlec, jak gdyby trochę ciężko i ospale. A właśnie jedną z charakterystycznych cech wielkiego talentu Reymonta jest potrzeba ruchu, życia, akcyi: im więcej odtwarza obrazów, wrażeń, im treść utworów jego jest rozmaitsza, tem talent Reymonta wypowiada się bujniej i większe znajduje pole do popisu. W przeciwstawieniu do Żeromskiego, u którego akcya jest rzeczą podrzędną, ułatwiającą tylko odtworzenie stanu duszy ludzkiej, a więc mogącą prawie wcale nie istnieć, Reymont tem lepiej maluje ludzi, im więcej oni żyją, ruszają się, im w różnorodniejszych znajdują się sytuacyach. Ale fantazya nie zawsze dopisuje Reymontowi i to jest przyczyną, skutkiem której tom trzeci, acz pod względem strony opisowej w niczem nie ustępuje poprzednim, staje się mniej barwnym i mniej ożywionym. Tymczasem sądy, jarmark, wesele w tomie pierwszym, a w drugim tomie gorąca miłość Antka, później pożar, wreszcie bójka w lesie, najwięcej dostarczają materyału do uwydatnienia różnych stron bogatej natury chłopa. Reymont doskonale pamięta to, co widzi i słyszy, a słyszane i widziane z nieporównaną wiernością powtarza. Prawda — oto główna cecha jego talentu. Ale jest to prawda, że tak powiem, zewnętrzna, bo głąb duszy ludzkiej odsłania o tyle tylko, o ile te środki zewnętrzne pozwalają na to. Środki zewnętrzne, t. j. fakty, zdarzenia, przygody, które Reymontowi służą do wydobycia na jaw tych lub innych cech charakterystycznych, bo po zatem autor sam nie wnika w dusze swoich chłopów; oni mówią sami za siebie, mówią najczęściej czynami bez żadnych uzupełnień i wgłębiania się z jego strony. To też w drugiej połowie tomu, z chwilą powrotu wypuszczonych z więzienia gospodarzy, „Chłopi“ znowu przykuwają uwagę i jak w poprzednich tomach trzymają ją w ciągłem naprężeniu. Ale też akcya ożywia się znacznie i Lipce znowu wrą życiem: w dzień kipi robota na roli, wieczorem idą od chałup ciche pogwary, a w niedzielę rżnie w karczmie muzyka, suną roztańcowane pary i z czubów „galancie“ się kurzy, a „siarczyste pokrzyki“ jakby wrzątkiem przepełniają całą izbę. A nad wszystkiem unosi się wiosna, jedna z najpiękniejszych i najprawdziwszych w literaturze polskiej, wiosna, pełna barw, tonów, zadumy cichej i zamyślenia, pełna dosko

nale podpatrzonego, a z nieporównaną umiejętnością odtworzonego życia. W końcu tomu, bo w ostatnim rozdziale Reymont zdobywa się na niezwykle silny i wstrząsający tragizmem obraz, przedstawiający skon nieszczęśliwego Bozyny. Obraz ten łka takim smutkiem, a tchnie taką prawdą i realizmem, że sam jeden wystarczyłby, aby Reymont „wszedł do literatury". Ten rozdział ostatni, będący nawet u Reymonta przyjemną niespodzianką, nakazuje wstrzymać się z wygłoszeniem ostatecznego zdania o „Chłopach" aż do chwili ukazania się ostatniego tomu.

I nowa powieść Sieroszewskiego: „Ol-Soni-Kisań" *) należy do kategoryi utworów, nie ginących w pyle zapomnienia. Akcya rozgrywa się na Korei, na tle wypadków, które wstrząsnęły krainą „Cichego poranku" i doprowadziły niedawno do zetknięcia się dwu wrogich sobie prądów. Na czele jednego z nich widzimy króla z armią najwierniejszych, czy też najlepiej mających się poddanych, drugi reprezentuje młodzież. Zainicyowany przez nią ruch rozkołysał nadzieje, a ukazując jasne, szerokie horyzonty nowego życia, pobudził masy do myślenia. Dwa światy, dwa pokolenia stanęły oko w oko i rozpoczęły walkę. Nowy ruch, aczkolwiek do głębi poruszył stolicę i zaciekawił wszystkich, zmuszony był walczyć nietylko ze starym, uświęconym przez wieki „systemem", ale i ze złą wolą, którą przeżywający się ład zaczął przeciw niemu reprezentować.

„Wiele mówiono o „bezbożności" całego ruchu, o „zamachu na stare obyczaje", o zakazie noszenia warkocza i mycki „manget", o bezczeszczeniu godeł narodowych, o poniewieraniu Smoka korejskiego, o przekupstwie Japończyków.

Uwaga, w rodzaju przytoczonej, mimowoli przenosi myśl z krainy Cichego Poranka do innej krainy i w ten sposób dwa światy, walczące ze sobą w Korei, stają się blizkie, a szala sympatyi od razu się przechyla na stronę walczącej o lepsze jutro młodości. Tę walkę, toczącą się w Korei, odmalował Sieroszewski, dając tylko ogólne tło, nie wnikając w szczegóły, ale wystarcza to, aby wyczuć, jak wiązania starego gmachu życia drżą i zwolna walą się w gruzy, a skróś mgły niepewnego jutra zaczynają przeświecać purpurowe zorze lepszej przyszłości. Blask ich za słaby jeszcze, aby mógł przebić źrenice, przywykłe do wiekowego mroku,

*) Wacław Sieroszewski: „Ol-Soni-Kisań!" Warszawa 1906. Nakładem Geb. i Wolffa.

ale mimo klęski, które ponosi armia przyszłości, ruch młody zaznacza się na końcu zwycięstwem i wolność przynosi niewolnikom. Oprócz tej walki nowego życia ze starem powieść zawiera jeszcze dzieje młodego Kim-ki, wysłanego przez stryja do stolicy, w której ma szukać zaszczytów i karyery. Dzieje te opowiedziane są z właściwym tylko Sieroszewskiemu wdziękiem, doskonale harmonizującym z prostotą całego otoczenia. Zwłaszcza uczucia proste a rzewne odtworzone są, jak zwykle, z ogromną łatwością, często za pomocą jednego zwrotu. czasem jednego słowa, które pada, jak krzemień w nurt wody i do samego dna ją przenika. Oto Kim-Ki, oszukany przez stryja, pozbawiony środków do życia, rozmawia ze swoim niewolnikiem Chakki, jedyną własnością, która mu pozostała. Kim-Ki zapoznał się z nowym ruchem, a raczej odczuł go swojem sercem młodzieńczem i postanowił iść nową drogą. Przedewszystkiem należało zwolnić niewolnika.

— Ale co ja pocznę i dokąd się podzieję? — pyta Chakki.

— Nie martw się, stary, możesz u mnie pozostać, tylko... Kimnon-czi mówił, że w takim razie powinienem... płacić ci pieniądze!..

— Jakże będziesz mi płacił pieniądze, kiedy ja je tobie przynoszę?

— To prawda, ale widzisz, Chakki... to musi być zrobione... bo jakże, posiadając niewolnika, będę mógł mówić innym o obrzydliwości niewoli!... Widzisz, Chakki... wyznaję, na chwilkę nawet nie przypuszczałem, że mię porzucisz. Pomyśl, cobym robił bez ciebie, sam jeden tutaj, gdzie nie mam żywej duszy przychylnej... Spytam się Kim-non-czi'ego, jak mam to uczynić, ale myślę, że mógłbyś zostać, jak towarzysz, jak przyjaciel!... — szepnął wstydliwie.

— O, mały synu mego pana! Chłopczyku, wypiastowany na moich rękach! — wyrzekł stary, ocierając nieznacznie palcami łzy z pomarszczonych policzków.

Chłopczyku! I to jedno słowo od razu charakteryzuje stosunek pomiędzy Kim-Li a jego piastunem, odrazu odsłania całe morze przywiązania i ciepła serdecznego. Mistrz w odtwarzaniu wzruszeń prostych, rzewnych i uczuć ludzi pierwotnych, Sieroszewski i w „Ol-Soni-Kisań", przebiegł całą ich gamę, wszędzie posiłkując się środkami nad wyraz prostymi, potęgując tem wrażenie artystyczne.

Trzecim pisarzem wielkiej miary, którego książka ukazała się po dłuższej przerwie, jest Daniłowski*) Książka ta składa się

*) G. Daniłowski: „Fragment pamiętnika". Warszawa 1906. Nakł T-wa Akc. S. Orgelbranda i Synów.

z kilku drobiazgów, bardzo pokrewnych nowelom ze zbiorków „Nego“ i „Dwa głosy“. Pierwszy z tych drobiazgów, zawierający urywki pamiętnika — to nerwowy płacz nad środowiskiem kabotynów literackich, nad ich nędzą moralną, nad pustką i osamotnieniem, jakaś szarpanina wewnętrzna, dochodząca do lubowania się w rozdrapywaniu ran serdecznych, wybuch namiętny, zrywający więzy konwenansu, czy też serya nie powiązanych ze sobą a szlochem nerwowym rozełkanych zgrzytów. W innych utworach ta sama przewija się nuta, ale bardziej zrównoważona, czasami przechodząca w okrzyk bolesny, lecz mocny, męski, rzucony pełną piersią na widok krzywdy i niedoli ludzkiej. Takim okrzykiem jest nowela p. n. „Nad urwiskiem“, przedstawiająca zmaganie się dwu istot napoły ludzkich, bo prawie zezwierzęconych wskutek strasznych warunków istnienia. Te istoty wykarmił głód, wyhodowała poniewierka, piastunką ich była ciemnota. Ale właśnie jedna i ta sama dola, jedno i to samo psie życie doprowadza ich do starcia. Jest to bezlitosne zmaganie się dwu nędz kalekich, bój wyzutych ze wszystkiego szkieletów, zakończony rozgłośnym, w niebo bijącym tryumfem zbrodni.

„...Niemowa starał się wydrzeć pejsy „parszywemu żydowi“, Lejba zdusić zawsze obcego a teraz przeklętego „goja“. Co moment poślizgiwał się to jeden, to drugi, i chwytając się krzyża, odzyskiwał równowagę. Raptem urwała się pod nimi ziemia, zawiśli na chwilę obaj, trzymając się zbawczego słupa, gdy nagle wyhobotany w bójce krzyż wyważył się i zwalił całym ciężarem. Koziołkując, runęli, oberwały się kamienie, stęknęła ziemia, potoczyły się dwa ciała i nieruchomo legły, bezkształtne i szare, jak głazy...“

A powód tej walki?

Otóż powód tkwi właśnie w owych nieszczęsnych ani jednym błyskiem światła nieopromienionych warunkach istnienia.

Ale struna społeczna, która rozbrzmiewa w utworach Daniłowskiego, jak wszędzie, tak i w tej pracy, nie zagłusza innych tonów, składających się na artystyczną całość. Daniłowski jest w równym stopniu artystą, co społecznikiem. Psychologia wogóle nie razi dysonansem, ale autor „Z minionych dni“ odtwarza raczej serca ludzkie, niż dusze i do serc ludzkich puka, nigdzie zresztą nie narażając na szwank harmonii artystycznej.

Smutek, a raczej łagodna melancholia osnuwa opowiadanie „Rien ne va plus“, którego temat mógłby doskonale posłużyć do zakończenia rodzajowego i scen „wesołych“ w hotelu. Ale Leski

cofa się prawie z przed progu gabinetu i „crenement“ zamiast kankanem kończy się cichem dyskretnem westchnieniem. Ona, odtrącona przez niego, oddaliła się, szeleszcząc jedwabiami, ale ten szelest zabrzmiał w jego uszach „jak tęskny, smutny szmer odtrąconej fali, która gdzieś w niewiadomy bezmiar spodem morza odchodzi, by zginąć na wieki“.

Pewną nowością w twórczości Daniłowskiego jest niepozbawiona zacięcia satyrycznego „Humoreska“, bardzo zabawna i śmieszna, ale rozbrajająca swą bezpretensyonalnością. Wogóle zaś prace, zawarte w ostatnim zbiorku, stają na tym samym wysokim poziomie artystycznym, co i poprzednie utwory Daniłowskiego.

Oprócz prac tych trzech, znanych i uznanych, a posiadających już „ustalone firmy“ autorów, czasy ostatnie zaznaczyły się jeszcze dwoma szczęśliwymi debiutami. Jednym z tych debiutantów jest p. Wacław Grubiński. Tom nowel, który rzucił na półki księgarskie, poprzedza zbyteczna przedmowa Przybyszewskiego. Powiadam: zbyteczna, bo każda przedmowa bywa najczęściej konwencyonalnem poklepaniem po ramieniu młodego autora, dającem się streścić mniej więcej w tych słowach: „Ja jestem wielki, ale, kto wie, może i ty nim będziesz“. Wprawdzie Przyb. pisze, iż uważa sobie „za święty obowiązek zwrócić uwagę społeczeństwa na młodego i rzetelnego artystę“, lecz w dzisiejszych czasach rzetelny artyzm ma to do siebie, że nawet w naszem społeczeństwie jest już poszukiwany. Ale Przybyszewski się nie myli. P. Grubiński posiada niewątpliwie talent, który sam za siebie mówi obiecująco. Talent to samodzielny, własną idący drogą, podlegający jeszcze wpływom, ale niewzorujący się na nikim. Grubiński tworzy, jak wytrawny artysta: z pewnością siebie, nigdzie nie zdradzając wahań i niepewnych kroków, któreby kazały domyślać się początkującego pisarza. Za „tematami“ nie ugania się; wystarcza mu wczuć się w pewne stany duszy, by odtworzyć je subtelnie i wywołać nastrój. Maleńki, a pierwszy z kolei utwór („Przeszłość“) doskonale ilustruje talent młodego autora.

Fantastyczna postać ludzka, nawiedzająca młodego samotnika, a przyczajona w kącie pokoju, rzuca cichym, cichszym, niż tchnienie głosem pytanie: Pamiętasz? I oto w długie godziny wieczorne wypełzają ukryte na dnie duszy wspomnienia tych czasów, kied

---

*) Wacław Grubiński „Pocałunek“. Przedmowa Stanisł. Przybyszewskieg Skład w księgarni E. Wende i Sp. w Warszawie 1906.

się miało lat szesnaście, kiedy żyli jeszcze rodzice, kiedy męczący kaszel nie szarpał młodych piersi, kiedy się stało w dzień słoneczny na brzegu morza i widziało się rozigrane a szczęśliwe dzieci. W rogu pokoiku na otomanie siedzi „on“ i niewidzialny skutkiem panującego półmroku raz poraz powtarza swoim cichym głosem: Pamiętasz? I wspomnienia za wspomnieniami przelatują, jak korowód białych ptaków, aby kiedyś w godzinę zadumy wieczornej znowu powrócić.

„Pocałunek“ — to już szereg nastrojów. „Bywają takie dni, wieczory, noce, że człowiek włóczy się, jak tuman, szukając miejsca, gdzieby się ukoił“. Ale napróżno ukojenia szuka. I znów mamy całą kaskadę nastrojów-wzruszeń, odtworzonych bardzo pomysłowo.

Nastroje te, różnorodne co do swej treści, przeplatają się wzajem, plączą się godzą w siebie, to rozpryskują się, aby ustąpić miejsca nowym i za chwilę znowu się przypomnieć. Poza tem niema żadnej akcyi, jest tylko dekoracya, ułatwiająca odzwierciadlenie szarpanej posępnym smutkiem, a szukającej ukojenia duszy.

Jeszcze silniejsze wrażenie sprawia „Baal“.

„...Na tym padole płaczu istnieje pewien bóg, imieniem Baal... Bóg ten jest strasznym egoistą, wszystko bierze, nic w zamian nie dając... Patrzy na swoją ofiarę filuternym wzrokiem, a kto choćby raz jeden ze spojrzeniem tem się spotkał, ten przepadł...“ Ale znajdujemy jeszcze inne objaśnienie: „Baal jest bogiem prawdziwych artystów i zbrodniarzy, bogiem bohaterów i marzycieli...“ jest „nieśmiertelną a ślepą namiętnością, spienioną namiętnością, która w dzikim szale niweczy nawet samą siebie...“

Ofiarą tej namiętności pada dwu ludzi. Jednego z nich pożera miłość, drugiego, Zaruckiego — sztuka. Zarucki jest młodym, w każdym nerwie utalentowanym aktorem. Marzeniem i namiętnością jego jest chęć zagrania Hamleta. Ale rolę tę gra reżyser, stary i niedołężny aktor. Zarucki usuwa przeszkodę w sposób bardzo prymitywny: zabija reżysera i spieszy za kulisy, w przekonaniu, że tylko on jeden będzie mógł zastąpić nieżyjącego aktora.

Tego rodzaju temat łatwo mógł popchnąć autora na drogę, prowadzącą do melodramatu, ale Grubiński wychodzi z zadania zwycięsko: po szczeblach nastrojów powoli i stopniowo, lecz ciągle zbliża Zaruckiego ku przeznaczeniu. Oczywiście Baal pochłania swoją ofiarę i nieśmiertelnej a ślepej namiętności staje się zadość.

„Uczta Baltazara“, druga książka, wydana jednocześnie z „Pocałunkiem“, lecz napisana w rok po „Baalu“, świadczy, że talent

młodego autora nie ogranicza się do odtwarzania nastrojów. Król Baltazar, władca absolutny, doczekał się rewolucyi, która ogarnęła jego państwo. Uczta, na którą według przyjętego zwyczaju zaprosił swoich ministrów, jest ucztą ostatnią. Wokoło huczy rewolucya, w mieście grzmią działa, lud ginie setkami, ale ginie po bohatersku, a każda śmierć przyspiesza chwilę ostatecznego zwycięstwa. Dla króla i jego ministrów wybija ostatnia godzina. Uczta trwa, ale śmierć krąży już w pałacu i wszyscy czują jej przedsmak: W obliczu śmierci spadają maski i każdy z obecnych odsłania swoją właściwą fizyonomię.

Opowieść, acz krótka, daje autorowi sposobność do odmalowania kilku barwnych obrazów i całego szeregu scen, dosadnie charakteryzujących rozkład rządu i potężną żywiołową siłę ruchu rewolucyjnego. Król i błazen jego, Puzusza, każdy z jego dygnitarzy, otaczających króla ma swoje cechy charakterystyczne, podkreślone prawie nieznacznymi, ale wrażającymi się w pamięć rysami.

„Uczta Baltazara" jest jak gdyby próbą tworzenia w innej dziedzinie, próbą szczęśliwą, bo świadczącą o wszechstronności artysty. Jednakże talent jego, jeżeli sądzić z dwu tych książek[1]) więcej nadaje się do wywoływania wrażeń za pomocą nastrojów, bo wrażenia, osiągnięte pierwszą swą książką są silniejsze, głębsze, powiedziałbym, całkowitsze. Pierwszemu rodzajowi twórczości bardziej odpowiada i język, pełen bogatych i świeżych porównań, bardzo płynny i potoczysty, brzmiący czasem, jak rytmiczne kołysanie się fali, lub jak cichy dyskretny szum liści, poruszanych w noc pogodną łagodnymi podmuchami wiatru.

W Grubińskim literatura polska zyskała siłę bardzo poważną, po której wiele można się spodziewać i wymagać wiele. Jeśli w utworach jego znikną ślady wpływów obcych (Przybyszewski i z pewnem zastrzeżeniem Knut Hamsun), to wtedy dziś już pierwszorzędny stylista stanie w szeregu pierwszorzędnych talentów współczesnych.

I p. Kazimierz Zdziechowski po raz pierwszy, zdaje się, występuje z powieścią[2]). „Przemiany" świadczą, że autor czuje żywo i szczerze, że środowisko, które przedstawia, zna dokładnie, a na ludzi umie patrzeć pod kątem twardej i nieubłaganej rzeczywisto-

[1]) Wacław Grubiński „Uczta Baltazara". Opowieść. Warszawa-Lwów, wyd „Książnicy".

[2]) Kazimierz Zdziechowski. „Przemiany". Powieść 2 strony. Warszawa 1906. Nakł. Geb. i Wolfa.

ści. W ciągu długich dwóch tomów autor zaznajamia czytelnika z ziemiaństwem na Litwie, nie szczędząc barw ciemnych; w ciągu długich dwóch tomów p. Paweł Naborowski zamierza wprowadzić żywsze tchnienie w zatęchłą atmosferę pojęć i stosunków, ale nawet arcy-konserwatywne poglądy tego apostoła bez teki natrafiają na skałę niechęci i rozbijają się jak fala o brzeg granitowy.

Powoli i ciężko wlecze się akcya w „Przemianach". Brak żywszych barw i świetnych rzutów wytwarza monotonię, przypominającą miejscami starodawne pełne sentymentu gawędy dziadunia przy kominku. Ale oswoiwszy się z tą metodą pisania, a wniknąwszy w życie, z którem p. Z. nas zaznajamia, powieść jego czyta się z wzrastającem zainteresowaniem. Więcej skupienia przy pominięciu mnóstwa błahych a niewiele mówiących szczegółów, mogłoby z „Przemian" uczynić powieść o wartości głębszej. Bo smutek, który ją cechuje, chwilami wzbiera, jak rzeka, i p. Zdz. zdobywa się na ton silniejszy. Niektóre ustępy, jak np. wędrówka Naborowskiego po chatach wieśniaczych świadczą o dużej wrażliwości autora, wiele scen, a zwłaszcza te, które rozgrywają się w domu Kamienieckich, dowodzą, że p Zdz. obdarzony jest sporym zasobem zmysłu obserwacyjnego. Wyzbywszy się gawędziarstwa, a odrzuciwszy wszystko, co ani akcyi nie posuwa naprzód, ani nie pogłębia ludzi, p. Zdz. może stworzyć powieść bardzo skończoną i jednolitą, a wywierającą wrażenie silniejsze i głębsze. Dlatego też i debiut jego zaliczam do szczęśliwych.

Książki, nad któremi zatrzymałam się w sprawozdaniu swojem, nie wyczerpują materyału, dostarczonego przez nasz ruch wydawniczy. Mimo niesprzyjających warunków literatura nasza wzbogaca się nieustannie. Ale wszystko, co ostatnia doba przyniosła, należy po większej części do prac drobnych, jakby urywkowych i robi wrażenie kawałków wspaniałej szaty królewskiej. W beletrystyce daje się zauważyć brak rozmachu, brak szerokiego oddechu piersi wolnej a nieprzygniatanej kamieniem ciężkich warunków istnienia.

Co przyniesie jutro?

Nie można wątpić, że chwila obecna, chwila wysiłków bohaterskich i niezwykłych wzlotów ku jaśniejszej przyszłości, stanie się z czasem przepysznym materyałem, z którego pisarze nasi wyrzeźbią dzieła, jak spiż twarde i mocne, a jak ta chwila, przyspieszające bicie serc. Zwycięstwo wolności będzie niewątpliwie zwycięstwem ujarzmionej dziś duszy polskiej. Nowa era w dziejach Polski będzie nową erą i w literaturze.

TADEUSZ MICIŃSKI.

KNIAŹ PATIOMKIN.

Dramat w 4-ch aktach.

(*Wchodzi tłum robotników ze sztandarem, lokaje herbowi niosą na tacach podarki, mieszczanie dźwigają chleby i wory z mąką — wyróżniają się dwie damy: Tina i pułkownikowa Sablina.*)

Lokaje: To od gubernatora.

Matiuszenko: Do morza!

Birdiukow: A właśnie, że nie! oho!

Inni: To jakiś grzeczny człowiek. Strzelał do tłumu, bo musiał, ale z nami chce być w zgodzie.

Lokaje: Nasi państwo kłaniają się pięknie i pytają kiedy odjedziecie?

Matiuszenko: Cóż za hańba — my właśnie wyślemy im odpowiedź gardłem 140 armat. (*Do Aleksiejewa*): Komendancie, cóż wy tu stoicie? Chyba już teraz nie lękamy się zaatakować miasto, mając prawie eskadrę pod sobą.

Aleksiejew: Każdy tu rządzi --

(*Odchodzi niechętnie.*)

Mieszczanie: To nie kradzione! to nie od bosiaków kupowane, jak towary gubernatora — bogaci państwo targowali się u złodziejów o każdą sztukę jedwabiu i każdą beczkę madery. Tu są nasze łodzie — w nich mąka, chleby i kwas do picia.

Majtkowie: Biedni wy — sami od ust odejmując — wygłodniali od strejków — tu widać, kto jest bratem.

Birdiukow: Mieli co przywozić! Fu, ty czort! Kto tu zechce jeść takie źle pieczone chleby? rekiny wam podziękują.

Robotnicy: Dla nas i taki chleb za drogi, wierzcie nam.

(*Spiewają*):

Wielka nasza fabryka stoi
między zielonymi lasami --
z kominów czarnych dym się roi,
i dzień i noc pod niebiosami.
Powietrze wstrząsają świsty,
wszechwładną mocą pary —
rzucamy wioskę, leśne jary, —
idziemy gdzie dym nieczysty.
Idziem wbrew woli w straszny mrok

ognia, żelaza — w grom kowadeł —
tam roślin życia ginie sok,
tam w pełni wieku tracim wzrok —
pierś rzęży bez pól — i bez radeł.
Jak wielu nas — jak wiele rąk —
nad stali jeziorem huczącej,
olbrzymi tętni parowy drąg —
i wszystko zgrzyta, ryczy w krąg —
tylko robotnik milczący.
Widziałeś kiedy łzę u powiek,
na twarzy bólem shartowanej —
widziałeś, jak w piekle stoi człowiek —
i kuje własne kajdany —
i broń — na powiększenie własnej rany?
Czerwone szyny wężami syczą —
i nagle robotnik przebity jest nimi:
konając w męce — słuchaj, jak ryczą
stalowe złe olbrzymy:
„Ty wykupienia dźwigając krzyż —
„w kłamliwej życia pomroce —
„patrz, oto już giną więzienne moce —
„z mogiły wstaniesz — w świtach — na wyż!

(*Majtkowie wzruszeni ściskają się z robotnikami — nastrój uroczysty — delegaci wskakują na burty i na armaty — tworzy się naraz kilkanaście mównic.*)

Krzyki: My — Proletaryat — — My esery — witamy — wymordowanie oficerów. — My was znać nie chcemy!

(*Anarchiści rozwijają czarne chorągwie.*)

Armaty w lewo — armaty w prawo! Miasto zmusić, aby się ubrało w czarne flagi! — Złaźcie z armat — one są poświęcone dla sprawy ludu! —

Panowie, my tu jesteśmy wojennym okrętem i wolnych nie uznajemy. —

Na co ta surowość — wytoczmy parę beczek, niech się ludzie napiją i ugadają — — Pysznie — szatańska karuzel — Postawić gilotynę! Ha, ha — wywożą kradzione kufry na ląd — Nie mylicie się: prędzej wam rząd wybaczy kradzież, niż rewolucyę! — Zebrać cały naród i zapytać czego chce?! — Ja widziałem tej nocy wilkołaka! — mnie zabili żonę i dziecko —

Niechże się już raz wyleją rzeki krwawe — a potem, albo zwycięży Proletaryat —

(*przerywają mu*)

i wtedy wrócimy do stanu dzikich hord stepowych —

(*mówca*)

i wtedy nastanie powszechna sprawiedliwość —

(*przerywają mu*)

i ty będziesz gubernatorem —

Głos od wody: Zdorowo, riebiata!

Majtkowie: Jaki tam czort?

Głos od wody: Pozwólcie na wasz okręt wstąpić!

Majtkowie: Kto wyście?

Głos od wody: Żandarmi i Jewo Priewoschoditielstwo — gubernator.

Majtkowie: Czego chcecie na naszym pancerniku?

Głos od wody: Chcemy śledztwo zrobić o tem co zaszło.

Matiuszenko: Aha, śledztwo — zaraz — nakierujcie tu reflektory — Warta, na górę!

(*Widać pokład innego okrętu — na wzniesieniu gubernatora, za nim żandarmów.*)

Jeden z delegatów: Przepraszam, gdzie tu są pewne miejsca? Niema tu jakiego zejścia pod pokład — a, dziękuję, dziękuję — —

(*Znika.*)

Gubernator: Biedny, pracujący narodzie! okłamali cię żydowscy rewolucyoniści. Oni chcą utworzyć swoje żydowskie państwo.

Już Pismo święte ich przeklina, bo jak wśród zwierząt jest cały gatunek drapieżnych — tak i żyd: w nim niema nic ludzkiego.

Dlatego ich niszczą.

Nie można wyliczyć zbrodni żydowskich — a także odwetów ze strony eksploatowanych narodów.

Walka z tym wewnętrznym wrogiem jest wprowadzeniem sprawiedliwości socyalnej!

Żydzi w Bobrujsku podeptali ikony, w Kiszyniowie wyrzucili psom prosforę, w Wilnie na cmentarzu orzekli, że niema Boga!

A oto w Mińsku niektórzy żydzi doszli do takiego rozwściekIenia, że chwytali karabiny zębami — i w tymże czasie krzyczeli: Co to za potworność! pogrom! rozbój!

Mnóstwo żołnierzy patrolu było okrwawionych!

Już Katarzyna II Wielka chciała ich wyżąć i mówiła:

„a jeśli okaże się u nich moneta złota, albo efimki — to za one dać im miedzianymi pieniędzmi.“

Całe narody giną od nich.

Żydzi zgubili Polskę, a teraz przyszła kolej na Rosyę.

Feldman: Ja chcę przemówić słowo.

Gubernator: Jak ty śmiesz — o wilku mowa — a on tu wyje!

Majtkowie: Niech mówi — takie jemu dobre prawo, jak i tobie.

Feldman: Jarzyło słońce; miękkim jedwabiem błękitniało niebo; jak marmur czyste było letnie powietrze.

Lipy kwitną. Niebo zapada wzwyż i rozszerza się bez końca i kresu. Aromatem kwiatów napojone powietrze; ono pieści i nawiewa piękne sny.

A na ulicach banda rozbójników czyni swe krwawe dzieło; wesołą jest uczta ich; tak pachnie im krew; mocniej upaja ich niż wystałe w piwnicach wino — —

Na ulicach wesoło — świąteczne twarze, świąteczne głosy.

Sołdaci kłują bagnetami i śmieją się — i dowcipkują ze służącemi —

Chuligany ciągną z jakiegoś domu rzeczy i znajdują tam — skarb — żyda, kryjącego się żyda!

Tu, dawajcie go tu! — Szum, dźwięczne głosy, ciekawe spojrzenia.

„Towarzysze, młotka! — Kto ma młotek!...

Jest! — Raz, dwa, raz i dwa! Tak, ot tak!“

Strumyczek — maleńki strumyczek krwi — ze strumyczka wychodzi para.

Subtelna robota! Zobaczcie, może on jeszcze nie zdechł? Podjąć go i rzucić!...

Skąd ona się wzięła? z domu? z piwnicy? z ciemnej dziury? Z dzieckiem u piersi ona stoi na dworze; ona stoi i nie rusza się z miejsca; lecz i gdzież ma iść? Wszędzie zgon — z góry i z dołu — na prawo i w lewo — Nie patrz na niebo: tam niema dla ciebie łaski; nie zwracaj się ku ziemi — ona ci nie da zbawienia; nie wzywaj do ludzi — oni nie usłuchają twego głosu.

Gubernator: Dość tego bredzenia. Rozmawiając z prezesem kijowskiego sądu — rzekłem mu — że teraz jest też Inkwizycya. Czasy się nie zmieniają, ludzie zostali i zostaną tymi samymi, tylko sposoby zmieniają się — i zamiast maczug — za przykładem żydów — będą użyte bardziej wycywilizowane sposoby mordowania — —

Majtkowie z komitetu: Nie słuchajmy go.

Tłum: My wiemy, gdzie nasz wróg —

niech nam tylko Car Ojciec da amnestyę —

my pokażemy się! my oczyścimy ziemię ruską z wszelkiej kramoły. Won żydów. Won rewolucyonistów!

Matiuszenko: Warta, skierujcie Mauzery na tych panów z orderami.

Słuchajcie, żandarmi! Szable do wody rzucić, bo zaraz strzelimy.

Majtkowie: Wydłużyły się blade twarze jak koniom.

Odpinają pendenty — o, plusk!

Matiuszenko: Rzućcie rewolwery do wody.

Majtkowie: O, plusk.

Matiuszenko: Rzućcie ładownice do wody. — A teraz do domu!

Gubernator: Wiedzcie, że telegram od Cara przyszedł — obiecuje miłościwymi słowami, wszystkim przebacza i obdziela ziemią —

lecz nie wolno dalej, już dosyć rewolucyi. Omyjcie się z krwi —

Tłum: Już dosyć — mówi Car — i my to czujemy —

Matiuszenko (*wychwytując karabin, mierzy do gubernatora*): Kacie! krew masz na duszy swojej, a my tylko na ręku. Won!

(*Okręt gubernatora odpływa. Homeryczny śmiech majtków — inni ponuro milczą.*)

Werkmajstrzy: Jeszcze droga powrotu dla nas otwarta. Świętość służby my naruszyli — ale to wiadomo, Car dla siedmiu zabitych oficerów nie każe rozstrzelać 800 ludzi.

(*Żołnierz bez nóg wlokący się po ziemi.*)

Żołnierz: Naczalstwo wszystką siłę zabrało nam, wszystką wolę! Patrzcie, co ze mnie zostało! Kadłub haniebny, który pełza w niedoli.

Lecz ja nie płaczę.

Mówię wam: rzućcie jedno słowo — a ja tymi ot rękoma zaduszę te potwory.

Majtkowie: On biedny nie może dojrzeć, że już odpłynęli.

(*Podsadzają go.*)

Aleksiejew: Wynosić się stąd, wolni — anarchiści włażą do armat, wy nam uszy zapełniacie jękiem albo programami — a miasto całe na nas oczy wytrzeszcza, jakby nie widziało czego lepszego. Tu należy zrobić każdemu swoją robotę. Wy, policyanci — bierzcie się do tłumu, — tłum niech idzie do roboty, a jak będzie co gotowe — wstaniemy wszyscy, jak jeden mąż.

Tłum: Idźcie stąd, poszli — dosyć tych bredni.

Robotnicy (*śpiewają odchodząc*):

Nie, dłużej czekać nie można. My długo milczeli.
Cierpliwość ma swój kres. Zburzymy ten loch.
Męczymy się od wieku w martwej, dusznej celi —
Nam duszę przeżarł wstyd, nam się wydziera szloch.

Już głazy wyją na ulicach — i łamie się ochrana —
Rosya się pali cała od bólu i płomienia —
a na jej piersi podwójna dyszy rana —
Krwawy Port Artur, mandżurskie złopalenia.

Co robić nam? na trwożnę rozprawy
nie będziem tracić sił. Już bliski ląd.
My z morza krwi — idziemy w myśli prawej
na wielką drogę, na Ostateczny Sąd.

„Ośmielmy się!" Wezwanie to nie zdradzi
nas — którzyśmy przeszli już wszystkie Rubikony!
Widzicie — tam na wyżynach się gromadzi
lud — już bije on w najwyższe dzwony!

(*W dali istotnie słychać muzykę dzwonów.*)

Pułkownikowa: Ja bardzo rada jestem, że widziałam tych ludzi, którzy lada dzień będą drygać nóżkami na szubienicy. Patrz, tę parasolkę ja zanurzałam we krwi ranionych. Ty nie?

Tina: Ja nieraz boję się sama za siebie. Byłam wczoraj u spowiedzi, a dziś brałam komunię — myślałam, że mnie to uspokoi — ale jeszcze gorzej!

Pułkownikowa: No, a cóż twój luby?

Tina: Kiedy my jesteśmy na takich wyżynach — że
że nie wypada mnie pierwszej zaproponować, a on mnie ma za mieszkankę siódmego nieba — Czy do twarzy jest mi to uczesanie?

Pułkownikowa: Bardzo. Weź tę lornetkę — tam są ciekawe scenki z życia — uroń ją niby nieznacznie — on tu idzie — zobaczysz, zaraz mu się przejaśni w głowie —

Tina (*patrzy w lornetkę*): Ach, czy to być może — to chyba tylko zagranicą — ach moja złota — moja złota —

Pułkownikowa: Upuść lornetkę.

(*Odchodzą. Dzwony wciąż mocniej biją w dali.*)

Lejtenant Szmidt: Wszyscy opuszczają ten okręt — co się wydarzyło? — dzwony biją w soborze — potężne, rozgłośne —

jakby Iwan Groźny — — a ja przeciw tym dzwonom idę do boju —

Tak, jeszcze nim świt — opanuję miasto —

Tino, jeśli zginę — ty spójrz na księżyc —

ona tu przeszła — unika mnie — chce mi dać pojąć, że muszę spalić mosty —

Walkiryo moja —

zdaje się, że idąc coś zgubiła —

lornetka —

miasto w płomieniach — trzeba się przyjrzeć —

co to — czy ja obłędu dostaję — co to jest? — nagie — ohydne — mężczyzna nagi — i dwie kobiety — i — ależ —

Tina (*wchodzi*): Czemu jesteś taki zmieszany? ja też nie wiem co się to dzieje — Pułkownikowa ofiarowała mi swoją elektryczną gondolę — ja umiem nią kierować — będziemy tylko dwoje — jak pięknie jarzy się morze — jakie łuny — jakby się wstydziło miłować — czy ja tu czego nie zgubiłam —

znalazłam w cerkwi — i nie miałam czasu spojrzeć w tę lornetkę —

Lejtenant Szmidt: Niech pani weźmie ją —

— nie, — ty nie widziałaś co jest w niej?

Tina: Zaraz zobaczę — *(patrzy)*.

Lejtenant Szmidt: I jakto — mnie —

Tina: Powiem ci wszystko — ja już nie mogę — ja jestem onanistka — mnie darowano taki przyrząd, ale ja chudnę — — patrz, ten pasek zlatuje już ze mnie — idźmy stąd — ja muszę noc jedną —

oh, dałabym za to miliony!

Teraz już wiesz wszystko! Ja jestem tak nieszczęśliwa!...

Lejtenant Szmidt (*z rosnącem podnieceniem patrzy w mrok — zdaje mu się, że widzi idącego Wilhelma Tona*): Uwolnijcie mnię od tego strasznego nieczłowieka —

(*Strach między marynarzami.*)

Ja z tobą walczyć będę tu wobec płonącego miasta: tak: tylko dwie myśli żelazne niechaj się ścierają.

Kobieta? biada, kto ją podnosi do powagi swego przeznaczenia! Bądźmy jak morze!

Tina: Uspokój się — ze mną płyń — wrócisz, gdy zechcesz -

Lejtenant Szmidt: Zbliża się chwila — prędzej mi łódź - otaczają mnie wizye Groty Błękitnej -- straszno mi —

to zbliża się atak mej epilepsyi — niech jej nie widzi nikt — prędzej mi łódź —

tam ja z tobą Umarły będę rozmyślał nad tem, jak zwyciężyć straszną, obłędną niedolę życia —

(*Do widma.*)

Ave Caesar, moriturus te salutat. Położę się u Bram nowego życia — słup, do którego mnie przywiążą dla rozstrzelania, będzie granicznym słupem Wolności.

Tina: Odjechał — mam nagrodę za moją szczerość —

Pułkownikowa: Rozumiem twój smutek. To niezwykły człowiek. A siła ducha u mężczyzny jest taką samą siłą płciową, jak czarne wąsy.

Jedziemy.

Mam swoich własnych wioślarzy — i wierzaj mi, że nie są najgorsi.

(*Odchodzą. Pułkownikowa odwraca się — i marynarzom pokazuje język.*)

Majtkowie: Co to znaczy? pokazała nam ta barynia — o tak!

Matiuszenko (*do odpływającego Szmidta*): Komendancie, co mamy robić?

Lejtenant Szmidt: Zwyciężyć! — ha!

Matiuszenko: Czemu on krzyknął tak okropnie — i coś ciężkiego uderzyło o dno łódki! Nie widać nic!

(*Do marynarzy, którzy wnoszą beczułki i lampiony.*)

Co to?

Majtkowie: Nareszcie to wszystko raz się skończy!

(*Krzyk z Gieorgia.*)

Zdrada! ratujcie!

Matiuszenko: Gieorgij odpłynął — kapitan przy sterze — ludzie krzyczą — nie rozumieją — zdradzają nas — ha!

ognia, ognia do tych psubratów — ślepym wystrzałem — (*podbiega do armaty i wystrzela*) wracają — opamiętali się — dzięki Bogu — trzeba tam postawić wartę — ha — co to — tam wre bój — kapitan okręt prowadzi mimo — rozpędził go — Gieorgij wleciał do portu — już wrył się w ławicę piasku — leży na boku. Kapitan wyskoczył sam i ukrył się między Kozaków —

Bracia — tam naszych aresztują — biją — wiodą na śmierć!

Aleksiejew (*wypada*): I nas to samo czeka! będą nas wlekli morza opalonych pożarem i rannych —

I w nocy wyciągną z więzień przemocą i postawią przed jamy wykopane —

lepiej śmierć na morzu!

Zwróćmy ster!

Tłum: Uciekajmy!

Inżynier Kowalenko: Haniebnie opuścić swych towarzyszów! niestrzelcie kartaczem jednym w te bandy kozackie — dla nich jesteście wciąż fortecą nieprzystępną —

Waryat: Okręt wylatuje w powietrze — uh!!

Tłum: Uciekajmy do Rumunii — gdziekolwiek — tu nas będą zaraz atakować torpedami —

Matiuszenko: Zejść mi stąd wszyscy z pokładu — bo ostrzeliwać was będę mitralieząa.

Ha, kto kieruje okręt na pełne morze?

tam zbiła się gromada — mają topory i karabiny —

o, czemu nas opuścili ludzie umiejący rozkazywać — tu trzeba woli — głosu bezwzględnego —

Majtkowie: Ura — my już na pełnem morzu — chodź bałałajka —

Przynieś tu wiadro wódki — hej — trepaka — Komarinskaja — wy już ludzie wolni — płyniemy na morzu —

(*Zaczynają taniec.*)

Matiuszenko: Kto wam pozwolił?

Majtkowie: Ot, nie widzieli czasem?! Za oficera jest — rozkazywać mu — patrzcie! umyj się poczyściej. A Lejtenant Szmidt —

He? aż dwie za nim przyjechały — już one mu tam nie darują — już teraz pewno poszły na abordaż.

Nam to nie można — a jemu można — co? Nie, dokazujesz, brat! —

Matiuszenko: A wreszcie, czort z wami! Ludzi, którzy chcą być niewolnikami, nie można uczynić wolnymi!

(*Podchodzi do dwóch agitatorów, którzy jedynie pozostali na statku i wszyscy trzej wyrażają swą rozpacz niemałą. Muzyka gra polkę — gruby feldwebel Żurawliow tańczy — inni grająw gorodki — gryzą arbuziki, piją wódkę.*)

Muzyka i śpiew:

Sprawa nasza pod Arturem —
wzięła obrót zły —
Oku — Nogi — Kamimura
gryzą nas, jak pchły.
My sąsiadce żółtolicej

chcieli zabrać kusz —
polecę ja wolnym orłem
do błękitnych mórz.
Rozkazali nam od brzegu
płynąć w morski muł —
przepadnij moja tieliego
z wszystkich czterech kół.
I pojechał nasz Makarow
święty obraz z nim —
straszno — straszno mimowoli
wśród nieznanych zim.
Kuropatkin obrażony
że drwi z niego wróg!
widać bies nas wodzi w strony —
krążąc, zbija z nóg.
Lecz Ojama następuje —
nocami i w dnie —
patrzcie, jak bies w oczy pluje,
jak zasypał mnie!

Majtkowie: Ach, cześć tobie — boży ty masz talent — wszystko jakbyśmy widzieli — daj teraz miejsce głupiemu Jałozie!

Jałoza (*przebrany za skomorocha*): Ruski marynarz wszystko może — aby tylko swoboda i prawda. Proszę o zapałkę —

oto ona: paląca — gdzież to znika? W nosie? nie —

pozwólcie drugą jeszcze bardziej palącą —

gdzież to ona znika? w rękawie — nie!

Pozwólcie trzecią — zapalam — gdzież to ona upadła? — w ucho — ? nie —

bo oto mężny ruski marynarz wszystko odda do ostatniej zapałki za ojczyznę — i wszystkie one chcą jeść! aby tylko była prawda i cześć!

i wszystkie one są tu za tym zakorzeniałym grotmasztowym zębem —

(*Ukazuje w ustach palące się zapałki.*)

Ale ruski marynarz wszystko może — on i odwrotną drogą —

oto ja mam w kieszeni pięciocalowy nabój —

u ruskiego marynarza w kieszeniach dużo wszelkiej obrzydliwości —

i oto —

(*Wyciąga gwóźdź.*)

i oto wbijam go w maszt — zakładam pętlę z tego rzemienia — i kto chce, abym ja go powiesił — niech wystąpi — a ja ręczę, że będzie zdrów — i nam opowie —

(Przechodzi Kiriłł i Feldman.)

Feldman (*ukazując rewolwer*): To nas teraz czeka!

Kiriłł: Nie czas jeszcze — widzisz, w naród rosyjski trzeba wierzyć, a on nie zaraz jeszcze dowiedzie tej wiary. Patrz, te niewolnicze mózgi bawią się w szubienicę.

Kiriłł: Co świat musi myśleć o naszym upiornym pancerniku, który pędzi po morzu Czarnem bez oficerów, nie mając żadnego celu, nie wiedząc dokąd wiodą go kierujący sterem ludzie?

Feldman: Torpedowiec 267 idzie wciąż za nami. Niechajby płynął raczej na przedzie, jak pies wiodący ślepego.

Kiriłł: Dziś rano, idąc na pokład, znalazłem w jednym kątku okrwawiony palec wraz ze złotym zaręczynowym pierścionkiem.

Matiuszenko (*płacząc*): Pojąłem teraz, że przekonać ludzi o koniecznej dla nich wolności trudniej jest, niż wyryć tunel w górach!

Aleksiejew: Uciszcie się — tu będziemy przejeżdżali koło fortów — nie palić latarni — pogasić — płyńmy cicho — aby nie dojrzano nas z tych fortów — jeszcze ciemniej — żeby ani iskry nie było widać — i mówcie szeptem! gdzie skomoroch?

(*Z ogromnego tłumu marynarzy słychać tylko ich ciężkie oddechy. W mroku odzywa się wzburzony głos Feldmana.*)

Feldman: Wiersz o szubienicy! —

Nagle na zegarze więzienia
trzykroc uderzył młot —
i jękiem ogólnym rozgłosił
jak gdyby krzyknął trędowaty
wśród przerażonych błot.
I jak w krysztale snu widzimy
najpotworniejszą twarz —
my zobaczyli hak z powrozem
przed nami czarną straż —
my usłyszeli jak modlitwę
szeptał ktoś: Ojcze nasz!
Wtem ból — którym się rozpłomienił —
ten jeden straszny krzyk —
wtedy pojąłem aż do dna grozę,
której nie pojmie nikt.

W życiu, kto wielu konających
widział — ten już dla życia znikł!

Majtkówie (*szeptem*): Patrz — tam na maszcie wisi człowiek —
tam Mitienko — zakrzepłą ręką ukazuje nam —
wisielec! — —
(*Zdławiony głos Feldmana.*)

I on z krwawiącem wzdętem gardłem
z mgłą nieruchomych kras —
czeka rąk tego, z kim rozbójnik
szedł w raj — w ten straszny czas...
Kiedy rozbite mamy serca —
Pan już nie wzgardzi nas!

Majtkowie.
Morze wiecznie szumi — jakby płakało —
widzisz — w tej ciemności tam —
przy sterze — Nieznajomy — prowadzi nasz pancernik w otchłań niewiadomą —
Nie śmie nikt mówić — nie szepcie tak — nie kładźcie się na ziemi —
nie płaczcie —
może jeszcze nie wszystko stracone —

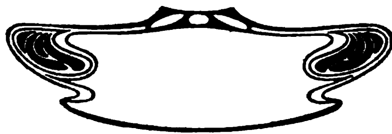
Głos Mitienki: Nie macie wyobrażenia, jakie tu są cudowne gwiazdy. Znalazłem tu teleskop — i widzę pierścienie Saturna — nie, nigdy nie myślałem, że to jest tak wstrząsające.

Głosy tłumu: Umarły mówi do nas — ogień ma w ustach — pancernik leci w otchłań —

(*Słychać pełzania i ucieczkę spieszną tłumu. Zostają się tylko Kiriłł, Feldman i Matiuszenko w grobowej ciszy.*)

Waryat (*skrada się na palcach*): Widzicie — tam przy sterze stoi czarny ktoś — — —

Wśród mroków — powoli zapada zasłona.



LUDWIK EMINOWICZ.

Żonie mojej.

POEZYE.

I.

Pszenica... Świerszcze świerszczą staroświeckie skazki
jak rozpędzone kółka w zepsutym zegarze.
Zagony biegną z nieba w górskie wirydarze,
jak z czystych szkieł pająka roztęczone blaski.
Żar drzemie... Wieś naciąga złotem miniatury.
Syk słomy... Drętwą strugą płyną zbórz fontanny.
Jakowyś szelest węża sunie bezustanny: —
to wierzby, to widnokrąg, to szeleszczą chmury...
Widoki rozpalone dają sobie hasła...
Uderzył dzwon kościelny. Tętna mi zamąca
złowrogi szelest węża. Fala zbóż płynąca
przypadła mi do kolan i prysła i zgasła.
Znów śmiga. Szelest węża w słońcu się przemyka.
Gdzie spojrzę, gdzie podsłucham: poszum i błękity.
Jak liście winogradu wiążą tyrs wróżbity —
oprzędło mię powietrze, krajobraz, muzyka,
przyrodo, wężu święty! Nieboskłonów zwoje
ściągają się powoli, powoli, potwornie,
sekunda, po sekundzie, ha! Okolic zwornie
pracują rok po roku na skonanie moje,
wiem, wiem, boleśnie pomnę: — wrześniowa biel słońca
na męce Laokona snuła się kaskadą;
spojrzałem i wstąpiłem smutkiem w rzeźbę bladą,
i wziąłem objawienie, że u dni mych końca
zachrzęści mi na piersi ta żelazna żyła
zsiniałych widnokręgów, to potworne zielsko
dalekich łąk i lasów, i wężowe cielsko
ściskając krtań — zadławi...

Raz matka rodziła.

II.

Już blade gwiazdy giną, jak westchnienie...
Śpij, śpij spokojnie, śpij z jutrzenką wschodnią.
Powiodłaś usta wonnych ust pochodnią.
powiodłaś sennie w tęsknot porażenie

i zapłakałaś gorzko nad tęsknotą
i nigdy, nigdy sen już nie ogarnie
w ocean ciszy moich warg — Cmentarnie
przepływa błękit ołowianą flotą
i w bladych gwiazdach kona snu złudzenie,
śpij, śpij spokojnie. Zanim świat nawodnią
płomienie słońca, wrócę... Ust pochodnią
powiodłaś usta w tęsknot porażenie
i zapłakałaś. — Cichy stuk stąpania
przez granitowych tafli głaz niebieski,
wydzwania płytkie, jakby z łez, groteski
miłosnych rozłąk — serce mi się słania
i gęstwą tętnie pręży przerozpacznie,
jak twarz Meduzy krwią nabiegłym włosem...
Och, patrzeć w serce i skarłatnym ciosem
skamieniać smutek, nim się drugi zacznie
i módz zapomnieć i w przepaściach dali,
tam w nawałnicy wiosennego wschodu
położyć głowę...! — Ciemne pnie ogrodu
dźwigają błękit... Nim się świt zawali,
śpij, śpij spokojnie. Drzewa, jak olbrzymie
monstracye żalu, przekrwione jutrzenką,
w szaleństwa cieniów stroją Twe okienko
i szumią smutnie w monotomnym rymie:
śpij, śpij spokojnie. Tam skarłatne szarfy,
tam krwawa ulga, tam, ach tam! Fontanny
spławiają szumnie fiolet poranny,
powiewom wichru dając się za harfy...
I smutno... — Idę. Zielonawe błyski
majowych pędów grają aksamitnie
komedyę cudu, co w gałęziach kwitnie
i czyni z parku wonne wodotryski.
Zapomnieć, zasnąć! Łkałaś nad tęsknotą,
choć wieczne serce rozdarłaś tęsknocie!
Twarz firmamentu drży w porodów pocie,
aleje długą nieskończoność plotą
i szelest piasku pod nogami psoci,
jak cichy uśmiech... — Idę, aby nie iść
w otchłanie smutku. Idę po tę prze-kiść
prze-wonnej zorzy, pod ten kwiat paproci

ogromny, wieczny. Idę, gnam, przechodzę,
przemijam, wpadam w gorzki rytm pogoni.
Migają tętna, jak miesiące w toni,
ha! Skrzypły drzewa: — Zabłądziłem w drodze
w komedyi cudu. Tam pozamną gorze
znak purpurowy szczęścia i zatraty.
Przedemną tęchną dychawiczne płaty
zachodnich skłonów. Błyszczą mchy. A zorze?
Ach one płoną za mną i za dworem,
za starą blanką znikająco płoną,
lecz droga do nich wiecznie jest szaloną
i wiecznie błądzi z człekiem jak z upiorem,
Och, ujrzeć jeszcze, ujrzeć je, nim zgasną!
Pospieszam, pędzę, stąpam... Oto głazy
kamiennych stopni; z dna zmurszałej wazy
agawa tryska... Już jaskółkom ciasno
w lepionych gniazdkach. Idę śród zawrotu
po stopniach dworku, jak do wrót kościoła.
Kogutów pianiem poziewają sioła,
oparów skrzydło ma się do odlotu
i wschodzą wzgórza. Cichy stuk stąpania
przez granitowych tafli głaz niebieski
wydzwania płytkie, jakby z łez, groteski
miłosnych przemian szczęścia i kochania.
Dłoń ima klamki. Szelest portyery
otwiera widok snu przed smutnym zbiegiem.
Wkrąg tego łoża byłem krwi obiegiem,
stanąłem... Cisza, cisza, i te szmery
dzwoniące w uszach i ten oddech śpiącej
pod krwawą pręgą ust zasnutych szałem
snu — Śpij spokojnie, chociaż całowałem
te wonne wargi — śpij, a czuwający
życzę Ci długich marzeń samotności
i nieskończonych tęsknot na rozdrożu,
i trwóg czystości na dziewiczem łożu,
i zapomnienia dziwnych słów miłości.
Śpij, śpij spokojnie. Człowiek jest jak szalej,
przed sobą samym, a przed bliźnim człekiem
jak grudki gliny przed trumnowem wiekiem,
dzwoniące głucho w deskę: „a cóż dalej?“

O tak, cóż dalej! W przerozkosznym szale
tryskamy strugą krwi na pierś kochaną,
aż niby morze przed nadbrzeźną ścianą,
przed słodką wargą staną warg korale
i kres wykuty z człowieczego ciała
obwieszczą nagle, że tu koniec drogi
w kraj wiecznych marzeń. Pustka sieje trwogi,
z za ust najdroższych łka tęsknota biała. —
Śpij, śpij spokojnie. Zórz purpury bledną.
Za jutrznią biegnąc biegłem do twej wargi.
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Jeżeli kochasz, jako ja: — Znasz skargi,
i jesteś biedną, biedną, bardzo biedną...
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

ANDRZEJ STRUG.

ZMORA.

(Dokończenie.)

Juszkiewicz przez długi czas nie mógł skombinować, czy stary płacze, czy też się śmieje. Czy ubolewa, czy po swojemu szydzi.

— Cóż dalej? Łżyj, łżyj, stary wygo...

Ale stary nie odpowiadał, trząsł się i podrygiwał jeszcze długo, wreszcie wydostał z kieszeni brudną i zużytą do niemożliwości szmatę i zaczął sobie wycierać suche oczy.

Juszkiewicz z szyderczym uśmiechem przyglądał się tej komedyi. Odzyskał już równowagę i panowanie nad sobą. Nie do tego stopnia, żeby ignorować zupełnie swego gościa, albo uważać go za coś przelotnego, ale w każdym razie przeminął strach.

Spotęgowała się za to nienawiść.

Szukał na gwałt sposobu na niego, obmyślał różne zasadzki, układał sobie w głowie najzłośliwsze przytyki. Szło o to, żeby go podejść, uśpić jego czujność i znagła spytać się go o taką rzecz, żeby z odpowiedzi koniecznie można było wywnioskować, co on jest za jeden? Czy gada prawdę? Czy on wogóle istnieje?

Wszystko to wydawało mu się bardzo zbliżonem do ciężkiego, męczącego snu. Próbował chwilami obudzić się, jak to nieraz czynił,

kiedy go męczyły mary senne. Ale jedno spojrzenie na pusty tapczan utwierdzało go w przekonaniu, że to żadną miarą nie może być snem.

Bardzo zaś jest możliwem, że tego Kaczorowskiego (że też w żaden sposób nie można mu dowieść, że on nie jest żadnym Kaczorowskim), zasyłają mu tu naumyślnie. Kto?

Naturalnie Knajfus. To jest po prostu jeszcze jeden sposobik. Ale dziś dopiero po raz pierwszy zdradził się. Zanadto wyraźna była intencya o tym Wojtku. Zanadto to było niezręcznem. To też strapił się i plecie trzy po trzy dla zamydlenia oczu. Co też on teraz powie? Coś on knuje i zamierza. Baczność!

A ja wygadałem się z tym Piwarkiem, wygadałem się, jak ostatni osioł. Pociągnął mnie za język i powiedziałem. Okropność! Okropność!...

A jeżeli to wszystko prawda o Wojtku? Hańba! Hańba!!...

To prawdą być nie może żadną miarą. O Piwarku mógł sypać kto inny. Tylko ja jeszcze potwierdziłem. To wszystko o Wojtku obliczone jest tylko na to, żeby mnie ogłuszyć, bodaj na moment. Udało się złodziejowi, ale tylko na moment. Niech sobie ma Piwarka, niech się cieszy. Dam ja sobie radę. Coś się obmyśli. I niech się który odważy wyjechać na badaniu oficyalnie z zeznaniem „Kaczorowskiego". Niechno który piśnie słowo „po pokazanjam Kaczorowskago..." Tego uczynić żadną miarą nie mogą, oficyalnie nie istnieje żaden Kaczorowski. Niech sobie wiedzą; użytku żadnego zrobić nie mogą. Nie się irytują, niech popękają ze złości.

Zaciskał zęby, myśląc o rotmistrzu Knajfusie. Stanęła mu przed oczami jak żywa jego bezczelna nieruchoma twarz, przenikliwe oczy i jego wymęczone pod bindą marne wąsiki. Wieleż to razy podczas badań zbierał ślinę w gębie, żeby plunąć wprost w te przenikliwe oczy, wieleż to razy skradał się myślą do wielkiego kancelaryjnego kałamarza, żeby go chwycić i rozbić na tym łbie obmierzłym... Jakoś nie doszło do tego jeszcze... jeszcze... Ale jeżeli, jeżeli to wszystko o Wojtku okaże się prawdą, jeżeli w tem jest choćby cząstka, odrobina, cień prawdy, to przy najbliższem widzeniu się z rotmistrzem może być straszna chryja... Jak ten złoczyńca musiał wydręczyć niezłomną duszę Wojtkową, że się poddała, że się ugięła, że, że — — zdradziła. Aaa!...

Gdzieś daleko w przestrzeni niedostępna wyrosła bezczelna katowska twarz rotmistrza. Widział ją Juszkiewicz wyraźnie, wpatrzył się w nią całym swym nagromadzonym wściekłym gniewem. Oto stoi przed ni' jak żywy, jakby tuż, kędy spojrzy, wyrasta mu przed oczyma: niż wyżej, na podłodze, na suficie... Wreszcie zatrzymała się głowa. St

tuż, o jakie dwa łokcie nad ziemią. Poruszają się usta, oczy to patrzą nań, to gdzieś na dół. Jak żywa, jak żywa!

I jak na żywą patrzał w nią z bezmierną, okropną, bezsilną nienawiścią. Parę już razy spotkał się oczami z zimnym przenikliwym spojrzeniem żandarma i odwrócił się ze wstrętem, dochodzącym do bólu... Zapomniał o całym świecie, zapamiętał się w szalonym napadzie nienawiści.

Nagle obudził go znajomy, obmierzły głos i posypały się szybkie, słowa:

— „Co nowego panie Juszkiewicz? Może pan będzie łaskawszym na nas za tym razem? Że też się panu to wszystko nie znudzi? Zawsze stały i niezłomny? Pomimo, że ta cała komedya do niczego nie prowadzi? Tego już przecie dwa lata, dwa lata... My i tak wiemy, co nam potrzeba?“ itd., itd., to, co zawsze.

— Może panu Juszkiewiczowi odczytać zeznania kolegów? To go zachęci, przekona się, że to przecie nic nadzwyczajnego...

To piskliwy głosik syfilistycznego prokuratora (właściwie „towarzysza prokuratora“) Pielenkina. Siedzi oto i on po drugiej stronie stolika. Chudy blondyn z parszywym zarostem. Naradzają się szeptem (komedya), prokurator przedstawia, nastaje, Knajfus się nie zgadza (komedya), wreszcie obadwaj patrzą na niego przez chwilę. Następnie prokurator otwiera kluczykiem wielką tekę i wyjmuje zwój papierów, poprawia się na krześle, nastawia okulary, odchrząkuje i zaczyna czytać:

— „Ja, niżej podpisany, Michał, syn Stanisława Chomentowicz, buchalter, konspiracyjnie nazywany Wojtkiem, urodzony i zamieszkały w Warszawie, na badaniu z dnia 2-go marca 1892 roku na zadawane mi pytania zeznaję, co następuje:“

Prokurator zatrzymał się na chwilę, uśmiechnął się zjadliwie, odchrząknął i ruszył dalej, gotując się jakby do długiego czytania.

Bezmierny strach przed czemś okropnem, ostatecznie, niemożebnie okropnem, pchnął Juszkiewicza naprzód.

— Dosyć! Nie pozwalam! Ja nie dam czytać! Ja protestuję! — Wrzeszczy z całej siły i bije pieścią w stół. Zabrakło mu już cierpliwości, czyni to, co się już dawno należało. Krzyczy, piorunuje, wymyśla od ostatnich słów, od najostatniejszych. Sięga ręką po kałamarz...

Ktoś go chwyta z tyłu i trzyma jak w kleszczach pod obie ręce. Ani się poruszyć, ani drgnąć. Kto go trzyma?

— Na miły Bóg — szepcze Kaczorowski — trzymaj się! Panuj! Tak samo było z Wojtkiem i zupełnie tak samo. Od tego samego się

zaczęło. Nie daj się sprowokować, nie daj! Oni tylko tego jednego chcą, patrzaj, jak się cieszą! Patrzaj, jak się już spodziewają!...

Ten pośpieszny życzliwy szept uśmierzył mu nerwy w jednej chwili. Z tyłu ściska go ktoś za rękę życzliwie, mocno.

— To on — więc on ze mną trzyma? — zdziwił się.

— Z tobą zawsze i na wieki — odpowiada na tę myśl gorący szept. I dalej: — strzeż się, a mnie dobrze zasłaniaj, żeby nie dostrzegli, bo wtedy straszny skandal.

— Dobrze. A co mam robić?

Zaczekaj. Powiedz im cośkolwiek na odczepne. Jakie głupstwo. Zełżyj co na prędce, wymyśl jaką osobę. Udawaj, że chcesz sypać. Dla zamydlenia oczu.

— A jak zapytają o Wojtka?

— Powiedz: znam. Bo i tak już wiadomo.

— A Piwarek?

— Odpowiedz, to głupstwo (przecież to nie twojemi rękami). To jest głupstwo, jeden marny szpicel! Więcej już na ten raz nie gadaj, tylko tyle! Dla spokoju! Dobrze?

— Dobrze!

Wszystko to zaczyna się mu wydawać zupełnie naturalnem. Uspakaja się zupełnie (nareszcie coś zaczynam rozumieć — cieszy się w duchu). Z wyniosłą pogardą spogląda na swoich sędziów. Ci naradzają się, kładą sobie coś w uszy, prokuratorek denerwuje się, wymachuje rękami. Wreszcie zgadzają się na coś obadwaj, potakują sobie, kiwają głowami, wreszcie rotmistrz bierze ze stołu dzwonek i potrząsa nim silnie. Ale widać w dzwonku niema serca, bo Juszkiewicz nie słyszy najsłabszego dźwięku. W głębi, gdzieś w końcu kancelaryi, otwierają się zwolna drzwi i wsuwa się ostrożnie mały krępy człowiek, chwieje się niepewnym krokiem i oburącz trzyma się za głowę. Stęka ciężko, bez ustanku: „aaa — aa...“

— Pierestańże wyt' — burknie rotmistrz.

Ale człowieczek stęka coraz mocniej. Stękanie przemienia się w jęk, w szlochanie. Ręce ubabrane we krwi, czoło, oczy, włosy zlepione ciemną posoką.

— Pierestań że wyt' — niecierpliwi się rotmistrz. Człowieczek przywlókł się już do samego stołu, stoi tuż tuż o dwa kroki. Stoi i tylko jeszcze zcicha chlipie. Za głowę się trzyma wciąż.

I w Juszkiewiczu zastyga serce...

Czuje za sobą, jak dygoce, trzymający się zań Kaczorowski, słyszy, jak szczękają mu zęby. Słyszy, jak szepcze wystraszony:

— A to cię urządzili — rety, rety!... Przyznaj się, od razu się przyznaj, od razu wszystko powiedz, bo będzie za późno, zginiesz! Za chwilę już będzie za późno! Prędzej — prędzej!

I ze wszystkich sił stara się Juszkiewicz wymówić słowo. Otwiera usta, pracuje, sili się, nie może, nie może wyjąkać.

— Odchrząknij mocno, w kupę się bierz, gadaj, gadaj, jeszcze wszystko uratujesz.

Próbuje odchrząknąć, nie może. Dusi się.

Człowieczek znów zaczyna jęczeć, ociera sobie ręce o ubranie, pokazuje sędziom na krew, cała twarz, wąsy, broda, gors od koszuli, wszystko zalane, spaprane; na ciemieniu straszna rana. Prokurator Pielenkin i rotmistrz Knajfus ze zgrozą i z wyrzutem surowym patrzą Juszkiewiczowi prosto w oczy. Wyrabiają miny i gesty oburzenia, obrzydzenia, wstrętu, pogardy, zasłaniają sobie oczy, wytrząsają rękami...

— Zbrodnia, zbrodnia... — wymawia ktoś wyraźnie, z przekonaniem niezbitem. — Zbrodnia, — rozlega się donośnie, nieodwołalnie, jak głos sumienia.

I Juszkiewicz wydaje się sam sobie taki strasznie mały, zdeptany zgnieciony, taki opuszczony. Wszyscy mają racyę, tylko on jeden niema racyi. Szuka Kaczorowskiego rękami, mąca w przestrzeni, niema, niema...

— Poznajesz pan tego człowieka? — pyta surowo rotmistrz.

— Poznajesz pan swoją ofiarę? — pyta przenikliwym głosem prokurator.

Piwarek ociera teraz na gwałt krwią zalane oczy i zwraca się teraz do niego. Juszkiewicz niema nawet na tyle siły, żeby przymknąć powieki, żeby nie patrzeć. Musi patrzeć prosto w szpiclowskie oczy w ohydną i straszną okrwawioną twarz. Piwarek patrzy nań z nienawiścią, pokazuje nań skrwawionym palcem, blisko, blisko, prawie że się go dotyka. Juszkiewicz chce się cofnąć; nie może, nogi mu wrosły w podłogę. Truchleje i boi się okropnie. Za moment szpicel dotknie się go, przed tą chwilą zamiera w nim cała dusza.

Twarz szpicla mieni się nienawiścią, zemstą, piekielną uciechą... Śmieją mu się małe sprytne oczki, z pod okrwawionych i pozlepianych wąsów błyskają raz po raz zęby, jakby chciał kąsać. Zbliża się jeszcze o krok...

Nagle oczy mu nieruchomieją, szpicel zamyśla się głęboko. Skóra na twarzy robi się szarą, ziemistą. Zastyga na niej krew w ciemne czarne skrzepy i sople. Wyciąga się nos, zapadają w głąb powieki; szczęki uwydatniają się ostro, ściąga się skóra na całej twarzy i opada bezsilnie głowa na piersi.

W powietrzu roznosi się straszny nie do zniesienia ciężki zaduch.

— Trup, trup — wrzeszczy Juszkiewicz i miota się na swojem miejscu bezsilny, bezwładny, oszalały...

Trup chwieje się, sztywny, jak słup, pochyla się, zaraz runie na ziemię...

Tymczasem widzi, jak Kaczorowski skrada się pod ścianami, okrąża z daleka stół, odwraca się, przystaje, robi szydercze miny i pantominy, pokazuje mu palcami na nosie, wywala na niego język, co niezmiernie dziwnie wygląda przy starej twarzy, wreszcie kłania mu się szyderczo i chyłkiem sunie do drzwi, tych samych, którymi wszedł Piwarek.

Ale jeszcze nie zdążył dojść do drzwi, kiedy Juszkiewicz posłyszał tuż za sobą cichy, stłumiony pisk i szelest. Coś miękkiego przewalało się po podłodze, tłukło się i piszczało żałośnie.

Widzi, że rotmistrz z prokuratorem przechylają się przez stół i patrzą kędyś przed siebie ciekawie i uważnie.

Ogląda się — i z okrzykiem przerażenia chroni się za stół, chwyta za rękę prokuratora, chwyta za połę żandarma, dowodzi im coś, o coś błaga.

To on — to straszny jamnik Kaczorowskiego piszczy i wyrywa się za swoim panem, to on, niepojęty potwór, pies o sześciu nogach, pies bez uszu, to zmora, to on strach śmiertelny, wróg śmiertelny...

— Ratunku! Ratunku!!

Prokurator uspakaja go, jak może, ale sam więcej patrzy na tę tajemniczą i dziwną rzecz, na worek, przewalający się po całej celi. Worek przybiera coraz to inne kształty, kłębi się, plącze, przetacza się z szaloną szybkością z jednego kąta w drugi, podskakuje, wije się, pisk coraz głośniejszy, szamotanie się, drapanie.

Wreszcie przez wypchniętą czy przegryzioną dziurę wychyla się ostry czarny ryjek, świdruje, targa: błysnęły cienkie białe kły, wysuwa się łeb — ohydny, okropny łeb — oślizgły, o wielkich, złych, okrągłych oczach, bez uszu. Wyciągnął z wysiłkiem jedną łapę, drugą, posuwa się wraz z workiem.

— To on, to on!! — wrzeszczy Juszkiewicz, chowając się za prokuratora. Ale w tejże chwili i prokurator i rotmistrz Knajfus i nawet trup Piwarka w szalonym popłochu pędzą do drzwi. Czepia się ich Juszkiewicz z rozpaczą — odpychają go, tłoczą się u drzwi, walczą ze sobą i w mgnieniu oka z wrzaskami przerażenia znikają wszyscy za drzwiami.

Juszkiewicz dobija się do drzwi, urywa klamkę, wali pięściami nogami; ani odezwą się drzwi, twarde, głuche, jakby były zrobion

z muru. Ale on wali dalej z całem zapamiętaniem. Krwawi sobie palce, rozbija sobie pięście...

Nagle odskoczył precz. U drzwi jest już jamnik, skomli, węszy, wspina się ohydnie, potwornie na swych sześciu łapach, długi cienki, zwinny, niemożebny. Drapie się do drzwi. Wyje przejmująco, obrzydliwie...

Juszkiewicz cofa się aż do przeciwległej ściany, włazi na tapczan i czeka. Uzbroił się w jedyną broń, jaką miał, zacisnął w każdym ręku po bucie i czekał, śledząc bacznie za każdym ruchém potwora.

Pies, szybko przebierając swemi sześciu nogami, obiegał wokoło celę pod samemi ścianami, przystawał na moment, wspinał się do okna, drapał do drzwi i znów latał w kółko, skomląc żałośliwie.

Nagle siadł na środku celi, przywarował, położył swój długi łeb na łapach i wielkie, wybałuszone ślepia wlepił w Juszkiewicza, patrzał długo, badawczo, zupełnie człowieczem myślącem spojrzeniem.

Pod siłą tych oczu wił się Juszkiewicz i przeciskał się do muru. Gdyby to był tylko pies (chytry i potwór o sześciu łapach, choćby i bez uszu!), gdyby to był nawet wściekły pies, wziąłby go po prostu, zdeptał nogami i zniszczył raz na zawsze. To najgorsze, to najstraszliwsze, że to nie pies, nie zwierzę żadne, to najokropniejsze, że potwór ten myśli, rozumuje, że ma swoje niepojęte zamiary, że czyta myśli ludzkie, że świadomie spełnia czyjąś wolę, że z psią zajadłością a z przenikliwością inkwizytora będzie węszył, będzie szukał w myślach, będzie grzebał, będzie kopał w mózgu, aż dokopie się do czegoś okropnego, do jakiegoś ohydnego plugastwa, utajonego na samem dnie, zapomnianego, wyklętego. Rozkopie mózg do gruntu i odsłoni, obnaży wszystko — jamnik przeklęty!...

Pies wciąż warując, czołgał się zwolna w kierunku tapczana — leży tuż blizko — o krok. Oczy patrzą bacznie do góry, wybałuszone, okrągłe, hypnotyzujące. Ani na sekundę nie spuści wzroku, ani na sekundę nie może Juszkiewicz oderwać oczu od tego spojrzenia. Czuje, jak mąci mu się w głowie, jak przewracają się tam i przewalają kłęby myśli, jak ustaje wszelka zdolność zmiarkowania się, opanowania siebie...

Jamnik podnosi głowę na długiej, giętkiej szyi, patrzy wciąż, nie mrugnąwszy okiem, ale wyraz twarzy i całej postaci zaczyna się zmieniać. Długi, ostry, jak wrzeciono pysk kurczy się i ściąga, błyskają igiełki zębów, oczy zaczynają się skrzyć. Poruszył się szybko i zamerdał ogon porozumiewająco, przypochlebnie. I potwór się śmieje — chytrze — poufale — porozumiewajaco...

Na ten straszny obraz ocknęła się w Juszkiewiczu resztka świadomości — jakieś odległe wspomnienie przebytych chryj nocnych.

— Zaraz przemówi! Zaraz przemówi!!

I z szalonym zamachem raz po razu ciska w psa butami, prosto w łeb. Nie trafił.

Jamnik zachował wobec tego zamachu całą flegmę. Nawet się nie usunął, jakby z góry wiedział, że go nie trafią. Śmieje się po dawnemu. Nagle spoważniał, odwrócił pysk na stronę w kierunku kąta i zaczął węszyć, przekrzywiał łeb, bacznie coś obserwując.

Juszkiewicz doskonale widzi małą myszkę, dobrą swoją znajomą i przyjaciółkę, jak wybiegła na środek celi, ale zoczywszy potwora, zawróciła na miejscu i szybko sunęła z powrotem do swojej dziury. Jamnik w jednym susie dopadł do kąta i zaczął węszyć.

— Nie złapał — ucieszył się Juszkiewicz i zatryumfował.

Jamnik węszył i parskał, skakał, przypadał do ziemi, skomlał z przejęciem. słowem, zachowywał się jak każdy jamnik wobec myszy. albo kreciej nory. Utknął pyskiem w kącie i zaczął ze wściekłością drapać deski, szybko przebierając przedniemi nogami. Juszkiewicz śmiał się w duchu z tych wykrętów.

Ale ku jego największemu przerażeniu zaczęły trzeszczeć deski, zaczęły wylatywać z pod pazurów wióry, kawałki gruzu, gwoździe, pies pracuje zajadle, kopie, ryje, odrzuca łapami szczątki — i w jednej chwili urosła w kącie spora kupa gruzu. Jamnik schował w wykopanej jamie cały łeb, przywarował i słucha. Skomli namiętnie i znów kopie, zanurza się coraz głębiej, znika, już mu tylko ogon wystaje z jamy... Wyrzuca wciąż masę gruzu, ziemi, rozmaitego śmiecia. Wszystko to wywala się na wielką kupę, która rośnie w oczach. Nagle zaszeleściało coś w powietrzu i na szczyt kopca upadła z impetem paczka papieru, rozwiązała się od upadku i rozleciała na wszystkie strony. Zadrukowane papiery znęciły Juszkiewicza, spojrzał na jamę, ale wroga nie było widać, więc skradając się zlazł ze swego tapczana, porwał jakąś gazetę i czemprędzej cofnął się na dawne stanowisko.

— Co to?

Uderzył go w oczy znajomy druk, uderzył go, jak maczugą tytuł: „Robotnik“.

— Jakże to może być? — Spojrzał w kąt. Z jamy leciał wciąż gruz, ziemia... Jamnik pracował zawzięcie.

Obracając w rękach gazetę, natrafił na szpaltę, otoczoną grubą. żałobną obwódką. Wielkim drukiem stało tam kilkanaście wierszy. Czytał

„Dnia 12 lutego w więzieniu na Pawiaku poległ męczeńską śmiercią towarzysz Jan Juszkiewicz. Wyrafinowane okrucieństwo żandarmów z godną katów systematycznością uprawiane na nim od dwóch lat, wy

czerpało siły ś. p. Jana i pogrążyło wielki ten umysł w mroku obłąkania. W nocy z dnia 11-go na 12-go lutego w przystępie szału, bez żadnej pomocy ani opieki lekarskiej, opuszczony w samotnej, ciemnej celi, roztrzaskał sobie głowę o kamienne mury więzienia. Niechaj ta krew, niechaj ta nowa zbrodnia caratu, przysporzy mścicieli, niechaj nie pozostanie bez odpowiedzi! Krew za krew! Trup za trupa! Sprawiedliwej zemście towarzyszy oddajemy bezpośrednich sprawców zbrodni: rotmistrza żandarmskiego Knajfusa i towarzysza prokuratora Izby sądowej warszawskiej, Pielenkina".

Tu zamykała się żałobna ramka.

Słowa te przeczytał Juszkiewicz, jak nieodwołalny wyrok.

— Tak jest — tak jest! To dzisiaj... 12-go lutego... to dzisiaj...

Żadnej rady na to niema, znikąd ratunku. To już jest faktem, to już jest napisane, wydrukowane. Śmierć! Zjeżyły mu się włosy na głowie, konwulsyjnie zacisnęły się zęby i śmierć!

— Nie bój się — zaszeptał głos przyjazny, życzliwy — nie bój się, to się już przecie stało!

— Uspokój się, przecie już umarłeś i nie cierpisz więcej...

— Bracie, bracie ukochany — szepce głos tęskny, kochający, głos siostrzany.

— Kto mówi?! Kto mówi?!

Nie śmie uwierzyć, boi się zgadywać.

— Zapomniałeś...

Cóż za straszny, bezlitośny smutek, co to za wyrzut ciężki, niesprawiedliwy.

— O niedobra, o ty ukochana, ukochana...

Nic nie widzi, łzy szczęścia zalewają mu oczy; chce mówić, łkanie tylko wyrywa mu się z głębi duszy rozszlochanej. Na kolanach czołga się, stopy jej ogarnia rękoma, do stóp usta przyciska, spragnione, ubóstwiające. Nie widzi — ale czuje ją, ale poznaje, ale roztapia się cały w szczęściu niewiarogodnem...

— Dnie i noce o tobie, tylko o tobie... Całe lata... Długie, samotne lata... Umarłaś, umarłaś bez słowa pożegnania, odeszłaś obojętna, bez spojrzenia, o okrutna pani moja!... Z tobą umarłem. Duszę moją na proch starłem, sprawą ziemi żyłem, upijałem się ślepym czynem, a wspomnienie odpędzałem, a pamięć twoją żelazem czerwonem wypaliłem, sycząc w bólu milczącym. I żyłem... i żyłem, czyniłem jak inni, jak żywi, jak wszyscy. Aż do tej chwili, aż do tej chwili, kiedy tu u nóg twoich...

Nie śmie spojrzeć do góry, w twarz jej, tylko do stóp przyciska się mocno, mocno... Jakby jeszcze nie uwierzył, jakby się bał, że się

rozpłynie i zniknie, jak już tyle razy znikała mu w niezliczonych tęsknych jego snach.

— Więc to jest prawda? Więc to prawda?

— Nie wierzysz?

Podnosi oczy i całą duszą rozmodloną wpatruje się w nią. Tonie cały w zapatrzeniu. Z jedną, jedyną myślą — okrzykiem, myślą, modlitwą:

— O ukochana! ukochana!...

— Czekałam cierpliwa, czekałam wiedząca. I przyszedłeś!

Oczy drogie, niezapatrzone oczy, spokojne, jak głębia cichych wód.

— Przyszedłeś — bądź pozdrowionym na świecie wysp szczęśliwych, bądź pozdrowionym, bracie bliski, bracie na wieki wieczne...

Taką jest, jak wówczas przy pożegnaniu ostatniem, jaką ją zapamiętała dusza w momencie ostatniego, już beznadziejnego spojrzenia, zanim zazgrzytała blacha trumny, zanim ją ponieśli na wieki... Ta sama sukienka biała, dziewczęca i bladość lic ta sama i ten sam spokój dziwny, niezgłębiony, wszechwiedzący. Jeno żyją oczy, jeno mówią usta, jeno jej ręka spoczywa mu na głowie...

— Nigdy się nie rozstaniemy, nie lękaj się, to nie sen — i odpowiada na jego myśl zalęknioną uśmiechem matki — to jest wieczność. Niech spokój nowego życia spłynie na ciebie! patrz...

Stali na brzegu wielkich modrych wód. Cicho szeptały przeźroczyste fale przypływu. Aksamitne omszałe głazy i kępy wiosennie zielonych drzew, a wokoło, jak oko zasięgło łąki, łąki, łąki... W oddali kreśliła się na tle lazuru przeczystego nieba cudna, falująca linia dalekiego lądu, który cały błękitny stał na kresie wód.

I o nic już nie pytał, znikła w nim wszelka ciekawość. Wszystko już wiedział, zrozumiał, jak ci, którzy przechodzą granicę życia — śmierć, i już nie wracają.

Teraz idą ręka w rękę, zapatrzeni w siebie. Kędy idą? Co jest tam — za wzgórzem zielonem, ku któremu wije się ich droga? Co jest tam za błękitnym zrębem wyspy dalekiej? Co mówi szum morza, co szepce chłodny powiew-przybysz z dalekich, wyrastających w obłoki śnieżnych szczytów? O czem gwarzą drzewa, duchy bratnie, komu kłaniają się trawy?...

Wszystko wiadomo.

I przeszłość — od snów niemowlęcych, od wspomnień wczesnego dzieciństwa — i każdy krok i każdy moment i każda myśl długiej życia i godzina śmierci i przyszłość cała, jasna, wielka, otwarta, wi doma... Wieczność! Wieczność!

Słów mu braknie — więc myślą czystą i wyraźną spojrzał ku duszy — siostrze...

— Gdzie ona? Gdzie? Gdzie?

Ocknęła się w nim pogrzebana trwoga ludzka, odezwał się strach krzyczący, strach człowieczy. Obudziło się myślenie obmierzłe, myśl więzień zakołatała o twarde sklepienie czaszki, wyrwać się chce, wypowiedzieć, wylecieć, zrozumieć!...

Niema! Niema!

Rozgląda się w rozpaczy. Skąd te ołowiane chmury, ciężkie, grożące? .Czemu morze takie złe, ryczące, czarne, czemu coraz ciemniej?

Co chwila podpełzają mu pod same stopy ciężkie, spienione zwały czarnych wód i z rykiem roztrzaskują się o głazy, ciskają weń ulewą kropel ciężkich, gorzkich, zimnych...

I precz w nieskończoną dal, aż do samych chmur ołowianych, które wciąż wyłażą z za widnokręgu, rozlewa się i szaleje pustynia złych wód, sina, niezgłębiona, nieprzebyta otchłań...

Coraz ciemniej — czarność wód zlewa się z czarnością nieba i wstała i zapanowała wszechwładnie pomroka...

W niej pasuje się i targa myśl skołatana, odgadnąć chce, obudzić się chce, przywrócić to — co było, wyratować z czarnej topieli... Co za męka...

Aż niewiadomo skąd, niewiadomo, blizko czy daleko, na tle ciemności, zatliło się pasemko nikłego światła i przykuło szukające oczy.

Stoi gdzieś w przestrzeni szczelinka i prószy małym promyczkiem i na coś napomyka i coś przypomina...

— Przekleństwo... —

— Więc to sen, tylko sen, jak zawsze.

Obolałą i opadłą aż na samo dno rozpaczy duszą - sierotą ścigał ukochaną marę. Przed chwilą była, stała przed nim, żywa, mówiąca. Oto przed chwilą mówiła: „już na zawsze!“ Oto mówiła: „już umarłeś!“ Sen.

Całą siłą pragnienia, całą mocą wyobraźni wołał do siebie obraz ukochany, ręce wyciągał w ciemność, przymykał oczy i modlił się:

— Choć na sekundę jeszcze... ulituj się... przybądź!...

Ciemności zaczęły się mieszać i kłębić. Przepływały długo, jakby chmury czarne, jakby kłęby dymu na tle dalekiej łuny pożaru. Z czarnych jak sadze chmur układać się zaczęły twarze wyraziste, zasępione, twarze natchnione o płonących oczach i ustach otwartych do okrzyku, przecudne tragiczne oblicza kobiece, pochylone cierpieniem głowy... przepływały szybko, jakby gnane wichrem, wzniesione ze zgrozą ramiona, ręce okute w łańcuchy, ramiona wytrząsające orężem, grożące zaciśniętą

pięścią, szły tłumy zapatrzone kędyś w cel daleki, a nad morzem głów chorągwie o znakach dziwnych, nieodgadnionych...

Szły całe światy uczuć, pragnień i trosk niewymownych, płynęły łzy żywe, uosobione żale przelewały się morzem głów cierpiących, mrowiem twarzy napiętnowanych bólem...

Co chwilkę zamierała w nim dusza, bo zdawało mu się, że w korowodzie cieniów poznaje upragnioną postać. I zawsze napróżno...

Oto układa się kształt łudząco podobny, nadpływa w obłoku tajemniczym Ona, coraz wyraźniej widzi i już jest pewny, wyciąga ramiona... Jeszcze chwila i postać opuści szeregi cieniów i spłynie ku niemu, stanie się ciałem, życiem, jawą. Przemówi doń słowem... Stanie się na nowo prawdą to, co snem się wydawało przed chwilą. Wmawiał w siebie z rozpaczą, że to jest możebne. Błagał sam siebie i zaklinał: „uwierz, uwierz!...“

Ale już zbliżała się bolesna chwila wytrzeźwienia, już nieubłagany rozsądek przecierał oczy, rozglądał się wokoło po chaosie myśli. Płoszył ułudy, przebijał gromady cieniów, gasił wypływające postacie, wbijał je w ciemność. Gasły jedna po drugiej posłuszne, bezsilne. Umierały po kolei z niewiadomą myślą na skupionem czole, z nieznajomą troską w smutnych oczach, z urwanem spojrzeniem, z uśmiechem przerwanym z niedokończonym gestem...

Aż została tylko ciemność. W niej zamdlił się wątły promyczek światła i stał, tkwił, raził w oczy. Stał na straży, pilnował marzenia, żeby się nie rozlewało za daleko, baczył, żeby myśl rozbujana pamiętała o granicy swojej.

Przypominał wszystko, co istnieje nieubłagane i nieprzemożone, jak mury więzienia, jak kraty więzienne — niespożyte, niezwalczone.

Ostrzegał wymownie, że są rzeczy, których zaspać nie można, bo staną do oczu, skoro tylko podniosą się senne powieki.

Że z poza tłumów przywidzeń, z za rojowiska bólów nieprawdziwych i cierpień sennych przejrzy zawsze jak z za chmur przeraźliwe słońce rzeczywistości. Łzawią się porażone źrenice, skręca się myśl i czucie w obolałym mózgu i nie poradzisz człowieku, nic nie poradzisz...

Chciał zakrzyknąć głośno, przeraźliwie. Chciał bić pięściami we drzwi. Robić hałas, wywołać skandal i zamieszanie, ponury nocny zamęt więzienny. Żeby klnąc poruszyli się ze swoich ław zaspani klucznicy, żeby niewiadomi towarzysze ocknęli się ze snów po celach swoich, żeby się wpatrywali długo w ciemność, nasłuchując odległej, tajemniczej wrzawy...

Cisza przeraźliwie dzwoni po napiętych strunach mózgu. Okropna bezładna symfonia o zgrzytliwych niebywałych akordach. Leci, pęd i

scherzo szatańskie, grzmi i szydzi na tysiącu niebywałych instrumentów, z fałszywym porykiwaniem trąb mosiężnych, z okropnym nie do wytrzymania niskim wtórem fagotów, łupi nie w porę bęben, walą bez litości po ciemieniu mosiężne talerze. Grają dyabli — grają...

Aż ze środka wrzawy dobędzie się na moment przeczysty, potoczysty, wielojękliwy akord srebrnej harfy. Błogosławiona ręka wybierze potrzebne struny i duszy zbolałej odpowie, jak siostra, jak kochająca matka i usypia duch i łzy wytrysną — wdzięczne. A już gwałt piekielny zagłuszy samo wspomnienie harfy i szarpnie wnętrznościami duszy raz i drugi i dziesiąty, aż do jęku, do niewytrzymania...

Coraz wolniej, coraz wolniej obraca się koło zgrzytów i wrzasków, jakby ustawała potworna katarynka szatańska; rozciągają się tony, słabną, konają, pojedyncze takty melodyi rozciągają się na całe mile i nudzą i męczą...

Aż z całego chaosu ocaleje i wysunie się jeden pojedynczy ton i ciągnie się i wlecze nieskończony, niewyczerpany. Długo, długo wierci w uchu, wkręca się do mózgu, obraca duszą, jak na rożnie...

Juszkiewicz chrząka, gada do siebie, tłucze się po pryczy, próbuje nucić fałszywym głosem, tłumić, głuszyć ton obmierzły. I tyle zyskuje, że głośniej wzmaga się ton, że zapełnia całą celkę od sklepienia do podłogi, rozpiera ściany, grzmi, oszałamia...

Cisza — cisza..

Głuche, rozpaczliwe, niegodne człowieka łkanie nurtuje w piersi, za moment dobędzie się, za moment rozszaleje się w spazmie niepowstrzymanym... oto zaraz coś się stanie, coś się odmieni...

Jakaś rzecz straszliwa, nieprzeniknięta, nowa, niebywała...

Tu natychmiast dokonać się musi...

Musi, musi...

Zniknie i zapadnie się wszystko co dręczy, co gniecie, co w czaszkę wali młotem...

Wszystka pamięć i wszystko czucie... Codzień oszukiwane nadzieje, codziennie odżywiająca się rozpacz...

I to, co przeminęło i to, co czeka...

I ta cisza przeklęta...

Tylko moment rozwagi, moment zastanowienia...

I tylko odrobinę siły, źdźbło odwagi. O Boże daj, Boże daj, o ty Niewiadomy!...

Jedna chwila...

Byle się tylko podnieść, byle wstać, byle o niczem innem nie myśleć...

Jedna chwila...

Oto mur twardy, mur kamienny, oto mur wybawiciel...

Napróżno porywa się z pościeli. Za każdym wysiłkiem podcinało go, jak kosą śmiertelne osłabienie. Opadł wreszcie wyczerpany i leżał bez ruchu, spokojnie, jak leżą umarli.

Co chwila wyrywały się jeszcze do lotu okruchy myśli, zaczynało się coś kleić, układać w treść zrozumiałą i w tymże momencie rozpadało się wszystko na szczątki. Urywki niejasnych obrazów zwodziły, mieszały się, mąciły...

Gdzieś w niezapamiętane wspomnienie oddalał się ból i troska, gdzieś pośród dalekiej, dawno zda się przebytej drogi, zostawało wszelkie czucie, gdzieś głęboko zakopany w mogile leżał ktoś inny, człek sterany i nieszczęsny, jakiś znajomy stary i wiadomy, jeno imienia jego przypomnieć sobie nie mógł żadną miarą. Któżby to był? Ktoby to mógł być?... Przypomni go sobie jutro.

Teraz łagodna dłoń zaciskała mu powieki. Droga dłoń. Spoczęła na spotniałem, zbrużdżonem czole i ostatnia iskierka myśli zgasła i utonęła w cichej niezgłębionej ciemności.

Cisza — cisza...

Sen kamienny, sen bez widziadeł, sen dobroczyńca i brat. Lekarz dusz chorych.

Utęskniony gość w długiej męce bezsennych nocy.

Bóg i anioł, do którego modlą się więźniowie z twardych pościeli swoich, tam, za kratą, za grubym murem osamotnienia...

Przyszedł.

I oszalała w męczarniach dusza zapomina siebie i usypia, usypia...

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

SOCYALIZM A KWESTYA POLSKA.

IV. (Ciąg dalszy).

Kwestya mniejszości narodowych.

Dotychczas mówiliśmy o Polakach w Polsce. Mówiliśmy o tych Polakach, którzy zwartą masą, w każdej dzielnicy i na każdej mili kwadratowej stanowiąc bezwzględną większość, zamieszkują ten określony szmat powierzchni globu, który nazywamy Polską etnograficzną. Stwierdziliśmy, że dla tych Polaków socyalizm może się urzeczywistnić tylko jako socyalizm w Polsce, oparty na demokracyi w Polsce, że zaś demokracya w Polsce może być tylko — polską demokracyą.

Są jednak i Polacy poza Polską.

Jest ich nawet dużo. Mało jest Francuzów poza Francyą, bo Francya jest wolną; mało jest Szwedów poza Szwecyą, bo Szwecya jest zamożną. Ale Polaków poza Polską jest dużo, aż nadto dużo, bo Polska pogrążoną jest w ubóstwie i niewoli.

Galicya niema wielkich miast, a od stolicy Polski odgrodzoną jest kordonem; to też dziesiątkom tysięcy polskich robotników za surrogat stolicy służy Wiedeń, a raczej najobskurniejsze zakątki Wiednia. Zabór rosyjski i pruski nie mają ani jednego uniwersytetu polskiego, ani jednej rządowej szkoły polskiej; to też młodzież polska tuła się po wszechnicach niemieckich, szwajcarskich, francuskich, rosyjskich. Chłopu polskiemu ciężko, bardzo ciężko zarobić na kupno kilku morgów ziemi pracą najemną w ojczyźnie; to też szczycimy się aż dwoma milionami rodaków zamorskich, którzy się pocą w podziemiach kopalń pensylwańskich, duszą się w brudnem piekle „Packingtownu“ w Chicago, marzną w Kanadzie, albo dziczeją i żenią się z murzynkami w Paranie. Rząd carski nie lubi Polakom dawać posad w Polsce; to też spotyka się Polaków jako kupców w Irkucku, jako inżynierów w Gruzyi, jako oficerów w Turkiestanie, jako pułkowników żandarmskich w kraju czarnomorskim, jako komisarzy policyi w Kazaniu i jako sutenerów w Baku. Twarda łapa krzyżacka tłumi i paczy rozwój polskiej kultury pod zaborem pruskim, brutalnie zabrania chłopu i robotnikowi polskiemu dostępu do ziemi ojczystej, stara się tłumić i rozwój przemysłu polskiego; to też, podczas gdy Polacy gdańscy zaledwie się ośmielają głośno powiedzieć dwa słowa po polsku na ulicy, Sobot i wybrzeża kaszubskiego stała się faktem ignorowanym nawet przez tysiące „narodowców“ polskich *), kolonie polskich górników w Westfalii rosną i rosną. Już się tam ani jeden szyb zawalić nie może, żeby kilku Polakom czaszek nie zdruzgotał.

Jaką powinna być nasza polityka narodowa wobec tych rozprószonych po świecie mniejszości polskich?

Zastanówmy się. Państwo demokratyczne może być tylko swojskiem

*) Niedawno nawet nader sympatyczny skądinąd poeta, p. Jan Lemański, zblamował się okrutnie, piorunując wierszem przeciw zwiedzaniu Sobot, jako letniska pruskiego. Tymczasem Soboty, mimo urzędowego pokostu pruskiego, są w rzeczywistości jedynem p o l s k i e m letniskiem nadmorskiem, a omijanie Sobot przez polskich letników ciężką szkodę przynosi polskiej sprawie narodowej, bo na polskich letnikach zarabiają miejscowi rybacy polscy, podczas gdy goście niemieccy starają się zatrudniać wyłącznie swoich. Tak więc biedni Polacy nadmorscy podwójnie są bojkotowani: przez hakatystów i przez „narodowców“ warszawskich. I po cóż to p. Lemański wtrąca się do polityki, kiedy nawet nie zna granic Polski etnograficznej?

państwem. Jakiem więc może i powinno być państwo demokratyczne w Gruzyi? Oczywista, że gruzińskiem. A w Stanach Zjednoczonych Ameryki? Oczywista, że anglo-amerykańskiem. A w rdzennych Niemczech? Jasna rzecz, że niemieckiem.

Jakiż więc cel może mieć polityka narodowa, ciesząca się z powstawania coraz nowych „placówek polskości“ od kraju Czukockiego aż do Sahary, nawołująca kolonie polskie w najodleglejszych strefach do zachowania swojej odrębności narodowej i politycznej, odgradzająca polskich wychodźców, ich synów i wnuków murem pychy narodowej od krajowców, z którymi chcąc nie chcąc razem żyć i pracować muszą, a jednocześnie zgoła nie wzywająca ich do powrotu, a tylko do „wytrwania“ w rozproszeniu?

Żadnego. Do kładzenia podwalin pod przyszłe państwo polskie taka polityka przyczynić się nie może. A zatem nic nie może.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Co innego polityka, a co innego działalność-kulturalno-oświatowa. Gdziekolwiek na świecie żyją ludzie, mówiący, myślący i śniący po polsku, wszędzie tam w imię jak najpomyślniejszego rozwoju kulturalnego tych ludzi pożądanem jest, żeby im naukę i wiedzę podawano w języku polskim. To też zakładanie polskich czytelń, polskich gazet, polskich szkół we wszystkich tych ośrodkach zagranicznych, dokąd ustawicznie docierają coraz nowe fale wychodźtwa polskiego, jest rzeczą dobrą i pożyteczną. Ale jest to tylko zaspakajanie chwilowych potrzeb kulturalnych; nie jest to jeszcze polityka narodowa. Albowiem ci wszyscy wychodźcy polscy, o ile się już na dobre osiedlili na przykład w Ameryce, a powrotu do Polski już ostatecznie zaniechali, tem samem właściwie już stali się członkami społeczeństwa amerykańskiego, a członkami polskiego być przestali. Z czasem postarają się o obywatelstwo amerykańskie; synowie ich przejmą się amerykańskim patryotyzmem, a jeśli wkońcu i mowę krajową przyjmą za swoją, a polskiej mowy zapomną, to będzie to całkiem naturalnem uwieńczeniem raz obranego kierunku rozwoju. Dla tych, którzy stale pozostają w Ameryce, innego wyjścia niema, bo w granicach żywego i kwitnącego narodu niema miejsca na jakieś separatki prawo-państwowe, w rodzaju ambasad europejskich w Pekingu. Ba, na dłuższą metę nawet i na separatki kulturalno-oświatowe miejsca niema. Jeśli tylko przybysze są równouprawnieni z ludnością miejscową, to bez żadnego przymusu i nakazu ci przybysze stopniowo się zespalają z otoczeniem. Społeczeństwo miejsco wchłania ich w siebie, jak każdy żywy organizm wchłania w siebie ob ciała, pokrewne mu składem i budową, a zatem przydatne na poka I dobrze się stanie, bo raz oderwawszy się od dawnej ojczyzny,

chodźcy dopiero przez całkowite zrośnięcie się z nową ojczyzną na nowo stają się ludźmi, żyjącymi pełnią żywota. To zaś, co leży pomiędzy utratą dawnej ojczyzny a całkowitem utożsamieniem się z narodem ojczyzny przybranej — to stadyum przejściowe, bolesne i poniżające. Życie w „kolonii" rodaków na obczyźnie, którzy nie znają kraju, w którym żyją, którzy obojętnie, bez zrozumienia nawet patrzą na radość i rozpacz rojących się koło nich milionów ludzi, którzy nie poczuwają się szczerze i serdecznie do żadnych obowiązków wobec narodu, co dokoła nich pracuje i walczy, nie czują przywiązania do tej ziemi, która dokoła nich co wiosnę zieleni się i zakwita, a okropną tę dziurę w swojem człowieczeństwie, zapełniają bezkrwistym patryotyzmem z oddalenia, poza okolicznościowemi składkami groszowemi nie obowiązującym do żadnych czynów, stającym się z roku na rok coraz bardziej frazesem, w najlepszym razie czczym, w gorszym razie obłudnym — to życie ścieśnione, zubożałe, pozbawione polotu i godności, słowem: ghetto. Im dłużej to stadyum ghettowe trwa, tem ohydniej dusze pleśnieją. Nie żyje się w kraju, ani w mieście chociażby, ani nawet w dzielnicy miasta, a tylko w „kolonii", zanikają wszelkie szerokie widnokręgi, a natomiast każda marna ploteczka wewnątrz „kolonii" olbrzymieje do rozmiarów zdarzenia dziejowego. Organy solidarności narodowej, ogólno-społecznej, ba, nawet klasowej, wskutek długiej bezczynności więdną, a na tle spustoszenia dusz rozpiera się geszefciarstwo. A wybrnąć z tego bagna ghettowego można tylko albo przez całkowite zespolenie się z żywiołem miejscowym, albo przez powrót do dawnej ojczyzny. To też tylko przez powrót do Polski mogą się rozproszeni po świecie wychodźcy polscy na nowo stać czynnymi członkami narodu polskiego; członkowie bierni zaś narodowi, walczącemu o byt zagrożony, na nic się przydać nie mogą.

A zatem zaopatrywanie polskich kolonii na obczyźnie w polskie gazety, czytelnie i szkoły należy wprawdzie uznać za całkiem poczciwą pracę kulturalną, niemniej niż leczenie Jakutów chorych na ospę, ale dla narodu w politycznem, mówiąc wyraźniej: państwotwórczem tego słowa znaczeniu, ta praca kulturalna ma znaczenie tylko o tyle, o ile się tyczy takich wychodźców, którzy do kraju wrócić mogą i chcą.

Ale czy nie należy stawiać żadnych żądań politycznych w obronie naszych rodaków na obczyźnie?

I owszem. Jeśli nasi rodacy na obczyźnie są krzywdzeni, to należy się domagać naprawy tych krzywd. Jeśli na przykład zarządy kopalń westfalskich narażają górników polskich na śmierć lub okaleczenie, nie tłumacząc przepisów bezpieczeństwa na polskie, to należy się domagać

usunięcia tego bezprawia; należy żądać, żeby, gdziekolwiek praca robotników polskich została uznaną za potrzebną przez klasy rządzące (a masowe sprowadzanie Polaków jest dowodem takiego uznania), i język tych robotników należycie uwzględniano. Tylko pamiętajmy, że póki jesteśmy zmuszeni stawiać takie żądania, póty jesteśmy narodem bardzo, bardzo biednym — bo narodem, który swoim własnym synom nie potrafi zabezpieczyć możności życia i pracy w ojczyźnie. A dopóki tego nie potrafimy, dopóty naród nasz nieustannie narażonym będzie na utratę krwi przez wychodźtwo. I to krwi najlepszej, bo niestety emigrują nie mazgaje ani niedołęgi, tylko najdzielniejsi. Prawda, że niektórzy z nich wracają, wzbogaceni nie tylko w pieniądze, ale i w doświadczenie i wiedzę, ale wracają zestarzali, sterani, i powrót ich jest nieco wątpliwą kompensatą za to, że kraj przez tyle lat z ich energii i pracy nie korzystał, za zdziczenie obyczajów przez długoletnie życie w skrajnej nędzy, brudzie i poniewierce, a przedewszystkiem za pogorszenie rasy przez wyniszczenie sił fizycznych. Bo żaden pies na świecie nie żyje gorzej, niż właśnie ci z pośród naszych wychodźców zarobkowych, którzy jeszcze powrotu nie zaniechali; dla nich życie na obczyźnie nie jest celem, a tylko środkiem do posyłania jak najwięcej pieniędzy do domu. Dlatego to niejeden z nich wyjeżdża jako młodzieniec, a wraca jako szczątek człowieka. A ilu jest takich, którzy wyszli z zamiarem powrotu, a jednak straceni są dla narodu bezpowrotnie!

A cóż dopiero powiedzieć o emigracyi sezonowej! Prawda, ściąga ona pieniądze do kraju; szczególnie Galicya jest dzisiaj taką dziwaczną krainą, gdzie nie burżuazya gromadzi kapitał, tylko chłop i robotnik rolny. Ale czyż istotnie możemy być dumni z tego, że od Szwajcaryi aż do Danii wszelkie najpodlejsze dziury zapycha się robotnikiem polskim? Czyż istotnie możemy się cieszyć z tego, że corocznie parę set tysięcy polskich wieśniaków idą krwią swoją i potem bogacić hakatystycznych junkrów pruskich? A nie zapominajmy, że polski robotnik wędrowny w Prusach jest prawie całkiem wyjęty z pod prawa; pracując na polach junkra, podlega pruskiej ordynacyi służbowej, pozwalającej na chłostę; nadto jako obcokrajowiec za najmniejszą sprzeczkę z junkrem, może być natychmiast wydalonym za granicę. Więc siedzi cicho, kontentuje się skromną płacą, znosi wymyślania, a bodaj nawet kopnięcia, bo inaczej natychmiast odeszlą go won, i już cały sezon na dyabła. Czyż istotnie mamy się czem szczycić, że takiemu systemowi wychowawczemu powierzamy rozwój kulturalny naszego ludu?

Zadaniem polityki narodowej wobec emigracyi powinno być: u c z y n i ć e m i g r a c y ę z b y t e c z n ą.

W dzisiejszych warunkach wszelkie utrudnienia paszportowe dla wychodźców, wszelkie biurokratyczne szykany, mające niby tamować ten ciągły upływ drogocennej krwi narodu, psu na buty przydać się nie mogą. Lud chce żyć, a w kraju wyżyć nie można, bo szlagon płaci trzydzieści centów dziennie. A zatem lud jest w prawie, szukając sobie możności życia chociażby u antypodów. Postarajmy się, żeby życie w Polsce było możliwem dla wszystkich naszych rodaków, a emigracyi nie będzie. Niech zniknie w Polsce wielka własność ziemska, niech cała ziemia polska stanie się dostępną dla ludu pracującego — a trzy czwarte emigracyi zarobkowej ustaną. Niechaj kapitały, obecnie trwonione przez gnuśną magnateryę i szlagoneryę, obrócone będą na uprzemysłowienie tych dzielnic polskich, gdzie dotąd przemysłu brak — a emigracya robotników ustanie zupełnie. Niechaj w Polsce nastaną polskie rządy i szkoły, a inteligencya polska nie będzie już szukała zarobku w Rosyi. Niechaj szkolnictwo polskie, wyzwolone z pod zgubnych wpływów najazdu i swojskiego kołtuństwa, zakwitnie swobodnie i bogato, a „kolonie polskie" przy uniwersytetach zachodu i wschodu, zmaleją i zmienią swój charakter: z gromad młodzieży, zagranicą szukającej chleba i oświaty, którego im poskąpiono w ojczyźnie, zamienią się na grona specyalistów, już poprzednio całkowicie wyszkolonych w kraju, a pragnących tylko zagranicą doskonalić się w niektórych specyalnościach.

A więc „placówki" polskie rozsiane po Europie zachodniej i Ameryce, to placówki tymczasowe; samo ich istnienie świadczy o naszem upokorzeniu i nędzy. Najlepsza ich obrona: zwinąć je, otwierając wychodźcom możliwość powrotu na ziemię ojczystą. Uczynimy to, wywalczając na naszej własnej ziemi Niepodległą Rzeczpospolitą Polską i urządzając ją zgodnie z zasadami demokratycznego socyalizmu. A wtenczas, daj Boże, nie będzie już Polaków w Westfalii.

Ale przecież mamy także placówki polskie na kresach wschodnich, na ziemiach, które należały do dawnej Polski, a które według Marksa i Engelsa i do przyszłej Polski należeć mają? Przecież mamy polskie dwory szlacheckie od Żmudzi i Inflant aż po morze Czarne, mamy liczne zaścianki polskie na Litwie, a szczególnie na Białej Rusi, mamy mniej lub więcej liczne odłamy polskie pośród mieszczaństwa Kowna, Wilna, Grodna, Mińska i tylu innych miast Litwy, Białej Rusi i Ukrainy aż het poza Dniepr, mamy wcale pokaźne zastępy robotników polskich w Kijowie i Odessie?

Tak! Mamy. I ani na chwilę nie myślę zaprzeczyć, że te placówki polskości na kresach dawnego państwa polskiego mają dla serca każdego Polaka całkiem inne znaczenie, niż kolonie emigracyjne. Pozbawieni wła-

snego bytu państwowego, staliśmy się czułymi, jak sieroty dla mogiły matki, dla wszelkich zabytków dawnej państwowości polskiej. A te dwory i zaścianki, rozsiane między Bugiem a Dnieprem, to właśnie żywe pamiątki dawnej potęgi narodu polskiego. A przytem nie są to posterunki wczoraj lub przedwczoraj zajęte, tylko placówki, z któremi się wiążą wspomnienia kilkowiekowe. Niemniej jednak pewnikiem jest, że wszystkie te polskie mniejszości na kresach, o ile się z miejsca nie ruszą, w skład przyszłego państwa polskiego, ani też w skład demokratycznego społeczeństwa polskiego wejść nie mogą.

Złóżmy hołd przeszłości i przyznajmy, że ślady dawnej państwowości polskiej są naszym uczuciom drogie nawet tam, gdzie państwowość ta była najezdniczą i krzywdzicielską. Ale złożywszy ten hołd, miejmy także odwagę zajrzeć prosto w oczy prawdzie spółczesnej i uznać, że w okresie zwycięskiego pochodu demokratyzacyi dawne placówki panującego ongi żywiołu polskiego na Litwie i Łotwie etnograficznej, na Białorusi etnograficznej i na Ukrainie etnograficznej już żadnej przyszłości nie mają. Oparły się one stuletniemu prześladowaniu przez zaborcze państwo rosyjskie, ale ulegną niechybnie przed budzącą się samowiedzą społeczeństw miejscowych. Historya nie zrobi wyjątku na naszą korzyść; wszechpotężna fala demokratyzacyi, która wszędzie wydobywa na wierzch narodowość ludu pracującego, i przed naszymi kresami się nie zatrzyma. Więc i te kraje się zdemokratyzują. A na Litwie zdemokratyzowanej, gdzie już żaden mur kastowy nie będzie odgradzał polskiego szlachcica czy mieszczanina od chłopa litewskiego, Polak będzie dziesięć razy częściej rozmawiał z Litwinem po litewsku, aniżeli z Polakiem po polsku, po prostu dlatego, że Litwinów jest dziesięć razy więcej; a zatem pierwej czy później litewska stanie się jego mową ojczystą. Tak samo Polak, żyjący jako równouprawniony współobywatel z kilkoma tysiącami Ukraińców, a z setką zaledwie Polaków, z czasem stanie się Ukraińcem. Słowem, im radykalniejszem będzie wyzwolenie z pod najazdu carskiego, im gruntowniej zatarte zostaną wszelkie ślady prześladowań narodowych i wstecznictwa politycznego, tem szybciej żywioł miejscowy wchłonie w siebie mniejszości polskie wszędzie na kresach, od Maryenhauzu aż po Odessę. Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy mieli zobojętnieć na cierpienia naszych rodaków na kresach wschodnich, żebyśmy ich nie mieli bronić od krzywd, zadanych im przez kogokolwiek, żebyśmy nie mieli dążyć do zabezpieczenia ich od wszelkiego ucisk narodowościowego; aby jednak nie trwonić energii na wysiłki bez dziejne, powinniśmy sobie uświadomić, że dla naszej polityki narodov wszelkie mniejszości polskie na wschód od granicy Polski etnograficz

są z góry stracone — z wyjątkiem tych jednostek, które, opuściwszy kresy, w obrębie Polski etnograficznej się osiedlą.

Właściwem zaś i ostatecznem rozwiązaniem kwestyi polskiej na kresach, będzie ugruntowanie Niepodległej Rzeczypospolitej Socyalistycznej na ziemiach Polski rdzennej. Wolna Polska, planowo na największą stopę organizująca pracę narodową, pracę wszystkich swoich synów na służbie narodu i dla dobra narodu, celowo dążąca do jak najintensywniejszego zagospodarowania się na ziemi ojczystej od Tatr do Bałtyku i do wydobycia z niej wszelkich ukrytych skarbów — ta wolna Polska, ustanawiając jako jedno ze swoich praw zasadniczych, prawo do pracy w Polsce dla każdego Polaka, nie tylko na wieczne czasy koniec położy opłakanym wędrówkom polskiego ludu roboczego na zachód, ale także szeroko otworzy wrota dla rodaków ze Wschodu. Każda nowa kopalnia czy fabryka, założona przez polski rząd narodowy, da chleb coraz nowym zastępom polskich robotników, dotąd w Niemczech czy Ameryce pracującym; każda nowa szkoła, każdy nowy zakład naukowy albo leczniczy da zatrudnienie inteligentom polskim, przywołanym z Litwy i Rusi. Przedewszystkiem zaś szkolnictwo narodowe w Polsce będzie stało otwarte dla dzieci wychodźców i kresowców na równi z dziećmi Polaków krajowych; boć przecież te szkoły wychowywać będą swoich uczniów na pracowników w służbie narodu.

Dokona się tedy pośród Polaków kresowych pewnego rodzaju dobór społeczny. Ci z pośród nich, u których przywiązanie do kraju, w którym się urodzili, przeważy przywiązanie do polskiej mowy i kultury, pozostaną na miejscu i staną się Litwinami czy Rusinami; ci zaś, u których naodwrót polskość okaże się silniejszą od „tutejszości", stopniowo się przeniosą do Polski. To samo się stanie z Polakami na emigracyi; ci z pośród nich, którzy jeszcze nie będą zniemczeni lub zamerykanizowani, chętnie powrócą do ojczyzny, jeśli tylko ta ojczyzna swoim rozwojem gospodarczym i społecznym doścignie kraje zachodnie.

Jaki cel, taka droga. Jeśli celem ostatecznym jest skupienie wszystkich Polaków w Polsce, to po drodze do tego celu leży coraz lepsze zagospodarowanie się na swojej własnej ziemi, równolegle ze stopniowem zaniechaniem sporów kresowych, dzisiaj nieraz prowadzonych z tak krótkowzroczną namiętnością. Założenie ukraińskiej wszechnicy we Lwowie żadnego rozumnego Polaka już drażnić nie będzie, kiedy raz zakwitną polskie wszechnice w Poznaniu, Katowicach i Cieszynie; a ze spokojniejszem sercem rozpatrywać będziemy pretensye Litwinów do Wilna, kiedy Gdańsk będzie znowu naszym portem.

Nie jest to zresztą rzeczą upodobania, tylko rzeczą konieczności.

Oczywista, że bliski upadek caratu chwilowy tryumf gotuje długo uciśnionej polskości w miastach litewskich, ale ktoby chciał stan posiadania tej polskości utrwalić na przyszłość, tenby zatamować musiał nie tylko rozwój wolności politycznej, ale przedewszystkiem i rozwój przemysłu. Każde miasto przemysłowe rośnie szybko w ludność, daleko szybciej niż okoliczne powiaty. Ale też żadne miasto przemysłowe nie zdołałoby zaspokoić swojego szybko rosnącego zapotrzebowania rąk roboczych samym tylko naturalnym przyrostem ludności miejskiej; przeciwnie, *każde miasto przemysłowe rośnie przedewszystkiem immigracyą ze wsi*. Im bardziej jakieś miasto z drobno mieszczańskiego przeradza się na fabryczne, tem szybciej urasta w ludność, ale też tem bardziej przyrost immigracyjny góruje nad przyrostem naturalnym, i w tem szerszym promieniu powiaty wiejskie płacą miastu haracz młodzieńców i dziewic — haracz swoich synów i córek młodych, silnych, zdolnych do ciężkiej, naprężonej, wyniszczającej zdrowie pracy fabrycznej. Praca ta wraz z niezdrowymi warunkami życia w mieście z czasem podkopuje płodność, a przynajmniej obniża żywotność potomstwa; to też śmiertelność dzieci miejskich jest wielka, a śmiertelność dzieci proletaryatu miejskiego bodaj największa. Ale na miejsce tych pokoleń wyniszczonych, zużytych, wieś wysyła do miasta coraz nowe pokolenia ludzi młodych i zdrowych, podobnie jak w owym pięknym sonecie Franciszka Nowickiego, coraz nowe pokolenia kosodrzewiny szturmują dumny szczyt granitowy, aż go wkońcu zdobędą i pokryją swoją zielenią. Bez tych wędrówek wyludniałyby się miasta przemysłowe, dzięki im rosną jak na drożdżach. Dlatego to miasta innoplemienne, ta spuścizna po epoce rozbojów i podbojów feudalnych, w okresie kapitalistycznym toną i coraz bardziej tonąć będą w powodzi jednoplemiennego ludu roboczego, coraz liczniej napływającego ze wsi. Dlatego to, jednem słowem, *w okresie kapitalistycznym narodowość miasta zależy od narodowości wsi, a nie naodwrót*. Odrobina wolności politycznej wystarcza, aby uwidocznić tę przewagę liczebną, którą sobie okoliczny lud wiejski coraz bardziej i w mieście zdobywa. W ten sposób odniemczyła się Praga, która trzydzieści lat temu była miastem wyraźnie niemieckiem, a dzisiaj jest miastem niemniej wyraźnie czeskiem; w ten sposób odniemczyła się Lublana, stolica Słoweńców; w ten sposób stopniowo odniemczają się miasta na zachodzie Polski etnograficznej, od Cieszyna do Gdańska; ale też w ten sam sposób coraz bardziej odpolszczać się będą dawne grody polskie, położone na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie etnograficznej. I owo odniemczanie się i to odpolszczanie się zamaskować

można tylko niewolą polityczną proletaryatu przemysłowego, a istotnie zatamować tylko zdławianiem przemysłu.

A zatem konkluzya: przedmiotem państwo-twórczej polityki narodowej polskiej mogą być tylko ci Polacy, którzy mieszkają lub mają zamieszkać w Polsce etnograficznej.

Powtarzam zresztą, że ta zasada bynajmniej nie wyklucza obrony chwilowych interesów kulturalnych Polaków, rozproszonych po kresach wschodnich dawnej Polski. Z. przyczyn praktycznych obrona ta może nawet w pewnych chwilach przyjąć formę polityczną. Jeśli na przykład Ukraina etnograficzna stanie się niepodległą republiką ludową, to od tej republiki będziemy się domagać czegoś więcej, jak tylko biernej tolerancyi wobec polskiego żywiołu; będziemy się domagać utworzenia Polskiej Izby Oświatowej na Ukrainie, wybranej powszechnem i równem głosowaniem przez wszystkich tych z pośród dorosłych mieszkańców państwa, którzy się dobrowolnie do polskiej narodowości przyznają, upoważnienia tej Izby do ściągania od swoich wyborców podatku oświatowego w wysokości równej odsetce podatków przez rząd na cele oświatowe wydawanej, oraz do wystawiania kwitów uwalniających od płacenia takiejże części podatków rządowych, wreszcie upoważnienia Polskiej Izby Oświatowej do utrzymywania polskich szkół i zakładów naukowych wszelkiego rodzaju. O ile jednak rząd republiki ukraińskiej stawi słuszne żądanie, żeby bądź co bądź i w tych polskich szkołach w skład przedmiotów nauki wchodziła geografia i historya Ukrainy, tudzież nauka mowy i literatury ukraińskiej, a od spełnienia tego żądania uzależni dopuszczenie wychowańców polskich szkół do jakichkolwiek posad państwowych, to się tym sprawiedliwym wymaganiom zgoła nie sprzeciwimy. Będziemy tylko zapraszać tych z pośród naszych rodaków na Ukrainie, którzy będą woleli dać swoim dzieciom wychowanie wyłącznie polskie, aby nam te dzieci przysłali na bezpłatne wychowanie do Polski, a tym uczniom, w Polsce na synów Polski wychowanym, naturalnie przyznamy polskie obywatelstwo.



MIĘDZYNARODOWA ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

XXIX.

Drogi Panie!

Mr. Gev. N. Barnes, członek parlamentu, w odpowiedzi na zapytanie pragnie oświadczyć, że poglądy jego skłaniają go do odpowiedzenia: Nie, na pierwsze dwa pytania kwestyonaryusza w sprawie Polski rosyjskiej.

Na 3-e pytanie (a). Nie wpłynęłoby to ujemnie na politykę świata, przeto uważa za pożądane. (b) Jego zdaniem, niebezpieczne.

Wasz szczery

Gev. N. Barnes

per Gunning.

XXX.

Panie!

W kilku słowach, napisanych w odpowiedzi na Pańskie pytanie o Polsce, zlekka zaledwie zaznaczyłem me uczucia względem tego narodu, który kocham nie mniej od własnej ojczyzny i uwielbiam dla głębi jego ducha i misyi, jaką miał spełnić wśród narodów. Uchybiłbym obowiązkom, jakie na mnie wkłada owa miłość i uwielbienie, gdybym nie wyraził nieco szerzej (jakkolwiek w skróceniu), jak w głębi duszy odnoszę się do tej ważnej kwestyi.

Istota ducha polskiego jest przeważnie religijna. Polska rozwinęła się z podstaw chrześcijańskich; wyraźnie o tem świadczą jej obyczaje i instytucye.

To uczyniło z Polski wał obronny, który Europę cywilizowaną zasłaniał przed barbarzyńskimi narodami.

O ile pozostawała wierną tej zasadzie i temu duchowi chrześciańskiemu, dopóty wspierało ją ramię Boga; była silna, poważana, szczęśliwa.

Jednakowoż końcem XVI wieku, gdy znajdowała się u szczytu powodzenia, kryzys religijna wielkiej partyi w Europie poczęła rozluźniać pierwotną jej wiarę i czystość obyczajów. Wychowanie religijne, wypaczone przez jezuitów, wprowadziło do umysłów zarodki złego.

Ulegając początkowo pragnieniu spokoju, Polska niebawem zapragnęła przyjemności, używania, zbytków.

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE.

(Suite).

XXIX.

Dear Sir!

Mr. Gev. N. Barnes M. P. desires in reply to request to state, that the views he has, leads him to answer No, to the first two questions on your circular letter re Russian Poland.

3-rd (a) would not prejudically affect the world's politics and is he thinks desirable. (b) He regards as dangerous.

Yours sincerely

Gev. N. Barnes
per Gunning.

XXX.

Monsieur!

Dans les quelques mots que je vous ai écrit en réponse à vos questions sur la Pologne je n'ai fait qu'ébaucher l'essence de mes sentiments à l'égard de cette nation, que j'aime non moins que ma patrie et que je vènére à cause de la profondeur de son esprit et de sa mission parmi les peuples. — Je manquerais aux devoirs que cet amour et cette vénération m'imposent, si je ne vous manifestais pas un peu plus largement (quoique en raccourci) ce que je porte au fond de mon âme pour ce grave point.

Le fond de l'esprit polonais est essentiellement religieux, c'est sur la base chrétienne que la Pologne s'est développée: ses moeurs et ses institutions en sont le témoignage evident.

C'est cela qui a fait de la Pologne un rempart de l'Europe civilisée contre les peuples barbares.

Tant qu'elle fut fidéle à cette base et à cet esprit chrétien, le Bras de Dieu l'appuyait: elle fut forte, respectuée, heureuse.

Mais, à la fin du XVI siecle, au milieu de ses plus grands succés, par la crise religieuse d'une grande partie de l'Europe, sa foi primitive et la pureté de ses moeurs commencèrent á se relâcher. L'éducation religieuse faussée par les Jésuites, insinua dans les esprits les germes du mal.

Cédant d'abord au désir de la quiétude la Pologne glissa bientôt dans l'amour des plaisirs, de la jouissance, du luxe.

To rozluźniło jej charakter, gasząc coraz więcej święty jej ogień i czyniąc ją coraz mniej zdolną do spełniania jej misyi.

Wówczas powołał Bóg człowieka natchnionego. Płonąc miłością dla Boga i ojczyzny, Skarga, ten prawdziwy prorok, położył palec na ranie wewnętrznej, która pod pozorami wielkości i dobrobytu trawiła życie Polski. W przerażeniu, widząc jedynie przepaść, ku której zmierzała, — nie zwracając uwagi na szyderstwa, występował przeciw sceptycyzmowi, bezbożności, rozluźnieniu obyczajów i występkom szlachty, które w przyszłości zagrażały nawet bytowi ojczyzny: wzywał naród do pokuty i do nawrócenia się do Boga.

Jego nawoływania, groźby, przepowiednie nie znalazły posłuchu, zostały odrzucone ze wzgardą przez szlachtę, pewną swej pomyślności i wielkości.

Nie upłynęły dwa wieki, a przepowiednie proroka się ziściły. Zło wewnętrzne narodu, nie zniszczone w zaczątkach, wydało owoce, jakie był przewidział.

Polska utraciła swą niezależność. W ustawicznem wzburzeniu, buntowała się od czasu do czasu, nie przeciw własnemu złu wewnętrznemu, źródłu swego nieszczęścia, lecz przeciw narzędziom kary za to zło niezwalczone, zapominając słów Jezusa Chrystusa do Piłata: „nie miałbyś mocy nademną, gdyby ci ona nie była daną z góry“.

Stuletnie cierpienia, modły prawdziwych Polaków, spragnionych i łaknących sprawiedliwości, znalazły u Boga zmiłowanie. W wieku ubiegłym natchnął w łonie narodu polskiego innego człowieka niezwykłego, a przepowiedzianego przez poetów, Brodzińskiego i Mickiewicza: człowieka, będącego swym umysłem, ciałem i życiem, inkarnacyą prawdziwego ducha polskiego i chrześcijańskiego. Posłannictwem jego było nawrócić Polskę za pomocą skruchy na drogę chrześciańską, aby się na drodze tej podniosła, wydała owoce prawdziwego ducha chrześciańskiego w swem życiu prywatnem i publicznem i w ten sposob zajęła znów między narodami wzniosłe stanowisko, odpowiadające charakterowi epoki.

Nawoływania Skargi zostały odrzucone; tak samo nawoływania Towiańskiego. A cierpienia Polski się zwiększały. Pogrążeni w doktrynach materyalistycznych, rozczarowani pod każdym względem lub sceptyczni, Polacy dzisiejsi pragną odbudować Polskę na podstawach odmiennych, lecz bez podstawy prawdziwej; gdy duch odradzający raz się przejawiwszy, jak promienie słońca oddali mgł

Cela détrempa son caractére, éteignit peu à peu son feu sacré, la rendit de plus en plus incapable de poursuivre sa mission.

Dieu suscita alors un homme inspiré.

Brûlant d'amour de Dieu et de la patrie, Skarga, ce véritable prophete, mit le doigt sur la plaie intérieure qui rongeait la vie de la Pologne sous les apparences de la grandeur et du bien-etre. Ne voyant, avec effroi, que l'abîme vers lequel elle marchait — sans se soucier des railleries — il tonna contre le scepticisme l'impiété, le relâchement des moeurs et les abus des nobles, — qui menaçaient dans l'avenir l'existence même de la patrie: il appela la nation à la pénitence et au retour à Dieu.

Ses appels, ses menaces, ses prédictions, ne furent pas écoutées: elles furent repoussées avéc dédain par la noblesse, sûre de sa prospérité et de sa grandeur.

Deux siécles ne s'étaient pas écoulés, et les prédictions du prophète s'étaient accomplies. Le mal intérieur de la nation, n'ayant pas été détruit dans sa source produisit les fruits qu'il avait prédit.

La Pologne perdit son indépendance. Dans une agitation continuelle elle s'insurgeait de temps en temps — non pas contre son propre mal intérieur, source de son malheur, mais contre les instruments de la punition pour ce mal non vaincu, oubliant les paroles de Jesus-Christ à Pilate: „tu n'aurais de pouvoir sur moi, s'il ne te fut donné d'en Haut".

Les souffrances séculaires, les prières des vrais Polonais ayant faim et soif de la justice trouvèrent pitié devant Dieu. Dans le siécle passeé il suscita, au sein de la nation Polonaise un autre homme extarordinaire prédit par les poètes Brodzinski et Mickiewicz: un homme montrant incarné dans son esprit, dans son corps, dans sa vie, le vrai esprit polonais et chrétien. Il avait la mission de ramener, par la pénitence la Pologne sur la voie chrétienne; pour quelle s'élève sur cette voie, pour qu'elle produise les fruits du véritable esprit chrétien dans sa vie privée et publíque, et reprenne ainsí, parmi les nations, son poste elévé, propre au caractère de cette époque.

Les appels de Skarga ont été repoussés: les appels de Towiański le furent aussi. — Et les souffrances de la Pologne s'augmentèrent.

Fourvoyés dans des doctrines matérialistes, désabusés de tout ou sceptiques, les Polonais d'aujourd'huí cherchent une reconstitution de la Pologne sur des bases différentes mais sans la base vé-

i przez swą moc przyciągającą ponownie zjednoczy ten naród uświęcony, który bez tego będzie się rozkładał coraz bardziej.

Na nieszczęście Polska zatraciła duch prawdziwie polski i nie posiada już ideałów.

Lecz Polska nie umarła!... Polska prawdziwa drzemie tylko pod ciężarem przeciwności. Niechaj się zbudzi swym duchem! Niechaj żyje życiem wzniosłem, do którego jest stworzona! Tego nikt jej zabronić nie może. Skoro raz do życia takiego się zbudzi, Polska cała odrodzi się sama przez się i da narodom bratnim przez pokrewieństwo ducha i powołania podporę, jakiej od niej oczekują.

Dlatego Panu pisałem: „Z odrodzenia Polski w duszach prawdziwych Polaków łatwo wypłynie jej odrodzenie zewnętrzne i polityczne".

Racz Pan przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

Oddany
Tankred Canonico.

XXXI.

1. Wychodząc z zasady, że t. z. prawo narodów nie powinno być czynnikiem rozstrzygającym o sprawiedliwości dążeń któregokolwiek z narodów do niezawisłości politycznej, uważam za zbyteczne odpowiadać na dotyczące pytanie. Dążenie Polaków do przywrócenia politycznej niezawisłości w etnograficznych granicach jest samo przez się usprawiedliwione; rozstrzygającym momentem jest tutaj sama chęć, samo dążenie.

2. O wiele więcej złożony (skomplikowany) drugi punkt Pańskiego pytania (kwestyonaryusza), czy utrzymanie i dalszy samodzielny kulturalny rozwój polskiego narodu w granicach niezależnego państwa, leży w interesie ogólno-europejskiej kultury. Nie ulega wątpliwości, że zjednoczenie wszystkich cząstek etnograficznej Polski, dałoby możność całemu narodowi rozwijać się w sposób więcej naturalny, że usunęłoby nacyonalne spory, przedewszystkiem w dzisiejszej Galicyi na korzyść zarówno polskiego, jak i ukraińskiego narodu i uwolniłoby Polaków, żyjących pod panowaniem rosyjskiem od antikulturalnego ucisku, — wszelakoż z drugiej strony istnieje tylko bardzo słaba gwarancya, że Polacy w samodzielnem państwie potrafią posunąć naprzód nie tylko ogólno-europejską, a

ritable: tandis que, l'esprit régénérateur une fois pris et manifesté, comme le rayonnement du soleil, éloignera les brouillards, et par la force d'attraction ramènenera à l'unité cette nation sacrée; qui, sans cela, ne fera que se décomposer de plus en plus.

Malheureusement, la Pologne a perdu l'esprit Polonais vrai, et n'a plus d'Ideal.

Mais la Pologne n'est pas morte!.. La Pologne véritable ne fait que sommeiller sous le poids de ses contrariétés. Qu'elle se réveille dans son esprit! Qu'elle vive de la vie élévée qui lui est propre! — Personne ne peut l'empêcher de faire cela. — Une fois qu'elle vivra ainsi, la Pologne toute entière se reconstituera d'elle-mêma et donnera aux nations qui lui sont soeurs par l'affinité d'esprit et de vocation, l'appui qu'elles en attendent.

C'est pour cela que je vous avais écrit: „De la résurrection de la Pologne dans les âmes des vrais Polonais jaillira facilement sa résurrection extérieure et politique".

Veuiller, Monsieur, agréer les sentiments de ma considération bien distinguée. Votre dévoué

Tancrède Canonico.

XXXI.

1. Виходячи із засади, що т. зв. право народів не повинно бути рішаючим чинником про справедливість стремлїнь якого із народів до полїтичної незалежности, уважаю зайвим відповідати на дотичний запит. Стремлїня Поляків до приверненя полїтичної незалежности в етнографічних границях само собою оправдане; рішаючим моментом тут само бажане, само стремлїне.

2. Богато складнїша друга точка Вашого запиту: чи дальший самостійний культурний розвиток польського народа в межах незалежної держави лежить в інтересї загально-европейської культури. — Певна річ, що зединене всїх частин етнографічної Польщі далоби цїлому народови змогу розвивати ся в більше природний спосіб, що усунулоби національні сварки, передовсім в теперішнїй Галичинї, на користь польського і українського народа і увільнилоби Поляків, що під Пруссією і Россією, від антікультурного гнету, — алеж з другого боку є тільки дуже слаба запорука сього, чи Поляки зуміють у незалежній державі посунути вперед не то загально европейську, але хочби свою льокальну культуру. Не дає нам сеї запоруки ні польська історія, не дають нам її також ні найсьвіжіші прояви полїтичного житя, от хочби вислїд виборів до российської Думи, куди

i swoją lokalną kulturę. Nie daje nam tej gwarancyi ani polska historya, nie dają nam też najświeższe objawy politycznego życia, chociażby na przykład wynik wyborów do rosyjskiej Dumy, do której wysłano z Polski, - zupełnie naodwrót, jak się to stało w innych częściach Rosyi – samych arystokratów i zwolenników osławionej Narodowej Demokracyi; nie daje nam też tej gwarancyi rozwielmożniony wśród polskiego społeczeństwa czy narodu, klerykalizm, ani wkorzeniony tu duch historycznej Polski, który sam jest zaprzeczeniem zbudowania i istnienia niezależnej Polski w samych tylko etnograficznych granicach. Nadto nasuwa się jeszcze uwaga, że jeśli Polacy, będąc ugniecionym narodem, nie potrafili stworzyć prawdziwie demokratycznej kultury, to można spodziewać się tego o wiele mniej wtedy, gdy Polska stanie się niezależnem państwem. Wymownem świadectwem dla tego poglądu jest wzgląd na Galicyę, gdzie Polacy byli przez całe wieki politycznie wolnymi, a również i teraz zajmują od szeregu dziesiątków lat stanowisko wolnej, prawie że państwowej nacyi, a kraj ten dzisiaj — to urągowisko dla kultury.

Żeby jednak dać i pozytywną odpowiedź, to zauważam, że korzyść dla ogólno-europejskiej kultury będzie z niezawisłej Polski tylko wtedy, gdy nastanie możność powstania Polski, jako prawdziwie demokratycznej republiki. Dla tego celu polskie społeczeństwo musi się zdemokratyzować, a ten proces odbędzie się bez wątpienia prędzej przy pozostaniu Polski przy Rosyi, niż przy istnieniu niezawisłego polskiego państwa.

3. Jaki wpływ na europejską i światową politykę miałaby: *a*) przemiana rosyjskiej Polski w krainę autonomiczną, federatywnie złączoną z państwem rosyjskiem; *b*) przemiana całego etnograficznego polskiego terytoryum na niezależną republikę i t. d.? Otóż na bieg światowej polityki sprawa autonomicznej, czy niezawisłej Polski według mego zdania nie może mieć żadnego wpływu. Co zaś tyczy się europejskiej polityki, to powiedzieć muszę — że Polska, jako państwo niezawisłe, we formie demokratycznej republiki, lub w innej formie (w tym wypadku jest to rzecz mniejszej wagi) byłaby klinem wbitym między Rosyę a Niemcy i położyłaby kres niemiecko-rosyjskiej nienawiści, która wynikła głównie z powodu ziem polskich. Polska, jako tako byłaby bezpieczną przed Rosyą, która zresztą nie potrzebowałaby zbyt dotkliwie odczuwać utraty polskiego terytoryum, bo pomijając tę okoliczność, że Polska bądź co bądź dostarczała wielkiego kontyngentu rewolucyonistów

вислано з Польщі, зовсім навідворот, як се стало ся в иньших частинах Россії, самих аристократів і прихильників ославленої Народової Демократії, не дає нам сеї запоруки нї розвельможнений серед польського суспільства, чи народа клерікалїзм, нї закорінений тут дух історичної Польщі, що сам є, запереченем збудованя і істнованя незалежної Польщі в етноґрафічних тільки границях. Надто насуваєть ся ще увага, що, як Поляки, будучи придавленим народом, не потрафили створити правдиво демократичної культури, то можна надїяти ся сього богато меньше тодї, як Польща стане незалежною державою. Вимовним сьвідоцтвом за тим поглядом є згляд на Галичину, де Поляки були впродовж цїлих віків полїтично вільним народом, а и тепер займають від десятків лїт становисько полїтично вільної, мало що не державної нациї, а край сей сьогоднї — се наруга для культури.

Щоби однак дати і позитивну відповідь, то завважаю, що користь задля загально европейської культури буде з незалежної Польщі тільки тодї, як настане можливість повстати Польщі, як правдиво демократичнїй республїцї. Задля сього треба польському суспільству здемократизувати ся, а сей процес відбуде ся безперечно скорійше при оставленю Польщі при Россії, як при істнованю незалежної польської держави.

3. Який вплив на европейську і сьвітову полїтику малаби: а) переміна россійської Польщі в автономічну країну, злучену федеративно з россійскою державою; б) переміна цїлої етноґрафічної польської терріторії на незалежну республїку і т. д.?

Отже на хід сьвітової полїтики справа автономічної, чи незалежної Польщі, на мою думку, не може мати нїякого впливу. Що до европейської полїтики, то мушу сказати, що Польща, як держава незалежна в формі демократичної республїки, чи в якій иньшій (в сім випадку се річ меньшої ваги), булаби клином вбитим поміж Россію і Німеччину і положилаби кінець німецько-россійському ворогуваню, яке взяло ся головно з приводу польських земель. Сама Польща булаби сяк так безпечна перед Россією, що зрештою моглаби зректи ся панування над польською терріторією без болю, бо поминаючи сю обставину, що Польща доставляла будь щобудь великого контінгенту революціонерів (сей момент втратить на значіню із заведенем конституції), то Россія, відгородивши ся Польщею від Німеччини, зєдналаби собі вільну руку там, де лежить властива сфера її інтересів — на сході. Се булоби для неї корисно, не меньш як і виеманціповане з під польського, значно розвиненого промислу, що конкурує дуже небезпечно з россійським промислом. Однак трудно вдумати ся

(moment ten traci na znaczęniu z zaprowadzeniem konstytucyi), Rosya odgrodzona przez Polskę od Niemiec zyskałaby wolną rękę tam, gdzie leży właściwa sfera jej interesów — t. j. na Wschodzie. Byłoby to dla niej korzystnem, nie mniej jak wyemancypowanie się z pod polskiego, znacznie rozwiniętego przemysłu, który tworzy dla rosyjskiego niebezpieczną konkurencyę. Jednak trudno wmyśleć się w taką ewentualność, ażeby i drugi wielki sąsiad, Niemcy, mógł spokojnie patrzeć na istnienie niezależnej Polski. Położenie samodzielnego, ale stosunkowo niewielkiego polskiego państwa w sąsiedztwie mocarstwa militarnego, a więc i zaborczego, byłoby nie do pozazdroszczenia, nawet wówczas, gdyby Niemcy, zmuszone jakimiś chwilowymi stosunkami zgodziły się na odstąpienie swej części Polski. — Co zaś tyczy się trzeciej właścicielki polskiej ziemi, Austryi, to przywrócenie niezawisłości Polski możliwe jest albo na ruinach Austryi, a wtenczas tą niezawisłość byłaby jednem z następstw upadku Austryi i o wpływie Polski na europejską politykę nie możnaby wówczas mówić, albo odstąpienie polskiej części Galicyi możliwe jest wskutek narodowo-niemieckiej polityki w Austryi. W obydwu wypadkach byliby tym faktem bezpośrednio dotknięci galicyjscy Ukraińcy, którzy naturalnie dostaliby się chcąc niechcąc pod Rosyę.

Kiedy jednak poglądy te opierają się głównie na przypuszczeniach, to na zupełnie realnym gruncie opiera się idea autonomii rosyjskiej części Polski. Muszę tylko zauważyć, że podniesienie autonomii jednej tylko Polski w połączeniu z państwem rosyjskiem byłoby faktem niekorzystnym dla innych narodowości w Rosyi. Dlatego też Szanowna Redakcya Krytyki, której za zasługę trzeba poczytać to, że prawdopodobnie pierwsza ze strony polskiej poruszyła otwarcie przed światem sprawę przywrócenia niezawisłej Polski, wyłączając wyraźnie Litwę i Ukrainę — byłaby według mego zdania postąpiła jeszcze lepiej mówiąc nie o federacyi autonomicznej Polski z państwem rosyjskiem, lecz z innemi autonomicznemi narodowemi jednostkami pod berłem rosyjskiem; wierzę, że kiedy przyjdzie w rosyjskiej Dumie państwowej pod obrady pytanie narodowościowe, to sprawa autonomii Polski nie będzie rozstrzygniętą bez załatwienia autonomii innych rosyjskich narodowości. W walce o narodową autonomię nie p winni ani Litwini, ani Ukraińcy, Kaukazkie, lub inne naroc zgodzić się na to, ażeby rozstrzygnięto autonomię Polsk lub innego narodu, dopóki nie będzie załatwiona ich autonomi

в таку евентуальність, щоби й другий великий сусїд, Німеччина, міг спокійно глядїти на істнованє незалежної Польщі. Становисько самостійної, та відносно невеликої польської держави в сусїдстві мілїтарної, а як такої, то й заборчої держави, зовсїм незавидне навіть в такім випадку, якби ся держава приневолена якими хвилевими обставинами навіть згодила ся на відступленє своєї частини Польщі. — Щож до третої властительки польських земель, Австрії, то приверненє незалежної Польщі можливе або на руїнах Австрії, а тодї ся незалежність булаби одним із наслїдків упадку Австрії і про вплив Польщі на европейску полїтику не можнаби тодї говорити, або відступленє польської частини Галичини булоби можливе як наслїдок національно-нїмецкої полїтики в Австрії. В обох випадках булиби сим фактом доторкнені безпосередно галицькі Українцї, які, природно, мусїлиби по волї чи по неволї дістати ся під Россію.

Та коли сї вискази опирають ся головно на здогадах, то на зовсїм реальнім грунтї опирає ся автономія российської частини Польщі. Тільки ж мушу завуважати, що піднесенє автономії одної тільки Польщі в злуцї з российською державою, дїло некорисне для иньших народів, що жиють під Россією. І тому Шановна Редакція „Krytyki", якій треба порахувати в заслугу, що вона чи не перша з польської сторони піднесла явно перед сьвітом справу приверненя незалежної Польщі, виключаючи відси виразно Литву и Україну — булаби на мою думку поступила ще гарнїше, говорячи не про федерацію автономної Польщі з российською державою, а тільки з иньшими автономними національними одиницями, що жиють під российським скиптром. Я вірю в се, що як прийде в российській державній Думї пора радити над національним питанем, то справа автономії Польщі не порішить ся, поки не буде одночасно порішена й автономія иньших российських народів. В боротьбі за національну автономію не повинні нї Литовцї, нї Українцї, нї кавказькі чи иньші народи так довго згодити ся на автономію Польщі, як довго не буде порішена і їх автономія. В сїй боротьбі Поляки дуже корисний союзник всїх российських народів, і зрікати ся його, голосуючи за автономією Поляків, які потім не потрібувалиби журити ся тими, що їм допомогли здобути волю, річ полїтично немудра.

Віденъ.

ВОЛОДИМИР КУШНІР.

W tej walce Polacy są bardzo pożytecznym sojusznikiem wszystkich rosyjskich narodowości i pozbywać się go głosując za autonomią Polaków, którzy potem nie potrzebowaliby troszczyć się o tych, co im pomogli do zdobycia wolności, byłoby rzeczą politycznie niemądrą. *Włodzimierz Kusznir.*

Wiedeń.

XXXII.

1) Sprawiedliwość międzynarodowa jest niezastosowalna. Zgoła nie porusza podobnych kwestyj.

2) Sądzę, że nie. — Naruszenie istniejących granic Europy, z wyjątkiem półwyspu bałkańskiego powinnoby być zakazane, o ile mają być uwzględnione interesa Europy, jako całości.

3 (a). Plan ten wydaje mi się najlepszem rozwiązaniem problemu.

3 (b). Obawiam się, że plan ten oznaczałby powiększenie zamętu. Republikanizm jest najtrudniejszą formą rządu. We Francyi odniósł wreszcie sukces po całowiekowych wahaniach. Amerykańska *forma rządu* jest jedną z najgorszych jakie istnieją, mimo to, naród mając wielkie korzyści naturalnę, czyni ją pod wielu względami znośną. *Edward R. Pease.*

(C. d. n.).

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

I. Czego w prasie polskiej jeszcze nie było...

Przesilenie, przez jakie życie polskie teraz przechodzi, wydobywa, jak kryzys w niejednej chorobie fizycznej, wszystkie utajone zazwyczaj właściwości organizmu, wszystkie jego instynkta i odruchy.

Chwila ta wydobyła też na jaw całą głąb „duszy" stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Ale nie — zapanujmy nad sobą... Za ten objaw „duszy", który mamy przed sobą, nie czyńmy odpowiedzialnem całego stronnictwa narodowo-demokratycznego, nawet galicyjskiego. Nie czyńmy go odpowiedzialnem przynajmniej teraz — póki nie zajmie oficyalnie stanowiska, nie wypowie swej opinii. Czy utożsamia się ono ze swym organem partyjnym: *Słowem Polskiem*, czy dzieli z niem miejsce — pod pręgierzem, pod pręgierzem dziejów, ludzkości, elementarnych prawideł etyki...

XXXII.

1) International equity is irrelevant. It does not touch such questions at all.

2) I think not. Disturbance of existing European frontiers except in the Balkan peninsule is to te deprecated, if the interests of Europe as a whole are to be considered.

3 (a) This plan strikes me as the best solution of the problem.

3 (b) I fear this plan would mean decades of confusion. Ihe Republican is the most difficult form of government to conduct. In France it is at last a success after a century of change. The American *form* of *Government* is one of the worst in existence though the people having great natural advantages, make it in most respects, endurable. *Edward R. Pease.*

(Suite).

Pręgierz należał się *Słowu Polskiemu* już oddawna, ale teraz zdobyło go szturmem, jednym z tych czynów, które prześwietlają niejako „duszę“ do dna, okazując całą jej *moral insanity*, całe jej stępienie na najprostsze prawidła moralności publicznej.

Takiego okazu w publicystyce polskiej jeszcze nie było.

Ale oto fakt.

W rze 430 *Słowa Polskiego* znajdujemy artykuł p. t. „Groźne objawy“. Objawami tymi mają być wypadki „bandytyzmu“, wrzekomo przeniesionego na grunt galicyjski z Królestwa. Mniejsza o fakt, że „bandytyzm“ ten daje się sprowadzić do objawów zbrodniczości, które zna, niestety, każda kronika kryminalna, każdego czasu i każdego społeczeństwa. *Słowo Polskie* musiało wyolbrzymić odosobnione wypadki, aby przejść do twierdzenia, że „przedmiotowe warunki dla rozwoju anarchii rewolucyjnej i bandytyzmu są w Galicyi niemal takie same, jak w Królestwie, zwraca więc uwagę policyi i innych władz na „proletaryat miejski w Galicyi, zwłaszcza w Krakowie i Lwowie“, dalej na chłopów ruskich i „syonistycznych jungełesów“...

Prosty wniosek — groźne żywioły należy poskromić — całą opozycyę galicyjską siłą stłumić.

Wniosek ten w ustach *Słowa Polskiego* nie jest niespodzianką. Słyszy się go codziennie dwa razy — i jakoś policye, żandarmi, prokuratorye tak się już oswoiły z tą manią prześladowczą, z tym szałem denuncyatorskim, że niewiele na to zwracają uwagi. Tu następuje jednak punkt kulminacyjny: *Słowo Polskie* mści się na policyi, żandarmeryi, prokuratoryi austryackiej za to, że nie słuchają jego podszeptów, że nie przemieniły się w organa wykonawcze jego żądz zwyrodniałych. I w perwersyi swej niszczycielskiej, zemstą dysząc i szałem zbrodniczym, wyrzuca z siebie stek oskarżeń, robiących w pierwszej chwili wprost wrażenie majaczeń chorobliwych, będących jednak obmyślonym na zimno, perfidnym atakiem „politycznym“:

„W stosunku do ruchu rewolucyjnego w państwie rosyjskiem biurokracya austryacka odegrała bardzo dwuznaczną rolę. Transportowanie broni do Królestwa i Rosyi w ogromnych ilościach odbywało się przez Galicyę.

„Przez Podwołoczyska przeszedł nawet transport karabinów maszynowych. Fabryki rządowe sprzedawały broń i dostarczały nabojów w ilościach, wskazujących, że to nie mogą być zamówienia prywatne.

„W ostatnich dopiero czasach władze galicyjskie przeciw temu zareagowały i wydały rozmaite zarządzenia spóźnione. Bo dzisiaj rewolucyoniści rewolwerów i karabinów już nie sprowadzają, raczej sprowadzają je ci, którzy chcą z anarchią walczyć.

„Nie oskarżamy władz naczelnych w kraju o szkodliwe dla interesów narodowych pobłażanie robocie rewolucyjnej socyalistów w Galicyi. Bezczynność władzy wyższej znajduje usprawiedliwienie w nieudolności i demoralizacyi organów niższych.

„We Lwowie odbywa się zjazd rewolucyonistów polskich i rosyjskich przy współudziale stu kilkudziesięciu osób. Obrady trwają cały tydzień, bodaj nawet dłużej i odbywają się w lokalu publicznym. O zjeździe rozprawiają głośno plotkarze polityczni po kawiarniach, bodaj nawet wróble na dachach świegocą, tylko policya nic o tem nie wie i dowiaduje się podobno dopiero w kilka tygodni później.

„Gdy się ten brak ciekawości zestawi z faktem asygnowania na owym kongresie 10.000 koron na „zjednanie“ urzędników i agentów policyjnych, budzą się mimowoli różne podejrzenia. Stwierdzają zaś je notorycznie znane nam fakty, że przy transportowaniu broni pomagali czynnie rewolucyonistom nawet żandarmi i zwłaszcza strażnicy skarbowi, ci ostatni należący formalnie do organizacyi socyalistycznej“.

Cel tych dzikich bredni jasny. *Słowo Polskie*, nie mogąc podjudzaniem dotychczasowem steroryzować wyższej biurokracyi austryackiej, która w państwie konstytucyjnem, legalnością musi się kierować — chce obecnie szaleńszą jeszcze wywrzeć presyę na nią, a przedewszystkiem na niższe organa władzy. Dąży więc do rozpętania najohydniejszych instynktów policyjnych w urzędnikach polskich — „galicyjskich“, do skierowania całej ich samowoli i żandarmskiej bezwzględności przeciw żywiołom *Słowu* niemiłym — inaczej gotowe podejrzen że się sprzyja rewolucyi, że się wchodzi „w ciche sojusze ze stronnictwai przewrotu“, że się jest przekupionym z owego funduszu 10.000 K., które ko gres „na zjednanie urzędników i agentów policyjnych“ wyasygnował...

Nie tracimy więcej słów na napiętnowanie tej niebywałej w prasie polskiej ohydy. Na razie nie identyfikujemy całego stronnictwa z wprost maniakalną żądzą prześladowania, jaką zadokumentował organ wszechpolski.

Lat temu trzydzieści, gdy Paweł Popiel wskazał palcem na widmo rewolucyi w Polsce, ta „szlachetna denuncyacya" wywołała w całem społeczeństwie huragan oburzenia. „Szlachetna denuncyacya" stała się synonimem zbrodni obywatelskiej, synonimem była służby zbira, jaką publicysta pełni, wydając współobywateli w ręce wrogie. Oburzenie, z jakiem społeczeństwo przed laty przyjmowało podobny fakt i spokój, z jakim czyni to teraz, dałoby miarę „postępu" moralnego i politycznego, jaki Galicya w ostatnich latach pod wpływem szkoły wszechpolskiej uczyniła.

Ale nie uogólniajmy za prędko.

Na razie więc dodajemy, że autorem, który przejdzie do roczników prasy polskiej, jako jedyny w swoim rodzaju dokument, jest Roman Dmowski. Drukowany zaś był głos ten w *Słowie polskiem*, kierowanem przez Zygmunta Wasilewskiego, Jana Popławskiego i „wydawcę" Stanisława Wolskiego, uważającego się za wspólnika i spadkobiercę idei Szczepanowskiego i Odrzywolskiego. Dmowski, Wasilewski, Popławski, Wolski — ich imiona niech na razie będą przygwożdżone do tablicy ...pamiątkowej. „Stronnictwo" może tę czwórkę „dobrze zasłużonych" powiększyć — nawet biernością.

II. Z dziedziny grafiki.

I.

Odrodzenie sztuk graficznych w Anglii i w Niemczech, świetne imionami Morrisa, W. Crane'a i Beardsleya — Heinego, Fidusa, Cissarra, Eckmanna i innych, znanych z *Pana*, *Jugend*, *Simplicissimusa*, *Insel*, i *Jungbrunnen* wyrwało w ostatnim lat dziesiątku także i nasze drukarstwo z upadku i zastoju — otwarło przed niem drogi od wieków zachwaszczone i zapomniane, na których z rzemiosłem kojarzy się sztuka, gdzie sprawność i technika drukarska jednoczy się z twórczą pracą artysty, gdzie ideałem już nie sama tylko poprawna robota, ale dzieło, przedstawiające oprócz praktycznej, trwałą wartość artystyczną.

Z artystów pierwszy u nas Witkiewicz jeszcze w r. 1886 usiłował w warszawskim *Wędrowcu* wywalczyć prawo bytu dla artyzmu w układzie pisma i reprodukcyi dzieł sztuki. Warszawa nie była jednak wówczas, nie jest nawet dziś jeszcze tym gruntem, na którymby mogły się przyjąć te przewrotowe idee, urągające tradycyom i przesądom, zrywające z umiłowanym dotąd szablonem, wzorowanym na trzeciorzędnych zagranicznych fabrykatach.

Dopiero u progu XX stulecia, gdy duch nowego odrodzenia powiał po rozłogach sztuki polskiej, objął on także zaniedbane pole grafiki. Młodzi artyści krakowscy zeszli byli do „bajecznie kolorowego" ludu, do natury, która go otacza; uczniowie krakowskiej szkoły malarskiej, owiani świeżem tchnieniem, płynącem od Bronowic i Podhala, garną się do skarbów sztuki rodzimej, studyują, przyswajają sobie zdobycze artystyczne Zachodu.

Życie za redakcyi Przybyszewskiego skupiało najtęższe siły literackie i artystyczne — Wyspiański rzucał na jego karty swoje wspaniałe pomysły

malarskie i drobne, pierwsze u nas ozdoby drukarskie: osty, koniczyny, szałwie. bławatki, przyczem sam godzinami całemi pracuje razem z drukarzem, kierując artystycznym układem illustracyi i pisma. Jego witrażowe „sny o potędze“, uśpionej w królewskich sarkofagach i kartony Mehoffera olśniewają i ujarzmiają. wywołują protesty i zachwyty, a tym, którzy w nich czytać umieją — artystom — otwierają zaklęty i zaczarowany świat. stworzony mienistą mozaiką barwnych płaszczyzn i linii.

Technika Wyspiańskiego i Mehoffera, przeniesiona z szerokich ram witrażu na rozmiary niewielkie, staje się wzorem dla tych, którzy wyszkoleni za granicą, wracają zaczerpnąć u źródła z niewyczerpanej krynicy motywów ludowych. widząc w nich odrodzenie sztuki i artystycznego przemysłu.

Bukowski, Dąbrowa. Procajłowicz, Trojanowski, Uziembło, wszyscy młodzi i ożywieni jedną myślą, której wyrazem Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana“. stają z zapałem do pracy nad reformą i odrodzeniem swojskiego przemysłu, a przedewszystkiem drukarstwa, tej najszlachetniejszej jego gałęzi, przez skojarzenie go z prawdziwą, szczerą, a swojską sztuką.

„Wskrzesić sławę rodzimego drukarstwa, tak niegdyś świetną w okresie złotym Hallerów, Unglerów i Wierzbiętów — wyrwać je z długoletniej martwoty i upadku — przełamać obce wpływy, tamujące wszelki jego rozwój — wyrugować niemiłosiernie bogato złocone i illustrowane naśladownictwa „Prachtwerków“ i tandetny towar niemieckiej „secesyi“ — pracować i tworzyć, a nie kopiować i naśladować bezmyślnie. to były hasła, przez nich głoszone. [1])

Że pozostali im wierni. dowodem pierwsza na całym obszarze ziem polskich wystawa drukarska, urządzona przed rokiem staraniem Tow. „Polska Sztuka Stosowana“. Stworzyli książkę naprawdę polską i swojską ozdobę drukarską, daleką może od doskonałości, ale bądź co bądź istotnie artystyczną i graficzną.

Nie mała w tem zasługa krakowskich oficyn, które zdołały się otrząsnąć i wydobyć z pod wszechmocnego dotąd wpływu zagranicznego fabrykatu i zdobyły się na odwagę zdobienia swoich prac drukarskich już nie niemiecką tandetą, której żadna poważna zagraniczna tandeta przyjąć nie chciała, ale rysunkiem swojskich artystów-grafików.

Na czele drukarzy staje Wł. Teodorczuk. Pierwszy wprowadza i stosuje najnowsze zdobycze techniki i sztuki drukarskiej (pismo Grasseta i technika linoleorytu w zastosowaniu do artystycznej reprodukcyi) — najdrobniejsze nawet prace drukarskie drukuje w wykwintnej, chociaż nieraz prostej formie i zdobi je utworami swojskich grafików, których gorąco popiera, a nieraz i kształci. naginając ich technikę do wymogów drukarskiej reprodukcyi; przy ich współudziale wydaje *Liberum Veto*, pismo mające rozmach i styl odrębny, graficznie ciekawy, który je stanowczo odróżnia od innych tuzinkowych wydawnictw tego rodzaju — wreszcie, co stanowi jego najwybitniejszą zasługę, powołuje do życia pismo, poświęcone sprawom artystycznego drukarstwa i pokrewnych mu gałęzi sztuki reprodukcyjnej. *Poradnik graficzny* (1905—1906) walczy nie samem tylko słowem — czynem i przykładem kształci tych, w których ręku spoczywają losy ojczystej sztuki drukarskiej: drukarzy i artystów — staje się zwłaszcza w drugim roku istnienia stanowczo jedynem artystycznem pismem polskiem, którego

---

[1]) Omega: „Grafika polska w roku 1905“. Wstęp. *Poradnik graficzny*, zeszyt I, 1906.

zewnętrzna forma i ozdoba, dzieło wyłącznie swojskich grafików, stanąć może śmiało w zawody z pierwszorzędnemi tego rodzaju wydawnictwami zagranicy, poświęconemi grafice i sztuce wogóle.

Z Teodorczukiem wstępują na drogę reformy drukarnie: Anczyca, Literacka, Narodowa, Uniwersytecka; za niemi pójdą zapewne inne. Znaczą swoje prace artystycznym sygnetem drukarskim, wydają kalendarze, odtworzone z rysunków Bukowskiego, Frycza, Gramatykówny, Uziembły [1]) — stwarzają w zakresie graficznie złożonej i zdobionej książki, artystycznego afisza i reklamy cały szereg prac, nawskróś polskich, chociaż wzorowanych na technice Zachodu.

W ten sposób Kraków, oparty z jednej strony o świetne tradycye starych oficyn, z drugiej o młode pokolenie artystów, któremu przybywają coraz to nowe siły, staje się ogniskiem ruchu, zmierzającego do reformy drukarstwa, odrodzenia go i dźwignięcia z upadku na wyżyny sztuki.

Jesteśmy tego ruchu świadkami — patrzymy, jak raz wraz ukazują się na półkach i wystawach księgarskich książki takie jakieś inne od tego, co było dotąd — a jednak przerzucamy ich karty obojętni, nie zdając sobie po większej części sprawy, z celu, rodzaju i charakteru ozdoby, którą w najlepszym razie określamy jako styl... „Polskiej Sztuki Stosowanej", chociaż styl taki nie istnieje wcale, podobnie jak nigdy nie istniał t. zw. „Jugendstil" w Niemczech, o którym się u nas tyle słyszało i słyszy. Nie nasza zresztą wina, że dotąd z wyjątkiem *Poradnika graficznego,* przeznaczonego przedewszystkiem dla drukarzy i artystów, nie znalazło się żadne pismo polskie, któreby chociaż od czasu do czasu przynosiło czytelnikom swoim ocenę najnowszych prac z dziedziny książkowego zdobnictwa – któreby zapoznawało ich z rezultatami twórczej pracy i usiłowań artystów grafików, dążących do stosowania i rozwinięcia w dekoracyi drukarskiej motywów i stylu nie „Polskiej Sztuki Stosowanej", ale poprostu swojskich, polskich — któreby przypominało, co już przed laty powiedział Ruskin, że ozdoba i zewnętrzna strona książki wcale nie jest czemś podrzędnem, obojętnem wobec znaczenia i wagi samego słowa. Nie mamy wprawdzie pisma wyłącznie poświęconego sztuce, ale drukujemy przecież i czytamy sprawozdania z wystaw sztuk plastycznych, recenzye z sali teatralnej i koncertowej, za to o sztuce stosowanej do przemysłu, o swojskiem zdobnictwie książkowem — cisza. A przecież bliższą nam chyba książka polska, zdobiona przez polskiego artystę, niż koloraturki najsławniejszej primadonny!

Okres pierwszych prób i usiłowań zamknięty — nowy otwarła wystawa, która przed rokiem zebrała cały dorobek kilkuletniej pracy twórczej artystów i reprodukcyjnej drukarzy, przeto czas przyjrzeć się zbliska tej rozwijającej się wciąż twórczości artystów, którzy jak Bukowski, Dąbrowa, Frycz, Gramatykówna, Procajłowicz, Trojanowski, Uziembło, związali drukarstwo nasze ze sztuką i ożywili zdobnictwo książkowe bogactwem swojskich motywów ludowych.

Przekonani, że tylko ścisła i rzeczowa krytyka może być pośrednikiem między artystą, który tworzy i ogółem, do którego rąk dostaje się książka przez niego zdobiona, otwieramy tym pobieżnym szkicem historyi odrodzenia polskiego drukarstwa dział: „Z dziedziny grafiki" i poświęcamy go tej młodej sztuce „stosowanej" do drukarstwa.

Omega.

[1]) Patrz „Kalendarze drukarń krakowskich" i „Nowe znaki drukarskie", prace drukowane w 2 i 3 zeszycie tegorocznego *Poradnika graficznego.*

III. Przegląd prasy.

A) Prasa polska.

W dal. Zeszyt pierwszy. Kraków, 1906.

Pod tym wiele mówiącym tytułem ukazał się numer wydawnictwa, które zasługuje na przestudyowanie – więcej: na przemyślenie, na przeżycie przez wszystkich, których zajmuje zagadnienie duszy.

„Programu nie dajemy — czytamy we wstępie od redakcyi. — Kto przeczyta ten pierwszy zbiorek, a nauczył się patrzeć przez litery w ducha, ten odczuje, czego pragniemy: jakimi być chcemy – co chcemy mieć koło siebie. Pismo nie jest celem naszym, jest tylko jednym, niekoniecznym nawet — przejawem życia naszego. A jak się ono w każdym z nas w inną wkuło formę – tak i innym wyrazem bieży na zewnątrz. Przeto wszelkie słowo, strzałą upragnienia swego w Dal godzące, niechaj będzie z nami".

Słowa wielkie, obowiązujące...

Ideał życia chce budować — życie wolne i dostojne, wcieleniem będące najpiękniejszych tęsknot...

I — powiedzmy odrazu -- o ile o to chodzi: o wyraz piękna wewnętrznego, tęsknoty głębokiej strzałą swoją w najwyższe kręgi ducha wybiegającej, dało nam nowe wydawnictwo poznać kilka stron, wnoszących istotnie w nasze życie ton oddawna pożądany.

Nie melodyę jednolitą. Od tego wydawnictwo jest dalekie – i to jedna z największych jego zalet. Różne przynosi drgania duszy napiętej — różną wymowę — pragnienia wyraża jednakowe, wspólną dążność ku Jedni i szczytom...

Skrystalizowana, skończona w sobie, przedstawia się indywidualność Andrzeja Baumfelda. Jego metafizyczna potrzeba duszy zaspokojenie swe znalazła; jest niem łaska wiary: wiary „w Tajemnicę, która władnie pozazjawiskowym światem — w Życie, które poprzez śmierć idzie wiekuiście – w moc Ducha, która poprzez Zło sprawi cud – Królestwa Bożego na ziemi"... Ta wiara łączy go z mesyanizmem polskim. Charakteryzuje więc pokrótce, ostatnie ogniwa mesyanizmu: Szczepanowskiego, Lutosławskiego („słońca zapalić nie umiał, bo sam w sobie miasto słońca miał tylko ogniki błędne"),, Odrodzenie lwowskie, i przechodząc nad poszczególnymi wyrazami mesyanizmu, zależnymi od czasu i miejsca, odrzucając dogmatyzowanie, zatrzymuje treść jego najistotniejszą. Zlewa się ona najściślej z myślą polską, która od wieków dąży do wyzwolenia, jako ideał bohaterstwa, realizowany w walce o cele nie wyłącznie ziemskie; nie wyłącznie swoje, – umiłowanie swobody indywidualnej, jako warunku i celu państwa (z czego właściwie w ostatecznym wyniku, płynie ideał bezpaństwowości)... I z tą spuścizną w sercu zwraca się do żyjących z pytaniem: jaki Mickiewicz w nas żyje? Pytanie to straszne i płodne; odpowiedź odsuwa od kłamstwa, małości, bibuły, literatury – każe po Mickiewiczowsku żyć!

Lapidarnym, silnym językiem, przystosowanym do treści, w której nic literatury, przemawia Baumfeld, więcej już literatury w pracy Tadeusza Szymberskiego: styl kokieteryjny. „O wolności". Ornament nieraz treść przytłacz- mniej znaczyłoby tu więcej. Taksamo po literacku nieokreślone i dążenia. A istota ich pełna prawdy, nie prawd poszczególnych, wielkiej tej prawdy, któ w pokolenie wszczepił Nietsche, którą u nas w poezyi głosi Staff. Wolnym j człowiek i wszelka niewola powinna mu być obcą. Niewola sprzętu z ciała, (

myśli. A przedewszystkiem niewola u dogmatu. Choćby nim była etyka. „Ruch etyczny“, w ostatnich czasach rozkwitający na ziemiach polskich; przy całej swej zbawienności grozi niejednemu utonięciem w nowych formułkach, zamiast staych, grozi zwężeniem duszy, zamknięciem jej w ciasnych podwórkach, obcych: Słońcu, Pięknu, Swobodzie. Przeciw temu zmaleniu człowieka bronił się Szymberski; roztacza egzotyczny las nieujarzmionej, wspaniałej natury, roztacza bogactwo antytez, metafor, obrazów, prawdziwą poezyą dyszących. Potęga życia wewnętrznego, z najgłebszych tajni swej jaźni czerpana — to klucz życia i piękno jedyne. Bez klasyfikacyi i szufladkowania i narzucanych z góry przykazań. Dla jednostek i narodu. Boć wbrew wszelkim kramarsko-nacyonalistycznym Bismarkom — „Polacy są, którzy najwyższy wyraz dusz swoich w Pięknie Polskiem znajdują. Kto chce mówić Wolność, niechaj mówi Polska“, więc duszę za miecz, duszę za miecz przeciw wszelkim pomniejszycielom ducha.

W „akordy przyszłości“ uderza Kazimierz Romin. Daje ustęp z pracy, której część czytelnicy *Krytyki* mieli sposobność niedawno poznać[1]). Pamiętają te słowa gorące a proste, z serca płynące, które jakby niedawno wyszło na świat objawień pełen, słońc nowych, rozświetlających dotychczasowe mroki. I ogarnia duszę upojenie wewnętrznem tem życiem, tem znalezionem „ja“ prawdziwego i wyciaga ona ręce, miłości pełne do świata, by braci i sióstr szukać, w jednej ich skąpać fali światła, w wspólną zaprosić podróż do grodu wielkiego Wyzwolenia... Znaleść siebie – to pierwsze Romina przykazanie, ale tego ja nie puszcza, jak Szymberski, na wichry i bezkresy w samotni, lecz o biesiadzie dusz marzy, o komunie, o przyjaźni, t. j. o związkach przyjaźni... aż z czasem „ludzkość cała, uspokojona przez wolność, zjednoczona przez równość, potężna przez braterstwo, będzie taką „komuną duchową“...

Jakby organicznem dopełnieniem tworów powyższych jest rzecz Henryka Raabego p. t. „Za nami – nic“. Za dużo emfazy w tytule, a także w treści. Jest rewolucyjny – bez treści własnej. Istotnie-ż za nami nic? nic, do czego duszaby lgnęła, serce mogło się przywiązać, myśl przyłączała się, jako dalsze ogniwo twórcze? Czy rzeczywiście cała kultura – to nic? Tego autor nie przypuszcza, chodzi mu o coś nierównie skromniejszego, o to: że „na psy zeszło pokolenie dzisiejsze, wnuki Prometeusza i Ikara“. Jednakowoż i tego wyroku nie możemy bez licznych zastrzeżeń akceptować; ostatecznie precyzuje autor swe stanowisko, główne ataki swe skierowuje przeciw socyalizmowi; postulaty jego uważa za rzeczy naturalnie słuszne i wielkie, ale grunt tkwi w tem, „że tylu ludzi nie rozumie śmieszności swego położenia“, gdyż od istotnego zwycięstwa haseł socyalizmu dzieli nas sto lat i więcej, dzieli nas warunek nieodzowny: potrzeba dusz wielkich, dusz nadziemskich, idei i ideałów, któreby włożyły niezagasający nigdy zapał w piersi; tego zaś nie uczyni hasło powszechnego głosowania, ośmiogodzinnego dnia pracy etc. Tu autor bardzo sobie ułatwił zadanie; walczy z agitatorami bardzo prymitywnymi, z głowami bardzo miałkiemi — choć, co prawda, w Galicyi na takich nie zbywa. Ale gdy p. Raabe pyta z emfazą: czy wy, handlarze zapału i kuglarze cudów macie dzisiaj takich ludzi, jakich Wielki Wódz Zachodu prowadził ongi pod sztandarami swymi na lody Północy“ – itd. itd. – to rezygnujemy z podobnego „Wiel-

1) Całość wyszła w osobnem wydaniu p. t. Romuald Minkiewicz (Kazimierz Romin): O pełni życia i komunie duchowej. Kraków, nakład Jakóba Mortkowicza.

kiego Wodza" i musimy powiedzieć, że prócz silnych słów potrzeba jeszcze czegoś, do zrozumienia dzisiejszego społeczeństwa. Głos p. Raabego, charakterystyczny dla tęsknoty wielu współczesnych za „wielkim człowiekiem", świadczy jednak, jak trudno o syntezę między romantyzmem uczuć a życiem. Cały zaś nastrój grupki ma o tyle znaczenie, o ile do tej syntezy prowadzi; inaczej zaszłoby się znowu do „miedzi brząkającej".

„W dal" sięgającego wydawnictwa poszyt pierwszy jest jednym ze znaków budzącej się w nas reakcyi przeciw wulgaryzacyi życia i czysto zewnętrznemu jego pojmowaniu; jest jednym z etapów, którymi ku Wyzwoleniu kroczy Dusza pokolenia. Ze sympatyą każdy powinien towarzyszyć...

B) Prasa obca.

„L'Art". Sierpień. P. D'Echerac podziwia w dziele Fantin-Latour'a to. co w niem podziwu najmniej jest godnem, a mianowicie kompozycye jego. natchnione kreacyami Wagner'a i Berlioz'a. Natomiast niewiele co wspomina o tych płótnach, które w sztuce francuskiej pozostaną, jako arcydzieła nieledwie: portrety „martwej natury" i kwiaty.

„L'Art et les Artistes". Znany i ceniony wielce krytyk p. Gustaw Geffroy analizuje. z okazyi Trzystulecia Rembrandt'a, geniusz mistrza, geniusz jedyny i wyjątkowy w sztuce holenderskiej. Ani Rembrandt'a nikt nie zapowiedział. ani go nikt kontynuować nie był w stanie. Nikt też. jak on, nie potrafił zgłębić i ukochać objawów życia, a zewsząd ich czerpać.

P. Kamil Manchair kreśli sylwetkę malarza Ernesta Laurent. Zarówno, jak Henryk Martin i jak Le Sidaver, Laurent posługuje się techniką impresyonistyczną, jako sposobem oddania sztuki, najzupełniej objektywnej. — Impresyonizm dla tych artystów nie jest ani celem, ani stylem nawet, ale środkiem wspaniale się nadającym do wyrażenia czegoś zgoła innego. niźli koncepcye realistyczne.

„Courrier Européen". 7 września. P. Nowikow w art. l'Inutilité des conquetes okazuje się przyjacielem i wielbicielem Polski. Przyznaje on jej wyższość kulturalną nietylko w przeszłości, ale aktualnie nawet.

... „Polska — pisze prof. N. — była bardziej ucywilizowaną. niż Rosya w r. 1772, pozostaje ona w tym samym stosunku dziś, w 1906 roku. Mimo, iż Rosyanie przywłaszczyli sobie liczne przywileje i narzucili Polakom ograniczenia i udręczenia bez liku — ci ostatni wszakże zachowali swą rangę w świecie i nadal wyższymi są od swych znienawidzonych ciemięzców (odieux oppresseurs)"...

„Nouvelle Revue". 15 sierpnia. P. Mikhaël Suni protestuje przeciwko idei (która znalazła tu wielu zwolenników między apostołami odrodzenia liczebnościowo i zdrowotnościowo Francyi). idei interwencyi uprzedniej lekarza przed zawarciem małżeństwa według „koncepcyi naukowej" (tytuł pracy omawianej: „Le mariage scientifique").

Kilka kartek dalej - p. Artur Raffalowicz opisuje „Okropności w Chicago". odkryte przez Upson Sinclair'a w powieści „La Jungle" (tłómaczenie które daje warszawski „Przegląd społeczny"). „Gdyby emigranci z Rosyi, Węgier, Włoch i Austryi czytać mogli dzieło to — nie kwapiliby się — mówi p. R. — ojczyznę swą porzucać. Musiał. widać, autor o Kiszyniewie. Odessie i t. d. zapomnieć a wieści z Siedlec go jeszcze nie doszły.

„Quinzaine". Sierpień. P. Karol Vallier daje ciekawą pracę, traktującą „kolonie letnie". — Wyjmuję z niej kilka cyfr, które dają miarę rozwinięcia się i rozgałęzienia tych instytucyj w Europie. Owóż angielski „The children's Country holiday Fund" wysłał w r. 1901 — 34.259 dzieci na wieś; berlińskie zaś „Stowarzyszenie kolonij niemieckich„ w r. 1900 zapewniło wilegiaturę 34.697 dzieci. Roztasowały się one w 183 zakładach specyalnych, a koszt na to poniesiony doszedł do miliona marek z okładem. Francya wysłała podczas wakacyj ostatnich 25.626 dzieci: instytucyj odnośnych tamże było 187. — Nadmienić należy, iż w Austryi cesarz użycza na cel ten jedną ze swych rezydencyj; w Danii atoli właściciele posiadłości ziemskich ofiarują dzieciom u siebie przytułek, a Tow. kolei żelaznych bezpłatny ich przejazd.

„Revue" 1 września. Lat z górą 30 minęło od śmierci Karola Renouvier, i dziś dopiero, dzięki książce Gabryela Séailles, skrótem będącej czterdziestu tomów francuskiego myśliciela — postać jego i dzieło przeniknąć zdołają do szerszego ogółu. — P. Emil Fagnet w art. zatytułowanym La Philosophie de Renouver i właśnie á propos owej książki napisanym, streszcza doktrynę zapomnianego filozofa. — Podstawą jej jest wolna wola w najszerszem tego słowa znaczeniu, wolna wola nietylko w dziedzinie moralności, ale także w zakresie myśli twórczej. Posuwa Renouvier teoryę swoją aż do ostatecznych krańców logiki. Twierdzi on, iż myśl tworzy prawdę, a nie prawda myśli się narzuca; zarówno, jak wola rodzi czyn, niepodległy w niczem przyczynom zewnętrznym. Podstawą moralności według R. jest to, co nazywa on „obowiązkiem zdziałania" (de-voir faire); a ta idea „obowiązku zdziałania" brata się ściśle z poczuciem swobody..., albowiem — mówi mistrz — im człowiek wolniejszym się czuje, tem się bardziej widzi zniewolonym do obowiązku". Inaczej — im większe jest jego przeświadczenie wolności, tem większe na nim ciążą obowiązki myśli i czynu. — P. Fàguet za innymi — którzy już poprzednio tę paralelę zakreślili — przyznaje pewną analogię Renouvier'a z Kantem; swoboda wszakże myśli bezgraniczna, odwaga spokojna w zaciekaniach, żonglowanie tem, co się paradoksem zwać zwykło, zbliża go do innego francuskiego filozofa — Proudhon'a.

Leon Tołstoj daje dwie podobizny Pascal'a i Piotra Cheliszyckiego („jednego z interpretatorów wiernych i odnowicieli prawdy chrześcijańskiej"). Oba te Portraits d'hommes (taki nagłówek nosi artykuł) odtworzone są „od strony wiary". I Pascal'a tu widzimy w drugiej fazie jego życia: jako anachoretę w Port-Royal, jansenistę surowego, płomiennego autora „Myśli".

Wyniosłe i tak bolesne oblicze Schumann'a wyziera do nas ze studyum p. Kamila Mauclair. Komentuje on muzykę wielkiego kompozytora z ogromnem zrozumieniem i odczuciem nader subtelnem. On to, Mauclair, nazwał ongi „Lieder'" Sch. „la musique d'aveu". I tym razem wykazuje całą poezyę, szczerość jego sztuki i ten jej charakter „wyznań zadusznych". Zarzucali Schumann'owi krytycy muzyczni, szukający w partycyach rozkoszy cerebralnych raczej, niż wrażeń „słuchowych", naiwność jego, bezpośredniość w oddawaniu tego, co mu gra na duszy; to właśnie zdaniem Mauclair'a, jest jednym z głównych powabów mistrza. Subjektywizm Sch. zbliża go do Heine'go, z którym go łączy dziwne, jedyne może w sztuce, swojactwo psychiczne. Czyjkolwiek wszakże był tekst pod muzyką szumanowską, czy to Lieder' rzewne a szczerze piękne Rückert'a, Uhlanda, Koermer'a, czy też mdłe miernoty Geibel'a

Chamisso i im podobnych — zawsze pieśń Schumana'a ozłaca osnowę; czasem się zespala z nią, jako gdyby z jednej i tej samej duszy wyszła, a zawsze jest szczerym stanem uczuciowym mistrza. *Jan Topass.*

„Socialistische Monatshefte". Wrzesień. Treść tego zeszytu bardzo urozmaicona i ciekawa. Wpłynęła na to bezwarunkowa bliskość kongresu niemieckiej socyaldemokracyi w Manheim. Na kongresie tym mają się szczegółowo zająć kwestyą oświatowej działalności, oraz organizacyi młodocianych, dlatego więc większość artykułów te i pokrewne tematy porusza. Max-Quarck w artykule p. t. „Volksbildung u. Sozialdemokratie" stawia zaraz na początku pytanie: „Czy partya ma poprzestać na krytykowaniu rządowego systemu oświaty ludu, czy też zabrać się do działalności pozytywnej w tym kierunku i zakładać organizacye oświatowe?" Na to pytanie autor odpowiada twierdząco. Może to zdziwić czytelnika. Jakto, więc członek partyi, której cała wieloletnia działalność zmierzała do oświecania, uświadamiania mas ludowych, zarzuca teraz tejże partyi brak działalności oświatowej! Na ten zarzut odpowiada sam Max Quarck. Słusznie zwraca on uwagę, że uświadamiająca działalność socyalnej demokracyi jest jednostronną, otwiera proletaryatowi oczy, a przynajmniej głównie na zagadnienia polityczne i społeczne. W tym kierunku zdziałano bardzo wiele. Pomimo to przecież masy ludowe są zupełnie zaniedbane pod względem uświadomienia sobie innych niemniej ważnych składników światopoglądu. Zresztą i polityczna działalność, uświadamiająca, bardziej wszerz sięga niż wgłąb: brak jej systematyczności i zorganizowania. Dzisiejszemu proletaryatowi bardzo już daje się odczuwać brak systematycznej wiedzy ogólnej i ma on prawo wymagać od swej partyi zorganizowania i dostarczenia mu wszelkich sposobów nabycia tej wiedzy. Literaturze socyalistycznej brak tej właśnie systematyczności, brak jej również i działalności wykładowej, jaką się przedsiębierze (kursa w Berlinie, Lipsku, Frankfurcie itd.).

Jak sobie autor artykułu przedstawia oświatową działalność socyalnej demokracyi: „Należy — powiada on — przejąć od burżuazyi formę i napełnić ją naszą treścią". Więc zakładanie czytelń i bibliotek i urządzanie wykładów systematycznych. Należy uzupełnić znaczne braki w naukowej literaturze socyalistycznej: brak nam książek z historyi powszechnej, z historyi ruchu zawodowego i partyi itp.

Ciekawą, choć nie nową myśl podaje Quarck: radzi zakładać dziecinne ogródki systemu Froebla, przez organizacye partyjne i powierzanie kierownictwa tych ogródków specyalistkom z pośród towarzyszek. Z jednej strony byłoby to jednem z najważniejszych zadań organizacyi robotnic — z drugiej zaś wydarłoby się dzieci robotnicze zgubnym klerykalnym wpływom, na jakie są wystawione właśnie w tych najpierwszych instytucyach wychowawczych.

W dalszych swoich rozumowaniach autor zawadza już o drugie ważne zagadnienie, z tych, co mają być rozważone w Manheim, mianowicie o stosunek partyi do młodzieży. Quarck należy do tych, którzy uważają, że partya musi wywierać swe wpływy na młodzież szkolną, że powinna zakładać organizacye młodocianych i w ten sposób przeciwdziałać klerykalnym wpływom, na jakie szkoła pruska szczególnie teraz jest wystawiona. Do zwolenników tych poglądów należy i Wally Zepler, autor innego artykułu p. t. „Jugendorganisationen" Jedni — opowiada on — twierdzą, że socyalna demokracya nie może organizo

wać na swą rękę oświaty młodzieży, że powinna się ograniczyć na walce parlamentarnej o reformy w szkołach. Inni znów chcą, aby przedewszystkiem wpływać uświadamiająco na kobiety; żeby one naprawiały swemi wpływami to, co szkoła rządowa zepsuje. Zdaniem autora zbyt to trudna rzecz wychowywanie, aby powierzać ją po większej części nieumiejętnym rękom ogółu kobiet. Partya powinna zająć się wychowaniem młodzieży proletaryackiej a to przez zakładanie organizacyi młodocianych, urządzanie kursów i wykładów i zakładaniem bibliotek i czytelń.

Na zupełnie odrębnem stanowisku stoi autor trzeciego artykułu p. t. „Jugenderziehung, Fischer. Jest on zdania, że wychowanie serca, t. j. właściwe wychowanie nie zaś nauczanie, powinno być pozostawione rodzicom; nauczanie należy do szkoły, a partya musi dbać o to, aby rząd przystosował nauczania do wymóg współczesnej pedagogiki. P. Fischer jest stanowczo przeciwny ze względów pedagogicznych temu, żeby już na młodzież od 14 roku życia wpływać w kierunku socyalistycznego poglądu na świat. W ten sposób wytwarza się „Parteimanów", bez głębszego poglądu na rzeczy, a w młodzieży wyrabia się politykomania szkodliwa w tym wieku. Tak więc — powiada autor — walczmy o lepszą szkołę i „beginnen wir mit der Elternerziehung" - - zacznijmy od wychowania rodziców!" Trudno się nie zgodzić na rozumowanie p. Fischera, lecz z pewnemi zastrzeżeniami. Możliwe i słuszne byłoby nie mieszanie się socyalnej demokracyi do młodzieży, gdyby i inne żywioły nie starały się jej wychować w swym duchu. Lecz, czy można obojętnie patrzeć na to, jak klerykali chwytają w swe ręce młode dusze i wychowują zastępy nie bożych, ale swoich sług! Wobec tego wielkiego niebezpieczeństwa musi zejść na plan drugi niebezpieczeństwo mniejsze i musi wrzeć walka o młodzież. Nie znaczy to jednak, żeby gwałtem robić z młodzieży socyalistów — nie, trzeba wypierać wpływy złe, a wybór światopoglądu pozostawić samodzielnemu i dojrzalszemu rozmysłowi.

„Die neue Zeit" Nr. 48. Znajdujemy tu ciekawy artykuł Ody Olberg p. t. Rassenhygiene und Sozialismus". Autorka polemizuje z Schallmayerem, który w swej książce „Beiträge zur Rassenbiologie" twierdzi, że socyalizm nie działa w imię dobra rasy, że wszystko byłoby dobrze, gdyby ludzie stojący dziś u steru rządów, posiadali więcej wiedzy przyrodniczej. Jednem słowem p. S. uważa problemat zwyrodnienia za problemat świadomości sfer rządzących a p. Olberg słusznie twierdzi, że jest to raczej kwestya władzy, że choćby „sfery rządzące" posiadały całą świadomość złego, nie uczyniłyby nic dla dobra rasy, bo mają władzę nieczynienia.

Wszelkie zdobycze ekonomiczne socyalnej demokracyi: krótszy dzień roboczy, lepsza płaca, ulepszenia hygieniczne — wszystko to idzie bezwarunkowo na dobro gatunku, jest główną podstawą hygieny rasy. Dalej idą rozumowania na temat darwinizmu i socyalistycznej idei. *S. Krauz.*

Literarisches „Echo". W nrze 22 znajdujemy zajmującą rozprawkę o „Żydzie-Wiecznym tułaczu w literaturze", przez p. A Fürsta. Postać Ahaswera należy do tych, co wywołały niemilknące spory w świecie literackim, a jednocześnie stały się ulubionym tematem do powieści, poezyi i dzieł malarzy.

Otóż w ostatnich czasach badacze literatury zajęli się wynalezieniem i uszykowaniem o ile możności wszystkich tych utworów pióra, w których postać Ahaswera się odbiła. Pojawiły się mniej więcej obszerne, mniej więcej wartościowe prace w tym kierunku, z których zaznaczamy: A. Loergel: „Ahaswer-

Dichtungen seit Goethe"; Dr. Prost: „Die Sage vom ewigen Juden in der neueren deutschen Literatur". Obydwaj autorowie dzielą utwory, w których pośrednio lub bezpośrednio tematem jest postać Żyda-Wiecznego tułacza na różne kategorye: są utwory, w których postać Ahaswera traktuje się z punktu widzenia religijnego (n. p. *Wiek XVII*), są takie, gdzie postać ta jest tylko symbolem a nawet i takie, w których użyto jej dla celów agitacyjnych, lub satyrycznych. Do pierwszej kategoryi zaliczyć należy n. p. pewien hiszpański dramat, osnuty na legendzie o Ahaswerze, do rzędu ostatniego zaś broszury literacko-polityczne o satyrycznym podkładzie. W 1821 r. ukazała się satyryczna powieść hr. Pasero de Corneliano p. t. „Historya o Żydzie-Wiecznym tułaczu, przez niego samego napisana". Postaci Ahaswera używają również jako symbolu narodu żydowskiego i do legendy nawiązują opisy współczesnego położenia Żydów.

Das literarische Echo. Richard Schaukal kreśli dość ciekawą, chwilami jednak z nadmiaru szukania subtelnych wyrażeń zacierającą się nieco sylwetkę Gerharda Quekamy Knoopa. Co do wartości tego autora zdania w niemieckiej krytyce są bardzo podzielone. Jedni odpychają go zupełnie, nazywając go nudnym i sztywnym, drudzy wynoszą go niezmiernie wysoko. Jedni i drudzy jednak zgadzają się na to samo określenie dla niego — wszyscy go nazywają dyletantem. Tylko, że na ustach jednych słowo oznacza coś niezmiernie płaskiego, niewyrobionego, niepotrzebnego, — podczas gdy drudzy nadają temu słowu, jakieś niezmiernie wykwintne, wyrafinowane znaczenie. Do tych właśnie ostatnich należy Richard Schaukal. Według niego wszystkie najlepsze utwory wszechświatowej literatury zawdzięczamy takim właśnie dyletantom. Dyletantem nazywa Richard Schaukal tych ludzi, co są subtelnymi smakoszami życia i tylko od czasu do czasu przemawiają, a wtedy ta ich przemowa to *ein erlesenes Schauspiel für geladenes Publikum.* Jeżeli G. A. Knoop decyduje się przemówić, wtedy to jego przemówienie wypływa z głębokiej konieczności; może on być suchym w swoim stylu, nudnym, zużytym, zawsze jednak jest przenikającym, nigdy nie jest nieszczerym. Nieraz z niechęcią chcemy odłożyć jego książkę, która wydaje się tak nudną, jak wiersze poetycznego gimnazisty, zdymisyonowanego Schulbrata, nagle jednak w niej zaświeci coś, jakby dziwnym blaskiem *ein fahles Licht wie von faulem Holz* i potrafi poruszyć nas w tajnikach naszej duszy. Knoop, jak on to sam mówi wychodzi zawsze z pełnych zamiarów. Dodaję — powiada Knoop — do tego co mi z duszy płynie to minimum zewnętrznej obserwacyi, które jest konieczne, ażeby rzecz ująć w pełną formę". Nigdy nie daje on bezpośrednio wrażenia. Zawsze pragnie uogólniać. Wszystkie indywidualne przejścia przepuszcza przez sito, z czego pozostaje mu potem tylko to najogólniejsze, i z tego właśnie tworzy jego *Stilbildender Schöpferwille — das neue Leben.* Dzieła jego z wyjątkiem „Elementu" nie mają nigdy tej pełności i równomierności, które cechują dzieła zawodowych literatur. Ludzie jego to właściwie cienie *Silber-Stiftfiguren,* pomimo to wszelkie mają w sobie coś dziwnie prawdziwego, subtelnie ujmującego samą istotę życia. — Przy pewnej „staroświeckości" stylu, autor z jakąś dziwaczną predylekcyą lubuje się w opisach sześćdziesiątych lat ubiegłego stulecia i w banalnej moralności tej epoki. Spotykamy tam *Züge von morbider Dekadentenfeinheit* świadczące o niezmiernie bogatem zróżniczkowaniu duchowem i wyrafinowanie indywidualnem odczuwaniu rzeczy. Z większych dzieł Knoopa można wyliczyć, prócz wspomnianego „Elementu", „Dekadenten", „Herman Osleb", Erlösende Wahrheit", przedewszyst-

kiem zaś „Sebald Sockers Pilgerfahrt“ i „Vorlendung“ — zbiór aforyzmów mówiących o wrażeniach młodego Niemca, wychowanego w Ameryce i wracającego do swego kraju. *M. S.*

SPRAWOZDANIA.

Tadeusz Soplica: Wojna polsko-rosyjska 1792 r. Tom I. Kampania koronna. Kraków, D. E. Friedlein.

Tom, który mamy przed sobą, obejmuje wypadki wojenne, toczące się na terenie Korony; kampanię litewską da nam autor zapewne w tomie II. Jestto bardzo szczegółowe i sumienne, oraz z znawstwem dokonane opracowanie tej ważnej i smutnej wojny. Autor, mający podobno do rozporządzenia obszerny materyał źródłowy pierwszorzędnego znaczenia, którego nie mógł ze względów politycznych zacytować, oparłszy się ponadto na innych źródłach tak rękopiśmiennych, jak i drukowanych, dał pełny, systematyczny i drobiazgowy obraz działań wojennych, tak ze strony wojsk polskich, jak i rosyskich. Marsze, bitwy, pochody i wszystkie manewry wojenne, oraz działalność tych sprężyn, których funkcyonowanie nieodzownie wpływa na akcyę wojenną na froncie, więc urzędów zaopatrnjących armię w broń, amunicyę i żywność, przedstawiono w obrazie pełni, nie zaniedbując użyć ani jednego rysu, ani jednego punktu z tych, które dawały źródła, a które na każdym niemal kroku niebardzo korzystnie świadczą o kierownictwie i zdolnościach wojennych wodzów polskich. Całość aczkolwiek pełna szczegółów, w czytaniu nie nuży, a czytelnik łatwo wydobywa rysy zasadnicze. Jedna jest tylko kardynalna wada, pochodząca z materyału i przedmiotu. Oto całą akcyę polityczną i dyplomatyczną, wszystkie intrygi, wpływające na ową wojnę w różnoraki sposób, autor zupełnie pominął, bo ten wstęp zbyt ogólnikowy, miejscami zbyt daleko idący, nie może uchodzić za dostateczny. Przez ten brak pewne czynności wojenne wypadają ułamkowo, czuć, że im czegoś brakuje, że za nimi i obok nich coś jeszcze być musiało. Ale jeśli autor przedsięwziął przedstawić „kampanię koronną“, to nie może tych słów brać za większy i poważniejszy zarzut, tem bardziej, że ze swego zadania wywiązał się — śmiało to mówię — z n a k o m i c i e.

Książkę zdobi piękna i wyraźna mapa terenu walki, na której oznaczono pochody tak wojsk polskich, jak i rosyjskich, 3 plany (bitw pod Zieleńcami i Dubienką, oraz marszem Tormasowa do Dorohuska), oraz 5 tablic z wykazami liczby wojsk po obu stronach. *S. Z.*

Tadeusz Stanisław Grabowski: Współczesna Chorwacya. Lwów 1906 r.

W obszernem swem studyum z tak mało u nas uprawianej dziedziny autor zaznajamia nas głównie z powieściopisarzem Sandorem Gialskim (Ljuba Babić). Całe dzieło uważać można właściwie za jego monografię, po niej czekają nas prace o Kraujceviću i Vojnovicu, które w całości mają zobrazować tak mało nam znany świat literacki.

Działalność Gialskiego dzieli p. Grabowski na trzy okresy: romantyczno-idealistyczny, realistyczny i modernistyczny. Działy te jednak nie uwypuklają się same naturą rzeczy, zwłaszcza, że krytyk kojarzy napomykaniem i zestawianiem z sobą dzieła rozmaitych a odrębnych tytułowo okresów. Treść ka-

żdego z dzieł obszernie podana. Jednak w tym wiernym i skrupulatnym obrazie działalność Babića Djalskiego wiele czytelnikowi pracy pozostaje, aby ją wydzielić z osobistych głębokich dumań, szlachetnych wzlotów i poetyzowań. Krytyka — co nadto utrudniona systemem przez niego przyjętym, a wytrwale przeprowadzonym, przedstawiania treści dzieła, czy ewolucyi historycznej w jakiemś metaforycznem rozgraniu się zjawisk przyrody, w jej migocących rozśpiewanych tęczach, tarczach słonecznych, albo nadpowietrznych rozszalałych burzący, a dopiero potem w dosłownem ich znaczeniu.

W ogólnej charakterystyce Chorwatów przy trafnem podkreśleniu ich zmysłu politycznego, za mało krytyk zaznacza, że o ile nim górują i z bardzo wyraźną świadomością na tem polu działają, to w literaturze nie mówiąc już o sztuce stoją ogólnie na stopniu z przed lat 40, tak zakrojem myśli jak sposobem jej wypowiedzenia — co zaś do tak nazwanych przez autora dzieł modernistycznych, to u Chorwatów robią wrażenie naleciałości; nie wykwitły one bowiem z uprzedniej tradycyi rozwoju literackiego jak w innych krajach — dlatego tylko te ich dzieła literackie zdobywają sobie bezczasową i pozamiejscową wartość, które oryginalnie z rodzimego podłoża, z szczerości ich ducha wyrosły.

P. Grabowski dość zręcznie zestawia niekiedy przejścia Chorwatów z chwilami przez nas Polaków przeżytemi, nie można się jednak zgodzić na powiedzenie jego, aby swego czasu w Chorwacyi język chorwacki był językiem tylko ludu, podobnie jak w Galicyi za absolutyzmu niemieckiego język polski.

Język niemiecki wówczas w Galicyi był językiem rządowym, językiem szkół, ale polski schronił się w rodziny — szlachta od Niemców stroniła — a potwierdzeniem tego zadziwiająca nieznajomość języka niemieckiego u naszych babek i prababek — i do niedawna pokutujący wstręt do urzędników i wojskowych, którzy za nadto złączeni byli z ideą niemczyzny.

Język naszego krytyka pozornie łatwy, nieco przewlekły, o zakroju opisowym zarywa często o patetyczne tony; zaznaczyć też trzeba za małą staranność w urozmaiceniu słów i w unikaniu tych wyrażeń obcych jak „markantny" i „kontynuować" co zda się naleciałością przejętą od Chorwatów, którzy pod tym względem częste popełniają grzechy.

Niemniej jednak p. Grabowski uchwycił dobrze postać chorwackiego powieściopisarza, często romantycznie rozidealizowaną, zabarwiając własne studyum tym nastrojem, przeczuł trafnie jego szlacheckie przywiązanie do dworów, wspomnień ziemi i ludu, wreszcie jego rozsmucenie nad stanem Chorwacyi — dlatego praca ta w literaturze naszej jest pożądanym nabytkiem, oswajającym nas z dorobkiem literatury i kultury stosunkowo mało u nas znanej.

H d' A.

Oskar Wilde: Obraz Doryana Gray'a. Przekład Maryi Feldmanowej. Brody. Nakład Feliksa Westa.

Obok znanej teraz wszystkim snobom teatralnym „Salomy" jest „Obraz Doryana Gray'a" najdojrzalszem, najskończeńszem dziełem artystycznem lorda paradoksa. Powieść to jedyna w swojem rodzaju — kanwa wzorzysta, o fantastycznym rysunku i jaskrawych barwach, na której plastycznie i żywo występuje jedna właściwie postać — Oskar Wilde. Dwoistość w jego naturze: arystokratyczno-katolicka krew Irlandyi i przerafinowanie kulturalne epoki upadku

znalazła tu dla siebie dwóch przedstawicieli, z których jeden ma być bohaterem, drugi rezonerem sztuki — a stanowią właściwie jedno: obraz nie Doryana, lecz rozszarpanej a tęczowej duszy nieszczęśliwego poety. Rozszczepienie jej między przykazania starej etyki a wyuzdanie nieznającego tam indywidualizmu kończy się zwycięstwem imperatywu moralnego, ale nie to zwycięstwo, przeczuwające poniekąd późniejsze *De profundis*, jest najsilniejszym elementem niepospolitego utworu: na pierwszy plan wybija się szatan, dyalektyk i paradoksista, lord Wotton. Nieznośny jako człowiek, gdyż przemawia zawsze jak książka, jest jednakowoż książką jedną z najświetniejszych, jakie zna nowoczesna kultura. Każde jego zdanie skrzy się jak dyament i jak dyament jest ostre; szatańska dyalektyka nicuje tu wszystkie utarte prawdy, panujące wartości, topi je w żrącym dowcipie, jaśnieje wszystkimi blaskami paradoksu, genialności, wyrafinowania. Istny to deszcz ognisty sofizmatów może najdowcipniejszych, jakie schyłek XIX wieku wydał, a które skruszona dusza pod koniec uznaje za fajerwerk czczy, oświetlający niesamowicie grozę... życia — bez sumienia.

„Doryan Gray" to książka dla smakoszów. Literaturze naszej najcenniejsza ta sól attycka współczesnych głębin nie powinna była pozostać obcą. Po niepoprawnem wydaniu warszawskiem, pojawiła się teraz edycya, odpowiadająca wymogom znawców oryginału. *B. Ch.*

Biblioteka Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza w Krakowie. Spis książek, ułożony według działów. Kraków, ul. Grodzka 43.

Z wydawnictw tego rodzaju zwykle sprawy na tem miejscu się nie zdaje. Są owocem roboty mniej lub więcej mechanicznej, dla celów najogólniejszej oryentacyi. W danym wypadku czynimy wyjątek. Katalog, jaki mamy przed sobą, obejmuje książki, zgromadzone dla biblioteki w ciągu 13 miesięcy; w tym czasie zdołano zebrać 5722 tomów: 3465 tomów dzieł naukowych, 1507 tomów literatury polskiej, 470 tomów czasopism oprawnych, 280 książek dla dzieci i młodzieży. W Czytelni było 120 czasopism. Cyfry te suche świadczą o takiej zapobiegliwości Zarządu, nie rozporządzającego zaiste znaczniejszą dotacyą, że wypisane na czole przemawiają tonem najwyższego uznania. Rośnie ono, skoro czytamy dalej cyfrę osób, które z biblioteki i czytelni korzystały: po sto kilkadziesiąt osób dziennie w pierwszym czasie; obecnie więcej; nic dziwnego — ułatwienia są nadzwyczajne, czytelnia otwarta prawie dzień cały, kaucya niewymagana i t. d.

Ale katalog ten inne jeszcze ma znaczenie. Pierwszą jest on próbą uporządkowania większego księgozbioru podług pewnych rozumowych prawideł. Układający unikali szablonu i praktykowanych powszechnie podziałów („beletryka" — „książki"); kierowali się planem, wynikającym z przeznaczenia biblioteki i z zasad współczesnej klasyfikacyi wiedzy. Okoliczność pierwsza kazała książki informacyjne (encyklopedye, słowniki etc.) przeznaczyć do osobnej biblioteczki podręcznej; wydawnictwa partyi politycznych i materyały dotyczące instytucyj politycznych, zgromadzać w specyalnem „archiwum". (powiększone do właściwych rozmiarów tworzyłoby pierwsze w Polsce archiwum społeczne!), poza tem został cały materyał książkowy ujęty wedle prawideł, wymaganych przez system racyonalnego kształcenia się samouków. Stąd dzieła naukowe ułożone według klasyfikacyi wiedzy, zaś literatura piękna — jako „materyał literacki" wedle grup narodowych. Nie jeden tu jeszcze punkt sporny — ale nieoceniona też podstawa dla pracujących na temsamem i pokrewnych polach.

Katalog, jakoteż „Biuro porady dla informacyi w kwestyach wykształcenia ogólnego“, istniejące przy Uniwersytecie ludowym im. Mickiewicza, oraz prace nad opracowującymi się właśnie katalogami „słownikowym“ i „rozumowanym“ świadczą o prawdziwej a rozumnej miłości, które piękne to dzieło kulturalne stworzyła. Oby znalazła u nas należyte poparcie i naśladowców.

NOWE KSIĄŻKI.

FilozofiaW. ychowanie. *Karol Kautsky:* Etyka w świetle materyalistycznego pojmowania historyi. Warszawa, wydawnictwo „Biblioteki naukowej“. — *Renouvir K.:* O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela. Przełożył K. Drzewiecki. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Antoni Potocki:* Wychowawcze zadanie ogółu. Lwów. Tow. wydawnicze. — *Romuald Minkiewicz* (Kaz. Romin): O pełni życia i o komunie duchowej. Kraków. Nakład Jakóba Mostkowicza. — *C. Wagner:* Młodzież. Wydanie II. Warszawa. Gebethner i Wolff.

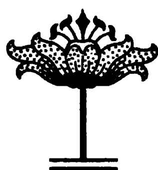
Literatura i sztuka. Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki — pod redakcyą J. Chrzanowskiego, H. Gallego i Stanisława Krzemińskiego. T. I. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Zygmunt Wasilewski:* Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie. Lwów. Nakład Tow. Wydawniczego. — *St. Lack:* Spór o pomnik. Uwagi o sztuce monumentalnej. Kraków. Gebethner i Wolff. — *T. S. Grabowski:* Anton Aszkerc, poeta słowieński. Kraków. Gebethner i Wolff. — *Bol. Kielski:* O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności. — *Dr. K. Wojciechowski:* Zagadnienia społeczne w powieści polskiej w wieku XVIII i początkach wieku XIX. Lwów. Nakład Funduszu naukowego. — *J. D.:* Słowo o Adamie Asnyku. Odczyt niewygłoszony. Kraków. Gebethner i Wolff. — *Mychajło Moczulskij:* Ołeksander Kozłowskij, biograficzno-literaturnyj narys. Lwów. 1906.

Powieść. *W. Sieroszewski:* W matni. Wyd. III. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Oskar Wilde:* Obraz Doryana Graya. Przekład M. Feldmanowej. Brody. Księgarnia F. Westa. — *Stefan Żeromski:* Popioły. Siódmy tysiąc. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Ewa Łuskina:* Chińskim tuszem. Nowele. Kraków. Księg. D. E. Friedleina. — *Marion:* Życie. Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Ewa Łuskina:* Viraginitas. Romans stylizowany. Kraków. Księg. D. F. Friedleina. — *Wl. St. Reymont:* Chłopi. III. Wiosna. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *K. Przerwa-Tetmajer:* Anioł śmierci. Romans. Wyd. IV. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Publicystyka. *D. Marski:* Szakae. (Rzecz o narodowej demokracyi.) Petersburg. Wyd. Petersburskiego Koła młodzieży P. P. S. — Pamięci Stefana Okrzei. Warszawa. P. P. S. — *Jerzy Moszyński:* List otwarty do J. E. Ks. biskupa Edw. Roppa. Drukarnia „Czasu“ w Krakowie. — *I. Daszyński:* Pogadanka o religii. Kraków. Wyd. „Latarni“. — *J. Baudouin de Courtenay:* Autonomia Polski. Kraków. Nakład Krakowskiego Oddziału Uniw. ludowego. — Z doświadczeń aresztowanego. Warszawa. Polska partya socyalistyczna. — *Res:* Kwestya polska w oświetleniu socyaldemokracyi polskiej. Kraków. Nakład wydawnictwa *Życie* — *Janisław Jastrzębowski:* Precz z obłudą w domu i szkole. Kraków. Gebethner i Wolff.

Druk ukończono 28 września 1906 r.

Odpowiedzialny wydawca i redaktor Wilhelm Feldman. Drukarnia Literacka w Krakowie.



DOM BANKOWY
KANTOR WYMIANY
WE LWOWIE, UL. HETMAŃSKA 12

SOKAL I LILIEN



kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, galic. Banku krajowego, jakoteż obligacye komunalnego Banku krajowego i oblig. pożyczki krajowej, wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszymi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia, wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje się jak najrychlej

Kantor wymiany

Filii c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów **bez potrącenia prowizyi.**

Filia c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

wydaje oprocentowane **asygnaty kasowe**

oraz przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym i wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

Prosimy uprzejmie o odnowienie przedpłaty! Adres wydawnictwa: **Kraków, ul. Stachowskiego 14.**



ROCZNIK VIII. 1906.

ZESZYT XI. LISTOPAD.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	za granicą:		w Król. i Rosyi:
rocznie	. K 12·—	Mk. 12·—	fr. 16·—	rb. 7·60
półrocznie	„ 6·—	„ 6·—	„ 8·—	„ 3·80
kwart.	. „ 3·—	„ 3·—	„ 4·—	„ 1·90
Nr. pojed.	„ 1·20	„ 1·20	„ 1·50	„ —·65

W Warszawie: kwart. rb. 1·50, półr. 3 rb., pojed. 60 kop.

Redakcya i Administracya: **Stachowskiego 14.**

KRAKÓW 1906

Rękopisów, nadesłanych bez zażądania ze strony redakcyi, nie odsyła się.

Numer zamyka się 20-go każdego miesiąca.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu. Redakcya i administr.: Kraków, Stachowskiego 14



(f).

PRZEŁOM W GALICYI.

Pokojowa, niemniej głęboka rewolucya dokonywa się obecnie w całej czarnożółtej monarchii. Burza, przeciągająca nad obszarami państwa rosyjskiego, tutaj odbiła się echem groźnem, w uszy dynastyi rzuciła memento surowe; odpowiedział czyn: akt proklamujący zasadę powszechnego, równego prawa głosowania Niewątpliwie wpłynęły na ten akt inne jeszcze przyczyny, wzgląd na „zewnętrzną“ był jednak decydujący. Podkreślić należy ten fakt wobec mnożenia się u nas „realnych“ polityków, uważających nasz kraj za dom na szczęśliwej wyspie, którego nie tknie ogień, szalejący na pobliskich lądach. Współzależność ludów staje się prawem nawet przez stare dynastye rozumianem — i dzięki temu zasada powszechnego głosowania weszła do maszyny ustawodawczej austryackiej, z której wyjdzie ustawą, jeżeli maszyna ta się nie roztrzaska. Tymczasem pracuje ona — z hukiem, sykiem, warczeniem „kół“; w kotłach kipi woda, bardzo dużo wody — złośliwi przeciwnicy rzucają między tryby rozmaite przeszkody, ale dźwignie działają — dzieło zbliża się do końca.

Dzieło nawskroś rewolucyjne.

Jak każda rewolucya: powszechne i równe prawo głosowania spełnia przedewszystkiem zadanie burzycielskie, negatywne; obala uświęconą wiekami fałszywą powagę. I niejedną nawet powagę. Liberalizm obalał tylko przywilej urodzenia; demokratyzm usuwa także majątku jak i wykształcenia przywilej. Czy pozytywne zadanie, jakie „czteroprzymiotnikowe“ prawo głosowania spełni, jest również tak doniosłe jak negatywne; czy bezwzględnie dodatnie? Nie. Wpływ powszechnego głosowania stanowczo bywa przeceniany. Widzimy kraje, w których nie ma powszechnego, rów-

nego prawa głosowania, a które mimo to są bardziej wolnościowe (Anglia) i demokratyczniejsze (Norwegia), niż państwa z głosowaniem powszechnem (Niemcy). Widzieliśmy powszechne głosowanie w usługach najohydniejszej reakcyi (Napoleona III.), widzieliśmy wielką rewolucyę, wyszłą z parlamentu stanowego. Widzimy wielkie państwo, którego rządu powszechne głosowanie nie zdołało nawet uczynić parlamentarnym (Niemcy); widzimy państwa o najdemokratyczniejszej konstytucyi a bez postępu kulturalnego (południowi Słowianie); widzimy naród, elementarnych nawet praw politycznych pozbawiony, a postępujący w kulturze za najwyżej posuniętemi społeczeństwami w Europie (Królestwo Polskie). Prawdą jest także, że wszelki system głosowania jest narzędziem za grubem, za mało złożonem, by odtwarzało prawdziwy nastrój ludności, przedewszystkiem zaś tej ludności, która ma prawo do tego, by jej głosy były ważone, nie tylko liczone. Mimo to wszystko powszechne i równe prawo głosowania — szczególnie zaś, korregowane zasadą proporcyonalności — jest fundamentalnym postulatem zasad czystego człowieczeństwa i polityki demokratycznej. Nie przeceniajmy tylko znaczenia kartki wyborczej, nawet aktów prawodawczych. Wspomnijmy realne siły, rządzące w dzisiejszem społeczeństwie; wspomnijmy siłę urodzenia, majątku, inteligencyi, nimbu klasowego, które posiadającym ją ludziom otwierają wszelkie furtki, ułatwiają byt i przyszłość; wspomnijmy kto posiada w swych rękach militaryzm, sądownictwo, administracyę; olbrzymia większość ludzi „źle urodzonych" i ubogich, płacących jednak podatek krwi i daninę od każdego kęsa chleba, posiada wobec tych przygniatających potęg tylko biedną kartkę głosowania. Tę broń polityk, dbały nie o idealną sprawiedliwość, nie o „dyktaturę proletaryatu", lecz o wentyl bezpieczeństwa i o słabą bodaj równowagę sił, tę broń musi nowoczesny polityk dać do rąk ludziom wszelkiej innej broni pozbawionym; inaczej wobec wiadomej tendencyi wszelkiej siły do nadużyć naraża państwa w bliższej lub dalszej przyszłości na groźne wstrząśnienia. Równocześnie wprowadza powszechne głosowanie na arenę publiczną grę sił, przyspieszających niesłychanie tempo ewolucyi społecznej (Bismark przyznał, że gdyby nie socyaliści — w Niemczech nie byłoby ustawodawstw ochronnego dla robotników!) i w gorącym klimacie walk poli tycznych pozwala wcześniej dojrzewać, energie potężniej wyzwala niż to się dzieje w chłodzie stanu bez praw i w ciemni nieświad

mości. Klasy posiadające, warstwy inteligentne tysiące posiadają i długo jeszcze będą posiadać środków obracania na swoją korzyść wszystkich narzędzi władzy państwowej, wszystkich organów użyteczności publicznej, wszystkich szans w walce o byt, jakie daje urodzenie, majątek lub wykształcenie; milionom wpływów tych pozbawionym, musi się pozostawić przynajmniej możność głośnego wypowiedzenia się, oraz kontroli społecznej. Stąd konieczność powszechnego i równego prawa głosowania — przy całej jego niedoskonałości.

* * *

Aktem rewolucyjnym jest zaprowadzenie powsz. głosowania i nie nowe to, ni dziwne, iż *beati possidentes* są przeciwni rewolucyi, nie chcą się dobrowolnie usunąć z zyskownych posad członków rady nadzorczej i dyrektorów tego interesu, którym dla nich jest „dobro publiczne". Tu zaś, zupełnie naturalnie w wieku ogólnego kłamania, następuje uroczysty „hołd, oddany przez niecnotę — cnocie", t. j. system obłudy jako polityka. Strojna w togę ojcowstwa Rzeczypospolitej, w biret doktora, nauczającego maluczkich, w gest Kassandry. Celebranci wobec publiczności, w zaciszu umieją także być kretami. Kampania przeciw powszechnemu głosowaniu od roku wre rozpaczliwa.

Z dwojakiego stanowiska wychodzą przeciwnicy. Z klasowego i narodowego. Na pierwszem stoją stańczycy, na drugiem pseudo-narodowi-demokraci.

Przypomina się fałszywa zresztą definicya Proudhona: „własność jest kradzieżą" wobec widowiska, jak każdy duch klasowy wstydzi się przyznać do bronienia własności, klasowej swej własności. Narzędzia krzywdy okrywa się tedy kwiatami — także dobra narodowego, troska o zagrożony interes kastowy nosi także maskę ojcowskiej opieki nad skarbami kultury i przyszłości narodu.

W Polsce tak zawsze. „Szlachta... za ojczyznę swoją przeleje krew, ale dobrowolnie nie odda piędzi ziemi chłopom!" pisała w jednym ze swych manifestów Centralizacya Towarzystwa demokratycznego; ani też — trzeba dodać — nie ustąpi żadnego ze swoich praw politycznych. Widowisko już pięć ćwierci wieku trwa i nie widać końca. Od czasu, gdy panowie bracia w roku 1780 deptali nogami „Zbiór praw" kanclerza Zamojskiego, nadającego pewne prawa chłopom, nie było jeszcze wypadku, aby szlachta z własnej inicyatywy poważniejszy krok dla wyzwolenia

ludu zrobiła; jasno świecą pojedyncze postacie — od ogółu żaden akt, dzielący się prawami politycznemi nie wyszedł. Mimo to szlachta galicyjska, przez naczelną swą organizacyę: wiedeńskie Koło polskie, przez mowców swych parlamentarnych, zapewnia ciągle, że uznaje potrzebę postępowej reformy wyborczej, że najszersze pragnie ludowi przyznać prawa. O, jak celowym jest system szkolny, który każe młodzieży zapoznawać się gruntownie n. p. z dynastyami Niemiec średniowiecznych, nie zaś z historyą najnowszą, n. p. z działalnością wiedeńskiego Koła polskiego. Wystarczy choćby przejrzeć sprawozdania z posiedzeń cnej tej korporacyi w r. 1896, aby mieć obraz mistrzowskich „kunstgriffów", i rozpaczliwych rzutów, zdążających do obalenia drobnej tej reformy, jaką była zasada V kuryi Kaz. Badeniego. Scena przeniosła się potem do kraju, na sejm lwowski. Potworna to anomalia, właśnie ze stanowiska narodowego, że z Wiednia spłynęły na lud nasz prawa polityczne, że Wiedeń uznaje go pełnoletnim, obywatelem — sejm zaś odmawia dotąd tych praw niezliczonym rzeszom, będącym już wyborcami do parlamentu centralnego. Od lat kilkunastu naprzód Rusini, potem ludowcy, od r. 1897 demokraci co rok stawiają wniosek o postępową reformę wyborczą. Co roku odbijają się o mury sejmu żądania praw dla ludu — co roku jest on świadkiem deptania mniejszości przez większość i to przy akompaniamencie motywów, które muszą na szerokie warstwy ludności, coraz dojrzalsze, coraz niecierpliwsze, działać w najwyższym stopniu prowokująco. W jesieni 1905 ruch za reformą wyborczą ogarnął już był warstwy ludowe w Galicyi istotnie jak burza; agitacya dotarła była do każdej wsi i miasteczka; reforma wyborcza rządowa wisiała już w powietrzu. Obrady zaś nad ordynacyą wyborczą, toczone z końcem listopada 1905 w sejmie galicyjskim, referat komisyi, kilkakrotnie zmienione wnioski tej komisyi i mowy, wypowiedziane w pełnej Izbie przez posłów: Stadnickiego, Milewskiego, Tarnowskiego (ze strony stańczyków) zostaną na długo, jako jedyne w swoim rodzaju dowody dobrych chęci i myśli reformatorskich, na które potem konserwatyści we Wiedniu się powoływali. Komisya, w której przeważali stańczycy, a z wyjątkiem jednego głosu zasiadali wyłącznie konserwatyści, oświadczyła przedewszystkiem, że sprawa refor[illegible] ordynacyi wyborczej nie może być załatwiona nagle i dorywc[illegible] tylko dwanaście lat sprawa ta stała na porządku dziennym ob[illegible] sejmowych. „Żaden głos" — czytamy w sprawozdaniu — [illegible]

zalecał przeprowadzenia reformy na podstawie powszechnego, tajnego, równego prawa głosowania; dwie trzecie głosów oświadczyły się przeciw utworzeniu V-tej kuryi na wzór wprowadzonej do parlamentu przez Badeniego: „wszystkie zapatrywania, objawione w komisyi, z wyjątkiem jednego oświadczyły się przeciw wprowadzeniu wyborów bezpośrednich", — nie oświadczono się też za tajnością głosowania. Logicznie kończył się też elaborat komisyi wnioskiem sprawozdawcy, posła Garapicha, by nad całą sprawą reformy ordynacyi wyborczej przejść do porządku dziennego; zachować system dotychczasowy nienaruszonym.

Do tego diapazonu były dostrojone wszystkie przemówienia z prawicy. „Zasady powszechnego, tajnego, równego i bezpośredniego prawa głosowania nikt z pewnością z myślących i kraj miłujących ludzi sobie nie życzy i nie chce" — oświadczył hr. Jan Stadnicki. Prof. Milewski, rozpocząwszy Arystotelesem, wypowiedział uczoną mowę przeciw powszechnemu prawu głosowania; nie wzgardził nawet takim sofizmatem, że hasło „precz z przywilejami" tłomaczył w ten sposób, iż niegdyś miewał ktoś przywileje na podstawie tego, że raczył się urodzić — dziś przywilejem byłoby, gdyby ktoś miał prawo wyborcze dlatego tylko, że się urodził; przeoczył, że powszechność prawa wyborczego polega na powszechności służby wojskowej, ponoszenia ciężarów publicznych pośrednich etc. Długą mowę wypowiedział Tarnowski, dekretując, że „kto pojmuje społeczeństwo, naród, ojczyznę, jako organizm, ten musi być przeciwnym" zasadzie głosowania powszechnego.

Będąc co do jednego przeciwnikami powszechności i bezpośredniości wyborów, o równości prawa wyborczego oczywiście i słyszeć nie chcieli. Dopiero pod grozą przygotowanej przez rząd reformy ordynacyi wyborczej do sejmu centralnego, w postrachu i przerażeniu uchwalił sejm mdłą rezolucyę formalistyczną w kierunku rozszerzenia prawa wyborczego w granicach systemu reprezentancyi interesów.

Ale nawet nóż mając na gardle, nie uchwalili panowie konserwatyści powszechności i bezpośredniości — nie mówić już o równości — prawa głosowania.

Stałość zasad wprost imponująca, obrona okopów św. Trójcy prawdziwie bohaterska, ale któż po niej uwierzy, że na gruncie wiedeńskim bohaterzy zmienili swoje serca? Kto uwierzy, że stali się zwolennikami powszechnego głosowania, że wszystkie ich

dalsze zabiegi około „polepszenia“ ustawy, że cała ich obrona „interesów narodowych“ jest czemś więcej, niż politycznem fabrykowaniem aniołków, chęcią zabicia całego dzieła reformy.

Godnymi ich towarzyszami w szlachetnej pracy są narodowi demokraci.

Stronnictwo, uważające się za „demokratyczne“, ma — zdawałoby się — obowiązek bronienia równouprawnienia politycznego wszystkich warstw ludowych; stronnictwo, uważające się za narodowe, ma — zdawałoby się — obowiązek stapiania w jedność wszystkich warstw narodu, a nie rozbijać go utrzymywaniem podziału na kasty, na uprzywilejowanych i wydziedziczonych. Widzimy coś wręcz przeciwnego. Od czasu, jak stronnictwo to zaczęło uprawiać politykę „realną“, stało się zaprzeczeniem idealnych swych założeń i realizm swój przemienia w cynizm. A przy tem wszystkiem chce być traktowane, jako posiadające dążenia istotnie ogólno-narodowe i postępowe. Kilka lat temu *leader* stronnictwa, p. Dmowski, walcząc z Romanowiczem za jego radykalizm, jak rupiecie odrzucał myśl nie tylko równego, lecz wogóle powszechnego prawa wyborczego. Nie dawniej temu, jak w r. 1903 drukował p. Dmowski w obu organach swej partyi, w *Słowie Polskiem* i w *Przeglądzie Wszechpolskim* (str. 713) tę filipikę, w której wołał: „a samo to powszechne prawo wyborcze, za którem agitacyę usiłują dziś organizować, czyż nie jest ilustracyą niegodnego z wymaganiami naszego życia politycznego liberalizmu? Dla kogo ono dziś potrzebne? Kogo ma uszczęśliwić?...“

Oczywiście było niepotrzebne p. Dmowskiemu i jego obozowi, opierali się też oni nawoływaniu do reformy wszelkimi sposobami. *Słowo Polskie* okazało też w tej sprawie sumienie prawdziwie kauczukowe. Jeszcze pod koniec roku 1905 (nr. 493), roztrząsając kwestyę reformy ordynacyi wyborczej sejmowej, nie mogło ono zdecydować się bodaj na powszechne prawo głosowania. Za utworzeniem piątej kuryi oświadczało się, a jeszcze bardziej polecało wzięcie pod rozwagę pytania, czy zamiast tworzyć piątą kuryę powszechną nie należałoby raczej odpowiednio rorszerzyć prawo wyborcze w kuryi trzeciej (miejska) i czwartej (wiejska) — jednakowoż z ograniczeniami: prawo wyborcze powinnoby się przyznać tylko umiejącym czytać i pisać. Przyznawanie praw politycznych analfabetom — wywodził wówczas organ narodowo-demokratyczny — jest niedorzecznością, a ż

dziś przyznane ono wyborcom kuryi 3 i 4 — ha, nie myśmy to uchwalili i możemy to koregować. Więc demokraci chcieli prawa polityczne ograniczyć, narodowcy bronili jedności narodowej — zatrzymywaniem kuryi.

Dopiero rząd austryacki stał się mistrzem pedagogiem wszechpolaków i pod wpływem jego przedłożenia zaczęli cofać się ze stanowiska nieprzejednanych, miotając na prawo i na lewo złorzeczenia i przekleństwa, nie pozwalające mieć wątpliwości co do ich uczuć. „Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w państwie austryackiem", ogłoszony na Boże Narodzenie 1905 r. przyznaje się już do chęci „wprowadzenia prawa wyborczego powszechnego, bezpośredniego i tajnego i do zniesienia dzisiejszych kuryi wyborczych, przy równoczesnem jednak zapewnieniu odpowiedniej reprezentacyi w ciałach ustawodawczych korporacyom publicznym, przedstawiającym ogólne interesy krajowe i zawodowe". Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że to już ostatnie słowo partyi. Oto w książce agitacyjnej „o reformie demokratycznej" (Wydawnictwo Stronnictwa demokratyczno-narodowego II.) czytamy, że „głosowanie powszechne winno mianowicie obejmować tylko tych pełnoletnich męskich obywateli, którzy zdolni są do samodzielnego wykonania tajnego a zatem pisemnego prawa głosowania, a zatem wykluczać analfabetów". Mamy więc ograniczenie p o w s z e c h n o ś c i prawa głosowania. Za równością zaś tego prawa stronnictwo nigdy nie było. I jestże kto naiwny na tyle, by uwierzył zapewnieniom odświętnym, że stronnictwo narodowo-demokratyczne jest istotnie za powszechnem głosowaniem?

Z całym naciskiem przypominamy, że mowa dotąd o powszechności prawa głosowania, nie o równości; że tak stańczycy jak i narodowi demokraci do niedawna sprzeciwiali się tej kardynalnej zasadzie, przeciw której ze stanowiska „narodowego" żaden nie da się przytoczyć argument. Ze stanowiska „narodowego! Czy ci ludzie, którzy bezustannie ten frazes wyrzucają z ust, zdają sobie sprawę z tego, jak go obrzydzają innym, jak dyskredytują to hasło, jaką nieufność na długi czas musi się nabrać do etykiety, okrywającej treść sfałszowaną? Więc stanowisko „narodowe" wymaga przedewszystkiem nierówności prawa głosowania — ze względu na Rusinów.

Otworzyła się znowu rana odwieczna, kwestya ruska i znowu zaczęła z niej spływać najobrzydliwsza ropa, zatruwająca krew całego organizmu. Jeśli kto wątpił o przejęciu przez demokratów

narodowych etyki jezuickiej żywcem, ma tutaj nato dowód niezbity. Jakichże bo środków nie uświęca cel ich — polityka „egoizmu narodowego“! Człowiek prywatny zawierając umowę, która z całą świadomością krzywdzi drugą stronę, jest oszustem; wykonywując na drugim gwałt – jest zwyczajnym zbrodniarzem. W polityce jedno i drugie uchodzi i jest nawet otoczone aureolą bohaterstwa „narodowego“. Ta polityka „wymagała“ aby Rusinni, stanowiący połowę ludności Galicyi, posiadali dotychczas 8 mandatów do parlamentu, Polacy zaś — 70, ta polityka „wymaga“ dzisiaj odrzucenia zasady równości prawa wyborczego, by niepodzielnie utrzymać powagę i siłę polską.

My jednak brzydzimy się powagą, opartą na brutalnej przemocy, gardzimy siłą, tryumfującą nad przeciwnikiem skrępowanym. Jesteśmy zdania, że naród polski nie potrzebuje środków niegodziwych, by zachować swą żywotność i róść w potęgę, że przeciwnie, jak zarazek wprowadzony w organizm osłabiają go one na wewnątrz i zmuszając do bezustannej walki na zewnątrz – paraliżują jego twórczość wewnętrzną. Równość wobec ustaw politycznych jest dla nas takimsamym postulatem ducha nowoczesnego, jak równość wobec ustaw cywilnych i karnych, a jeśli równość ta doprowadza do wzrostu liczby posłów z łona Rusinów lub Żydów – mają oni do tego naturalne prawo i nikomu go eskamotować nie wolno. Wyższość ekonomiczna lub nawet kulturalna nie jest w naszych oczach argumentem za przywłaszczaniem sobie przywilejów; wyszliśmy z założenia, że upośledzony, czy pozbawiony innych władz we walce o byt, musi w życiu posiadać przynajmniej tę szansę, którą daje kartka wyborcza; stąd,„ że ktoś przez wieki był krzywdzony, upośledzany w rozwoju umysłowym, nie wynika, żeby miał ponosić karę w postaci dalszego upośledzenia. I tylko polityka odruchów, lekkomyślność pozbawiona względu na jutro, może przypuszczać, że taki stan da się utrzymać na długo, że w naszych czasach tak szybkiego dojrzewania mas, jednostek, ludów, możliwa jest egzystencya w atmosferze krzywdy i niesprawiedliwości, że potęga życia nie rozsadzi wszystkich zawad sztucznych, zbudowanych choćby na podstawie najkunsztowniejszej matematyki i geometryi wyborczej. Jak u nas na każdym kroku czuć, że „ojczyzna“ oznacza kraj ojców — nie dzieci, przyszłości!

I stało się, że narodowi demokraci z solidaryzowali się z stańczykami, by wszelkich użyć dróg i środków dla zwalczeni

zasady równości. Przeprowadzili faktyczny podział Galicyi, dzieląc okręgi wyborcze w taki sposób, iż we wschodnich przeciętnie dwa razy tylu głosujących wypada na jednego posła, co w zachodnich; p. Głąbiński wysilił cały swój talent, o którym w świecie nauki jakoś nie słychać, aby misternem łączeniem gmin i powiatów rozbijać nienawistne sobie żywioły; nareszcie złączyły się piękne dusze z głosami „centrum ludowego“, by forsować ideę głosowania pluralnego. Pluralizm miał być zbawcą; wartość człowieka miała być zdwojona, o ile posiadał rodzinę (jak gdyby do posiadania syna potrzeba było szczególnego rozwoju umysłowego), lub cenzus majątkowy (znowu utożsamienie dochodu z rozumem). To żądanie pluralizmu jest klasycznym przykładem pokrywania frazesem narodowym polityki czysto klasowej; ze stanowiska bowiem „narodowego“ biorąc, pluralizm wyszedłby może na korzyść Rusinów i Żydów, którzy wcześniej się żenią i mały, ale częsty płacą podatek bezpośredni: pierwsi z roli, drudzy z handlu; przeciw proletaryuszom więc, nie przeciw narodowemu „wrogowi“ wymierzony to system. Dopiero nacisk rządu i większość obca zamach ten udaremniły.

I czyż po tem wszystkiem dziwić się, iż mało w kraju jest naiwnych, którzyby wierzyli, że stańczycy i narodowi-demokraci nie są wrogami reformy wyborczej?

* * *

Machinacye te wszystkie mszczą się — i skutek swój już wydały. Wywołały w kraju wsprost paniczny strach przed koalicyą stańczykowsko-wszechpolską. Z trwogą i nieufnością ogromna liczba ludności odnosi się do sztandaru i treści tej polityki; na sztandarze zaś tym napisane hasło: autonomia.

Czy można sobie wyobrazić gorsze świadectwo dla czterdziestoletnich rządów klasy panującej i jej adherentów w Galicyi nad fakt, że miliony mieszkańców jak nieszczęścia boją się utrwalenia ich rządów?

Pierwsze lata autonomii galicyjskiej przepełnione są protestami przeciw tej autonomii. W pierwszym sejmie galicyjskim z r. 1861 zasiadało chłopów 39, a wszyscy co do jednego pełni byli obawy i niechęci do „panów“; za „cesarskie dzieci“ się uważali. Dziś po latach pracy przyjaciół ludu chłop jest nierównie oświeceńszy, nierównie bardziej polskim, ale najsilniejsza jego organizacya: stronnictwo ludowe, tak samo broni się

wszelkimi sposobami przed groźnem dziś widmem rządów autonomicznych. I z trwogą o tem myśli olbrzymia większość obywateli żydowskich, cały obóz robotniczy, przedstawiający połowę kraju Rusini, stronnictwo demokratyczne krakowskiej *Nowej Reformy*.

To jest rezultat czterdziestu lat „autonomii", będącej samorządem dla wielkiej własności ziemskiej — nierządem dla całego kraju; to jest dowód umiejętności rządzenia tych, którzy i przed wiekami kraj zgubili — kraj, który kwitł i Eldoradem był dla mieszkańców, gdy w nim humanizm panował, duch miast swobodnie rozpościerał swe skrzydła. To były rządy polskie, dopóki nie znikczemniały w rządy szlacheckie, aby zbankrutować haniebnie i znowu zmartwychwstać pod egidą czarno-żółtą. Straszydłem one autonomię w Galicyi uczyniły, groźbą...

I oto tę autonomię tak popularną, tak upragnioną, stańczycy i nacyonaliści postanowili bardziej jeszcze sercom uczynić miłą — i obrócili ją w środek dla zabicia reformy wyborczej. Postawili parlamentowi i rządowi *junctim:* albo dacie rozszerzenie autonomii, to my się zgodzimy na reformę, albo — obalimy wasze dzieło. Motywem: przyszły parlament, wybrany na podstawie głosowania powszechnego, będzie centralistyczny i rozszerzenia autonomii od niego nie można będzie uzyskać.

Odczuł to instynkt szerokich mas ludowych, że takie stawianie kwestyi pozorem jest, wybiegiem, zamachem na jego przyszłość.

Polityka autonomiczna „Galicyi" jest jednem z wielkich kłamstw, zwanych legendami historycznemi, które dlatego żyją w opinii publicznej, bo ta nie zna elementarnych faktów z najbliższej przeszłości. Nie jest to bowiem prawdą, żeby Koło polskie było autonomiczne. Frazes, gest, miało — ducha, czynnej polityki w kierunku autonomii od niepamiętnych nie okazywało czasów.

Jeden jest okres, w którym Koło miało godło autonomii nie tylko na papierze: czas od 1867 do 1873 r. „Rezolucya" z r. 1868, żądająca wyodrębnienia Galicyi, była dla Koła dyrektywą i ono też trzymało się jej — z uporem, świadczącym dobrze o chęciach, ale bardzo źle o zdolnościach politycznych. Były bowiem kilkakrotne momenty, kiedy znaczne rozszerzenie autonomii można było uzyskać, wtenczas Koło taktyką swą wszystko psuło. W r. 1876 komisya parlamentarna zgodziła się była na rozszerzenie zakresu autonomii, w 1871 ofiarował je gabine

Hohenwarta — z niezrównanem niedołęstwem nie umiano ze sytuacyi korzystać. W r. 1879, gdy hr. Taaffe wprowadził Czechów do parlamentu, liberali niemieccy ofiarowali Kołu wyodrębnienie Galicyi — ono odrzuciło. Wolało koalicyę słowiańsko-klerykalną, wolało przewodzenie w gabinecie Dunajewskiego, po którym się spodziewało, że skarb państwa naoścież otworzy dla Galicyi.

I otworzył go minister-rodak, otworzył, aby zagarniać podatki pośrednie w takiej wysokości, w jakiej przed nim żaden minister austryacki z kraju nie wyciskał, a wypłacać zeń conajwyżej miliony dla szlachty indemnizacyjne. Czemu Koło polskie wówczas nie myślało o rozszerzeniu autonomii? Czemu nie uczyniło nic dla tej idei później, za „rządów polskich" hr. Badeniego, gdy czterech rodaków zasiadało w gabinecie, który byłby przedłożył do sankcyi każdą uchwałę sejmową? Ale autonomia — wywodził niedawno w parlamencie Lecher — to parasol, który się wyjmuje z szafy w czas niepogody.

Jeszcze kilka lat temu krakowski Klub konserwatywny tocząc mdłą dyskusyę nad sprawą autonomii, do żadnych nie doszedł wniosków. W r. zaś 1903, gdy pp. Głąbiński i Studnicki w tem gnieździe neostańczykowstwa apostołowali wyodrębnienie Galicyi, prof. W. L. Jaworski uważał rzucanie w świat idei samodzielności Galicyi za szkodliwe, więc też „nie można jej jako programu politycznego szerzyć, propagować, wszczepiać i wprowadzać jako czynnik w nasze życie polityczne". Prof. Antoni Górski był zdania, że przedewszystkiem „musimy dążyć do tego, żeby monarchia austryacko-węgierska stała się państwem potężnem i żeby nasz wpływ na jej losy i stosunki był utrwalony".— „więcej osiągniemy stąd narodowych korzyści, niż gdybyśmy od państwa wewnętrznemi rozterkami skołatanego, najdalej idącą samodzielność dla Galicyi uzyskali. A jestem przekonany, że wyodrębnienie Galicyi niechybnie musiałoby Austryę osłabić". Taksamo hr. L. Dębicki się oświadczył przeciw wyodrębnieniu, gdyż „nie uśmierzyłoby to chaosu, antagonizmy wzmogło. A gdyby nam dano tę odrębność za wysoką cenę rozdziału ciężarów, wtedy Galicya słaba i uboga zmuszoną byłaby bawić się w odrębne państwo — co jest nader kosztową zabawką", zresztą z ustąpieniem delegacyi w Wiedniu stracilibyśmy ostatnią trybunę europejską; za tą ideą oświadczył się właściwie jeden tylko mowca neokonserwatystów.

Teraz gdy chodziło o zabicie reformy wyborczej, Koło zawarło

związek przeciw naturze — z klubem wszechniemieckim głosując demonstracyjnie za wyodrębnieniem Galicyi, obecnie zaś domaga się autonomii, zanim da prawa ludowi. A stronnictwa ludowe domagają się wprzódy praw, wprzódy dopuszczenia ludu do tego sejmu, który dziś jest czysto kastowym. I nietylko one stawiają tak kwestyę. Nie tak dawno temu, w r. 1898 widział jasno sytuacyę także *Przegląd Wszechpolski;* redaktor jego ówczesny, mający w sobie jeszcze tradycye *Głosu* radykalnego, J. L. Popławski pisał (w broszurze: „Polityka autonomiczna w Austryi", str. 8): „Jeżeli te stronnictwa (opozycyjne) przeciwne są... nawet poniekąd rozszerzeniu kompetencyi sejmu i władz krajowych, to przedewszystkiem dlatego, że urzeczywistnienie tych postulatów w dzisiejszych warunkach, bez zasadniczej zmiany ustroju państwa i ordynacyi wyborczej do sejmu w duchu równouprawnienia obywatelskiego wszystkich warstw ludności — byłoby w rzeczywistości tryumfem reakcyi politycznej, uchwaleniem uprzywilejowanego stanowiska klas rządzących..."

Dziś wszechpolacy żądają rozszerzenia kompetencyi sejmu mimo, że ten tak systematycznie odrzuca wnioski zmiany ordynacyi wyborczej, żądają tego przy całej świadomości, że byłoby to tryumfem reakcyi politycznej — żądają tego, gdyż sami gotują się do roli „rządzących" i szukają właśnie sposobności, by okazać swoją sztukę rządzenia na karkach ludowców, socyalistów, Rusinów, Żydów — w myśl znanych tendencyj *Słowa Polskiego.* Zawszeć polityka taka zysk przyniesie: albo pozór do obalenia reformy wyborczej, albo takie bonifikacye, które pozwolą w kraju być panem samodzielnym, absolutnym. A instynkt ludowy protestuje przeciw jednemu i drugiemu. Protestuje — i co najsmutniejsza: wspomina, że zniesienie pańszczyzny przyszło z Wiednia, nie z rąk szlacheckich; ustawy wolnościowe lat sześćdziesiątych przyszły z Wiednia, nie od Sejmu, piąta kurya, powszechne głosowanie przyszły z Wiednia — sejm odmawia; z upragnieniem oczekuje więc możności wejścia na arenę parlamentu, a jak o nieszczęściu myśli o popadnięciu pod utrwalone rządy teraźniejszej autonomii.

Wytworzenie takiego usposobienia wśród milionowych mas Galicyi, jest największą zbrodnią, jaką popełniono w Polsce porozbiorowej. Był czas, kiedy całe narody obce garnęły się do Polski i poddawały się jej miłościwym rządom; do Polski garnęli się Niemcy, Żydzi, Litwini. Dziś właśni synowie boją się „polskich rządów".

Zasługa to stańczyków i ich sojuszników obecnych: narodowych demokratów.

* * *

Zaznaczyliśmy u wstępu, że znaczenia głosowania powszechnego nie przeceniamy. Tem mniej je idealizujemy, że ze stanowiska kultury sądząc — pierwsze jego skutki niejedno ogółowi postępowemu zgotują rozczarowanie. Nie łudźmy się: ci, co najgoręcej agitują, największe ponoszą ofiary na rzecz idei głosowania powszechnego, ci pracują dla drugich. Socyaliści polscy z Galicyi może około pół tuzina posłów przeprowadzą, z całego państwa wejdą z trzy tuziny; cyfra dostateczna do wykonywania krytyki i przeważania w wyjątkowych wypadkach na szali; za słaba — by być siłą twórczą. Nieznacznie też lepiej będzie reprezentowany odłam postępowej demokracyi polskiej i ludowców. Najbliższy parlament będzie prawdopodobnie „morzem czarnem" klerykalizmu i narodomej demokracyi wszelkich narodowości.

Ale i ten układ stosunków będzie niewątpliwie korzystniejszy dla całego kraju, niż obecny. Krytyka będzie wychodzić od kół liczniejszych, niż obecnie; wywody opozycyjne będą silniejsze i w grze parlamentarnej, gdzie drobne mniejszości częstokroć decydują, odegrają nieraz rolę. Polityka kół choćby najbardziej klerykalnych, będzie musiała być bardziej niż teraz demokratyczną; Koło przestanie być reprezentacyą wyłącznie interesów możnowładztwa i wielkich agraryuszy. Taksamo przestanie być manekinem, kierowanym wiatrem dworskim. Energiczniejszą będzie więc ochrona ekonomiczna warstw niezamożnych, a i akcya oświatowa, zaciemniana wielką ilością sutan i mózgami Stojałowskich — mimo wszystko będzie chłopu i małomieszczaninowi gazetę wtykać do rąk, będzie więcej urządzać szkół i lepiej je dotować. Nie przypuszczamy, by klerykalizm miał w Galicyi z groźby przejść w stałą klęskę; szkolnictwa sejm w jego ręce nie odda — bodaj dlatego, by nie potrzebować oddawać go też w ręce duchownych ruskich i żydowskich; politycy zaś z tonzurami rychło zdyskredytują, rozwieją legendę o nieomylności swej sukienki i przygotują teren dla reakcyi; w miastach nareszcie będą żydzi długo jeszcze zbyt znaczącą stanowili siłę, by wszczynać z nimi otwartą wojnę.

Zresztą już teraz dają się uczuwać pośrednie skutki ruchu za głosowaniem powszechnem. Można uważać za pewnik, iż bo-

haterski upór większości konserwatywnej Sejmu jest przełamany: wrota Sejmu niebawem się otworzą przed przedstawicielami warstw, dotąd tam niereprezentowanych; w nieznacznej wejdą oni liczbie, ale wejdą i znowu wniosą ferment krytyki i idei twórczych, na którym zgnuśniałemu, na marazm przedwczesny choremu sejmowi zbywa. Rozorze się ugorem leżące pole sprawy rolnej...

A groźna kwestya narodowościowa? Powszechne głosowanie jedno przedewszystkiem przyniesie: większą dozę prawdy i szczerości w stosunkach publicznych. Całe nasze życie polityczne spoczywa na misternym systemie kłamstw. Okłamują nas gazety, okłamują wybory, okłamują reprezentanci oficyalni. Co się dzieje w głębinach ludu polskiego, ruskiego, żydowskiego, wiemy mniej niż mało. Oczy mamy zawiązane konwencyonalnem lub partyjnem kłamstwem i tak wędrujemy w przyszłość, układamy recepty i horoskopy. Niech nareszcie lud przemówi. Naiwnie lub brutalnie, ale językiem prawdziwych swych uczuć i interesów! Niech będzie ruch, ale nie zatuszowywanie, walka—nie zabagnianie. Dopiero z powszechnego głosowania wyjdą te żywioły—nie o aksamitnych rączkach, nie o dyplomatycznej obłudzie, lecz te, które istotnie myśl jakąś wysnuwają do końca, i w ten sposób ułatwiają nietylko oryentacyę, lecz także pacta. Tylko tą drogą dochodzi się do rozwiązania problemów, nie zaś spychaniem ich w podziemia lub bagniska. Nasza przyszłość i nadzieja nie na arenie wiedeńskiej — ale nie tam też ostatnie słowo padnie w sprawie ruskiej lub żydowskiej. Dopóki jednak sprawy te nie będą w realnej polityce traktowane, jako całości, bez względu na kordony, trzeba wyczekiwane, że właśnie szczere wypowiedzenie się i walka doprowadzą z czasem do uznania obopólnych praw i autonomii narodowościowej.

Dopiero wśród rozlicznych tych przejść stosunki dojrzeją do usamodzielnienia kraju i do samorządu w prawdziwem słowa znaczeniu. Czem byłby samorząd rozszerzony, jakiego żądają dzisiejsi jego bojownicy? Przeniesieniem do Galicyi i tworzeniem nowych urzędów; powiększeniem i tak już pożerającej nas biurokracyi — polskiej. Powszechne głosowanie usamodzielnia jednostki i grupy, zmusza je do śledzenia spraw publicznych, wpaja w nie poczucie samodzielności — i tak stanowi najlepszą szkołę autonomii. Z chwilą gdy wszyscy do niej dojrzeją, a nie będzie ona interesem spekulantów tylko politycznych, z tą chwilą znajdą się siły i ofiary, aby ją i w najszerszym zakresie zdobyć.

Zbawienia powszechne głosowanie nie przyniesie. Eldorada na ziemi nie stworzy żadna ustawa, a harmonia i ład wyższy na świecie zależne są nietyle od wpływu stosunków zewnętrznych, ile od doskonalenia się i uharmonizowania ludzi wewnętrznego. Nie można też za dosyć, za energicznie nawoływać, by równolegle z agitacyą polityczną szła propaganda kulturalna, aby zarówno polityczne, jak i duchowe rozwijanie człowieka odbywało się w słońcu prawdziwej kultury, uszlachetniania i uintenzywniania duszy. Nie jesteśmy zdania, że nieświadomość i bezczynność nie grzeszy, dlatego nie sądzimy, że lepiej jest, by lud pozostawał i nadal poza polityką i rwącym pędem życia publicznego; niech wkroczy na arenę, niech walczy, niech działa, ale z poczuciem, że obok tych praw zewnętrznych, po które sięga, są inne, wewnętrzne, które każdy w sobie uświadamia i jako bóstwo czyni źródłem myśli i czynów, całe życie potęgujących.

I tu jednak nasuwa się uwaga, że zanim bogiem ktoś się sobie staje, musi naprzód być człowiekiem. A powszechne głosowanie w gruncie rzeczy o tyle coś warte, o ile w pewnym zakresie wyzwala człowieczeństwo i pełnię mu daje i możność do czynu.

W tej myśli witamy przełom w Galicyi, jako fakt historyczny doniosły i pożądany.

EDW. LESZCZYŃSKI.

Z MORZA.

I.

Nie zapomnę cię falo daleka,
bom z daleka do ciebie się śpieszył;
Kołysałaś ty serce człowieka,
gdy go żaden człowiek nie pocieszył
— nie zapomnę cię falo daleka.

Nie zapomnę cię falo błękitna,
bo gdym głowy wznieść nie śmiał ku górze,
gdzie się gubi droga orłów szczytna,
tyś mi niebo oddała w lazurze
— niezapomnę cię falo błękitna.

Nie zapomnę cię falo bezkresna,
bo w dal idziesz, jak ludzka tęsknota
i twa skarga jak miłość bolesna
i tak wieczna jak skarga żywota
— niezapomnę cię falo bezkresna.

II.

Ani ty morze brzeg swój zdobędziesz
niknący w dali błękitnej;
ani ty serce sen swój posiędziesz
niechwytny.

Ani się tobie kres kędyś znaczy,
gdzie pościg fal swych osadzisz;
ani ty serce doli tułaczej
zaradzisz.

Ani ty morze w niebo polecisz
na skrzydłach burzy radośnie;
ani ty serce miłość rozniecisz,
co w wieczność rośnie.

III.

ROZMOWA Z MORZEM.

„Ponieś mię morze przez fal odmęty,
gdzie cisza ból mój oniemi,
bom wszystko przeklął, wszystkim przeklęty
i proch otrząsłem tej ziemi.“

— „W otchłań prowadzi fal mych manowiec,
gdzie burze piorunowłose,
.jakże do brzegów szczęśliwych, powiedz,
łódź twego życia zaniosę.“

„Ponieś mię morze, ponieś mię, prowadź,
gdzie serce twoje uderza,
chcę mu na wieki wiary dochować,
rzuciwszy ludzkie wybrzeża.“

— „Serca mojego człek nie znurtuje
— żądza porywa cię marna —
księżyc je tylko blaskiem czaruje,
patrzy weń gwiazda polarna."

„Tobie jednemu dziś się użalam,
odsłoń mi serce mroczne,
wszak ci je ludzkiem sercem nie skalam"
gdy piersią przy niem odpocznę."

— Możebyś serca swego nie skalał,
bo w pian spowiciu drży śnieżnem,
leczbyś pragnieniem jak ja oszalał
jak ja pragnieniem bezbrzeżnem."

IV.

POD GWIAZDAMI.

Pod gwiazdami łódź twa czeka,
żagiel rwie się w dal —
lazurowy sen ucieka — —
Czy pamiętasz? jak przed laty,
woń kochaną szlą ci kwiaty —
duszo, czy ci żal?

Czemu jeszcze się oglądasz
tęsknym wzrokiem wstecz?
jakich jeszcze szałów żądasz,
jakich złudzeń, łez, stygmatów?...
Od tych brzegów, od tych kwiatów
żal ci odejść precz?

Dokąd wracać chcesz oczyma?
kogo żegnać? mów!
Pod gwiazdami łódź się wzdyma
a ty stoisz senna, biała,
jakbyś odejść się lękała
za wieki bez słów.

Jakby dotąd serce śniło
u rozstajnych dróg,
jakby tobie niedość było,
że ci zagra fala szumna,
że odchodzisz taka dumna
jak cię stworzył Bóg.

J. BAUDOUIN DE COURTENAY.

TĘPOŚĆ MORALNA SPOŁECZEŃSTWA ROSYJSKIEGO.

Podczas szykownej kolacyi w jednym z zamożnych domów petersburskich, siedzi przy stole dwudziestoletni młodzieniec z „marynarzy lądowych“ [1]) i opowiada z wielkim aplombem, jak w jednej ze wsi kraju Nadbaltyckiego zabił własnoręcznie 16 (wyraźnie szesnastu) ludzi za to, że ośmielili się „zuchwale“ mu odpowiadać. „Inteligientni“ słuchacze uśmiechają się potakująco i nie znajdują w tem nic nagannego.

W innym domu prywatnym na świetnym wieczorze jeden z walecznych uczestników moskiewskiej „wyprawy karnej“, okazały oficer gwardyi i arystokrata niemiecko-rosyjski, zabawia eleganckie towarzystwo opowiadaniem o tem, jakto na jednej ze stacyi kolei moskiewsko-kazańskiej własnoręcznie wyprawił na tamten świat czterdziestu ludzi. Prawdopodobnie, zwyczajem unoszących się na skrzydłach fantazyi myśliwych, pozwolił on sobie niewinnego kłamstwa i powiększył liczbę położonej przez siebie zwierzyny, ale nie może być najmniejszej wątpliwości, że pan ten własnorecznie zabijał.

Następnie ten „mężny wojak“ pokazuje zasłuchanym w jego opowiadanie współbiesiadnikom pierścień brylantowy i zapytuje:

— „A czy wiecie państwo, jakim sposobem zdobyłem ten pierścień?“

Na twarzach słuchaczów znak zapytania.

— „A oto tak. W domu pewnego bogatego fabrykanta, który ze strachu przed rewolucyą uciekł z Moskwy, robiliśmy rewizyę.

---

[1]) T. j. z oficerów floty (garde-marynów, miczmanów i t. p.), któr w charakterze ochotników wstępowali do „oddziałów karnych“, udających w końcu r. 1905 i na początku r. 1906 do kraju Nadbaltyckiego.

W jednym pokoju znaleźliśmy duży kufer, zamknięty na klucz. Z początku baliśmy się go dotykać, myśląc, że są w nim bomby lub coś w tym rodzaju. Ale ciekawość przemogła. — Niczewo, walaj, rebiata![1]) Rozbiliśmy bagnetami kufer. W nim ukazała się drewniana skrzynia. Rozbiliśmy. W skrzyni znów kuferek. Znowu rozbiliśmy i znaleźliśmy wykwintną szkatułkę, starannie zamkniętą. Rozbiliśmy też szkatułkę, a w niej znaleźliśmy mnóstwo kosztowności. Rozdałem je żołnierzom, a ten pierścień najładniejszy wziąłem sobie".

Wiadomem mi jest nazwisko tego „bohatera". Figuruje on na liście Najwyżej nagrodzonych „znakami honorowemi".

Wykwintne towarzystwo wysłuchało z należytem skupieniem tej relacyi o przechodzeniu „własności" z jednych rąk do drugich.

Dla porównania przypomnijmy sobie, jak „pogańscy" Japończycy, znalazłszy przy zabitych Rosyanach pieniądze i inne rzeczy wartościowe, odsyłali je do rosyjskiego głównego sztabu, ażeby mogły być dostarczone rodzinom nieboszczyków. O ile rosyjski sztab główny spełniał życzenie Japończyków, to już inna kwestya.

A teraz wyobraźcie sobie, że temu samemu towarzystwu, słuchającemu z rozczuleniem opowiadania wàlecznego „karàtiela", zdaje sprawę ze swych czynów Cartouche, Troppmann lub też jaki inny mniej lub więcej znany morderca, rozbójnik, łupiezca, złodziej... Czyż wysłuchałoby ono podobnej relacyi z taką samą dobrodusznością i potakiwaniem?

Co więcej, gdyby temu samemu towarzystwu zwierzali się ze swych „wstrząsających podstawy" poglądów Bałmaszow, Kalajew, Sazonow, Marya Spiridonowa, Zinaida Konoplannikowa, porucznik Schmidt albo też ktokolwiek z małoletnich „buntowników", w rodzaju trzynastoletnich dzieci, rozstrzelanych w Rydze, gdyby towarzystwo to dowiedziało się o zamachu, przygotowanym na sprawców „wypraw karnych", gdyby mu, temu wykwintnemu towarzystwu, powiedział ktoś, że postanowił sobie pomścić krzywdy i bezprawia i ukarać potwora, który od „sprawiedliwości rządowej" może oczekiwać tylko orderów i innych nagród, — towarzystwo to z pewnością doniosłoby o tem komu należy, oczywiście gdyby nie stchórzyło przed „buntownikiem".

Nic dziwnego, że sami uczestnicy „wypraw karnych" chełpią się swymi czynami. Przecież mają oni osobne specyalne poglądy. Im właściwą jest osobna specyalna moralność.

---

[1]) Nic nie szkodzi, walcie chłopcy.

Po wojnie japońskiej nie mogą się oni pochwalić zwycięstwem nad „wrogiem zewnętrznym“; no, tak przynajmniej chełpią się „zwycięstwami“ nad „wrogiem wewnętrznym“ w postaci bezorężnych, bezbronnych ludzi.

Nie mogli zdobyć trofeów wojennych w obozie nieprzyjacielskim; no, tak jakże nie mają się chwalić zdobyciem pierścieni brylantowych w mieszkaniach prywatnych?

Wyrywali z korzeniem „kramołę“, tępili „buntowników“ i „miatieżników“ (wichrzycieli), niszczyli „zabastowszczyków“ (strejkujących).

Idąc drogą, wskazaną w reformach sądowych Aleksandra II, wykonywali „sąd prędki“, a, chociaż nie bardzo „miłosierny“, to zato „sprawiedliwy“, bez marudzenia kancelaryjnego i bez zbytecznych formalności.

„Bohaterowie“ Moskwy, kraju Nadbaltyckiego, Kaukazu, Sybiru, Białostoku, Siedlec... pomścili „bohaterów Czemulpo“, i „bohaterów Korejca i Wariaga!“ [1])

Ci „rycerze bez strachu i zarzutu“ kierują się „przykazaniami „obowiązku wojskowego“ i osobliwej „moralności rycerskiej“.

Wprawdzie co do wartości ich „moralności rycerskiej“ można wyrazić pewne powątpiewanie.

Według „etyki rycerskiej“ wolno wszystkich ludzi bezmundurowych — o ile nie są oni szpiegami lub „ochrannikami“ [2]) — uważać za skazanych na wytępienie „zabastowszczyków“. Ależ chyba ta sama „etyka rycerska“ nie daje się pogodzić z tępieniem, a nawet z własnoręcznem mordowaniem ludzi na podstawie jedynie spisów (list) szpiegowskich lub też szpiegowsko-baronowskich jakiemi właśnie kierowali się „karatiele“ pod Moskwą i w kraju Nadbaltyckim.

Alichanowskie oddanie Zakaukazia na łup miecza i ognia i ostateczne zniszczenie kraju zgadza się z przykazaniami „etyki rycerskiej“; ale gwałcenie małoletnich dziewczynek, jako też niektóre inne czyny bohaterskie w tym samym rodzaju nie zostały prawdopodobnie przewidziane przez tę etykę.

Nie został też przez nią przewidziany czyn bohaterski pułkownika Wizirowa, opisany przez W. Władimirowa w Nr 60 gazety

---

[1]) „Korejec“ i „Wariag“ — dwa okręty rosyjskie, zniszczone przez Japończyków w pierwszych dniach wojny.

[2]) Członkami i urzędnikami „ochrany“ czyli osobliwej policyi tajnej, powstałej za czasów Aleksandra III-go.

Dwadcatyj Wiek, a polegający na tem, że ten rosyjski *chevalier sans peur et sans reproche* dał do wyboru Łotyszowi Leppe, dawnemu żołnierzowi (okaleczonemu podczas kampanii tureckiej r. 1877), którego z jego dwóch synów zostawić przy życiu, a którego rozstrzelać. Zresztą i wybranego przez ojca dla pozostawienia przy życiu pułkownik Wizirow również rozstrzelał. Ażeby nie było krzywdy!

Tak postępują rodacy L. N. Tołstoja, tak postępują rodacy autora „Nie zabijaj!“ Tak postępuje „śmietanka towarzyska“ „narodu kulturalnego“ w mundurach gwardyi i armii! Tak postępują baronowie ostzejscy, tak postępują wszechrosyjscy „obrońcy tronu i ojczyzny!“

Ale mniejsza o nich! Przecież oni stanowią osobny świat, osobne społeczeństwo. Całą swoją przeszłością, całem swojem wychowaniem, całą swoją tresurą, wszystkimi swoimi interesami przygotowują się oni do podobnych czynów bohaterskich i do chwalebnej oceny przez samych siebie tych czynów bohaterskich.

Ale co powiedzieć o towarzystwie „inteligientnem“, o towarzystwie, w którem znajdują się także indywidua, od czasu do czasu kokietujące „rewolucyonistów“, a nawet „socyalistów“ i w każdym razie usilnie ganiące rząd i „porządek istniejący“, — jeżeli ono, to towarzystwo, z taką pobłażliwością i nieomal że z uznaniem traktuje działaczów tortury, gwałtów i zabójstwa, rycerzy bezwzględnego tępienia i niszczenia?

Zamiast tego, ażeby odpowiedzieć pogardą i całkowitem wykluczeniem z pomiędzy siebie, oni tych ichmościów ze zbroczonemi krwią rękami, tych cyników, opowiadających o swych łotrostwach bez zarumienienia się i bez wstydu przyjmują, fetują, rozmawiają z nimi, a może nawet w skrytości serca zazdroszczą ich odwadze i nie krępowaniu się żadnymi względami! Eleganckie damy i kawalerowie przyjmują nikczemne i wstrętne opowiadania o morderstwach i rabunkach przymilającymi się uśmieszkami, niby opowiadania myśliwego o tem, ile zajęcy i przepiórek udało mu się upolować. Powabne damy tańcują z tymi krwiożercami, podpalaczami i gwałcicielami, a w tańcu czule ich obejmują!

Moralnie upadłe, spodlałe, wyrodne towarzystwo! Część „rosyjskiego ukształtowanego społeczeństwa!“

Do tych „kretynów moralnych“, do tych nędznych indywiduów z przytępionem lub też wcale nierozwiniętem poczuciem moralnem nie warto się zwracać. Za to można pomówić z ludźmi, niepozba-

wionymi zdolności brzydzenia się ohydą moralną, oraz poczucia choćby tylko najpospolitszej przyzwoitości.

Rosya współczesna cofnęła się do wieków średnich. W niej panuje zdziczenie i barbarzyństwo średniowieczne. Z tego powodu społeczeństwo, pragnące wyzdrowienia, powinno z konieczności uciekać się do środków średniowiecznych.

Jednym z najpotężniejszych środków średniowiecznych była ekskomunikacya, było odłączenie od kościoła, wykluczenie ze społeczeństwa.

Jeżeli „sprawiedliwość urzędowa" milczy, jeżeli zawodowi zbrodniarze i wierutne łotry awansują i dostają nagrody, to przynajmniej samo społeczeństwo, o ile jeszcze nie utraciło resztek uczciwości i wstydu, powinno wyłączać z pomiędzy siebie wszystkich wyrodków i potworów moralnych.

We własnych bezwstydnych oczach są oni „bohaterami", „rycerzami bez strachu i zarzutu". Dla nas są oni gorsi, aniżeli kaci, gorsi, aniżeli zwyczajni mordercy i rabusie. Dla nas są oni mordercami i rabusiami, liczącymi na zupełną bezkarność tak ze strony „sprawiedliwości" oficyalnej, jako też ze strony społeczeństwa.

Z towarzystwa przyzwoitych i szanujących się ludzi powinni być wykluczeni nietylko wszyscy bezpośredni mordercy, wszyscy oficerowie i żołnierze, biorący udział w pogromach i „wyprawach karnych", ale także wszyscy sędziowie, podpisujący wyroki śmierci, wszyscy jenerał-gubernatorowie, oddający sądom wojennym nawet dzieci, wszyscy ministrowie i wszyscy ich pomocnicy, organizujący pogromy i „wyprawy karne" i podtrzymujący panowanie bezprawia i t. d. i t. d. Wszystko to są zbrodniarze i moralnie upadłe indywidua. Dla nich niema miejsca pośród uczciwych ludzi.

* * *

Dla ostatecznego wyjaśnienia i określenia wzajemnych stosunków pomiędzy dwoma światami, pomiędzy dwoma społeczeństwami, konieczną jest rzeczą wydanie kompletnych albumów i szczegółowych spisów nazwisk: z jednej strony wszystkich katów, z drugiej zaś — wszystkich ofiar. Wtedy oni będą wiedzieli, za równo na kogo rzucać klątwę, jako też do kogo się przymilać. My zaś będziemy wiedzieli, kogo unikać i czyją pamięć czcić, jak pamięć męczennika.

WSZECHROSYJSKIE ŚWIĘTO KONSTYTUCYJNE.

W tydzień po wydaniu manifestu „konstytucyjnego z 17 (30) października 1905 jeden z moich paryskich przyjaciół, profesor Paul Boyer, zakończył swój list słowami:

„Vive la Constitution!“ (Niech żyje konstytucya!)

Co za rozczulająca ufność i naiwność w tych dwóch wyrazach! Optymistycznie nastrojonemu Francuzowi zdawało się, że dosyć jest ogłosić szumny manifest z oświadczeniami o rozmaitych wolnościach, o istotnej nietykalności osobistej, o uczestniczeniu narodu w prawodawstwie, a wszystko pójdzie jak po maśle. Nie zauważył on w samym owym sławetnym manifeście skromnego zwrotu do „zdrowomyślących“ i „prawomyślnych“ („błagonamierennych“) żywiołów ludności z zaproszeniem do pomagania rządowi w ustaleniu spokoju i porządku. Zaproszenie to było zrozumiane w sposób właściwy i odpowiadający tajnym pragnieniom rządu. „Prawomyślni“ przemówili językiem masowego tępienia i palenia żywcem. Nieokiełznana radość panującego „ludu samowładczego“ znalazła sobie ujście w przyniesieniu na ołtarzu tak „zamierającego“, jako też „na nowo rodzącego się“ ustroju wielu tysięcy krwawych ofiar. Radujący się *peuple souverain* rozkoszował się jękami torturowanych i rozrywanych na kawałki, lubował się widokiem niszczenia mnóstwa światów psychicznych.

A jeszcze powiadają, że to naród, który nie umie i nie chce się radować. On i potrafił i zechciał się radować. Urządził on wspaniałe „święto konstytucyjne“, któremu tymczasem końca nie widać.

Od redakcyi. Wywody powyższe szan. autora uważamy za zbyt pesymistyczne i jednostronne. Świadczą one o moralnej depresyi, w jakiej żyją nawet nieustraszone umysły w teraźniejszej Rosyi (p. prof. Baudouin de Courtenay przebywa stale w Petersburgu), biczowanej i katowanej przez tryumfującą reakcyę. Ruch wolnościowy znajduje się w stadyum zaćmienia przez potęgi mroku, zasłaniającego wszelkie objawy dodatnie tak dalece, że szan. autor mówi o tępości moralnej „Rosyi“, gdy my powiedzielibyśmy: w Rosyi. Jesteśmy jednakowoż zdania, że w walce z caratem, toczonej przez ludy i narody, a rozłożonej na długi jeszcze szereg lat, trzeba być przygotowanym na porażki, nawet na klęski, ale ostateczny rezultat nie może być wątpliwym. Moc samodzierżawia złamana już na zawsze. A i co do stanu sprawy polskiej nie wpadamy w zwątpienie. Powtarzamy: jedna porażka lub przegrana nie stanowi o rezultacie wojny. Wymaga conajwyżej zmiany taktyki wobec nieprzyjaciela. W tem leży zadanie chwili — nie zaś w denerwowaniu się i osłabianiu szerzeniem depresyi. Zmiana

taktyki — to kwestya nadchodzących wyborów do Dumy. Można przypuszczać, że partye rewolucyjne i postępowe nie popełnią już obecnie tego szaleństwa, co przy pierwszych wyborach, aby dobrowolnie ustąpić z placu — mimo strasznych trudności i ograniczeń prawa wyborczego.

Do sprawy tej jeszcze wrócimy.

TADEUSZ MICIŃSKI.

KNIAŹ PATIOMKIN.

Dramat w 4-ch aktach.

AKT PIĄTY.

(Rafa wśród morza w mroku fosforyzującego lazurowemi głębiami. Fala grzywiasta wzburzona przepływa — za nią ukazuje się łupina łodzi. — Leży z pokrwawionem czołem na głazach lejt. Szmidt, nad nim widmo olbrzymie które zgęszcza się do rozmiarów zwykłych człowieka — Wilhelm Ton, — w ręce trzyma pochodnią płonącą).

Lejt. Szmidt: Kiedy widział Chrystusa po śmierci, Tomasz uwierzył — ja widzę Ciebie i nie wierzę, abyś Ty istotnie żył. Dla przekonania, że Ty. nie jesteś sennem widziadłem — nakłuwam się tym kindżałem — czuję ból —

lecz myślę wciąż, że Ty i wiedza Twoja magiczna jesteście marą —

straszne są te ogniki nad bezdennym moczarem Niewiadomego. (*Milczenie*).

Pamiętasz z Mateusza: „Nie chcę ich opuścić głodnych, aby nie ustali w drodze?...“ Daj mi nieco nektaru Twego, bo zginę. I tyle światów ze mną... Lub choćby opowiedz mi coś z Twej wędrówki pośmiertnej — jeśli Ty istotnie —

(targnąwszy się) O jakież marne liche pojęcia! jedyną rzeczywistością tu jest Morze! Morze złe — co płynie od wieczności, w jego szarych mętnych źrenicach kryje się nuda.

Wilhelm Ton: Świeć!

Lejt. Szmidt: Widzisz, że jestem zmiażdżony miękkimi głowonogimi mackami życia. Nie wierzę już w nic.

Wilhelm Ton: Ja, który zabijałem w Tobie wiary Twoje — wydobędę teraz więdzę Twą.

(podnosi go — kładnie mu dłoń na głowie — opiera plecyma o skałę i trzyma nad nim pochodnię; schodzą się dziwne morskie potwory do światła).

Leit. Szmidt: O — daleko — niemożliwie daleko — w Azyi środkowej płaskowzgórze olbrzymiej przestrzeni, jak Rosya, — podnoszące się 4100 metrów w średniem nad powierzchnią Oceanu. Ograniczone na północy i na południu takimi wspaniałymi łańcuchami gór jak Kań-Łuń i Himalaje, wykazuje na wschodzie i na zachodzie też alpejską krainę charakteryzującą się wysokiemi górami, najgłębszemi otchłaniami i niedostępnemi dolinami, w których lśnią jeziora gorzko słone.

Dróg niema — tylko wysokie ścieżyny, przecięte głębokimi burzliwymi potokami — mosty z paru żerdzin bambusowych. Trzeba iść nieraz po spadzistych upłazach, dosięgających 5000 metrów i wyżej, których zbocza pokryte grubemi warstwami śniegu. W innem miejscu perć ta wąską wstęgą — nie więcej, jak na stopę — wije się po gzymsach skały nawisłej nad przepaścią i nadto okrytej lodem lub ślizgą grzęzawą.

Po takich drogach przechodzą tylko jaki — mongolskie byki, nieokiełzane, ciężkie i ogromne.

W dolinach lasy pomarańczowe — buki, dęby i magnolie.

Idąc błotnistymi brzegami przez gąszcze rododendronów, wypędzam stada zielonych bażantów z ostrogami na łapkach i jaskrawą linią czerwoną dokoła oczu. A potem znów ciągną się dzikie pustynie, wiodące do jezior z wodnymi kwiatami, jak utpala — lotus błękitny indyjski.

Jedna przełęcz o dziwnym wirchu, przypominającym z barwy i z formy rozpostarte skrzydła orła — przejmuje nielicznych wędrowców uczuciem strachu.

Z wierzhołka góry rozkoszuję się wspaniałością widoku. Żaden poeta nie mógłby w pełni wyrazić piękności przyrody w tym kącie nieznanym świata — żaden pędzel nie wymalowałby demonicznych krajobrazów. Tam błyszczy Pani białego śniegu, najwyższa góra świata na 99000 metrów — Czoma Kańkar: najpierw potworny czarny mur lasów wznoszący się jak zasłona śmierci; błękitnieje druga zasłona gór wyższych jeszcze, gdzie kłębią się chmury od rozbryzgujących szalonych wodospadów, lecących w niezmierzone otchłanie po stokach poszarpanych lawowych gór, zwanych Zbiorem kaskad.

Z za modrych olbrzymów wyglądaja wierzchołki lodowcowe wryte w otchłań ołowianego nieba — jest to jakby miejsce w którem odbyły się tysiące zabójstw.

(*Z nad morza wznoszą się miraże olbrzymich Himalajskich gór*).

Schodząc po śniegach, natrafiam na ślady tybetańskiego z długim ogonem lamparta — dziwne, jak zwierzę to mogło przejść po miękkim śniegu, ani razu nie zapadłszy weń?

Idący w dali ludzie przypisują zwierzowi nadziemną moc, mówiąc — że jest to dyabeł w postaci lamparta.

(*z przekonaniem*) I zaiste dyabeł!

Wilhelm Ton: Nie przerywaj wędrówki swej —

Lejt. Szmidt: Trafiam na klasztor, gdzie jest wielka biblioteka z 3000 ksiąg i rękopisów, dotyczących zagadnień zaświatowych. Tam żyje wcielenie bóstwa — kobieta w kontemplacyi — piękna i szlachetnych rysów. W jeziorze u stóp jej migotają żmijowate półbogi, mający klucze od nieba.

Nad brzegami stoją grabarze i wrzucają trupy, aby służyły w pałacu kryształowym.

(*Z morza występują nieforemne wzdęte kształty topielców i zawodzą czarodziejską melodyę. — Kobieta w stroju mniszki indyjskiej a z twarzą Tiny ukazuje lejt. Szmidtowi brylantowe klucze i wabi go*

Lejt. Szmidt: Nawet jako świętej — nie chcę już! (*kobieta kryje się za skałę*).

Błądzę daleko stepami, aż w końcu alei drzew ogromnych, widzę święty tajemniczy gród — Lhassę. Promienie zachodzącego słońca oświecają jego złocone dachy —

(*w dali na chmurach widać miasto złociste*)

To jest wspaniały widok, jakiego nigdy nie widziałem. Z lewej strony jest zamek Dalajlamy z wysokiemi nadmiernie budowlami — przed nami okrążone zielonym majdanem leży miasto ze swymi wieżycowymi białymi domami i chińskiemi pagodami z błękitnej emalii.

Długie festony różnobarwnych łachmanów przeciągnięte są od jednego gmachu do drugiego i rozwiewają się przy wietrze.

Tam idąc, natrafiam na cmentarz, gdzie kasta wyklętych rozcina i pali trupy:

(miasto uznaje za grożący nieszczęściem dzień, w którym n było nieboszczyka.)

Z oddali przybliża się Czerwony Dalajlamy Pałac, zasłon ze złocistego jedwabiu; kościelne naczynia złote, a freski na śc

nach wysokiej piękności. Atłasowy baldachim nad tronem, podłoga woskowana, lecz okna i drzwi czerwone grubej roboty, na dywanach zasiedli rzędami dostojnicy, pielgrzymi i mnisi.

Wielki Lama — to dziecię około 7 lat. Piękna i zajmująca twarz, a zachowanie proste, niewymuszone, dobrze wychowanego królewskiego pacholęcia.

(Tuż nad morzem widać siedzące pacholę w bogatych wschodnich szatach.)

Jego twarz wydaje mi się poetyczną i nadzwyczaj piękną. Oczy wielkie i przenikliwe.

Chudość jego postaci jest zapewne rezultatem męczących dworskich ceremonij, religijnych obowiązków i asketycznego życia.

Na głowie ma on mitrę, żółty płaszcz okrywa go siedzącego z podgiętymi nogami na tronie z rzeźbionych lwów! na mnie wywiera nieżwykle silne wrażenie — widzenie małego Boga!

Niektórzy płaczą od nieznanego im wzruszenia. Mówią modlitwy. I otrzymawszy błogosławieństwo, piją aromatyczną herbatę w czarkach — rozdano im ryż

Jego świętość zanucił dziecinnym ledwo dosłyszalnym głosem hymn, który jest powtórzony silnymi głosami lamów.

Widma kapłanów *(śpiewają):* Om mani padme chum!

Widmo małego Dalajlamy: Sarwa mangalam!

(Unoszą go do kaplicy — góry napływają, tumany i lodowe jaskinie — a w nich rozpięte trupy, szubienice i narzędzia tortur.)

Lejt. Szmidt: Dalajlama nigdy nie ma umierać — tylko rozgniewany złym światem odchodzi, porzucając śmiertelne swe ciało na ziemi.

Świat cały tworzy dokoła mnie kształt kaplicy — na ścianach są obrzędy tortur sądowych, niesłychana nędza wierzeń i kopalnia dzikich przęsądów. Widzę wciąż twarz tego dziecka.

Wilhelm Ton: To jest dusza Twoja — dziecko nieistniejącego już Boga. Możemy płynąć dalej.

Lejt. Szmidt: Lecz słyszę zaiste głos czyjś, wzywa pomocy — nie mogę odgadnąć kierunku.

Wilhelm Ton: Świeć — bo oto płynie człowiek tonący.

Lejt. Szmidt: Wiedza moja nie jest już miłością,

(Zanurza w morzu pochodnię — która gaśnie. W oddali krzyk — Braacia! po chwili słychać głosy niewidzialnych ludzi płynących na powierzchni wirującego morza.)

Feldman (*w mroku*): Wypiliśmy aż do dna czarę naszej hańby. Sołdaci wystrzałami z karabinu odpędzili pancernik i ten haniebny popłoch nie pozwoli nam spodziewać się żadnego ratunku. Żeby choć znaleźć resztkę rozbitej od granatu łodzi!

Koszuba (*w mroku*): Niezadługo wzejdzie słońce!

Feldman: Nim wzejdzie — ja utonę.

Koszuba: Ja Ciebie wezmę, bracie.

Feldman: Ty sam raniony — i utonęlibyśmy razem.

Koszuba: Straszna jest groza tych głębin, gdzie musimy zatonąć —

Feldman: — i my — i wszystko, zanim powstaną twórcy! chwyciłem odłam drzewa — masz — ratuj się!...

Koszuba: Coś uczynił — weź sam — ale wir mię porywa — z biegu fal można było sądzić, że tu są skały — nie mogę zwyciężyć prądu — ty mnie uratowałeś, — żegnaj mi — na wieki!

Feldman (*sam*): Jestem sam — nie świeci mi żaden wschód słońca — niema Jutrzni nademną, ale tonąc, iskrzę wszystkimi słońcami Salomona w mej duszy — o Jehowo, modlę się mymi stygnącymi słowami za ludzkość!

(Zapada w toń).

Lejt. Szmidt: Nie mam światła, żeby mu rozjarzyć — nie mam sił, aby go wydobyć!

Wilhelm Ton: Chciałeś, żeby utonął ten Miłujący!

Lejt. Szmidt: Chciałem sprawdzić słowa Pawła, że Miłość nigdy nie umiera — choć słońca zagasną!...

Wilhelm Ton: Tu leci pancernik — rozbije się na tej rafie!

Lejt. Szmidt: Wola nasza bywa niecofniona — zgasiłem płomień.

(*Widać w mroku krwawy reflektor Kniazia Patiomkina*).

Muszą się rozbić o tę rafę. Jakież imię jej?

Wilhelm Ton: Niewiadome.

Lejt. Szmidt: Widzę w tej skale migające światło — to jest mały Bóg Dalajlama — jakie jest imię jego?

Wilhelm Ton: Sumienie.

Lejt. Szmidt: Wschodzi ono znów nad mrokami —

(*rozjarza się Dziecię Bóg w kontemplacyi — na okręcie powstaje głuchy krzyk: Baczność! Okręt wykręca i omija rafę*).

Krzyk: Nie będziemy bandytami — nie mogąc dźwignąć Nowej Wolnej Rosyi — zostańmy choć ludźmi.

(*pancernik znika, zostawiając brylantową smugę*).

Lejt. Szmidt: A jednak zwyciężył Promień!

Wilhelm Ton: Idź teraz już za tem, co widzisz —

Lejt. Szmidt: Nie mogę iść sam. Widzę tę ciemną postać pełną namiętnej obietnicy.

Tina: To ja księżyc Twój — a teraz chcę być ziemią Twą —

Lejt. Szmidt: Namiętność moja! ha!

(*W żmijowych splotach zaplątawszy się runął głową w dół — w śmiertelnej bladości twarz. Milczenie długie — huk rozbijanych fal morza*).

Wilhelm Ton: (*odchodząc z pochodnią*): Jam jest Myśl Twoja — a tam jest Twoja Śmierć!

Zostawiam Cię — zanim się ujrzymy — na gwiazdach!

Zanim ten Mały Bóg stanie się Dziecięciem ludzkości całej!

(*Wśród skał widać leżące ciało Lejt. Szmidta, nad którym Tina w postaci Smierci milcząc ostrzy kosę.*)

EPILOG.

Społeczeństwo dzieli się już na dwa typy: filistrów i zatraceńców. Istotnego rewolucyonizmu, tworzącego przyszły ustrój moralny i państwowy — jak mało jest! również jak mało jest obywateli utrzymujących wielkie zasady życia narodowego! Nienawiść mą objawiam w tym dramacie względem monstrualnego zlepieńca, idącego zwartą falangą tych wszystkich, których filozofię stanowi 6 zł. i gr. 20 — tych, dla których człowiek „jestto głowa i worek z dwiema fizyologicznemi potrzebami“ — z uwzględnieniem, że głowa funkcyonuje w kierunku wyuczenia pewnych praktycznych formuł przemykania się w życiu czyli na zastosowanie fachu, niby pompy ssącej wszelkie warunki egoistycznego dobrobytu. Wylęgując gnuśnie w swych miękkich łożach z nałożnicą (— o, jak to jest obojętne, jakiem społecznem mianem ona się mianuje!) zaciągają długi na zdrowiu, inteligencyi, instynkcie przyszłych pokoleń! Grynderstwo, jako czyn obywatelski; szmata, jako poemat i powieść, artykuł i wydawnictwo; zaściankowy kurnik, jako pogląd na życie, naród i jego przyszłość; nadęta próżność rozsądnego psychopaty i daltonisty w ocenianiu zjawisk prometeicznych Ducha; zawsze podłe zagarnianie rękoma ku sobie, choćby się zachlipywało od przekarmienia; nędzny uśmieszek złodziejskiego fauna, który podgląda, jakby się dobrać do swego la joie de vivre, tworzącego w rezultacie nową, lecz zato gruntownie marną istotkę w odwiecznej europejskiej kałuży: są to legalni oficerowie na wielkim pancerniku kłamstwa.

Co do t. zw. ludu — tych marynarzy żywionych zgniłem cuchnącem mięsem niby-religii i niby-obowiązku, wybuchających z gwałtownością orkanu, aby nagle w odwiecznym strachu Niezrozumiałego dokoła oraz w nich — wrócić haniebnie do zwiększonej niewoli, — muszę tylko zrobić uwagę: Homo sapiens jest istotą wykarmioną tysiącoleciami strachu — i droga do nadczłowieczeństwa daleka, choćby w tej formie, jaką nam wykazuje harmonia życia pszczół lub w kontraście dumne wystarczanie sobie nad-Andańskich czarnych orłów.

Mamże się tłómaczyć, dlaczego wziąłem temat rosyjski i aktualny? lub dlaczego przy skrajnym realizmie treści jest forma tak mało mająca wspólnego z gwarą ludu, lub marynarzy? niech za mnie odpowie sam duch utworu, którego zadaniem jest pojąć i obudzić Wolnego Człowieka. Podziękowanie składam znanym i nieznanym Autorom rosyjskim. od których nieraz musiałem się zapożyczać jakoby w cytacie wielkiego dokumentu prawdy — Iziumczenko str. 37—39, Karmen 62—63, Nieznany majtek w „Myśli“ 82, Menszikow w Now. Wremieni 84, wiersze bądź śpiewane na okręcie 77, 105 bądź przerobione z ulicznych świstków 95, 100 — w tłom. Balmonta z Wilde'a na str. 107, jakiś poeta żydowski w artykule Myśli na str. 98, dalej Kiriłł i inż. Kowalenko w opisach całości buntu, indyjski Sarat Czandra Das w opisie Tybetu na str. 110. P. T. Wróblewskiemu z Wilna, obrońcy Lejtn. Szmidta dziękuję za szczegóły z życia tego Marzyciela, przysięgającego cieniom umarłych, który w mem przedstawieniu często nie ma nic wspólnego z fotograficzną swą podobizną, podobnie jak inne postacie Wilhelma Tona, Żony Szmidta lub Kap. Wamindo, jak zresztą cała akcya na tym myślowym pancerniku różni się od buntu bezmyślnego na istotnym „Kniaziu Patiomkinie“. Niezapomniane są mi też zwierzenia uczestnika wyprawy do bieguna Antarktycznego — Antoniego Dobrowolskiego — mego druha.

Mając słowo jedyne wymówić — postawiłbym na czele tej książki i jako jej ostatnie Om — imię największego z buntowników, którym jest: Lucifer...

A. NOWACZYŃSKI.

O DRAMACIE Z PRZESZŁOŚCI.

Podobno dość licznie dają się słyszeć głosy co prawda „nie wezwanych“, że dramat historyczny jakoby się przeżył; to głupstwo. Poprostu ludzie wegetujący bez żadnej wewnętrznej treści, niezwiązani z nikim i z niczem, zblazowani w niewoli, otępi i w powiciu szarzyzną swej nudy parafialnej mierzą kolosalne figury *temporis acti* i dochodzą do przekonania, że nicość ich w zestaw-

niu z wielką i pyszną treścią przeszłości pozostaje nicością, nie procentując się na moment. I rzecz to jasna: dla tego gatunku monad pełzających, dwa gatunki sztuki nie przeżyją się nigdy, t. j. sztuka mięsa (przy kości, z chrzanem) i sztuka mięsa w trykotach (w operetce).

Dziś w Europie dramat historyczny przeżywa imponujące odrodzenie. Halastra filistyńska wielkich miast straciła gust do wiecznego przeglądania się we wstrętnych i wklęsłych zwierciadłach realistycznego dramatu. Tragedye bobrów, mrówek i pszczół, katastrofy inżynierów, doktorów, giełdziarzy, emancypanterek zaczynają niewymownie nudzić; od tego są szmaty i płachty dzienników, aby łgały efektowne szczegóły o samobójstwie dzielnego inżyniera, aferze biednego dr. Stockmana, Flachsmanach i Teresach Humbert. Teatry zaś mają inne cele: Jedne z nich oficyalne, metropolitalne są na to, aby być areną prezentacyi tualet i podczas recytowania rytmicznych bzdurstw przez renomowanych cabochienów wzmacniać apetyt hołoty, mającej ponad 25.000 franków czy marek rocznego dochodu, a widokiem prężących się nagich ud, biustów i łydek podsycać wigor męski zmaltretowanych, wysmokingowanych samców. Inne zaś teatry poświęcone są wyłącznie *Sztuce-Ars* i są wieczornem zbożnem schroniskiem inteligencyi z publiki. W tych teatrach publiczność, miarodajniejszy już element w artystycznych rzeczach, poparła właśnie bardzo silnie nową twórczość historyczną; przykładem d'Annunzio, Ste. Philipps, Holger Drachman, Cladel, Strindberg, Hoffmansthal i inni, których nazwiska są dla was „miedzią brzmiącą", a dla mnie „cymbałem brząkającym"...

Ale mniejsza o Europę. Nam po trzykroć więcej, niż innym nacyom, potrzeba nadal historycznej twórczości w szerokiem znaczeniu dla mas, dla mobu rodaków, dla „pokrzepienia serc, podnoszenia na duchu", inaczej dla beletrystycznej popularyzacyi rodzimych dziejów, a to wobec embryonalnego poziomu ogólnej edukacyi narodowej. Co to się łudzić i okłamywać lata w lata, pokolenia w pokolenia: niema dziś narodu mniej trzeźwie-patryotycznego, realnie-miłującego ojczyznę, i mniej praktycznie-rasowo-uświadomionego, jak Polacy koło roku 1906. Trzeba umieć patrzeć z perspektywy i retrospektywnie; nie dać się łudzić ani efektownymi pochodami, ani doktrynerstwem szowinistów, ani wyszczerzonymi kłami lwowskich wszechpolaczków, których rabies hakatystyczna przeszła już znacznie swój prototyp prusacki. Właśnie ta nieetyczna taktyka obozu „patryotardów" polskich ma główne swe przyczyny

w kompletnej narodowej ataraksyi pokolenia po roku 1900, w niesłychanem oziębieniu uczuć narodowych, w głupowatym kosmopolityzmie filistra polskiego, w jego desperackiej bezmyślności. Nacyonalizm dzisiejszego typu jest tylko momentalną przejściową formą do humanitaryzmu przyszłego pokolenia. W to wierzyć trzeba, wierząc w logikę procesów uczuciowych.

Dlatego też twierdzę, że wszelka produkcya historyczno-patryotyczna, historyczno-dydaktyczna, kompromisująca nawet ze złym gustem mas, jego ideałami częstochowskimi, częstochowskim wierszem fabrykowana, szpikowana rodomontadami egzaltowanemi, jest nadal konieczną i potrzebną, przesunięta jedynie na swoje stanowisko, t. j. teren teatrów ludowych i powieści gminnych. Niższe mieszczaństwo polskie jest jeszcze w fazie takiego analfabetyzmu, że patryotyczne widowiska będą mu duchowym chlebem aniołów. Wszelkiego rodzaju „Pola chwały“, „Obrony Trębowli“, wierszyki o księciu Pepim i obrazki z Kasprem Karlińskim czy Janem Kilińskim winno społeczeństwo, prasa, instytucye macierzy i oświaty ludowych popierać i popularyzować w milionach. Są jeszcze w trzech zaborach całe krocie bliźnich rodaków, które deklinując poprawnie cake-walk, znając wszystkich atletów świata, ba, nawet kilka razy w Europie „w badach bywszy“. nie mają wyobrażenia o najposągowszych postaciach naszej historyi, o najelementarniejszych jej faktach i katastrofach. Lud polski zdaje się już budzić i rozciekawiać dla historyi, burżuazya zestrachana szuka w książkach tylko potwierdzenia lub zaprzeczenia tego, że „nadszedł dla niej wreszcie dzień zapłaty“; arystokracya polska, ta szumowina na powierzchni burżuazyjnej, całą historyą sobie „fiszuje“, wyciągając z niej tylko atuty dla swej arogancyi, moral-insanity i konserwowania niektórych efektów towarzyskich. Tak więc jest jeszcze w Polsce miejsce i czas na choćby najprymitywniejszy dramat historyczny; są do zdobycia setki dusz i serc ciemnego z dnia na dzień egzystującego mrowia bliźniego. Są jeszcze całe warstwy i sfery, całe pokłady nietkniętego iłu społecznego, które mają rozbudzić i rozgrzewać, podnosić i uszlachetniać twórcy oleodrukowych panoramek historycznych, pisanych językiem potocznym, byle nadwulgarnym, niezapominający i o ogniu bengalskim, o armatnich strzałach, dzwonku loretańskim, chóralnych litaniach i okrzykach na wroga!

Produkcya taka w dzisiejszych naszych warunkach, przy dzisiejszym rozpaczliwym stanie oświaty, wobec rozpętania czarnych

instynktów bestyi ludzkiej w nizinach polskiego bytowania, produkcya taka jest bezwzględnie konieczną, potrzebną i winna być, według mego najgłębszego przekonania, wbrew moim najgłębszym egotystycznym ideałom artystycznym — pupillą i pepinierą prasy i ogółu.

I z uporem nadal twierdzić ośmielam się, że dla Teatrów w zaborze rosyjskim owszem, potrzebnym i omal nieodzownym dziś jest tani kliszowy i szablonowy dramat podręcznikowo-historyczny, jako jedno z walnych subsydyów w walce z wzrastającym potępieńczym szałem ślepych mas, które perfidya czynowniczego rządzenia doprowadziła do tego stopnia zdziczenia i ciemnoty, że w nieszczęściu swem przeklinają i tę polskość, która od stu lat synonimem jest wszelkiej niewolniczej i nieszczęsnej niedoli. I tymi surogatami artystycznymi, tym dramatem szematycznym i prościnkowym, przystępnym i epidermalnym należy zdobyć uświadamiający się społecznie i narodowo lud.

Inteligencyę polską wszystkich trzech zaborów i inteligencyę jutra — zdobyć sobie musi także dramat historyczny, ale już inny.

Odkąd czarnoksiężnik Wyspiański, to serce serc nowego pokolenia, odkąd ten bólem nabrzmiały Walgierz Wdały spólczesnej poezyi zagrał smyczkiem Paganiniego na czterech strunach serca całego narodu: na strunie beznadziejnej rozpaczy, strunie głodu wolności, strunie żądzy zemsty i na strunie nadziei w rozbudzonych milionach ludowych, — odtąd każdy utwór historyczny, na deskach polskiego teatru wystawiony, a warstwom dojrzałym, rozumiejącym przeznaczony, musi mieć w sobie schwycony ton którejś z tych strun, musi kryć w sobie duszę polską i krew żywą, czerwoną, grzeszną. Dziś po Wyspiańskim mogą już tylko powstawać dramaty tak bezwzględnie rasowo polskie, z tak wchłoniętą w siebie duszą plemienną, tak wyłącznie *naskie*, żeby były aż wprost nieprzetłomaczalnymi; aby w innym języku podane okazały się jakowymiś palimpsestami. Wszelka inna twórczość nietylko może, ale raczej winna mieć moc ogólnoludzką, obywatelskość światową i być składową częścią kultury wszechludzkiej; dramat historyczny zaś niech wypływa wyłącznie z naszej odrębności plemiennej i niech przemawia pełnym głosem do naszego ducha, niech nas samych roznieca, wzburza, wyszlachetnia i wyolbrzymia. Największą sławę podręcznikową, największą popularność snobistyczną mają w literaturach co prawda te dzieła, które, przetłomaczone na wszystkie języki ludzkie, dają pewną sumę satysfakcyi artystycznej każdemu przeciętnemu alfabecie; największą jednak prymordyalną wartość

i największą moc zbawczą mają te drugie dzieła, nieprzetłomaczalne, w obcym języku kalekie i kuse, a będące ogniwem rdzenia narodowego i dające sumę rozkoszy duchowej najtęższym moralnie i najświadomszym intelektualnie warstwom społecznym swego narodu; przykładem nieprzetłomaczone rdzeniowe dzieła ducha polskiego: „Wesele“, „Chłopi“, „Popioły“ i „Na wzgórzu śmierci“.

Życzyłbym więc polskiemu powieściopisarstwu, aby wśród jego nowych utworów znalazły się tomy w całej Europie echem odbijające, sympatetyczne człowiekowi myślącemu w każdym idyomie, egzaltujące ba nawet i cudzoziemskie masy; ale polski dramat historyczny, według mojej, zresztą bezpretensyonalnej teoryi, winien mieć tak konkretne znamię odrębności szczepowej, aby utwory jego działały z jaknajwiększą dynamiką intenzywną w sferach dojrzałych i świadomych — swoich, a z małą ekspansywnością na szerokie, nieprzygotowane warstwy rodaków, nie mówiąc już o mowie publiki obcej.

Ten tedy nowy dramat historyczny musi się fundować na drobiazgowej i źródłowej znajomości i wżyciu się osobistem w kolejne epoki bytu politycznego, na wewnętrznem przeżyciu wszystkich kolejnych faz egzystowania polskiego, na miłości i nienawiści ściśle osobistej do najróżnorodniejszych objawów i typów narodowego temperamentu i charakteru i wreszcie na despotycznem opanowaniu kolorytu językowego i mistrzowskiem modulowaniem mowy marzonej i odtwarzanej epoki. Nad polem chwały epików epidermy polskiej zapada bezpowrotny zmierzch; nowi pisarze historyczni będą musieli sięgać głębiej i wnętliwiej do czasów i środowisk mniej efektownych, mniej pitkowybickich, mniej fanfaronicznie heroicznych, mniej reklamowanych przez oficyalną historyę. Trzeba będzie może, grzebiąc się aż do prailów narodowego bytowania, wyemancypować raz na zawsze pojęcie polskości z pod patronatu katolickiej ortodoksyi i w wielkich freskach i gobelinach chutnego, szumnego i pysznego życia szlacheckiego udowadniać inteligentnej publice, że obok tej Polski, co się upijała, rąbała, a potem waliła pięściami w piersi w konfesyonalach głupawo-chytrych bernardynów, kapucynów, dominikanów, pijarów itp., istniała potężna mózgiem, myślą, charakterem, imponująca podobłocznem szybowaniem wolnej myśli Polska mniejszości, Polska akatolicka, Polska humanistyczna, Polska aryańska, Polska farmazońska, Polska Sejmu Czteroletniego, Polska romantyczna, cywilizowana do szpiku kości już w pierwszej połowie XVI wieku. Przykro to sobie np. powiedzieć, ale wobec takich

pratypów kultury polskiej, jak Ostroróg, Stanisław Ciołek z Żelechowa, Krzycki, Modrzewski i inni, stojący u wrót naszego cywilizacyjnego życia polskiego — dzisiejsze reprezentacyjne typy intelektualnej, socyalnej i moralnej kultury naszej mają wymiary karle i pigmejskie. (Dok. nast.)

BOLESŁAW GORCZYNSKI.

SOCHA BEZ ROLI.

Przypowieść.

...Był kraj bogaty, dziewiczy.

Pewnego razu przed sąd Mędrców, którzy w onym kraju dzierżyli berło Sprawiedliwości, przyprowadzono młodego wieśniaka. W łachmanach była jego odzież, ale dzielna, junacka postawa i żar, bijący z oczów, znamionowały bogactwo sił żywiołowych. Prostak był ciemny i oczywiście nieokrzesany.

— Oskarżony jesteś — rzekł najstarszy z pośród Mędrców głosem wytwornym i uczonym — o to, żeś nieprawnie sochę swą worał w pola, należące do możnego pana.

— Nieprawnie? — spytał prostak. — To znaczy, że ja nie mam prawa orać roli?

— Nie o to idzie, chłopcze, żeś orał, ale o to, żeś orał cudze. Rozumiesz? To pole, któreś orał, należy do możnego pana.

— Ja o tem nie wiem — naiwnie odrzekł wieśniak. — Wyszedłem o świcie z sochą, łany pola przede mną, worałem się. A o żadnem prawie na ziemię nie wiem, bo i jakie to może być ono prawo? Czy jest prawo na ten wiatr, który miele mąkę? Czy jest prawo na wodę ze źródła, co ją chłop pije? Czy jest prawo na chłód, którego zażywa pod gruszą? Nie będzie się chłodził ten, kto się nie spracuje; nie będzie pił wody, kto nie ma pragnienia; nie będzie używał wiatru, kto nie ma młyna; nie będzie orał ziemi, kto nie ma sochy i dwóch rąk do pracy. Prawda? No, więc pocoście mi dali tę sochę i te dwie mocne ręce, kiedyście mi ziemi nie dali? Czy jest tam w tych waszych książkach takie prawo, żeby socha była bez roli?

Mędrcy poruszyli się niespokojnie. Niektórzy uśmiechnęli się pobłażliwie, inni wzruszyli ramionami, ale nikt nie chciał rozstrzygać naiwnych pytań prostaka. Gotowych odpowiedzi pono w kodeksach nie było, więc jednym razem mieczą Sprawiedliwości sprawę przecięto i — skazano krnąbrnego wieśniaka na katorgę.

Kraków, w pierwszą rocznicę 30 października.

ANTONI SULIMOWSKI.

POLICZEK.

Stajesz przede mną pyszna, z złotowłosą głową
zlekka w tył odrzuconą... Zginasz białą szyję...
Bielizna, co zazdrośnie ciało twoje kryje,
opadła: pieszczę okiem twą pierś marmurową...
Stajesz przede mną pyszna, wyciągasz swe ręce...
Ruch rąk twych jest rozkoszną żądzy twojej mową...
Na wargach rozchylonych z ognia wisi słowo,
co rozkosz obiecuje w ciał zrodzoną męce...
Pierś twa się zaróżawia, wciąż wyżej się wznosi...
Oczy się palą... Pragniesz... Drżysz z pragnienia cała...
Biodra twe dreszcz przechodzi... Już oczy zamglone...
Każda cząsteczka z ciebie o rozkosz mnie prosi...
Pójdź!... Zduśmy się w uścisku... Stopmy w jedno ciało...
Pieść mię... — Już zimnaś?... Czemu? — Więcej nie płacone!

ZWĄTPIENIE.

Swiatło przygasa. Półmrok spływa szary
na smutne ściany duszy mej trupiarni.
W długim szeregu leżą trupy moje.
Pookrywane całunami mary.
Rozpaczną duszą wpatrzony w nie stoję...
— Ożyj ty krzyżu, w ramiona przygarnij
mnie szalonego!
Wyrwij z pod chusty twe sztywne ramiona,
dłoń mi na głowę daj,
oczu powieki stul,
a pod spokojem dotknięcia twego
niechaj mi spłynie cisza do łona,
niech skona ból!
Padam przed tobą,
czekam spragniony,
wyciągnij dłoń!
To, co mi było dawniej żałobą,
czem dzisiaj jestem szalony,
to w siebie wchłoń!

Do stóp się twych wznoszę,
łzą krwawą je roszę,
łzą, iak w skonaniu rozpaczną i rzewną...
Całunkiem proszę... —
— I całuję drewno!

DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

SOCYALIZM A KWESTYA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

Ale ten medal ma i stronę odwrotną. Obok polskich mniejszości na kresach i na obczyźnie, są także innoplemienne mniejszości w Polsce. Sama tylko rewizya granic politycznych nie zniesie jeszcze tej komplikacyi. Jakkolwiek oględnie przeprowadzilibyśmy granicę etnograficzną w gubernii suwalskiej i grodzieńskiej, zawsze pozostanie nietylko sporo Polaków po tamtej stronie granicy, ale także bodaj po kilkanaście tysięcy Litwinów i Białorusinów po polskiej stronie; jakkolwiek sumiennie i bezstronnie wytknęlibyśmy granicę w okolicach Siedlec, Brześcia Litewskiego, Chełmu i Hrubieszowa, zawsze pozostaną polskie mniejszości po ukraińskiej stronie granicy, a po polskiej stronie niektóre odosobnione osady i wsie ukraińskie. Nadto mamy w samem sercu Polski wcale liczne mniejszości niemieckie w Łodzi i miastach okolicznych; mamy w zachodniej części Polski miasta częściowo niemieckie jak Bielsko, Cieszyn, Katowice, Bytom, Poznań, lub nawet przeważnie niemieckie, jak Gdańsk i Bydgoszcz. Co począć z temi mniejszościami innoplemiennemi w Polsce?...

Całkiem tosamo, czego życzymy polskim mniejszościom poza Polską. Przyznamy im najzupełniejsze równouprawnienie obywatelskie; poza tem dla każdej z tych mniejszości innoplemiennych na naszej ziemi utworzymy Izbę Oświatową, upoważnioną do utrzymywania wszelkiego rodzaju szkół i zakładów naukowych, oraz do ściągania w tym celu podatków, uwalniających od odpowiedniej kwoty podatków państwowych Ale też żądać będziemy, żeby w tych szkołach innoplemiennych w skład nauk wchodziły między innemi także geografia i historya Polski, tudzież nauka języka polskiego i literatury polskiej; dopuszczenie zaś wychowańca szkół innoplemiennych do jakiegokolwiek urzędu państwowego uzależniać będziemy od zdania egzaminu z tych przedmiotów. O ile zaś rodzice innoplemienni będą się usuwać od spełnienia tego warunku wysyłaniem dzieci na wychowanie do swojej właściwej ojczyzny, to się

temu bynajmniej sprzeciwiać nie będziemy; będziemy tylko kreślili uczniów, dobrowolnie kształcących się za granicą na obywateli obcego państwa, ze spisów obywateli państwa polskiego.

Słowem, unikając wszelkiego naruszenia swobód obywatelskich, strzegąc się jak ognia najmniejszego ubliżenia godności ludzkiej, niemniej celowo będziemy dążyli do republiki demokratycznej jednonarodowej, wiedząc, że tylko w takiej republice potrafi się utrwalić i harmonijnie rozwijać ustrój socyalistyczny. A prowadząc taką politykę u siebie, całkiem szczerze uznawać i popierać będziemy równoległe dążności narodów sąsiednich. To szczere przyznanie narodom sąsiednim prawa do zagospodarowania się na swojej ziemi, tak samo, jak my się zagospodarujemy na naszej ziemi, będzie jednym z najdonioślejszych objawów niekłamanej międzynarodowości, t. j. dążenia do pokoju i przyjaźni między narodami — a nie między jednostkami beznarodowemi, które, plując śliną i jadem na każde cieplejsze uczucie narodowe, w istocie rzeczy żadnej kwestyi narodowej nie rozwiązują, a tylko jątrzą i zatruwają każdy spór narodowy, do którego się wtrącają zupełnie tak niepowołanie, jak eunuch do spraw miłosnych.

Obawiam się jednak, że w tem miejscu u niektórych czytelników obudzi się wątpliwość w innym kierunku: Czy taki system jest zgodny z naturą ludzką? czy narodowość nie tkwi we krwi, w rasie? A jeżeli tak — przypuśćmy, że polska republika ludowa całkiem pokojowym sposobem pozyska dla swej mowy i kultury młode pokolenia innoplemieńców: czy można istotnie samem tylko wychowaniem z Rusinów, Litwinów, Niemców zrobić Polaków, zdolnych do podjęcia puścizny kulturalnej dawnych Polaków i do rozwijania jej zgodnie z duchem czasu?

Nietylko można, ale trzeba. Narodowość bowiem wcale nie tkwi we krwi. Rasa tkwi we krwi; ale każdy wielki naród składa się z odłamów kilku ras, a każda wielka rasa ma swoich przedstawicieli pośród wielu narodów. Łatwo zresztą zrozumieć, dlaczego żaden z narodów, które w toku dziejów okazały się zdolnymi do wytworzenia bogatej kultury i do bronienia jej przez szereg wieków od ludzkich wrogów i od wrogich potęg przyrody, nie był i nie mógł być jednolitego pochodzenia. Rasy powstały na zaraniu istnienia ludzkości, na najniższych szczeblach kultury; są one wynikiem jednostronnego dostosowania się pewnych plemion nietylko do określonego klimatu, ale także do pewnego tradycyą utrwalonego, jednostajnego trybu życia w tym klimacie. Z ras dzisiejszych jedna — to potomkowie rybaków nadmorskich, inna — myśliwców leśnych, trzecia — koczowników stepowych, i tak dalej. Dlatego plemię jednolite rasowo nie jest zdolnem do rozwiązania

zadań kulturalnych bardziej złożonych. Dopiero krzyżowanie się ras wytwarza ową rozmaitość typów i odcieni typów fizycznych, której odpowiada także rozmaitość uzdolnień. Ażeby zaś wszystkie te jednostki o przeróżnych uzdolnieniach współdziałały do jednego celu, trzeba, żeby je zespoliła w jeden naród wspólna mowa i kultura. A więc jednolita kultura, zespalająca żywioły różnorodnej krwi — oto podstawowa formuła wszystkich narodów, powołanych do pchnięcia ludzkości naprzód. Historya na każdej karcie daje na to tysiączne dowody; polska historya nie stanowi wyjątku. Dość spojrzeć na szeroką twarz wieszcza Adama, o niezatartych śladach krwi fińsko-białoruskiej, i porównać ją ze ściągłą twarzą Słowackiego — czyliż może tu być mowa o jednolitości rasowej? Czyliż niezbicie dowiedzione dokumentami ruskie pochodzenie Kościuszki czyni ujmę jego polskości? A Lelewel, którego dziadek pisał się Loehlhoeffel von Loewensprung, czyliż był gorszym Polakiem od kogokolwiek?

Wiemy więc, jakie są nasze obowiązki względem mniejszości narodowych, zamieszkałych na Litwie czy Rusi, w Niemczech czy Ameryce, ale mają swoją właściwą ojczyznę w Polsce; wiemy też, jak postąpić z mniejszościami narodowemi, w Polsce zamieszkałemi, ale mającemi swoją właściwą ojczyznę w jednym z krajów sąsiednich. Ale jeśli jest u nas mniejszość innoplemienna, która nigdzie na świecie nie jest u siebie? Cóż z nią począć? Tamtym moglibyśmy z całą uprzejmością dać do wyboru, czy chcą być naszymi współobywatelami, czy też wrócić do swojej ojczyzny: ale jak postąpić z krociowym tłumem ludzi, którzy nie mają ojczyzny? Jeśli mój sąsiad pragnie na jakiś czas u mnie zamieszkać, to mogę go prosić, żeby mi płacił komorne albo wrócił do siebie; ale jeśli to samo zrobię z bezdomnym tułaczem chroniącym się u mnie od mrozu, zawieruchy, wilków i zbójów — czyż to nie zakrawa na szantaż?

A właśnie w tem wyjątkowem położeniu jest najliczniejsza mniejszość innoplemienna na polskiej ziemi, mniejszość dwumilionowa: ludność żydowska.

V.

Kwestya żydowska w Polsce.

Czy żydzi są narodowością?

Oczywista że tak, bo mówią odrębnym językiem, a z tym językiem wiąże się całokształt obyczajów i tradycyj, dobrych czy złych, ale bądźcobądź wysoce odrębnych.

Czy żydzi są narodem?

Oczywista że nie. Naród bowiem jestto odłam ludzkości zespolony jednością mowy i kultury, a zwartą masą zamieszkujący określoną część powierzchni kuli ziemskiej i wypełniający ją swojem życiem i swoją pracą. A takim narodem byli żydzi za czasów Makabeuszów, dzisiaj nim nie są.

Nie o to chodzi, że niema państwa żydowskiego. Wszak i Czesi, Polacy, Ukraińcy dotąd nie mają własnych państw, a jednak są narodami. A nie tak dawno temu jeszcze i Włosi nie mieli własnego państwa, a jednak już wtenczas Włosi niewątpliwie byli narodem. Historya okrutnie wyszydziła Metternicha, który twierdził, że Włoch nie należy uważać za naród, a tylko za pojęcie geograficzne. Ale sęk jest właśnie w tem, że żydowstwo n i e j e s t geograficznem pojęciem. Aby zaś być narodem, trzeba przedewszystkiem istnieć geograficznie. Ten geograficznie określony byt narodu umożliwiał naprzykład Włochowi już w czasie, kiedy jeszcze ojczyzna jego jak szachownica poprzerzynana była granicami państw i państewek, żyć całkowitem życiem ludzkiem pośród swoich rodaków. Przekroczywszy rogatkę miasta, mieszczanin włoski wciąż jeszcze znajdował się na swojskiej ziemi i wśród swoich; dokoła leżały pola, uprawiane przez włoskich chłopów, rozmawiających po włosku, śpiewających pieśni włoskie. Gdziekolwiek szedł, gościńcem czy lasem, wszędzie spotykał się z ludźmi, z którymi go łączyła wspólność języka i kultury. Po morzu przewoził go rybak włoski, poprzez góry włoski góral go prowadził. Od samotnej puszczy aż do rynku wielkomiejskiego, od głębin społeczeństwa aż do wyżyn mowa włoska była zrozumiałą dla wszystkich krajowców, co więcej, była i c h mową, mową ich myśli i snów. W tej mowie wyrażano i spisywano wszelkie zasoby wiedzy, w tej mowie przekazywano z ojców na synów wszelkie zdobycze kulturalne i techniczne we wszystkich dziedzinach pracy narodowej. Włoch mógł przechodzić z jednego rzemiosła do drugiego, od rzemiosła do rolnictwa, od rolnictwa do profesyi uczonych — z jakiemikolwiek innemi trudnościami przytem porać się musiał, bądźcobądź wszędzie mógł być Włochem pomiędzy Włochami. A tego żyd nie może. Ojczyzna jego kończy się u wrót ghetta. Już w sąsiedniej dzielnicy rodzinnego miasta nie jest u siebie, tylko wśród obcych; ludziom zaś, uprawiającym ziemię godzinę poza rogatką, strój jego i mowa wydają się czemś obcem, dziwacznem i śmiesznem, nie inaczej, jak gdyby Europejczyk nagle się zjawił w Chinach, albo Chińczyk w Warszawie. Chcąc krążyć swobodnie po całem mieście, módz kupować w każdym sklepie, módz się bez trudności porozumiewać z każdym przechodniem, Żyd bądź co bądź nauczyć się musi języka ościennej ludności chrześciańskiej — po rosyjsku w Rosy

po polsku w Polsce. A chcąc być naprawdę nie ułamkiem człowieka, tylko człowiekiem harmonijnie rozwiniętym, który żyje nie w mieście tylko, ale w kraju, człowiekiem, dla którego otaczający go krajobraz hen aż po widnokrąg jest czemś znajomem, zrozumiałem i swojskiem, człowiekiem w pełni sił, który zna nawskróś przyrodę kraju rodzinnego i umie się porać z wszystkiemi jej kaprysami; chcąc być człowiekiem, który może kraj przebiegnąć bez lęku, bo wszędzie jest między swoimi — żyd musi się nauczyć mowy ojczystej ludu wiejskiego, chociażby to była mowa chłopska, wzgardzona przez możnych tego świata, jak język litewski lub ukraiński, chociażby to była gwara, której rozwój literacki znajduje się dopiero w zarodku, jak język białoruski. A żyd, mówiący którymbądź z tych języków niemniej płynnie i niemniej czysto jak po żydowsku, już przestaje należeć do narodowości żydowskiej. Pełnię życia mogą żydzi okupić tylko wynarodowieniem.

Po zwycięstwie demokracyi prawda ta stanie się widoczną dla wszystkich. Państwo despotyczne, skupiając wszelkie funkcye rządowe w ręku samowładcy i mianowanych przez niego zastępców, wśród ludności pozbawionej wszelkiego udziału w władzy hoduje niezmierną naiwność polityczną; typowym objawem tej naiwności, graniczącej ze ślepotą, jest przeoczenie terytoryalnego charakteru funkcyi rządowych. Ale niechno raz wywalczonym będzie samorząd gmin, miast, powiatów, kraju, a rychło zniknie ten daltonizm. Wyjdzie na jaw, że polityka, to zbiorowe zaspakajanie potrzeb, wspólnych mieszkańcom danego obszaru. Chociażby tylko chodziło o miejskie tramwaje elektryczne dla Warszawy, to sprawy tej nie może załatwić jakaś gmina wyznaniowa żydowska, czy katolicka. bo tymi tramwajami jechać mają wszyscy, żydy i goje; a zatem sprawa ta należy do gminy miejskiej terytoryalnej, a w radzie tej gminy nie będą zasiadać ani przedstawiciele żydów ani przedstawiciele chrześcian, tylko przedstawiciele pojedyńczych dzielnic miasta Warszawy. A w takim razie jasnem jest, że ci przedstawiciele będą musieli znać język większości mieszkańców miasta i władać nim. Co się zaś tyczy spraw powiatowych i ogólno-krajowych, to czy będzie chodziło o budowę nowych gościńców, czy nowych kolei żelaznych, czy kanałów spławnych, czy o regulacyę rzek, czy o wysuszenie bagien lub zalesienie piasków, czy o reformę służby pocztowej, czy o zwalczanie chorób zakaźnych, czy o unarodowienie kopalń, czy o organizacyę obrony krajowej — wszystko to są sprawy wspólne wszystkim mieszkańcom albo całego kraju, albo danej dzielnicy kraju; o tem wszystkiem mniejszość żydowska będzie mogła radzić i stanowić tylko wspólnie z większością chrześciańską, a zatem dla tej mniejszości, o ile zapragnie żyć pełnią

życia obywatelskiego, znajomość języka większości będzie faktycznie niezbędną. Ale przy pełnem równouprawnieniu obywatelskiem i społecznem znać język większości, z którą się żyje razem w tym samym powiecie i w tem samem mieście, to znaczy mówić tym językiem częściej niż swoim własnym; a przez całe życie mówić obcym językiem częściej niż swoim własnym, to prościutka droga do wynarodowienia.

Widzimy więc, że położenie żydów, żyjących w rozproszeniu pośród Polaków czy Rosyan, Litwinów czy Łotyszów, Ukraińców czy Białorusinów, jest w zasadzie to samo, co położenie Polaków w Westfalii — z jedną wszelako różnicą. A mianowicie Polak w Westfalii może, o ile tylko warunki zarobkowe na to pozwalają, uchronić się od wynarodowienia powrotem do kraju. Lecz dokąd mają powracać żydzi?

Żydzi syoniści odpowiadają na to: jeśli nie mamy własnego kraju, to powinniśmy sobie własny kraj zdobyć. A zatem, dodają syoniści-terytoryaliści, ponieważ o zdobyciu Palestyny i zagospodarowaniu się w niej kilku milionów żydów europejskich na razie nie może być mowy, więc starajmy się drogą pokojowej umowy od jakiegoś przyzwoitego rządu, posiadającego rozległe kolonie, otrzymać jakieś inne terytoryum, gdziebyśmy mogli utworzyć własne społeczeństwo; wtenczas nasze życie narodowe będzie się rozwijać normalnie. A syoniści-socyaliści dodają od siebie: wtenczas i ekonomiczny rozwój żydowskiego ludu pracującego pójdzie normalnym torem; zamiast setek tysięcy ubogich handlarzy, rzemieślników i chałupników będziemy mieli setki tysięcy żydowskich robotników fabrycznych.

Logicznie to wszystko jest całkiem poprawne. Szkoda tylko, że trudności wykonania są tak ogromne, że sprowadzają praktyczne znaczenie syonizmu dla współczesnego pokolenia żydów prawie do zera.

Mówiąc o tych trudnościach, broń Boże nie mam na oku trudności wytargowania odpowiedniego terytoryum na odpowiednich warunkach. W tem niema nic niemożliwego. Historya kolonizacyi Ameryki w 17. wieku opowiada o pokonaniu większych jeszcze trudności. Wszak Nowa Anglia, Pensylwania, Maryland — to same przytułki dla innowierców, prześladowanych w Anglii ówczesnej: Nowa Anglia dla purytanów, Maryland dla katolików, a Pensylwania dla kwakrów, owych tołstojowców zachodu. A przytułki te nadawał, prawnie przynajmniej, sam rząd prześladowczy. Co zaś do warunków nadania — te później poprawił miecz Washingtonów i Kościuszków. Nie zatrzymujmy się więc niepotrzebnie w przedsionku właściwej kwestyi. Owszem, przypuśćmy odrazu urzeczywistnienie najkorzystniejszej możliwości. Przypuśćmy, że rząd angielski oddał do dyspozycyi syonistów terytoryum o dostatecznych rozmiarach.

urodzajne, o umiarkowanym klimacie, a jednak niezaludnione. Otóż wtedy dopiero z całą jaskrawością ujawniłaby się niewspółmierność między pięknemi marzeniami syonistów a materyałem ludzkim, który ma te plany wykonać. Kolonizować pusty kraj — to znaczy rozpocząć historyę społeczeństw ludzkich na nowo od pierwszych początków. Osadnik w puszczy musi być w jednej osobie rolnikiem, pasterzem, rybakiem, drwalem, myśliwcem i wojownikiem granicznym. Musi stawiać czoło wszelkim burzom dziewiczej przyrody, potężnej a strasznej; musi umieć sobie torować drogę wśród gąszczy, brnąć przez bagna, przepływać rzeki, tropić ślady drapieżnych zwierząt. Musi być wytrzymałym na mróz i upał, na wicher i ulewę. Musi umieć siekierą ścinać kolosalne drzewa, a stanąć przytem tak, żeby spadający olbrzym nie zmiażdżył mu czaszki. Musi słyszeć ryk niedźwiedzia lub wycie głodnych wilków, a nie przelęknąć się. Musi mieć karabin przy boku i w razie potrzeby napastnikowi czworonożnemu czy dwunożnemu palnąć w łeb, nie czekając, aż na obronę pioniera kultury z dalekiej stolicy wybierze się policya czy milicya. To wszystko potrafili założyciele Nowej Anglii, włościanie szkoccy, od młodości otrzaskani z przyrodą, z górami i skałami, z puszczą i z morzem. Ale czy to wszystko potrafią żydzi z ghetta, których świat się kończy u rogatki? Czyż to wszystko potrafią skuleni, wątli, niedokrwiści krawcy, pończoszkarze, szczeciniarze o wązkiej klatce piersiowej?

Słowem, syonizm, który ma żydów wyprowadzić z ghetta, jest dla współczesnego pokolenia żydów niewykonalnym właśnie dlatego, że żydzi współcześni są dziećmi ghetta.

Nie wyklucza to, że o ile się tylko znajdzie odpowiedni zasób kapitału, uczciwości, zdolności organizacyjnych i wiedzy, możnaby setki lub nawet tysiące dzieci żydowskich w specyalnych szkołach wychowywać na przyszłych osadników; wszak i we Fracyi i w Anglii istnieją już takie szkoły. I nie jest też wcale wykluczonem, że tacy osadnicy żydowscy mogliby się stać twórcami nowego społeczeństwa, które, zwolna kiełkując i rosnąc, mogłoby kiedyś w 22. wieku zająć wcale zaszczytne miejsce pośród narodów świata. Ale tymczasem, zanim by nastarsza klasa tych przyszłych osadników i osadniczek ukończyła studya, wyjechała na morze i wykarczowała pierwsze dziesięć morgów lasu, jeszczeby Stołypin z całym spokojem mógł wyrżnąć dziesięć razy po dziesięć tysięcy żydów...

To też masy żydowskie nie czekają na odrodzenie przyszłych pokoleń przez syonizm, tylko emigrują tam, dokąd już dzisiaj emigrować mogą. Tak jak są, wątłe, niedokrwiste, o wązkich klatkach piersiowych, masy żydowskie emigrują tam, gdzie przy wyższych zarobkach, większej

swobodzie i większem bezpieczeństwie życia i mienia mogą dalej prowadzić ten sam żywot co dotąd: żywot mieszczuchów w drugiej potędze, nie wychylających nosa za miasto, pracowitych ale wątłych, wytrwałych ale lękliwych. Krawcy i pończoszkarze z Lubartowa czy Wierzbołowa stają się w Nowym Jorku znowu krawcami i pończoszkarzami. Ich synowie zaś stają się adwokatami, lekarzami, uczonymi — ale już nie żydowskimi, tylko amerykańskimi. Niema gorliwszych patryotów amerykańskich, niema optymistyczniejszych wielbicieli konstytucyi amerykańskiej, jak właśnie ci młodzi inteligenci z krwi żydowskiej. Nie biorę im tego bynajmniej za złe, przeciwnie, uważam taki rozwój za całkiem naturalny; stwierdzam tylko, że dla żydów po tej czy po tamtej stronie oceanu ostatecznie wszystkie drogi prowadzą do asymilacyi — z wyjątkiem drogi syonizmu, która dla mas żydowskich jest niedostępną i nawet w najlepszym razie jeszcze przez kilkadziesiąt lat niedostępną pozostanie.

Na razie więc możemy syonizm pozostawić na ubeczu, jako kierunek, którego dążenia może się kiedyś w pewnej mierze ziszczą, może się i nie ziszczą wcale, ale który w każdym razie dla żydów dzisiaj żyjących nie rozwiązuje ani kwestyi społecznej, ani też kwestyi narodowej. (Dok. nast.)

TADEUSZ DĄBROWSKI.

JULIUSZA SŁOWACKIEGO „SAMUEL ZBOROWSKI“.

(Dokończenie*)

Teraz dowód na tezę. Lucyfer zapowiada aż dwa:

1795 A kto 1) finalnym tu celem wykażę,
Choć 2) mam pisane na to dokumenta.

Dowody mimo wszystko „niedostateczne, niezupełnie nadto, jak się zdaje, przez poetę rozprowadzone“ (dr. Hahn. 62.) Niedostateczne? Spróbujmy!

(Lucyfer):

1811 Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę,
Czuje, widzący ten świat w starej korze,
Że coś większego ze świata być może,
Gdy się urodzi w nowość z ducha cudów,

*) Patrz nr. VIII—IX „Krytyka“.

1815 Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów,
Które za jadłem ciągle łażą chciwe.

. . . .

1826 A więc być musi niewidzialna forma,
Zamieszkująca tęczowe lazury
Większej piękności od gwiazd i miesiąca,
Co dzień ku druhom naszym zlatająca,
1830 Jeszcze wysoko, jeszcze w łonie Pana,
A już przez oczy niektóre widziana.

Nowa Jeruzalem! Więc to jest ów finalny cel bytu i Ducha! Rozumowanie całkiem jasne. I proste — dodam. No i — przekonywujące. Wiara w postęp ludzkości ku szczęściu! Na tem opierają się wszelkie systemy teleologiczne etyki. I wszelka etyka chyba. Co więcej, wszelka nauka. Jako milczące założenie przyjmuje wiarę w doskonalenie się ustawiczne narzędzi i zdolności poznawczych. Filozofia, jako samowiedza kultury. I wszelka historyozofia, czy to przyjmując dążenie postępu po liniach prostych, spiralnych, czy obwodzie koła, zgadzała się milcząco na — postęp. Udowodnić niepodobna; kwestya sięga poza doświadczenie naukowe. By orzec o prawdziwości lub mylności tezy, trzebaby mieć przed sobą dzieje wszechświata jako zamkniętą całość. Trzebaby omniscyencyi! Ale my czujemy! A to naszej samowiedzy wystarcza. Nie przyjąć — niemożliwa. Zwłaszcza — i tu drugi dowód — że forma ta opisana przez św. Jana w Objawieniu, który ją na oczy własne oglądał.

Zgoda: założenie! Lecz sama teza: że Ducha droga przez Polskę wiedzie?

1757 Więc kto chorągiew ducha wyżej stawia
I przed stworzoną objaśnia ciemnicę,
Kto stawia — mówię — nową ducha świecę,
1760 Do której lud inny powoli dochodzi,
Ten — mówię — jakby nową gwiazdę rodzi,
Do której wszyscy my powoli dążym,
I może nazwać się boskim chorążym,
Jeśli na drodze boskiej znalazł drogę.

A tym boskim chorążym była właśnie Polska.
(str. 199).

Polska na takiej ducha była drodze —
Polska przy celu takim była świętym!

Widział ją Jan św., opisujący niewiastę obleczoną w słońce, z księżycem pod nogami.

(str. 201).

Bo Polska miesiąc nogami deptała,
Bo Polska złote słońce w rękach nosi.

Polska to jedna była prawdziwie Chrystusowa, pracowniczka Ducha.

Panie, tyś krzyż twój cierpiący postawił,
Ten krzyż, nad którym same gwiazdy zbladły,
Na głowach, które dla ojczyzny spadły,
Na sercach, które były twoją skałą,
Bo ukochały coś więcej, niż ciało.
I nie ulękły się wiecznej mogiły,
Więc pod twym krzyżem leżeć godne były,
Jego podporą jako pierwsza cnota.
I jeśli nie tak, to czemuż Golgota,
Czemuż nie Alpy znaczył ci Jehowah,
Czemuż ci kazał stać na trupich głowach?
Powiedz, jeżeli mówić się nie boisz,
A czemu teraz krzyżem w Polsce stoisz,
Naszych ubogich chateczek ozdobą?
Bo ta góra głów trupich poszła z tobą
Lejąca z oczu serdecznemi łzami
I krzyż musiał iść za trupów głowami
I stanąć u nas jak chorągiew Boga.

Krzyż więc Chrystusa przywiązany do Polski, bo tam góra głów trupich, spadłych dla sprawy Ducha. Ta góra głów trupich, to może Wenedowie? A może to bliższa przeszłość, lub teraźniejszość może. O tych głowach mowa nieco dalej w tezie trzeciej. Zresztą obaczymy.

Ofiara ta dla sprawy Ducha nadaje Polsce piętno Chrystusowości. Jest ona istotnie przodowniczką w sprawie Ducha. I tu dochodzimy do krańców horyzontu. Otwierają się dalekie perspektywy. Po szersze wyjaśnienie udać się możemy do Krasińskiego, do Traktatu o Trójcy, lub Przedświtu. Zresztą do któregokolwiek romantyka.

Niestety naiwność to! Nie tak łatwowierną jest Nauką. Posłuchajmyż dalej dr. Hahna: „gdyby jednak poeta rzecz tę był nawet rozprowadził szczegółowiej, nie przedstawiłaby się sprawa cała w jaśniejszem świetle, cóż bowiem pomogłyby nawet szerokie wy-

wody, gdy w tezę samą trudno uwierzyć, rozumowych zaś dowodów na jej słuszność nie można przytoczyć“ (63). „Pierwsza teza obrony Lucyfera jest mylna, jest tylko przypuszczeniem mogącem mile schlebiać naszemu poczuciu patryotycznemu, nie mającym jednak żadnych historycznych dowodów za sobą“ (69).

Przepraszam! Dlaczego schlebiać? Czy wiedza, że Ducha droga przez Polskę wiedzie, mile tylko łechce Polaka? A! rozumiem! Dr Hahn zaraz pomyślał zapewne o prawach, stąd płynących. Tak! tak! Lecz cóż obowiązki? Czyż tych wobec tej świadomości niema? Czyż nie czujecie chłodnego powiewu grozy odpowiedzialności, stąd wynikającej?

I dlaczego trudno uwierzyć? Jak komu! Dlaczegóż uwierzyć mógł Słowacki i Krasiński i Mickiewicz? Dlaczego Norwid i Miciński i tylu, tylu innych? Postawmy jasno sprawę! Jest to tylko przypuszczenie — twierdzisz pan? Doskonale! Lecz czemuż przypuszczenie to nie ma być prawdziwe? Rozumowych dowodów nie można przytoczyć? Owszem, były wyżej: czyste rozumowanie. Słowacki rozumował wyraziście! Panu jednak chodzi o inne dowody, wzięte z doświadczenia! A tak! to co innego. Lecz tego nie można dać, ani osiągnąć. Doświadczenia historycznego nie posiadamy, oczywiście w znaczeniu absolutnem. Historya nie zamknęła się. Sięga to zatem poza okres naszego doświadczenia. Potrzebaby się udać z tem do omniscyencyi. Chcesz pan sankcyi nadprzyrodzonej? Tak? wolę nie!

A w takim razie przypuszczenie pozostaje przypuszczeniem. To znaczy nie zamieni się w pewność. W pewność objektywną. (Subjektywnie: zobaczymy zaraz). Może być prawdziwe, albo mylne. Ale by dowieść, że jest prawdziwe, lub mylne, potrzeba przytoczyć dowody z doświadczenia historycznego. Tego my nie możemy. Jakże tedy można powiedzieć: Teza jest mylna, jest tylko przypuszczeniem, nie mającem jednak żadnych istotnych dowodów za sobą?

Ale pozytywizm! Rozumiemy! Cóż mię obchodzi opinia nauki? Nauka twierdzi, że nie widzi, jakoby istniały jakieś specyficzne posłannictwa narodów? Że to są koncepcye ex post? Że więc niema wystarczającej racyi do przyjęcia misyi Polski? Ale kiedy ja chcę, ażeby Polska była właśnie przodowniczką w sprawie Ducha. Źle mówię: ja ją już taką czuję. Mam ją w sobie. Algebraizując: Jaźń sama wyznacza wszelkie moralne wartości. Sprawa posłannictwa narodowego, czy osobniczego, rozstrzyga się w samym Duchu. Tak postawił Kant swój imperatyw kategoryczny.

Zatem: przypuszczenie powyższe, nie mogąc osiągnąć pewności objektywnej, w kierunku dodatnim, ni ujemnym, może jednak osiągnąć pewność subjektywną dodatnią. Może również ujemną, ale to nas nie obchodzi. Pierwszy etap na drodze Ducha, dążącego do samowiedzy, przebyty, Lucyfer otrzymał absolucyę.

Ale dr. Hahn twierdzi w dalszym ciągu uporczywie: „Wynika stąd, że dwie dalsze tezy obrony Lycyfera oparte na podstawie błędnej muszą być również fałszywe“ (69). Bynajmniej! Widzieliśmy, że pierwsza nie jest wcale błędną. Z czego wszakże nie wynika, aby następne miały być prawdziwe. Rozważmy!

1797 Secundo: Dowieść muszę, że ta święta
Sprawa w skarżącym była żywą, czerstwą,
Młodą — a na niej spełniono morderstwo,
Do którego się defendent przyznawa.

Kanclerz przyznaje się do morderstwa, ale awanturnika, w imię prawa. Dowieść trzeba, że to zabiło w nim sprawę Ducha. Że sprawa Zborowskiego istotnie dotyczy Ducha. Że ma znaczenie syntetyczne. Tu więc streszcza się właśnie zadanie Lucyfera. I Sądu...

Czyja sprawa może dotyczyć Ducha? Tego, który na sprawach Ducha zaważył. Człowieka nowego. Który wiedzę Ducha posiadał i poczuł się duchem twórczym w Duchu. Który nowe formy ogląda, ażeby je tu realizować. Wytwarza formy nowe, których już Duch dorósł. Stare pozostawiając duchom leniwszym. Duch swobodny! A takim był właśnie Zborowski.

1981 Jeśli kto pierwszy u wrót miasta stanie
I w bramę z perły ogromną zastuka,
To oto człowiek ten, zda się, przez kruka
Zdziobany, oto ten kawałek ciała,
1985 Oto ten ułan o krwawych wyłogach.
On z ducha szedł jasnej kobiety.
2007 Przeciw smokowi. Cóż jest za smok? Prawidło.
A oto człowiek ten został zabity,
Za to ucięto jemu srebrne skrzydło,
2010 Za to ucięto mu orłowi głowę,
Że w nim leżało wszelkie prawo nowe,
Prawo, co wolność ducha zabezpiecza,
A przy tym drugim było prawo miecza.

Przypomnijmy sobie, co pisał Słowacki w Liście do J. Rembowskiego o polityce: „Że zaspokojenie Duchowi Świętemu jego wolnej działalności uciszy i uszczęśliwi narody“ (91). Albo o

wnej formie rządu w Polsce: „Starano się jedynie o wolność jak największą w formach Rządu... tak..., aby rosnący w piękność Duch nie miał żadnej przeszkody;“ (Do X. A. C.) „Była (ona) zbudowaniem kraju na wolności Ducha ludzkiego! z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń, a która bez zgody duchów trwać w żaden sposób nie mogła“. (O potrzebie idei).

Takim duchem wolnym, twórczym, był Zborowski. On oglądał ową Jeruzalem niebieską. Kto mówi? Lucyfer. Widocznie miał podstawy do tego. Widocznie wiedział.

Ale dr. Hahn twierdzi inaczej: „takiego znaczenia nie miał Zborowski wcale, reprezentantem zresztą nowej idei nie mógł być już choćby z tego powodu, że potrzebnych ku temu zdolności zupełnie nie posiadał, jak o tem dostatecznie świadczy cały jego żywot“ (65). Tak twierdzi dr. Hahn. Widocznie musi mieć podstawy do tego. Więc dr. Hahn może udowodnić, że Zborowski nie oglądał Jeruzalem niebieskiej? Albo, że nie był człowiekiem nowym? Dziwna! Sądziłem, że do tego trzeba być samym Zborowskim. Albo co najmniej Lucyferem. Albo zresztą omniscyencyą.

Jednakże przypomnijmy jedną myśl p. Lacka: Po co się robić dobrowolnie osobą dramatu? I to czasami niezgrabną. Po co polemizować z Lucyferem? Twierdzi on, że Zborowski był człowiekiem nowym? Bardzo możliwe! To wszakże pozostaje poza granicami naszego doświadczenia. Pozostaje dla nas przypuszczeniem. Nie mogąc dla braku dowodów zamienić się w pewność objektywną, dodatnią lub ujemną. Jednakże możliwe jest. Może być również niemożliwem, ale to nas nie obchodzi. A może się także zamienić w pewność subjektywną. Jak u kogo!

Utrzymuje Lucyfer, że w Zborowskim na sprawie Ducha spełniono morderstwo? Bardzo możliwe! Pod warunkiem, że Zborowski był człowiekiem nowym. A to jest możliwe. Tu więc jest punkt styczny między sprawą Zborowskiego, a sprawą Ducha. Sprawa Zborowskiego zmusza do rozważania ogółu spraw Ducha. Bez względu na to, jakie jest jej stanowisko istotne. A więc ma znaczenie syntetyczne. A o stwierdzenie tego nam właśnie chodziło.

W takim zaś razie ostoi się i trzecia teza:

1801 że dotąd ta sprawa
Przez odebranie tu duchowi ciała
I przez wzrost tamtych we krwi zatrzymała;

A stąd ponosi swoje wielkie szkody
Sam Bóg.

Polska stała twórczością Ducha. Duch ten zaś w Zborowskim został pozbawiony możności czynu. Zborowskiemu przemocą odebrano formę. Było to tylko znakiem: utracenia twórczości Ducha; zwycięztwa natomiast martwej formy: prawidła. Zatracenie swobody!

„Polska najnieszczęśliwsza! zapomniawszy o missyi, którą dawniej na świecie pełniła, zaczęła być naśladowniczką fracuskich idei“.

„A niedotrwanie w tym Duchu Świętym obaliło ojczyznę starożytną.

„Albowiem Duchy..., które pojmą najwyższą myśl Bożą i podług tej myśli rozpoczną świętą postępu budowę a dla trudności pracy od myśli Bożej odstąpią... zgruchotane są ruiną niedokończonej budowy“. (O potrzebie idei).

Zatem zanik twórczości Ducha i skostnienie formy rządu zgubiło Polskę. Brak idei. Samowiedzy poprostu. I tu leży właśnie uzasadnienie dochodzenia sprawiedliwości przez Zborowskiego. A zarazem Sądu. Duch został skierowany na drogę samowiedzy. I musi ją przejść. Przemyśleć i uświadomić, by ją móc realizować. Gdyż, co się da zrealizować, musi być poprzód spełnione w sferze Idei. A co się dokonało w Duchu, temsamem już objawia się w realności. Fakt realny jest tylko zewnętrznym znakiem dopełnienia się czynu w Duchu.

Sprawa całkiem jasna, mimo to znowu bałamucona. „Z powyżej zaznaczonych uwag łatwo zrozumie czytelnik, że teza ta opierając się na poprzednich, będzie miała nawet po rzekomem udowodnieniu jej przez poetę tę samą wartość, co i poprzednie. trudno bowiem na mylnych podstawach budować słuszne wnioski“. (dr. Hahn 66). Że podstawy nie były mylne, widzieliśmy wyżej. A powyższe rozumowanie Słowackiego jest hypotezą taksamo możliwą i prawdopodobną, jak wszelkie inne hypotezy historyczne, dotyczące upadku Polski. Co więcej, sądzę, że po przeczytaniu uważnem broszur politycznych Słowackiego każdy historyk bez wahania by ją podpisał. Ażeby przybrała charakter pewności objektywnej, trzebaby sankcyi omniscyencyi. Tak może się zmienić tylko w pewność subjektywną.

Taka jest bowiem argumentatio Lucyfera. Wychodzi z nie obronną ręką. Dowodami pozytywnymi wszakże nie zadawala się. Zbija zarzuty przeciwnika (refutatio). To nas mniej obchodzi. Ni

przynosi bowiem nic zasadniczo nowego. Ale sprawę wygrywa. Wyrok ogłasza Chrystus, uznając Zborowskiego i Lucyfera ludźmi nowymi, przez których na ziemi czyni.

Dlaczego Chrystus właśnie, nie Pluton, albo raczej: nie Bóg Ojciec? Rzecz zrozumiała. Chrystus jest najwyższym duchem, prowadzącym Metampsykozę. (Wykł. nauki 147). Mówiąc naszym językiem: sprawę Ducha. A sprawa rozstrzyga się w samym Duchu. Dochodzi do samowiedzy.

Tu zaś miejsce na pytanie: Dlaczego i w jakich okolicznościach sprawa ta dochodzi swej samowiedzy? Mówiąc konkretnie: w jakim czasie odbywa się akcya dramatu? Przeczytajmy, co mówi p. Lack: „rzecz dzieje się w trzysta blizko lat po śmierci Zborowskiego i w niebie. Obaj więc pisarze (Jankowski i Hahn) przeniesieni w r. 1845 czy 1906 r. do nieba, nie mogą się na tym ślizkim terenie utrzymać i gwałtem ciągną na ziemię do r. 1584" (22). Dlaczego r. 1845? „Mam tę wskazówkę, że sąd ten odbywa się w 1845 r. t. j. w chwili, w której świadomość tej idei (Zborowski jeszcze jej nie zna) w Słowackim powstała" (30). Tak? A dlaczego r. 1906? Chyba, że powtórnie powstała ta świadomość w p. Lacku?

Mniemam, że moment powstania tej świadomości mógłby posiadać taką doniosłość dla ducha. Ale dla Ducha? Przyczyna, dla której sprawy Ducha dochodziły swej samowiedzy, musiała być o wiele ważniejszą. Chwila istotnie doniosłą dla Ducha, skoro Duch dochodzi swej Idei, aby ją realizować. Krótko: akcya toczy się w r. 1830. Gdy się w Duchu wypełniają losy Polski.

Proszę sobie przypomnieć słowa ks. Poloniusa do uczonych:

Proszę więc was, nim, jak wiecie —
Ojczyzna się ta poruszy,
I pożar zacznie na świecie,
I my na polach czerwonych,
Gdzie czas rzuci krwawe kosy,
Pójdziemy ostatnie kłosy
Zbierać i z rzeczy szalonych
I haniebnie rozpoczętych
Wyciągać mądrość mądrością,
Przed tą wielką okropnością,
Przed ogniem tych wybuchniętych
Na całej ziemi wulkanów,
Przed tym czasem dla szatanów,

I dla nas uciemiężonych,
Przed tą porą żniw czerwonych:
Zapomnijcie o przyszłości —
A dla mnie i dla miłości,
Jakąście dla mnie uczuli,
Żem odrostek waszych króli,
Że we mnie jest węzeł ludu:
Nie żałujcie pracy, trudu
Około mojego syna.

Przeczytajmy tylko prolog „Kordyana“. Wszakże te słowa mówią najoczywiściej o roli, jaką miał Czartoryski odegrać w powstaniu listopadowem. Zyskaliśmy więc najpewniejszą i najbardziej w oczy bijącą datę. Powtóre przybył nam jeden więcej dowód, że ks. Polonius-ks. Czartoryski. (Por. Hahn 58—9). Do tego to odnosi się owa wyżej wzmiankowana góra głów trupich. I o tem mówi odnośnie do tezy trzeciej Lucyfer:

A na to pokażę dowody
Straszne, przez żaden sąd nieodepchnięte —
Ciała szlachetne, a skalane błotem,
Krzyż naszej męki, grożący wywrotem
Nawet aniołom.

Dowodów tych Lucyfer nie pokazał. Łatwo zrozumieć, dlaczego: dramat nie został wykończony. To nam jednak wystarcza. Była to istotnie chwila wielka, historyczna. Chwila przełomowa. Chwila, w której wypełniają się straszliwe misterya Tajemnicy. W której wszystkie boskie potęgi w niemej niepewności i bladem zalęknieniu, naprzód pochylone, z rozszerzoną źrenicą, czegoś czekają. W której los nawet na chwilkę wstrzymuje wieczyste koło. W chwili tej przesilają się sprawy Ducha. Tak ją pojął Wyspiański w „Nocy Listopadowej“. No i tak przedewszystkiem Słowacki.

W tym epokowym 1830 r. dochodzi swej samowiedzy sprawa Ducha. Sprawa ducha narodowego w Polsce. Terenem jej — dramat Słowackiego. Zrozumiejmy się! Słowackiemu nie chodziło bynajmniej o Samuela Zborowskiego. O dramat Zborowskiego. Wszakże dramatu Zborowskiego w utworze zupełnie niema. Niema także mowy o możliwościach dramatu. I nie chodzi wcale o to (jak chce p. Lack), co byłby mógł uczynić Zborowski, gdyby nie śmierć. „Czy mógłby był wypełnić sobą akty następne“ (35). Słowacki nie mówi że „nie dano Zborowskiemu stać się tem, czem był właściwie, ale w stanie niedojrzałym, a czemby się okazał w następnych aktach!“

(35). Ani też nie jest to „sprawa o rzeczach nie już minionych, ale takich, które nigdy nie zaszły, a które mogły zajść. Nie zaszły, bo zostały ucięte" (34).

Słowacki umiał dramat konstruować, nie gorzej od p. Lacka. Byłby więc potrafił napisać dramat i o Samuelu Zborowskim. Tak, jakby był potrafił. Może tak, jak p. Lack. A prawdopodobniej całkiem inaczej. To zresztą widzieliśmy wyżej. Ale Słowacki nie chciał wcale pisać dramatu o Zborowskim.

Zborowski był mu tylko pretekstem. Punktem, od którego poczynał się ruch umysłowy. I około którego się skupiał. Był mu pobudką do roztrząśnięcia spraw Ducha. Obudzenie się Ducha na drodze samowiedzy. Ducha w ludzkości!

Słowacki marzył o oparciu całej wiedzy ludzkiej na wiedzy Ducha. I wszelkiego czynu praktycznego. Owszem Słowacki zamierzał oprzeć. Z tych jego plonów przechowały się strzępy. Zabrakło mu czasu. W liście do J. N. Rembowskiego możemy obserwować, jak szeroko zakładał podwaliny nowej wiedzy. Czyż nikt po nim tego zadania nie podejmie? Zadania piekącego! Aby się stać celem igraszek dziecinnych, jak Lutosławski?

Słowacki ujął dzieje Ducha twórczego w przyrodzie. Przedstawił je w „Genezis z Ducha". I starał się ująć dzieje Ducha w ludzkości. Ale z tego pozostały strzępy. Historyografia odbywała się zupełnie bez Ducha. A na barki jednego, to trochę za wiele. Te strzępy — to „Król-Duch".

Ale Słowacki oparcie wszelkiej wiedzy i wszelkiego czynu na uznaniu twórczego Ducha uważał za naglącą sprawę. Kwestyę bytu lub śmierci. Bytu narodowego. I z tej troski wewnętrznej narodziły się jego broszury polityczne. Uderzał w nich w wielki dzwon. I nawoływał do odpoznania się Ducha w ludzkości. Uznanie twórczości Ducha w ludzkości kładąc za warunek odrodzenia ludzkości.

Droga Ducha prowadziła dla niego przez Polskę. Tośmy zresztą widzieli wyżej. Polska, na uznaniu twórczego Ducha oparła swoją formę rządu. Aby swobodę twórczości, Duchowi zapewnić. I gdy się tej zasady wyrzekła, zatraciła własny byt. Warunkiem więc powrotu do niepodległego bytu — oparcie wszelkiego czynu na wiedzy Ducha. Innemi słowy: podjęcie zarzuconej czas jakiś idei narodowej.

I teraz rozumiemy, jak doszedł Słowacki do skoncypowania swego „Samuela Zborowskiego". Mickiewicz wyraził się o sprawie

Zborowskiego: „że to podobnoś była walka uczuć narodowych przeciw doktrynom Batorego i Zamoyskiego“ (dr. Hahn 51). Tu więc wyczytał Słowacki zmaganie się idei narodowej z doktryną, Ducha twórczego z martwą formą, prawidła z prawidłem. I dlatego z powodu tej właśnie sprawy każe sprawie Ducha dochodzić swej samowiedzy.

Ale Słowacki nie myślał o dramacie Zborowskiego. Nie chciał przedstawiać tego starcia się. Nie chodziło mu o momenta walki, lecz o momenta samowiedzy Ducha odnośnie do tej walki. Zborowski był mu tylko znakiem, przez który najłatwiej chciał się z czytelnikiem porozumieć. Słowacki w tych czasach szczególnie upodobał sobie formę przypowieści. Rzeczy zbyt zawiłe i niedostępne w ujęciu abstrakcyjnem przedstawiał symbolicznie, co do wartości których milcząco się umawiał. Inna rzecz, że te symbole właśnie prowadziły go w dziedzinę sztuki. Ze sfery czystej myśli. Że Zborowski uratował utwór dla sztuki. Zborowski był jednak tylko pretekstem. Słowacki Zborowskiego nie chciał proponować świadomości powszechnej. Próżno się więc oburzacie, o krytycy!

Dlatego nie użył Słowacki formy dramatu szekspirowskiego, ani greckiego, ani kalderonowego. Lecz formy Sądu. Chodziło mu o moment odszukiwania się Ducha w ludzkości. I rozpoznawania stanowiska Ducha w ludzkości. W których Duch gromadzi dowody — etapy własnej samowiedzy. Rozważa za i przeciw. Podobnie zresztą jak i u Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu“.

Zatem, jeżeli chcecie, „Samuel Zborowski“ jest — Sądem.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

ANTYSEMITA.

Mieszkał za miastem na krańcach ubogiej dzielnicy, w starym, obszernym, chylącym się do upadku dworze. Mieszkał wśród wrogów. Dokoła posiadłości jego, otoczonej odwiecznemi drzewami cisnęły się małe, niskie, nędzne, nowe domki, pełne gwarnego żydostwa. Żydzi, — i on sam jeden, jedyny przedstawiciel prawych właścicieli tej ziemi, ostatni obrońca, żołnierz na straconym posterunku.

Wrogowie otoczyli go, scisnęli mocnym pierścieniem, oblegli, osnuli piekielną pajęczyną i postanowili wydrzeć mu tę prastarą siedzibę, gniazdo ojców, tak jak zagarnęli wszystko w tem mieście i w kraju, — on postanowił bronić się do upadłego.

Na walce schodzi mu życie, schyłek dnia. Z każdym rokiem obrona staje się trudniejszą: sił mniej, nędza dokucza, rośnie zuchwałość przeciwnika, kto inny na jego miejscu jużby dawno wyrzekł się tego szmata ziemi — przecież dają mu za nią górę złota — i szukałby spokojnego ustronia na starość. Któżby skazywał siebie dobrowolnie na surowe ubóstwo, któżby znosił to, co on znosi? Ale on ma wolę niezłomną. Jak obowiązek, to obowiązek, a podłym jest kto poddaje warownię. Chce dowieść wrogom, że są jeszcze na tej ziemi ludzie mocnych zasad, których nie zdołają przekupić. Więc nie przestraszy się niedostatku i wytrzyma codzienne napaści, któremi nęka go nieprzyjaciel. Poznał taktykę przeciwnika i ma jedną broń — cierpliwość. Będzie walczył do upadłego w swojej warowni. Tylko że warownia już do połowy zdobyta.

Przed laty stał wysoki parkan z calówek z napisem że „wstęp żydom wzbroniony“ a lekkie pułki wyrostków, — straż przednia — oblegały fortecę z daleka, bijąc kamieniami w deski; — dziś parkan runął od starości a może od pocisków — a z nim runęła ostatnia przeszkoda, groźny napis stracił wszelką wartość realną i nic już nie powstrzyma napastniczych zastępów. Bitwa toczy się o klucz pozycyi — o stary dwór, w którym zamknął się sędziwy obrońca. Codziennie wpadają do ogrodu lotne pułki wyrostków, podkradają się pod okna, otaczają dom ze wszystkich stron i rozpoczynają atak. Dom trzęsie się od wrzasku. Jeszcze chwila a wyłamią drzwi.

Grzybowski wyskakiwał na ganek. Przyjmowano go kamieniami, trzaskami, błotem, krzykiem.

— Antysemit, antysemit!

To była zemsta za napis na ś. p. parkanie, za wrogą postawę, za nienawiść, za pogardę, za szczucie psami, za kije, któremi za dobrych czasów, gdy parkan jeszcze stał, okładał każdego nieproszonego gościa. Grzybowski rzucał się w tłum z pałką i nahajem, groził rewolwerem, próbował strzelać, uganiał się, rozpędzał... Napastnicze szeregi pierzchały, czyniła się cisza, starzec wracał do domu, odpoczywał. Mijała godzina i znowu pojawiały się wrogie zastępy, znowu rozpoczynał się szturm. Grzybowski wychodził, rozpędzał, wracał — potem znowu powtarzało się to samo.

Na takich walkach upływały dnie. Czasami znużony starzec

chronił się na strych, gdzie go nie mogły dosięgnąć pociski i czekał nocy, która kładła kres bojom. Przez szczelinę, sam niewidziany spoglądał na to, co się działo dookoła dworu.

Oto szukają go i polują na niego jak na dzikiego zwierza, oto w parku gdzie niegdyś matka uczyła go chodzić, gdzie bawił się z rodzeństwem, gdzie w ulubionem ustroniu dumał nad drogą mogiłą tych, którzy polegli, gospodarują, krzyczą, rozbijają się chmary dzieci i zgraje wyrostków.

Nawet ostatni zbrodniarz ma celę swoją, w której nikt mu nie zakłóca ciszy i rozmyślań, a nędzarz najgorszy swój dzień, którym rozporządza jak chce, — on bez domu jest, bez prawa, bez woli... Zabrano mu słońce i cień, ciszę i poszum gałęzi, spokój zadumy i wspomnienia, zabrano mu własność jego, starożytne gniazdo ojców.

W Grzybowskim trzęsło się dumne serce i wybuchała nienawiść.

Dla stłumienia gniewów, które rozpierały pierś, brał kij ogromny, uwijał się po strychu, polował na szczury i bił celnie kładąc trup po trupie, bił z jakiemś szczególnem zadowoleniem... Tak samo bez miłosierdzia gdyby mógł, mordowałby wrogów swoich. W sercu płonęła żądza zemsty.

A wieczorem, żeby nasycić tę piekącą żądzę, brał grubą księgę i czytał ulubione stronnice. Cisza już była dokoła domu, cisza w ogromnych, pustych, ciemnych pokojach. Przy lampie starzec powoli a na głos odczytywał znane ustępy: „Komu się przyrównam albo komu się przypodobam córko Jerozolimska? Z kim cię porównam i pocieszę cię panno córko Syonu? bo wielkie jest jako morze skruszenie twoje, któż cię zleczy? ...dziedzictwo nasze obróciło się do cudzych, domy nasze do obcych. Sierotami zostaliśmy bez ojca, matki nasze jako wdowy... za szyje nasze gnano nas, spracowanym nie dano odpoczynku“...

Dziwnie w posępnym domu brzmiał głos starca. Jak krwawy strumień skarg płynęły słowa. I zdawało się Grzybowskiemu, że staje przed nim mąż boleści, syn uciśnionego narodu i rozdziera na sobie szaty i targa włosy swoje i biada.

Grzybowski słuchał i cieszył się. Widział poniżenie wroga, straszny gniew i straszną karę niebios, spalone miasta, zburzone domy, ulice zbroczone krwią i pełne trupów, matki jako wdowy, mężów w niewoli, panny i młodzieńce pobite od miecza.

Ale w miarę czytania łamał się głos jego. Z jego serca własnego są te skargi, jego jest ten płacz boleści, jego narodu są

te krzywdy i niedole. I on jest syn uciśnionego narodu. Dlatego rozumie...

I miękło rozbrojone serce, gasła żądza zemsty, znikała nienawiść. Bratem jest, bratem w niedoli tamten mąż uciśnionego narodu, mąż żałości i skargi.

Grzybowski nisko pochylał swoją srebrną głowę, czytał coraz ciszej, z oczu płynęły łzy...

Ale nazajutrz od rana rozpoczynał się szturm — albo był wtorek.

Co tydzień we wtorek Grzybowski wychodził do miasta po gazety. Wypadało przerżnąć przez sam środek obozu wroga i długą była ta droga szyderstwa. Starzec wiedział co go czeka. Zaledwie ukazał się w dzielnicy, ktoś jeden, jakiś chłopak dawał sygnał głośnym krzykiem:

— „Antisemit idzie".

I w jednem mgnieniu oka z domów, z podwórzy, z zaułków zbiegały się wszystkie dzieci, ile ich było, jak z pod ziemi wyrastały pułki wyrostków. Tworzyła się świta, która ani na krok nie odstępowała Grzybowskiego. Rzucano kamieniami i błotem jak tam przed domem. Wrzawa napełniała ulice. Dzielnica miała swoje widowisko. Dumny pan otoczony urągliwą świtą, prowadził jak gdyby jakąś dziwną procesyę czy pochód. Starzy próbowali poskramiać dzieci i śmiali się... Grzybowski szedł wolno, hardo podnosząc swoją białą, pańską głowę. Mogło wydawać się, że on nie widzi i nie słyszy, że nie dba o nic. Tylko zlekka drżały mu wargi i ręce ściskały rewolwer. Idąc liczył kroki. Oto drugi tysiąc, trzeci — już blisko koniec. Kroków było tysiąc trzysta siedmnaście.

Z gazetami pod pachą wracał i powtarzało się dosłownie to samo. U rogatek czekały na niego tłumy. — „Antysemit! — antysemit!" I rozpoczynał się dziwny pochód, procesya, widowisko. Dumny pan, syn marszałka, szedł otoczony zgrają szyderczą, obrzucany kamieniami i błotem...

Co on im uczynił? za co? myślał Grzybowski. Liczył kroki. Długą była ta droga. I spieszył do domu, chociaż nie miał domu, zamykał się, biegł na strych. Drżał i trząsł się cały. Z piersi wyrywało się szlochanie.

Za co? za co? co on im uczynił?

Wzburzony chodził. I znowu płonęła w nim nienawiść.

— Dzieci szatana, ród Antychr sta, plemię piekielne... szeptały wargi.

...Zniszczyć, wytracić, wymordować, wygnać na kraj ziemi, pod biegun północny... nie ma kary, nie ma kaźni dość okrutnej. Uniesiony gniewem stawał się Neronem. Zalałby ziemię krwią wroga, z trupów ułożyłby stos, wysoki pod niebiosa, nie zaznałby spokoju, zanimby ostatni z rodu Antychrysta nie zginął z jego ręki.

Nie o niego tu chodzi i nie o te przykrości, któremi go trapią, ale o kraj, o ludzkość, o świat cały i prawa boskie. Źle w tym kraju... Chodził niedawno po mieście, które pamięta od lat dawnych. Te same są domy, place, ulice, ogrody a ktoby dziś poznał?

Innem jest to miasto, inną jego mowa i myśl, innem życie... Umarła przeszłość na zawsze. Gniewny brat, najeźdźca zakuł ją w kajdany a zabił ją żyd. On zabił mowę tej ziemi i myśl, stratował bujny plon prastarej kultury, zniszczył pracę pokoleń. Wcisnął się przez wszystkie szczeliny, zagarnął wszystko, wyparł zewsząd prawowitych właścicieli, sam rozparł się dumnie. To samo w kraju całym. Żyd zawładnął wszystkiem. Jak gadzina wykarmiona na łonie, chytrze i zdradliwie wziął naród w śliskie sploty i zaciska pierścienie i kąsa podstępnie i zatruwa śmiertelnym jadem. Od wieków trwa jego zgubna robota, dzieło zniszczenia, od wieków cierpi naród.

Żyd wieczny tułacz święci twój tryumf. Rozciągnął władzę nad światem i trwają jego rządy piekielne. Żyd — wieczny tułacz... Jego wielbią tłumy, jego słuchają monarchowie, dla niego pracują uczeni, przed nim palą kadzidła poeci... Oto Francya, korna służebnica, oto Namiestnik Chrystusowy w niewoli, oto niewiara zepsucie obyczajów, przekupstwo, obalenie tradycyi, zdrada w wojsku.

Z żyda i przez żyda jest wszystko. On rozkazuje, rządzi, prowadzi, kieruje. Zagarnął złoto świata i władzę nad światem... A Bóg dopuszcza?

Przecież samemu Bogu wypowiedzieli wojnę, przecież do zatracenia idzie świat, w którym dzieci szatana szerzą niby trąd, niewiarę, nieposzanowanie rodziny i władzy, pogardę dla ojczyzny, przecież w ręce szatana oddali ziemię, oni — dzieci szatana?

A Bóg dopuszcza?!

„Błogosławić Ci będę i rozmnożę nasienie twoje, jako gwiazdy niebieskie i jako piasek, który jest na brzegu morskim i posiędzie nasienie twoje brony nieprzyjaciół twoich...

„I będzie nasienie twe jako proch ziemi, rozszerzy się na zachód i na wschód, na północy i na południe“, są słowa Pańskie.

Więc Bóg błogosławi? więc taką jest wola Boga? Obalili władzę, wyszydzili imię Boże, rozmnożyli nieprawość, w pysze podnieśli głowy swoje, podeptali zakon, rozpętali złe, wywracają porządek.

Grzybowski nie mógł tego pojąć. Ogarniała go zgroza i mimo wszystko czekał ognistego deszczu.

* * *

Był wtorek i Grzybowski jak zwykle wybierał się na miasto. Zamknął drzwi domu który tyle szturmów wytrzymał i już się chylił — minął park, słodki ogrojec szczęśliwego dziedzińSTWA i jasnej młodości — dziś pole walki, plac harców i popisów i wyszedł na ulicę. Zatrzymał się, obejrzał i jeszcze chwilę patrzył.

Minie lat kilka i nie będzie ani jego, ani tego dworu, ani tych drzew wysokich, szumiących. Skończy się wszystko... I nie zostanie nawet śladu... A przed laty było tu życie bujne, młode, pełne nadziei. Przed dom marszałka zajeżdżały powozy, odbywały się narady, płonęły wszystkie okna, huczały zabawy, siedmiu młodych synów rwało się w świat i parskały na stajni rumaki, którymi mieli ruszyć. Polegli, pomarli, zgasła chwała, odbiegło szczęście... czarne chmury spiętrzyły się nad krajem... nastał długi dzień niedoli.

Grzybowski poszedł dalej. Jak zwykle otoczyła go wrzeszcząca urągliwa świta. Śmielsze dzieci chwytały i targały mu płaszcz, kilka kamyków uderzyło go w plecy. Padały mu pod nogi skorupy od jaj, jabłka, kartofle... „Oni święcą tu tryumf, — myślał starzec — ich jest zwycięstwo i panowanie. Zabrali, zbrukali, zohydzili nam ojczyznę — pastwią się szydzą, depcą po tych, którym winni są wdzięczność. Jak gadzina wykarmiona na łonie... Gdybyż przejrzeli ci, którzy mają władzę i możność, gdybyż Bóg zesłał karę... dzieci szatana... ród Antychrysta... do zatracenia idzie świat... płynęły codzienne myśli.

W Grzybowskim wzbierał gniew. Ale hamował się, szedł powoli, dumnie podnosząc swoją białą, pańską głowę i liczył kroki. Idąc zauważył, że starsi zbierają się w kupki i nad czemś głośno się naradzają. Znać było pewien niepokój i wzburzenie. Ale zgraje wyrostków robiły swoje. Grzybowski przebył już pół drogi, już widać było pierwsze, wysokie kamienice miasta. (Dok. nast.)

MIĘDZYNARODOWA ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

XXXIII.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwól Pan, że w odpowiedziach mych wyjdę nieco poza ramy, nakreślone przez zadane mi pytania. Niektóre z nich zbyt są dla mnie trudne: poczęści dlatego, że wymagają tak szerokich widokręgów politycznych, jakich nie posiadam, w części zaś, że dawno postradałem wiarę we wszelkie proroctwa polityczne, z wyjątkiem najogólniejszych. Pojmuję, że taktyka partyjna wymaga programu, przewidującego przyszłe kombinacye: bez tego akcya nie byłaby na niczem ugruntowana; ale też wiem, że działalność programowa często wiedzie na całkiem nieoczekiwane bezdroża. Dość tu wspomnieć odezwę wyborczą naszej Dumy Państwowej, z którą obecnie tak rząd jak i sami kadeci nie wiedzą co począć.

To też pozwolę sobie sprowadzić odpowiedź do wyłożenia tylko ogólnego mojego poglądu na kwestyę polską. Jako slawista, badający historyę ludów słowiańskich, jako pozatem profesor warszawski, który z konieczności blizko ze sprawą tą się zetknął i zaciekawił się nią, przyszedłem do wniosku, że niezależność narodu polskiego, w jego granicach etnograficznych, będzie najprawdopodobniejszem rozwiązaniem kwestyi. Naród, posiadający tak żywą świadomość swej odrębności plemiennej i przeszłości historycznej, nigdy nie zmiesza się z ludami, które zajęły względem niego stanowisko panujące. Przy tych lub owych kombinacyach politycznych, które trudno obecnie przewidzieć, choć one wkrótce mogą już nastąpić, istnieje prawdopodobieństwo, że kwestya przywrócenia niepodległości Polski zostanie podniesiona przez rządy oraz przedstawicieli narodów i przeniknie świadomość szerokich mas ludności. Sądzę jednak, że odbudowana Polska nie będzie już potrzebowała przeżywać jakichkolwiek form archaicznych: przyjmie ona postać rzeczypospolitej, opartej na zasadach demokratycznych.

Tym sposobem, uważając wyłuszczony sposób załatwienia stosunków polsko-rosyjskich i polsko-niemieckich za najprawdopobniejszy, a może nawet nieunikniony (wyłączam tu kwestyę współczucia, jako obcą światopoglądowi politycznemu), dla siebie osobiście poczytuję za najodpowiedniejszą taką działalność, która pozostawa-

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE.

(Suite).

XXXIII.

Милостивый Государь,

Господинъ Редакторъ!

Позвольте мнѣ въ своихъ отвѣтахъ нѣсколько выйти за предѣлы, установленные Вашими вопросами. На нѣкоторые изъ нихъ мнѣ было бы очень трудно отвѣтить отчасти потому, что они предполагаютъ такую широту политическаго кругозора, которой я не обладаю, отчасти же потому, что я давно утратилъ вѣру во всякія политическія предсказанія, кромѣ самыхъ общихъ. Я понимаю, что вопросы тактики каждой партіи обусловливаются ся программой, которая предвидитъ и будущія комбинаціи, и безъ которой партійная дѣятельность была бы безпочвенной; но я знаю также, что и программная дѣятельность нерѣдко заводитъ партіи въ такія дебри, о которыхъ онѣ и не догадывались. Достаточно указать на извѣстное Выборгское воззваніе нашей Государственной Думы, съ которымъ ни правительство, ни сами ка-де-ты, составлявшіе его, не знаютъ, что и дѣлать.

Поэтому, я позволю себѣ ограничиться только изложеніемъ своей общей точки зрѣнія на польскій вопросъ. Какъ славистъ, изучавшій исторію славянскихъ народовъ, и какъ варшавскій профессоръ, поневолѣ близко столкнувшійся съ польскимъ вопросомъ и заинтересовавшійся нимъ, я пришелъ къ убѣжденію, что независимость польскаго народа въ его етнографическихъ границахъ самое вѣроятное разрѣшеніе етого вопроса. Народъ, въ которымъ такъ живо сознаніе своего племенного единства и своего историческаго прошлаго, никогда не сольется съ другими народами, занявшими по отношенію къ нему господствующее положеніе. При тѣхъ или иныхъ политическихъ комбинаціяхъ, которыя теперь трудно предвидѣть, но которыя могутъ наступить и скоро, есть вѣроятность, что вопросъ о возстановленіи независимости Польши будетъ поднятъ правительствами и народными представителями и войдетъ въ сознаніе широкихъ массъ населенія. Однако, я думаю, что возстановленная Польша не будетъ нуждаться въ какомъ бы то ни было переживаніи архаистическихъ формъ, и что она могла бы принять характеръ республики, построенной на демократическихъ основахъ.

Такимъ образомъ, считая указанный способъ разрѣшенія поль-

łaby w zgodzie z dokonywającym się procesem dziejowym. Każde zaostrzenie stosunków polsko-rosyjskich, nie wstrzymując procesu, zwiększa tylko prawdopodobieństwo nie-pokojowego jego przebiegu, co według mnie byłoby wielkiem nieszczęściem dla obu narodów słowiańskich. Mówię, rzecz prosta, nie o powstaniu, którego możliwości nie przypuszczam, lecz o drodze wzajemnych obelg, utrudnień, o drodze nienawiści, która miejsca mieć nie powinna w rozwiązaniu naszego odwiecznego sporu.

W najbliższej przyszłości pragnąłbym autonomii Królestwa Polskiego; gdybym jednak był działaczem politycznym, głosowałbym za nią w tym tylko wypadku, gdyby taka sama autonomia została przyznana Litwie, obu częściom Małorosyi, guberniom nadbałtyckim, pewnym okręgom Kaukazu i kulturalnie odrębnym terytoryom rdzennej Rosyi. Nadanie państwu postaci związku prowincyj autonomicznych, o ile to nie sprzeciwia się dotychczasowej konieczności utrzymania silnej armii — oto mój ideał polityczny.

Ale pierwszym stopniem do niego musiałoby być zaprowadzenie na całym obszarze państwa instytucyj ziemskich o szerokiej kompetencyi. W tych ramkach znalazłoby się też i wstępne załatwienie kwestyi polskiej.

Przyjm, Szanowny Panie, zapewnienie mego zupełnego poważania. *Profesor Dr. Aleksander Pogodin.*

(C. d. n.).

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

I. Przegląd prasy.

A) Prasa polska.

Miesięcznik Towarzystwa Szkoły Ludowej (styczeń-październik 1906) jest właściwie jedynem u nas polskiem pismem oświatowem. Społeczeństwo nasze niestety jeszcze mało wnika w wielką misyę oświatową, jaka może nigdzie tak jak u nas, nie oczekuje swego zrealizowania, a zdobywa się jedynie na niewielką garstkę pracowników, dźwigających na sobie cały ciężar roboty. Ten właśnie objaw jest charakterystycznem znamieniem pisma, które rozmaitością a choćby

ско-русскихъ и польско-нѣмецкихъ отношеній самымъ вѣроятнымъ, можетъ быть, неизбѣжнымъ (вопросъ о сочувствіи я исключаю, какъ лишній въ политическомъ міровоззрѣніи), я считаю для себя лично наиболѣе разумнымъ такой образъ дѣйствій, который соотвѣтствуетъ совершающемуся историческому процессу. Всякое обостреніе польско-русскихъ отношеній, не задерживая процесса, только усугубляетъ вѣроятность не-мирнаго завершенія его, которое я считалъ бы большимъ несчастіемъ для обоихъ славянскихъ народовъ. Я говорю, конечно, не о возстаніи, возможности котораго я не допускаю, но о пути взаимныхъ обидъ, стѣсненій, пути ненависти, которой не должно быть мѣста въ разрѣшеніи нашего вѣкового спора.

Въ ближайшемъ будущемъ я хотѣлъ бы автономіи для Царства Польскаго, но, будь я политическимъ дѣятелемъ, я голосовалъ бы за нее лишь въ томъ случаѣ, если бы такая же автономія была признана за Литвой, обѣими частями Малороссіи, прибалтійскими губерніями, извѣстными областными единицами Кавказа и за опредѣленными культурными районами коренной Россіи. Устройство имперіи въ видѣ соединенія автономныхъ частей, поскольку такое устройство допускается необходимостью держать пока сильную армію: таковъ мой политическій идеалъ. Несомнѣнно, что для многихъ въ Россіи онъ показался бы очень нежелательнымъ. Но постепеннымъ приближеніемъ къ нему служило бы введеніе повсюду въ Имперіи земскихъ учрежденій съ широкой компетенціей. Въ этихъ рамкахъ нашелъ бы себѣ предварительное разрѣшеніе и польскій вопросъ.

Примите, Милостивый Государь, увѣреніе въ моемъ совершенномъ уваженіи.

Профессоръ Дръ АЛЕКСАНДРЪ ПОГОДИНЪ.

(Suite).

nawet rozbieżnością sądów, pomysłów, idei i środków, powinno dać obraz całego ruchu oświatowego i stanowić punkt zborny dla wszelkich postulatów, dążących do podniesienia kultury naszego narodu. Skądinąd bardzo szanowna zgodność myśli — tu na terenie teoretycznego rozwiązania kwestyi staje się jednostajną i bodaj czy nie jednostronną, nie wywołując żywej i koniecznej wymiany zapatrywań i nie mogąc być przedmiotem roztrząsań zasadniczych czysto-naukowych lub pedagogicznych. Powtarzają się więc osoby i myśli, powtarza się strona formalna i moralna artykułów z tą pewną, szkodliwą nieruchomością, jakgdyby w sprawie oświaty ludowej już wypowiedziano ostatnie słowo, jakgdyby już wszystkie drogi otwarto i wytknięto, a teraz tylko utartymi szlakami dalej kroczyć należało. Tymczasem wśród narodów przodujących oświata ludu do tej

pory nie przestała być problemem, niezapisaną książką, na której otwarte karty przybywają nieustannie nowe prądy i kierunki, nowe próby i usiłowania. Tu i ówdzie w „Miesięczniku“ znajdujemy streszczenia i notatki tego ruchu europejskiego, co z chlubą dla Redakcyi podnieść należy, jest to jednak tylko materyał martwy, a w samej treści pisma rodzimych idei ożywczych — bardzo niewiele.

Wina leży, jak powiedziano, w duchowej apatyi społeczeństwa wobec naszego ruchu oświatowego, a na Redakcye spada jedynie wtedy, jeżeli nie dość usilne czyni zabiegi dla zainteresowania wszystkich umysłów dla sprawy wspólnej. Zarzuty takie spotykamy często w prasie codziennej, która z racyi, że większość znaczna pracowników T. S. L. należy do pewnej grupy politycznej, podejrzywa Zarząd Główny a więc i jego organ o usługi dla jednego stronnictwa. Przeglądając skrupulatnie dotychczasowe zeszyty „Miesięcznika“. nie spotykamy nigdzie ani uchwał Zarządu Głównego ani artykułów redakcyjnych, któreby świadczyły o jakiejkolwiek stronniczości i zarzut powyższy, jeśli istotnie oświetla rodzaj roboty T. S. L., zwłaszcza na wschodzie Galicyi — tu nie ma uzasadnienia. Że w sprawach najczystszej nawet teoryi odzwierciedlić się może pewien kierunek programowy piszącego, jest rzeczą zrozumiałą i zupełnie naturalną. Z chwilą jednak, gdyby organ Zarządu Głównego chciał się zgodzić na jakiekolwiek przywileje lub metodę partyjną na koncesyę dla pewnego stronnictwa, staje się dla szczerej idei oświatowej nieużytecznym a nawet szkodliwym.

Artykuły treści informacyjnej, jak pouczenia o zestawieniu sprawozdań z działalności Kół lub treściwe notatki o stanie akcyi oświatowej pozapolskiej, stanowią bardzo użyteczny, stały materyał „Miesięcznika“. *Mutatis muntandis* tematy do pogadanek, ukazujące się w każdym zeszycie, mogą znaleść aprobatę i oddać wielkie usługi prelegentom; zwłaszcza opracowania Dra Jannellego odznaczają się wielką sumiennością, dochodzącą nieraz do przeładowania szczegółami drugorzędnej wagi. Nie należy jednak zapominać, że są one tylko surowym materyałem dla prelegenta, który nie wszystko musi powiedzieć, ale wiele powinien wiedzieć! Tematy p. Bartosza same przez się niezmiernie suche i realne wymagają ożywienia pewną ideą, której w sposobie przedstawienia materyału niestety nie dostrzegamy. Na oprowadzanie dzieci po kościele Maryackim metodą p. Stępowskiej nie mógłbym się zgodzić, bez odrzucenia ogromnego balastu zgoła dziecku zbytecznych wiadomości i wywodów. Nie są one dostosowane do przeciętnej inteligencyi naszej dziatwy szkolnej a pod względem dydaktycznym nie dość sprytnie zaspakajają pierwszą ciekawość i nie zawsze szczęśliwie kierują uwagą słuchacza: zapewne wcale pożyteczne zebranie wiadomości dla przewodnika, ale nie wskazówka dydaktyczna.

Ważne zadanie dla podziału pracy oświatowej w kraju spełniają monografie powiatów galicyjskich pod względem stanu oświaty i szkolnictwa w stosunku do zaludnienia i narodowości. Szczególnie wielostronny obraz nowosądeczyzny zebrany w cyfrach i uwagach daje prof. Leonhard w zeszycie wrześniowym, tworząc zarazem typ dla dalszych prób, podejmowanych w celu ujęcia całego kraju w podobne zestawienia graficzno-statystyczne.

Zupełnie odrębny a nadzwyczaj ważny dział stanowi przegląd krytyczny literatury ze szczególnem zastosowaniem do potrzeb oświatowych i bibliotek normalnych T. S. L. Obok ocen sumiennych spotykamy pobieżne i opierające swą opinię na dorywczym sądzie czytającego. Dział ten jednak pogłębia się

z każdym zeszytem a przy bardziej równomiernem traktowaniu wszystkich działów np. na korzyść przyrody i nauk społecznych stanie się podstawą do tak upragnionego, rozumowanego katalogu książkowego.

Niezaprzeczenie już dziś świadczy „Miesięcznik“, jak głęboko Towarzystwo Szkoły Ludowej zapuściło swe korzenie w społeczeństwie i w pracy oświatowej; ma on też warunki zatrzymania monopolu pisma oświatowego na ziemiach polskich na znaczny okres czasu. Obecnie trzeba zwiększenia zainteresowania u ogółu społeczeństwa, trzeba zorganizowania garstki tęgich współpracowników, rozszerzenia w razie wzrostu materyału ram pisma, z uwzględnieniem istotnych potrzeb i postulatów — a wówczas pismo odpowie w całości swemu zadaniu. *(ro).*

Myśl Niepodległa. Warszawa. Pierwsze cztery dekady. — Na zachwaszczonem obskurantyzmem polu polskiego życia społecznego stanęła kilka tygodni temu nowa placówka postępu i racyonalizmu myślowego. Wzorem Zachodu, który posiada całe szeregi wydawnictw peryodycznych, szerzących zasady wolnomyślne i rozpraszających mroki głęboko jeszcze zakorzenionych przesądów średniowiecznych i wierzeń, wyciskających swe piętno niszczycielskie na wszystkich objawach pracy ludzkiej, wzorem tego Zachodu, którego bilans niezmiernie bogato i poważnie się przedstawia w zaraniu XX. wieku, gdy chodzi o wyniki propagandy racyonalistycznej i praktycznej działalności antiklerykalnej, powstało obecnie i w Warszawie wydawnictwo peryodyczne w celach wyłącznie propagandystyczno-wolnomyślicielskich; a ludzie dokoła niego zgrupowani ruszyli do walki z obskurantyzmem kulturalnym, którego reakcya broni dziś zażarcie. W „Ideach kierowniczych“, artykule naczelnym, będącym poniekąd credem pisma, redakcya reasumuje zadania i cele ludzi myśli niepodległej. Przypomina ona ogółowi naszemu, zapędzonemu do parafii archeologicznego patryotyzmu, że istnieją dwie polskie tradycye, a nie jedna, dwie przez cztery wieki z różnem powodzeniem zwalczające się nawzajem, jedna tradycya: Polski jezuitów, Polski modlącej się, Polski paczącej klerykalizmem wszelkie wysiłki oświaty, Polski stanowej, Polski uciemiężającej lud siermiężny, Polski targowiczańskiej, która się sama wrogom zaprzedała, potem weszła z nimi w stosunek ugody i dziś wszelkiemi siłami gasi każdy płomyk szerzej pojętej wolności, a pastorałem utajonego w Piusie X króla polskiego zapędza nasze dzieci z powrotem do szkoły rosyjskiej i dyfamuje nas wobec Europy posądzeniem o rzezie żydowskie, która to tradycya o tyle była polską, że jak pijawka z niej krew ssała — druga tradycya: Polski niedowiarczej i dlatego właśnie światłej, Polski wielkich uczonych, wielkich bohaterów, wielkich ofiarników, Polski protestującej przeciwko wszelkiemu uciskowi zewnętrznemu i wewnętrznemu. Opierając się o stary mur polskiej myśli niepodległej, sięgającej „Koperników wyklinanych, Rejów-nowinkarzy, Kochanowskich-humanistów, Kołłątajów-reformatorów, legionistów-wolnomyślicieli, Dąbrowskich-masonów, Śniadeckich-postępowców, Lelewelów-socyalistów itd. itd.“ — o ten czterowiekowy mur polskiej myśli niepodległej, „poszczerbiony walkami, zbryzgany krwią palonych heretyków, zawalony ciałami bojowników wolności, zarzucony stosami konfiskowanych książek“, obracają bojownicy myśli niepodległej oczy w przyszłość, „apelując do niej po sąd ostateczny, a nieubłagany“. — Wytycznej, którą jasno widzimy nakreśloną we wstępnym i zasadniczym artykule, niestety nie zawsze spotykamy już

z równą jasnością w innych pracach, które się ukazały w dalszych trzech numerach pisma. Jeżeli w kilku pracach p. Jabłczyńskiego widzimy wciąż jednakowy zapał i jasne zrozumienie sprawy i postawionych sobie zadań, to w innych natomiast artykułach, nie wyłączając artykułów p. Niemojewskiego jest wiele rzeczy bladych, małoznaczących, niedostatecznie przystosowanych do charakteru ogólnego pisma i mijających się przeto z celem, osiągnięcie którego postawiono sobie za zadanie, a mianowicie „wyhodowanie typu ludzi myśli niepodległej“ i „uczynienie tego typu panującym“. Dla osiągnięcia tego celu uważamy, że wogóle przydałoby się więcej nieco praktycznych wniosków, nasuwających się logicznie z haseł programowych, które tak jasno wypowiedziane zostały na czele pierwszego numeru w „Ideach kierowniczych“, trochę więcej praktycznego kierowania ludźmi, na których się ma oddziaływać, trochę więcej wskazówek, w jaki sposób mają postępować w życiu powszedniem, jeżeli chcą być naprawdę ludźmi niepodległej myśli. Dzisiejszy kierunek pisma przypomina nam bardziej spokojny organ niemieckich freidenkerów: „Das freie Wort“, aniżeli zawsze walczące, zawsze gorąco budzące w innych chęć do walki paryskie „Raison“ i „Action“, które też osiągnęły bez porównania większe faktyczne rezultaty, aniżeli pokrewne organa niemieckie. U nas szerokie masy, zarówno oświecone, jak i półoświecone i tak na skutek długoletniego ucisku politycznego są skłonne do oddawania się z zapałem frazeologii pseudofilozoficznej, nie zobowiązującej zresztą do żadnego czynu, i właśnie dlatego pismo wolnomyślne, powstające w Polsce, powinno podwójny kłaść nacisk na to, że jeżeli każda myśl jasna powinna zrodzić słowo, to znowu każde słowo mądre powinno zrodzić czyn.

Jedna jeszcze uwaga. Nowe pismo postawiło sobie między innemi za cel zwalczanie w Polsce obskurantyzmu politycznego, z drugiej zaś strony ogłosiło zupełną swoją bezpartyjność polityczną. Wobec tego, że P. P. S. w żadnym razie nie można uważać za partyę obskurantyzmu kulturalnego, a znowu polemizowanie z jakąś rewolucyjną partyą polityczną o hasła polityczne wobec zapowiedzianej bezpartyjności jest nie na miejscu, uważamy tedy wycieczki w stronę P. P. S., wycieczki głównie ujawnione w dziale sprawozdań książkowych, co najmniej za nader nietaktowne. *M. S.*

Uwaga. Umieszczamy powyższy głos szan. naszego współpracownika, aby zaznaczyć pojawienie się nowego organu myśli i zachęcić do poznawania go. Nasza krytyka idzie jednak dalej, niż pana M. S. i sięga podstawowych założeń „Myśli niepodległej“. Do zasadniczego traktowania tej sprawy przystąpimy w jednym z najbliższych numerów. *Red.*

B) Prasa obca.

Literaturno-naukowyj Wistnyk (ks. VI, VII, VIII). Najstarszy z teraźniejszych i największy organ literacki Ukraińców: *Lit.-nauk. Wistnyk* pogniewał się z prawdziwą, godną poezyą. Od czasu do czasu przyleci doń dziwną drogą jakaś zabłąkana ptaszyna — i znowu długie do przesady nudne gadulstwo J. Radeckiego, Ch. Ałczewskiej, D. Josyfowicza i t. p. Najwyższy czas, by zrozumieć, że kultury artystycznej i głębokich szczerych uczuć ni może zastąpić żaden n. p., łachman pseudo-patryotyczny. Poezya społeczna mu być przedewszystkiem poezyą! Musi drgać w niej dusza czująca twórcy, ta przynajmniej jak we wierszu P. Karmańskiego: „Pod dębem Tassa“ (ks. VI) — w owym dobrym wierszu, który więcej jak rok przebyć musi

w ciężkiej redakcyjnej niewoli *Wistnyka*. Świeża fala poezyi swobodnej, nieskrępowanej żadnym dogmatem — już płynie i rozlewa się po niwach ukraińskich. W. VIII ks. *Wistnyka* znajdujemy nieznane dotychczas zakończenie Iwana Husa (poem. T. Szewczenki), przedrukowe z czerwcowego zeszytu rosyjskiego miesięcznika: *Byłoje*. Z zamieszczonych oryginalnych opowiadań i nowel odznacza się niezbyt zresztą ciekawa rzecz O. Iwanczuka: „Z drogi życia". Drga w niej dość subtelnie bezpośrednia szczerość. Gorsze wrażenie sprawia: „Na pobojowisku życia" Artyma Chomyka. Kompozycya — słaba, wniknięcie w rzecz — płytkie, docinki — stare, cynizm — ordynarny. Cenię w szkicu Chomyka chęć wyszukania świeżego tonu, pewien nawet rozpęd w tym kierunku, ale chciałbym odnaleść w tem ciepłą krew, zamiast pretensyonalnej sofisteryi. Można pluć i syczeć, i śmiać się, lecz trzeba mieć uśmiech szatana. Śmiech Chomyka — papierowy. Spokojnie przeczytać można szkic Hanyna: „Armia zbawienia". Zaznaczyć jednak trzeba, że „Marzenia babuni" H. Barwinok nadają się raczej do popularnych wydawnictw ludowych. N. Kybalczycz pisze zwykle lepsze rzeczy, niż jej opowieść: „Na chutorze". Nawet takie szkice — trzeba pisać starannie. Żywo natomiast i barwnie opisuje M. Sadowski swe: „Wspomnienia z wojny rosyjsko-tureckiej". W VII ks. *Wistnyka* rozpoczyna się też dramat Chotkiewicza: „Łycholitie" (Ciężkie czasy), kronika z początku XX wieku. Tło — rewolucya w południowej Rosyi. Ton — godny, chociaż czasem melodramatyczny. Pierwszy akt — jakby echo „Warszawianki". Obszerniejsze sprawozdanie podać będzie trzeba, gdy ten ciekawy dramat skończy się w dalszych zeszytach *Wistnyka*. Poza tem w dziale belletrystyki dość przekładów (Tołstoj, Ibsen (wiersze), Goethe, Milton, Pirandello i t. d.). Znacznie lepiej przedstawia się dział naukowo-publicystyczny. Niezmordowany prof. Hruszewski podaje sprawozdania z chwili obecnej na terenie rosyjskiej Ukrainy, Iwan Franko obok szkicu o społeczno-politycznych poglądach M. Drahomanowa, portretuje szeroko „Starą Ruś" w okresie lat pięćdziesiątych ub. stulecia (na podstawie nowo zebranych materyałów, jakie zgłosił prof. Studyński), M. Hawryliw referuje „o nerwach i o duszy", prof. Dniestrzański, Franko i Łoziński podają projekty przyszłych prac statystycznych, Iw. Petruszewicz zaznajamia nas ze szkołą ludową w Anglii, a Łoziński obok artykułów informacyjnych „Z austryackiej Ukrainy" referuje dalej o stanowisku polskich i rosyjskich socyalistów względem kwestyi ukraińskiej. Nadto przekłady — (list otwarty Boborykina, Wyzworenie z podziemnego świata — dr Landau). Dział sprawozdań i recenzyi — dość obfity. Widoczna w tym względzie zmiana ku lepszemu. Niestety zauważyć tutaj można wielką dozę nieuwagi, nawet kaprysu. Pominąwszy bowiem ton i sposób krytyki, zważyć by trzeba, że źle jest n. p. mówić o książce pięknych wierszy Karmańskiego, iż jej autor „nawet marzeniem nie waży się sięgnąć" w sferę erotyki, gdyż prawie połowa wierszy Karmańskiego dojrzała pod słońcem erotyzmu i z tegoż przeważnie źródła wypływa smutek autora. Najważniejszą część uwag wypowiedzianych w VII. zesz. *Wistnyka* pod adresem innej książki wierszy („W takie chwile") odwołano w VIII. zesz. *Wistnyka*. Itd. Z referatów o obcem piśmiennictwie znajdujemy w VI. ks. krótki, lecz staranny artykuł M. Moczulskiego: „Nad mogiłą Ibsena". Życzyć by sobie należało, aby w następnych numerach *Wistnyka* odżyło piękno w poezyi i beletrystyce (gdyż nie obce ono piśmiennictwu ukraińskiemu), by weszły do

tego przekłady nowszych twórców współczesnych bez obawy o kierunek ich twórczości i by dział krytyczny nabrał bezwzględnej, szczerej, ale godnej, sprawiedliwej, chociaż surowej siły. Wszystko to możliwe, — trzeba tylko chcieć.

(*O. Ł.*)

L'Ermitage 15 sierpnia. Parę wycinków z uwag poety Jana Moréas'a o Ronsard'zie, rzekłbyś na marginesie kreślonych:

...Ronsard jest wynalazcą nowych rytmów i form strofy poetyckiej; jest on wynalazcą w jedynem ważkiem znaczeniu tego słowa, albowiem w kształt tchnął ducha.

..Ronsard, kiedy trzeba, potrafi podnieść ton, a ton — to poezya cała...

...Ton — to główne sygnum wielkich poetów. Taki Racine posiadał ton i resztę. Dzięki tonowi tylko Ronsard i Corneille są geniuszami. Pierwszy mimo brak smaku, posunięty czasem aż do barbarzyństwa; drugi, mimo stylu swego często niepoprawny, mimo niedorzeczności (absurdités), jakie się trafiają pośród nawet najpiękniejszych jego koncepcyj...

Nakoniec zanotować warto „butadę" Moréas'a: ...On dit des sottises sur toute chose. Mais il n'y a point de sottises, il n'y a que des sots... Przytaczam to na uciechę i pocieszenie Zoïlów.

W tymże zeszycie — fragment z „Croquignole" Karola Ludwika Philippe. Życie tu obserwowane „od wewnątrz"; i widzi się, jakie ono skomplikowane, wtedy nawet, kiedy się zgoła niezłożonem wydaje. Skromne bohaterki, korni bohaterowie mają u Philippe'a, na podobieństwo owych zegarów o oszklonych ściankach, mechanizm swój widomy, mechanizm umysłowy i uczuciowy razem. — Jak on im dusze na nice wywraca!

Do plejady: „poetae minores", obok Verlaine'a, Samain'a, Laforgue'a należy Jan Dominique. O nim nam mówi p. F. de Miomandre i usiłuje wykazać melodyjność słowa poety, czułą i harmonijną jego melancholię, wykwintny smutek i żarliwość ukochania, które się po dziele jego snują. Sentymenty Dominique'a powleka „wstydliwa biel idealizmu", i płoną one w ciszy poprzez wszystkie jego poezye: „l'Ombre des Roses, la Gaule Blanche, l'Anémone des Mers.

Ciekawym przyczynkiem do psychologii Włoch XVIII stulecia są Pamiętniki Casanovy (Jacques Casanova de Seingalt), których wyjątki drukuje p. Oktawiusz Uzanne. Grzech, błąd, występek, przysypane pudrem, wonne ambrą — zdają się być apanażem wielkopańskim. Kazirodztwo jest jakoby uśmiechem miłości.

Revue 1 października. Przyczynkiem także do tej samej kwestyi służyć może artykuł H. de Gallier (La courtoisie et le savoir — vivre au XVIII siècle). Noblessa francuzka w owej epoce: panowie i panie, zabawia się jak tragarze z hall paryskich, spija jak sztabs-kapitan rojsyjski, szuleruje, kradnie, obżera, łże, szkaluje. Autor obala legendę ugrzecznienia i uprzejmości dworskiej i ukazuje obok zepsucia obyczajów, ordynarność i niski poziom zwyczajów „klas wyższych" owoczesnych.

D'Estournelles de Constant, znany pacyfista, zdaje sprawę z usiłowań w celu ograniczenia uzbrojeń. Oczywista, iż idea „ograniczenia" jest etapem na drodze do rozbrojenia ogólnego: — Polubowne rostrząsanie

spraw i zatargów międzynarodowych, jako ideał i cel — zyskują coraz więcej zwolenników, i to nie między myślicielami i marzycielami li tylko, ale wśród mężów stanu. Od utworzenia Trybunału Pokoju w Hadze (w r. 1899) ileż tryumfów „idei pokoju"! Konflikty: z r. 1902 (dzięki interwencyi prezydenta Roosevelt'a), później z r. 1904 między flotami Rosyi i Anglii nowa jurysdykcya zażegnała, konferencya w Alheciras także jest następstwem poprzednich układów pokojowych (arbitrażów). Co zaś się tyczy tymczasowego paliatywu ograniczenia uzbrojeń lub rozbrojenia cząstkowego, myśl ta zyskuje coraz to więcej partyzantów w rządzących sferach. I tak: minister angielski Chamberlain w r. 1903 wyraził tendencye swe ku rozbrojeniu, lord Lansdowne (w r. 1906) uważał sytuacyę militarną ekonomicznie i politycznie za „nie do zniesienia" (intolérable); sir Campbell Bannerman, Tittoni, Brunialti, Messimy — znani politycy, zaznaczają przekonania swe w tymże samym kierunku. Jeżeli Francya oficyalnie nie wypowiedziała się w sposób równie stanowczy, jak Rosya, Anglia lub Włochy — przyczyną tego jest zachowanie się Niemiec i kwestya Alzacyi i Lotaryngii, która dla wielu pozostaje zawsze w zawieszeniu.

Tamże — M. Daubresse traktuje teoryę Muzykoterapii i przytacza w licznych nader przykładach jej skutki w cierpieniach nerwowych i umysłowych.

P. Mikulski z okazyi książki H. Waleckiego obznajmia z nowemi tendencyami P. P. S.

Revue Socialiste prowadzi ankietę w sprawie prawa głosowania kobiet. Edward Vaillant, Jan Allemane, Keir Hardie, Enrico Ferri są stronnikami wotowania niewieściego, bez zastrzeżeń, nawet w tym razie, gdyby ono za skutek mieć miało zwrot wsteczny. Edward Bernstein mniema, że kobieta-robotnica jest indyferentką dotychczas w rzeczach politycznych; ale głosowanie powszechne zmieni ją i uformuje jej umysł polityczny.

Aleks. Seauret daje główne rysy charakterystyki wychodźców w St. Zjednoczonych. Rodziny niemieckie w drugiej generacyi stają się Amerykanami; Irlandczyk nienawidzi Niemca, z racyi jego pracowitości i braku wymogów. Dla rdzennego Amerykanina Francuz jest istotą „o lekkiej głowie"; tem niemniej bardziej jest on poszukiwanym, niż inni obcokrajowcy dla swych zdolności i zręczności. *Jan Topass.*

Neue Rundschau. Wrzesień. Zajmujące studyum Willy Hellpacha p. t. „Historische Hysterie". Autor mówi o tym objawie masowej histeryi, która epidemicznie zjawia się w pewnych epokach dziejowych i ogarniając pod wpływem specyalnie sprzyjających warunków masy ludowe, piętnuje ich psychikę chorobliwemi znamionami. Jedną taką epoką dziejową było średniowiecze, druga zdaniem p. H. jest nam znów współczesna. Rodzaj histeryi, którą autor obrał za przedmiot swej rozprawy, jest to ten ogólnie znany przez świat naukowy objaw chorej duszy ludzkiej, który polega na dysproporcyi między ważnością jakiegoś zjawiska a sposobem w jaki je odczuwa jednostka dotknięta — z jednej strony, a z drugiej znów między wielkością tego własnego uczucia a jego objawem. Wszelkimi innymi mało jeszcze zbadanymi i zdefiniowanymi podgatunkami histeryi, zjawiającymi się raczej sporadycznie niż masowo, autor nie zajmuje się wcale. Jakież tło przedstawiało średniowiecze, że się na nim wytworzyć mogła histerya? Cha-

rakterystycznem dla owej epoki było absolutne panowanie nieskrępowanej niczem wyobraźni nad słabo jeszcze rozwiniętym intelektem. Nie będąc jeszcze przez to samo histeryczną średniowieczna psyche, (gdy się ją porównywa z psychicznie anormalnymi stanami), była ona wszakże bez najmniejszej wątpliwości bardzo bliską przejścia do histeryi typowej. Rozwój średniowiecza powoli zatarł tę różnicę — podłoże do histeryi stało się typową histeryą. Miasta się powiększały i upiększały, wytwory obcych krajów działając na rozbudzoną i tak już wyobraźnię, wtargnęły na zamknięte dotychczas rynki, więź społeczna się skomplikowała. Z tego powszechnego podniecenia wrażliwości tłumów skorzystał kościół, działając teraz swymi obrzędami jeszcze głębiej na niezwykle przeczuloną teraz wyobraźnię. Z drugiej wszakże strony religia a z nią kościół, zaczęły mniej teraz miejsca zajmować w życiu bardziej bogatem i bardziej urozmaiconem swych wiernych. Dlatego też kościół starał się teraz wszelkiemi groźbami nawoływać masy do pokuty. Na przewrażliwionej psychice średniowiecznej groźby takie musiały się odbić w sposób straszliwy. Strach, strach graniczący z szaleństwem ogarniać zaczął duszę ludu i coraz szerzej roztaczał swe czarne skrzydła nad całą psyche średniowieczną. Zrodziła się histerya. Reforma, odrywając duszę ludzką od związku z innemi duszami, rugując świętych z kościoła i niszcząc w ten sposób pozaświatową drabinę hierarchiczną pośrednictwa między zwykłym grzesznikiem a najwyższą Istotą, rzucając tę duszę wprost przed oblicze Boga, powiększyła jeszcze ze straszniejszą mocą epidemiczną histeryzacyę. Z tego nowego przypływu fluidu histeryi korzysta Lopez, rycerz hiszpański i, ujmując ją w pewne stałe normy, tworzy z niej z korzyścią dla kościoła całą niemal pedagogikę histeryczną. „Wicher, który już raz nawiedził kraje nasze — powiada Hellpach — i posiał histeryę masową, z innej dzisiaj zadął strony. To nie był już gorący i duszny sirocco fantastyki religijnej, lecz lodowaty wiatr północy... Z przepełnionych pracą i potem ludzkim warsztatów fabrycznych wieje ku nam dzisiaj histerya. Robotnik o nierozwiniętym intelekcie, o łatwowiernej a zawsze w silnych afektach poruszającej się duszy, był materyałem predestynowanym do histeryi. Rozwój praw politycznych, nadanych mu bez jego walki, prawodawstwo socyalne bez świadomego w nim udziału, wreszcie marksizm, częstokroć bardzo naiwnie zrozumiany jako jakiś fantastyczny raj, co mu ma przypaść w udziale bez wielkich wysiłków — wszystko to się przyczyniło do powiększenia wyobraźni w chorobliwy zupełnie sposób. Potrzebnem było tylko zjawienie się jakiegoś jednego czynnika, ażeby w nieuświadomionym robotniku zaszczepić zarodek prawdziwej choroby. Czynnikiem tym, tak samo jak w średniowieczu był strach. Poraz pierwszy zjawił się w duszy robotnika, jako strach przed wypadkiem. Asekuracya od wypadków, jakby sankcyonując te ostatnie, nadając im cechę regularnie powtarzającego się zjawiska, mogła tylko wpłynąć na spotęgowanie go. Ale nie tylko strach przed wypadkiem istnieje w duszy proletaryusza; troska o jutro, strach przed utratą pracy, zniechęcenie do ciężkiego a znojnego zawodu i marzenie o odpoczynku — oto nowe podłoża dla zdenerwowania w sensie psycho-patologicznym duszy najmitów. Z istnienia prawa do odszkodowania w razie choroby lub zużycia sił, z nadmiernego upragnienia tego właśnie odszkodowania, wytwarza się to, co autor nazywa Rentenhysterie. Tak samo więc jak w średnich wiekach shisteryzowana dusza wierzącego chrześcijanina pragnęła zbawienia i królestwa niebieskiego po śmierci, tak samo dzisiaj robotnik wynędzniały długoletnią troską, pragnie jak szczęścia najwyższego wy-

zwolenia z pracy gnębiącej go i widzi je często jedynie w nędznej nad wyraz rencie państwowej. Stowarzyszenia robotnicze, pracując nad uświadomieniem robotnika, stawiając jakieś konkretne cele dla jego dążeń i walk, rozwijając jego umysł, gnębiony przez długie lata kosztem wybujałej wyobraźni, przeciwdziałają temu ze wszystkich sił, ale niestety jeszcze z niewielkim rezultatem.

ms.

„Die Neue Zeit“ (6 paźdz.). Na uwagę zasługuje ciekawy artykuł H. Cunowa. „Francuska prasa w pierwszych latach wielkiej rewolucyi“. Artykuł jest właściwie streszczeniem obszerniejszej pracy, którą autor umieści zapewne w jakiemś specyalnem historycznem czasopiśmie. Kto lubi wyszukiwanie podobieństw pomiędzy dzisiejszą rewolucyą w Rosyi a Wielką rewolucyą francuską, dla tego specyalnie artykuł ten będzie zajmującym. Od chwili wybuchu ruchu rewolucyjnego w Rosyi aż do dnia dzisiejszego, jesteśmy świadkami prawdziwej gorączki wydawniczej, wywołanej ogromnym popytem na dzienniki, szczególnie politycznej treści. Niema prawie tygodnia, żeby w Rosyi rdzennej, lub w której z zabranych prowincyi nie powstało nowe pismo, dziennik czy tygodnik. Nie pomagają najsroższe zarządzenia cenzury, kary więzienne i pieniężne i zawieszanie wydawnictw: na miejscu zawieszonych jak grzyby po deszczu powstają nowe dzienniki lub dawne pod nowymi tytułami. Otóż ten sam proces, te same zjawiska miały miejsce w pierwszych latach Wielkiej rewolucyi. W samym Paryżu w pierwsze dwa lata rewolucyi powstało z górą 300 czasopism! Prawda, że wśród nich sporo było ulotnych pisemek, efemeryd, które w kilka tygodni już swój żywot kończyły — to samo widzimy u nas i w Rosyi — lecz były i takie, co długie lata przetrwały, rosnąc w powagę i... abonentów.

Cenzura podczas Wielkiej rewolucyi również nie była łaskawą, jak pokazują losy jednego z pierwszych nowych dzienników p. t. „Etats Generaux“, założonego przez Mirabeau. Już drugi numer gazety, która ośmieliła się ostro krytykować posiedzenia „Stanów“, ściągnął gromy na pismo i spowodował zamknięcie. Lecz dziś powszechnie używany wykręt znał już Mirabeau: oto zmienił poprostu nagłówek i wkrótce wydał inne pismo p. t. „Listy Mirabeau do wyborców“. O tyle więc historya się powtarza!

Prócz omówionego powyżej artykułu, tak w „Neue Zeit“ jak „Socialistische Monatshefte“ i inne pisma niemieckiej socyaldemokracyi zapełnione są w ostatnich czasach artykułami, omawiającymi zjazd w Mannheim i kongres włoskich socyalistów w Rzymie. O tym ostatnim pisze w „Neue Zeit“ Oda-Olberg. Najpierw jednak warto zająć się zjazdem niemieckiej socyalnej demokracyi w Mannheim, zjazdem, na którym roztrząsano sprawy zasadniczego znaczenia. Zjazd odbył się w ostatnich dniach września, w obecności około 7 tysięcy osób, a poprzedzony był również artykułami polemicznymi na temat zagadnień, mających stanowić porządek dzienny zjazdu. Do najważniejszych z tych tematów należały: sprawa strajku generalnego, partya i związki zawodowe, sprawy oświatowe, organizacye młodzieży itd.

Zjazd otworzył Bebel mową, w której dał przegląd wydarzeń ubiegłego roku i stosunku partyi do nich, później nastąpiło sprawozdanie zarządu, dowodzące pomyślnego rozwoju partyi; sprawozdanie to pełne cyfr pominiemy. Wreszcie w trzecim dniu zjazdu nadeszła najważniejsza jego chwila — obrady nad sprawą strajku generalnego.

Jak wiadomo, już przeszłoroczny zjazd w Jenie zajmował się tą kwestyą i uchwalił rezolucyę, która zasadniczo uznawała strajk masowy za broń w arsenale proletaryatu. Otóż zaraz musimy zaznaczyć, że mowa Bebla, który był referentem do powyższego punktu rozpraw, oznacza do pewnego stopnia zwrot przeciwny rezolucyi, zapadłej w Jenie, chociaż Bebel starał się to możliwie upozorować. Oto wyjątki z jego mowy: „Poprostu niepodobna pomyśleć nawet o przeprowadzeniu strajku masowego wtedy, gdy w masach niema dla niego ogólnego nastroju. A nastroju do masowego strajkowania nie można sztucznie wytworzyć“. Otóż Bebel, zastosowując te uwagi do obecnej sytuacyi w Niemczech i specyalnie w Prusach, gdzie idzie o wywalczenie reform wyborczych, uważa, że sytuacya ta stanowczo nie pozwala na urządzenie strajku masowego, że akcya taka „byłaby czemś bezmyślnem i skończyłaby się zupełną klęską“. Chociaż w różnych przemówieniach Bebel starał się złagodzić wrażenie powyższych słów, pozostaną one jednak ciekawym dokumentem i mogą się stać powodem nowych zatargów partyjnych, które na zjeździe w Mannheim dzięki taktowi przywódców zostały na razie zażegnane. Z innych punktów obrad najpoważniejszym był: sprawy oświatowe i organizowanie młodzieży. Długo sprawa oświatowa traktowaną była przez socyalną demokracyę po macoszemu, schodząc na ostatni plan wobec spraw politycznych. Zjazd w Mannheim będzie chwilą pod tym względem przełomową. Referaty (p. Zetkinowej i p. Zafpler) omawiające te sprawy, wywarły głębokie wrażenie i wszczepiły przekonanie, że partya musi się wziąć do pracy oświatowej systematycznej.

Artykuł Ody Olberg, omawiający kongres włoskich socyalistów w Rzymie jest z tego względu ciekawy, że przedstawia tam prądy, jakie obecnie nurtują włoską partyę.

Już od dość dawnego czasu włoscy socyaliści dzielili się na lewicę t. zw. rewolucyonistów i prawicę, przezywaną reformistami. Przed kongresem antagonizm między temi dwoma odłamami zaostrzył się z powodu kilku nietaktownych postępków ze strony reformistów. Oto np. stowarzyszenie „Umanitaria“ w Medyolanie, znajdujące się w ich rękach, asygnowało sporą sumę na przyjęcie pary królewskiej — krok ze strony socyalistów bądź co bądź niekonsekwentny. Inny wypadek mniej był ważny, choć też był powodem zarzutów a zasadzał się na tem, że jeden z przywódców reformistów, znający osobiście króla, podszedł do niego na promenadzie w Genui i długo po przyjacielsku spacerował. Trudno się zgodzić na zdanie, że fakty te charakteryzują ogół reformistów, były one przecież na kongresie przedmiotem ostrych starć. Pomiędzy reformistami i rewolucyonistami stoją t. zw. integraliści z Mozgarim na czele, pragnący zgody i jedności w partyi. Nie koniec jednak na tem! Są jeszcze t. zw. syndykaliści, prościej mówiąc, przywódcy związków zawodowych, którzy stanęli w skrajnej lewicy, niechcą uznawać żadnych sojuszów z partyami demokratycznemi i działalności frakcyi parlamentarnej i cały ruch chcą widzieć opartym na ekonomicznej organizacyi, syndykacie czyli związku zawodowym, którego główną bronią — strajk generalny.

Takie prądy były we włoskiej socyalnej demokracyi przed kongresem. Dziś wyniki obrad kongresu rzymskiego są już wiadome: integraliści wraz z reformistami wzięli górę a najbardziej dostało się syndykalistom.

Stanisław Kraus.

Z prasy rosyjskiej. Reakcya, jaka obecnie zapanowała w Rosyi, pragnie twardą ręką stłumić ruch wolnościowy i zatamować wszelkie szersze przejawy życia społecznego. Więc dezorganizuje związki, zabrania w granicach państwa Zjazdu partyi KD, którą trudno posądzić o radykalizm polityczny, ogranicza autonomię uniwersytetów, zawiesza i konfiskuje pisma (za ostatnie 4 miesiące przeszło 300 procesów prasowych), a objawy walki czynnej tłumi przy pomocy sądów polowych, które codziennie przenoszą liczne wyroki śmierci.

Społeczeństwo pozornie reaguje mało na te gwałty. Możnaby przypuścić, iż zmęczone długą wyczerpującą walką, powoli ulega. Ale powtarzam — to pozory.

Teraz właśnie, z całą rozwagą i wyrachowaniem, jakiego wymaga wielkie dzieło wyzwolenia, przygotowuje się ono do ostatniej walki znienawidzonym ustrojem państwowym, o zdobycze wywalczone krwią i poświęceniem pracującego ludu, nie obawia się wcale; są one już jego własnością, której nie zdoła wydrzeć żadna siła. Zdobycze te są jednak jeszcze zbyt małe w porównaniu do żądań, jakie ma rozwiązać rewolucya rosyjska.

„Ziemi i woli“ pragnie lud rosyjski i na tem uświadomionem pragnieniem ludu buduje swoją przyszłość ruch rewolucyjny.

Nie dziw więc, że jedno z najważniejszych miejsc i w prasie i programach, istniejących obecnie w Rosyi partyj i stronnictw, stale zajmuje kwestya rolna.

Nawet demokracya społeczna, która dotąd, w przeciwieństwie do socyalistów-rewolucyonistów, traktowała sprawę rolną po macoszemu, na ostatnim swoim Zjeździe (była obecna „mniejszość“ i „większość“ społeczno-demokratyczna) poświęciła dużo energii i czasu na możliwie wszechstronne i gruntowne omówienie tego piekącego zagadnienia.

Wypracowano projekt, zwany powszechnie „kompromisowym“, który też przez partyę został przyjęty.

Od tego czasu upłynęło zaledwie parę miesięcy, a już z łona samej partyi zaczynają się podnosić dość liczne głosy niezadowolenia i krytyki.

„Obrazowanije“ (Nr. 8; niezależny organ S. D. K. p. K.) pomieściło jedno z takich krytycznych roztrząsań („Nowy program rolny rosyjskiej społecznej-demokracyi“) P. Rumiancewa, który ze stanowiska naukowego socyalizmu wytyka błędy „kompromisowego“ programu.

Program, dowodzi Rumiancew, tylko jako niezbędna konieczność może i musi pozostać w sile do następnego zjazdu; rychła jednak rewizya wszystkich jego punktów jest sprawą niecierpiącą zwłoki.

Nowy program rolny wraz z innymi punktami partyjnego programu, omówionymi na tym samym zjeździe, został niedawno wydrukowany, ale widocznie nie bardzo przypadł do gustu biurokratom, ponieważ w całym swoim nakładzie został skonfiskowany.

Od konfiskaty zresztą nie są już zabezpieczone żadne wydawnictwa. Literatura agitacyjna na równi z naukową pada ofiarą zachłanności komitetu cenzury.

W ostatnim czasie (wrzesień) dwa bardzo poważne miesięczniki „Żurnał dla wsiech“ Nr. 7 i 8 i „Mir Bożyj“ Nr. 8 znalazły się obok innych licznych wydawnictw na półkach archiwum cenzuralnego.

„Mir Bożyj“ za to, że wydrukował przekład A. Niemojewskiego „Chrystus w Warszawie“ i ciekawą pracę P. Pilskiego „Armia i społeczeństwo“.

Pogrom mandżurski, a potem rewolucya wykazała naocznie całą nicość i nędzę moralną przeciętnego oficera rosyjskiego.

Ci sami, którzy dawniej przodowali innym warstwom społecznym w dążeniu do wyzwolenia politycznego, obecni zajęli możliwie wrogie stanowisko względem ruchu wolnościowego.

Czem to objaśnić? Pilski wskazuje na współczesną organizacyę armii rosyjskiej, stworzoną i przystosowaną umyślnie dla łatwiejszego kaleczenia moralnego i intellektualnego wstępujących do niej jednostek („Pojedynek“ Kuprina). Sztuczna izolacya od ogółu i jego życia, świadome podniecanie najniższych instynktów ludzkich, a przedewszystkiem mały i wprost minimalny, cenzus naukowy, umożliwiający bezkrytyczny stosunek do rozkazów, idących z „góry“ — oto główne przyczyny tego smutnego zjawiska.

Opisując stosunek przełożonych do żołnierzy, Pilski przytacza fakty, wzbudzające ohydę.

Wystarczy wspomnieć o jednym — świadomem, cynicznem rozpijania żołnierzy, które zaczęto teraz stosować na szeroką skalę, aby tylko odwrócić ich myśli od niebezpiecznych teoryj. Co to pomoże? Niech odpowiedzą — Kronsztat, Sewastopol, Sveaborg.

N

Przegląd sztuk plastycznych.

Kraków.

I. S t a r y t e a t r. Prawdziwe dzieło sztuki w nowym stylu. Dzieło monumentalne. I dawno ogół nie wnosił tyle zainteresowania w powstawanie dzieła. Municypalność oddaje mury starego budynku do przeróbki na nowy przybytek, przybytek muzy. Nadto łączy się z tem myśl pozyskania gmachu zewnątrz i wewnątrz pięknego. Łoży się sumę na ten cel. Oddaje budowniczemu, który nie tworzy w urzędowym baroku. Co możliwem było do osiągnięcia pod względem art. w tej architektonicznej przeróbce, to z tych ścian wydobyto. Możemy się cieszyć, żeśmy nie dostali rzeczy szablonowej, patronowej (jak np. szkoły miejskie) — bo u nas i to dużo.

Dekoracyę wnętrza obejmuje młode, żywe kółko malarzy, skupionych około Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej. I znowu wywołuje to dyskusye, za i przeciw, jak wogóle działalność tego Towarzystwa, irytującego wielu już choćby przez samą energię i wiarę w swą tendencyę.

Publiczność nie przeszła obojętnie obok tego dzieła i wnosi swe zbiorowe „uczucie“ dziś po ukończeniu. Będzie ono pomnikiem chwili tem bardziej, bo nie tylko pomnikiem artystów, ale i całego miasta.

Jedno narzuca się naprzód: brak jednolitej inspiracyi. Brak związku, wspólnej podniety twórczej, wspólnego przekonania dekoracyjnego, przewodniego *(Leit-)* motywu zewnątrz. To jest konglomerat. A nie dlatego to mówię, aby potępiał to dzieło. Chodzi o lekcyę z niego na przyszłość. Chodzi zresztą o skonstatowanie rzeczy ogólniejszej. Dekoracya wewnętrzna oparta jest na tematach naszych ludowych. Bardzo dobrze. Ale czy to daje ubikacyom nasz, miejscow

nigdzieindziej niemożliwy charakter? O ile tyczy szczegółków ornamentacyjnych: tak. Ale urządzenie ubikacyj, konstrukcya, stosunek do zadania a przez nie do nas — czy one nie są międzynarodowe? A czy nie one właśnie mają być swojskie, i czy nie one prowadzą do swojskiego stylu? Bezwątpienia muzyka jest w każdym narodzie inną, każdy inaczej ją wykonywa, a szczególnie każdy inaczej jej słucha i inaczej się nią przejmuje. Każdej jednostce ludzkiej odpowiadałaby właściwie inna sala do słuchania muzyki, każdy inaczej potrzebuje przy tem siedzieć, inne mieć światło, z innej strony mieć muzykę itd. I zbiorowo inaczej słucha każda grupa ludzka. I tego wyraz ma dać nasza sala koncertowa. A restauracya? Jeżeli ogół mało jest uświadomiony co do ram potrzebnych mu przy muzyce, to bardzo dobrze zna grubszy odcień w ramach koniecznych mu przy jedzeniu, w sposobach urządzenia stołu i sal jadalnych. Bezsprzecznie ładnem jest dzieło, które w Starym Teatrze otrzymujemy — ale ono nas zmusza do bytowania w niem w sposób nam nie wrodzony, nagina nas do siebie, zamiast trafiać w nasze upodobania. Inaczej wykręciwszy linie ornamentyki możnaby te sale byle gdzie na zachodzie umieścić — i byłyby na miejscu, bo niezaprzeczenie, że ojcem tego dzieła jest styl modern (przetłumaczony: dzisiejszy) a matką: polska sztuka stosowana. Dziecko jest z rysów podobne do matki, ale z charakteru to „wykapany ojciec".

Na jak największe uznanie zasługuje ten pomnik przejściowej sztuki. Jest szczerym utworem ludzi gorąco walczących o jaknajlepszą sztukę, jest szalonym krokiem naprzód w porównaniu do tego, co się działało dotąd, wyrazem dążenia do wydobycia z powijaków sztuki swojej. Ale dopóki my nie mamy swego wybitnego (a w walce z innymi dość mającego racyi bytu, tz. kulturalnego) sposobu życia, własnych wymagań dobrze uświadomionych, naszego sposobu ruszania się itd. słowem własnych potrzeb, — nie możemy mieć własnego stylu. Styl stwarzają potrzeby.

W wykonaniu jest stary teatr dowodem rozwoju przemysłu artystycznego, dowodem, że są siły do przeprowadzenia, zrealizowania najartystyczniejszych przedsięwzięć. Polska sztuka stosowana umiała nietylko wnieść postulat, ale i wykonać go. Z projektów szczególnie interesują sale: restauracyjna mniejsza, sala duża przyległa do koncertowej, gabinet żółty i z kotami przez nastrój barwny; gabinety: z kotami i fryzem figuralnym (postacie znane w Krakowie) przyległa do estradowej, bufet przez fryzy. Wykonanie tych robót wydobyło też na jaw i wyszkoliło talenty artystyczne pośród rzemieślników — czynnik ważny w dalszych pracach tego rodzaju.

Sprawa pewnie wejdzie na jeszcze silniejsze tory wobec zadecydowanego kierownictwa muzeum techniczno-przemysłowego.

II. Wystawy: „Pięciu" i Salonu. Dzisiejsze malarstwo jest na ogół w stadyum końcowem rozwiązywania jednego problemu a w początkowem drugiego. Kończy porać się z problemem barwnej całości zjawiska, obrabiając go na wszelkich możliwych tematach, — zaczyna brać się do teoretycznego optycznego i psychologicznego postawienia swoich zasad.

Ciekawą jest rzeczą obserwować, jak poszczególne zagadnienia malarskie przebiegają kolejno pracownie całego w sztuce udział biorącego świata, przez sugestyę wciągają w zajęcie sobą większość sił; ile eksperymentów na płótnie i dyskusyj to pytanie obrabia, najczęściej bez świadomości ogniwa kulturalnego, jak zostaje wcielone do zasobu zdobyczy i staje się środkiem w rękach wszyst-

kich. Jak np. problem wrażenia całości barwnej zjawiska i obrazu od Maneta narzuca się i nęci pokolenia już malarzy, każdy na własną rękę dorzuca coś do rozwiązania a z tych wysiłków powstaje szczególny obraz tak sympatycznie powtarzający się w historyi kultury: zbiorowego pociągania się naprzód w rozwoju. Takim jest np. początek XV w., kiedy od Massaccia do Leonarda grono artystów przynosi każdy jakieś udoskonalenie umiejętności, cały ich długi szereg, wspólnie budują całość rozwiniętego obrazu renesansowego z czasu rozkwitu.

Dziś jesteśmy świadkami i bierzemy udział w podobnym procesie, pokonaniu pierwszego z wymienionych zadań. Raz po raz występuje nowa jakaś siła, niosąc swe rozwiązanie dla coraz nowych szczegółów; można dziś już oglądać zasoby odpowiedzi, objaśniających większą część dziedziny. Praca ta zużywa przewagę sił pracujących. Toteż wystawy ostatnich u nas, jak i wszędzie okazują ogromną część dzieł wyłącznie oddanych sprawie koloru. Odmienną była wrześniowa wystawa Pięciu, przeważnie wraca do zagadnienia wystawa Salonu. Z wyjątkiem kilku dzieł, mówiących o innych przeżyciach, ogół dąży bez wspólnego programu i spójni, cicho ale uparcie do wyrażenia swego widzenia: do Barwy.

Wszyscy pejzażyści poświęcają przedewszystkiem swe siły temu zadaniu. Kuczborski studyuje widoki wybrzeży szwedzkich, przeprowadza oświetlenie raz słoneczne, raz dnia zasnutego na falach, łodziach, ludziach pracujących nad morzem, budynkach. Ogromna wprawa przy równej wrażliwości oka, aż do wirtuozostwa. Niektóre sztuczki techniczne np. w oświetleniu zachodniem na strojach kobiet, wprost znakomite.

Uziembło rozwija się stale; zdaje się, że dochodzi do własnego pojęcia pejzażu. Tak np. w pejzażu na sali II., niezmiernie ciekawy jest sposób ujęcia rysunku drzew. Na innym jest ze ścisłością przeprowadzone co do barw i walorów światło księżycowe.

Tetmajera: Żniwo ma znów ową gorącą upalność południa i pracy rolnej. Zdaje mi się, że dostrzegam zmianę w technice; prawdopodobnie zapowiedź nowej fazy rozwojowej.

Czajkowski Stan. ujęty bogactwem kwiecia grzędy, poświęca mu swe studya; jednakże gubi się w oddaniu tego sympatycznego ale trudnego rysunkowo materyału.

Kwiatkowski przeprowadza światło raz słoneczne, raz dzienne na polu maków ze wsią w głębi. Szczególnie wiele „powietrza" mają jego pejzaże, tak spostrzega i oddaje działanie oświetlonych pyłów i pary powietrznej na motyw.

Jarockiego Wł. studya huculskie są potężnem streszczaniem barwnem zjawiska. W ostatnich pracach zjawia się pewne stonowanie, wyszukiwanie motywów utopionych w półcieniu, w mroku. Rzeczy w ostatnich czasach wystawione „Hucułka w drzwiach chaty" na tle słonecznego pejzażu, „Chłopak na śniegu", dają nowe, niezmiernej a inteligentnej siły harmonie barwne.

W swej specyalności: słonecznym pejzażu śniegowym dochodzi Filipkiewicz do rzeczywiście nieznanych wyżyn. Przez wykluczenie wszelkich szczegółów, stanowcze skupienie dużych plam barw, ich natężenie aż do czystych tonów, które niemal czystymi farbami oddaje, — osiąga artysta ten taki blask światła, że obrazy jego robią wrażenie własnego świecenia, niezależności od światła sali.

Poza tem poznajemy cały szereg artystów, dających coś innego niż wzrokowe studya.

Buyki fragmenty w Paryżu. Dziwny jest, ten blask biały, poza którym migocą wzniosłe budowle, to oscylowanie plamek, w którem falują tłumy w wyszukanych ruchach. Paryż jest Buyce dziwną świątynią nieznanych cudów, tajemnych przeżyć; tak czemś jasnem jest na jego obrazach przesłonięty.

W czem leży ten nastrój ciszy na pejzażyku Trzcińskiego? I taka łagodność środków.

Hofman jest osobliwym malarzem i ma osobliwy świat duszy. Jest to jedna z tych natur, którym widzenie wewnętrzne zmienia świat otaczający, którzy widzą to, co widzieć pragną i widzą tak, jak im własne asocyacye i nastroje pokazują. Już jego barwy są inne, niż u drugich; nadto zielonkawo i mdło niebieskawo roztacza się przed nim okrąg. I tę niejasność zjawisk przysłania i łączy siatka linij prostych wzajem się tnących, ciemnych, ciężkich. I strasznie mało plastyczne są w koło niego przedmioty i ludzie. Jak te kobiety z tryptyku w Salonie. Cielesne a jakby zgubione w słabem świetle. I w pajęczo cienkich obsłonkach z nich się rozwiewających. Te obsłonki — to czysty Hoffman; tak on widzi. I tak czuje: jego świat, to mistyczne przeżycia. Wszystko się kręci koło pobożności, cnót, walk złego z dobrem. Na wystawie Pięciu był stary dziadek przygrywający świętości, inny: staruszek spowiadający się u konfesyonału martwej, drewnianej figury Chrystusowej. Gdy Hofmann pozbędzie się resztek wpływu Malczewskiego, będzie miał niezmiernie zajmujące rzeczy do powiedzenia.

Malczewski jest ogromnie przekonywujący, gdy nie mówi symbolami. Nastroje żyć bogatych, mięsnych, naturalnych, wypowiadają się w fantazyach półkobiet o ruchach niespotykanych dotąd w malarstwie, półmężczyzn o takich prawdziwych charakterach ciał.

Niezwykłem dziełem dekoracyjnem jest makata małżonków Rychterów. Wrony na śniegu i na gałęziach. Nieskończoność ruchu wśród nich: czochrania się, puszenia, podskakiwania iście wroniego na smutnym pejzażu zimowym. Wytrawna ręka rysownika i równie wytrawna doświadczonej techniczki tworzą dzieło dekoracyjne rzadko spotykanej wartości; powinny za przykładem obcych nabyć je nasze muzea.

Kilka studyów Hirszenberga osób o typach prawie stylizowanej oryentalności z podkreśleniem w całości obrazu tej wschodniości; droga do bardzo ciekawego stylu.

Próbki drzeworytów barwnych Filipkiewicza i Krasnodębskiego. Co za piękna technika! Smakoszostwo.

Lewandowskiego Salome. Odczute i z głębi stworzone dzieło zaciera ślady nawet akademickości roboty gdzieindziej występującej. Jedno to z najlepszych dzieł tego rzeźbiarza. *bol.*

Teatr krakowski.

(*x.*) Po dłuższej przerwie znowu podejmujemy czynność publicznego spowiadania się z wrażeń, dostarczanych przez scenę krakowską i z myśli i idei, jakie ona nasuwa.

Czynność ta dwojaką może się kierować dyrektywą. Oportunizmem

lub bezwzględnem dążeniem do pewnego celu, t. j. artystycznego. Oportunizm na gruncie krakowskim ma bardzo realne uzasadnienie. Jesteśmy małem miastem o wymogach wielkiego. Jesteśmy zepsuci przez kulturę książkową, gdy zrealizowanie jej na deskach teatralnych pociąga za sobą koszta, których pokrywać nie możemy. Jesteśmy wysepką na morzu półanalfabetyzmu, a sztuka jest syntezą tego życia. Stąd potrzeba kompromisów. Cztery premiery wystawia teatr co miesiąc — sposobność więc do zaspakajania gustów wszelakich. Bufet obfity; prosimy: co kto lubi; od czasu do czasu powinna się pojawić także zupa rumfordzka, a i kaszka dla dzieci.

Ale jeśli Kraków powołał do kierownictwa teatru p. Ludwika Solskiego, a nie aferzystę, dał tem samem wyraz drzemiącemu w każdem sercu kulturalnem poczuciu obowiązku wyższego. „Za naszych czasów — mówi Mickiewicz — kiedy wszystko, co jest z ducha, podległo ostatecznemu skażeniu, jedna sztuka tylko zachowuje jeszcze coś duchowego. Ma ona swój urok, swoją tajemniczość, których rozum nie zdołał wytłumaczyć. Dla niektórych ludzi sztuka jest jeszcze jedynym sposobem praktykowania religijności, jakiego trzymać się śmieją“. O praktykowaniu religijności mówi Mickiewicz; bo teatr — tu zaczyna się rola aktora — nie daje widowiska, on każe przeżywać; dlatego wrażenia teatralne są ze wszystkich artystycznych najsilniejsze. A wszelka religijność jest przedewszystkiem uczuciem jedności. Dlatego nie znosi żadnych innych bogów. Miejsca na oportunizm tu nie ma.

A wszystkie te presye i „konieczności“ życia praktycznego?

Ha, mamy od roku w Krakowie teatr ludowy. Ludowy, bo obejmuje proletaryat wszelkich stopni; także intelektualny. Na jego poziomie zejdą się przedmieszczanin, szukający w teatrze miejsca, by ulżyć swym gruczołom łzowym i muszkułom śmiechu, i radca, pragnący w cnotliwości swego serca, by cnota tryumfowała a zbrodnia zasłużoną ponosiła karę. Podobno nawet zupełnie nieźle teatrzyk ten kierowany: mówią tak przynajmniej radcy gazetowi. Religia nie zna kompromisów, ale znają je politycy jej: kapłani. Ci niech owieczki swe prowadzą na pastwisko gminne. Musimy na to patrzeć ze spokojem, choć to demoralizacya publiczna, bo ci, którzy pieczę nad „ludem“ monopolizują, do zrozumienia roli teatru jeszcze nie doszli. Za ważniejsze zaś dla życia polskiego uważamy, by istniał bodaj jeden teatr, odpowiadający swemu przeznaczeniu. Jedna gromadka wiernych może być rozsadnikiem religii sztuki i prowadzić ku szczytom; jeden przybytek, w którym utrzyma się czystość kultu, styl jedności, zdoła promieniować i wytworzyć atmosferę, w której dojrzewają wielkie uczucia i dzieła wielkie. Za wynikający stąd skutek ujemny: dystans między wybranymi a resztą, za tworzenie się dwóch ras umysłowych w społeczeństwie, odpowiedzialni są ci, którzy losy ludu, czyny społeczne dzierżą w swych rękach; my zaś, którzy na straży ducha stoimy, my za wielkość i przyszłość kultu polskiej odpowiadamy. Człowiek wschodni u progu swej świątyni obuwie zostawia; i my musimy strzedz wnętrza naszego praktykowania religijności od brudu i pyłu, zarazem od przekupni i fałszerzy wszelkiego rodzaju.

A jakże rzeczywistość wobec tych wymogów?

Sezon ubiegły był pierwszym nowego kierownictwa, rokiem dyr. Solskiego. Zaznaczył się ten czas kilkoma faktami, które istotnie przynosiły objawienia artystyczne. Były pojedyncze wypadki takiego zestrojenia wszystkich warunków artystycznych, że można mówić o zbliżeniu się do Harmonii. Ale odosobnione to tylko wypadki. Bez spójni, planu i konsekwencyi.

Z trzech czynników, składających się na dobry teatr: repertuaru, reżyseryi i personalu, najwięcej zadawalniał pierwszy. Teatr żył nietylko tem, co dzień przynosił. Nie uronił nic z pięknej spuścizny przeszłości swojej i obcej, utrwalił wielki repertuar polski: na żadnej scenie polskiej nie kwitł tak kult Słowackiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Fredry. Doprowadził też ich przedstawienia nie do doskonałości, ale w wielu wypadkach do wzorowości, a niektóre przedstawienia świeżo wystudyowane („Książę Niezłomny", „Niepoprawni") zostaną w pamięci na długo. Przemawiał też Szekspir, jednem z najpiękniejszych swych dzieł Maeterlinck (P e l l e a s i M e l i s a n d a), a ducha Ibsena uczczono cyklem, któremu wiele można było zarzucić, ale który świadczył o aspiracyach wysokich.

Reżyserya teatru częściej już dawała powód do narzekań; upamiętniła się jednak nowością, która zapisze się na kartach dziejów teatru: chęcią skojarzenia wszystkich czynników, składających się na całość przedstawienia w skończenie artystyczną całość. Dla wydobycia i zharmonizowania piękna malarskiego powołano tedy do współpracownictwa artystów-malarzy, i ich praca, złączona z umiejętną stylizacyą gry takich stylizatorów par excellence, jak p. Solska i p. Tarasiewicz, stworzyły z przedstawień „K s i ę c i a N i e z ł o m n e g o" i „P e l l e a s a M e l i s a n d y" poematy pełne tajemniczego czaru i muzycznej harmonii, wyższe nad wszelką pospolitość.

Najwięcej narzekań — zupełnie słusznych — wywoływał skład personalu. Skład ten, zaznaczam odrazu, w sezonie bieżącym jeszcze się pogorszył. Z uszczuplonemi siłami rozpoczął teatr przedstawienia, w warunkach materyalnie korzystniejszych, niż zwykle, gdyż napływ emigrantów dobrowolnych i przymusowych z Królestwa co wieczór szczelnie zapełnia widownię; w warunkach artystycznych o tyle gorszych, o ile niezastąpionymi na scenie są pp. Ordon i Sosnowski, a skutki ciężkiej choroby trzymają zdala od desek teatralnych — oby nie na długo — niezrównaną w pewnych rolach p. Solską.

Tradycyjnym zwyczajem, mającym też silne uzasadnienie realne, rozpoczyna się sezon w Krakowie szeregiem sztuk, przesuwających się, jak defilada smętna a uroczysta:

...dramat
groźny, szumny, posuwisty,
jak polonez gdzieś z kazamat...

Jednym takim „dramatem" jest cały wielki repertuar polski, od szkarłatu i krwi płomienną rozmową z duchem dziejów i duchem narodu, z patosem, jakiego proroków starych nie było, który w osta-

tnich czasach całe napięcie swej siły w śmiechu wyrzuca, w samobiczowaniu się, w bolesno-rozkosznem szarpaniu ran swoich... Więc „Konfederaci barscy“, więc Słowacki i „Wesele“, które długo jeszcze będzie upajać, jak sen, pełen widm drogich i błyskań oblicza boga groźnego i tonów muzyki bezładnej, słodkiej, serce rozdzierającej... i „Wyzwolenie“ — tyle w tej chwili mówiąca księga otwarta sumienia polskiego... Jeden to dramat potężny, w którym tem fałszywiej brzmiały zgrzyty sztuczydeł na niewybredną sensacyę obliczonych. W pamięci zostało przedstawienie „Księdza Marka“; w roli Judyty oddawna poraz pierwszy dana była sposobność p. Wysockiej do roztoczenia całej siły i bogactwa temperamentu jej dramatycznego.

Repertuar bieżący okazał, że dyrekcya teatru krakowskiego stoi na wyżynie współczesnej literatury dramatycznej. Zasługa to bezsprzeczna — wolelibyśmy jednak zmianę w określeniu: więcej kultury, niż literatury czysto współczesnej. „Młoda Polska“ nie spełniła wszystkich obietnic — szczególnie wobec teatru; dyrekcya niezawsze jej to mówi: w ubiegłym sezonie przedstawiła kilka sztuk, których zakwalifikowania do gry niczem nie można było umotywować. A poza nimi ponad wszystkie piękne kwiaty, jakie dzień dzisiejszy przynosi, wznoszą się dęby odwieczne, dęby olbrzymy, w cieniu których niejedno już pokolenie odprawiało swe modły do bogini. Poszumu ich wieczystego jesteśmy spragnieni, widoku młodości ich wiecznej. Z życiem idźmy — nie z modą, z kulturą — nie z snobizmem. Cała sztuka na tem skorzysta. Na afiszu najnowszym widnieje: Szekspir; donoszą też o przygotowaniu „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego. Wyżej jeszcze — więcej!!

Ale i do nowości, jakieśmy mieli, zakradł się zgrzyt bardzo dysharmonijny, bardzo niepotrzebny, bo nawet nerwów śmiechu nie pobudzający: „Loulou“ z jakiejś fabryki paryskiej. Już w ubiegłym roku najmniej szczęśliwą rękę miała dyrekcya w wyborze lekkich sztuk z repertuaru paryskiego — i obecnie ten zły instynkt jej nie opuścił. Jeżeli mamy się śmiać w teatrze, to chcemy wiedzieć czemu; nie jesteśmy automatami, by z nas śmiech wyciskano środkami czysto mechanicznymi, li tylko fizyologicznie drażniącymi nerwy; życie prawdziwe i najprawdziwsze tyle zawiera w sobie ironii, a prawdziwie wzniosłe rzeczy mają nieraz w sobie tyle dziecięctwa i słoneczności, że jest z czego uśmiać się na świecie; koniecznie-ż musi nasz rozum śmiać się z naszego śmiechu?

Zresztą między nowościami dwie tłómaczone i dwie oryginalne.

Gorkij: „Barbarzyńcy“. Publiczność krakowska jest nietyle krytyczna, ile krytykująca; krytyka zaś krakowska nietyle krytykuje dzieło i scenę, ile samą siebie. Stąd arystokratyczny grymas wobec mużyka i bosiaka rosyjskiego. Tembardziej, że tytuł dostarczył już z góry *pointe'y* o barbarzyństwie samego autora. I istotnie: Gorkij jest barbarzyńcą o tyle, o ile jest nim każdy oryginalny twórca w sferze myśli i sztuki. Odwraca się od kultury przeszłej, szuka i tworzy nową. Policzkuje wszystkie kanony i przepisy; artystycznie — pragnie dawać dramaty codziennego życia, myślowo — negacyę panujących wartości. Ale jego codzienne życie widziane jest nie z wewnątrz, jak u Maeterlincka,

bez z zewnątrz. Jak u każdej rzeczy zewnętrznej — ogromną rolę odgrywa materyał. W „Na dnie“ materyał ten był nowy, nieznany, więc budził zainteresowanie; w „Barbarzyńcach“ jest mniej zajmujący. Ale jakość materyału nie stanowi o wartości sztuki. Jest ona więcej epiczna, niż dramatyczna: obrazy przeważają nad ruchem, szerokość charakterystyki nad ześrodkowaniem akcyi. Ale galerya dysząca życiem. Uśpione ono, przeciąga się leniwie, dyszy, jak potwór ludu rosyjskiego. A z czem przychodzą do niego zwiastuny odrodzenia? Jakiemż życie własne tych dzieci słońca-kultury? Z jednej i drugiej strony: barbarzyńcy!

Słoń uśpiony, przeciągający się leniwie, dyszący ciężko, smutny do dna duszy, a małpa zwinna, gibka, przerzucająca się z gałęzi na gałęź, z żonglerstwem, grymasem, sprytem, doprowadzającym ludzi do rozpuku i do absurdu — nie, mr. Bernard Shaw tylko z pozoru przypomina tę małpę. Jego „Nie można nigdy wiedzieć“ (*false* „Marnotrawny ojciec“) w pierwszej chwili takie robi wrażenie; szalona bufonada, bezustanne koziołkowanie charakterów, losów, idei, kończące się ostatecznie prawdziwym cake-walke'm wesołości. Ten fajerwerk rozpryskujący się co chwila w tysiące snopów iskier, dowcipów, sentencyj, nie gaśnie jednak, by zostawić smolaki i swąd; biją od niego światła, które olśniewają, wirują, ale — zostają. Bernard Shaw jest poważnym myślicielem: ten propagator socyalizmu fabianów, ten pionier Wagnera i Ibsena, przemyślił, przetrawił wszystkie problemy czasu — problemów wieczności pewnie nie uznaje — i doszedłszy do równowagi, wstąpił do dramatu, jako śmiejący się filozof. Pod rozpierzchającemi się co chwila kwiatami jego dowcipów i bezmiernie komicznych sytuacyj, jest silne, prawdziwie angielskie rusztowanie systemu myślowego. Ale ma-ż je prezentować światu podobnie, jak mistrz jego Ibsen: z patosem przeraźliwym? Woli igrać ze słuchaczem: nicować wszystkie jego pojęcia, doprowadzać do absurdu wszystkie jego kroki myślowe i w ten sposób przepoić go nawskróś sceptycyzmem względem wszystkich powag i dogmatów. „Nie można nigdy wiedzieć“ — w tem się wyraża także forma Shawa. Zdawało się, że ostatnie już wyrzekł słowo — zupełnie już wykończył swe rusztowanie — nagle jedną gamą śmiechu obala je zupełnie, jedną silną sytuacyą postawił nowe, by problem, idee, człowieka z coraz innej ukazać strony, coraz głębiej sięgnąć. I tak przerzuca przed nami karty świetnej, niekończącej się księgi, którą z sybarytyzmem trzeba umieć czytać, jak wogóle tylko sybaryta duchowy zasmakować może w filozofii sceptycyzmu.

Po tej mieniącej się i pryskającej iskrami udramatyzowanej *causerie* — „Odwieczna baśń“; już w samym tytule: ciężki, tragiczny dech *aeternitatis*. Towarzysz nieodstępny sztuki Stanisława Przybyszewskiego a w tej z większem usprawiedliwieniem, niż kiedykolwiek. Tak jest. Es ist eine alte Geschichte, jak baśń od niemowlęctwa — od ludzkości niemowlęctwa — snuje się za nami ta stara opowieść o królu młodym i bohaterskim, który wchłonąwszy wiedzę starego mędrca, królową serca swego uczynił wybrankę piękną, czystą i szlachetną. A za to podniosły się przeciw niemu wszystkie jędze, nienawiści i zdrady: śmierci żądają dla starego mędrca, wygnania dla czystej i pięknej...

Stare to dzieje, jak starą jest walka dwóch zasadniczych pierwiastków etycznych w człowieczeństwie. Przybyszewski znalazł dla nich formę szlachetnie prostą, archaizowaną nie nadmiernie, tchnącą miejscami wszystkiemi uniesieniami miłości, to buchającą szałem nienawiści i walki. Krytykującej niekrytycznie krytyce krytykastrów wydało się to alegoryzowaniem naiwnem, zbytecznem powtarzaniem ech baśniowych. Doprawdy? Zmieńmy pewne wyrazy, zróbmy z Sonki — Zofię, gardzącą złem wszelkiem Mądrość, jako towarzyszkę króla na tronie, a ramy dzieła się rozszerzą, wszystko w niem się staje symbolem, głębią, znakiem wieczności. I tak chyba należy pojąć cały utwór, wyższy nad realizm faktów konkretnych, podobnie jak w ogrom się rozrasta „kanclerz“ — potężna w pomyśle, lubo zamało przez poetę wyzyskana personifikacya ducha Zła...

I tak stało się, że „Odwieczna Baśń“ nie zyskała tego powodzenia, które ze wszech miar jej się naldżało. Jeszcze jeden zarzut: zamało w niej dyalektyki czynu, zadużo dyalektyki słów. Jak gdyby jeden z największych mistrzów dramatu współczesnego nowicyuszem był w technice scenicznej. Ale on nie tragedyę chciał pisać, tylko „poemat dramatyczny“. A to różnica, proszę państwa.

Ale takim już jest nastrój filozoficzny naszej publiczności. Dopóki widziano w Przybyszewskim poetę problemów seksualnych (czem on nigdy nie był), cieszyły się jego utwory popularnością — taką, jak pewne romanse lub kartki ilustrowane. Teraz dał poezyi utwór jeden z najczystszych i tak prosty, jak prostemi są wszystkie wielkie prawdy, a „przerafinowanie“ snobów grymasem odpowiada.

Rozumie się, że na uboczu zostaje cała filozofia i etyka „Odwiecznej Baśni“. Brzmi ona zbyt po chrześcijańsku lub tołstojowsku, aby... lecz nie! do polemiki z poglądami poety krytyk nie ma prawa; pod artystycznym względem zyskała poezya dramatyczna polska klejnot.

Wszystko, na czem zbywa Przybyszewskiemu, posiada Lucyan Rydel. Autor „Bodenhainu“ nie może być źle zrozumiany. Nie komentarz, lecz wprost kopię tego, co w tej sztuce powiedział, przynoszą co pewien czas kroniki dzienników poznańskich. Nie tak pięknym wierszem, jakim pisze Rydel, zato też nie... w czterech aktach. Toteż gdyby ten utwór mógł być grany w Poznaniu lub Inowrocławiu — przed odpowiednią publicznością — spełniłby z pewnością swe zadanie. Podziałałałby przez chwilę na sumienia, jako jeden z tych pięknych, niestety martwych Polonusów, którzy pod koniec III. aktu nawidzają pijaną głowę „bohatera“-wyrodka. Zresztą nie jest ani dramatem, ani poezyą, i trudno pojąć, poco został napisany.

Chyba dla dania sposobności p. Solskiemu do stworzenia drugiej już sylwetki starego żołnierza. Tylko, że u Rydla musi on być także „obywatelem“, tj. wyrzucić z ośmdziesięcioletnich piersi jednym tchem 200 wierszy, gdy dwadzieścia oznaczałoby więcej. Ale p. Solski je tak wielkim artystą, że biorąc słowa, słowa, słowa, oddaje je, jako dus A ileż duszy, bolu, dramatyczności włożył w postać „błazna“ Przybyszewskiego, uposażywszy go w cechy zupełnie inne, niż Szekspirowsk

Jesteśmy przy sprawie personalu.

Wspomniałem nazwisko Solskiego. Teatr, który jest tak szczęśliwy, że jego posiada w gronie swych artystów, może się ważyć na wiele, bardzo wiele. Jedna to z tych indywidualności, które mają cudowną moc bezustannego przeradzania się i wywierania ogromnego swego talentu na rozliczne, coraz odmienniejsze, nieraz drobne role, z których każda jednak urasta, krwią tętni, prawdą wielkiego twórcy. W przeszłym sezonie widzieliśmy artystę poza całym szeregiem ról, oddawna już wsławionych — w nowych, tak odmiennych, a przemienionych przezeń w skończone arcydzieła, jak np. Radziwiłł Panie Kochanku (ze *Starościca* Nowaczyńskiego) i dr Rank (z *Nory* Ibsena), Strażnik (ze *Skarbu* Staffa) i Dziadek (z *Betlejem* Rydla); tak rozległej skali twórczej nie posiada — stanowczo rzec można — żaden dzisiaj artysta wybitniejszy w Europie. Powyżej była już sposobność do oddania hołdu inteligencyi i wytworności gry p. Solskiej w rolach, które do jej przypadają indywidualności. Antytezą jej — p. Wysocka; ona nie stylizuje rozumowo, lecz gorąco odczuwa, nie olśniewa kunsztem — porywa. Na scenę krakowską powrócił p. Mielewski, artysta na tyle bogaty, że ma za sobą wielką, w pełnem znaczeniu słowa, kreacyę dwu Konradów, a swobodnie, z humorem zagra też lekkich amantów. Rozwinęły się u nas bezsprzecznie talenty p. Zelwerowicza, który dziś jest jedynym z filarów sceny krakowskiej, Arkawiczówny, Jednowskiego, Stanisławskiego, Węgrzyna (juniora); p. Kosiński ma pewien zakres ról, w których okazuje niepospolitą inteligencyę i wprawę.

To zamało, stanowczo zamało. Publiczność krakowska szemrze, narzeka. Szanowna Dyrekcyo! Z nowym sezonem straciliśmy p. Sosnowskiego, Ordonównę — o innych nie mówiąc; z nabytków cenną siłą jest zawsze p. Węgrzyn, bardzo sympatycznie oddziaływa p. Szymborski, p. Pawłowska wesołością i sprytem, szturmem zdobywa publiczność — to zamało, stanowczo zamało. Zawcześnie jeszcze na ostateczne formułowanie sądów, ale to już można stwierdzić, że młode siły, które zaangażowano, luk nie zapełnią, poziomu gry nie podniosą. Braki dają się już dotkliwie odczuwać. Sztuka Gorkiego była bez Lidyi, Przybyszewskiego bez Sonki, Shawa bez Gloryi. Jest szereg dzieł, których bez prawowitego następcy p. Sosnowskiego grać nie podobna. Zespół każdy cierpi. P. Mielewski jest przeciążony; całego repertuaru „bohaterskiego“ nie udźwignie. Artystom musi się pozostawić czas na obmyślanie, na studya; inaczej stają się jednostajni, szablonowi; to grozi niejednemu z najzdolniejszych naszych artystów. Trudno wobec tego, by reżyser dokazał cudów. Nie było też należytego tempa w przedstawieniu sztuki Shawa, ni charakteru w zbiorowych scenach Przybyszewskiego; wznowienia brzmiały niejednym dysonansem. A gdy mowa o reżyseryi, należy też nadmienić, że w roku bieżącym nie widzieliśmy też jeszcze tych usiłowań w kierunku malarskiego uszlachetnienia i ztonowania dekoracyj i kostyumów, którym cały Kraków tak przyklaskiwał w sezonie poprzednim...

Czekamy.

SPRAWOZDANIA.

Geschichte der russischen Litteratur vom Dr. A. Brückner, o. Professor in Berlin. Leipzig C. F. Amelangs Verlag 1905.

Drugi tom wydawnictwa „Literatur Wschodu“ poświęcił prof. Brückner historyi piśmiennictwa rosyjskiego. Napisał dzieło nie tak wielkie, jak cenne.

W dziewiętnastu rozdziałach zawarł dzieje rozwoju myśli rosyjskiej, jej wybuchy, zmiany, skoki i wysiłki, jej tragiczne walki z duchem ciemności i wstecznictwa. Niema może drugiego piśmiennictwa tak trudnego do ujęcia w zarys krótki, jasny i zrozumiały. Najlepszy dowód, że dzieła takiego Rosyanie dotychczas nie mieli. Dał je Brückner. Za nim, jak za śmiałym a doświadczonym przewodnikiem wędrujemy po ogromnych przestrzeniach między trzema morzami, przez chaos wieków, stosy ksiąg, ocean uczuć i labirynty myśli, przez różnobarwny zgiełk ludzi i — nie błądzimy, nie gubimy się lecz owszem zamykamy książkę z tem miłem przekonaniem, żeśmy widzieli, zrozumieli i nauczyli się niemało.

Przez literaturę starą do Piotra Wielkiego przebiegamy pospiesznie, jakby jakim statkiem nadpowietrznym, przez nową idziemy zwolna, coraz powolniej, zatrzymując się dłużej nad każdem nowem, ważniejszem zjawiskiem. Dlaczego? Bo stara jest dziełem ukraińskiego narodu, a Rosya ma tę tylko zasługę, że w burzliwszych czasach walk i napadów przechowała ją u siebie. Od siebie dodała mało. Jeszcze w XVII. stuleciu sprowadzano uczonych z Ukrainy, bo w Rosyi nie było nikogo, ktoby mógł książki pisać i do druku przygotować, uczyć i szkoły prowadzić. Nawet starosłowiańszczyznę czytano z ukraińska. Było to wynikiem systemu rządowego, tej wyłączności państwowej, tego zacieśniania się w kole prawo- i — carosławia, którego do dzisiejszego dnia postępowa Rosya w zupełności przełamać nie może. W Rosyi każdą nową myśl brano na tortury i tępiono, każdego obcego człowieka podglądano przez dziurkę od klucza, podczas gdy na Ukrainie była tolerancya, zakładano szkoły i drukarnie, drzwi do Europy nie zamykano.

Wprawdzie autor nie pociągnął wyraźnej granicy pomiędzy twórczością obu narodów od XI do XVII stulecia, ale i to co powiedział trzeba podnieść z uznaniem, tem bardziej, że głos jego znany i ceniony powinien przyczyniać się do wyświetlenia tej tendencyjnie zaciemnionej sprawy.

Jako znawca literatury polskiej zaznaczył prof. Brückner jej wpływy na tworzenie się piśmiennictwa rosyjskiego krótko, lecz bardzo wyraźnie.

W literaturze nowszej osobne rozdziały poświęcił autor Puszkinowi, Gogolowi, Bielińskiemu, Hercenowi, Tołstojowi, Dostojewskiemu i Szczedrynowi, stawiając ich na tle współczesnych stosunków, omówionych wielostronnie, krytycznie a pięknie. Osobno scharakteryzowano dramat i lirykę, osobno i nowelę, tę chlubę rosyjskiego piśmiennictwa dni dzisiejszych.

Prof. Brückner odrzuca balast naukowy, dat umieścił bardzo mało, natomiast stara się poszczególne postacie i prądy literackie ująć artystycznie, tchnąć w nie życie i przemówić ich słowami. Olbrzymie oczytanie przychodzi mu z pomocą. Zwłaszcza trafne a oryginalne porównania ożywiają pracę. Tak np. Pieczovin jest dlań Byronem w płaszczu rosyjskim, Kolcow daje pieśni nie à la russe ufryzowane, lecz jakby z duszy narodu wyjęte, jest on Burnsem rosyjskim i t. d. Pamiętając o tem, że literatura rosyjska zastępywała poniekąd parlament i sejmy, że była trybuną publiczną, poświęca autor niemało uwagi ruchowi emancypacyjnemu w Rosyi. Książkę zamyka słowami, że iteratura rosyjska „stała się z zależnej, mechaniczno-naśladowczej, jedynie dla rozrywki, jak „konfekty i limonada" przeznaczonej igraszki duchowej, sługą prawdy i świtu, głosem sumienia, który wskazy wał ideały rozwoju wówczas, gdy wszelka myśl, poza granicami oficyalnego szablonu była surowo wzbronioną. Szła ona swoją drogą, aż okazała się dojrzałą do tego wielkiego zadania, które jej w udziale przypadło; dziś jej znaczenie sięga daleko poza granice Rosyi. „Dołgotierpienie" rosyjskiego narodu uświetniło się stworzeniem światowego państwa. Zawzięta wytrwałość i wysoki lot rosyjskiego ducha stworzyły literaturę o światowem znaczeniu. Niechaj i nadal będzie ona wierną humanitarnym i estetycznym tradycyom swojej sławnej przeszłości! Świat bez niej obejść się już nie może".

Są w dziele prof. Brücknera poszczególne miejsca, z któremi można się nie godzić (np. Cyryl i Metody, Wyszeński, Turgeniew, Lermontow, w końcu Gorki). Zależy to więcej od różnicy osobistych poglądów i przekonań autora i czytelnika, których się wyzbyć nie podobna; może być, że są nawet pewne usterki i błędy, jak w każdem dziele ludzkiem, ale te błędy i wady trzebaby dopiero wyszukiwać, a tymczasem przymioty i zalety książki są na każdym kroku widoczne. Nawet ten, kto literaturę rosyjską zna, może dzieło prof. Brücknera przeczytać z przyjemnością i korzyścią. *B. Ł.*

Józef Albin Herbaczewski. Potępienie — tragedya duszy (cztery miraże na pustyni klątwy i wyznania). Kraków 1906.

„Potępienie" p. Herbaczewskiego, to protest duszy wierzącej przeciwko wszechwładztwu i despotyzmowi Boga, to próba protestu. Olgierd nie jest szatanem, równym Bogu i przeciwstawiającym jemu swoją moc, nie wchodzącym w żadne pertraktacye z Bogiem, nie wierzącym w panowanie Boga nad sobą. Olgierd wierzy we wszechmoc Boga i we władzę Jego, żąda łaski Jego, w „Epitaphium" swojem mówi (str. 135): Tu leży... „Olgierd-Adam pragnieniem wiedzy i czucia, że jest Pan wyższy ponad Pana teologii synów ziemi, udręczony, a znaku widomego, ile naprawdę jest, żądny". Bunt Olgierda skierowany jest tylko przeciwko Bogu błądzącemu, odbierającemu swą miłość złym, jest dziełem rozpaczy zawiedzionego, ostatnim środkiem, ażeby duszy swej powrócić spokój i wiarę w prawdę Boga, zresztą dziełem szaleńca, który nie widząc dla siebie wyjścia z klatki, rzuca się z zębami na sztaby żelazne, choćby miał Bóg sam paść przytem! Tragedya Olgierda nie dzieje się na wielkim świecie duszy ludzkiej; należy ona do specyalnego świata, gdzie Bóg panuje, jest zamieszką wewnętrzną

w państwie Boga... Trzeba być obywatelem tego państwa, ażeby się módz przejąć jej treścią.

Olgierd nie jest szatanem i tragedya jego jest tragedyą duszy specyalnie chrześcijańskiej... Nie ma więc on wiele wspólnego z duszą dzisiejszą... My na tyle tęskniącymi do Boga chrześcijańskiego już nie jesteśmy a i sama walka szatana z Bogiem w naszych duszach rozstrzygnięta już... zwyciężył pierwszy, Bogu określono granice dla Jego królestwa, a Szatana uprawniono w niezależności jego, a tak już jest choćby przez to, że dla naszych dusz niema autorytetu dobra: stoimy dzisiaj „po tamtej stronie Dobra i Zła". Bóg z wszechwładcy został „najwyższym urzędnikiem państwa" i musi podzielać od dziś swą władzę z równym sobie Bogiem-Szatanem... Tragedya p. Herbaczewskiego nie jest tragedyą duszy ludzkiej w jej najgłębszych pokładach, nie zatrąca istotnych jej strun, zatrzymuje się na powierzchnych jej warstwach, tam, gdzie królują nieokreślone pożądania, lękliwe poddania się przemocy, chęć buntu i brak sił... I ten rys prowincyonalizmu jakoby wykreśla ją z szeregów rzeczy istotnie twórczych, niezniszczalnych w pyle wieków...

W przypisku podaje autor, że „tragedya niniejsza w istocie swej jest buntem pogańskiego ducha Litwy przeciwko idei chrześciańskiej" (str. 143). I tylko..? Z tego względu może więc być ona dla nas ciekawym dokumentem historycznym. Od rzeczy twórczych wymagamy czegoś więcej.

Ciekawą stroną dramatu jest jego budowa oryginalnie i jasno przeprowadzona; pomimo żywej akcyi bohaterów swych, widocznie skupiająca się dokoła Olgierda. Czujemy tutaj, że te żywe i „grające teatr" postacie są zawarunkowe przez istnienie Olgierda, że są one jakgdyby dodatkami do niego. I w istocie: celem autora było przedstawić walkę wewnętrzną bohatera swego, postawa i dekoracya opowieści są konsekwentnie przeprowadzonym rysunkiem duszy jego i jej walk. To rozwinięcie i doprowadzenie do szczytu tezy, gdzieindziej zarysowanej przez danych autorów, jest ciekawą cechą konstrukcyi „Potępienia".

I jeszcze słów kilka trzeba mi poświęcić różnym dodatkom i mottom, przypiskom i objaśnieniom, poumieszczanym na początku i na końcu dzieła. Dotykają one dzieła i autora, bohaterów i publiczności, krytyków i pisarzy. Uwagi niezwykłe splatają się z błahemi, próżność autora z pokorą, sztuczna brawura ze szczerą łagodnością. Rozwichrzenie, brak autodyscypliny osłabiają ogromnie znaczenie utworu artystyczne.

Oddaje go autor „narodowi, który tchnął we mnie ducha prastarej mistyki swojej". — „A oddając, mówi, wolny jestem od zarozumiałości; dziękczynienie jeno chcę wyrazić". (str. 143). *H. Raabe.*

Kazimierz Rakowski: „Kwiat paproci. — Legenda o szczęściu". Warszawa, 1906. Gebethner i Wolff.

Trochę sucho, trochę po dziennikarsku, lecz z polotem myślowym przedstawił tu autor podanie o królewiczu Sakya-Muni, szukającym szczęścia w najrozmaitszych dziedzinach życia. Oto w młodym księciu, otaczanym wszystkiem, co bogactwo dać może, budzi się nagłę ciekawość zagadki bytu. „Czy ja jestem szczęśliwy?" — pytał sam siebie. Lecz odpowiedzi żadnej dać sobie nie umiał nie znając niedoli, nie wiedział też, na czem polega istota szczęścia. I dn. pewnego rusza w świat, porzuciwszy strój książęcy, dostatki i zaszczyty; idzie przybrany w ubogą suknię pielgrzyma, z torbą na plecach i kijem żebraczy

w ręku. Odtąd rozpoczyna się jego poznawanie życia. Sakya-Muni doświadcza kolejno całego szeregu losów, przekonywując się jednocześnie, że w podstawię każdego ludzkiego działania tkwi zalążek nieuniknionej tragedyi, wynikającej z bezsilności i małości człowieka wobec własnych jego pragnień i nadziei. Więc przedewszystkiem poznaje Sakya-Muni tragedyę potęgi. Jest królem wielkim, królem z łaski Bramy, rzekomo ukrytym w izbie, do której nikt wstępu niema. Poddani zadowoleni są ze swego monarchy; jego wszakże prześladuje myśl, że władzę swą oszustwem okupuje. Aż, wreszcie postanawia ukazać wnętrze tajemniczej izby swemu tłumowi. Oczom zgromadzonym ukazuje się pustka. „Oddaj nam naszego Boga. Sakya-Muni!“ — woła rozjuszony tłum, — „Śmierć Sakya Muniemu!“...

Królewicz znów w stroju pielgrzyma uchodzi i prosi Bramę, by zeń uczynił mędrca. „A od tej chwili zaczęła się dla niego nowa tragedya: — tragedya wiedzy“. Oto przekonywa się, że „uczony jest jako pszczoła, która wyleciała z ula, aby miód zebrać: i zaledwie zebrała miód z paruset kwiatów, a już czas wracać do ula“. „Księgi zapylone porzucił, nazywając je grobowcami zmarłych myśli: — i starał się czytać w żywej życia księdze“. Lecz badając przyrodę, schwytał lotny pyłek, który zaledwo dostrzegalny jest dla oka ludzkiego. Wziął go pod szkło powiększające i stał się wielki, jak góra. „Widzę — rzekł — że aby go zbadać wszechstronnie, trzeba ograniczyć badanie do jednej jego części: biorę więc pyłek z tego pyłka i kładę pod jeszcze większą soczewkę — i cóż widzę? że ten pyłek pyłka jest całym światem dla siebie... A w ten sposób łańcuch idzie z nieskończoności w nieskończoność, a my biednym rozumem naszym tylko parę ogniw środkowych ogarnąć możemy“. Wreszcie nagłym ruchem cisnął o ziemię szkło powiększające i podeptał je nogami. — „Chcemy nieskończoność dzielić, głupi, i dziwimy się, że ona się nam w rękach dwoi“.

Następnie przeżywa Sakya-Muni tragedyę miłości, tragedyę sztuki i — powraca do źródła.

Na pytanie: „Czy znalazłeś rozwiązanie zagadki bytu?...“ — odpowiada: „Znalazłem; jest to poczucie piękna... — zdolność takiego spoglądania na świat, że w każdej cząstce widzisz całość, w każdym atomie ogarniasz wszechświat, w każdem mgnieniu przeczuwasz nieskończoność, w każdem stworzeniu uwielbiasz Stwórcę... Wy patrzycie inaczej! W waszych spojrzeniach czuwa żądza wasza, tkwi wola wasza, czyhająca jak tygrys, szykujący się do skoku... Odrzućcie to ze spojrzeń waszych, gdy patrzycie na świat, bo wszystko to szatana, a nie Boga“... i t. d.

Widzimy, ze Sakya-Muni został przez autora nieco uchrystyanizowany i zmodernizowany. To pracy jego zresztą dodawałoby nawet wartości, gdyby autor był styl uczynił podnioślejszym i gdyby jednocześnie trochę bardziej fantazyi swej pofolgował.

W każdym razie praca jest ciekawa; popularyzuje wiele starych, lecz głębokich myśli, zebranych tu i powtórzonych z beznamiętnym spokojem.

Bladobarwna okładka pomysłu Stanisława Wyspiańskiego wspaniale tę książkę stroi. *Behra.*

G. d'Annunzio: Franczeska z Rimini. Przekład J. Kasprowicza. Lwów Nakład Towarzystwa wydawniczego. 1906.

Jak zwykle u d'Annunzia więcej piękności w zewnętrznej robocie, niż

w treści. Otoczenie średniowieczne, walka stronnictw dzikość i kultura, nieokiełznane namiętności, — oto tło przedziwnie wyrzeźbione, przepiękne w szczegółach, na którem odegra się tragedya, tragedya miłości. Franczeska oddana jest potężnemu rycerzowi tak zwanemu Kulawcowi Malatesta; przyjeżdża po nią brat Kulawca, piękny Paolo, i oczywiście rażony jest strzałą amora. Więcej jeszcze przejęła się Franczeska pięknością posła i w drugim akcie, jako żona Kulawca, gorzkie czyni wyrzuty Paolowi za jego kłamstwo i opieszałość. Ten drugi akt, pełen dramatycznej piękności, zarysowuje wyraźnie dzieje obojga. Paolo unikał Franczeski, a Franczeska nie chce znać Paola, ale mimo to najlżejsze podejrzenie, że Paolowi grozić może niebezpieczeństwo, rzuca ją w wir walki i odsłania bezgraniczna miłość. Ta scena, w której Franczeska szuka rany na głowie Paola, należy do najsubtelniejszych w dramacie. Jeszcze raz Paolo stara się zabić uczucie, przyjmuje urząd we Florencyi i zdala spędza tygodnie, ale niebawem powraca niewyleczony. I znowu bardzo piękna scena, kiedy tych dwoje czyta poemat o Lancelocie z Jeziora. Czwarty akt przedstawia nam miłość trzeciego brata: młodego Malatesty, zwanego jednookim, dla bratowej, miłość, która czujnym go czyni i naprowadza na ślad stosunku Paola i Franczeski. Młody Malatesta z zemsty za wzgardzone uczucia odkrywa przestępstwo mężowi. Obaj udają się w podróż i wracają po kilku godzinach. W piątym akcie zastaje ich razem Kulawiec i zabija. Tak wygląda szkielet, ale na tej pospolitej kanwie potrafił d'Annunzio dużo piękności umieścić. Pierwszy akt może zupełnie zbytecznie zapoznaje nas z rodziną Franczeski, której potem nie widzimy wcale, ale za to ma cudowną scenę, kiedy Franczeska po raz pierwszy spotyka Paola i różę purpurową mu podaje. Franczeska od razu występuje jaskrawo, jako namiętna, bojąca się prawie swych namiętności kobieta. I dalszy jej los świadczy o tem, że odważniejsze być chciała od Paola, że się broni silniej przed szałem miłości. Tem potężniejsze jest panowanie uczucia, którego tryumfem jest nawet śmierć obojga, bo kiedy zdradzony mąż chce zabić Paola, Franczeska cios otrzymuje za niego, kona na rękach Paola, a ten w śmiertelnym uścisku trzyma jej ciało i oba trupy staczają się razem. D'Annunzio jest mistrzem w szczegółach. Sarkofag, w którym róże purpurowe krwią podlewają; kraty dzielące dwoje kochanków, a pozwalające tonąć sobie w oczach i kwiaty podawać: księga stara na rzeźbionym pulpicie, nad którą oboje czytający głowy pochylają — wszystko to cudowne dekoracye, małe poematy, zdobiące jak drogie kamienie czyny tych dwojga.

Rzecz ofiarowana boskiej Eleonorze Duse, bo któż dostrzeże bez gry subtelniejszej ten przedziwny namiętnością kwiat, jakim jest Franczeska; kto zrozumie szczodrobliwość jej w trzecim akcie na wieść o powrocie kochanka; kto odda ten niepokój, z jakim o sposób życia wypytuje. Cały poemat zawarty jest w ruchach rąk i drżeniu głosu, w zmarszczeniu brwi na wzmiankę o przeminiętem małżeństwie, w pośpiechu, z jakim kochankowi wino podaje. Inne figury dzielą los reszty szczegółów, są mistrzowskie: ten Maletestino z wybitem okiem, rwący się do boju, a potem obcinający głowę wrogowi i troczący ją sobie do siodła; ten Kulawiec, co przeklina i do walki zagrzewa, potem rozrzewnia się na widok żony, wreszcie z wściekłości mdleje; niewolnica — uosobienie tęsknoty i przeczuć — siostra młodsza, której głosik budził ongiś ze snu Franczeskę, której bose nóżki po podłodze dudniały — wszystko to piękne, wycezelowane, raz groźne jak róg bojowy, to znów subtelne jak woń róży polnej.

Cały ten wdzięk przywiązany do przepięknej mowy, jaką Kasprowicz tragedyę d'Annunzia spolszczył, mowy, która zdaje się z tamtych czasów pochodzić i nagina się do tych arcywdzięcznych akcesoryi — umie być brutalną i pieszczącą, gwałtowną i tęskliwą. *Dr Wacław Moraczewski.*

Thomas Mann: Fiorenza. Berlin, S. Fischer's Verlag.

Jesteśmy we Florencyi u schyłku XV wieku. Lorenzo de Medici, Lorenzo Magnifico leży na łożu śmierci, a z nim razem musi umrzeć — dla Florencyi przynajmniej, epoka najbujniejszego rozkwitu sztuki — wykwintnego przepychu, szałów miłosnych, upojeń słonecznych pięknem i życiem, cała ta epoka, która na dumnym, niezmąconym żadną zmarszczką swym czole wypisała płomiennemi literami, radosne „evoë vita". I zrodzić się ma nowa epoka, ojcem której jest Savonarola — epoka o smutnych i głębokich oczach, — w głębi których tli się złowrogi płomień fanatyzmu, epoka, która w ciemnych kaplicach pręży swe wychudłe przez długie posty ciało w mistycznej ekstazie, epoka, która tęsknie wyciąga białe swe ręce do postaci męczeńskiej na krzyżu, ale potrafi też ścisnąć je w pięść, aby w ciężkiej, najkrwawszej ze wszystkich wojnie religijnej uderzyć nią w przeciwnika.

Już we Florencyi rozległ się nigdy niesłyszany dotychczas okrzyk „niech żyje Chrystus!" już zabrzmiało obok niego groźne „precz z Medyceuszami!" Lorenzo de Medici umiera, a z chwilą jego śmierci Florencya, jego ukochana skrząca się w blasku słonecznym Florencya przejdzie w twarde ręce ascetycznego proroka, — w ręce ciemnego fanatyka, urządzającego dziecięcą armię zbawienia dla nadzoru nad moralnością miasta, w ręce, które zawsze i wszędzie będą niszczyły wszystko, co stworzyły i zebrały trzy pokolenia przepojonych artyzmem Medyceuszów. - w ręce Savonaroli. Punkt kulminacyjny dramatu Tomasza Mann'a znajduje się właśnie w ostatnim akcie w rozmowie między umierającym Medyceuszem a przeorem św. Marka. Pierwsze dwa akty są tylko niezmiernie subtelnie, a z wielką znajomością stylu renesansowego namalowanem tłem, na którem ostatni akt ma się rozegrać.

Postacie dwóch przeciwników a jednak „braci" („feindliche Brüder" powiada o sobie i o Girolamie) są narysowane z niezmierną plastycznością. I jeden i drugi jest wielkim artystą, bo czemże jest „proroctwo" Savonaroli, jeśli nie podniesionym do najwyższej potęgi artyzmem? I jeden i drugi posiada tajemniczą siłę władania nad ludem i jeden i drugi zna tę samą majestatyczną pogardę dla tłumu, który dobrowolnie przychodzi się korzyć u stóp jego. Obaj są samotni i wznoszą się jak te wieże kościelne nad swym otoczeniem, które ciemnym instynktem czuje ich wielkość, ale nigdy jej objąć nie zdoła. Obaj są równie wielcy i pod wieloma względami sobie bliscy, ale właśnie dlatego muszą być przeciwnikami. Tylko dla jednego z nich jest miejsce, drugi ustąpić musi. A tym drugim właśnie musi być Lorenzo, Lorenzo dziecko i pan zarazem epoki mającej się ku schyłkowi, Lorenzo wyniesiony i ubóstwiany niegdyś przez tłum, upojony barwnym weselem jego słonecznych świąt, upojony bujną a szeroko rozbrzmiewającą melodyą jego życia, musi teraz ustąpić miejsca nowemu wybrańcowi ludu, który zmęczony gorącym blaskiem słońca, zmęczony nadużywaniem rozkoszy, które życie połączone z pięknem dać może, pragnie teraz innych wrażeń, pragnie dreszczów mistycznyych w półcieniu kościołów, pragnie głębo-

kiej a wyrafinowanie zmysłowej rozkoszy korzenia się, bicia się w piersi, kajania się za dawnę grzechy.

Jedna i druga postać może tylko powstać na tle tak wykwintnie artystycznego miasta jak Florencya. Czuje ona teraz w Savonaroli, jak ongi w Medyceuszach wielką potęgę ducha i przed tą właśnie potęgą jego wiecznie piękna i siły spragniona dusza się korzy. To właśnie wyniesienie ponurego nieprzyjaciela sztuki przez miasto przepojone duchem jasnego słonecznego artyzmu charakteryzuje Mann następującemi słowy:

Lorenzo: Jeżeliście doszli do wielkości we Florencyi, stało się tylko dlatego, że właśnie ta Florencya jest taką wolną, tak artystycznie wyrobioną, aby Was wziąć za swego pana. Gdyby taką nie była, gdyby tylko troszeczkę była mniej przepełniona duchem sztuki, rozdarłaby Was, zamiast Was ubóstwiać. — Czy wiecie to?

Savonarola: Ja nie chcę o tem wiedzieć.

Zbyt dumnym jest Savonarola, aby się do tego przyznać. Nie chce on wierzyć, że jego wpływ zrodzony i oparty na tych samych w gruncie rzeczy czynnikach, jak wpływ Medyceuszów. Pragnie on wierzyć w absolutną potęgę swego ducha, pragnie on wierzyć, że jego wpływ nigdy nie osłabnie i że ludność Florencyi zawsze będzie drżała u stóp jego ambony. wpatrzona zmagnetyzowanym wzrokiem w jego gróźb i przekleństw pełne usta.

A jednak gdzieś w najskrytszym zakątku swej duszy, i on czuje, że jego władza kiedyś osłabnie — ujrzał on kiedyś straszne widmo stosu, widmo, które go odtąd prześladuje, ale nie chce on dopuścić strachu do siebie. Bo on, który „chce złamać wielkie skrzydła życia. nie powinien ulęknąć się przed śmiercią“. „Kocham ogień“, odpowiada dumnie na przepowiednię o losie, który go spotkać musi i twardym krokiem z wzniesionym czołem, a wyprężonym ciałem idzie tam. gdzie go ciągnie jego przeznaczenie.

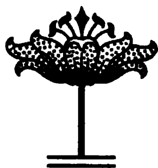
— Ostatni utwór Tomasza Mann'a jest nowym o przeczystej wodzie a kunsztownym oszlifowaniu kamieniem drogocennym w szeregu arcydzieł, które nam już stworzył jego niezmiernie subtelny, dziwnie dyskretny i jakby bojący się głośniejszych objawów — ale tem właśnie głębszy artyzm.

Dźwięki jego zawsze rozkołysanej w jakiś cichy rytm duszy dochodzą przez tę właśnie dyskretność jego talentu do nas tylko pojedyńczo, oderwanie. Przypominają one te tony jakiejś cichej melodyi granej w jakimś odległym pokoju, które kiedy niekiedy przebijają się do nas przez ściany. Wiemy dobrze, że dokładnie tej melodyi dosłyszeć nie możemy, a jednak wsłuchujemy się w nią w tajemniczem oczekiwaniu i skupieniu ducha. Bo wiemy, że każden nowy ton udzieli się duszy naszej jakimś nowym cieniem, że da on nam chwilę cichego wzruszenia, której tak łatwo nie znajdziemy gdzieindziej. *S.*

Druk ukończono 31 października 1906 r.

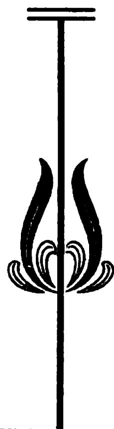
Odpowiedzialny wydawca i redaktor Wilhelm Feldman. Drukarnia Literacka w Krakowie.

Prosimy uprzejmie o odnowienie przedpłaty! Adres wydawnictwa: Kraków, ul. Stachowskiego 14.



DOM BANKOWY
KANTOR WYMIANY
WE LWOWIE, UL. HETMAŃSKA 12

SOKAL I LILIEN



kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, galic. Banku krajowego, jakoteż obligacye komunalnego Banku krajowego i oblig. pożyczki krajowej, wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszymi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia, wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje się jak najrychlej

Kantor wymiany

Filii c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie papiery wartościowe, banknoty zagraniczne i monety, wydaje przekazy na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów **bez potrącenia prowizyi.**

Filia c. k. uprz. gal. akc.

Banku Hipotecznego w Krakowie

wydaje oprocentowane **asygnaty kasowe**

oraz przyjmuje **wkładki do oprocentowania** w rachunku bieżącym i wydaje w tym celu **książeczki czekowe,** przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela **zaliczki na papiery wartościowe** i uskutecznia zlecenia na **zakupno lub sprzedaż efektów** na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.



ROCZNIK VIII. 1906.
ZESZYT XII. GRUDZIEŃ.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi:	za granicą:	w Król. i Rosyi:
rocznie	. K 12·—	Mk. 12·—	fr. 16·—	rb. 7·60
półrocznie	„ 6·—	„ 6·—	„ 8·—	„ 3·80
kwart.	. „ 3·—	„ 3·—	„ 4·—	„ 1·90
Nr. pojed.	„ 1·20	„ 1·20	„ 1·50	„ —·65

W Warszawie: kwart. rb. 1·50, półr. 3 rb., pojed. 60 kop.

ENQUÊTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE

Lettres des Mrs.

XXXIV. **A. Aulard,** *profèsseur de la Sorbonne, Paris.*
XXXV. **Gustave Hervè,** *ancien deputé, Paris.*
XXXVI. **Prince M. Kotschoubey (Orlik),** *Paris.*
XXXVII. **E. Levetus,** *Birmingham.*
XXXVIII. **Frédéric Passy,** *Neuilly.*
XXXIX. **Sully Prudhomme,** *de l'Academie, Paris.*



edakcya i Administracya: **Stachowskiego 14.**
RAKÓW 1906
ękopisów, nadesłanych bez zażądania ze strony re-
kcyi, nie odsyła się.
umer zamyka się 20-go każdego miesiąca.

Zwracamy uwagę na zmianę adresu. Redakcya i administr.: Kraków, Stachowskiego 14



(f)

W SPRAWIE POLSKIEJ.

Ankieta „Krytyki" ma się ku końcowi. Jeszcze kilka głosów, jeszcze kilka waryantów wypowiedzianych już myśli — czytelnicy poznają cały plon zebrany przez nas na niwie europejskiej, dokąd rzuciliśmy nasze pytania.

Ankieta ma cel podwójny: może informować i tworzyć opinię — swoich i obcych. Nie możemy sobie pochlebiać, by nasza ankieta spełniła zadanie swe o tyle, by zagranicą głębsze wywołała zainteresowanie. Ba, nawet polskie pisma bardzo niechętnie przyjmowały ją do wiadomości, tu i owdzie obudziła nawet niezadowolenie. Mniejsza o organa, które w ten sposób broniły się przeciw nieprzyjemnym prawdom, jakie pośrednio pod ich adresem dochodziły od znakomitości zagranicznych, jak np. potępienie zasady nacyonalizmu; mniejsza o organa, które czytając polakożerczy głos prof. Hassego, w polityce jego ujrzały — własne swoje oblicze. Ale i ze strony, mającej pretensye do współżycia duchowego z Europą, dochodziły nas wymówki: w chęci wprowadzenia sprawy polskiej na forum Europy widziano brak „godności" narodowej.

Jakżeż zmienna jest nasza opinia i zmysłu oryentacyi pozbawiona! Są momenty, kiedy każdy świstek zagraniczny, każde odezwanie się o nas pewnej obcej figury, staje się zdarzeniem ważnem, komentowanem, podstawą głębokich kombinacyj politycznych; teraz zaś ma być obojętnem, czy i co Europa o nas myśli i mówi. Doprawdy? Czy opinia publiczna narodów i jednostek reprezentatywnych jest istotnie czemś tak małoważnem, że chęć wpływania na nią ma być lekceważona, lub nawet na potępienie zasługuje? Spojrzmy co się dzieje dokoła. Ile milionów Rosya wydawała i wydaje rocznie na zjednywanie sobie opinii publi-

cznej — wybitnych jednostek — dzienników! Cesarz Wilhelm całą naturę swą niekulturalnej istoty okazuje bezustannem pochlebianiem tej sile, jaką jest dziennikarstwo zagraniczne, książęce honory oddaje redaktorom prasy obcej; każde mocarstwo, każde stronnictwo poważne stara się o wpływ na umysły obcych, tylko z naszej strony nawiązywanie stosunków, oryentowanie się w chaosie, odnajdywanie przyjaciół i nieprzyjaciół,ześrodkowanie opinii i reprezentacyi przyjaznej, miało być czemś — niewłaściwem.

Nie — bez skrzydeł reklamy, w małem kółku przeprowadzona nasza ankieta, pod pewnym względem dużo nam przyniosła: księgę naszych wiadomości rzetelnie wzbogaciła, zmysłowi oryentacyjnemu niejednej dostarczyła wskazówki. Negatywnie i pozytywnie powiedziała niemało. Naogół, i to z góry trzeba sobie otwarcie powiedzieć, odkryła w całej nagości fakt smutny i mszczący się codziennie: jesteśmy Europie nieznani, nawpół zapomniani. W sprawach polskich ignorancya Zachodu jest wprost potworną. Wszak w jednej odpowiedzi, łaskawie nam nadesłanej ze strony, zajmującej się wiedzą społeczną, musieliśmy wykreślić życzenie, by Polska zdołała się wyzwolić z pod jarzma... tureckiego! Wszak czytaliśmy pisma ludzi bardzo poważnych, ludzi istotnie dobrej woli, którzy tłumaczyli się brakiem sądu konkretnego, wypływającym z braku jakichkolwiek informacyj o ogólnem naszem położeniu i życiu. I istotnie cośmy zrobili, by żyć w świadomości świata cywilizowanego? Imię polskie dawniej było sztandarem wolności i klasy walczące, idące naprzód, przysięgały na nie, jak na miecz bojowy. Teraz — od długiego lat szeregu — dajemy Europie widok naszych parlamentarzystów we Wiedniu i w Berlinie, od których każdy zachodni człowiek się odwraca, daliśmy jej z półtuzina spiewaków i śpiewaczek, no i Sienkiewicza do fejletonów pism bulwarowych. To, co Europie mogło zaimponować, jako potęga moralna i fizyczna: proletaryat polski, ożywiony duchem walki narodowej i bohaterstwa, jak żaden drugi na świecie, żelazną swą prawicą wstrzymujący zapędy carskie i chuligańskie — to prasa i reprezentacya „ducha“ à la Sienkiewicz tak ukryła przed światem, a właściwie zakryła pod stosami oszczerstw i plugastw, że świat ów nie widzi w nas tego, co przedewszystkiem mu imponuje, z czem jedynie się liczy: siły. Z „Kołen polskiem“ żadnego z parlamentów się nie liczy — widzieliśmy.

I oto stało się, i to trzeba sobie uprzytomnić: sprawa pol-

ska w sferze świadomości ludów europejskich nie odgrywa dzisiaj roli, nie należy do aktualnych i żywotnych idei politycznych. Osiągnęli cel swój stańczycy i ugodowcy: przez tyle lat powtarzali z wszystkich możliwych trybun, że ideę niepodległości wykreślili ze sfery swego życia, że są i chcą być tylko lojalnymi poddanymi obcej państwowości, że Europa nie ma ostatecznie powodu być bardziej polską, niż reprezentanci najhistoryczniejszych nazwisk polskich. Inaczej ludzie, którzy pamiętają inne jeszcze czasy, którzy innym ulegali wpływom. Polska promieniała kiedyś duchem romantyków wielkich — i posłuchajmy, jaką miłość zdołała tem wszczepić np. w czcigodnego Tankreda Canonico; symbolem była wolności ludów — i echo tej doby odbija się w wynurzeniach Sully Prudhomme'a i Anatola Leroy-Beaulieu. Drobny legion, prowadzony ongi przez Mickiewicza, udział kilku Polaków w walce Mazzinistów, wystarczyły, aby z piersi Włochów i dziś wyrwać okrzyki entuzyazmu. A z jaką nienawiścią o antytezie owej idealnej Polski mówi znakomity H. Vambery!

Lecz nie do romantyzmu i romantyków należy dzień dzisiejszy. Kwestya polska dotyka najważniejszych problemów współczesnej polityki europejskiej, prochem jest palnym pod tronami trzech cesarzy, i racya stanu zimną wodą oblewa wszystkie serdeczne dla niej zapały. Zdawało się jednak, że jest w Europie klasa, której duszy rachuba egoistyczna jeszcze nie przegryzła, która uważa siebie za mścicielkę krzywd, za przednią straż wolności; zdawało się, że klasa ta pomna jest solidarności interesów wszystkich uciskanych, podobnie jak solidarnymi są wszyscy uciskający: do dziś dnia przyjaźń rosyjsko-pruska jest przecie spółką dwóch... przywłaszczycieli, gwarantujących sobie wzajemnie swój łup polski. „Każdy rząd — mówi słusznie rezolucya, uchwalona tymi dniami na kongresie w Limoges — zagrażający niepodległości innego narodu, zagraża jednocześnie proletaryatowi tego kraju i wszystkich krajów...“

Jeszcze pięć lat temu, gdy »Krytyka« pierwszą urządziła była międzynarodową ankietę w sprawie polskiej, pisał Karol Kautsky: »Niepodległość Polski jest zdaniem mojem koniecznym warunkiem dla zupełnego rozwoju nietylko polskiego narodu, ale i Europy środkowej i Rosyi; Prusy, tamując cywilizacyjny rozwój Polaków sobie podległych, tamują temsamem i własny rozwój cywilizacyjny...“ Dziś — wogóle w ankiecie interesującem było to, co pisano, ale również interesującem — kto nie odpo-

wiedział. Trudno wymienić, ale wymownem jest ogólne milczenie socyaldemokracyi niemieckiej. Bezpotomnie zeszli ze świata Marks i Engels; kontynuatorzy ich formuł, ale nie ich ducha, z oschłym scholastycyzmem myśli łączą oschły dyplomatyzm i w najlepszym razie z oportumistycznych względów wstrzymują się z wypowiedzeniem zdania. Łatwo jednak się domyśleć, jak zdanie to by wypadło; wystarczy sobie przypomnieć, jak mali ludzie z ziem polskich są suflerami wielkiej partyi. A jeśli o teoretyczną deklaracyę było trudno, cóż myśleć o zdolność do czynu! Odpowiedzią, niestety, mowy Bebla na kongresie manhaimskim i dyplomatyczne jego rezolucye, każące się wszystkiego raczej spodziewać, niż walki celem urzeczywistnienia ideałów międzynarodowych, cóż dopiero idei polskiej!

Z tem cieplejszem sercem przyjmujemy oświadczenia socyalistów francuskich i angielskich. Pisma ob. Hyndmana i Bernarda Shawa z prawdziwie angielską trzeźwością formułują kwestyę, stojąc na gruncie niepodległości, i można być pewnym, że w razie potrzeby — z tej strony pomoc nie zawiedzie; francuscy nasi przyjaciele nie tak może jasno zdają sobie sprawę ze sytuacyi, niemniej są ich uczucia cenne — nietylko, jako nastrój sympatyczny. Rola międzynarodowa Francyi nie skończyła się jeszcze i mimo wszystkich ubolewań komicznych reakcyonistów nad nieszczęśliwą Francyą, tak prędko się nie skończy. Ta osłabiona przez blisko czterdzieści lat rządów masońskich i republikańskich Francya ze swoją armią, zdemoralizowaną przez brak mnóstwa cnót, panujących w wojsku pruskiem i w menażeryach tresowanych — jest dotąd poszukiwaną, pożądaną sojusznicą w związkach międzynarodowych, i największa pani mórz i lądów, Anglia, coraz ściślej się z nią łączy. Minął niestety czas Delcasse'go, który odosobniwszy Niemcy, pragnął żelaznym zdusić je pierścieniem — nie minął czas króla Edwarda i prezydenta Clemenceau, którzy idei pierścienia antiniemieckiego nie dają upaść. I nie dadzą, gdyż konflikt Niemiec z Francyą polityczny, a ekonomiczny z Anglią, należą nie do przemijających tych zjawisk, które od czasu do czasu „zaciemniają horyzont polityczny", lecz do najgłębiej w psychologii i interesach tych narodów uzasadnionych procesów. Dwa te najwyżej w demokratyzacyi posunię narody, dające fotele ministeryalne przedstawicielom robotniczy w ostatnich czasach z konieczności polityczno-państwowej znow występują, jako przednia straż wolności ludów. Premier angielsk

nie wahał się wznosić okrzyku na cześć rewolucyjnej Dumy; Francya w oparciu o Anglię mniej skazana na przymierze z caratem, mogła swą politykę wewnętrzną, a właściwie także zewnętrzną powierzyć radykałowi Clemenceau, który swych uczuć przyjaznych dla Polski nigdy nie ukrywał i który mimo nacisku nie odwołuje z Petersburga ambasadora, niedwuznacznie sprzyjającego rewolucyi.

W tym składzie rzeczy z zadowoleniem należy podnieść wynik narad ostatniego kongresu socyalistów w Limoges, odrzucający z rzadką jednomyślnością antymilitarne rezolucye Hervé'go. Czytelnicy nasi otrzymują właśnie sposobność poznania jego idei z pierwszej ręki. Odczuwamy gorące źródło miłości do człowieka i człowieka cierpiącego, z którego wytrysły, ale ilustrują one doskonale maksymę „summum iust — summa iniuria". Zachowanie pokoju w interesie proletaryatu — prowadzi do stanu krzywdy, wyzysku, niepokoju tak dla tegoż proletaryatu, jak i dla narodu i narodów. Jeśli ob. Hervé chce wiedzieć, że teoryą swą dochodzi do absurdu, niech spojrzy na Polskę. Czy istotnie jestto obojętnem, żali demokracya polska tu panuje, czy car i Prusy? Państwo, jako państwo, z pewnością nie jest naszym ideałem... ale jako forma współżycia przejściowa z pewnością długo jeszcze będzie misyę swą spełniać. Silni mogą się wyrzekać pewnych środków walki — nie słabsi. Dlatego dobrze, że proletaryat francuski oświadczył, iż czuje swe interesy i chce o nie walczyć, ale nie wyrzeka się też swej woli w dziedzinie międzynarodowej. W Niemczech i w Anglii potrafią to ocenić.

Obok tych głosów — najwięcej zwracają na siebie uwagę opinie mężów z państw zaborczych i z pośród narodów, losami historycznymi z nami związanych.

Ankieta „Krytyki" w sprawie polskiej, urządzona w r. 1900, nie przyniosła ani jednego głosu z Rosyi, obecnie umieściliśmy ich kilka. Potwierdza to raz jeszcze fakt przełomu w opinii tamtejszej, fakt, o którym przed kilkoma laty mówić nie można było: mianowicie, że się zróżniczkował naród rosyjski, że teraz można i należy traktować z przedstawicielami narodu. Nie należymy do tych, którzy mniemają, że w dyskusyi wolnościowej głos mają tylko bomby, lub którzy lekceważą geniusza narodu rosyjskiego. Nie zostały dotąd stworzone warunki rzetelnego rozwiązania kwestyi polskiej w stosunku do Rosyi; tylko wolny z wolnymi może traktować; zdeptanie więc wszystkich łbów hydry despotyzmu jest pierwszym

obowiązkiem wszystkich, i wobec sprawy polskiej, nietylko ogólno-ludzkiej, nikczemny popełniają występek ci, którzy w jakiekolwiek z autokratą i jego sługami wdają się układy; po zniszczeniu dławiącej wszystkich krwawej zmory — jest i będzie dość wolnych i twórczych pierwiastków w narodzie rosyjskim, by można było nową, na zasadach niepodległości opartą erę zainaugurować. Ankieta w tem przekonaniu nas utwierdza.

Zarazem odsłania ona w całej pełni oblicze drugiego przywłaszczyciela ziem polskich — niemieckiego. Pisma pp. Delbrücka, Hassego i Engelhardta utkwiły zapewne w pamięci wszystkich, którzy je czytali; ostrością zarysów i szczerością wyrażeń nie pozostawiającą nic do życzenia. P. prof. Hasse uważał za stosowne skorzystać z ofarowanej sobie gościnności w sposób, przynoszący kulturze jego i jego pobratymców — dostateczne świadectwo; z poglądami jego polemizować na tem miejscu trudno — sklasyfikował ten rodzaj w swoim liście znakomity członek Akademii francuskiej. Małem zadośćuczynieniem dla Niemców, bo podobny ton ich przedewszystkiem hańbi, jest głos szanownego prezesa berlińskiej „Kultury etycznej;" nie wystarczy odsyłać do przyszłej ludzkości, gdy od obecnej cały naród cierpi; a czekać aż z pośród 70,000.000 Niemców większa część jednostek odrodzi się duchem podług zasad prof. Foerstera, znaczyłoby szerzyć męki i spodlenie. Trudno teraz o dźwięk czysty i szlachetny z tego kraju, który kiedyś rozbrzmiewał najpiękniejszymi czynami na cześć prawdziwego człowieczeństwa; trudno też przekonywać pp. Delbrücka i Engelhardta, iż naród żywy nie dokona operacyi, jaką byłoby odcięcie z swego organizmu dużej, zdrowej części, aby ją rzucić na łup obcemu. Jedna tylko uwaga. P. baron Engelhardt pisze: „Nigdy już polska flaga nie będzie mogła powiewać na morzu bałtyckiem. Naród o stalowych ramionach, który opancerzony w liczbie 70 milionów zajmuje centrum Europy, nie może się już obejść bez tych prowincyj i wybrzeży, które ongi należały do Polski". Odpowiemy na to: obserwator ludów i wieków nie zna wyrazu: nigdy. Historya widziała już raz Hohenzollernów u stóp polskich, historya zna większe niż obecnych Niemiec potęgi, które w proch się rozpadły. Nie życzymy tego Niemcom, ale ani my, ani nikt — śmiało to rzec można — nikt w Europie nie będzie miał współczucia, gdy Nemezis zacznie „stalowe ramiona" kruszyć i ku ziemi zginać. Czemuż pod stalowym pancerzem serce dziś bije z obawy głuchej w poczuciu swego

osamotnienia i bytu niepewnego? Czemu wzrok stalowy z niepokojem śledzi wzrost „wroga wewnętrznego“, który tak potężną prowadzi reakcyę przeciw Hohenzollernom? „Stalowe ramiona“ mieli feudali i raubritterzy — dziś w muzeach ich miejsca i w księgach niesławy; słabe złamały je warstwy ludowe i prawdy pogardzane: historya niejedno takie widziała już zjawisko, a i naród polski jeszcze je ujrzy. Tymczasem jest on już dzisiaj tak silny, że może czekać. Naród, którego jedna cząstka mogła w ciągu jednej krótkiej kampanii natchnąć 100.000 dzieci bohaterskim oporem przeciw katom ich ducha i ciała — spokojnie może spoglądać w przyszłość.

W tem leży żywotność, siła i prawo do życia. Tyle w odpowiedzi przedstawicielom ludów, związanych z Polską, którzy skorzystali z okazyi, by rzucić rękawicę nacyonalizmowi polskiemu i wysunąć stąd nieuprawnione, fałszywe wnioski przeciw prawu samookreślania się całego narodu. Mówimy to tym pisarzom, którzy radziby wskrzeszenie Polski odroczyć do czasu, gdy ta się unormuje podług ich ideału, gdy im da gwarancyę, iż nie będzie terenem dawnych nadużyć i obecnych apetytów nacyonalizmu. Nikt może tak systematycznej i bezwzględnej walki nie prowadzi przeciw uciskowi innych narodowości i obniżaniu ducha kultury własnej, jak „Krytyka“, ona też może powiedzieć tym, którzy narzekają na polski nacyonalizm: walczcie, jak Polacy. Okazujcie i wy wielkość nietylko w. nienawiści ku innym, ale i w miłości ku swoim! Umiejcie i wy natchnąć setki tysięcy dzieci i młodzieży takim patryotyzmem, jak ten, który widzieliśmy w Królestwie i zaborze pruskim. Wyprowadźcie i wy w pole takie zastępy bojowe o prawa swe nieprzedawnione, jakiemi są warstwy ludowe polskie. Prawa wyrastają tylko z gruntu użyźnianego miłością i ofiarą! Polacy, na których panowanie w Galicyi narzekacie, mają za sobą sto lat walki, mają za sobą krew, powstania; o wolność, o konstytucyę w r. 1848 w Galicyi walczyli, gdy Rusini zasiadali w Beiracie Stadiona i formowali bataliony na pomoc reakcyi. Owoce tego siewu walczącej Polski przywłaszczyła sobie klika magnacka i jej słudzy, ale też lud polski dalej walczy, hartuje się i zwycięży. Stąd, że jedna klasa wyzyskuje przemijającą swą przewagę polityczną, że na pomoc jej przychodzi ideologia, zapożyczana od hakatystów i prawdziwie russkich, stąd kuć argument przeciw całemu narodowi? zakwestyonować jego prawo do samodzielności, odmawiać mu tego, czego

się żąda dla siebie? Tem samem przeczy się też i własnemu prawu do samodzielności, bo któryż naród dziś nie ma swojej narodowej demokracyi, któreż społeczeństwo — nie wyłączając żydowskiego — nie ma antysemitów!

Wszystkie odradzające się narody, wszystkie tworzące się państwa, są w XIX wieku dziełem demokracyi; niezawisłej Polski domagają się najwięcej żywioły demokratyczne, i gdy ta powstanie — będzie z pewnością odbiciem swych twórców: społeczną i demokratyczną. Pomóżcie raczej tworzyć tę nową Polskę, o ile możecie, miast łączyć się z wrogami narodu za przewiny jednej partyi, a wspólna przyszłość lepiej i piękniej się ukształtuje. Zyskiem dla cywilizacyi europejskiej już będzie, jeśli jedna z ran — kwestya polska — będzie uleczona. „Im mniej krzywd na świecie — pisał słusznie dr Trylowski — tem więcej porozumienia i wyrozumiałości, tem więcej miłości, tem korzystniejsze warunki rozwoju kulturalnych instytucyj i uczuć altruistycznych".

Z prawdziwą przyjemnością podkreślamy, że ostatnie te słowa wyszły z ust przywódcy radykałów ruskich w Galicyi, któremu nacyonaliści polscy najpotworniejsze zarzucają zbrodnie „nienawiści i wzgardy". a który publicznie i bez cienia dwuznaczności oświadcza: „niezależny byt państwowy polskiego narodu w etnograficznych granicach jest pożądany i konieczny ze stanowiska kultury wszechświatowej".

W etnograficznych granicach! Stawiając to zastrzeżenie, kierowaliśmy się faktem, że nie nam myśleć o polityce zaborczej, że co się nie udało w wiekach wojowania ogniem i mieczem potęgi państwowej z jednej strony, a bezsilności i bezwiedzy z drugiej, to jest wykluczone w wieku XX, w czasie rozbudzonej samowiedzy narodowej u wszystkich dawniejszej Polsce podporządkowanych szczepów. Okazało się, że nie pierwsi wogóle, ale pierwsi od lat przypomnieliśmy ideę, na podstawie której mogą się zejść reprezentanci wrogich sobie, niestety, narodów, dla porozumienia i pogodzenia. Najpoważniejszy dziś polityk ruski w Galicyi, profesor Hruszewski, wyraźnie oświadcza: „postawienie kwestyi polskiej na zasadzie etnograficznej, tak jak ją Pan stawia, mówiąc o organizacyi rosyjskiej Polski w granicach współczesnego terytoryum etnograficznego — uważam za jedynie sprawiedliwą i r. alną, względnie za możliwą do urzeczywistnienia drogę do ro. wiązania tej kwestyi."

I oto druga wskazówka oryentacyjna, którą uzyskaliśmy. Zacieśnianie stosunku do tych żywiołów zagranicznych, które ku nam zachowały sympatyę i wspólnym interesem wolnościowym są zbliżone, stosunku tem aktualniejszego, że schodzi się on z ogólną dziś w Europie reakcyą przeciw Rosyi i Prusom — to pierwsza wskazówka; druga: budowanie na podłożu tych idei programowych, któreśmy usłyszeli od przedstawicieli ludów, dolą i niedolą dotąd z nami związanych. I gdybyśmy w Polsce mieli stronnictwo narodowo-demokratyczne w prawdziwem słowa znaczeniu, nie zaś jeno karykaturę, gdyby istotnie istniało stronnictwo, lub przynajmniej poważne, silne grono, stojące ponad partyami, a widzące swe zadanie w strzeżeniu i bronieniu idei niepodległości u swoich i u obcych — dawno już byłyby stosunki ponawiązywane, z czasopism francuskich i angielskich, z trybun parlamentarnych i korporacyi i meetingów codziennie gromowe podnosiłyby się głosy, krwawy cień Polski, wsparty o ramiona miliona walczących synów, zawisłby nad Europą, jako siła władna...

Nie wpadamy w przesadę, nie wpadamy w naśladownictwo starych błędów. Wiemy, ile rozczarowań krajowi przyniosło oglądanie się na pomoc obcą, wiemy, jak daleko od słowa do czynu. Ale z drugiej strony nie wpadajmy w ostateczność przeciwną. „Italia fará da se“ — mówili dumnie Włosi i ostatecznie osiągnęli swój cel... dzięki zawikłaniom, wojnom i sympatyom europejskim. Polacy zbyt dużo przecierpieli, zbyt gorzkich doznali zawodów dzięki Europie, by mogli jeszcze mieć złudzenia zbyt daleko idące. Ale w mniejszych sprawach głos Europy łatwo wzbudzić i ma on znaczenie niezaprzeczone. Czy np. rząd pruski pozostałby spokojnie przy systemie torturowania dzieci, gdyby zwrócił się przeciw niemu huragan oburzenia publicznego Francyi, Anglii? Co zaś najważniejsza: kwestya polska jest wszakże kwestyą międzynarodową. A dopóki tak jest — nie powinno się, nie wolno wyrzekać się wpływu na ten potężny czynnik, którym jest opinia publiczna. To ankieta przypomniała, dająca zarazem wskazówki, gdzie przyjaciel. Zarazem przypomniała w chaosie walki zapomniane już prawie mosty, prowadzące ponad przepaść polsko-ruską, ku krainie porozumienia.

Nastrój realistyczny dzisiejszego świata nie pozwala przeceniać wpływów czysto ideologicznych. Szaleniec, kto zbytnio na nie liczy. Ale żyjemy w czasie, który wyprowadził w pole walki

o Polskę armię, jaką niedawno chyba tylko poeci we snach swych widywali. Potężne kadry zorganizowanego ludu polskiego niezrównaną determinacyą i wiarą wyraziły swą wolę, i mimo wszystko, co się dzieje, broń mogą na razie ukryć, ale ani nie wydadzą jej nieprzyjacielowi, ani nie skruszą. Wojna mimo względnej przegranej, długo jeszcze będzie się ciągnąć. W takim momencie oryentacya co do stosunków zewnętrznych i międzynarodowych pierwszorzędnej jest wagi.

Materyał przez „ankietę" dostarczony ma tedy swoje znaczenie. Wszystkim, którzy raczyli go nam udzielić lub pracę nam ułatwić, głęboką wyrażamy podziękę.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

ŚNIEG.

Przypruszył biały śnieg
jesienne liście złote,
przypruszył rdzę i krew
rozpłomienionych drzew,
skrył czarnych pól tęsknotę
śmiertelny biały lęk.

jeszcze pajęcza nić
snuła się po zagonach,
jeszcze się w zawieruchy
miotały nasion puchy,
a pusta ścierń o plonach
nie mogła przestać śnić...

jeszcze ramiona bruzd
prężyły się na łanie,
jeszcze się głogu krzew
w owocną stroił krew, –
gdy nagle spadły na nie
całuny zimnych chust.

Stanęły leśne drzewa
jak białej śmierci tum,

samotna każda debra
ziskrzyła się od srebra,
a zimny wiatru szum
śmiertelną pieśń im śpiewa.

Na ornych pól fiolety,
na czarnej ziemi krzyk,
aż po najdalszy brzeg
całunem upadł śnieg —
i świat żywota znikł
w topielach białej Lety.

Zda się w tej fali śnieżnej,
gdzie wszelkiej nędzy kres,
świat cały słucha w głuszy
tęskniącej własnej duszy,
już wobec żądz i łez,
zatopion li w bezbrzeżnej,
tęskniącej, własnej duszy.

Wszak pomnę, dobrze pomnę:
trza serca w dłoni nieść.
Poprzez umarły świat,
przez śniegi pól ogromne,
jak purpurowy kwiat,
jak dobrą ludziom wieść —
trza serce w dłoni nieść.

Choćbyś się zginał w męce,
choćby cię łamał ból,
ty musisz iść jak król,
z krwawiącem sercem w ręce
przez ścieże drętwych pól.

A białe łany drzemią
w miesiąca smętnej jaśni
jak w nieskalanej baśni,
co płynie ponad ziemią...

O zaśnij życie, zaśnij!
śniegowe pola śpią...

Z wędrownych, lotnych chmur
sypie się białe kwiecie
i w blasku skroś się pławi
i ściele się po świecie,
jak puch anielskich piór.

A serce w dłoni krwawi
i plami śniegi krwią.
O zimne białe pole,
o ciosy śnieżnych kras, —
nad dolę i niedolę
umiłowałam was!

Skroś krwi palące zdroje
na wieczne nieukoje
serce się rwie skrzydłami
i kocha własny ból...

Spaliłam serce moje
niechaj swą krwią nie plami
niepokalanych pól!

I żużel niosłam w dłoni,
aż zetlał w popiół szary,
aż zetlał w szary proch.
Rozwiałam proch w bezmiary
na chmur lecące mary, —
niech je po śniegach goni
zimnego wiatru szloch.

Niech nic się nie ostanie,
prócz onej lotnej mgły,
co w pustce dzierży straż
na zamarźniętym łanie...
Śnieg upadł mi na twarz,
jak dobre ciche łzy.

Spaliłam serce moje:
jako bezpłodny perz,
co w jesień na ugorze
płomykiem drobnym gorze
i wlecze dymu zwoje
poprzez umarły ścież.

I oto patrzę w ciebie,
ty biała, polna głuszy,
gdy mgłami wiatr kolebie
i pył srebrzysty pruszy. —

I błogosławię tobie
w bezmiarze pól pod mgłą:
że jesteś Boży lek
na wszelkiej nędzy grobie,
żeś ze mną już po wiek,
i żeś po wieki mną!

A wtedy chociaż wiem,
że wszystko złudą złud,
w jedyny wierzę cud,
że ty nie jesteś snem!
że trza wytoczyć krew
i zdeptać serce własne,
by twój usłyszyć zew
i pojąć wieści jasne
twych nieobjętych stref.

I ginę w tobie ciszy, —
ty biała, polna głuszy,
w której się jeno słyszy
tęsknotę własnej duszy.

BENEDYKT ELMER.

KRYTYKA FILOZOFII.

„W tem mój los i moja historya, że kiedyś przed wielu laty, jako młody człowiek, oczekiwałem od filozofii czegoś bardzo wielkiego — lecz w istocie doznałem tylko jednego wielkiego zawodu".

Tak wyznaje Rudolf Willy i składa dzieje swego rozczarowania w formie krytyki filozofii [1]). Ponieważ Willy uważa filozofów za problematyczne natury, reprezentujące w najbardziej uduchowionej i skoncentrowanej formie ferment i mięszaninę kulturalną, pojmuje zaś i dzieli ludzi na produktywnych i mniej produktywnych, przeto krytyka jego przechodzi w dyagnozę historycznego konfliktu między wiedzą szkolną a produktywnością.

Pominąwszy, że podział ludzi na dwa typy skrajne jest grubem uogólnieniem pewnych tylko jaskrawych, przeciwnych cech (— uogólnieniem w rodzaju nietzscheańskiej przepaści pomiędzy indywiduum a masą —), nie zaprzeczę, że sam problemat filozofii, jako czynnika produktywnego (względnie nieproduktywnego), nabiera jako kryteryum kulturalne doniosłości pierwszorzędnej.

Problemat ten formułuje Willy w następujący sposób: „1. Jakie rozstrzygające (czysto istotne) zasadnicze rysy wykazuje nasza ludzka przestrzenno czasowa zmysłowość, czyli zasadnicze doświadczenie (Grunderfahrung)? 2. Jaki człowiek — jaki typ człowieka dorósł jako człowiek twórczy owym rozstrzygającym zasadniczym faktom — i jaki typ inny obawia się jako mniej udały, mniej twórczy owego zasadniczego doświadczenia?"

Następnie zaś wykazawszy we wszelkiem doświadczeniu trzy momenty (wszystko jest 1. zmysłowe i indywidualne, 2. zmienne, 3. przestrzenno-czasowe), posuwa się Willy do podstawowego twierdzenia, które „odkrywa w zasadniczem doświadczeniu źródło produktywności".

Że „zasadnicze doświadczenie" Willy'ego może być „źródłem" twórczości — przyznaję, czy jednak ono wyłącznie niem być musi — powątpiewam. Bo mimo, że „sama prawda nie jest żadną prawdą", mimo, że „prawda nie jest czemś dla siebie — lecz zawsze czemś w tym lub owym kierunku ocenionem", mimo więc, że prawda jest wartością, jej (prawdy) zaś legitymacyą produktywno

[1]) Gegen die Schulweisheit. Eine Kritik der Philosophie von *Rudolf W* München, Albert Langen 1905.

— zapytuję, z jakiego powodu każda inna „prawda“ mytologiczna, religijna lub metafizyczna nie miałaby zawierać czynnika twórczego.

Z założenia mianowicie, że tyle jest twórczości, ile indywidualności ludzkich, które wychodzą z rozmaitych, niejednokrotnie wręcz przeciwnych stanowisk (teoryo-poznawczych „prawd“ w tym wypadku), dojdziemy — jak sądzę — tylko na drodze porównania indywidualnych treści twórczych do ogólnego prawa, wyrażającego funkcyonalny stosunek „prawdy“ do „twórczości“.

Będzie może wówczas zupełnie zrozumiałem, że na pewnym stopniu rozwoju dziejowego i indywidualnego nie mogą filozofowie wytrwać z należytą ostrożnością i cierpliwością przy najogólniejniejszych abstrakcyach rzeczywistości (które przy całej swej wartości oryentacyjnej z jednej strony, podwiązując równocześnie ze strony drugiej inne czynności duchowe i zamykając dowóz materyału życiowego, są przecież tem niezawodniejszym środkiem do wyjałowienia, im wyłączniejszą zyskują przewagę), lecz ulegając przemożnemu naporowi bardzo skomplikowanych potrzeb życiowych (etycznych, estetycznych, religijnych, społecznych) wchodzą *in medias res* — na koszt prawdy.

Produktywna tedy krytyka, przyznając wprawdzie (Willyemu), że filozofia i jej systemy nadają się pod niejednym względem do biblioteki kuriosów, przejdzie jednak nad błędami (i prawdami) filozoficznemi do porządku i badać będzie przedewszystkiem drogi, na których filozofowie zaspakajali swe potrzeby twórcze, w dalszym zaś dopiero ciągu takie postawi (przyszłościowe) zagadnienie: jakie warunki spełniając, wytwarza filozofia najlepszą podstawę twórczości najróżnorodniejszej, najwszechstronniejszej, najbogatszej...

Jak więc podział na ludzi produktywnych i mniej produktywnych był równoznaczny ze sztucznemi, skostniałemi granicami, nieszczęśliwie zastępującemi dwa końcowe człony jednego ciągłego (rozwojowego) szeregu, tak „zasadnicze doświadczenie“ Willyego nie jest jedyną (jakkolwiek ewentualnie najlepszą) podstawą twórczości.

Ponieważ wszelka dotychczasowa „prawda“ występowała prawie zawsze bądź z pretensyą wyłącznej wartości, bądź bez potrzeby legitymacyi twórczej, zdaną była i wszelka twórczość jedynie na łaskę instynktu twórczego; że zaś tem samem traciła twórczość na pełni (doskonałości), jest konsekwencyą faktu, iż jednym z warunków (doskonałej) twórczości są zamiary na twórczość skie-

rowane. (Są jeszcze inne kryterya „prawdy“: czy jest ona „logiczną“, chociaż kłamie „poczuciu“; czy sprawia ulgę, czy hamuje popędy, czy jest aż nadto „pojedynczą“ lub „głęboką“, czy „moralną“, czy „estetyczną“...)

Jednym z najostrzejszych, historycznych przejawów omawianego konfliktu między wiedzą szkolną a produktywnością jest — ze stanowiska „zasadniczego doświadczenia“ — metafizyka. Przekroczyć całość doświadczenia — w tem jej usiłowanie: negacya „zasadniczego doświadczenia“ — jej rezultat. „Zasadnicze doświadczenie jako źródło produktywności — powiada Willy — jest alfą i omegą; metafizyka jako negacya i zaprzeczenie tego źródła jest najgłębszą przyczyną wszelkiego kulturalnego zastoju w najwyższych dziedzinach ducha“.

Między przykładami figuruje Plato jako pomylona (tragiczna) egzystencya, w której dyalektyka i ideologia zyskały przewagę nad społeczną działalnością reformatorską; jako zapowiedź scholastycyzmu, który poprzez średnie wieki dziedzicznie nas obciąża. Godny następca: Arystoteles, jeszcze godniejszy poprzednik: Parmenides, który swą groteskową zarozumiałością pojęciową reprezentuje grecką sofistykę i niewolniczość słowa w jej najnaiwniejszej i najjaskrawszej postaci. W Heraklicie spotykamy wprawdzie znaczne intermezzo historyczne, lecz powodzenie było po stronie jego przeciwnika Parmenidesa. W spadku po Demokrycie, arcykapłanie przyrodoznawstwa, dziedziczymy święte atomy, krążące w czarnej nieskończoności, przed którą jeszcze dość liczni współcześni ściśle naukowi filozofowie natury korzą się, pełni głębokiej wzgardy wobec łudzącej, zwodniczej „czasowo-przestrzennej zmysłowości“, nie pomni jednak, że atomy i pusta przestrzeń są wyłącznie fikcyjnemi pojęciami, które spełniają tylko pomocnicze czynności i są tolerowane — dopóki służą. Sztuki magiczne Demokryta znalazły jako filozofia chłopska najliczniejszych wyznawców.

W nowszej filozofii przybrał ponadto przełom metafizyczny — pod wpływem rozkwitającej metodologii — nową formę przełomu metodologicznego, którą Willy — wiercąc sposobem Nietzschego za „komenderującemi osobistościami“ — szczególnie na trzech pacyentach demonstruje. Są to założyciele nowożytnej filozofii: Hobbes, Descartes, Baco. Baco, „wrzaskliwy trębacz i szarlatan“, wystę pował z pretensyą na pioniera przyrodoznawstwa, niezachwiany w przesądzie, że „metoda jest sprawą dla siebie“; polecając wię przyrodnikom przyrodę, podziwiał w sobie posiadacza metody, któr

cuda zdziała. Kartezyańskie *cogito* i skeptycyzm: to tylko „kiepska — bardzo przejrzysta maska", przywdziana na arenie kościelnej Francyi XVII. wieku — dla powodzenia. Wszakże Kartezyusz, który zwierzęta pojmował jako automaty, nie znał innych potrzeb prócz przyrodniczo-mechanistycznych (i matematycznych), pozbawiony zaś daru spostrzegawczego, przeceniał metodę dedukcyjną i bujną, czysto pojęciowo-konstrukcyjną robotę hypotetyczną. „Chociaż pełen myśli, przeszedł jako filozof natury z przewiązanemi oczyma przez świat". Zresztą ślubował — jako człowiek dorosły — Najśw. Pannie i odbył pielgrzymkę, w czem jest dowcipniejszym nawet pierwszy lepszy współczesny oświecony filister — nieprawdaż? Hobbes, jeszcze matematyczniejszy, niż Kartezyusz, węszył wszędzie matematykę: myślenie sprowadzał do arytmetycznej operacyi, za pomocą której usiłował światła i barwy ze świata wyrugować. Codziennym chlebem Hobbesa była logika średniowieczna i Arystoteles, jedynem (jasnem) zdarzeniem jego życia częste osobiste obcowanie z Gassendim. Gassendi miewał pomysły, Hobbes ubierał je jako wyszkolony logik — w system.

W tym tonie musztruje Willy innych filozofów, których metafizyczne koncepcye przesłaniają mu wsparty na nich widnokręg twórczy, tak, że Leibniz wychodzi jako „żywy szpargał", Spinoza jako „bezkresna, lecz wzniosła pustynia", która działa urokiem pewnych słownych symbolów, sprzęgających mistyczną ekstazę i trzeźwą demonstracyę.

Posłuchajmy jednak, jak mówi Willy o swych przodkach w empiryzmie, którzy wprawdzie logicznie są w znacznej mierze przezwyciężeni, nie bardzo jednak odbiegają od kierunku „zasadniczego doświadczenia". Locke, praktyczna gospodarska angielska głowa, wyminął manowce szkolnej dogmatyki, lecz w ogólności układał w system tylko mniemanie przeciętnego człowieka. Berkeleya świat jest wprawdzie wyobrażeniem, ale — niekonsekwencyi i Bogu dzięki — odzyskuje ono całą konkretną pełnię naszej ludzkiej rzeczywistości. U Hume'a, poprzednika Kanta, poroniła pełna żywa rzeczywistość dwie abstrakcye: „Gdy Hume patrzył jako badawczy psycholog na świat, mówił: wszystko jest tylko przemijającem przeżyciem"; jeśli oczy zamknę, zniknie świat zewnętrzny. Gdy w nim jednak brał górę człowiek naturalny, mówił: świat zewnętrzny jest rzeczą w sobie; jest on trwały, ciągły, i pozostaje zawsze ten sam". „Biedny Dawidzie"!... „wprawdzieś sam określał problemat istoty wiary w rzeczywistość jako niedo-

rzeczność“, lecz nie naprowadzony przez Willy'ego na pomysł, że „my sami i świat jesteśmy przecież ostatecznie nierozłączni“, popadałeś w coraz większą bezradność. Bo „inaczej nie miałbyś wogóle powodu mówić jeszcze poważnie o problemacie przyczynowości“. (Nawiasowo: jest to niezaprzeczona zasługa Hume'a, że najżywotniejsze zagadnienie historycznej filozofii, to jest zagadnienie przyczynowości, weszło na nowe tory...) Dopiero jako historyk zapomniał Hume o swych „złych snach filozoficznych“ i stał się produktywnym...

Operacye Hume'a prowadził jeszcze scholastyczniejszemi narzędziami Kant, który los swój widział w tem, że „był zakochany w metafizyce“. Prosektoryum jego wydało następujące światy: „1. affekcyę zmysłową, 2. aprioryczną formę przestrzenną, 3. aprioryczną formę czasową, 4. konieczność, 5. powszechność. Razem więc —: trzy kiepskie światy, jeden świat zbyteczny i jeden bardzo wątpliwy, mieszany świat. Tych pięć kiepskich światów zszył Kant syntetycznie i zrobił z tego jeden dobry świat —: mianowicie (transcendentalne) syntetyczne doświadczenie *a priori*“.

Takie niespodziane rezultaty zdobył Kant jednem (głośnem w Europie) pytaniem: „jak możliwem jest doświadczenie?“ Odpowiedź brzmi: „tylko tak, że my sami, a mianowicie nasz rozum doświadczenie stworzył i ustawicznie stwarza. Co to za rozum? Czy może tuzin kategoryi? Sam Kant był oczywiście tego mniemania. Lecz ów lichy volapük o dwunastu słowach jest bardzo smutnym żartem. Nawet ściśli kantyści nie brali tego żartu na seryo, lecz ograniczają się na przyczynowości“.

Jeżeli więc Willy już w krytyce klasycznej (twórczej w wielkim stylu) filozofii nie wyszedł poza miary logiczne, maskowane pozorami psychologicznej charakterystyki, tem mniej mu to było możliwe i cenne w krytyce epigonów pokantowskich i filozofii współczesnej, której reprezentanci bądź kompilują, bądź przeżuwają.

Nawet Avenarius, wysoce oryginalny reformator empiryzmu, nie znajduje łaski w oczach Willy'ego, któremu — kto wie — czy nie jest duchowym ojcem. „U Avenariusa — powiada Willy — był silniejszym metodyk, niż człowiek estetyczny“. Psychologiczne spostrzeżenia służą mu jako środek do celu; celem zaś „harmonijna społeczna równowaga w teoretycznym i praktycznym kierunku Avenarius stawiając taki cel, stwarza — zdaniem Willy'ego — sz blon. Jeśli to jest szablon, to nie uwarunkowany on chyba szabl nem biomechanicznej teoryi Avenariusa, bezpłodnej na ogół, ja

kolwiek właśnie estetycznie wartościowej konstrukcyi. Mach natomiast jest — według Willy'ego — żywym przykładem, że „nie ogólniki i szablony filozofów, lecz indywidualizowane uogólnienia pozytywnego badacza (lub artysty) dają wielki związek wszelkiej wiedzy".

Resumé Willy'ego:

„Historya wykazuje, że u filozofów ustępują właściwie twórcze energie — zmysłowość i fantazya — na korzyść logicznego formalizmu i systematyzującej czynności uczonego... Filozofowie nieprzychylni temu, co jest zmysłowo indywidualne, a zatem i produktywnej fantazyi, dają ogólnikom i formalnym możliwościom pierwszeństwo. Są to zatem bardzo wyćwiczeni, bardzo wyrafinowani —: niezmordowani — bardzo wśrubowani dyalektycy, którzy umieją doskonale wystawiać dowolne możliwości myślowe w świetle prawdopodobieństwa. Albowiem tak dalece przeważa u filozofów czysta technika myślowa i myślowy mechanizm — i tak dalece ustępuje żywa obserwacya i artystyczna zdolność kształtowania na plan dalszy, że czyste możliwości myślowe — a pomyśleć można wogóle wszystko, co nie zawiera słownej w sobie sprzeczności — wypierają pewne doświadczenie lub je rozwiewają w komeci ogon".

Czy jednak Willy nie czyni jak w owem przysłowiu: „er schüttet mit dem Bade das Kind aus?" Godząc na formalizm i bezduszną metodę, czy nie wykonywa Willy mimowoli ataku na wszelką metodę, na wszelkie pojęcia? Do tego wniosku wiedzie i takie rozróżnienie Willy'ego: „Celem przyrodnika są ogólne (i ogólnie ważne) twierdzenia". „W najostrzejszem przeciwieństwie do tego znajduje się psycholog", którego przedmiotem jest „człowiek konkretny". ...„istnieje więc może tyle (mnogich) psychologii, ilu jest indywidualnych ludzi? Nie rozumiem, czy jest to wogóle inaczej możliwem?"

To rozróżnienie jest jednak nieporozumieniem. Cele przyrodnika i psychologa są takie same, lecz nie w tych samych dziedzinach urzeczywistniane. Są to cele oryentacyjne. Wyniki przyrodnicze przybierają wprawdzie najczęściej ogólną (i ogólnie ważną) formę; jeżeli jednak nie identyfikujemy pojęcia „ogólny" z pojęciem „ogólnikowy" — czy nie będzie tylko taka (ogólna) forma pożądaną w psychologicznych wynikach? Zstępując bowiem od pojęć najogólniejszych do mniej ogólnych obejmie psychologia „ogólna" w coraz bogatszych konkretyzacyach najróżnorodniejsze stany konkretne, przez co zaspokoi potrzeby naukowe, to jest potrzebę „naj-

zupełniejszego ekonomicznego opisu". Cały zaś konkretny człowiek będzie raczej przedmiotem psychologa artysty, niż psychologa teoretyka. Jeżeli jednak już zajął Willy stanowisko psychologii konkretnego człowieka, to albo bezpodstawnem jest jego rozczarowanie do filozofii, albo zgoła inną (nieuświadomioną) ma ono podstawę. Bo jeśli przekreślamy filozofię, filozofów tem samem nie przekreślamy.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

ANTYSEMITA.

(Dokończenie).

Naraz ukazało się kilka pędzących co tchu postaci. Biegli środkiem ulicy rzucając jakiś okrzyk. Wyglądali na posłów, którzy zwiastują nieszczęście. A kędy przemknęli czynił się popłoch. Jedni uciekali, jak gdyby w obłąkaniu i zaczynali głośno zawodzić biedni, — matki z lamentem nawoływały dzieci, zbierały je dokoła siebie i brały w objęcia, zamykano magazyny, drzwi domów, okna, bramy... Oto spieszył jakiś starzec o długiej, białej brodzie z paczką grubych książek i gubi w pośpiechu kalosze czy pantofle — oto straganiarka rozsypała po drodze miedziaki — oto piękna, młoda żydówka prowadziła ociemniałą babkę, która nadaremnie pytała co zaszło... Rozlegały się jęki i krzyki, słychać było płacz, trwał trwożny lament — potem umilkło... Zda się śmierć przeleciała nad dzielnicą, nigdzie twarzy ludzkiej, żadnego odgłosu, zaryglowane drzwi, zawarte bramy, zatrzaśnięte okienice, cisza martwa i niema, cisza przerażenia i zgrozy... Grzybowski patrzał zdumiony, nie mógł zrazu pojąć przyczyny. Za chwilę zrozumiał.

Od strony miasta szła fala ludzi.

Zbliżali się, poprzedzała ich wrzawa, groźny pomruk, jakiś dziwny okrzyk, pełen strasznego znaczenia. Tak przed burzą warzy w czarnej chmurze nieustający grzmot. I rzucili się w wązkie ulice, jak gdyby stado rozjuszonych bawołów, napłynęli wzburzonym nurtem, niby gwałtowna powódź, spadli na cichą dzielnicę jak rozszalały huragan. Zaczęło się dzieło zniszczenia, był dzień pomsty. Zakotłowało się, zawrzało, rozpętały się złe moce. Jednym skokiem wściekłe zwierze spuszczone z uwięzi, rzuciło się na ofiarę swoją, tratowało ją nogami i z rykiem radosnym pastwiło się nad nią.

Dzika tłuszcza szalała.

Trzeszczały drzwi i bramy, pękały szyby, z mieszkań wydobywały się krzyki i jęki, słychać było strzały w magazynach — drapieżne, niszczycielskie ręce rwały, biły, tłukły, łamały. I leciały przez okna na bruk krzesła i stoły, lustra i szklanki, poduszki, zwoje jedwabiów, futra... Czasami na stos rupieci i towarów spadło dziecko. Tu na środku ulicy sześciu oprawców trzepało trzęsącego się starca, żeby wyrwać z niego wyznanie, gdzie ukrył pieniądze, tu celnemi rzutami kamieni miażdżono głowy uciekających z matką chłopaków, tu zdzierano szaty z młodej dziewczyny, tu kopano nogami kobietę, która czołgała się i coś prosiła... tam dalej mordowano tych, którzy próbowali się bronić... Wysoki mężczyzna w dopiero co zrobionym słomkowym damskim kapeluszu, chwyciwszy w pół rozjuszonego walką wyrostka, bił nim o mur, dwu młodych wyrobników o zasmolonych twarzach nożami powoli krajało niskiego żyda w długim hałacie... żyd wymachiwał rękami zabawnie.

A nad tem wszystkiem wznosiła się wrzawa, podobna do jęku, złożonego z tysiąca krzyków, zawodzeń, skarg, wołań, płaczów i leciała w niebo dalekie, spokojne, zasnute białemi chmurami.

Potem rozlało się szeroko żółte i czerwone morze płomieni, niby dyszące nienawiścią, okrutne a śmiejące się oblicze, ogień ukazywał się w coraz to w innych oknach i chychotał, trząsł się, skakał, pełzał, przewijał się, tańczył, bawił.

Śmiejący się czerwony ogień pracował — pracowała przy jego pomocy dzika tłuszcza.

Czarny dym buchał z domostw kłębami i płynął w niebiosa, mącąc ich pogodną białość. W kłębach dymu, śród lecących głowni i iskier w trzasku pożogi tłum hulał, pił, mordował, niszczył. Z płonących mieszkań wyrywał się czasami straszliwy okrzyk ludzi, którzy ginęli, czasami wesoło i skocznie odezwała się harmonijka... Tańczono...

Grzybowski osłupiały stał i patrzał. Potrącali go ludzie, ktoś wsunął mu w ręce niemowlę, sypały się na niego iskry, oblewało go piekielne gorąco — nie mógł poruszyć się z miejsca.

„Oto przyszedł dzień pomsty, spadł ognisty deszcz“.

„Oto jest ten dzień, któregośmy czekali, naleźliśmy i ujrzeliśmy“.

Czekał i pragnął. Teraz nie wiedział, sam nie pojmował, nie mógł ogarnąć. Jakiś niemy płacz dławił mu gardło. Niemowlę kwiliło na jego ręku.

Dopaliły się domy, zbliżał się mrok — dzikie zwierze odbiegło

nasycone od poszarpanych zwłok — zaległa cisza, wówczas z dzieckiem wrócił do swego domu, który ocalał.

Po raz pierwszy od tylu lat nie otoczyła go urągliwa świta, po raz pierwszy cicho było przed domem. Obóz wroga znikł... Znów jak przed laty dwór Grzybowskich panuje nad pustą okolicą i on jest panem u siebie. Niema natrętnych przybyszów.

Starzec położywszy gdzieś kwilące niemowlę usiadł. Był tak znużony, jak gdyby to on dokonał strasznego dzieła. Płacz dławił mu gardło i nie mógł poruszyć się z miejsca, jak tam przez wszystkie godziny dnia.

Alboż on pragnął tego?

I stanął przed nim mąż uciśnionego narodu, mąż niedoli i żałości i targał szaty, i rwał włosy swoje i biadał.

„.....panny moje i młodzieńcy moi polegli od miecza, pobiłeś w dzień zapalczywości twojej, pomordowałeś a nie zmiłowałeś się...“ brzmiały znane słowa.

Alboż on pragnął tego?!

Grzybowski siedział niemy i martwy, osłupiały, ogarnięty niezmiernem znużeniem.

Zapadła noc i cicho rozpostarła swoje czarne bramy. I w mroku ożywił się naraz martwy i pusty od dawna dwór. Ze wszystkich stron, z ciemności jęły wyłaniać się strwożone postacie, wchodziły do domu, wychodziły, wracały. Szeptano z gospodarzem, odbywały się jakieś narady. Ogromne pokoje zaludniły się. Był gwar trwożny i nieśmiały, niby na okręcie po burzy między rozbitkami. Tu piszczały i kwiliły dzieci, wśród których uwijały się matki w łachmanach, tam rozlegały się jęki rannych, popalonych, pół żywych, których rozmieszczano na podłodze. Znoszono jadło i lekarstwa, gotowano strawę, opatrywano chorych, lekarze wydawali jakieś rozkazy. Szept nieszczęścia snuł się po domu.

Grzybowski pomagał jak umiał, pochylał się nad rannymi, karmił dzieci, opiekował się tymi, którzy krewnych nie mieli. Posyłano go do apteki, po chleb, po doktorów — chodził posłusznie, spełniał wszystkie polecenia... Tu zabawiał dziecko, które popłakiwało, tam stał nad starcem, który zawodził i bez końca kiwał głową, tam znowu zajął się młodą kobietą szczególnie zbolałą... Oto od wielu już godzin płakała cicho pod oknem wpatrzona w noc nieprzytomna, odrętwiała. Grzybowski zbliżył się do niej, zmusił do jedzenia, zaprowadził do łóżka, rozmawiał, mówiąc jej jak dziecku ciche, dobre, proste słowa... A gdy nie było już nic do

roboty, gdy znużezi posnęli, wędrował z pokoju do pokoju, przyglądał się spiącym, jak gdyby ich liczył, stawał i znowu chodził ostrożnie na palcach.

Jakaś nowa myśl zakwitła w nim niespodzianie w tym strasznym dniu i chciałby ją powiedzieć głośno, powiedzieć wszystkim tym spiącym, każdemu z osobna i wszystkim razem... Ale milczał i tylko uśmiechnął się.

* * *

Minęło lat kilka. Wróg odbudował spaloną dzielnicę, na nowo rozłożył swój obóz, rozwielmożnił się. Te same były warstaty, domy, fabryki, nazwiska, twarze — wszystko było jak dawniej. Tak samo oblegano dom Grzybowskiego; tak samo we wtorki biegły za nim czeredy dzieci i wyrostków; po krótkiem zawieszeniu broni rozpoczęła się dawna wojna. Wróciły nienawiść i złość. Dzień jeden trwała miłość — tydzień przyjaźń — miesiąc życzliwość — rok zgoda.

Rozbitki, którym Grzybowski dał przytułek, dokuczyli mu srodze. Zabrano mu cały dom i pomiatano nim jak sługą. Zamiast wdzięczności okazywano mu lekceważenie. Musiał słuchać, spełniać rozkazy, znosić żarty. On zaznaczał i podkreślał, że jest panem domu tego i że świadczy im dobrodziejstwo — oni szydzili z niego i z jego pańskich narowów. Wreszcie prysło w jego sercu miłosierdzie, któregoś dnia uniósł się i wyrzucił tych, których przygarnął. Nie dość na tem — po niejakimś czasie rozpełzła się po dzielnicy jadowita wieść, iż on należał do sprawców nieszczęścia, był podżegaczem.

„Antysemita" chodząc co wtorek do miasta namówił, rozpalił, popchnął tłumy, antysemita w dniu klęski stał i patrzał ucieszony — widzieli go wszyscy — antysemita niby przyjął do siebie nieszczęśliwych a potem wypędził, antysemita niósł jakąś chorągiew...

Tak powtarzano sobie i jadowita wieść stała się prawdą. Uwierzyli temu i młodzi i starzy, cała dzielnica zapłonęła nienawiścią i rozpoczęła się wojna na prawdę. Nigdy jeszcze nie było takich szturmów, napaści, prześladowań, przykrości drobnych a jadowitych. Bito Grzybowskiemu okna, rąbano drzewa w parku, ponieważ on je kochał, próbowano parę razy podłożyć ogień, we wtorki trudno już było chodzić.

Starzec bronił się, postanowił wytrwać na stanowisku, na

ostatniej placówce i stał mężnie. Nękał go tylko wyrzut, nękała go złość do siebie samego.

Żałował, iż owej nocy roztkliwienia i słabości nie spalił dworu swego ze wszystkimi rozbitkami. Dał się porwać małodusznej czułości, miłosierdziu i grzesznej litości, zapomniał prawa wojennego, zapomniał, że to był wróg nie osobisty, ale wróg narodu. Dziś nie rozrzewnią go żadne skargi i łzy, nie rozbroi żadne nieszczęście. Do końca dni swoich zostanie wrogiem śród wrogów, katem bez litości, do końca dni swoich będzie się wstydził... A zbliżał się już koniec dni, dopalała się świeca, urywało się twarde, bojownicze życie.

Grzybowski pochylił się, osłabł, zniedołężniał. Przestał chodzić po pisma we wtorek, nie mógł czytać, ogłuchł.

Leżał teraz całemi dniami, sam w ogromnym pustym domu. Gryzł bułkę, którą przynosiła zrana uboga służąca, gryzł surowe myśli swoje, myśli opuszczonego starca, który patrzy w śmierć. Czy długo już leżał, nie wiedział. Minęło lato, nadeszła jesień. Do posępnego pokoju przestało zaglądać słońce, jasny przyjaciel samotnych, ciepły pocieszyciel starych.

Leniwie płyną godziny, noce bezsenne, dnie... Ogromny, ponury dom jest jak grób. Nie ma w nim gawędy o rzeczach dawnych, drogiej gawędy starych sprzętów. Martwa cisza, posępny mrok, samotność i choroba.

W tych samych pokojach tupotały niegdyś jego kroki, kroki jego braci, szczęśliwe, wesołe, dziecinne. W tych samych pokojach tyle dni, tyle myśli, tyle radości, smutków. I przypominały mu się południa letnie, ścieżka przez ogród cała w słońcu, trawnik pełen kwiatów i jakiś śpiew może matki, może braci, może jego własny... I tęsknił do tamtego dnia, do słońca, do lata, do owej pieśni, do poranku życia. Tęsknił do śmierci, która jest końcem a także może początkiem nowej drogi, drogi słonecznej; początkiem nowego dnia i nowej wiosny. Marzyło mu się coś...

Znużony był długiem życiem i długą walką. Zszedł ze stanowiska, opuścił posterunek i dziś było mu już obojętnem. Wrogowie mogą się cieszyć...

Nie myślał o tem...

Cichem i krótkiem jest życie, każde życie ludzkie, wielką jest śmierć. A tamto wszystko? domy, parki, bogactwa, których chciwie bronią ludzie, walki, niezgody, oszustwa, gniewy... Wielką jest tylko śmierć... I nasłuchiwał, żali nie przybliża się już i czekał

z upragnieniem. Ale śmierć ociągała się i powoli płynęły posępne dnie... Co rano o tej samej godzinie na krótko przychodziła uboga służąca, coraz bardziej niedbała, potem już nikt. Był sam z myślami swemi. Ale któregoś dnia o niezwykłej porze stuknęły drzwi. Słuchał zdumiony.

Ktoś szedł powolnym znużonym krokiem przez pokoje. Grzybowski podniósł ociężałe powieki.

Stara żydówka z obozu wroga, którą znał z widzenia, stała przy łóżku.

— Ja „poczuła", pan chory, ja przyszła... może pan czego potrzebuje? — mówiła.

Nie potrzebował niczego, podziękował, ale przeciągał gawędę. Pytał o pogodę, o nowiny, pytał żeby mówić, żeby słyszeć głos udzki.

Żydówka usiadła i rozmawiali.

— Ja przyjdę do pana, ja codzień przyjdę do pana — na pożegnanie pocieszała żydówka. — Pan chory, czemu pan nie przysłał? pan będzie zdrów, „ona" daleko jeszcze... niech pan nie „kiwa" ręką, tylko panu „reperacyę" trzeba zrobić... ja przyjdę.

I przychodziła codziennie sama stara i znużona, ociężałym, posuwistym krokiem, w szłapiących kaloszach, z kasztanowatą peruką na włosach, przynosiła jakieś lekarstwa, jakieś przysmaki, zawinięte w brudny papier, czasami zupę w filiżance, siadała, robiła pończochę, gadała bez przerwy. Mówiła o mężu swoim, który dawno umarł, o dzieciach w Ameryce, o wnukach, o życiu całej dzielnicy, o bogatych i biednych, o młodem pokoleniu, które w Boga nie wierzy, o własnych dziejach, o stu rublach krwawo przez lata uzbieranych, które spłonęły owego okropnego dnia.

— Pan tego nie zrobił? — zapytała raz.

Grzybowski uśmiechnął się słabo.

— Ja wiem, że pan tego nie zrobił... przepraszam... ja tylko tak... inni mówili... takie nieszczęście, to były dzikie zwierzęta... taki okropność... wspominała z przerażeniem, chwiejąc głową.

A podczas jej rozwlekłych opowieści przychodziły wnuki i bawiły się, czyniąc wrzawę w milczącym domu. Chory słuchał długich historyi i przyglądał się zabawom dzieci. Poznał ich imiona, lata, zalety i zdolności z gawęd babki, przywykł do nich, polubił gwar, polubił te głowy o świecących oczach i kręcących się włosach. Przypominały mu się dawne rzeczy. Przecież w tych samych

pokojach i on i bracia jego, przed laty, przed laty w szczęśliwem dzieciństwie... Dziś żydzięta... Gdyby mu kto przepowiedział...

I biegły ku dzieciom zmęczone spojrzenia jego i przywoływał je nieraz do siebie. A gdy zbierały się koło niego, żydówka w uniesieniu radości i szczęścia poczynała pieścić starca, gładzić go po głowie i twarzy trzęsącą ręką o krzywych palcach i mówiła do niego i do wnucząt razem po żydowsku.

Tak niepostrzeżenie upływały godziny. Grzybowski podniósł na starą opiekunkę oczy, w których świeciła dziwna dziwna—jasność, i znowu miał na ustach wyrazy te same, które już raz cisnęły mu się na wargi i tak samo jak wówczas — milczał. Uśmiechał się tylko.

Uśmiech tkwił na jego wyniszczonem obliczu i wówczas gdy zostawał sam. Uśmiechając się dumał nad czemś, zbierając rozprószone myśli w zmęczonej głowie swojej. Brał papier i próbował pisać, ale nie mógł utrzymać ołówka, brał książkę i szukał w niej czegoś... I pewnej chwili, gdy był samotny, podniósł słabnącą rękę i uczynił nią znak w kierunku hałaśliwej dzielnicy, jak gdyby błogosławił śmiertelnym wrogom swoim, dzieciom szatana.

JAN STEN.

KILKA KSIĄG NOWYCH.

Dwie małe lecz niezmiernie znamienne książki dali w tym roku Żeromski i Kasprowicz.

„Powieść o Udałym Walgierzu“ Żeromskiego łączy się ściśle z najpiękniejszymi ustępami „Popiołów“, którymi utkana jest kanwa zdarzeń tej powieści. Poeta zupełnie konsekwentnie doszedł do stanowczego rozbratu z oklepaną, tradycyjną formą prozy powieściowej; stworzył tym razem czysty poemat, niezamącony wyraz własnego nastroju. Niezwykła potęga i czułość stylu, zdumiewające już w „Popiołach“, tutaj rozwijają się i panują niepodzielnie. W kunszcie słowa Żeromski nie ma dziś równego. Umie on mowie polskiej nadać niewysłowioną czułość i głębię. Czytając „Walgierza“, doznajemy wprost wrażenia, jak słowa ogarniają, porywają i spajają się z najtajniejszymi drgnieniami myśli i czucia. Zdanie to zestrzela się w krótkie urywane cięcia, to rozsypuje znów i spływa ku końcowi w kojącym miękkim akordzie.

Wszelkie wysłowienie jest tak wyraźne, niezamącone, że każdy najlżejszy odcień odrzyna się dobitnie. Ilekroć mu potrzeba, Żeromski bez wahania tworzy dla siebie nowe słowa i rzecz dziwna — te słowa tak tryskają samorzutnie, tak wypływają z koniecznej potrzeby nastroju, że wydają się nam, jakby dobrze znane i na chwilę tylko zapomniane wyrazy. Pomimo swej krótkości „Powieść o Udałym Walgierzu" — jak wszystkie utwory Żeromskiego — skrzywiona i nieharmonijna jest w budowie. Połowa całego poematu — to właściwie tylko wstęp do legendarnej i symbolicznej osnowy opowiadania. Poeta, jakby uniesiony pięknością widoku, który się przed nim roztacza, tym żelaznem obozowiskiem wielkiego króla nad morzem północy, rozciąga swą opowieść, daje jej coraz wybitniejsze kształty, z których trudno odgadnąć i przeczuć dalszy koloryt legendy. Chwilami ostrość tej wizyi rycerskiej jest tak wielka, że przypuszczaćby można, jakoby zatarg Walgierza z królem miał być osią poematu. Niewątpliwie ten fundament jest za ciężki, i myląc oczekiwania czytelnika, sprawia mu następnie pewien zawód i niepotrzebne zdziwienie. Z drugiej jednak strony ten kontrast w połowie poematu budzi inne bardzo subtelne wrażenie i rozwiewa symbol utworu („Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz") w nikłą dal, nadaje mu dziwną eteryczność, odsuwa w krainę jakiegoś dwakroć cichszego marzenia. Poemat poczęty z żywiołową siłą obrazowania rozpływa się i przepada w błękitnym, niejasnym symbolu wyzwolenia przez nieugiętą wytrwałość i nieprzepartą grozę cierpienia.

„O bohaterskim koniu i o walącym się domu" — takim długim, a cudacznym tytułem nazwał Kasprowicz swą książkę „pisaną prozą". Zaiste, pisane to „prozą" — nie szukać tu poezyi słowa, nie szukać tu dreszczu tajemnego, jakiem przejmuje do głębi dobrze zażyte słowo mowy ojczystej. Książka ta zda się chwilami jakby przekład.

Wrażenie to poczęści jest słuszne. Te kilkanaście nanizanych obrazów — które książkę stanowią — to istotnie przekład, przekład najtrudniejszy, przekład goryczy własnego istnienia na głos słów próżnych, pustych, daremnych i zniechęconych. Pamiętnik Kasprowicza, złożony z pojedynczych „obrazków prozą", ma rzecz rzadką w tego rodzaju utworach — wielką jednolitość tła i nastroju, co sprawia, że te obrazki istotnie są jednem dziełem — nietylko przez to, że zebrane w jednej są książce. Zamysłu arty-

stycznego w książce Kasprowicza prawie nie znać; składają się na nią jakby najluźniejsze wrażenia, myśli potargane, które splątaną przędzą snują się często po głowie wędrowca.

Myśl oplata się koło wspomnień dzieciństwa, koło obrazów napotykanych w życiu, koło drobnych osobistych zdarzeń, li tylko własnemu sercu wiadomych. Z równą szczerością w pamiętniku tym zapisze notatki przebanalne w swej taniej ironii („Modlitwa episiera“, „Sen o sądzie ostatecznym“), jak niezmiernie czułe, subtelne wspomnienia („Główki dziecięce“) lub głęboką, groźną zadumę („Cień“). Cała książka nosi na sobie piętno goryczy organicznej, znać w niej, jest na posągu, pierwszą rysę, przez którą wdziera się zniszczenie. Taka gorycz powstaje w chwilach przesileń, w dniach dojrzewania i przełomu. Po silnem, bujnem, twórczem życiu, które wyrzuciło z siebie ogromy poezyi — zostawia dla siebie tylko tyle? Ta poezya, która się na zewnątrz wydarła, staje się czemś obcem, martwem, a w duszy trwa tylko nieforemny, mętny osad, popielisko, usiane zrzadka kulkami kruszców, które w nim niegdyś stapiano na posągi.

Powieść Lemańskiego „Ofiara królewny“ wzbudza zainteresowanie prawdziwe, nim jeszcze kartę tytułową odwrócimy. „Powieść fantastyczna“ — niepowszedni to dziś zamiar, a nazwisko autora otoczone jest w ostatnich czasach taką chmurą pochwał, że wszelkie oczekiwanie staje się usprawiedliwione. Stanowisko urzędowego niejako satyryka i dowcipnisia „Chimery“, pozwala przypuszczać niesłychaną biesiadę wytwornej, połyskliwej myśli.

Niestety, dla mnie Lemański, jako satyryk, jest wielkiem nieporozumieniem: nieporozumieniem autora z publicznością, z krytyką i — ze sobą samym. To samo wrażenie budziły jego dawniejsze „Colloquia“ — nie doznaje ono zmiany obecnie po wierszowanej „Nowennie o szczęściu“ i po quasi-fantastycznej „Ofierze królewny“.

Z wyjątkiem może kilku najdowcipniejszych swych bajek, Lemański przeraźliwie sili się na dowcip. Przynajmniej na dwadzieścia wierszy przed wystrzałem racy ironicznej, czuć już naprężenie, nerwowy niepokój, który zdradza się zakłopotaniem stylu: snują się jakoś podejrzane zwroty, które jak czatownicy przed wybuchem, mają ostrzedz i uprzedzić publiczność, że stanie się coś niezwykłego. Ta niepewność artystyczna, to sztuczne wytwarzanie „kawałów“, przerodziło się u Lemańskiego w manierę stylową; nawet tam, gdzie o śmiechu uprzedzić nie chce, mowie swej nadaje przykrą zawiłość i sztuczność. Dowcip jego najczęściej opiera

się na kalemburze, na zestawieniu słów, nieraz odpowiednio przykrojonych i pozmienianych po to, aby się dały koniecznie przekładać. Pogoń za kalemburem, zwłaszcza z użyciem francuszczyzny, jak w licznych ustępach „Ofiary królewny“, staje się niewymownie nużąca i monotonna. Jest to lubowanie się w przykrej cudaczności; autor ubiega się za tem, co mu poklask i zdziwienie zyskało, a pomija niedbale najlepsze i najbardziej zajmujące wyrazy swego uczucia. W talencie Lemańskiego zda się być dużo więcej liryzmu, może nieco sztucznego i stylizowanego, niż satyry i ironii. Pierwsze stronice „Ofiary królewny“, gdzie te elementy jeszcze harmonijnie pomieszane z sobą, zaciekawiają też istotnie i nie pozwalają przewidzieć, że opowieść później zboczy zupełnie na bezdroża i zagubi się w mało fantastycznych, ale zgoła bezcelowych błądzeniach. Jak na satyryka, Lemański ma zbyt słabą ostrość wzroku; przedmiot swych szyderstw ogarnia niejasno, groty jego strzał są tępe, a wzburzone uczucie tak naiwnie pożąda ideału, że nagle urywa tok niespodzianie i pisze krótki epilog, upstrzony majuskułami, zaczynającemi górne słowa: Dusza, Swoboda, Słońce. Taki epilog, to przyznanie własnej bezsilności, to niemoc istotnego uzasadnienia swych oburzeń.

Bo też przedmiot satyry Lemańskiego zgoła nie jest świeży, i zło, które kąsa, jest wielce powierzchowne. Przeciwstawienie filisterstwa i artyzmu, samotności artysty z maszynowem uspołecznieniem tłumu — oto zaklęte granice, w których się obraca. To wszystko dziś ogromnie myszką trąci i w żadnym razie na oburzenie nie wystarcza. I właśnie dlatego pierwsze stronice „Ofiary królewny“, które zapowiadają inny, głębszy zakres satyry, tak odmienne dają wrażenie. Szablonowe klasyfikowanie, naklejanie zużytych i brudnych etykietek, niema przecież nic wspólnego z artystycznem patrzeniem na świat; Lemański w swych wycieczkach antifilisterskich więcej zrzędzi, niż widzi i oświetla.



DR. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

SOCYALIZM A KWESTYA POLSKA.

(Dokończenie).

Ale i emigracya do miast Ameryki północnej nie rozwiązuje kwestyi żydowskiej w całości. Wprawdzie na ogół żydzi na tej emigracyi wychodzą bardzo dobrze, a w drugiem pokoleniu nawet świetnie. W przeciwieństwie do biednych chłopów polskich, dla których pobyt w Ameryce jest wygnaniem, żydzi, sprytniejsi, obrotniejsi a przedewszystkiem bardziej kosmopolityczni, urządzają się w Ameryce na pobyt stały; pozbywszy się wiecznego strachu przed prześladowaniem, a czując się dobrze na bruku wielkomiejskim, w drugiem pokoleniu odradzają się moralnie, intelektualnie a poniekąd nawet fizycznie i masowo awansują do szeregów zamożnej inteligencyi. Dobrowolna asymilacya tego drugiego pokolenia zaś jest tak powszechnem zjawiskiem, że na dłuższą metę nie może być mowy o jakiejś specyalnej kwestyi żydowskiej w Ameryce, a tylko o udziale Amerykan wyznania żydowskiego w walkach o rozwiązanie kwestyi społecznej w społeczeństwie skądinąd kwitnącem i bogatem, oraz stosunkowo wolnem i praworządnem. Emigracya do miast amerykańskich byłaby więc istotnie rozwiązaniem kwestyi żydowskiej, gdyby wszyscy żydzi chcieli emigrować. Tak jednak nie jest. Nawet gdyby emigracya żydów z Polski, Litwy i Ukrainy do Ameryki i nadal zachowała te olbrzymie rozmiary, do których doszła obecnie wskutek kontrrewolucyi i pogromów, to jednak ta „ewakuacya Wschodu“ (jak się wyraża prasa żydowska) trwałaby jeszcze mniej więcej pięćdziesiąt lat. Ponieważ jednak ta wezbrana fala emigracyjna jest bezpośredniem wynikiem pogromów i anarchii, więc wedle wszelkiego prawdopodobieństwa fala ta opadnie, jak tylko na miejsce despotyzmu i anarchii nastaną stosunki praworządne i wolność polityczna. Faktem bowiem jest, że same tylko pobudki narodowościowe nie są wystarczającym bodźcem do wywołania masowej emigracyi żydowskiej. Głównym bodźcem była dotąd nędza materyalna; to też emigrowali prawie wyłącznie żydzi ubodzy. Dopiero pogromy zmobilizowały częściowo i warstwy zamożniejsze. Ale i teraz, o ile mi przynajmniej wiadomo, tylko bardzo nieznaczna cząstka wychodźców dąży do Palestyny lub do jakiegokolwiek innego kraju, mogącego z pewnym pozorem słuszności uchodzić w oczach syonistów za przyszłą dziedzinę narodu żydowskiego; ogromna większość jedzie tak samo jak dotąd do Stanów Zjednoczonych Ameryki i osiedla się w miastach. A więc nie o odrębny rozwój narodowy chodzi tym tłumom, tylko poprostu o bezpieczeństwo, swobodę i dobre zarobki. A z tego wynika

że jak tylko w Polsce nastaną te trzy warunki, to emigracya żydów z Polski zejdzie do rozmiarów bardzo skromnych.

Natomiast radykalną zmianę sytuacyi wywołałoby zniesienie strefy osiedlenia. Nie ulega wątpliwości, że wtenczas żydzi rosyjscy, którzy niechętnie i z przymusu przebywają w Polsce, tłumnieby wyjeżdżali do Petersburga, do Moskwy, do Kijowa, do Rygi, do Kazania, do Astrachanu, do najprzeróżniejszych miast w całym państwie rosyjskiem aż po Ural i aż poza Ural. Co prawda, należy żywić pewne obawy co do błogiego losu żydów, zapuszczających się w głąb Rosyi; wątpić należy, czy tłumne zjawienie się żydów w okolicach, gdzie pobożny ludek prawosławny nie przywykł do ich widoku, a jednak już dzisiaj ich nienawidzi jako najgorszych wrogów prawosławia i cara, nie wywoła odrazu nowych pogromów nawet bez poparcia rządu. W takim razie ponownieby się spotęgowała emigracya żydowska do Ameryki. Ale nawet w tym wypadku nie należy się spodziewać, żeby bądź to z Rosyi czy Ukrainy, bądź to z Litwy czy z Polski żydzi znikli zupełnie. Będzie ich mniej, ale będą. Bo jeżeli nawet pogromy wywołują tylko częściową emigracyę, to dowodzi to, że jednak i wśród żydów jest wielu takich, którzy niezupełnie na zimno obliczają i ważą korzyści pobytu w Ameryce wolnej i bogatej w porównaniu z pobytem w kraju rodzinnym ubogim, zaniedbanym i gnębionym. Waga jest nierówna, bo szalę kraju rodzinnego ściąga ku ziemi niewidzialny ciężar. Tym niewidzialnym ciężarem nie są ani trudności paszportowe, ani tem mniej obawa przed uciążliwą podróżą morską. Żydzi są żywiołem zbyt ruchliwym i przedsiębiorczym, żeby ich powstrzymać mogły tak drobne przeszkody. Tym niewidzialnym ciężarem jest przywiązanie do kraju ojczystego.

A więc jednak dla setek tysięcy żydów Rosya lub Litwa lub Polska jest krajem ojczystym.

Czemże więc są żydzi?

Stwierdziliśmy, że nie są narodem, że natomiast są narodowością. Ale gdyby byli narodowością żywotną, toby wszyscy żydzi odczuwali brak własnego terytoryum jako stratę świeżą, dziś jeszcze bolącą niemniej jak w pierwszy dzień, jako ranę, z której krew jeszcze tryska strumieniem. Są tacy żydzi, ale są w mniejszości. Widzimy, że większość proletaryatu żydowskiego odrzuca syonizm z gwałtowną nienawiścią; widzimy, że wśród mieszczaństwa żydowskiego syonizm ma wprawdzie licznych zwolenników, ale także licznych i stanowczych wrogów. Słowem, większość żydów nie tęskni za odrębnem życiem narodowem w odrębnym kraju żydowskim, a raczej za równouprawnieniem z chrześcianami na

miejscu. Mamy więc przed sobą narodowość, która w większości swojej wcale nie pragnie stać się narodem. Czemże więc są żydzi?

Żydzi cą narodowością szczątkową, która częściowo już uległa asymilacyi, częściowo zaś tymczasem jeszcze się jej opiera. Ale nie oprze się, o ile będzie i nadal żyć w rozproszeniu. Czy syoniści zdołają zdobyć własny kraj i stworzyć naród żydowski gdzieś za morzem — niewiem. Ale to wiem, że dla mniejszości żydowskich, mieszkających w rozproszeniu pośród wielekroć liczniejszej ludności chrześciańskiej, asymilacya jest nieuniknioną. Żywotnemu narodowi każda nowa zdobycz wolnościowa dopomaga do przyspieszonego rozwoju odrębnej kultury; dla żydów każdy krok naprzód na drodze do wolności, dobrobytu, oświaty jest zarazem krokiem ku wynarodowieniu.

Ale przecież było już tyle prób assymilacyi żydów w Polsce, a żadna nie doprowadziła do celu? Przecież, jak mówią zgodnie i bundowcy i poalejsyoniści, „burżuazyjna idea assymilacyi już dawno zbankrutowała“?

Ostrożnie z konkluzyami! Nie asymilacya zbankrutowała, tylko pewne określone metody assymilacyi, odpowiadające pewnym określonym fazom rozwoju społeczeństwa ościennego. Zbankrutowała najprzód asymilacya szlachecka. Jeśli na Litwie na mocy Statutu litewskiego żydom i żydówkom, przyjmującym chrzest, przyznawano szlachectwo polskie; jeśli w Polsce do szeregów szlachty przyjęto Frankistów — to ta forma assymilacyi po rozbiorze Polski znikła z widowni, bo rozbiór Polski był wynikiem bankructwa szlachetczyzny. Niemniej jednak potomkowie Frankistów do dziś dnia pozostali Polakami. Ale nowe czasy wytworzyły nowe ruchy asymilacyjne, towarzyszące każdemu z powstań polskich; tym rasem mieszczaństwo polskie wchłaniało w siebie zamożne i wykształcone żywioły żydowskiego mieszczaństwa. Jeśli ruchy te nie doszły do szerszych rozmiarów, to przedewszystkiem dlatego, że zatamowany został swobodny rozwój samego społeczeństwa polskiego, przez co sparaliżowaną została także jego siła asymilacyjna. Ale wynaradawianie się mieszczaństwa żydowskiego i po r. 1863 nie ustało; tylko że, zamiast się polszczyć, żydzi w zaborze rosyjskim zaczęli się ruszczyć, podobnie jak w zaborze pruskim i austryackim już znacznie wcześniej zaczęli się niemczyć. W zaborze pruskim ta asymilacya żydów nie z żywiołem miejscowym, tylko z żywiołem panującym zaszła tak daleko, że — w Poznańskim odsetka ludności żydowskiej spadła z 13°/₀ na 3°/₀, bo ci żydzi niegdyś polscy, stawszy się doskonałymi niemcami, rozproszyli się po miastach całego państwa niemieckiego; dzisiaj ich potomkowie

ciężko się obrażają, jeśli ich ktoś odsądza od niemieckości. W Galicyi, póki rządy były centralistyczne i germanizacyjne, żydzi się niemczyli, przytem liczne dziesiątki tysięcy tych gorliwie niemczących się żydów galicyjskich emigrowały do miast niemieckich w Austryi, szczególnie do Wiednia, gdzie dostarczali całych zastępów kwiecistych dziennikarzy i ognistych mówców różnym frakcyom niemiecko-liberalnym oraz niemiecko-narodowym. Assymilacya święciła więc tryumfy i w zaborze pruskim i austryackim; nie była to wprawdzie polonizacya, tylko germanizacya, ale niemniej była to assymilacya. Dopiero autonomia Galicyi, zdobyta przez Polaków na upokorzonej Austryi w r. 1867, położyła kres dalszemu niemczeniu się żydów galicyjskich, a zato ponownie wprawiła w ruch polonizacyę, i to na dość szeroką skalę. Nie dla urągania przytaczam wszystkie te fakty, tylko aby wykazać, jak żywiołowem zjawiwiskiem jest assymilacya, jeśli nawet zupełne sparaliżowanie siły assymilizacyjnej społeczeństwa miejscowego nie potrafiło jej zastosować całkiem, a tylko zdołało ją wykoszlawić.

W Królestwie zaś polonizacya mieszczaństwa żydowskiego i po 1863 r. nie ustała w zupełności, ale się krzyżowała z rusyfikacyą, i te dwa prądy nawzajem się osłabiały. W nowszym czasie zaś wskutek prześladowań żydów w Rosyi, Królestwo stało się przytułkiem dla setek tysięcy żydów rosyjskich, w znacznej części zrusyfikowanych bądź to językowo, bądź to ideowo. Pojawili się w Królestwie żydzi, nawskróś przesiąknięci zaborczym nacyonalizmem wszechrosyjskim; pojawili się żydzi, z akcentem głębokiego przekonania powtarzający wszelkie polakożercze kłamstwa urzędowych historyków rosyjskich; pojawili się żydzi, w przedziałach kolei żelaznej robiący polakom awantury za mówienie po polsku, zamiast po rosyjsku. Rzecz jasna, że takie występowanie licznych żydów rosyjskich jako dobrowolnych pomocników rusyfikacyi żandarmskiej musiało o całe niebo pogorszyć stosunki między polakami a żydami i zatamować polonizacyę do szczętu. Ale i tu w gruncie rzeczy nie odrębność żydowska wyparła assymilacyę, tylko jedna assymilacya wypierała drugą.

Przez ten cały czas żydzi w państwie rosyjskim — z wyjątkiem chyba chasydów, sekciarzy wrogich wszelkiej oświacie poza czytaniem ksiąg świętych — niczego innego nie pragnęli, jak żeby ich dopuszczono do assymilizacyi. Mniejsza o to, że prócz chederów nie było szkolnictwa żydowskiego; wszak i szkolnictwa polskiego nie było, bo wytępiła je przemoc najezdnicza. Ale u żydów nawet dążności do swojskiego szkolnictwa, nawet marzeń o swojskiem szkolnictwie nie było; natomiast do-

magali się nieustannie, żeby ich na równi z chrześcianami dopuszczano do szkół rosyjskich.

A myliłby się bardzo grubo, ktoby przyczynę tego lgnięcia do kultury narodu panującego szukał w jakiejś wrodzonej służalczości żydów. Tłem tej dążności do zlania się z narodem panującym jest poprostu instynktowne przeświadczenie, że ghetto nie jest społeczeństwem, że jest i może być tylko karykaturalnym ułamkiem społeczeństwa, że prawdziwe życie zaczyna się dopiero poza murami ghetto. Wynika stąd namiętna tęsknota za owem życiem pełnem, szerokiem, swobodnem, które prowadzą społeczeństwa niepodległe i potężne; a z tej tęsknoty wyłania się bezkrytyczna idealizacya takich właśnie społeczeństw. W takiem świetle, odbijając od potrójnej nędzy i niewoli ghetta, mogło się i społeczeństwo rosyjskie wydawać czemś stokroć jaśniejszem i lepszem, niż jest istotnie. To też naiwny entuzyazm wszechrosyjski wielu żydów rosyjskich, a nawet niektórych socyalistów rosyjsko-żydowskich jest całkiem szczerym.

Dopiero brutalne odepchnięcie żydów przez Rosyę, ich gorąco ukochaną matkę przybraną, wywołało zwrot ku prądom anty-assymilacyjnym. Ale nie wszędzie te prądy zwyciężają. Mimo powstania stowarzyszeń i pism syonistycznych w Niemczech, żydzi niemieccy nie przestali być niemcami; żydzi francuscy jak byli, tak są francuzami; nie ustała też assymilacya żydów ani w Anglii, ani w Ameryce. Słowem, assymilacya pozostała górą wszędzie tam, gdzie istnieją odpowiednie dla niej warunki. Pierwszym z tych warunków jest, żeby żydzi byli bezpieczni od prześladowań; drugim, żeby korzystali z równouprawnienia obywatelskiego; a trzecim, żeby społeczeństwo miejscowe, kwitnące materyalnie a niepodległe i jednolite narodowo, imponowało żydom i przyciągało ich ku sobie. Właśnie dlatego jednem z głównych ognisk prądów anty-assymilacyjnych jest Litwa, gdzie żydzi pragnący się assymilować znajdują się istotnie w niemałym kłopocie. Budzącej się kulturze białoruskiej żydzi poprostu nie widzą, bo niema jej w mieście, a na wsi żydów niema. Młoda, ale szybko się rozwijająca kultura litewska również jest jak dotąd jeszcze przeważnie wiejska, a zatem żydom, jako ludziom z miasta, patrzącym w świat przez specyalnie miejskie okulary, zgoła imponować nie może. Żywioł polski jest mniejszością liczebnie słabą, a nadto prawnie upośledzoną, a co gorsza, biernie znoszącą to upośledzenie — słowem mniejszością, która sama żyje w czemś nakształt ghetta. A rusyfikacya koniec końcem także nie na wiele się przydaj bo żywioły miejscowe niechcą się ruszczyć, więc rusyfikacya żyda na Litwie, szczególnie na Litwie rdzennej, nie zbliża do ludności miejscowej

a raczej go od niej odgradza. Wszystko to razem chwilowo sprzyja wzmaganiu się odrębności żydowskiej; niejeden Rosyanin mojżeszowego wyznania na Litwie nauczył się mówić żargonem. Poniekąd podobnie dzieje się w Galicyi wschodniej, gdzie wobec liczebnej słabości żywiołu polskiego, a ekonomicznej i kulturalnej słabości żywiołu ruskiego żydzi nie wiedzą, czy się mają polszczyć, czy rutenizować, czy niemczyć, czy też poprostu plunąć na ten cały padół nędzy i brudu i wyjechać za morze, co też wielu z nich czyni.

Wyliczone czynniki same w sobie jużby wystarczały, aby wytłumaczyć chwilowy rozrost literatury żargonowej. Dodać jednakże należy jako jeden z najważniejszych czynników ideową demokratyzacyę młodego pokolenia inteligencyi żydowskiej. Młodzież ta już się nie zadawalnia kulturą dla siebie, tylko pragnie nieść kulturę ludowi żydowskiemu, nie wyłączając jego warstw najuboższych; a do ludu, o ile się rzeczywiście chce przemawiać do mas a nie do jednostek, trzeba przemawiać językiem ludu. Jednostki z warstw zamożnych mogły okupywać wykształcenie assymilacyą; mas milionowych z dnia na dzień assymilować nie można. Nie można tego szczególnie wtedy, jeśli te masy, pracując od rana do późnej nocy, nie mają czasu na łeb na szyję uczyć się innego języka i innego alfabetu. A już zgoła tego nie można pod caratem, gdzie trzy czwarte czasu i energii trzeba poświęcić na konspirowanie się. Jest więc zrozumiałem, dlaczego pod caratem krzewienie się idei demokratycznych, szczególnie zaś krzewienie się socyalizmu musiało na razie zatamować assymilacyę. Od chwili, kiedy osią życia politycznego stał się lud pracujący, straciła znaczenie assymilacya burżuazyi i inteligencyi tylko; masowa assymilacya proletaryatu zaś na razie nie była możliwą. Przynajmniej nie była możliwą z taką prędkością, żeby można było z propagandą socyalizmu poczekać aż do dokonania assymilacyi językowej. Wszak na Litwie w swoim czasie założyciele Bundu zaczynali od uczenia robotników żydowskich po rosyjsku; doświadczenie rychło ich przekonało, że mniej czasu trzeba na to, żeby się jeden inteligent po żydowsku nauczył, niż żeby się trzydziestu robotników nauczyło po rosyjsku. Całkiem słusznie więc i bundowcy i. P. P. Sowcy i socyaliści różnych innych odcieni zaczęli do robotników żydowskich mówić w żargonie i drukować dla nich wydawnictwa żargonowe. Całkiem słusznie, bo żargon jest dzisiaj faktem, z którym należy się liczyć. A że każda liszka swój ogon chwali, więc ci młodzi inteligenci, którzy w chwalebnem poświęceniu dla dobrej sprawy przezwyciężyli swój początkowy wstręt do żargonu i nauczyli się nim mówić i pisać, coraz

bardziej zaczęli wierzyć w Bóg wie jak świetną przyszłość żargonu — całkiem jednak niesłusznie.

Jak tam będzie na ziemi obiecanej syonistów, jeżeli ją zdobędą, tego niewiem. Ale w Europie żargon stanowczo niema przyszłości, a w Stanach Zjednoczonych Ameryki także nie.

Mówi się dużo o rozkwicie literatury żargonowej w Londynie i Nowym Jorku. W rzeczywistości jednak podłożem tego rozkwitu jest napływ coraz to świeżych przybyszów, uciekających od nędzy i prześladowań pod caratem; drugie pokolenie już woli czytać po angielsku.

W Polsce zaś żargon niema przyszłości właśnie dlatego, że agitacya żargonowa się krzewi, oraz że treść tej agitacyi jest przeważnie postępową i socyalistyczną. Nietylko bowiem agitacya socyalistyczna przyczynia się do polepszenia warunków pracy, a więc ułatwia robotnikowi żydowskiemu nauczenia się języka krajowego, a zatem przyspiesza assymilacyę. Trzeba także wziąść w rachubę, że podstawą istnienia żargonu jest wysoki stopień społecznego i towarzyskiego wyodrębnienia żydów od chrześcian. Przyczyną tego wyodrębnienia jest nie tyle antysemityzm klerykalnej ludności chrześciańskiej, ile przedewszystkiem antychrystyanizm klerykalnych warstw żydowstwa. Agitacya socyalistyczna, zwalczając klerykalizm, niszczy u chrześcian antysemityzm, a u żydów antychrystyanizm. Jednym z wyników agitacyi socyalistycznej jest więc i musi być przyspieszone zbliżanie się żydów do „gojów", tak w akcyi politycznej, jakoteż i w życiu prywatnem. A ponieważ tych „gojów" jest nawet w Królestwie sześć razy więcej od żydów, a w Galicyi zachodniej przynajmniej dziesięć razy więcej od żydów, a stosunek ten wskutek bezpowrotnej emigracyi dziesiątek tysięcy żydów z Galicyi a setek tysięcy żydów z Królestwa będzie się coraz bardziej przesuwał na korzyść chrześcian, więc na dłuższą metę ze społecznego i towarzyskiego zbliżania się żydów do chrześcian może wyniknąć tylko wchłonięcie mniejszości przez większość. Aby temu zapobiedz, trzebaby sztucznie szerzyć ciemnotę, jak to czyni rząd rosyjski. Krótko mówiąc więc: żargonowa agitacya socyalistyczna niesie kulturę, a kultura prowadzi do assymilacyi. A stanie się to coraz bardziej widocznem, im bardziej zwycięstwa prądów rewolucyjnych usuną zapory rozwoju kulturalnego wogóle. Wynikiem końcowym dzisiejszego rozrostu agitacyi i literatury żargonowej może być więc jedynie d e m o k r a t y z a c y a a s s y m i l a c y i.

Nawiasem mówiąc: to samo co w Polsce, będzie się z żydami działo i na Ukrainie, na Litwie i Łotwie, a z czasem, chociaż w powolniejszem tempie, także na Białej Rusi. Te same społeczeństwa miejscowe, które, urastając w świadomość i siłę, z czasem niezawodnie

wchłoną w siebie mniejszości polskie, będą wchłaniały w siebie i mniejszości żydowskie. A w interesie tych mniejszości żydowskich — o ile w międzyczasie nie wywędrują do Ameryki, co w bardzo wielu wypadkach jest wyjściem praktycznie najbardziej wskazanem — leży nie czekać biernie, aż się wpływy assymilacyjne społeczeństwa litewskiego czy łotewskiego, białoruskiego czy ukraińskiego dostatecznie wzmocnią, aby ogarnąć żydów wbrew ich woli, tylko czynnie dążyć do zespolenia się ze społeczeństwem miejscowem i przez to właśnie je wzmacniać. Albowiem i w interesie żydów — jak zresztą w interesie wszystkich mieszkańców danego kraju — leży przyspieszenie rozwoju demokratycznych instytucyi, te zaś mogą się harmonijnie rozwijać tylko na podstawie terytoryalno-narodowej. Wynika z tego, że naprzykład na Białej Rusi działacz żyd, chcąc postępować jako szczery i konsekwentny demokrata, nie powinien być „kulturtregerem“ ani polskości ani rosyjskości, tylko dopomagać Białorusinom do rozwoju ich własnej samodzielnej kultury.

Wróćmy jednak do właściwego naszego tematu. Wyobraźmy sobie, że już minął obecny okres przedśmiertnych konwulsyi zaborczości wszechrosyjskiej, z którego to okresu wyjdzie monarchia Romanowów nietylko skonstytucyonalizowana, ale i mocno okrojona. Przeskoczmy w duchu wszystkie te fazy walk wewnętrznych i zewnętrznych, które nas dzielą od celu naszego, Niepodległej Polski Socyalistycznej. Wyobraźmy sobie, że już stanął ten wielki dom ludu polskiego, sięgający od północnych stoków Łomnicy i Krywania aż po ujścia Wisły, półwysep helski i Lebę kaszubską. Otóż w tej Polsce oprócz innych mniejszości narodowościowych niezawodnie będą i żydzi. Nie będzie ich ani w przybliżeniu tyle co dzisiaj, bo niewątpliwie aż do tego czasu emigracya ogromnie przerzedzi ich szeregi; ale bądź co bądź będą ich jeszcze setki tysięcy. A ponieważ okres krwawych walk, który się rozpoczął trzy lata temu, a trwać może jeszcze lat dziesiątki, niekoniecznie sprzyja spokojnej pracy kulturalnej, więc należy się liczyć z możliwością, że z tych setek tysięcy żydów znaczna część jeszcze będzie niezassymilowana.

I oto stanęliśmy przed ostatnią z kwestyi narodowościowych, które w przyszłej Polsce będą do rozwiązania: jak postąpić z żydami, aż do tego czasu jeszcze niespolszczonymi?

Formalnie tak samo, jak z niemcami w Łodzi i Poznaniu, jak z Rusinami wzdłuż wschodniej granicy. I dla Żydów, przyznawających się do narodowości żydowskiej, utworzy się Żydowską Izbę Oświatową w Polsce, wybraną przez interesantów drogą powszechnego i równego głosowania, uprawnioną do ściągania podatków uwalniających od odpo-

wiedniej kwoty podatków rządowych, i upoważnioną do zakładania i utrzymywania szkół, gimnazyów, uniwersytetów w języku wykładowym żydowskim, pod warunkiem, żeby w tych szkołach między innymi przedmiotami uczono także języka i literatury polskiej, oraz geografii i historyi ziem polskich. A wychowańcy tych szkół również będą mieli prawo kandydować do wszelkich urzędów, o ile się tylko poprzednio wykażą, że znają kraj, w którym żyją, i władają językiem narodu, pośród którego chcą działać.

Ale jeśli zanik żargonu jest nieuniknionym, czy nie lepiej wcale nie dopuszczać do zakładania szkół żargonowych, tylko odrazu przepisać polski język wykładowy i kwita?

Byłoby to nietylko krzywdą, ale co gorsza głupstwem. Póki żargon jest jeszcze językiem macierzyńskim chociażby tylko dziesięciu tysięcy żywych ludzi w kraju, póty wszelki przymus do wyrzeknięcia się żargonu wywoływać będzie te same skutki ujemne, co wszelkie prześladowanie jakiejś żywej mowy ludzkiej: zatamowanie oświaty i rozniecenie nienawiści narodowej. Urzędowe „tępienie“ żargonu równałoby się w skutkach swoich sztucznej konserwacyi tego szczątkowego języka, przy jednoczesnem obniżaniu poziomu kulturalnego żydów. Przeciwnie, właśnie przy zupełnej swobodzie pielęgnowania żargonu żydzi całkiem dobrowolnie będą lgnąć do polskiej kultury, jeśli tylko Polska będzie wolna i kwitnąca. A to tem bardziej, że przecież już teraz dokonywa się pomiędzy żydami w Polsce dobór społeczny na wielką skalę: ci żydzi, których nic nie wiąże z Polską, tłumnie emigrują i coraz tłumniej emigrować będą. Zanim zdołamy odbudować Polskę niepodległą, w Polsce pozostaną prawie wyłącznie tacy żydzi, którzy wolą ubóstwo i niepewność jutra w Polsce, niż bezpieczny dobrobyt w Amerycе; tacy żydzi, którzy wolą przetrwać dziesiątki lat wśród rozhukanych żywiołów rewolucyi, kontrrewolucyi i bandytyzmu, niźli opuścić Polskę — a zatem istotnie polscy żydzi. Dlaczegóż więc ci żydzi nie mieliby się polszczyć, jeśli tylko Polska szczerze i serdecznie uzna ich za swoich?

Trzeba być skrajnym pesymistą co do żywotności polskiej kultury, żeby wątpić o tem, że kultura polska nie przymusem, tylko pięknością swoją i wewnętrznem bogactwem zdoła zawojować serca tych ludzi, którym życie w Polsce warte jest najstraszniejszych ofiar — a innych ludzi od dziś za dwadzieścia lat w Polsce nie będzie.

Ostatecznem zaś przykuciem do Polski i żydów i wszelkich innoplemieńców będzie socyalizm, wychowujący całą młodzież do pracy dla dobra kraju i w służbie kraju, a w zamian zabezpieczający wszystkim synom kraju dobrobyt i wolność. Taka ojczyzna będzie dla synów swoich

istotną matką; takiej ojczyzny się nie opuszcza, jak ojczyzny kapitalistycznej, dającej ubogiemu tylko prawo do niepewnej walki o chleb, a w razie przegrania tej walki wolność umierania z głodu. Starajmy się u nas urzeczywistnić socyalizm wcześniej od innych narodów, a Niemiec, Żyd czy Tatar, urodzony w Polsce, będzie granic Polski bronił ze świętym zapałem, jak każdy człowiek broni wyższej formy bytu, do której przywykł, a bez której już mu nie warto żyć. A wtenczas niebawem polska mowa stanie się mową ojczystą wszystkich obywateli republiki polskiej. Tak więc socyalizm wytworzy wspólność kultury, ale i na odwrót wspólność kultury utrwali socyalizm.

Od redakcyi. Na tem kończymy druk pracy dra Gumplowicza, mimo że autor tematu nie wyczerpał. To, cośmy drukowali, stanowi odrębną całość; w postaci uzupełnionej wyjdzie niebawem w wydaniu książkowem. Tak nad ideami, w piśmie naszem rozwiniętemi jak i nad resztą wywodów autora, otwieramy dyskusyę.

Z POEZYJ MŁODEJ ROSYI. IWAN KALAJEW*).

I.

LAS RĄBIĄ!...

Las rąbią! Las zielony i tak młody jeszcze...
A stare sosny zadumane stoją,
I patrząc w toń błękitną nieba, roją
Posępne dumy, chmurne dumy, wieszcze...
Las rąbią! Czy dlatego, że rozszumiał wcześnie,
Że swym hymnem radosnym rozbudził przyrodę,
Że z młodzieńczą tęsknotą modlił się w swej pieśni,
I sławił dobroć słońca, szczęście i swobodę?...
Las rąbią! Lecz nasiona zapadną gdzieś w ziemię:
Przeminą lata i życiową siłą
Do boju wstanie nowe leśne plemię —
I wzniesie pieśń nad braci swych mogiłą!...

---

*) Młodociany „poeta czynu“ pozostawił po sobie wiązankę wierszy rewolucyjnych, między innemi także wspaniały przekład utworu W. Sieroszewskiego „Czegóż chcą oni?“

II.

NIECH ZAGRZMI BÓJ!...

Wzburzeniem wre namiętna dusza moja
I zemstą tchnie waleczna moja pierś,
Ach, ujrzeć chcę wolności krwawe blaski
Rozproszyć mrok, uciszyć wieczny jęk!
Z potwornych lic, zerwawszy fałszu maskę,
Ukazać wam śmiertelny łotra lęk, —
I zmierzyć w pierś tyranii krwi spragnionej
Żelazną swoją dłonią niebywały cios!...
Już dosyć łez. Niech zagrzmi bój ostatni.
Wszak wzywa lud. Słyszycie? Hańba drżeć!
Ty prowadź mnie, o mieczu, druhu bratni,
Jam całą duszą twój, o ludu, ojcze mój!...

Tłom. Józef Mondschein.

A. N. NOWACZYŃSKI.

O DRAMACIE Z PRZESZŁOŚCI.

(Dokończenie).

III.

Nietylko żadnych koncesyj nie ma czynić autor na rzecz ciężkomyślności i apatycznej ataraksyi „człowieka z parteru“, ale również żadnych koncesyj dla dumy stadowej, dla ciżby tłumowych idolów, bożyszcz, bałwanów, haseł, godeł, uświęcanych przywar, głupstw lub zbrodzieństw narodowych, podnoszonych do godności palladyów. Niech tam gdzieindziej przed ludem i gminem nikt „świętości nie szarga“, bo to dowodzi złego smaku, nietaktu i zuchwałości, atoli przed inteligencyą trzeba i najmistyczniejsze, najdroższe tajemnice ogółu, najgruntowniejsze dogmaty i najogólniejsze hasła, najdelikatniejsze wierzenia — poddawać bezlitosnej analizie, aby *umna elita*, ta decydująca miazga narodu jątrzona, obrażana, wstrząśnięta, z równowagi wyprowadzona, do muru niejako przytłoczona — musiała zastanawiać się, myśleć i w rezultacie kochać swą przeszłość narodową, swą *ojczystość*, taką, jaką ona faktycznie i pozytywnie była, a nie gloryfikowaną i wyidealizowaną na benefis rządzącej kasty narodu *et ad usum delphinów*.

Dlatego też nowy dramaturg winien mieć w sobie wiele elementów oskarżyciela obyczajów, a nic z przymiotów dworaka-pochlebcy, wiele z „ducha, co wiecznie przeczy“, ale nic, dosłownie nic z ducha doktryn, które całą naszą przeszłość w czambuł potępiają i w barbaryjnem zacietrzewieniu w jedną z najczystszych moralnie historyj rzucają błotem swego nieuctwa i guänem swych katylinarnych namiętności.

I dopiero, wyrzekłszy się wszelkich koncesyj oportunistycznych, wszelkich ustępstw utylitarystycznych, nie mówiąc już o absolutnem lekceważeniu jakichkolwiek uczuć wstydliwości u maluczkich (gdyż teatr nie jest instytucyą dla guwernantek i progenitury), ma *autor dramatyczny — człowiek wolny, krwią z serca spółczesnego pisząc*, możność zaklinania pełnych i rzetelnych nastrojów przeszłości, pętania w niewolę spoistej formy artystycznej chaosu minionego bezpowrotnie życia, stwarzania z największem wysileniem energii plastycznej i w największym spokoju historyozoficznego ustalenia się, ma możność stwarzania dzieł soczystych i mocnych *„di sangue i di lussuria“*, postaciowania rewelacyj historycznych o najwyższym typie, istotnych i plemiennych znaków *(signes)* narodu, z którego twórca „miał zaszczyt“ wyjść. Dzisiejszy twórca musi to sobie uświadomić, że minęły już bezpowrotnie czasy arkadyjskie despotyzmu maleńkich Torquemaduraków przywiślańskich, czasy, w których obcinano skrzydła i lotki wszystkim młodym orłom i sępom polskim. Dziś nas zatem, drzemiący jeszcze, ale już w ostatecznym przedświcie wielomilionowy naród nie potrzeba „krzepić na sercach“ i dodawać nam otuchy militarnemi awanturami i krzepkością mięśni ś. p. rycerzyków. O tem ma się dowiadywać dziś inteligencya polska ze sceny, na której historyczny dramat się gra: jak daleko w obłokach szybowała myśl polska? z jakimi szczytami europejskiej myśli się równała? jakie były wspólne sensorya narodowe, uczuciowe, jak wyglądały gejzyrowe wybuchy duszy polskiej? jak szalał ten przewspaniały tygrysi temperament? do jakich padołów i nizin doszedł upadek przy zachodzącem słońcu politycznej egzystencyi? jak dynastyczną nacyą byliśmy w złotych, purpurowych czasach, kiedy gronostajowy płaszcz Jagiellonów sięgał od morza do morza, a wolne duchy, filozoficzni argonauci, liberały i fundatorzy nowych sekt gromadami uchodzili do tej skróś wolnej, tolerancyjnej, potężnej, myślącej, Jaśnie Oświeconej Polski. Skończyły się smętne czasy eunuchowskiego pisania dla pożytku familii polskiej, ze schlebianiem trawiącym „z ducha wytrzeźwionym czcicielom pieczeni“,

z adoracyami dla częstochowskich amuletów, z gloryfikacyami zwierzątek herbowanych, tarzających się po „deptanej ziemi“. Z Polski wczorajszej zrobił sobie Beocyę mistrz Henryk i w tej Beocyi zasiadł na stolcu demiurga-kacyka dzięki równemu, powszechnemu jawnemu głosowaniu wszystkich z ducha analfabetów; z tego stolca zamianował najmiłościwiej swoim następcą... pana W. Gąsiorowskiego. Ale całe młode pokolenie polskie przeszło już do porządku dziennego nad tą tragedyą wielkiego talentu.

W opozycyi do przemożnej dziś większości młodzi pisarze historycznych utworów zasiadać będą we frygijskich czapkach; znudziła nas już doszczętnie ta głupia rola Fellacha czy Mazepy przywiązanego do rumaka, który kuleje na trzy nogi. Wszystko co większy tylko męt czyni, co rwie łańcuchy, targa obroże, zabija zło w jego symbolach, podpala próchno kiepskich i podłych instytucyj, jest nam błogosławionem i ukochanem. Nie można służyć dwom bogom: interesowi klas i wyzwoleniu narodu; któryś z bogów tych musi być wrzucon w odmęty niebytu, a dzień jutrzejszy poświadczy, czy odmłodzona wolna myśl polska zaparła się choćby na moment swej pramacierzy. Chociaż ciała mdłe i słabe, duchy z dnia na dzień bardziej ochocze i ogniste. Trzeba nam będzie pisać dramaty fanfaryczne, grzmiące jak pobudki i sygnały dantońskie i dantejskie, potępieńczo smutne, ale krwi chciwe, krwi głodne, krwi żądne, jak pieśni „naszych“ druidów. Trzeba nam lepić i na nogi stawiać Winkelrydów i Wallenrodów, władcze, nabrzmiałe wolą typy cezaryczne czy robespierryczne, byle bestye ludzkie urodzone do zwycięstw. Nie „perkalikowe“ Połanieckiego powioną przed nami sztandary i nie stare dostojniki podyktują siwym gentlemanom, tajnym radcom narodu instrukcyę z Rzymu, co mają robić *„poveri Polacchi“*, aby nie gniewać Lohengrina z Pottsdamu. Musi choćby ze zgliszcz i ruin powstać z martwych w całej swej olbrzymiej krasie idea republikańska, którąśmy pierwsi z cywilizowanych społeczeństw w spadku wzięli po Romie!

A twórca dramaturg-taumaturg, który te prawdy pierwszy w potężnej, pancernej, trombitowej mowie wypowie, zapewne nie wybiegnie z nimi po mszy z kościoła, ani też z żadnego z trzech „Kół polskich“; może jednak i oby wybiegł, jak ten Konrad z „Wyzwolenia“, z żagwią płonącą w ręku z teatru, w którym „życ Polski“ gra się.

Ma tedy zadanie polski dramat historyczny, idąc równym kr kiem z potężnym rozwojem wiedzy historycznej w ostatnich czte

dziestu latach — w śmiałych kolorystycznych aktach-dokumentach udowadniać polskim, miarodajnym sferom inteligentnym, że wierutnym i bezecnym fałszem jest, jakobyśmy w siedmiu wiekach żywota naszego narodowego byli konglomeratem tylko katolickich czered czerstwych, krzykliwych, głupowato w *liberum veto* zakochanych, ekstazujących się raz na tydzień podczas efektownego ceremoniału pasożytniczych bonzów, a żyjących na codzień w zagłobowem zbydlęceniu i połanieckiej obłudzie. Ma obowiązek polski dramat historyczny zdobywać dla miłości do przeszłości całe rzesze tych inteligentnych spółcześników, którzy, widząc polskość wszędzie dziś wiązaną ze wszystkiem, co najwstrętniejsze: z egoizmem klas posiadających i wyzyskujących, z cyniczną taktyką polityczną szowinistów, z dzikiem barbarzyństwem spekulantów sklepikarzy, z czarnemi secinami klerykałów — zaczynają zwolna sympatyzować z kosmopolitycznemi ideałami stronnictw przyszłości i choć nie plują i nie kopią w ten trup nieistniejącej ojczyzny naszej, stają się z dnia na dzień gorsi od najgorszych, bo obojętni. Mojem marzeniem jest zyskanię całej mocy talentów młodego pokolenia dla dramatu historycznego, szczególnie tych synergetycznych z glebą polską, a — progresistów, bezwzględnie plemiennie typowych, jak Reymont, Miciński, Ign. Grabowski, Orkan. Niechby ta publiczność sześciu większych miast polskich, znudzona już i zręcznymi feljetonistami scenicznymi i posępnem, doktrynerskiem protokułowaniem procesów życiowych na scenie i błaznowaniem mazurskich farceurów, rozgorzała miłością do tych bezpowrotnie zapadłych świetnych czasów i do tych ludzi, tworzonych na miarę Fidyaszów i Michałów Aniołów, a nie skrojonych na miarę dzisiejszych krawców. Niechby sobie ta polska publika uświadomiła raz w druzgocąco desperackim momencie, do jakiego stopnia ohydnego, parszywego upadku doszło nasze życie oficyalne po 100 latach smętnej z rosyjskiem barbarzyństwem symbiozy.

Ponieważ jednak te utwory dramatyczne mają lepem świadomego kunsztu artystycznego przyciągać najwybrańsze krytyczne warstwy społeczne do umiłowania dawnych dziejów i „samostwierdzenia się w swem jestestwie historycznem“ dzisiejszego pokolenia, przeto ten lep kunsztu winien być uwodzącym i doskonałym w miarę sił utalentowanych twórców. Przedewszystkiem więc cała praca musi powstawać pod godłem antydemokratycznem *„de vulgo incognitis“*, w opozycyi do wszelkich tendencyj „przystępności“, łatwo-

zrozumiałości, lekkostrawności itp. Publika inteligentna nie jest dorastającem dzieckiem, nie przychodzi do teatru dla panoramy i lalek, ale dla podniesienia swej skali myślowej, dla wyszlachetnienia swej taktyki uczuciowej, dla artystycznie złagodzonych senzacyi zmysłów i dla skróś religijnego ukorzenia się pychy materyalistycznej i racyonalistycznej obrazami niedoli i upadku gatunku

MIĘDZYNARODOWA ANKIETA W SPRAWIE POLSKIEJ.

XXXIV.

Panie!

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytania, które mi Pan raczył zadać. To jedynie mogę powiedzieć, że ja osobiście żywię największą sympatyę dla Polski i jak wszyscy liberalni francuzi pragnę gorąco, by jak najrychlej zdołała odbudować swą narodowość.

Racz Pan przyjąć wyrazy szczerego szacunku.

A. Aulard.

XXXV.

Panie Redaktorze.

Kwestyonaryusz „Krytyki“ w kwestyi polskiej, doszedł mnie dzięki ręce przyjacielskiej w więzieniu Clairvaux, gdzie republika francuska kazała mnie zamknąć na cztery lata wraz z licznymi współwinnymi, za brutalne głoszenie poglądów heretyckich o ojczyźnie wogóle, a o ojczyźnie francuskiej w szczególności.

Heretyk w oczach patryotów francuskich, o ileż bardziej powinienem nim być w oczach patryotów polskich, u których rządy rosyjskie spotęgowały jeszcze przesąd narodowościowy?

Jeśli poglądy heretyka moga Pana interesować, wypowiadam swoje w kwestyi polskiej.

1) Prawo międzynarodowe ani usprawiedliwia, ani potępia podobne aspiracye, z tej prostej przyczyny, że co do tych kwestyi nie istnieje żadne prawo międzynarodowe.

homo sapiens; publiczność zaś dramatu historycznego specyalnie, winna wychodzić z teatru z tem Barrésowskiem uświadomieniem się, że jest sama tylko dalszym ciągiem swych przodków i że w duszy jej zbiorowej słychać tylko ich echa, coraz bardziej przytłumione, coraz słabsze, ale wiecznie te same i może już jutro znów rozgłośne.

ENQUÈTE INTERNATIONALE SUR LA QUESTION POLONAISE.

XXXIV.

Monsieur!

Je ne me sens pas en état de repondre aux questions que vous voulez bien me poser. Tout ce que je puis vous dire, c'est que j'ai personellement la plus grande sympathie pour la Pologne, et que, comme tous les Français liberaux, je desire ardemment qu'elle puisse le plus tôt possible, reconstituer sa nationalité.

Veuiller agrèer Monsieur l'expression de mes sentiments très distingués. *A. Aulard.*

XXXV.

Monsieur le Directeur.

Le questionnaire de la „Krytyka" sur la question polonaise me parvient grâce à une main amie, au fond de la prison de Clairvaux, où la Republique française m'a fait enfermer pour 4 ans, avec de nombreux complices, pour avoir professé brutalement des opinions hérétiques sur la patrie en général et la patrie française en particulier.

Hérètique aux yeux des patriotes français, combien dois-je l'être davantage encore aux yeux des patriotes polonais, chez qui la domination russe a exagerré le prejugé national.

Si l'opinion d'un hérétique peut vous intéresser, voici la mienne sur la question polonaise.

1) Le droit international ne justifie ni ne condamne une pareille aspiration, pour la bonne raison qu'il n'y a pas de droit international en ces matières.

Francuzi, którzy jęczą z powodu przyłączenia Alzacyi do Niemiec, w tejże chwili stopę swą trzymają na narodowości arabskiej w Algierze.

Niemcy, którzy upomnieli się o Alzacyę w imię zasady narodowości, ponieważ w r. 1870 mówiono tam po niemiecku, uważają za rzecz zupełnie naturalną, przemocą zatrzymywać Lotaryngię, gdzie mówi się po francusku i Polskę pruską, gdzie mówi się po polsku.

Węgrzy, którzy najgłośniej krzyczeli w imię sprawiedliwości i prawa narodów, w celu otrzymania autonomii, a nawet niezawisłości, są najgwałtowniejsi na punkcie madziaryzowania Rumunów i Słowian, mieszkających w Węgrzech.

Gdyby jutro Polska stała się niezależną wraz ze swemi przynależnościami nie polskiemi, jak Litwa, to nie ulega wątpliwości, że najsroższi z nacyonalistów skazaliby na rozstrzelanie Litwinów, domagających się niezależności.

Jedynem prawem międzynarodowem w kwestyi narodowości jest siła.

Niechaj Polacy mają siłę, a będą mogli stać się niepodległymi... jeśli ich to bawi.

Widząc jednak, co zyska burżuazya i arystokracya polska przez zdławienie konkurencyi o wszystkie intratne urzędy ze strony rosyjskich emigrantów, nie widzę zgoła, co zyska na tem polski proletaryat, skoro ziemia, kopalnie, fabryki i wszystkie narzędzia pracy pozostaną w rękach kapitalistów, rękach, w których niezależne państwo polskie stanie się narzędziem ucisku.

2) Zachowanie w chwili obecnej w XX wieku narodu polskiego, nie wydaje mi się wcale pożądanem, tak samo jak nie jest pożądanem zachowanie narodu niemieckiego lub francuskiego.

Co w wieku XX jest pożądanem dla cywilizacyi całej, to właśnie zniknięcie tych przedziałów sztucznych, jakimi są narody współczesne z ich granicami, najeżonemi urzędami cłowymi i armatami, a dzielącymi narody o tej samej kulturze.

Kwestyonaryusz mówi o niezależnej kulturze polskiej.

Niema kultury polskiej: wzmaga się coraz to więcej, z dnia na dzień, dzięki parze, elektryczności, towarzystwom akcyjnym, międzynarodowości kapitału, kultura europejska, która jest kultur kapitalistyczną, z jej kopalniami, jej wielkiemi fabrykami, jej to warzystwami spedycyi i żeglugi, jej więzieniami, jej wrogiemi kla sami, jej właścicielami dóbr, przemysłowcami i finansistami, pro

Les Français qui geignent à propos de l'annexion de l'Alsace par les Allemands, tiennent sous leur botte en ce moment la nationalité arabe en Algérie.

Les Allemands qui out revendiqué l'Alsace au nom du principe des nationalités, parce qu'ou y parlait allemand en 1870, trouvent très naturel de maintenir de force dans leur nation la Lorraine, ou l'on parle français, la Pologne prussienne où l'on parle le polonais.

Les Hongrois qui ont crié le plus fort au nom de la justice et du droit des nationalités, pour avoir l'autonomie et même l'indépendance, sont les plus forcenés à vouloir magyariser les Roumains et les Slaves de Hongrie.

Si demain la Pologne était indépendante avec ses annexes non polonaises, comme la Lithuanie, nul doute que les plus farouches nationalistes ne soient prêts à faire fusiller les Lithuaniens qui réclameraient leur indépendance.

Le seul droit international en matière de nationalité — c'est la force.

Que les Polonais aient la force et ils porrront se rendre indépendants... si ça les amuse.

Si je vois ce que la bourgeoisie et l'aristocratie polonaises auront à y gagner par la suppression de la concurrence que leur font pour toutes les bonnes places de l'administration les immigrés russes, je ne vois pas bien ce que le prolétariat polonais gagnera, tant que la terre, les mines, les usines et tous les instruments de travail resteront aux mans de capitalistes dont l'Etat polonais indépendant sera l'instrument d'oppresion.

La conservation de la nation polonaise à l'heure actuelle, au XX siècle, pour la civilisation de l'Europe entière ne me semble nullement désirable. pas plus d'ailleurs que la conservation de la nation allemande ou française. Ce qui est désirable au XX siècle, pour la civilisation de l'Europe entière, c'est au contraire la dispariton de ces compartiments fermés que sont les nations modernes avec leurs frontières hérissées de douanes et de canons, séparant des peuples de même civilisation.

Le questionnaire parle de civilisation polonaise indépendante.

Il n'y a pas de civilisation polonaise: il y a de plus en plus, tous les jours, grâce à la vapeur, à l'éléctricité, aux sociétes par actions, à l'internationalisme du capital, une civilisation européenné qui est la civilisation capitaliste, avec ses mines, ses grandes usines,

letaryatem fabrycznym i rolnym, małymi właścicielami wiejskimi, pracującymi jak bydło pociągowe dla chudego jadła, drobnymi sklepikarzami, coraz bardziej dławionymi przez konkurencyę magazynów hurtownych, partyami konserwatystów, klerykałów i materyalistów, partyami mieszczaństwa republikańskiego i antyklerykalnego, partyami robotników socyalistycznych i międzynarodowych.

Interes cywilizacyi europejskiej w danej chwili nie wymaga, by jakaś grupa etniczna, przepojona przesądami narodowymi, stworzyła państwo najwyższe; przeciwnie, chodzi o to, by we wszystkich krajach europejskich ludzie inteligentni o dobrej woli, przestali się od tej chwili uważać za Francuzów, Niemców, Rosyan lub Polaków, a uważali się za Europejczyków, współziomków i pracowali nad wytworzeniem federacyi europejskiej lub przyjęciem jakiegoś języka ogólnego, stojącego ponad narzeczami narodowemi; nie mówię o ich usunięciu. Partya socyalistyczna stara się zresztą o to, by ta federacya europejska nie wytworzyła się inaczej, jak tylko na podstawach republikańskich i komunistycznych.

3) Rozwiązanie drugie byłoby w chwili obecnej tak samo fatalne, jak korzystnem byłoby pierwsze.

Gdyby Polska rosyjska skorzystała z rewolucyi rosyjskiej, uważając ją za sposobność odpowiednią do ogłoszenia się państwem niezależnem, byłoby to niebezpiecznym ciosem dla samej rewolucyi rosyjskiej, która w oczach patryotów rosyjskich, tak licznych nawet pośród radykałów, okazałaby się przyczyną rozczłonkowania państwa rosyjskiego; przy obecnym stanie umysłów w Rosyi, radykalna partya rosyjska posiadająca władzę, nie pozwoli, by naród polski utworzył państwo niezależne; tak samo sąsiedztwo militarnego państwa niemieckiego nie byłoby bezpiecznem dla republiki tak małej, jak republika polska.

Przekształcenie Polski rosyjskiej w grupę autonomiczną, posiadającą własny parlament i wojsko, lecz tworzącą część federatywną państwa rosyjskiego — republiki zjednoczonych państw Rosyi, miejmy nadzieję — nie potknie się o te same przeszkody.

Jest to rozwiązanie przedstawiające przedewszystkiem tę korzyść, że może być przyjętem przez rosyjskich radykałów, przytem chroni Polskę autonomiczną przed aneksyą niemiecką: dokonać się może bez wojny międzynarodowej. Ze stanowiska europejskiego przedstawia ono jeszcze inną korzyść: utworzenie w Europie wschod-

ses Compagnies de transport et de navigation, ses bagnes, ses classes antagonistes, ses seigneurs terriens, industriels et financiers, ses prolétaires industriels et agricoles, ses petits propriétaires paysans travaillant comme des bêtes de somme pour une maigre pitance, ses petits boutiquiers écrasés de plus en plus par la concurrence des gros magasins, ses partis conservatistes cléricaux et matérialistes, ses partis bourgeois réformistes et anticléricaux, ses partis ouvriers socialistes et internationalistes.

L'interêt de la civilisation européenne, à l'heure actuelle, ce n'est pas que tel groupe ethnique saturé de prejugés nationaux, constitue un Etat souverain; c'est que dans tous les pays d'Europe les hommes intelligents et de bonne volonté se considérent dés maintenant non plus comme des Français, des Allemands, des Russes, des Polonais, mais comme des Européens, des compatriotes et qu'ils travaillent à l'avènement de la fédération européenne, ou l'adoption d'une langue artificielle universelle, se superposerait aux idiomes nationaux, — je ne dis pas les faisant disparaître. Le parti socialiste se charge d'ailleurs d'empêcher cette fédération européenne de se constituer autrement que sur des bases républicaines et communistes.

3) La 2-me solution serait aussi désatreuse à l'heure actuelle, que serait avantageuse la première.

Si la Pologne russe profitait de la Révolution russe, en supposant qu'elle en trouve occasion propice pour se proclamer Etat souverain indépendant, c'est un coup dangereux porté à la Révolution russe elle-même, qui apparaîtra aux yeux des patriotes russes si nombreux même parmi les radicaux, comme une cause de démembrement de l'Etat russe; dans l'état actuel des esprits en Russie, au parti radical russe au pouvoir ne laissera pas sans guerre la nation polonaise se constituer un Etat souverain indépendant: le voisinage de l'Etat militaire allemand ne serait d'ailleurs pas sans danger pour une aussi petite République que la République polonaise.

La transformation de la Pologne russe en un groupement autonome, possedant son parlament et sa milice, mais constituant une partie fédérative de l'Etat russe, — de la République des Etats Unis de Russie, espérons-le, — ne se heurterait pas aux mêmes obstacles.

C'est une salution qui offre d'abord l'avantage de pouvoir être admise par les radicaux russes et de protéger la Pologne auto-

niej i środkowej wielkiego państwa federacyjnego, skierowałoby Europę na drogę federalizmu.

Republika państw zjednoczonych Rosyi, do której przyłączyłaby się rychło większa część narodowości monarchii austro-węgierskiej. byłaby embryonem stanów zjednoczonych Europy, tej utopii, której urzeczywistnienie będzie jednym z pierwszych aktów rewolucyi socyalnej, przygotowującej się obecnie w całej Europie.

Jestem przekonany, że nie tylko socyalna demokracya Polski lecz nawet sama polska partya socyalistyczna, mimo swych nacyonalistycznych jeszcze dążnosci, gotowe są ze swej strony do ziszczenia tego marzenia naszej Międzynarodówki i że nie pracują one zgoła nad stworzeniem nowych granic, nowych zapór, lecz nad obaleniem wszelkich zapór narodowych, wszelkich granic, które ludzkości pojednanej w ogromnej federacyi grup autonomicznych, przeszkadzają zachować wszystkie jej siły dla stworzenia z całej ziemi pobytu przyjemnego dla wszystkich ludzi dobrej woli.

Proszę przyjąć zapewnienie mych uczuć przyjaznych

Gustaw Hervé.

XXXVI.

Na pytanie Pańskie, trudno mi odpowiedzieć w formie lakonicznej i stanowczej. Istotnie rola cywilizatorska i polityczna, jaką przypisuję narodowi polskiemu w ogólnej ewolucyi rasy słowiańskiej zbyt jest wybitna, bym mógł uważać za słuszne zniżenie go do poziomu państewka republikańskiego lub monarchicznego, wcielonego do trzech wielkich mocarstw: Niemiec, Austryi i Rosyi.

Ten stan rzeczy zaważyłby w całej pełni w razie politycznego zmartwychwstania Polski, która zmniejszona przez obcięcie wielkiej części jej terytoryum historycznego byłaby w sytuacyi strategicznej j e s z c z e k r y t y c z n i e j s z e j, niż w dobie poprzedzającej pierwszy jej rozbiór.

Nie! naród polski jest dziś powołany do roli ważniejszej ni ją może odegrać państewko szczelnie zamknięte, którego byt poli yczny pozostawałby ustawicznie na łasce potężniejszych sąsiadów

nome contre une annexion allemande: l'operation peut se faire sans guerre internationale. Au point de vue européen elle offre un autre avantage: la formation dans l'Europe orientale et centrale d'un grand Etat fédératif, orienterait l'Europe dans la voie du fédéralisme. La République des Etats-Unis de Russie, à laquelle viendraient s'agréger un jour prochain la plupart des nationalités de la monarchie austro-hongroise serait l'embryon des Etats-Unis de l'Europe, cette utopie dont la réalisation sera l'un des premiers actes de la Revolution social qui se prépare à l'heure actuelle dans l'Europe entière.

Je suis convaincu que non seulement la social-démocratie de Pologne, mais encore le parti socialiste polonais lui même, malgré ses tendances encore nationalistes, sont prêts pour leur part à réaliser ce rêve de notre Internationale et que ce n'est point à édifier de nouvelles frontières, de nouvelles barrières qu'ils travaillent, mais à supprimer toutes les barrières nationales, toutes les frontières qui empêchent l'humanité reconciliée dans une vasté fédération de groupements autonomes de conserver toutes ses forces à former de la terre entière un séjour agréable pour tous les hommes de bonne volonté.

Je vous prie d'agréer, Monsieur, l'assurance de mes sentiments les meilleurs *Gustave Hervé.*

Prison de Clairvaux le 10 Juin 1906.

XXXVI.

A vos questions, Monsieur, il me parait difficile de répondre d'une façon laconique et péremptoire.

En effet le rôle civilisateur et politique que j'attribue à la nation polonaise dans l'évolution générale du developpement de la race Slave est trop considérable pour qu'il me paraisse équitable de la ramener au niveau d'un petit état républicain ou monarchique enclavé entre trois grandes puissances: l'Allemagne, l'Autriche et la Russsie.

C'est état de chose equivaudrait à la résurrection politique d'une Pologne, qui amoindrie, par l'amputation d'une grande partie de son territoire historique, serait dans une situation stratégique plus critique que celle dans laquelle elle se trouvait à la veille de son premier démembrement.

Non! la nation polonaise est aujourd'hui appelée à des desti-

Małe państwa europejskie, jak Belgia lub Holandya zabezpieczone traktatami międzynarodowymi nie mogą być przykładem dla Polski.

Wielki naród odegrawszy świetną rolę w dziejach świata nie zdołałby ograniczyć się dobrowolnie do znaczenia polityczej *quantité negligeable,* którą pierwszą burza wojenna uniosłaby w swych odmętach.

Książę Bismark słusznie powiedział, że na wojnie jak w polityce, „siła idzie przed prawem". Zasada ta jest wnioskiem logicznym ze znaczenia walki o życie; jest jej wypływem i prawem naturalnem.

Słuszną jest przeto rzeczą rozważać przyszłość narodu polskiego nie wyłącznie z punktu widzenia jego historyi, lub prawa międzynarodowego o wartości niełatwej do ujęcia, lecz odpowiednio do maximum siły, jaką może rozwinąć w walce o byt, którą jednostki i narody mają przeznaczenie podtrzymywać po koniec świata.

Z tego punktu widzenia siły narodu polskiego są, mojem zdaniem, olbrzymie. Istotnie reprezentuje on w wielkiej rasie słowiańskiej gałąź najbardziej ucywilizowaną, kulturę najwyżej rozwiniętą; z tego tytułu ma też bezsprzeczne prawo do zaznaczenia przewagi swej kultury cywilizatorskiej i do wyciśnięcia swego piętna na ogólnym rozwoju tej rasy.

* * *

Po trzech kolejnych rozbiorach, po powstaniach sławnych lecz bezowocnych, naród polski pozostał niemniej dręczony i rozczłonkowany w mocy trzech wielkich państw, z których jedna tyko Rosya, należy do rasy słowiańskiej.

W Austryi, a przedewszystkiem w Niemczech kultura polska nie mogła się domagać przewagi, której żywioł germański miał prawo, a przedewszystkiem moc zaprzeczyć.

W Rosyi przeciwnie, sytuacya wydawała się korzystniejszą. Rosya rościła sobie prawo reprezentowania narodu rasy słowiańskiej, przeto pobratymczego z polskim; rozwój ekonomiczny i intelekualny Rosyi był jeszcze w stanie embryonalnym, zwłaszcza na południu tego państwa Ukraina była lenniczką kultury polskiej prawem tradycyj historycznych.

Ów zbieg okoliczności sprzyjających pozwalał Polsce i jej cywilizacyi spełniać w wielkiem państwie moskiewskiem funkcye

nées autrement plus importantes que celles d'un petit état tampon dont l'existance politique resterait perpetuellement à la merci de ses puissants voisins.

Les petits états Européens tels que la Belgique ou la Hollande, garantis par des accords internationaux ne peuvent servir d'example à la Pologne.

Une grande nation, ayant joué un rôle glorieux dans l'histoire du monde ne saurait se résigner bénévolement a celui de quantité politique negligeable que la première rafale guerrière emporterait dans ses tourbillons.

Le prince de Bismark à dit avec raison qu'à la guerre comme en politique „la force primait le droit". Cette maxime est la deduction logique du sens de la lutte pour la vie, elle en est la resultante et la loi naturelle.

Il est donc judicieux de considerer l'avenir de la nation polonaise, non au point de vue exclusif de son histoire, ou à celui de droits internationaux d'une valeur plutot scabreuse, mais conformement au maximum de force qu'elle peut développer dans la lutte pour la vie que les humains individuèllement et les nations sont destinés à soutenir jusqu'à l'extinction du monde.

A ce point de vue j'estime que les forces de la nation polonaise sont immenses. En effet elle represente la branche la plus civilisée, la culture la plus avancée de la grande race Slave; à ce titre elle a incontestablement le droit de faire valoir la prepondérance de sa culture civilisatrice ainsi que d'en imprimer le cachet sur le développement général de cette race.

* * *

Après trois partages consécutifs, après des révoltes glorieuses mais steriles, la nation polonaise n'en est pas moins restée meurtrie et démembrée au pouvoir de trois grandes puissances dont l'une seule, la Russie, appartenait à la race Slave.

En Autriche et surtout en Allemagne la culture de la nation polonaise ne pouvait prétendre à une predominence que l'élement germanique avait le droit et surtout le pouvoir de lui contester.

En Russie, au contraire, la situation semblait beaucoup plus favorable. La Russie prétendait représenter une nation de race slave par consequant soeur de la polonaise; le développement économique et intellectuel de la Russie etait encore à l'état d'embryon

czynnika postępu cywilizacyjnego. Ta rola pokojowa i wspaniała, czyniąca ze zwyciężonych w przeszłości zwycięzców w przyszłości, nie był poniżeniem dla geniuszu narodu polskiego. — Zgoła nie! Natura jego [byłaby niewątpliwie przeszczepiła na państwo moskiewskie swój charakter zachodni, gdyby się nie była potknęła o dwie przeszkody, istotą swą wykazujące pochodzenie azyatyckie: o ortodoksyę bizantyjską i jej wyraz złożony, autokratyzm ortodoksyjny.

Te dwa pierwiastki polityczno-religijne były z natury swej zbyt despotycznie oryentalne, by kiedykolwiek mogły uledz wpływowi ducha słowiańskiego.

Trzymając się prawdy, to jest mówiąc historycznie, Moskwa carów nie miała nigdy nic wspólnego z duchem Rusi niezależnej i wojennej Świętosławów, ani nawet Monomachów.

W XIV wieku Ruś kijowska przeszła pod panowanie Litwy; po zlaniu się tego państwa z królestwem polskiem, została nanowo przyłączona do tego państwa, otrzymując pewne przywileje.

Ta właśnie Ruś kijowska, popularnie nazywana Ukrainą, w wielkiej mierze i przez długi czas dostarczała Polsce nieustraszonych żołnierzy do obrony i podbojów. Ona również przez swe bunty postradała własną wolność i wpłynęła stanowczo na przyszły upadek Polski.

Historya wojen kozackich jest znana dostatecznie. W rzeczywistości nie przekroczyły one nigdy rozmiarów współzawodnictwa, istniejącego między szlachtą polską a oligarchią wojenną organizacyi kozackiej; współzawodnictwa zaostrzanego rozmyślnie i dowolnie przez ambitnych przywódców ortodoksyjnego duchowieństwa.

Wystarczy poddać ważnej analizie rozmaite układy między Chmielnickim a Rzecząpospolitą Polską, by się przekonać o roli zarówno zdradliwej jak przemożnej, jaką duchowieństwo ortodoksyjne odegrało w walkach, które krwią zbroczyły całą Ukrainę.

* * *

Po dzień dzisiejszy położenie Polski rosyjskiej w państwie carów było położeniem państwa podbitego i ciemiężonego przez zwycięzcę o niskiej kulturze i głęboko tkwiącym fanatyzmie.

Zarówno w biurach administracyi rosyjskiej jak i w jaskini ortodoksyi, rusyfikacya ortodoksyjna była na porządku dzienny

en plus au Sud de cet état l'Ukraine etait tributaire de la culture polonaise de par le droit des traditions historiques.

Cet ensemble de circonstances favorables pérmettait à la Pologne et à sa civilisation de rémplir dans le grand Empire Moscovite les fonctions d'un principe de progres civilisateur.

Ce rôle pacifique et superbe qui faisait des vaincus de la veille les vainqueurs de l'avenir n'était pas au-dessous du génie de la nation polonaise. Loin de là! Sa culture serait parvenue, sans nul doute, a inculquer à l'Empire Moscovite son caractère occi dental si elle n'était venue se heurter à deux obstacles d'origine essentièllement asiatiques: l'Orthodoxie bysantine et son composé l'autocratie ortodoxe.

Ces deux principes politico-religieux êtaient d'essence trop despotiquement Oriental pour devenir jamais susceptibles de subir l'influence de l'esprit Slave.

A vrai dire c'est à dire historiquement parlant la Moscovie du Tzarisme n'eut jamais rien de commun avec l'esprit de la Russ independante et belliqueuse des Sviatoslaws, voir même des Monomachs.

A XIV siec. la Russ Kiovienne passait sous la domination de la Lithuanie, après la fusion de cette principauté avec le royaume de Pologne elle fut rattaché a cet état sous benéfice de certaines franchises.

C'est en grande partie cette Russ Kiovienne qui sous le nom populaire d'Ukraïna fourni si longtemps à la Pologne des soldats intrépides pour sa défense et ses conquêtes. C'est elle egalement qui par ses révoltes aliéna sa propre liberté et determina la chute future du royaume de Pologne.

L'Histoire des guerres cosaques n'est plus à faire. En somme elles ne dépassèrent jamais les propositions d'une rivalité existant entre la noblesse polonaise et l'oligarchie belliqueuse de l'organisation cosaque; rivalité que les menées ambitieuses du clergé Orthodoxe envenimèrent sciemment et à plaisir.

Il suffit d'analyser attentivement les differents traités passés entre Khmelnizky et la Chancellerie polonaise pour se persuader du rôle aussi perfide que préponderant que joua le clergé Orthodoxe dans les luttes qui ensanglantérent l'Ukraine.

* * *

Obecnie sytuacya się zmieniła; klęski wojny japońskiej odkryły zło, noszące charakterystyczne symptomy daleko posuniętego rozkładu w łonie państwa.

Autokratyzm ortodoksyjny znajduje się w stanie rozkładu, chwieje się w swych podstawach, grożąc, że upadkiem swym pociągnie za sobą utratę bytu politycznego narodu, liczącego przeszło 120 milionów mieszkańców.

Jasno patrzący na sytuacyę Rosyanie, nie łudzą się co do doniosłości zła, jakie podkopuje Rosyę.

Klęski kampanii mandżurskiej nie są zwykłemi klęskami wojennemi; przeciwnie, równają się one wielkiemu nieszczęściu narodowemu i politycznemu, nieszczęściu, które jaskrawo odsłania rozkład, do którego doszło państwo carów pod zgniłym wpływem autokracyi biurokratycznej i bizantyjskiej ortodoksyi.

Naród, który sromotnie jęczy z powodu klęski, który głośnym krzykiem domaga się pokoju, gdy żołnierze jego walczą na granicach, jest narodem, nie mającym najelementarniejszego poczucia ojczyzny.

A przecież bez heroicznego pojęcia ojczyzny, naród nowoczesny nie może istnieć. Jak jednak żądać od narodowości, zamieszkujących państwo rosyjskie uczuć patryotycznych, wobec formuły politycznej, pozbawionej dla nich znaczenia historycznego, wobec tego, że nawet żywioł centralny, to znaczy grupa ortodoksów nie zdołała sobie jeszcze wytworzyć nowoczesnego pojęcia ojczyzny, gdy rząd autokratyczny z zasady wyklucza wszelkie prerogatywy polityczne, tworzące podstawę ojczyzny nowoczesnej?

Ten stan ducha u mieszanych narodowości nie da się pogodzić z politycznym bytem państwowym, ponieważ nie pozwala na nowoczesne przygotowanie wojskowe, to znaczy uniemożliwia skuteczną obronę krajową. O ile w czasie pokoju rząd bardzo silny może jeszcze utrzymać pewną spójność w łonie państwa, to w czasie wojny, zwłaszcza w chwili mobilizacyi, apatya narodowa a rzec nawet można nienawiść pewnych narodowości ujarzmionych nieuchronnie musi się dać odczuć w sposób okrutny.

W razie przegranej, kto wie czy nie może nawet spowodować zupełnego rozszczepienia państwa.

Ta właśnie ewentualność do niedawna jeszcze dyktowała rodowej i biurokratycznej autokracyi rosyjskiej przesadną miłość dla pokoju.

Jusqu'à present la situation de la Pologne russe dans l'Empire des Tzars etait celle d'une nation conquise en but à l'oppression d'un vainqueur aussi peu cultivé que fanatique.

Dans les bureaux de l'administration russe aussi bien que dans les tanières de l'Orthodoxie la russification orthodoxe était à l'ordre du jour.

Aujourd'hui la situation est tout autre; les défaites de la guerre Japonaise ont révêlé l'existence en Russie d'un mal portant les symptômes caractéristiques d'un état de décomposition avancée.

L'autocratie Orthodoxe se décompose, elle chancelle sur sa base, risquant d'entrainer dans sa chute l'existance politique d'une nation de plus de 120 millions d'habitants.

Les Russes clairvoyants ne se meprènnent plus sur la gravité du mal qui mine la Russie.

Les défaites de la campagne de Mantchourie ne sont pas de simples revers militaires, elles equivallent au contraire a un désastre national et politique, désastre qui éclaire d'une clarté fulgurante l'etat de décomposition auquel est arrivé l'Empire des Tzars sous l'influence putride de l'autocratie buraucratique et de l'orthodoxie bysantine.

Une nation qui geint honteusement sous la défaite, qui reclame la paix à grands cris, alors que ses soldats combattent sur ses frontières est une nation qui n'a point le sens le plus élémentaire de la patrie.

Or sans l'appoint de la conception heroïque de la patrie l'état moderne ne saurait exister. Mais comment exiger des nationalités qui peuplent l'Empire, des sentiments patriotiques à l'égard d'une formule politique pour elles vide de sens historique, alors que l'élément central lui même c'est à dire le groupe orthodoxe n'est même pas encore parvenu a se créer une conception moderne de la patrie, alors que le gouvernement autocratique absorbe par principe toutes les prérogatives politiques qui forment la base de la patrie contemporaine?

C'est état d'âme d'une aglomeration de nationalités est incompatible avec l'existance politique de l'état, par ce qu'il est contraire aux exigeances de la préparation militaire contemporaine c'est a dire au succes de la défence nationale.

Si en temps de paix un gouvernement très fort est encore capable de maintenir une certaine cohésion au sein de l'état, en temps de guerre, surtout au moment de la mobilisation, l'apathie

Oligarchia rodowa i biurokracya rosyjska kochały pokój dlatego, że obydwie czuły się niezdolne do wojny, bez narażenia podstaw państwa.

* * *

Jaka rada na stan rzeczy, który niewątpliwie, wcześniej czy później sprowadzi nieszczęście niepowetowane? Stworzenie dla Rosyi dzisiejszej ojczyzny, której nie posiada. Do osiągnięcia tego celu, jeden tylko wiedzie środek: Jest nim przeobrażenie państwa moskiewsko-ortodoksyjnego, jakiem w rzeczywistości jest dzisiejsza Rosya, w państwo federacyjnie i militarnie prawdziwie słowiańskie. W państwo federacyjne, w skład którego weszłyby wielkie narodowości, tworzące państwo rosyjskie.

Mojem zdaniem Polska powinnaby wejść w związek federacyjny cesarstwa w obrębie swych granic historycznych, w jakich obecnie rozciąga się w Rosyi, a zatem także Litwy i Ukrainy. Związek tych wielkich rzesz: polskiej, litewskiej i ukraińskiej pozwoliłby grupie tej reprezentować w „Dumie państwowej" partyę niezależną i narodową, dość potężną, by mogła wywierać wpływ na dalsze losy sfederowanego cesarstwa.

Związek trzech narodowości: polskiej, litewskiej i ukraińskiej byłby przedmiotem osobnej umowy.

Sądzę, że państwo ukonstytuowane pod takiemi auspicyami reprezentowałoby ogromną ojczyznę, zarówno drogą dla wszystkich swych dzieci. Ojczyzna ta posiadałaby tak znaczną siłę atrakcyjną, że dzięki rozwojowi jej potęgi militarnej, potomkowie nasi uważaliby może pewnego dnia cały obszar dawnej ojczyzny polskiej za część federacyjną wielkiej monarchii słowiańskiej.

Oto w kilku słowach odpowiedź na kwestyonaryusz do mnie skierowany.

Przyjm Pan zapewnienie mego najgłębszego szacunku.

Książę Michał Koczubej (Orlik).

national, voir même l'inimitié de certaines nationalités subjuguées doivent inévitablement se faire cruellement sentir.

En cas de defaite elles risquent de provoquer la desagrégation complète de l'etat.

C'est l'eventualité de ce phenomene qui encore dernièrement inspirait à l'autocratie familiale et buraucratique de la Russie son amour exagéré de la paix.

L'Oligarchie familiale et la buraucratie russe chérissaient la paix parceque toutes les deux se sentaient incapables de faire la guerre sans risquer de compromettre les assises de l'état.

* * *

Comment remedier à un état de chose qui évidemment determinera tôt ou tard un désastre irréparable? En donnant à la Russie actuèlle la patrie qui lui manque. Pour atteindre ce but il n'est qu'un moyen: C'est de transformer l'etat Moscovito-Ortodoxe qu'est en réalité la Russie d'aujourd'hui en un Empire conféderatif et militaire reèllement Slave. Empire confederatif dans lequel entreraient les grandes Nationalités qui composent l'Empire de Russie.

A mon avis la nation polonaise devrait entrer dans la conféderation imperiale dans les limites des frontières historiques qu'elle représente aujourd'hui en Russie. C'est a dire la Lithuanie et l'Ukraine y comprises. L'union des grandes unités: polonaise, lithuaniènne et ukrainiènne permetrait a ce groupement de représenter à la „Douma d'Empire" un parti independant et national, assez important pour faire sentir son influance sur les destinées ultérieures de la Conféderation Imperiale.

L'union des trois nationalités: polonaise, lithuaniènne et ukrainiènne serait l'objet d'un accord particulier.

J'estime qu'un Empire constitué sons ces auspices représenterait une vaste patrie également chère à tout ses enfants. Cette patrie serait doué d'une force d'attirance si considerable, que grâce au développement de sa puissance militaire, nos descendants contempleraient peut-être un jour toute l'étendue de l'antique patrie polonaise faisant partie féderative de la grande monarchie Slave.

Voilà en quelque mots, ma réponse au questionnaire que Vous m'avez adressé.

Veuillez agréer l'assurance de mes sentiments les plus distingués.

Prince Michel Kotchoubey (Orlik).

XXXVII.

Drogi Panie!

Na pierwsze dwa pytania Pańskiej ankiety, przesyłam odpowiedź stanowczo twierdzącą. Wymagania historyi, sprawiedliwości i wolności w równej mierze uświęcają żądanie narodu polskiego.

Mojem zdaniem, Polacy nie odrzucając autonomii, jaką nasuwa klauzula a) trzeciego pytania, powinni skierować wszystkie swe dążenia i usiłowania ku urzeczywistnieniu całego programu, objętego klauzulą b). Nie tylko oni, lecz cały świat cywilizowany odniósłby stąd korzyść. Osiągnięcie tego celu oznaczałoby upadek autokracyi i militaryzmu, pokojowe ustanowienie „równowagi władzy“ i szczęśliwe rozwiązanie kwestyi żydowskiej, gdyż krzywdzenie i ciemiężenie w krajach mniej cywilizowanych, stałoby się wkrótce niemożliwem, a wielki organizm żydów zostałby fizycznie podniesiony w sferę swobody.

Jako przemysłowiec jestem przekonany, że ta niezależność oznaczałaby ogromne spotęgowanie się działalności przemysłowej i odpowiednią ekspanzyę handlu międzynarowego, wywierając wpływ dobroczynny na cały świat.

Osobiście przenosiłbym przyłączenie się lub przynajmniej federacyę Litwy, Rusi, Estonii i Liwonii z Polską etnograficzną.

Szczerze oddany

Edw. L. Levetus.

XXXVIII.

Panie!

Odpowiedź na przedłożone mi pytania, nie może być wątpliwą, ani dla mnie, ani jak sądzę, dla żadnego człowieka, mającego poczucie sprawiedliwości i szacunek dla godności ludzkiej i swobody. Każdy naród, jak również każda jednostka należą do siebie samych i sami powinni losem swym rozporządzać. Zgodną jest przeto rzeczą z nowem prawem międzynarodowem, nie będącem niczem innem jak zmierzchem lub jutrznią prawa wieczystego, by rozmaite narodowości, które w ciągu wieków przemocą pozbawione zostały niepodległości, odzyskały tę niepodległość i byt im należny. Dotyczy to zarówno Polski, podzielonej na trzy odłamy, między rządy mniej lub więcej twarde, jak też Irlandyi, dotychczas jeszcze przez liberalną Anglię pozbawionej w znacznej mierze swobody wewnętrznej, a także innych narodowości, których lista niestety! byłaby nadto długa.

XXXVII.

Dear Sir!

In reply to your circular I answer your first two enquiries emphatically in the affirmative. The claims of history, justice and liberty alike sanction the demands of the Polish nation.

In my opinion Poles, while not refusing the autonomy suggested in clause A., of your third question, should direct their aims and efforts towards the realisation of the complete programme of clause B. Not only they but the whole civilised world would profit by it. The attainment of this ambition would mean the doom of autocracy and militarism, a peaceful settlement of the „balance of power", and a happy solution of the Jewish question, as outrage and oppression in less civilised neighbour-states would soon become impossible, and the vast body of Jews would be physically and morally elevated in the atmosphere of freedom.

As a business man I am convinced that this independence would mean an immense accession of industrial activity and a corresponding expansion of international commerce, reacting beneficially all over the globe.

Personally I should prefer that Lithuania, Ruthenia, Esthonia and Livonia should be included or at least federated, with ethnographical Poland.

Yours faithfully

Edw. L. Lewetus.

XXXVIII.

Monsieur!

La réponse aux questions que vous me posez ne peut être douteuse pour moi, ni, je le crois, pour aucun homme ayant le sentiment de la justice et le respect de la dignité humaine et de la liberté. Tout peuple, comme tout individu, s'appartient, et doit seul disposer de ses destinées. Il est donc conforme au droit international nouveau, qui n'est autre chose que l'ébauche ou l'aurore du droit éternel, que les diverses nationalités qui ont été, au cours des siècles, privées par la force de leur indépendance recouvrent cette indépendance et reprennent leur existence propre. Cela est vrai pour la Pologne, partagée en tronçons, sous des dominations plus ou moins dures, comme pour l'Irlande, encore privée par la libérale Angleterre d'une trop considérable partie de sa liberté intérieure, et pour d'autres populations, dont la liste, hélas! serait longue.

Stwierdzając tę prawdę, nie chcę zgoła zalecać propagandy rewolucyjnej wszystkim tym, którzy są lub uważają się za uciśnionych. Historya aż nazbyt dobrze nas pouczyła, że apele do siły wyswabadzającej w obec siły gnębiącej najczęściej podwajają zło, które rzekomo leczą; a gwałt, wywołując nowe gwałty, fatalnie mija się ze swym celem. Nie da się jednak zaprzeczyć, że nawet interes samych gnębicieli, jeśli w braku innych uczuć, mogłaby ich wzruszyć troska o własny byt — interes ten powiniemby im kazać zrozumieć potrzebę, a równocześnie obowiązek przygotowania stopniowego wyzwolenia tych, których na cenę ciągłych niebezpieczeństw i nieustających ofiar, postanowili strzedz pod pretekstem nałożonej im opieki.

Gdy w 1772 popełniono względem Polski (która się może na to naraziła przez swe niesnaski i błędy) pierwszą tę zbrodnię, w której w rozmaitym stopniu brały udział trzy mocarstwa, cesarzowa Marya Teresa, zanim się na to zgodziła, duże wpierw czyniła wysiłki, by wspólnikom swym wytłómaczyć jak ogromną odpowiedzialność materyalną i moralną mieli na siebie przyjąć. A poddając się wreszcie temu, co uważała za przemożną konieczność polityczną chwili, przed położeniem swego podpisu rzekła do swego doradcy Kaunitza: „Placet, ponieważ tak wiele wybitnych osobistości zapewnia mnie, że nie mogę być od tego zwolnioną; lecz kiedyś, gdy mniejuż dawno nie stanie, ludzie się przekonają, co znaczy poświęcać swą cześć i obowiązek dla kawałka ziemi".

Historya aż nadto usprawiedliwiła te słowa. Ileż wydatków, niepokojów, cierpień wszelkiego rodzaju Europa byłaby sobie zaoszczędziła, gdyby od czasu do czasu nie musiała się liczyć z podziemnym hukiem i wrzeniem tych zdławionych wulkanów, sztucznie utrzymywanych w jej łonie przez krótkowzroczną politykę, na którą się skazała!

Fryderyk Passy.

XXXIX.

Drogi i Szanowny kolego.

Wybacz Pan, że odpowiadam tak późno i niedostatecznie na pytanie bardzo ważne. Jestem cierpiący i nie mogę sprostać swy obowiązkom.

Już w młodości swej dowiodłem dwoma poematami meg pierwszego tomu głębokiej sympatyi dla narodu polskiego. Uczu

Je ne veux point, certes, en affirmant cette vérité prêchér à tous ceux qui sont ou se croient opprimés une propagande révolutionnaire. L'histoire nous a trop appris que les appels à la force libératrice, en face de la force oppressive, ne font, le plus souvent, que redoubler le mal qu'ils prétendent guérir; et que la violence, provoquant de nouvelles violences, va presque fatalement contre son but. Mais il est incontestable que l'intérêt même des oppresseurs, si, à défaut d'autres sentiments, le souci de leur conservation pouvait les toucher, devrait leur faire comprendre la nécessité en même temps que le devoir, de préparer l'émancipation graduelle de ceux qu'ils ont réduits à garder au prix d'éternels dangers et d'incessants sacrifices, sous la prétendue tutelle qu'ils leur ont imposée.

Lorsque fut accompli, en 1772, contre la Pologne, (qui peut-être s'y était exposée par ses divisions et ses fautes) ce premier crime auquel paticipèrent, à des degrés divers, trois gouvernements, l'impératice Marie-Thérèse, avant d'y consentir, fit de longs efforts pour faire comprendre à ses complices la grandeur de la responsabilité matérielle et morale qu'ils allaient assumer. Et cèdant enfin, à ce qu'elle crut, à des nécessités politiques momentanément impérieuses, elle dit, avant se signer, à son conseiller Kaunitz: „Placet, puisque tant et de si grands personnages m'affirment que je ne puis m'en dispenser; mais longtemps aprés moi on verra ce qu'il en coûte de sacrifier son honneur et son devoir pour un morceau de territoire".

L'histoire n'a que trop justifié ces paroles. De combien de dépenses, de troubles, de souffrances de toutes sortes n'aurait, pas été préservée l'Europe si elle n'avait pas eu, de période en période, à compter avec les grondements et les soulèvements de ces volcans étouffés, entretenus artificiellement dans son sein par la politique à courte vue à laquelle elle s'était condamnée!

Frédéric Passy.

XXXIX.

Cher et honoré Confrère.

Pardonnez-moi de répondre si tard et imparfaitement à vos questions très importantes. Je suis souffrant et ne peux suffire à mes obligations.

J'ai, dès ma jeunesse, témoigné par deux poésies de mon premier volume ma profonde sympathie à l'égard de la nation polo-

me względem niego nie uległy zmianie; piękny charakter narodu religijnie wiernego swym tradycyom, pozostał ten sam wśród najstraszniejszych prób, a zasady moje co do stosunków międzynarodowych również się nie zmieniły. Podzielam niewątpliwie życzliwość swych współziomków dla narodu rosyjskiego, który za pośrednictwem swego władcy wymienił z nami wyrazy szczerej sympatyi, niemniej jednak zachowujemy w nieskażoności swe zasady liberalne.

Gdy przez wytrwałość swych dążeń, przez postęp w literaturze i sztuce, będący rękojmią geniuszu, gdy wreszcie przez żywotność intelektualną i moralną, liczna ludność złożyła dowód swego prawa do bytu indywidualnego i określonego, znaczy to, że przedstawia ona zróżnicowany, ściśle określony typ rodu ludzkiego. Od tej chwili pozbawianie narodu tego wolności, jest równie karygodnem, jak odcięcie człowieka dorosłego w pełni sił od jego pracy twórczej.

Przyznaję, że każde z nowoczesnych wielkich państw, wytworzyło się historycznie przez wojny i układy, aneksye mniej lub więcej gwałtowne, lecz w ciągu tego kształtowania, prowincye zagarnięte, nie tworzyły jeszcze jedności etnicznie spoistych, organizmów narodowych; bez czego asymilacya ich była niemożliwa. Widzianoby je dziś tak, jak Polskę, wyzwalającą się ze swych łańcuchów. Te nieskończone agonie narażałyby w dodatku zdrowie narodów ciemiężących przez głuche wrzenie lub zdecydowany bunt, szkodząc tem samem pomyślności drugich. W naszym wieku istotnie, wzrost przemysłu i handlu, wytworzył solidarność interesów wszystkich narodów. Dobrobyt, rozkwit, pokój każdego z nich są czynnikami szczęścia innych.

Autonomię Polski uważam za równie możliwą, jak pożądaną, czy to w formie republiki niezależnej w warunkach przez Pana określonych, czy też jeszcze jako część federacyjną cesarstwa rosyjskiego. W każdym razie nie śmiałbym wybierać między temi dwiema kombinacyami. Nie wiem dokładnie, jakiem jest polityczne wykształcenie większości polskiej.

Racz przyjąć drogi i Szanowny kolego zapewnienie wysokiego szacunku.

Sully Prudhomme.

naise. Mes sentiments envers elle n'ont pas changé, son beau caractère de peuple religieusement fidèles, à ses traditions étant demeuré le même à travers les plus cruelles épreuves, et mes principes sur les rapports internationaux n'ont pas varié non plus. Je partage sans doute l'attachement de mes compatriotes au peuple russe qui a échangé avec nous par l'entremise de son souverain des marques sincères de sympathie, mais nous n'en conservons pas moins intacts nos principes libéraux.

Quand par la persévérance de ses aspirations, par le progrès de sa littérature et de ses arts, dépositaires de son génie, quand enfin par sa vitalité intellectuelle et morale une population nombreuse a donné des gages de son droit à l'existence individuelle et distincte, c'est qu'elle représente une variété stable, bien définie de l'espèce humaine. Dès lors il est aussi condamnable de lui ravir sa liberté que de couper la respiration à un adulte en plein développement de son activité créatrice.

Je reconnais que tout grand état présent s'est historiquement formé, par les guerres et les traités, d'annexions plus ou moins violentes, mais durant sa formation les provinces qu'il s'est assimilées ne constituaient pas encore des unités ethniques cohérentes, des organismes nationaux; sans quoi leur assimilation eût été impossible. Ou les verrait aujourd'hui, comme la Pologne, se débattre dans leurs chaînes. Ces interminables agonies ne sauraient, au surplus, que compromettre la santé des peuples oppresseurs par une agitation sourde ou une rebellion déclarée et, par contre-coup, nuire à la prospérité des autres. Dans notre siècle, en effet, l'accroissement de l'industrie et du commerce a rendu solidaires les intérêts de toutes les nations. Le bien-être, la floraison, la paix de chacune sont des facteurs du bonheur des autres.

Je crois possible autant que désirable l'autonomie de la Pologne, soit constituée en république indépendante dans les conditions que vous indiquez, soit formant encore une part fédérative de l'empire russe. Je n'oserais toutefois me prononcer entre ces deux combinaisons. Je ne sais pas exactement où en est l'éducation politique du plus grand nombre en Pologne.

Veuillez agréer, cher et honoré Confrère, l'assurance de ma haute considération. *Sully Prudhomme.*

Chatenay (Seim) 10 Novembre 1906.

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

I. Przegląd prasy.

A) Prasa polska.

Trybuna. Kraków. Nr. 1—2. „Żyjemy w chwili przełomu — w ogniu walki musimy kłaść podwaliny przyszłości. Przy krwawej łunie, co nad ziemią naszą zawisła, musimy szukać dróg nowych. W zamęcie straszliwym odradza się Polska; wśród wysiłków nadludzkich ważą się jej losy. Lud pracujący sam na swych barkach dźwiga brzemię tytanicznych zapasów, a spieszących mu z pomocą, ledwie garść nieliczna. Wszystkie wsteczne żywioły kraju sprzysięgły się przeciw walczącym. Chciwie wyciągają ręce po zdobycz, wydartą przemocy krzepką dłonią proletaryusza, rzucają mu kamienie pod stopy, kiedy broczą krwią serdeczną, zmaga się z wrogiem. Żyjemy w chwili walki podwójnej — z obcą przemocą i z własną naszą reakcyą. Carat, nadwątlony przez wojnę i rewolucyę, broni się rozpaczliwie przed ostateczną zagładą. Rodzima kontrrewolucya polska skupia się i wzmacnia, gotowa podać dłoń caratowi, szeregująca się pod znakami narodowej demokracyi; reakcya czeka tylko skinienia, aby za lichy ochłap pójść w służbę rządową. A z poza pleców narodowej demokracyi już się wspina czarna potęga klerykalizmu, pragnąca całunem zasłonić to światło, do którego dążą wyzwalające się masy."

Temi męskiemi, silnemi słowy kreśli redakcya „Trybuny" obraz dzisiejszej sytuacyi, którą — jak zapowiada — będzie rozważała ze stanowiska interesów klasowych ludu pracującego Polski, utożsamiając je z interesami narodowymi i stawiając sobie za cel polityczny niepodległą republikę demokratyczną.

Artykuły przyniesione przez pierwsze dwa numery, są rozwinięciem powyższego programu w zastosowaniu do bieżących interesów politycznych.

Res rozpatrując nasze zadania wobec przełomu w Rosyi, akcentuje, że lud robotniczy Polski potrzebuje nie tylko państwa demokratycznego, lecz i narodowego niepodległego państwa. Te dwie strony tego samego zadania — demokratyzacya i niepodległość — są ściśle z sobą połączone, uzależniają się wzajemnie. Niepodległość bez demokracyi traci dla proletaryatu większą część wartości; demokratyzacya bez niepodległości musi z konieczności być ułomną, wadliwą, niezupełną. Jak w danych warunkach dążyć do tego celu? — odpowiada *T-r* w artykule „Polityka walki czynnej". Autor jest zdania, że wszystkie ustępstwa poczynione w ostatnich kilkunastu miesiącach przez carat, są tylko pozorne, przemijające; wymuszone przez terror z dołu — z jego minięciem także zostaną cofnięte. Reakcya dzisiejsza nie jest więc tylko przejściową, lecz przejawem odwiecznego rosyjskiego systemu państwowego — i ten do szczętu musi być zniszczony. Na to zgoda; autor idzie jednak dalej i konkluduje: „pożądaną jest działalność, zmierzająca przy jak najmniejszej stracie sił, w kierunku zorganizowania zbrojnego wybuchu". Tu już kwestya bardziej skomplikowana. I dla nas nie ulega wątpliwości, że zdobycie niepodległości nie obejdzie się bez walki czynnej i że w tej walce, główna, decydująca rola przypadnie proletaryatowi; pytanie tylko, kiedy moment ów nastanie. Jak długo zgody na t[o] niema nie tylko w całej Polsce, ale nawet w obozie socyalistycznym, ba, w sa[mej] nawet P. P. S., tak długo walka czynna może mieć znaczenie kary wobe[c] najwścieklejszych katów, wymuszenia ustępstw od decydujących czynników

i bezinteresownego bohaterstwa, podnoszącego serca tysięcy. — ale do ruchu powstańczego stąd daleko. I wogóle mimo słuszności nawoływania do uniezależnienia się od ruchu rosyjskiego, trudno — sądzimy — by ruch zbrojny w samej Polsce mógł decydująco wpłynąć na losy caratu, albo nawet na nasz własny. Powoływanie się na Finlandyę, która swoją groźną postawą wymusiła najdalej idące ustępstwa, zdaniem naszem nie jest trafne. Polska niema dla caratu tego znaczenia, co Finlandya, kraj nadmorski, z którego portów nie tylko rozchodziła się literatura i broń na całą Rosyę, ale można było orężnie wprost zagrażać Petersburgowi.

W n-rze 2 *Res* w artykule „Wybory do Dumy" oświadcza się przeciw udziałowi w wyborach. Sprawę tę jużeśmy w „Krytyce" poruszali. Słusznie *Res* podkreśla niesłychane nikczemności, popełnione już przez rząd przez pogorszenie ustawy wyborczej, a które zapewne bardziej jeszcze się wzmogą przy samychże aktach wyborczych. „W takich warunkach — sądzi — akcya wyborcza staje się wysoce niewdzięcznem i bezpłodnem zadaniem, dusząc się w karykaturalnie ciasnych ramach kuryi fabrycznych i brnąc w kompromisach wszelkiego rodzaju". Rosyjscy socyaliści postanowili wprawdzie brać udział w wyborach, ale zapomnieli oni — powiada *Res* — „że tu nie o opozycyę chodzi, ale o r e w o l u c y ę". My nie tak kwestyę formułujemy. Rewolucya to tylko środek, nie cel; rewolucya to szereg aktów bardzo złożonych, a nie wiemy, czemu w ich rzędzie nie miałyby też figurować agitacye wyborcze, forsowanie własnego kandydata, korzystanie z mownicy przyszłej, choćby przemijającej Dumy. Trudności? A jak je będą zwalczać inne stronnictwa rewolucyjne w Polsce i Rosyi! Obawa o czystość zasad? Więcej one ucierpią, gdy poodpadają od nich tłumy, porwane agitacyą wyborczą stronnictw przeciwnych, skoro własne każe im siedzieć z założonemi rękami! Brak wiary w działalność Dumy? I my w nią nie wierzymy, ale negatywny, burzycielski jej charakter może mieć wartość nieobliczalną. Trudno się łudzić: walka o demokratyzacyę i niepodległość na długi szereg lat jest rozłożoną, taktykę trzeba będzie niejeden raz zmienić, a stronnictwo tem właśnie okazuje swą żywotność, że umie swą m e t o d ę naginać do wszystkich wymogów zmieniającej się chwili dziejowej.

Zasadniczym jest też artykuł *Z. Bronisławskiego:* „Koncentracya sił rewolucyjnych". Autor należy do liczby umiejących gorąco czuć a chłodno rozumować. Stwierdza on fakt, że jeszcze poza zorganizowanemi partyami istnieje ogromna siła rewolucyjna, w wyjątkowych chwilach potężnie wpływająca na los ważących się wypadków; to jeden pewnik, drugim zaś jest fakt, iż carat jest dotąd jeszcze silniejszy, niż atakujący go przeciwnicy. Należałoby więc skupić wszystkie siły około głównego celu walki: zniszczenie wroga — „i wątpić nie można, że aktualne, żywe a zrozumiałe hasło walki z wrogiem, silniej oddziałałoby na stojące zdala od partyi żywioły rewolucyjne, niż wszelkie dalsze hasła, z góry realizujące zdobycze nieosiągniętego jeszcze zwycięstwa". Hasło to porwałoby swą prostotą i jasnością chłopa polskiego, olbrzymią a prawie nienapoczętą dotąd siłę...

Nad ważnem tem zagadnieniem koncentracyi, wkraczającem we wszystkie dziedziny ruchu obecnego, redakcya zapowiada dyskusyę.

Zaznaczyliśmy główne momenty zasadniczych artykułów „Trybuny". Poza nimi znajdujemy cały szereg artykułów społeczno-politycznych w sprawach bieżących, zawsze zajmujących, nieraz świetnych. Do tej kategoryi należą artykuły

Huberta Nowiny: „Reakcya a bandytyzm"; Wł. Gumplowicza (ledwie szkic artykułu) „O kwestyi rolnej w Królestwie i o Michale Luśni; L. Płochockiego: „O Bundzie"; A. N—skiego: „O polityce N. D.; Ign. Daszyńskiego i t. d.

Literatura, jako sztuka dla sztuki, z takiego organu wojującego jest oczywiście wykluczona. Ale jako głos życia, pobudka do czynu, misyę do spełnienia ma tutaj, i spełnia ją przeważnie w sposób zarówno artystyczny, jak i podniosły. Do nauki raczej należy rzecz W. Sieroszewskiego: „Przez lud swój dla ludzkości". Znakomity autor sięga do swych studyów etnograficznych i do głębi swego znawstwa duszy ludzkiej, aby wykazać, jak zrośniętą z naszą naturą, jak bogatą i wielodźwięczną jest struna uczuć narodowych. Wspaniałym wierszem rzucił G. Daniłowski *Trybunie* „Powitanie", Markowska w urywanych, powstrzymywanym bolem naładowanych strofach święci pamięć „Poległych". W. Feldman w bezwzględnie ostrym artykule omawia Kaz. Tetmajera „Rewolucyę"; widzi w niej „karykaturę". Na wyżyny wznosi nas dwoma utworami Maurycy Zych. „Wspomnienie" — to jeden z tych obrazków, w których autor „Ludzi bezdomnych" niepozorne, charakterystyczne, nieraz śmieszne zbiera szczegóły i obserwacye życiowe, aby je naraz skupić, ścisnąć i wydobyć z nich potęgę, eksplozyę uczucia i myśli wielkiej. „Sen o szpadzie" — to krótka a najpiękniejsza pieśń, jaką poezya polska dotąd poświęciła bezimiennym bohaterom dzisiejszego ruchu.

„Kiedy — rozpoczyna Zych — oficer japoński, skazany na rozstrzelanie przez cudzoziemczy sąd polowy za służbę dla swego kraju, był zapytany przed egzekucyą, co chce uczynić ze znalezionymi przy nim pieniędzmi i czy nie jest to z jego wolą zgodne, żeby te pieniądze jego dzieciom odesłać, — rzekł — Pieniądze przeznaczam na rzecz międzynarodowej instytucyi Czerwonego Krzyża, a o los dzieci moich nie mam potrzeby się troskać, gdyż po mej śmierci mieć je będzie w swojej pieczy — Mikado".

„Usłyszawszy tę prostą odpowiedź, wzdrygnął się w duchu świat znikczemniały, tem większym zdjęty zachwytem, że japońska sprawa była wygrana.

„Poza tobą — żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawisasz — gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanem od kul sołdackich — gdy dogasasz powolnem straceniem w stepie Sybiru — nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą niema nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armie. Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno, dawno wykryto, nie trwa godziny. To też dzieci twe przyjmie rynsztok, schronieniem będzie im — jako się już przydarzyło — kloaka, a nożowiec, skoro podrosną, będzie im mistrzem. Świat bliski i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdy nie jest twoja sprawa wygraną."

I dalej słowem potężnem, działającem, jak „szpada" gwiaździsta, jak płomień z serca na miarę olbrzymią buchający, pean śpiewa rozdzierający o tym żołnierzu polskim dzisiejszym, o tym bojowniku strasznym i pięknym, jak poświęcenie, jak śmierć, o tym apostole wieszczym, co życiem i zgonem zwiastuje wielkość i wybawienie, a sam szarpany, plugawiony, deptany, w przyszłość poszedł bezimienny...

„...tylko poezya polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żoł-

nierzu! Ona jedna nie zlęknie się twych snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegraną — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dni twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną sołdackiemi kolbami, na wezgłowiu z najcudniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielokroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może, płaszczem dostojeństwa, utkanym z najcudniejszych barw sztuki. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie."

. . . .

B) Prasa obca.

Courrier Européen z 16 Listopada daje nam studyum Bolesława Limanowskiego: „Nation et Etat". Artykuł szanownego socyologa poprzedza wielce pochlebna notatka biograficzna i bibliograficzna o pracach jego i życiu.

L'Ermitage. 15 października. Kilka razy wspominałem o ekshumacyach literackich. Doprawdy, od pewnego czasu młode „przeglądy" zdają się być katakumbami zgasych a zapoznanych wielkości. Tym razem Nathaniela Hawthorne'a z grobu wywołuje Artur Symons (w towarzystwie pary tłumaczów E. i L. Thomas). — Hawthorne'a (ur. w r. 1804, um. w 1864) uważano jako szczęśliwego rywala Edagra Poë. Napisał on (Haw.) szereg nie to powieści, nie to poematów, gdzie roztrząsane są zagadnienia duszy. Dla Hawthorne'a tajemnica i cud dają właściwe znaczenie życiu, to też element fantasmagoryczny snuje się u niego wszędzie i pojawia się jako wieczysty znak zapytania. Hafciarzem arabesek psychologicznych nazywa amerykańskiego poetę Symons, ale widzi on w nim także purytanina, który zachowuje zawsze w temacie fantastycznym surowy charakter zagadnienia moralnego.

Dwaj poeci: Symbolista Vielé-Griffin i humanista Ferdynand Gregh przesyłają sobie wzajem „listy otwarte". Chodzi tu o „wiersz regularny", chodzi o „wolny wiersz" a nadewszystko o interesiki i komerażе klik poszczególnych. Każdy z tych panów powołuje się na „sumienność literacką", ale widzi mi się, iż to poprostu „une affaire de boutique".

W tymże nrze „Les Petits Caractères" Lucyana Jean — drobne, kilkuwierszowe szkice, sylwetki, aforyzmy i uwagi marginesowe. Ma to smak czegoś mocnego, cierpkiego, skondensowanego do potęgi. Kto śledzi za „Mercure de France" — ten zauważyć już musiał, podznaczoną już tamże nowelę: „Le Viel Homme", o wartości bodaj czy nie arcydzieła, o przedziwnej dojrzałości, o niezwykłej u młodego autora mierze i guście.

Mercure de France. Październik. Rafael Cor analizuje dzieło Anatola France a ideę współczesną. Cecha primordyalna France'a — to sceptycyzm nie powierzchowny, ale świadomy siebie i głęboki, sceptycyzm anarchistyczny, a tak silny, iż przerodzić się zdolny z wiary w niepewność, w doktrynę nieledwie religijną. Drugim rysem struktury psychicznej autora „Manneqium

d'osier" jest ironia, która czerpać chce swą istność w litości, a w rzeczy samej — czerpie ją w wyniosłej pogardzie.

Revue 1 i 15 listopada. O nieznanych siłach przyrody mówi nam w sposób jasny i przekonywujący Kamil Flammarion. Przed oczyma naszemi przesuwa się cały szereg faktów, zaobserwowanych pod ścisłą kontrolą i notowanych skrupulatnie przez przeciąg czterdziesto-pięcioletni dociekań spirytystycznych autora. Hypotezy, teorje, twierdzenia mają pojawić się później. Później też głośny astronom w całokształt doktryny ująć ma długoletnie doświadczenia swe.; w dwu pierwszych wstępnych artykułach wskazuje już wszakże, jako źródło przypuszczalne zjawisk medjumicznych, siły nie poza nami, ale w nas będące, siły, które psychicznemi nazywa (les forces psychiques).

Falą powrotną wypadków, aktualnym się staje list Tołstoja do Aleksandra III (po 1. marca 1881 roku), opublikowany w „Revue" pono po raz pierwszy. Jest to lukrecyowo-mistyczny apel do chrześcijańskich uczuć cara. Tołstoj do stóp „prestała" zasyła pokorne błagania o pardon i łaskę. „... Jedno słowo — pisze — przebaczenia i miłości chrześcijańskiej, wyrzeczone z wysokości tronu, jeden gest, któryby wskazał kierunek, jaki obrać winieneś, kierunek panowania według idei chrześcijańskiej — mogłyby zniszczyć do cna zło, trawiące Rosyę. I niby wosk na ogniu, zcześnie walka rewolucyjna przed cesarzem, przed człowiekiem, czyniącym naokół prawo Chrystusa..."

Speleologia, t. j. badanie jaskiń i ich tajemnic — jest nauką względnie nową. Gałęź ta geografii fizycznej i geologii zbogaciła się ostatnimi czasy odkryciami fauny i flory jaskiniowej. O tem rozszerzeniu ram nowej umiejętności, o tych odkryciach, tyczących się już biologii i fizyologii opowiada treściwie Gaston Bounier. Oczywista, iż świat zwierzęcy i roślinny pieczar nie przedstawia wielkiej rozmaitości. Ogranicza się on do gatunków pierwotnych żab (jak np. Protea i Syreny), płazów (Salamandra bezkolorowa) i ryb — z jednej strony, a porostów i litotytów grzybnych z drugiej. — Nastręcza się pytanie, z czego żyją twory owe i owa wegetacya? Owóż według poszukiwań speleologów, zwierzętom wyżej wymienionym za pożywienie służą koleoptery i thyzanuxy (owady bezskrzydłe) oraz ziemne skorupiaki; roślinność zaś podsycają nasiona, kiełki lub odziemki, z zewnątrz nieochybnie pochodzące. Konkluzyą dociekań speleologicznych jest to twierdzenie, że „ciągłość życia w ciemności pieczar staje się niemożliwą. Ani zwierzęta, ani nawet grzyby, nie mogą się tam nieograniczenie odradzać i mnożyć".

Pellissier roztrząsa ostatnie powieści Marcela Prévost'a, J. K. Huysmans'a i Edwarda Rod. — „Monsieur et Madame Moloch" Prévost'a stanowi sprytną, zręczną a płytką elukubracyę dla mniej, lub więcej dojrzałych panien. W powieści tej autor przedstawia dwie Germanie: dawniejszą — krzewicielkę Myśli i dzisiejszą, reprezentującą Siłę. Za tezę wszakże główną służy różnica „gatunkowa" dwu dusz — niemieckiej i francuskiej, ich rozdźwięk i z niego płynący antagonizm wzajemny. — Rod daje „Zbrodnię i Karę" w szwajcarskiem wydaniu. Eloi Vallamand podpala (tytuł powieści „Incendie") stodołę swą. Pieniądze z asekuracyi otrzymane, na razie wybawiają go z kłopotów. Elo który dyalektyką à la Raskolnikow uspakaja sumienie swoje — zaczyna ży i używać. Kiedy naraz (i tu zjawia się po Zbrodni — Kara) sąsiad Vallamand'a ojciec Boudry w trakcie pertraktacyj handlowych spokojnie oznajmia: „voi

Savez... ce soir-la, le soir du feu, je vous ai vu". I odtąd uczciwy podpalacz jest na łasce i niełasce nieuczciwego sąsiada, wyciągającego, pod groźbą wyjawienia zbrodni, grosz po groszu, szmat ziemi po szmacie. Akcya odgrywa się na tle silnie, brutalnie odmalowanej natury francuskiej Szwajcaryi. Figury, epizodyczne nawet mają wypukłość i wyrazistość niezwykłą. — J. K. Huysmans w „Les Foules de Lourdes" kreśli obok wielu kart o rzetelnej mocy i pięknie ustępy niedostępne obojętności profanów religijnych. Jak we wszystkich powieściach Huysmans'a „de la derniere manière" tak i w ostatniej „Les Foules", ma się przedziwną mięszaninę mistycznych wzlotów i rynsztokowego realizmu, mełanż zakrystyi świętoszkowatej i złowonnych paryskich Hall.

Jan Topass.

Die Neue Zeit (Nr 2, 3. 4). W partyjnym tym tygodniku znajdujemy od czasu do czasu dobre i ciekawe studya literackie. Do takich zaliczyć należy pracę p. Beera: „Bernard Shaw jako dramaturg i socyalista". Przed przystąpieniem do właściwego tematu autor daje nam krótkie określenie artysty w przeciwieństwie do uczonego oraz środków i metod jakiemi obaj się posługują przy rozpatrywaniu zjawisk życiowych. Tylko genialny artysta potrafi połączyć w sobie jednocześnie i zalety uczonego. Shaw do tej wysokości nie doszedł; jego poglądy oparte na artystycznym wejrzeniu na świat i ludzi są ograniczone dość ciasnym dogmatem realizmu, do którego Shaw dostosowuje rzeczywistość.

We wszystkich prawie dramatach Shawa mamy konflikt pomiędzy idealistą i realistą, z którego ten ostatni zawsze wychodzi jako zwycięzca a pierwszy zostaje na mieliźnie. Tę formułę stosuje Shaw również w swych zapatrywaniach narodowościowych, przypisując los Irlandyi i jej stosunek do Anglii temu, że Irlandczycy, do których sam się zalicza są idealistami, romantykami, Anglicy zaś realnymi względami się kierują.

Do rozbioru Shawa-dramaturga dodać jeszcze należy widoczny wpływ na niego Schopenhauera. Nietschego i Ibsena, których idee znajdujemy w jego dramatach. Ciekawym jest również pogląd Shaw'a na kobietę. Uważa on ją za wcielenie ślepego, ogólnego popędu do życia, którym podbija i w swe sieci łowi mężczyznę. Te główne elementy odnajdujemy we wszystkich dramatach Shaw'a, prócz może jednego, mianowicie „Widowers' Hourses", napisanego dawniej i poruszającego czysto socyalne zagadnienia. W stosunku do socyalizmu Shaw zajmuje bardzo krytyczne stanowisko. Uważa on socyalizm dzisiejszy za środek paljatywny, który jednak przyczyny wszelkiego zła społecznego nie może usunąć. Dlatego też teoryę socyalistyczną Shaw w swych dramatach wprost wyśmiewa. Cóż więc według niego jest owym radykalnym środkiem? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w „Man and Superman". (Człowiek i Nadczłowiek). Człowiek taki jakim dziś jest nie dojdzie do lepszej przyszłości pomimo wszelkich środeczków politycznej, wychowawczej, religijnej i t. p. natury. Należy wyprodukować nadczłowieka a w tym celu niejako upaństwowić czy uspołecznić płciowy dobór ludzki.

Stanisław Krauz.

Zamiast zawieszonego miesięcznika **„Mir Bożyj"** (Nr. IX), wyszedł **„Sowremiennyj Mir"**; zmiany żadnej — chyba w nagłówku i... okładce.

W dziale publicystycznym, zawsze obszernym i interesującym. St. Iwanowicz („Anarchizm w Rosyi i walka z nim"). omawia ruch anarchistyczny ro-

syjski, który wzrasta ze zdumiewającą szybkością i zapuszcza coraz głębiej korzenie w umysłowości społeczeństwa.

Ideologia ruchu znalazła sobie ujście w mnóstwie broszur i dzieł, nawadniających w ostatnim czasie rynek księgarski. (Dzieła to bardzo odmiennej wartości, oryginalne i tłómaczone, w poważnej jednak ilości mało mające wspólnego z nauką), czynny zaś anarchizm daje znać o stałym swoim rozwoju w bezustannych napadach i wywłaszczeniach, którymi przepełniona prasa codzienna *) Ignorować ruchu obecnie już niepodobna, jak to niedawno jeszcze robiły pisma socyalistyczne, (prasa burżuazyjna świadomie łączyła przejawy walki rewolucyjnej z właściwym anarchizmem), a zdanie sobie z niego sprawy, jest rzeczą naglącą i palącą.

Anarchizm ideowy narówni z czynnym, jest — zdaniem Iwanowicza — dzieckiem tych samych stosunków społecznych. Zrodziła go niemoc polityczna rozkładającego i walącego się w gruzy, feudalno-policyjnego ustroju państwowego. jednocześnie w warunkach dość rozwiniętej produkcyi kapitalistycznej.

Grunt to bardzo podatny dla wszelkiego rodzaju fantastycznych teoryi społecznych i ekscesów politycznych.

Jądro anarchizmu rosyjskiego stanowiła i stanowi zdeklarowana inteligencya, a potem dopiero najniespokojniejsze elementy zorganizowanego do walki rewolucyjnej proletaryatu. Walka taka wymaga wielkiego wyrobienia i niemniejszej dyscypliny duchowej.

Szkoły odpowiedniej proletaryat rosyjski w zorganizowanej swej masie nie zdołał jeszcze zdobyć, czego najlepszym dowodem, że po zeszłorocznych dniach grudniowych, kiedy ruch rewolucyjny uległ czasowej przemocy, najmniej uświadomione, ale najbardziej niespokojne elementy, zwątpiwszy w rychłe wystąpienie masowe, przeszły na drogę czynów „niezależnych“ i aktów terrorystycznych, prościej — wywiesiły na swym sztandarze hasła anarchistyczne (na przykład „maksymaliści“).

Teorye anarchistyczne, obiecujące prędkie urzeczywistnienie ideału społecznego, najbardziej jednak przypadły do przekonania masie zdeklarowanego proletaryatu (rzemieślnicy, wyrobnicy), którą zamęt w państwie strącił na samo „dno“.

Nędza, położenie bez wyjścia, gorzej, bo bez nadziei na lepszą przyszłość, zrobiła te masy bardzo wrażliwemi na hasła anarchizmu. (Na południu Rosyi i w tak zwanym kraju północno-zachodnim, gdzie najbardziej rozwinęły się rzemiosła, anarchizm najmocniejsze zwił sobie gniazdo.)

Typ współczesnego rosyjskiego anarchisty nie jest czemś jednolitem.

Tworzą go z jednej strony jednostki, które „opuściły“ się do anarchizmu (zorganizowany proletaryat, inteligencya), z drugiej zaś strony jednostki, które „podniosły“ się do anarchizmu (tłum terminatorów, czeladników i drobnych majstrów). Tym ostatnim anarchizm dał ideowe podłoże do czynów, mogących śmiało obchodzić się bez wszelkiego rodzaju ideologii.

Ze stanowiska właśnie tej dwoistości typu, można się zapatrywać i na przyszły rozwój idei anarchistycznej w Rosyi. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że

---

*) Partye socyalistyczne rosyjskie wypowiedziały się przeciw wywłaszczeniom, jako demoralizującym masy.

obecna rewolucya „pomimo“ czynnego wystąpienia proletaryatu, jest rewolucyą burżuazyjną. a zatem i przyszła konstytucya będzie takową.

Zorganizowane i mocne państwo burżuazyjno-konstytucyjne. wypowie anarchistom możliwie ostrą walkę i zapewne najłatwiej stłumi te formy anarchistycznej działalności, które są bezpośrednią własnością typu „podniesionego“ (ekspropryacya).

Trudniej daleko będzie zwalczyć samą teoryę, a co jeszcze ważniejsze, wypływająca z niej konsekwencye, (dążenie do wytkniętego celu nie drogą walki politycznej, lecz czynnej).

Ale to należy już do przyszłości.

Tymczasem wzrastający anarchizm przynosi ujmę i niepowetowaną szkodę rewolucyi, zraża bowiem i odwraca od niej postępowe elementy burżuazyjne.

Interes rewolucyi wymaga, aby ruch ten opanować i najenergiczniej tłumić. Walczyć zaś można tylko jedynym środkiem: jak najszerzej i najgruntowniej uświadamiać masy, a potem wpajać w nie dwa przekonania: 1) Wyzwolenie pracującej klasy jest dziełem jej własnych poświęceń i wysiłków; 2) do walki o swoje wyzwolenie proletaryat powinien się organizować w samodzielną i zupełnie niezależną siłę polityczną.

Nie mniej ciekawą jest praca Nik—skiego: „Włościaństwo i stary porządek“, drukowana w tym samym zeszycie „Sowremiennego Mir'a“.

Autor wykazuje, że podstępna i zawiła polityka rolna obecnego rządu rosyjskiego, nie przedłuży bynajmniej jego egzystencyi.

Koncentracya funduszu rolnego przy pomocy banku włościańskiego w rękach państwa (rząd już teraz rozporządza przeszło 11 milionami dziesięcin, zdolnej do uprawy roli), do niczego nie doprowadzi, postawi bowiem głodne ziemi włościaństwo oko w oko ze „starym porządkiem“, zamiast jak obecnie z wielką własnością rolną. Likwidacya szlachetczyzny i samodierżawia — nieunikniona.

W dziale literackim, dbający zawsze o dobór dzieł rzetelnej sztuki (w przeciwieństwie do wielu innych rosyjskich miesięczników społeczno-politycznych), „Mir Bożyj“ tym razem nie dał nic ponad zwykłą miarę, wyjąwszy chyba przekład fińskiej powieści Arwida Jarnefelta „Dzieci ziemi“.

Powieść tendencyjna o temacie starym i zużytym (niesprawiedliwość możnych tego świata względem maluczkich), obfituje pomimo to w piękności pierwszorzędne.

Do takich należy scena z myszą, a potem walka kosiarzy na łące ze zwyciężającą ich maszyną (kosiarką). — ustępy to kreślone po mistrzowsku.

M. Noworuski, jeden z więźniów rosyjskiej Bastylii, dał kartkę swoich wspomnień z lat 1897 — 1902 („Szkic życia w Szlisselburgu“).

Wspomnienia można śmiało zaliczyć do surowego materyału, opisującego katorgę i zesłanie, dość obficie w ostatnim czasie rozsiewanego na łamach prasy, a także w oddzielnych książkach. Materyał to cenny, czekający jeszcze swojego historyka, który z tych ogromnie smutnych ułamków, wystawi kiedyś należyty pomnik krzywdzie ludzkiej.

„Ruskaja Myśl“ (X) zakończyła druk „Szkiców z historyi łotewskiego narodu“ K. Landera. Autor gruntownie obeznany z przeszłością i teraźniejszością Łotwy, w pełnych grozy szkicach rysuje długie bohaterskie zmaganie się nie-

wielkiego narodu z niemiecką i rosyjską przemocą na drodze do wyzwolenia. Sprawy, jakie porusza Lander. zbyt różnorodne i zawiłe. aby je można streścić w paru słowach sprawozdania, odsyłam więc czytelnika do oryginału. tu zaś przytoczę parę krótkich wyjątków, które mówią same za siebie:

„Tylko w pierwszym okresie uśmierzania (mowa o rewolucyi łotewskiej), od 1 grudnia 1905 r. do 1 lutego 1906 r.. w jednej Kurlandskiej gubernii, według słów miejscowej gazety „Tagadne“ („Współczesność“), powieszono 18 ludzi, z nich dwóch nauczycieli ludowych. Pewnego agitatora powieszono na słupie telefonicznym przed oknami jego rodziców; zwłoki wisiały tak przez trzy dni.

„Rozstrzelano 621 ludzi, zabito w potyczkach 320. Z pośród rozstrzelanych było: 11 nauczycieli, czterech pisarzy gminnych, studentów, aptekarzy i księgarzy, 29 gospodarzy, wielu robotników i parobków.

„Karze cielesnej poddano 251 ludzi, a z pośród nich dwie dziewczyny za wyszywanie czerwonego sztandaru. Spalono 97 gospodarstw włościańskich, cztery szkoły, dwie kancelarye gminne i trzy ubikacye stowarzyszeń, że urządzano tam zebrania z pozwolenia administracyi. W miastach i miasteczkach artylerya spaliła i zniszczyła 22 domy.“

Dalej:

„Procedurę palenia dobytku „buntowników“, tak opisuje naoczny świadek w łotewskiej gazecie „Dahrbs“ („Praca“): Przeznaczony na spalenie dobytek — naczynia, ubranie, bielizna, książki i t. d., wynoszą na plac i składają w jedno miejsce. Obecny przy wojsku prawosławny duchowny, poświęca i błogosławi krzyżem złożone rzeczy. a potem dopiero oficer i naczelnik oddziału karnego czyta rozporządzenie o tem, że „majątek“ takiego to. a takiego „rewolucyonisty“ oddaje na całopalenie, aby nastraszyć innych.

„Wszyscy obecni odkrywają głowy i śpiewają „Boże, caria chrani“. W czasie hymnu podpalają mienie, a ogień. wśród śpiewu i okrzyków „hurra“, po trochu ogarnia ubogi skarb jakiegoś uczciwego pracownika — nauczyciela wiejskiego lub parobka — aby go zamienić w dym i popiół.“

„Według najnowszych danych statystycznych (nie zupełnie pełnych), rozstrzelano 25 nauczycieli, powieszono 5, wychłostano 75, uciekło 118, uwolniono 15, zesłano 13, odmówiło się od zajmowanego stanowiska 14, osądzono na śmierć (bez skutku — zdołali zbiedz) 5, szkół spalono 6, a 14 nauczycielom spalono mienie.“

„Za lipiec i sierpień... co tydzień przez jedną Libawę uciekało za granicę do trzech tysięcy osób“.

A pomimo to, kończy swoje szkice Lander: „W łotewskiej ziemi błysnęły już pierwsze złote promienie dawno oczekiwanej wolności. Naród łotewski dowiódł, że bez niej nie zdoła żyć i rozwijać się. Na nic zdadzą się intrygi baronów, ich służalców i obrońców! Przeszłość nie wróci!“

Timkowski dał niewielkie opowiadanie: „Za przegródką“. Obiecujący jego talent ostatecznia zawiódł pokładane nadzieje. Ostatni szkic: trochę rewolucyi, trochę sentymentu, a bardzo, bardzo mało sztuki.

Podobne utwory młodsza brać literacka w Rosyi, produkuje obecnie tuziny.

Muszę zaznaczyć, że „Ruskaja Myśl“ zaczyna znowu nabierać żywotniejszej cery.

Nord.

O teatrze lwowskim.

Teatr miejski we Lwowie stoi pod znakiem przesilenia. Mimo wszelkich zarzutów, jakie w ostatnich latach dyrekcyi czyniono Tadeuszowi **Pawlikowskiemu**, a jakich mu nie szczędził i podpisany na łamach „Krytyki", nie podobna mu odmówić, że scenę lwowską postawił na wyżynach wysokiej kultury artystycznej. Co zaś do owych zarzutów, to nie wolno zapominać o tem, że mierzyliśmy Pawlikowskiego zawsze własną jego miarą, że wszystkie zastrzeżenia pochodziły ze źródła niezmiernie wysoko napiętych żądań i wymagań, do jakich sam nas uprawnił, że tracił zawsze najbardziej na porównaniu ze sobą samym. Niezapomnianą zasługą Pawlikowskiego pozostanie jednak zawsze fakt, że scenę lwowską podniósł na wyżyny nigdy przedtem nieznane. Dziś, kiedy w oczach naszych wyżyny te coraz więcej się obniżają, dziś zasługę tę bardziej, niż kiedykolwiek, uznać i ocenić musimy.

Spuściznę artystyczną po Pawlikowskim utrzymać, wzmocnić i utrwalić, to był niewątpliwie obowiązek Zarządu naszego miasta, którego pieczy powierzony jest teatr, a obowiązek ten wymagał w pierwszym rzędzie, ażeby kierownictwo teatru powierzono takiej osobistości, która posiada odpowiednie w tej mierze kwalifikacye.

Kierownik artystyczny teatru, czy go nazwiemy dyrektorem, czy reżyserem, czy dramaturgiem — wszystko jedno, bo tu nie o nazwę chodzi, ale o istotę rzeczy — to nietylko taki pan, który czyta i wybiera sztuki, przeprowadza korespondencye z autorami, rozdaje role, wypłaca gaże, dba o reklamę w prasie, opędza się współzawodnictwom innych widowisk itd. itd. — ale to przedewszystkiem przedstawiciel wyższej, a najczęściej nieodwołalnej instancyi artystycznej dla aktorów i poniekąd także dla autorów dramatycznych. To taki pan, który gromadzi około siebie zastępy współczesnych pisarzy scenicznych, odkrywa nowe talenty, prostuje im ścieżki, wpływa na nich i pobudza ich do twórczości, wspiera ich swoją radą i doświadczeniem. To taki pan, który inscenizuje nową sztukę począwszy od ustalenia tekstu w manuskrypcie, zmian i kresek podczas prób przedsiębranych, potem co do wystawy, dekoracyi i kostyumów, co do obsady i wykonania ról, aż do szczegółowej i mozolnej pracy wskrzeszenia dzieła dramatycznego z martwych liter w żywe objawienie przedstawienia scenicznego. Dla nowoczesnego teatru praca ta rozstrzygającej jest wagi. Dawniej **aktor** był ogniskiem teatru — jedna rola, jeden wirtuoz, jedna wybitna indywidualność sceniczna: Modrzejewska czy Romana Popiel, Żółkowski czy Królikowski, około której grupowała się w należytem oddaleniu reszta. Dziś ogniskiem tem jest *ensemble*, zestrój artystyczny — aktor zaś jest tylko środkiem do celu, a nie celem samym. Twórcą zaś tego zestroju jest kierownik artystyczny, reżyser naczelny, najbardziej wpływa i najbardziej odpowiedzialna osobistość nowożytnego teatru. To redaktor odpowiedzialny wobec publiczności.

Ustrój państewka teatralnego wymaga bezwzględnie rządów autokratycznych. Autokrata musi być z woli narodu i z Bożej łaski. „Naród" musi wierzyć w niego, ażeby się poddać ślepo jego władzy, a Boża łaska musi go obdarzyć i bogatem wykształceniem literackiem i wy-

twornym smakiem estetycznym i taktem dramaturgicznym i wysokiem poczuciem stylu. Rozstrzygającego znaczenia jest wytrawny sąd literacki kierownika. Dyrektor artystyczny, nie umiejący sobie jasno zdać sprawy z wartości artystycznej sztuki, którą zamierza przedstawić, jest tylko prostym przedsiębiorcą spektaklów, który interes swój prowadzi na chybił trafił. A właśnie interes ten w gruncie rzeczy ściśle jest związany z pewnością i wytrawnością sądu jego literackiego. Od sądu tego n. p. zależy rodzaj i bogactwo wystawy. To ostatnie stać powinno z reguły w odwrotnym stosunku do istotnej wartości dzieła. To, czego nie daje poezya, czego nie daje bezpośrednio wartość wewnętrzna dzieła, trzeba zastąpić i zrównoważyć sztukami posiłkowemi, wystawą. Ale i w sztukach o niezaprzeczonej wartości literackiej, są odsłony lub sceny o słabszej potędze scenicznej, którym dopomódz trzeba środkami zewnętrznemi.

Wytrawny jednak sąd literacki wcale tu jeszcze nie wystarczy. Gdyby tak było, to każdy dobry krytyk literacki albo profesor literatury byłby zarazem dobrym dramaturgiem. A tak nie jest. Dramaturg musi posiadać zdolność i umiejętność inscenizowania dzieła w sposób powyżej wskazany, ale i spryt inscenizacyę tę uczynić zawisłą od sądu literackiego. A jeżeli teatr jego ma być prowadzony roztropnie, jeżeli także i pod względem ekonomicznym końce mają się schodzić ze sobą, wówczas kierownik artystyczny musi rozporządzać trzecim jeszcze, niezwykle ważnym przymiotem, a tym jest dokładna znajomość środowiska, ocena możliwej ilości słuchaczy dla pewnego dzieła, a więc psychologia publiczności, na której oprzeć musi swój rachunek prawdopodobieństwa, czy koszta wystawy danego dzieła wrócą się teatrowi, czy nie.

Kierownik, który tych przymiotów nie posiada, gra w ruletę i robi majątek, jeśli ma szczęśliwą rękę, a wychodzi z torbami, gdy mu karta nie idzie.

Co do trzeciego z podniesionych momentów, co do owej psychologii publiczności, która jest oczywiście psychologią tłumu, dorzucić jednak należy ważne zastrzeżenie. W każdem, nawet najkulturalniejszem społeczeństwie, jest zawsze mała tylko liczba umysłów wytwornych i subtelnych, posiadających wrażliwość na prawdziwą wartość artystyczną dzieła sztuki. Tłumy przyciągnąć można zawsze i wszędzie tylko dotkliwemi ofiarami na rzecz smaku i kultury artystycznej, kosztem zatem doboru zarówno dzieł, jak i sposobu ich „podania“. Ocena psychologii publiczności i opierający się na na niej rachunek prawdopodobieństwa jest bardzo łatwo do zrobienia wówczas, jeśli dyrektor jeden tylko jedyny ma cel przed oczyma: możliwie największy rekord raportów kasowych swojego teatru. Oczywiście, iż cel ten tem pewniej i tem łatwiej będzie osiągnięty, im większe będą daniny, składane niekulturalności tłumu. Na tem polega spryt w prowadzeniu każdego „przedsiębiorstwa“ teatralnego, spryt, jaki z istotą artystycznego kierownictwa żadnej nie ma wspólności, stanowiący przywilej przedsiębiorców bulwarowych lub ogródkowych teatrów, ale będący najbardziej potępienia godnym występkiem u kierownika teatru subwencyonowanego.

Jeżeli dodamy, że teatr miejski we Lwowie nietylko jest teatrem subwencyonowanym, ale ponadto (poza teatrem krakowskim, w znacznie

skromniejszych prowadzonym rozmiarach) jedyną narodową sceną we wszystkich trzech zaborach Polski, na której poezya polska swobodnie istnieć i rozwijać się może, że to nasz „Burg", nasza Komedya francuska, to miara odpowiedzialności kierownika jego dosadnie chyba będzie określoną.

Dyrektor takiego teatru musi bezwarunkowo oprzeć się pokusie rekordów kasowych, pokusie schlebiania niskim instynktom wielkiej liczby, ale pracować winien nad ciągłem zwiększaniem tej kulturalnej małej liczby. Taki dyrektor starać się musi o ogólną harmonię swoich przedstawień, o możliwą doskonałość w zestroju swoich artystów, którym nie pozwoli wysuwać efektownie swojej osoby ze szkodą całości, takiemu dyrektorowi nie wolo odwracać uwagi widzów od głównego celu danego dzieła i zajmować ją rzeczami nieistotnemi, taki dyrektor starać się będzie zasłużyć na oklaski swojej publiczności, ale nieubłaganym będzie zarazem w zapobieganiu środkom tanim, nazbyt tanim, jakimi oklaski te osiągnąć można. Taki dyrektor wystawiać zatem będzie w odpowiedniej mierze także dzieła, którym rachunek prawdopodobieństwa na znajomości środowiska i psychologii publiczności oparty, zapowiada deficyt, jeżeli deficyt ten stoi w stosunku prostym do istotnej wartości tych dzieł.

Ekwiwalentem dla tych strat przedsiębiorcy jest właśnie subwencya społeczeństwa i w tem leży — podkreślić to trzeba z całym naciskiem — jedyny cel i zadanie tej subwencyi. To ten sam cel, jaki mają stypendya lub subwencye naukowe. Czyż będzie kto subwencyonował książki w rodzaju np. „Dziennika upadłej kobiety" p. Małgorzaty Boehme, które, rozchodząc się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, wzbogacają autorów swoich i nakładców. Subwencye naukowe udziela się wyłącznie takim wydawnictwom naukowym, których wybitna wartość wewnętrzna w rażącej stoi sprzeczności z ich popytem księgarskim, z ich raportem kasowym.

To też i subwencya teatralna bynajmniej nie służy na to — jak to z gruntu fałszywie niektórzy sobie wyobrażają — ażeby w sposób kosztowny i luksusowy wystawiać sztuki. Przenigdy! Tu chodzi jedynie i wyłącznie o to, aby wynagrodzić przedsiębiorcę za straty, jakie mu przynosi wystawianie sztuk, sprawiających przyjemność tylko małej, wybranej garstce publiczności. Pracować dla tej garstki znaczy pracować dla wszystkich, znaczy walczyć ze złym smakoiem i nieuctwem większości, znaczy wyzwalać lepsze i szlachetniejsze instynkty tłumu, znaczy powiększać stale ową małą garstkę, wychowywać kulturalną publiczność! Niewątpliwie, że to niemałe i niełatwe zadanie i niewdzięczne, bo dyrektor tak je pojmujący płynie zawsze przeciw prądowi: naraża się z góry na fałszywe zrozumienie swoich zamiarów i zabiegów, naraża się na to, że za wszystko to, co najwyższą jego chwałę i zasługę stanowi, ganić i prześladować go będą.

W niezwykle wysokim stopniu i w wyjątkowym układzie posiadał przymioty te dyrektor T. Pawlikowski. Że z nich nie zawsze i nie w równej mierze korzystał, że tak często przeciwdziałał samemu sobie i najpiękniejsze swoje zdobycze z rozmyślną jakby złośliwością umiał nadwerężać i osłabiać, to pozostanie niepowetowaną stratą dla teatru

polskiego. Faktem jednak pozostanie, że podniósł scenę lwowską na tak wysoki poziom artystyczny i kulturalny, jaki nigdy przed nim nie istniał i że stworzył tem samem obowiązek dla następcy swego, poziom ten utrzymać. Następcą tym na dalsze sześciolecie został p. Ludwik Heller, b. dyrektor b. teatru hr. Skarbka we Lwowie, znany więc dobrze z poprzedniej swej działalności.

P. Heller wolnym jest od wielu wad, jakie słusznie czy niesłusznie zarzucano Pawlikowskiemu, ale nie posiada w zamian ani jednego z tych przymiotów, które kwalifikowały poprzednika jego w tak wysokim stopniu do prowadzenia sceny wyższego typu. Nie mam najmniejszego zamiaru udowadniać tego faktu, tak jak nikt nie będzie udowadniał, że słońce świeci w dzień, a w nocy jest ciemno. Pragnę tylko wykazać, w jaki sposób p. Heller swego niewątpliwie bardzo przedsiębiorczego sprytu używa, ażeby obniżyć i zburzyć poziom kulturalny i artystyczny naszej sceny, z tak wielkim nakładem talentu, pracy i ofiar materyalnych przez inne jednostki stworzony, a tak znaczną ofiarą społeczeństwa podtrzymywany. Jeżeli zważymy, że w chwili pisania tych słów półtrzecia zaledwie miesięcy minęło od objęcia teatru przez p. Hellera i ocenim skutki tej roboty destrukcyjnej, to strach pomyśleć o tem jak ona będzie wyglądać po upływie całego sześciolecia. Z niezliczonych faktów, świadczących o już w tak krótkim czasie dokonanem obniżeniu poziomu naszej sceny, oto garść kilku szczegółów, przypadkowo mi się nasuwających, a zatem ani najważniejszych, ani też najcharakterystyczniejszych, ale wystarczających, ażeby poznać ducha, jakim kierownictwo artystyczne naszej sceny obecnie jest przejęte.

Rozpoczął p. Heller sezon bieżący przedstawieniem, złożonem z dwóch utworów: z „Warszawianki“ Wyspiańskiego i „Ślubów panieńskich“ Fredry. Już samo zestawienie na afiszu rani jakby kakofonia. „Götterdämmerung“ Ryszarda Wagnera jako „*lever de rideau*“, jako przygrywka do... „Wesela Figara“ Mozarta. To byłoby coś podobnego. A więc na samym wstępie zgrzytliwy dysonans, zapowiadający, jaki smak, jaki takt artystyczny zapanował w naszym teatrze. „*Wer vieles bringt, wird jedem etwas bringen*“ — trzeba jednego wieczoru więc oddać hołd literaturze historycznej, a zarazem pokłonić się wielbicielom „Młodej Polski“.

A teraz samo przedstawienie. Inscenizacya obu sztuk ustalona przez Pawlikowskiego, obsada ról pierwszorzędna — Siemaszkowa i Chmieliński w „Warszawiance“, Irena Trapszo w „Ślubach“ — amfiteatr wysprzedany, publiczność pełna oczekiwań. Zdawałoby się, że niepodobna o lepsze warunki. Tymczasem przedstawienie, zwłaszcza „Warszawianki“, dowiodło zupełnego rozprzężenia, bezładu i bezmyślności, aktorowie szli samopas, w rozsypce, jak wojsko, któremu brak wodza, dyalog ciągle rwał się i utykał. Dla ilustracyi takie szczegóły.

Gdy Chłopicki (Chmieliński) zwraca się do popiersia Napoleona i apostrofuje cesarza, świta jego słucha przemowę tę z naprężoną uwagą Po słowach:

> o cesarzu, dziś Francya piosnkę nam przysyła,
> harmonią dźwięków wyrazy kraszone —

autor umieścił przypisek: „poruszenie wśród obecnych“. Na przedstawieniu owem scenę tę w ten sposób oddano, że Chłopicki wygłaszał na przodzie sceny przemowę swoją, a świta stała zupełnie oderwana od niego w głębi, prowadząc cichą rozmowę i słów generała zupełnie nie słuchała. Dopiero przy samym końcu przemówienia pomaszerowało jakby na dany znak dwóch oficerów przez całą szerokość sceny ku generałowi, ażeby odpowiedzieć na przemowę, której wcale nie słyszeli. A jednak cały efekt tej sceny polega przedewszystkiem na wrażeniu jakie, słowa generała wywierają na jego świtę — z niej wrażenie to przechodzi na widzów:

Albo chwila największego napięcia tragicznego i grozy, niema scena śmiertelnie rannego żołnierza, przynoszącego raport. Po wyjściu wiarusa cała świta Chłopickiego miała rozbawione i uśmiechnięte twarze, widocznie ktoś „puścił“ wesoły jakiś kawał. Brak reżyseryi, brak dyscypliny scenicznej, anarchję jednem słowem czuć było na każdym kroku. Całe napięcie dramatyczne, cały nastrój subtelnej, przepięknej „pieśni“ Wyspiańskiego podeptano i zbanalizowano i to w tak wyjątkowo dobranych okolicznościach, jak wymienione. To są rzeczy, których najlepsi aktorowie sami z siebie nie wytworzą, tu potrzeba koniecznie wytrawnego „kapelmistrza“, któryby całość zestroił i sharmonizował, z tysiąca drobnych szczegółów złożył jednolity całokształt artystyczny, nadał mu odpowiedni ton zasadniczy, stosowne tempo, czuwał nad zachowaniem jego stylu. W chwili, gdy tego wodza zabrakło, armia poszła w rozsypkę, żywe przypomnienie nastroju z „Warszawianki“, gdzie nieudolny Radziwiłł dowodził napoleońskim żołnierzem, a Chłopicki usunął się niechętnie na bok:

dziś z naszej wielkiej europejskiej dumy
rozbitki tylko i strzępy zostały...

Pierwszą samoistną premierą p. Hellera była „Uczta Herodyady“ Kasprowicza, grana w lutym 1905 w Krakowie za dyrekcyi Kotarbińskiego. Pawlikowski miał skrupuły i cofnął się przed wystawieniem „Herodyady“. Czuł, że aktorowie jego nie pokonają dzieła, nie wskrzeszą go na scenie, że sztuka żywego słowa, tak olbrzymie w „Herodyadzie“ stawiająca aktorom wymagania, zaginęła gdzieś na scenie polskiej. obawiał się, żeby nie powiedziano, iż Kasprowicz napisał arcydzieło, ale aktorowie je „położyli“ (jak to mówią w narzeczu zakulisowem) i wolał zrezygnować z tak ponętnego zadania zupełnie, aniżeli „położyć“ Kasprowicza.

P. Heller miał nierównie większą odwagę, aniżeli Pawlikowski. Nazwał „poemat dramatyczy“ Kasprowicza poprostu dramatem, a wystawił go jak niemiecki *zauberstück* lub feeryę, po operowemu, niedołężnie i niedbale wyreżyserowany, z brutalnem potratowaniem wszystkich piękności poetyckiego słowa, w jakie poemat Kasprowicza tak obfituje. Przecudne interludya, mimo pozorów przeciwnych, organicznie z akcyą związane, rozerwano na osobne odsłony, przegrodzono je półgodzinnemi przerwami, najpiękniejsze sceny nastrojowe, jak wystąpienie Johanaana lub pogrzeb Jachobody, minęły zupełnie bez wrażenia, jednem słowem nie zaniedbano niczego, ażeby publiczność znudzić, zmęczyć, znu-

żyć i wystraszyć. Mimo wybitnej obsady (Siemaszkowa, Trapszo, Ordon, Sosnowski, Chmieliński, Szobert itd.) teatr na drugiem przedstawieniu świecił pustkami, a po piątem „Herodyada“ znikła z repertoaru. W Krakowie, w słabszej obsadzie, bardzo mierne przedstawienie „Herodyady“ doczekało się w pierwszym sezonie 17-tu powtórzeń.

Zamiana „poematu“ w „dramat“ wykazuje znamienną ocenę psychologii publiczności. Jest duża liczba takich „bywalców“ teatralnych, którzy z zasady nie chodzą na sztuki pisane wierszem, na co wskazuje nazwa „poemat“. Sprytny dyrektor nie będzie więc tej części publiczności odstraszał już samym afiszem. I tak się dosyć robi dla sztuki, że się wystawia takie rzeczy!

Ten sam wandalizm — bo nie można tego inaczej nazwać — okazał p. Heller przecudnej „Candidzie“ Bernarda Shawa, także poezyi, pełnej najsubtelniejszych nastrojów, wytworu najgłębszych tajni duszy ludzkiej na tle współczesnego, codziennego środowiska. Shaw nazwał swój poemat *„misteryum“*, zapowiadając już z góry słuchaczom, że nie o reprodukcyę życia mu idzie, ale o otwarcie okienka, przez które można zaglądnąć na dno duszy ludzkiej. Cóż, kiedy i „misteryum“ odstraszyłoby duże zastępy publiczności. Łamać sobie głowę nad rozwiązaniem zagadek mistycznych, siedzieć w teatrze jak na tureckiem kazaniu — tak będzie wielu podejrzewało z takiego tytułu — na to się przecież nie idzie do teatru. Z tymi wieloma, aż nazbyt wieloma, musi się liczyć sprytny dyrektor, bo oni stanowią większość. Ale trzeba się liczyć także z komisyą teatralną, z Sejmem, który daje subwencyę i interesuje się repertoarem, z nimbem artystycznym poprzednika wreszcie i trzeba coś także zrobić dla poezyi, dla literatury, dla prawdziwej „sztuki“! Sprytny dyrektor potrafił pogodzić te dwie sprzeczności w równie tani, jak łatwy sposób. Wszystkie genialne pomysły mają to do siebie, że są niesłychanie proste. Otóż „kompromis“ przyszedł w ten sposób do skutku, że poetyckie *„misteryum“* figurowało na afiszu jako „komedya“; a wykonane zostało prawie jak farsa. Wykwintną poezyę wykoszlawiono i strywializowano, zaprzepaszczono wszystkie jej wdzięki i nastroje, ale wilk był syty i owca była cała. Tak się poprawia rachunek prawdopodobieństwa, oparty na ocenie psychologii publiczności, ażeby ją do teatru zwabić i kosztem poety i jego dzieła zabawić.

Sądzę, że tych kilka szczegółów wystarczy, ażeby zrozumieć, jakie to ożywcze prądy zapanowały na lwowskiej scenie, dokąd nowy ten kurs dąży. Przyjaciele p. Hellera sławią szereg licznych jego przymiotów i zdolności. Powiadają, że jest pilny, pracowity, zapobiegliwy, sprężysty, energiczny, że jest dobry gospodarz i administrator, że dba o wszystko, że nie cofnie się przed żadnym wysiłkiem i żadną ofiarą, byle tylko dogodzić publice i zasłużyć na jej uznanie. To niewątpliwie bardzo cenne i bardzo szczytne przymioty. Ależ na miłość boską, szanowni panowie, dlaczego nikt z was nie pomyślał o tem, ażeby p. Hellera zrobić dyrektorem artystycznym Towarzystwa muzycznego, albo Akademii sztuk pięknych? Niewątpliwie, że teatr jako jednostka gospodarcza, ma swoją ważną stronę ekonomiczną, tak, jak je ma każde muzeum, każdy uniwersytet. Ale strona ta gospodarcza jest tylko środkiem, nigdy celem.

Nie ten jest dzielniejszym dyrektorem muzeum albo Akademii, który większy dochód, większy „obrót“ wykaże. To wynik dla oceny fachowego kierownictwa takiej instytucyi zupełnie obojętny, z którego ani w dodatnim, ani w ujemnym kierunku żadnych nie można wysnuwać wniosków.

Ale sam p. Heller z uporczywą konsekwencyą nie zdaje sobie sprawy z tego stanu rzeczy. Oto np. wykazał się przed komisyą teatralną, że w pierwszych dwóch miesiącach jego dyrekcyi teatr cieszył się większą frekwencyą, aniżeli w odpowiednich dwóch miesiącach roku ubiegłego za dyrekcyi Pawlikowskiego. Sprawozdanie to powtórzyły z rozrzewnieniem wszystkie oddane p. Hellerowi pisma lwowskie z dokładnem przytoczeniem cyfr na korony i halerzy na chwałę obecnej dyrekcyi. Miało się złudzenie bilansu towarzystwa akcyjnego. Widzieliśmy, w jaki sposób p. Heller potrafi pomagać rachunkowi prawpopodobieństwa w ocenie środowiska i *„corriger la fortune“*, jeżeli tego wymaga kompromis z gustem publiczności. Ale niech się zwolennicy i poplecznicy p. Hellera nie unoszą zbytecznie w obronie jego kwalifikacyi artystycznych, boć on chyba sam najmniejszych pretensyi do nich nie ma. Cała jego ambicya polega na tem, ażeby się wykazać rekordem kasowym, większym dochodem brutto, tak, jak dyrektor banku albo rafineryi nafty, bez względu na to, jakimi środkami rekord ten osiągnięto.

Najsmutniejszym objawem w całej tej sprawie jest znamienny fakt, że w całej prasie lwowskiej nie znalazł się dotąd ani jeden głos, któryby stanął w obronie zagrożonego posterunku kultury polskiej, tak ważnego, jakim jest scena lwowska, nie poruszył sumienia publicznego, nie zaapelował do czynników miarodajnych, ażeby „walący się dom“ sztuki naszej dramatycznej, póki czas jeszcze, powstrzymały w upadku.

Juliusz Tenner.

Z powodu głośnego procesu.

Noc z 10 na 11 listopada była w Krakowie świadkiem dziwnego pochodu. Na wąskiej uliczce, otaczającej gmach Sądu karnego, od wieczora gromadziły się setki postaci, wśród których przeważali słuchacze i słuchaczki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Godziny długie mijały, w naprężeniu milczącem, w ciekawości bolesnej. Młode głowy rozważały problem odwieczny, problem, o który niejeden załamał się charakter, niejedna myśl rozbiła się: żali istnieje sprawiedliwość, żali można i warto dobrze działać na ziemi.

Odpowiedź, która odbrzmiała z sali sądowej, zimnem powiała na niejedno serce gorące. Kto przed oczyma duszy miał obraz idealnej bogini z przepaską na oczach, ważącej winę i bezwinę na szalach wszechwiedzącego i żadną słabością niezamąconego sumienia, ten miał ochotę opaskę tę zedrzeć, otworzyć Sprawiedliwości oczy... Niechby spojrzała: oto wyrok jej wywołał smutek i ciemność.

Ciemność ta nagle się rozdarła. W dłoniach młodzieży w jednej chwili setki błysnęły świateł. Z dusz młodzieńczych gorące wybuchły okrzyki. Krąg jarzących się pochodni otoczył prof. Odona B u j w i d a — na widnokręgu krakowskim, zasnutym cieniami nocy, wśród ciszy, otaczającej pogrążonych we śnie mieszkańców, girlanda jasna blaskiem zapłonęła symbolicznym. Wszak

była odbiciem tego światła idei, które szan. profesor przez lata długie niecił wśród cieni i śpiączki Krakowa starego; wszak była wyrazem tych smug świetlanych, które w setkach serc zapalił...

Odbłysły teraz spontanicznie, gwiaździstym szlakiem wśród dławiących wątpliwości, utorowały drogę lepszej myśli i otusze. Szlachetny poryw młodzieży uratował wiarę, którą inni tak brutalnie deptali.

* * *

Stało się zadość idei moralnej: tysiąc blisko studentów Uniwersytetu Jagiell. zaświadczyło, że w profesorze Bujwidzie widzą nietylko nauczyciela, lecz i człowieka sprawiedliwego; zaświadczyło, że ten, który każdej chwili przychodził z pomocą braterską, z sercem i groszem ofiarnym dla każdej instytucyi kulturalnej, dla każdej potrzeby obywatelskiej, że ten, który ich uczył nietylko receptę książkową nosić ludziom, lecz i serce kochające i światło kultury, że ten wznosi się ponad pociski niegodne i plwociny. W pewnej mierze stało się ostatecznie zadość także sprawiedliwości ziemskiej; oskarżony otrzymał karę sądową, a kto zna nasze stosunki, kto wie, jak rzadko, z jaką trudnością, sędziowie przysięgli decydują się na skazanie dziennikarza, ten musi przyjść do przekonania, że przy braku pełnej satysfakcyi moralnej — werdykt ów stwierdził winę, orzekł potępienie — o srogą zaś karę sądową prof. Bujwidowi i jego zastępcy prawnemu najmniej chyba chodziło.

Sprawa byłaby temsamem załatwiona, wzbogacając tylko księgę ułomności ludzkich; ale ma ona pewne rozgałęzienia i epilogi, które niemałe mają znaczenie publiczne.

Oto nazajutrz po werdykcie sądowym czytaliśmy w *Naprzodzie*, że proces wytoczony przez prof. Bujwida prowadziła p a r t y a, t. j. Polska partya socyaldemokratyczna Galicyi i Śląska. Oświadczenie to było niespodzianką nietylko dla nas, którzy stoimy zdala od partyi, ale także dla wielu gorliwych jej członków, nawet dla wielu dobrze wtajemniczonych w wewnętrzne życie partyjne; ba, ci właśnie najlepiej wiedzieli do jakich kroków, do jakich oświadczeń przewódcy partyi byli skłonni, aby tylko do rozprawy sądowej nie dopuścić.

Już w toku procesu powszechne obrzydzenie wywołał *Naprzód* swemi sprawozdaniami z sali sądowej, które pod względem — powiedzmy — tendencyjności przypominały najopłakańsze tego rodzaju produkty nieszanującej się prasy. Kładziono je jednak na karb gryzmolącego je biedaka i kliki jemu pokrewnej. Ale gdy „Naprzód“ względną łagodność wyroku poczytał za wygraną i wątpliwą obywatelską koronę kładzie na głowę całej partyi, mimo że kilka dni przedtem wodzowie partyi ręce od tego umywali — musimy powiedzieć: tak robić nie wolno! Jeszcze jedno takie „zwycięstwo“, a nietylko dla nas, co zdala od partyi mimo to od lat nieprzerwanie popieraliśmy wszystkie szlachetne jej dążenia — nie tylko dla nas, ale dla wielu, wielu najgorętszych zwolenników socyalizmu, partya galicyjska przestanie być tą nadzieją i ostoją przyszłości, za którą pragnie uchodzić. Czy w ten sposób jesteście pionierami sprawiedliwości, że prowadzicie na publiczną ławę tortur i rozpalonemi traktujecie szpilkami człowieka, który, jak każdy śmiertelny, ma słabe strony, ale w którym nikt w Polsce nie odnajdzie człowieka „uprawiającego pod płaszczem filantropii lichwę“!!? Czy w ten sposób służycie sprawie postępu, że idziecie na rękę najlichszym indywiduom i najlichszej polityce sfery karyerowiczów stańczykowskich

Czy kwalifikacye, któreście odsłaniali w czasie rozprawy, w sprawozdaniach sądowych, w glossie po-procesowej, w zwymyślaniu szanowanego powszechnie mec. Gertlera, mają reprezentować ową nową ludzkość, ową przyszłość jasną, co chce odrodzić „stary, zgniły świat“?

„Partya“ żadna nie jest dla nas synonimem etyki i czystości; każda partya jest zacieśnianiem i kompromisem. Mimo to uważamy, że P. P. S. D. jest za poważna, socyalizm za wzniosły, lud cierpiący za wielki, by na głowę ich włożyć wieniec „męczeński“ czy „tryumfalny“ smutnego tego procesu. Socyalizm galicyjski w szerz się tak rychło nie rozrośnie; przyciągać ludzi może tylko czystością swą, potęgą etyczną, walką w obronie krzywdzonych i prześladowanych w prawdziwem słowa znaczeniu, nie zaś w świetle zaślepionych namiętnością jednostek. I albo partya rzeczywiście czystych ludzi będzie bractwem, albo spotka ją los wszystkich żywiołów, rozsadzanych czynnikami rozkładu i dezorganizacyi. A i „Naprzód“ przy wszystkich swych brakach zbyt u nas jest potrzebny, byśmy mu tego mieli życzyć.

* * *

Jeszcze jedną stronę ma cała sprawa. Od czasu wywleczenia marnej tej „afery“ oskarżyciele prof. Bujwida stali się bardzo popularnymi w redakcyi „Czasu“ i wśród pewnych klik profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ci panowie, którzy do świątobliwych swych rąk nigdy „Naprzodu“ nie biorą, stali się gorliwymi jego kolporterami, ci panowie, którzy nie mieli słowa potępienia, gdy koledzy ich dawali doktorat tytułującemu się oddawna „doktorem“ Józ. Orłowskiemu, i nie podnosili głosu, gdy kierownikom klinik opinia zarzucała istotnie skandaliczne wykroczenia — teraz całą chorobliwość swej nieskazitelności jęli okazywać prof. Bujwidowi. Imiona, których darmo poszukiwalibyśmy w księgach umiejętności, zabłysły nagle na niebie nauki moralności publicznej, w którą bodaj dlatego trudno wierzyć, że etyki uczy się życiem, czynem, a młodzież — o nią tu przecie głównie chodzi — wzrok ma ostry. I kto cokolwiek zna stosunki, wie doskonale, jakie pobudki i cele ma owa typowa, tak dobrze z kronik wszystkich uniwersytetów znana kampania familiantów, fatygantów, ignorantów i intrygantów. Przedmiotem ciosów jest nie atakowany przez pewien dziennik profesor, lecz człowiek: Bujwid — pionier postępu i niebezpieczny, bo zbyt popularny przyjaciel młodzieży, Bujwid — jedyny w gronie profesorskiem demokrata, należący do klubu demokratycznego, przemawiający na zgromadzeniach, przewodniczący Uniw. ludowemu, Kołu Szkoły Ludowej, Kursom wakacyjnym w Zakopanem; Bujwid, którego dom oddawna w Krakowie stał się ogniskiem na cześć bogów, z czystych serc większości profesorskiej oddawna wygnanych — o ile kiedykolwiek tam gościli.

Nie przesądzamy tej sprawy i — wyznamy — zasadniczo nie jest ona dla nas ważną. Tacy ludzie, jak Odo Bujwid należą do typu przyszłości — wobec takich z góry wiemy, jakim musi być sąd przeszłości i sąd ten historya już nieraz zakwalifikowała. To jedno tylko wiemy, że wszelka przeszłość waląca się, więcej powinna mieć trwogi i tysiąckrotnego zastanowienia wydając swe sądy, niż „osądzony“, przyjmując je. Prof. Bujwid nie jest w społeczeństwie polskiem osamotniony. Warsztat jego pracy jest ogromny i w nim samym tylko i w sercach jego współpracowników na polu kultury, leży sąd i przyszłość; wszystko, co poza tem, zaślepieniem jest dzikiem, lub uzurpacyą.

W. F.

SPRAWOZDANIA.

J. Baudouin de Courtenay: Autonomia Polski, Kraków 1907, Nakł. Krak. Oddz. Uniw. Lud.

Kilka miesięcy temu, tu, na łamach „Krytyki“, prof. Baudouin de Courtenay zdał sprawę ze zjazdu autonomistów, który się odbył w Petersburgu w końcu ubiegłego roku. Grupa autonomistów to właściwie żadne ściśle ukonstytuowane i regulaminami i dyscypliną partyjną związane stronnictwo polityczne, to raczej luźny związek ludzi przejętych humanitaryzmem i duchem demokratycznym, którzy zdają sobie jasno sprawę z dzisiejszego położenia caratu i na gruncie tej właśnie dzisiejszej sytuacyi wystawiają cały szereg desideratów decentralistycznych, pragnień humanitarnych i żądań sprawiedliwościowych. Broszura, którą mamy przed sobą, to powtórzenie odczytu wygłoszonego przez szan. autora w lipcu b. r. w Krakowie, to zarazem rozwinięcie i komentarz do tych zasad, które prof. Baudouin de Courtenay w swym referacie petersburskim przedstawił na zjeździe autonomistów. Dla tych samych względów, dla których trudno jest przeciwstawić grupie autonomicznej jakąś partyę polityczną, której tendencye i taktyka uwarunkowane są takim lub innym poglądem na układ sił społecznych i stosunki ekonomiczne, dla tych samych też względów nie można programowi autonomicznemu prof. Baudouina de Courtenay, gdy chodzi o Polskę, przeciwstawić żądań „skromnej autonomii“ gdyby się stało na stanowisku n. p. socyaldemokracyi lub n.-demokracyi, ani też daleko sięgającego programu P. P. S. gdyby się znowu stało na gruncie jej żądań i dążności. Program autonomiczny, o którym mówimy, trzeba rozpatrywać sam w sobie. Zaletą jego, zaletą pierwszorzędnej wagi, jest pokazanie we właściwem świetle tylokrotnie omówionej kwestyi sławnych „praw historycznych“ i wykazanie, „że jedyną podstawą historyczną przy rozwiązywaniu praktycznych kwestyj politycznych jest obecna chwila historyczna“ (str. 13). „Faktycznie Król. Pol. — powiada dalej autor — ma już zupełną autonomię; ale jestto tymczasem autonomia Skałłona i jego pomocników, katów ludności bezbronnej. Mamy dziś najwyższe naprężenie terroru rządowego i przeciwrządowego. Terror i zbrodnie bezprawia doprowadzano do absurdu. I w tym właśnie widzę rękojmię osiągnięcia prawdziwej autonomii, autonomii ludowładczej“. Autor uznaje za zasadę, jedność państwową całej Rosyi, jako niepodzielnej całości państwowej, ale nie jak powiada „gwoli samowładztu Wielkorusów, ale jako wspólną sprawę wszystkich dzielnic i wszystkich narodowości Rosyi“. Niezależność prawdziwą Polski uważa za zbyt drobny cel, ażeby składać na jej ołtarzu potwornie wielką liczbę ofiar a kraj doprowadzić do ostatecznej ruiny. Możność osiągnięcia niezależności widzi raczej w przyszłości, może niezbyt dalekiej, w czasie zupełnego pokoju „kiedy obie strony uznają za właściwsze i korzystniejsze rozejść się, aniżeli pozostawać w przymusowym związku“ (str. 33). Przykładem — Norwegia. Dopóki zatem współżycie będzie istniało — forma rządu musi być jednakowa zarówno w Polsce jak w reszcie państwa. „Jeżeli cała Rosya będzie monarchią konstutycyjną, to Polska będzie stanowiła jej część (autonomiczną). Przy zaprowadzeniu republikańskiej formy rządu w całej Rosyi, Polska wejdzie do jej składu jako częściowa rzeczpospolita, sfederalizowana z innemi częściami państwa“ (str. 24). w rządzie centralnym i w zarządach ogólno państwowych powinien być zapewniony udział przedstawicielom Król. Polskiego, a ludność tego kraju powinna mieć swych posłów

w Dumie wszechrosyjskiej, wszakże z głosem tylko doradczym, gdy się będą rozstrzygać sprawy dotyczące innych dzielnic państwowych. W autonomicznej Polsce autor domaga się świętego przestrzegania praw mniejszości narodowościowych, a zwłaszcza z wielką sympatyą mówi o równouprawnieniu żydów i języka żydowskiego. *M. Szarota.*

S. Posner. Demokratyzacya Finlandyi. Biblioteka współczesna. Warszawa. 1907. Str. 40.

Finlandya mimo to, że związana jest państwowo z jednym z zaborów polskich, mimo że przechodziła z zaborem tym — Królestwem — podobne niedole i walki, mimo wreszcie, że przedstawia kraj, zostający na wysokim stopniu rozwoju politycznego, społecznego i wogóle kulturalnego, jest znana u nas niesłychanie mało. Jako jaskrawy przykład nieznajomości tej posłużyć może zdziwienie, w które wprawiły społeczeństwo nasze wypadki, związane z buntem sweaborskim, gdy „demokraci narodowi" finlandzcy wystąpili orężnie przeciw tamtejszym socyalistom i rewolucyonistom... Obcość ta dla nas stosunków, panujących w Wielkiem Księstwie, tłómaczy się odśrodkowym położeniem Finlandyi na lądzie europejskim i zupełnym nierozpowszechnieniem obu tam używanych języków.

Literatura nasza, dotycząca Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, jest nad wyraz uboga. Poza artykułami dziennikarskimi, pojawiającymi się zrzadka i traktującymi sprawy finlandzkie mniej więcej powierzchownie („Krytyka" drukowała obszerniejszą rzecz o Finlandyi w r. 1900), mieliśmy dotąd jedną tylko większą monografię („Finlandya, według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich", r. 1900), streszczoną przez B. Koskowskiego. Lata ostatnie Wielkiego Księstwa, najciekawsze i najdramatyczniejsze, nie były w języku polskim — częścią zapewne z powodów cenzuralnych — omawiane wcale. Dotkliwą tę lukę wypełnił dopiero obecnie p. Posner w dziełku o demokratyzacyi Finlandyi, które oparte zostało na pierwszorzędnych źródłach finlandzkich, rosyjskich, francuskich i niemieckich i, mimo charakteru popularnego i popularyzatorskiego, służyć może za cenną pracę dla każdego, chcącego się dowiedzieć, „w jaki sposób rozwijała się historya polityczna Finlandyi w ciągu ostatnich stu lat, i w jaki sposób kształtowały się urządzenia polityczne tego kraju, od chwili, gdy przyłączony został do Rosyi (w roku 1809), aż do ostatniego sejmu, odbytego już z datą roku bieżącego".

Autor rozmyślnie pominął w dziełku swym omówienie dziejów wewnętrznego rozwoju Finlandyi w ciągu ubiegłego stulecia; nie mówi nic o rozwoju partyi politycznych i ich życiu, nie potrąca stosunków ekonomicznych, bytowania włościan i proletaryatu, prawodawstwa fabrycznego; nie dotyka stanu szkolnictwa, wszechnic ludowych i szkół zawodowych, sprawy kobiecej, życia społecznego i wielkiej kultury Finladczyków wogóle. Ogranicza się w ten sposób do omówienia zmian, zaszłych w przeciągu stulecia, w „nadbudowie" politycznej.

Obraz „demokratyzacyi Finlandyi" staje się przez to mniej pełny, mniej jasny, mniej zrozumiały. P. Posnerowi można stąd zarzucić, że postawił sobie takie a nie inne zadanie, lecz przyznać jednocześnie trzeba, że z tego, co sobie założył, wywiązał się bez zarzutu.

Literatura przedmiotu, podana przez autora, daje czytelnikowi ciekawemu

rozwoju urządzeń politycznych Finlandyi. a w szczególności jej stosunku do państwa rosyjskiego, możność badań dalszych i głębszych. *W. Wróblewski.*

Antoni Potocki. Wychowawcze zadania ogółu. We Lwowie, nakładem Towarzystwa wydawniczego. 1907.

W chwili historycznej, przeżywanej obecnie przez szkolnictwo polskie, wszelka większa praca pedagogiczna zasługiwać winna na baczną uwagę ogółu, tem bardziej, jeżeli ma tak pełen obietnic tytuł, jak książka wyżej wymieniona. Jest to jednak tylko nagłówek pierwszego z trzech, niejednakowej wartości ideowej i nie stanowiących właściwie logicznej całości, szkiców, składających się na tę publikacyę, — modne dzisiaj — objęcie nim i dwóch następnych, uważamy za nieuzasadnione. Mniejszaby zresztą o tytuł, gdyby w szkicu naczelnym uchwycone zostały trafnie wszystkie cechy charakterystyczne dzisiejszej chwili szkolnej, — inicyatywa do reformy szkolnictwa, dana przez samąże młodzież i wynikający stąd obowiązek liczenia się z idealnemi jej aspiracyami, możność ujęcia steru całego szkolnictwa we własne ręce społeczeństwa i, wreszcie, przypadnięcie tej chwili właśnie w dobie, gdy z wzrastającą świadomością o małej wartości dotychczasowego systemu edukacyjnego, wre na zachodzie robota około budowy „nowej szkoły" — wysnucie konsekwencyi obowiązujących ogół w tej przełomowej chwili, było wdzięcznem zadaniem, któremu, niestety, p. Potocki nie sprostał. Nic bowiem z tego wszystkiego tam nie znajdujemy, — rzecz jego obraca się tylko w komunałach, świadczących wprawdzie o najlepszych chęciach obywatelskich autora, lecz które można było tak samo dobrze wygłosić przed 40 laty w dobie „pracy organicznej", tak, jak gdyby nie chodziło teraz o chwilę, która się może nigdy nie powtórzy i z której należy w lot skorzystać, zanim się — oszołomione — siły wrogie mu nie spostrzegą. Za takie bowiem w dobie dzisiejszej mało mówiące ogólniki, uważać trzeba postulaty wychowawcze autora, streszczone w rozdziale VI wymienionego szkicu: „idei obywatelskiej w podstawie wychowania, godnego jej stanu akademickiego (nauczycielskiego) i powszechnego do szkoły powołania dzieci" (str. 51), co zresztą nie zmniejsza bynajmniej ich ideowej oraz historycznej wartości, jako zasad ożywiających światłą Komisyę Edukacyi Narodowej. Obok tego sformułowania zadań społeczeństwa, znajdujemy wprawdzie bardzo słuszne, lecz już znane utyskiwania na „system, który nie stwarza fachów, lecz stwarza dyplomy, nie stwarza zdobywców stanowisk, lecz kandydatów na posady, zgoła system... oparty nie na realnych, lecz na konwencyonalnych potrzebach egzystencyi" (str. 10), — na zbyt długie trwanie studyów, skutkiem czego moment pełnoletności zamiast „być zarazem momentem, gdzie osobnik osiąga pełnię sił i uzdolnień niezbędnych do obrony... praw i pełnienia obowiązków", związanych z życiem ogółu, staje się nic nie mówiącym konwencyonalnym momentem życia, — dalej bardzo trafny w zasadzie, lecz już wielokrotnie wypowiadany („non scholae, sed vitae discimus"), pogląd na zadanie wychowania, jako „usamodzielnienia człowieka" (str. 19), — uznanie dla systemu wychowawczego angielskiego, dzięki któremu „młody Anglik w 14—15 roku obiera zawód swój i oddaje mu się niepodzielnie", a „hodowca byd może się wykierować na Darwina..." (str. 31). (co nb. jest mylne, gdyż Darw- nie był hodowcą, który się wykierował na przyrodnika, lecz odwrotnie, przyro nikiem, który dla celów swoich zajmował się hodowlą), — i wiele jeszcze innyc więcej lub mniej słusznych poglądów, nie mających jednak, niestety, marki n

wości, wskutek czego razić musi stanowczo skarga autora na „papierową mędrkowatość i śmiertelną nudę, ziejącą od naszych rozpraw pedagogicznych“ (str. 41). Nie mogąc tu zapuszczać się w dalsze, bardziej szczegółowe omawianie pracy p. Potockiego, uważamy wszakże jeszcze za potrzebne przestrzedz mniej krytycznego czytelnika przed jednostronnem, w wielu miejscach książki w rozmaitej postaci wypowiedzianem uwielbieniem dla „handlu, przemysłu i rolnictwa“, gdyż dziedziny te pracy publicznej są wprawdzie potężnym organem życia społecznego, lecz bynajmniej nie jego celem i esencyą, potrzebna zaś w zawodach tych skłonność i zdolność do życia „praktycznego“, nie powinna być faworyzowana kosztem innych umysłowych kierunków, stwarzających w niezliczonych swych kombinacyach różne, lecz jednako uprawnione, typy duchowe, z których każdy — przez „nową szkołę“ — różnolitą a przecież jedną, zaprawionym być winien do „maximum samodzielności przy minimum wysiłku edukacyjnego.

Szkic drugi: „Szkolnictwo francuskie od r. 1870 do r. 1885“, daje nam dzieje jego, powiedziałbym zewnętrzne, gdyż nie dość uwzględnia jego psychologii, a zwłaszcza ujemnego wpływu, jaki na życie publiczne Francyi wywarł, stanowiący integralną jego cechę — internat w szkołach średnich, co w naszych obecnie warunkach, zwłaszcza wobec głosów nawołujących do zakładania burs szkolnych, powinno było być wzięte pod uwagę; nie zgadzamy się bowiem wcale na zdanie autora, że „instytucya sama długo jeszcze będzie najlepszem wyjściem wobec ekonomicznych i moralnych czynników, które pobyt chłopca w rodzinie często czynią szkodliwym dla jego rozwoju moralnego lub niemożliwym dla braku środków“ (str. 89): zdaniem naszem system ten — koszarowy lub klasztorny — powinien być, właśnie w imię „usamodzielnienia“ młodzieży, a na które autor taki nacisk kładzie w szkicu poprzednim, jak najoszczędniej stosowany w czekającem nas wypracowywaniu nowych instytucyi wychowawczych.

Szkic trzeci: „Rok dziecięcy“, czyta się z prawdziwą przyjemnością, i to nie tyle część jego pierwszą — rok nauki, — co do szczegółów którego możnaby się z autorem wadzić, n. p. co do sklasyfikowania Maryanka do zawodów formalistycznych, jak urzędnictwa i adwokatury, gdy wprost z opowiadania już woła na nas przyszła jego rola, jako publicysty, pisarza, krytyka i t. p. - ile część jego drugą, której jako przykładowi starannego wyzyskania materyału obserwacyjnego nic zarzucić nie można, życząc rzeczy tylko, by znalazła naśladowców z takiem samem zamiłowaniem i skrzętnością badających zabawy dziecięce, z jakiem folklorzyści zbierają dane do psychologii ludowej, nie mającej jednak dla społeczeństwa w przybliżeniu nawet tej doniosłej i wprost zasadniczej wagi, co znajomość duszy dziecka. Książka warta czytania. *k. k.*

Werner Sombart: Kwestya robotnicza w przemyśle. Przełożył Bohdan Wasiutyński. Warszawa. Wende i Sp.

Książka powyższa ciekawą jest nie tylko ze względu na to, że słynny socyalista „ex cathedra“, autor powszechnie znanej książki „Socyalizm i ruch społeczny w XIX w.“ w doskonałem streszczeniu przedstawia ekonomiczną treść kwestyi robotniczej, lecz i dlatego, że wyraża się w niej wyraźnie a dość niespodziewanie jego credo. Biorąc do pomocy ponure obrazy nędzy robotniczej z urzędowej ankiety, jaką rząd angielski urządził w czwartym dziesiątku lat

XIX w., Sombart rozpatruje jeszcze dzisiejsze stosunki i przychodzi do przekonania, że nowoczesny sposób organizacya pracy, grozi niebezpieczeństwem zdziczenia, powrotu do barbarzyństwa. Ale w tem jeszcze niema nic ciekawego, nic nowego, wie to dziś już prawie każdy uczeń na szkolnej ławie; ciekawszym jest pogląd Sombarta na drogi, wiodące do rozwiązania kwestyi robotniczej. W rozdziale zatytułowanym „Próby rozwiązania", Sombart segreguje te próby na trzy rodzaje, które podciąga pod wspólną nazwę utopii. Na utopię liberalną, dającą się podciągnąć pod manczesteryzm, utopię konserwatywno-reakcyjną, marzącą o patryarchalnym stosunku pracobiorcy do pracowników, i wreszcie... utopię socyalistyczną! Posłuchajmy, co mówi Sombart w tej sprawie (str. 34): „Siostrą bliźniaczą utopii liberalnej jest utopia socyalistyczna. Ma ten sam punkt wyjścia co tamta. I ona opiera się w swej istocie na wierze w jakiś „ordre naturel", w jakiś naturalny, harmonijny świat społeczny... Utopijnym jest ten pogląd tak samo jak liberalny dlatego, że ostatecznym wynikiem jego jest nie poznanie świata realnego, ocenianie rzeczywistości, lecz wiara w możliwość doskonałej harmonii, wobec czego, samo się przez się rozumie, głos naukowego poznania i praktycznej rozwagi skazany jest na milczenie". Warto zapamiętać te wyrazy wrocławskiego profesora. Więc gdzie widzi Sombart rozwiązanie kwestyi robotniczej? Niedługo czekamy na odpowiedź, o kilka stron dalej zagadka się rozwiązuje: oto samopomoc klasy robotniczej, połączona z opieką prawną państwa, mają być jedyną drogą zapobiegania złym skutkom kapitalizmu w ustroju kapitalistycznym. Zgodnie z tym poglądem, Sombart dalsze części książki poświęca szczegółowemu rozpatrzeniu tych dwu składników całego ruchu reformatorskiego. Więc: związki zawodowe z szeregiem cyfr i tablic, świadozących o potężnym rozwoju tych instytucyi w różnych krajach, stowarzyszenia spożywcze, prawodawstwo ochronne, ubezpieczenie robotników, wreszcie rola państwa i samopomocy w sprawie mieszkaniowej — oto treść dalsza omawianej książki. Można się zgadzać lub nie na stanowisko Sombarta, lecz w każdym razie z ostatniej jego pracy można się sporo nauczyć. Sombart okazał się w niej t. zw. „socialpolitikiem" najczystszej wody.

Przekładowi p. Wasiutyńskiego niczego zarzucić nie można.

Stanisław Krauz.

William Ritter. Etudes d'art étranger. Paris. Societé de Mercure de france.

Autor od szeregu lat pisze o sztuce we wszystkich jej przejawach, jest stałym korespondentem „Mercure de France", gdzie pisuje „Lettres tcheques". Ogromny bywalec, zna całą Europę i masę wybitnych osobistości, jest najprzyjemniejszym causeur'em, ma styl płynny i kwiecisty, miejscami naprawdę szczery, bo nie szukający słów. Smakosz, który się lubuje w dziełach, ich formie, ich efekcie, ale nie sięga pod powierzchnię, nie zna tworzenia, ani twórczości. Z równą swadą mówi o literaturze słowa, jak muzycznej, jak i architekturze i malarstwie. Od patetyczno-pustej dawnej broszury o Böcklinie, do dziś rozszerzył się widnokrąg autora we wszystkich tych dziedzinach, — ale nie obrócił on ani jednej skiby ziemi, nie zobaczył korzeni tych kwiatów, o których tak kwieciście praw

Dla nas książeczka zaciekawiająca przez ustęp o Mehoferze. Ritter jest wielbicielem Mehofera. Witraże we Fryburgu, są mu „une des plus profondes émotions d'art de ma vie". Rozkoszuje się ich barwami, ich słowiańskością, dzi

wacznością szczegółów. Z ogromnym też zachwytem mówi o innych dziełach, oglądanych częścią w Krakowie, częścią w innych miejscowościach. *sb.*

Ewa Łuskina i Leon Stępowski: Szopen. Sztuka popularna w pięciu aktach z dziejów naszej pieśni. Kraków. Nakładem Anczyca.

Przeź pięć długich, luźnie ze sobą powiązanych aktów, przesuwa się przed nami postać, dla współczesnych jeszcze mityczna jeden z tych, którzy stoją na czele narodu niezrozumiani — Król-Duch... Szopen. Sztukę nazwano może dlatego popularną, iż chce „dożyć tej pociechy, aby te księgi (pieśni) zbłądziły pod strzechy" (motto dramatu). „Bo w każdym przypływie melodyi, w każdej fali, twarz mi twa srebrem błyskała - ty polski chłopie — jak miesiąc biały zatopiony na dnie. ...Czułem cię we mnie, w twórczym zespole... w godzinę cudu... czułem cię... mój lùdu."

Dramat ten to tragiczna epopea Szopena. Na szerokiem tle historycznem rozwija się konflikt miłosny między nim a Aurorą Dudevant. Odwieczna tęsknota za szczęściem i ciszą i całkowitem spełnieniem się w miłości... żądza zatrzymania życia... ujęcia go w symfonię tonów — u Szopena, a Aurora w miłości może prawdziwej i pięknej uprawia Pałubizm. Wie, że przyjdzie ta chwila... Chwila rozłąki... nadeszła. *Natus est Conradus.* Konflikt ujęty niezwyle subtelnie, wznosi się na wyżyny dramatyczne w akcie czwartym. Tu wyczuwać się daje poważne pogłębienie psychologiczne i wielkie Dostojeństwo Życia; niema w nim zgrzytów.

O poprzednich aktach — stanowiących trochę przydługą ekspozycyę tragedyi — tego powiedzieć nie można. Dramatycznie mało ciekawe — historycznie więcej, bo wprowadzają Schumana, Heinego i innych na scenę — osłabiają artystyczną konstrukcyę dramatu, jego zbieżność i logikę. W zbyt szerokie ramy ujęty konflikt dramatyczny, aby mógł w całości wynurzyć z należytą plastyką.

I to jest zasadniczą wadą utworu; zdaje się jednak, że autorom chodziło o takie traktowanie, i dlatego stworzyli raczej epopeę tragiczną...

Wzniosłość myśli, ideowość, krocząca szlakami syntezy polskiej i piękność stylu wskazują, że w autorce (bo jej spontanicznie przypisuję dwa prawdziwie piękne ostatnie akty), występuje na widownię niepośledni talent dramatyczny, który w tym utworze znalazł zbyt szerokie łożysko historyczne, aby módz oprzeć się pokusie, bodaj ze szkodą dla całości artystycznej.

Dramat kończy obłędna wizya konającego Szopena... Polska mu się zjawia. „...I jako ze zmartwychwstaniem Chrystusa ustały na ziemi ofiary krwawe, tak i ze zmartwychwstaniem Polski..."

Piękny pomnik ludowy postawiony Szopenowi, pomnik, do którego należy prowadzić... *E. B.*

„Die Musik", herausgegeben von Richard Strauss. (Berlin; Bard, Marquardt et Co.).

VII. W. Klatte. Autor występuje przeciw tym, którzy twierdzą, jakoby nie istniała programowa muzyka, i słusznie — lecz niepotrzebnie, gdyż jestto już dawno „überwundener Standpunkt". Wogóle słabą jest estetyka Klattego, jak niedołężna jest wszelka estetyka w zastosowaniu do muzyki, jeśli nie jest poparta praktycznemi i teoretycznemi podstawami. Każda muzyka jest absolutną i programową równocześnie, tak, jak każdy akord jest sam przez się materyałem psychicznym.

Najdoskonalszą zaś jest ta muzyka, która da się słuchać jako absolutna i jako programowa. Wiele illustracyi w tym tomiku nie odpowiada treści. — Bd. IX. Alfred Bruneau „Die russische Musik“. Skąd Bruneau przychodzi do pisania o muzyce rosyjskiej i dlaczego nie oddano tej kwestyi do opracowania jednemu z wielu świetnych rosyjskich muzyków, ździwi to niejednego. Cały ten tomik jest nędznym elaboratem, a ma się wrażenie, że napisał go początkujący arogancki dyletant. Próbka: „Oprócz pensyi 3000 rubli, które Czajkowski pobierał od rządu, otrzymał od swej wielbicielki, pani Meck — nie starał się nawet poznać ją — pensyę 6000 rubli. Zrobił z tego taki użytek, że napisał wielką mnogość symfonii, oper, baletów, uwertur, koncertów etc.“ Nie wiadomo, co tu jest większe, czy złośliwość, czy brak etyki, czy... może zazdrość na tle finansowem. Ubocznie mówiąc: pani Meck ofiarowując wielbionemu przez się Cz. pensyę roczną, położyła za warunek, że się nigdy z mistrzem nie pozna osobiście, dla uniknięcia oszczerstw. Rimskij-Korsakow otrzymał w tym tomiku 8 stron, Czajkowski $^3/_4$ strony. Sapienti satis! — XI. Bd. Roman Romuald „Paris als Musikstadt“. Wyborny, interesujący i doskonale napisany tomik, jeden z najlepszych z tej seryi. Pisał go bowiem jeden z najlepszych krytyków francuskich. — XII Bd. Max Graf „Die Musik im Zeitalter der Renaissance“. Również jeden z najlepszych tomików, zdradzający oczytanie w literaturze historycznej muzycznej, ciekawy jako przyczynek do historyi kultury muzycznej w domach z czasów Odrodzenia. Wiele trafnie dobranych illustracyi! — Bd. XVI/XVII Hermann Bischoff „Das deutsche Lied“. Brak samoistnego sądu co do pieśni z przed XIX wieku i opieranie się (czyt.: powtarzanie) na badaniach Friedländera i Kretzschmara, oraz Lindnera. W nowszej pieśni czuje się autor (monachijski kompozytor) pewniejszym, co nie wyklucza faktu, że jestto dyletancka robota, osłodzona frazesami, zeszpecona złym językiem. Na jakiej podstawie autor przywłaszczył dla Niemców Liszta i... Griega, nie mogę rozstrzygnąć; również żakowstwem trąci rzucanie się na Hugona Wolfa, od którego wiele się nauczył... sam Bischoff. Sądy autora są tak pewne siebie, że niejeden można zaliczyć w poczet nonsensów (ob. Reger, Mahler). *A. Chybiński.*

Bohdan Łepkij: Z hłubyn duszi. Wybir poezyj. Lwów 1905. Str. 192. 8-ka.
Tenże: Po dorozi żytia. Wybir opowidań. Lwów 1905. Str. 168. 8-ka.

W r. 1898 wyszedł pierwszy tomik nowel B. Łepkiego, — a dziś mamy kilkanaście książek jego wierszy i opowiadań. W przeciągu kilku lat, wśród bardzo przykrych warunków, własnemi siłami zdobywał Łepki to wybitne stanowisko, jakie w współczesnej literaturze ukraińskiej zajmuje. A oto teraz przyszedł czas zbioru. W 1905 r. wyszły dwie książki jego: wybór poezyi i wybór nowel. Tu i tam ten sam ton i nastrój. „Rozwiały się sny moje różowe... Niektóre tylko do tych kartek białych przylgnęły, jakby sine niezabudki, włożone czyjąś miłościwą ręką między stronice książek modlitewnych“. Tem, co najbardziej zjednywa czytelników, szczególnie poezyom Łepkiego, jest ich wielka, bezpośrednia szczerość, bez patosu i bez pozy. Nie spętane chłodną, żelazną formą, a przecież misterne i tak bardzo melodyjne, poezye te są świeże i czuć w ciepłe tchnienie serca. Oczytany człowiek współczesny, w którego umyśle ściło zapewne tyle aż do przesady sztucznych wierszy, po przeczytaniu po Łepkiego powinien mieć wrażenie, że nagle wyszedł, poza mury huczą miasta i znalazł się wśród trawy zielonej i kwiecia i złotego zboża. Pod cie

słońcem rosły plony Łepkiego, słońce całowało ich kłosy, na to, by pod wieczór po zachodzie, pochylone lekkim wiatrem, grały długą, melancholijną pieśń tęsknoty za minionym dniem. Miłość i tęsknota, aż do mistycyzmu doprowadzona, wypełnia całą twórczość Łepkiego. Lecz zawsze drga w niej ukochanie życia; jego chwile osobliwe mają w pieśni Łepkiego swą zawsze szczerą, zawsze gorącą orędowniczkę. I w poezyach, i w prozie, i w dramacie. Od życia Łepki nie ucieka, widzi smutki jego i radości, ale też stara się wglądnąć w nie głębiej. Widać to w jego nowelach, barwnych, żywych i plastycznych. Łagodnie melancholijny marzyciel, dobrze dopełnia ponurość Stefanyka, głęboki (chociaż nie beznadziejny) smutek Kobylańskiej, gorzko-wesołe szkice Martowycza, ironię Samijłenki, płomienną twórczość Łesi Ukrainki, zbliżając się nieco do Kociubyńskiego. W pierwszych utworach jego dosłyszeć można echa Konopnickiej i Tetmajera. W krytyce ukraińskiej uosabiano sobie Łepkiego jako człowieka rozpaczy, jako anioła smutku, przykutego do sarkofagu, — oczywiście bez racyi. Głęboki, serdeczny, szczery liryzm, pełen miłości i tęsknoty, — oto jego oblicze. Powiedział już swym ludziom dużo, zapewne nie jedno jeszcze powie. Oczywiście kiedyś — nowe fale uderzą o łódź poezyi ukraińskiej, przyjdą może wichry srogie, a z niemi rozpacz i zwątpienie, a potem zagrzmi pieśń gorąca i płomienna, — ale zawsze, zdaje mi się, przypominać sobie będą ludzie tę pieśń Łepkiego pogodną, tęskną i melancholijną, jak rozkołysany, złocisty łan zboża, pieśń cichą, jak samotne, ale świeżej wody pełne źródło wśród wierchów. *O. Ł.*

W. Bukowiński (Selim). Na greckiej fali. Poemat liryczny. Warszawa Gebethner i Wolff.

Autor „Z marzeń i życia“ i „Nowego zeszytu“, daje nam znów wiązankę swych ślicznych rymów. Bukowiński-Selim to jeden z tych poetów młodszej — nie najmłodszej — generacyi, którzy nie zasypują płodami swej twórczości półek księgarskich, lecz za to występują z utworami głęboko odczutymi i przemyślanymi, o formie pięknej i wycyzelowanej. Bukowiński próbował swych sił poetyckich jeszcze w mundurku gimnazyalnym i od tego czasu nie zmienił się wysoki polot jego myśli zawsze wzniosłej i gotowej do boju ze starym światem. Tej myśli pełen jest zbiorek „Z marzeń i życia“, ta sama myśl dominuje i w „Nowym zeszycie“, gdzie autor woła: „My szukamy nowych słońc promieni!“ („Dwa pokolenia“). Obok tej nuty bojowej, drga silnie a miękko nuta najczystszego liryzmu, który w poemacie „Na greckiej fali“ panuje wszechwładnie. Starajmy się przeczuć genezę tego poematu. Poeta „szuka nowych słońc promieni“ wśród znoju szarego codziennego życia przez cały szereg lat, a w sercu chowa ciągle tęczową baśń, w latach młodzieńczych słyszaną, o bohaterskim narodzie, co cudną Helladę zamieszkuje, o miejscach, ludziach i czynach, tak niepodobnych do szarego, codziennego życia. Więc nie dziw, że poeta wyrywa się do „greckiej fali“, a gdy los wreszcie na nią go zapędził, tworzy poemat pełen radości, przepełniony uczuciem wyzwolenia się duszy choć na chwilę z pęt szarzyzny:

„A za tą chwilą dusza tak tęskniła,
Jak za jasnością duchy potępione.“

Nie myli się chyba ucho czytelnika, rozróżniając w całym poemacie oddźwięk znanych i ukochanych tonów „W Szwajcaryi, a i sam Selim wskazuje na to, gdy mówi:

„I — zda się — słyszę w powietrznym przestworze,
Twą nieśmiertelną pieśń: „Smutno mi, Boże!“

Jerzy Horacy Lorimer: Listy wielkiego pzredsiębiorcy do syna. Przełożył z angielskieego St. Lack. Lwów. Księgarnia Polska.

Gdy po raz pierwszy bierzemy do ręki jakąś książkę, zapytać powinniśmy się przedewszyskiem, czem ona nas zaciekawia; gdy tę książkę odkładamy, pytamy się, co nam dała. Otóż, jeśli tę metodę zastosujemy do książki amerykańskiego autora. Lorimera, to na pierwsze pytanie damy sobie odpowiedź: Listy pisał, jak dodatek do tytułu mówi, „John Graham, z łaski losu i z własnego sprytu kupiec" i to typowy, wielki kupiec amerykański, więc ciekawi jesteśmy tego typu, ciekawi jesteśmy życia i „milieu" amerykańskiego „businessman'a" i jego poglądów na życiowe sprawy. Gdy po przeczytaniu książkę zamkniemy, musimy powiedzieć, że dała nam ona zupełnie nowy pogląd na rzecz, sprostowała fałszywe pojęcia, jakie mamy zazwyczaj o amerykańskiem życiu i jego głównych cechach odrębnych. W przedmowie tłumacza, który wogóle wywiązał się doskonale z bardzo trudnego zadania, znajdujemy już ostrzeżenie przed fałszywem pojmowaniem amerykańskiego typu w rodzaju starego Grahama, a w listach tego ostatniego mamy do czynienia z typem, nie można powiedzieć, żeby sympatycznym, ale w każdym razie niezwykle oryginalnym i ciekawym. Milioner nie jest tu właśnie zbieraczem milionów, bezwzględnym, egoistycznym i brutalnym; olbrzymia energia skupia miliony, by módz wyładować się na szerokiem polu. Ta ogromna energia, zdrowy sąd o rzeczach, brak pozy i prostota — oto cechy dodatnie starego Grahama, odbite w jego listach do syna, który gra tu podrzędną rolę. Cech ujemnych znalazłoby się sporo, ale giną one, może zręcznie przez autora zamaskowane. Kto szukałby w „Listach wielkiego przedsiębiorcy" powieści, lub lekkiej rozrywki, ten się rozczaruje, lecz warto je przeczytać, aby sprostować sobie pojęcie o Amerykanach, oparte na gazeciarskich charakterystykach.

NOWE KSIĄŻKI.

Filozofia. *W. M. Kozłowski*: Wykład o filozofii współczesnej. Lwów. Księg. Polska. — *Karl Koenig*: Zwischen Kopf und Seele. Jena. Eugen Diederichs. – *K. Kautsky*: Etyka w świetle materyalistycznego pojmowania historyi. Warszawa. Bibl. Naukowa. – *Epiktet*: Handbüchlein der Moral. Jena, Eug. Diederichs. — *Andrzej Baumfeld*: Ewnngelia Syna Bożego z ducha i natury. Kraków, nakł. autora. *De la Rochefoucauld*: Betrachtungen oder moralische Sentenzen und Maximen. Uebersetzt v. E. Hardi. Jena. E. Diederichs. — *Jerzy Kurnatowski*: Dobro i zło. Studya etyczne. Lwów, Księgarnia Maniszewskiego i Mainhardta.

Sprawy kultury. *Owruczanin*: Kirke. Rozmowy o człowieku. Kraków. Gebethner — *Graf von Hoensbroech:* Das Papsthumen in seiner sozial-kulturellen Wirksamkeit, Volksausgabe. Lipsk, Breitkopf & Hartel. - *Tad. Smoleński:* O dzisiejszym stanie badań egiptologicznych. Kraków, odbicie ze sprawozdań Akademii Umiej. *Jean Finot:* Das Rassenvorurtheil. Berlin. Hüpeden & Merzyn – *Willy Leven:* Vom Kulturgefühl. Stutigart, Streckert Schroeder

Pedagogia, wychowanie. *Dr Maryan Stępowski:* Praca oświatowa poz szkolna u obcych i u nas Warszawa, Księgarnia Polska

Nauki społeczne. *Emil Vandervelde.* Kelektywizm i ewolucya przemys

Kraków, nakł Tow. wydawnictw ludowych – Tablica porównawcza współczesnych konstytucyj Anglii, Australii, Francyi, Belgii, Niemiec, Prus, Austro-Węgier etc etc. Opracowali B. G, A. S i C G Warszawa, G. Centnerszwer i Sp *Bol. Limanowski:* Naród i państwo. Studyum socyologiczne Kraków, nakładem Tow. wydawnictw ludowych. — *Dr Helene Landau:* Die Entwicklung des Warenhandels in Oesterreich Ein Beitrag zur Wirtschaftspolitik des Absolutismus. Wiedeń, Wilhelm Braumüller – *Karol Kautsky:* Zasady socyalizmu. Wyd. II Kraków, nakł. Tow. wydawnictw dzieł ludowych. – *Dr John Kees Ingram:* Historya ekonomii politycznej. Przełożyła z ang. dr Zofia Daszyńska-Golińska. Wyd. II Kraków, D. E Friedlein. — *K. Kautsky:* Nauki ekonomiczne K. Marksa. Warszawa, nakład Bibl. Naukowej. — *W. Sombart:* Kwestya robotnicza w przemyśle. Warszawa E Wende i sp. – *G. Howell:* Związki zawodowe robotników angielskich Warszawa, Biblioteka naukowa — *Dr Zofia Daszyńska-Golińska:* Ekonomia polit. Cz I. Warszawa. Księg E Wende itp — *K. Marx.* Rewolucya i kontrrewolucya. Warszawa, Biblioteka Naukowa

Historya. *Tadeusz Korzon:* Historya nowoczesna (1788–1806) Zesz. I. Warszawa, Gebethner i Wolff. – *Tad. Smoleński:* Wczesna młodość Stan. Orzechowskiego. Warszawa, nakł. „Przeglądu historycznego". — *W. Feldman:* Stronnictwa i programy polityczne w Galicyi 1846–1906. Kraków, wydawnictwo „Książki".

Literatura i sztuka. *Dr W. Hahn:* Literatura dramatyczna w Polsce XVI wieku. Lwów, nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej. — *Ign. Chrzanowski:* Hist. literatury polskiej (z wypisami). Cz. I. Warszawa, Gebethner. — *Otto Wittner:* Oesterreichische Porträts und Charaktere. Wien. Hugo Heller. – *Maurycy Mann:* Wincenty Pol. Studyum. T. II. Kraków. Gebethner. — „Wesele" Wyspiańskiego – „Irydyon" z objaśnieniami G. B. Tarnopol. Księg. B. Komuniewskiego – *St. Brzozowski:* Współczesna, powieść polska. Stanisławów. A. Staudacher i sp — Neue Theaterkultur; von Karl Moritz, dr Feliks Poppenberg. Stuttgart, Strecker & Schröder – Katalog wydawnictw Wacława Wiedigera. Warszawa.

Poezya. *Jan Kasprowicz:* Krzak dzikiej róży Wyd. II. zmienione Lwów, Tow. wydawnicze. – *Henryk Wroński:* Rozbrzaski Warszawa, Gebeihner i Wolf *St. Rawicz:* Anima vagans Kraków. – *Wł. Topór:* Poezye Warszawa Księg. Jana Fiszera. — *K. Przerwa-Tetmajer:* Poezye II Wyd. IV. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Kaz. Króliński:* Z ugorów. Stanisławów. Księg. R. Jasielskiego. *G. Zieliński*: Kirgiz. Złoczów, W. Zukerkandel. — *M. Maeterlinck*: Gedichte. Uebersetzt von K. L. Ammer und Fr. v. Oppeln-Bronikowski. Jena, Eug. Diederich. — *Tad. Szantroch*: Poezye. Kraków, Gebethner. — *H. Wroński*: Rozbrzaski. Warszawa, Gebethner. – *Wł. Bukowiński*: Na greckiej fali. Warszawa. Gebethner. — *Józef Mirski*: Baśnie i bajki. Lwów. Księg. Altenberga. – *Edw. Leszczyński:* Płomień ofiarny. Kraków. Gebethner — *Ant. Ziemic:* Sąd wam niosę! Kraków, Gebethner.

Dramat. *Ewa Łuskina i Leon Stępniowski:* Szopen. Sztuka popularna w 5 aktach. Kraków. – *Maurycy Maeterlinck:* Siostra Beatryksa. Przełożył J. Kasprowicz. Lwów, nakład Tow. wydawniczego. *Leon Świeżawski:* Polska komedya w 4 aktach. Kraków. Gebethner. — *Nero-Wandal-Herod-Katonowicz*: Cezar. Sztuka w 9 odsłonach. Kraków, Gebethner. — *Edm. Libański:* Marsylianka. Kraków, Spółka wyd. „Książka". — *Stan. Przybyszewski*: Śnieg. Wyd. II.

Warszawa, Gebethner — *H. Bergström*: Piwowarzy. Przekł. J. Klemensiewiczowej. Złoczów, W. Zukerkandel. — *G. Hauptman*: A Pipa tańczy. Baśń huty szklanej, w 4 aktach. Przełożył A. Schroeder. Brody, F. West. — *Maryla Wolska*: Swanta. Baśń o prawdzie. Lwów. Księg. Altenberga. — *Feliks Płażek*: Pogrom. Lwów, Księg. Polska. — *Tad. Miciński*: Kniaź Patiomkin. Dramat. Kraków. Księg. D. E. Friedleina. — *Józef Wiśniowski*: Dolina łez. I. Śpiąca królewna. II. Krzak gorejący. Kraków, Gebethner.

Powieść. *Spektator*: 128-my samarkandzki pułk dragonów. Kraków. Gebethner. — *Anna Pnieynin*: Zgrzyt. Poznań. — *G. Zapolska*: Menażerya ludzka. Lwów, Księgarnia Polska. — *E. Jeleńska*: Obrączka. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *G. d'Annunzio*: Niewinny. Lwów, Księgarnia Polska. — *W. Sieroszewski*: W matni. Wyd. II. Kraków, Gebethner. — *G. D'Annunzio*: Rozkosz. Przekład J. Ruffera. Lwów, Księg. Polska. — *C. Spitteler*: Imago. Jena, E. Diederichs. — *K. Irzykowski*: Nowelle. Stanisławów. A. Staudacher itp. — *Zofia Rygier-Nałkowska*: Książę. Warszawa, Gebethner. — *Marceli Schwob*: Księga Monelli. Lwów, Księg. Polska. — *M. Gorkij*: Więzienie. Przeł. H. Salz. Złoczów, W. Zukerkandel.

Publicystyka. *M. Turzvma*: Wyzwalająca się kobieta. Kraków, Gebethner. *Jozef Peniżek*: Aus bewegten Zeiten 1895 bis 1895. Mit 14 Porträts. Wiedeń, Carl Konegen. — Der Panslavismus. Eine national-polit. Betrachtung. Cilli, nakł. „Zvezna Trgovina". — *A. Humnicki*: Wspomnienia z lat 1880—1892. Przyczynek do historyi ruchu socyalistycznego. Kraków, Wyd. „Życia". — *L. Wasilewski-Płochocki*: Sowriemiennaja Polsza i jeja politiczeskija striemlenia. Petersburg, Bibl. obszczerstwiennoj polzy. — *Ign. Daszyński*: Polityka proletaryatu. Kraków, nakł. wydawnictwa „Życia". — *S. Posner*: Deklaracya praw człowieka i obywatela. Warszawa, Księg. Naukowa. — *St. Oss...arz*: Narodowa demokracya a ruch rewolucyjny w zaborze rosyjskim. Kraków, nakł. wyd. „Życie".

Lingwistyka. *Prof. Oskar Callier*: Słownik francusko-polski i polsko-francuski. 2 części. Lipsk, Otto Holtze. — *Leo Belmont*: Najłatwiejsza metoda języka międzynarodowego Esperanto. Warszawa, wydawnictwo M. Arcta. — *K. Króliński*: Pisownia polska. Lwów, Księg. Maniszewskiego i Mainhardta.

Varia. Sprawozdanie z czynności i z publicznych posiedzeń Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie. Rocznik XII. — *M. Rościszewski*: Jak doskonalić samego siebie. Złoczów, Księg. Zukerkandla. — Kalendarz robotniczy na r. 1907. Kraków, Nakład „Naprzodu". Cena 70 h. — Ratunek dla nerwowych, czyli w jaki sposób pozbyłem się neurastenii. Zebrał ex-neurastenik. Kraków, nakł. Wydawnictwa hygienicznego. — Nowa księga sybilińska, czyli 62 proroctw. Zebrał i uwagami opatrzył Jan Swoboda. Kraków, Księg. St. Krzyżanowskiego. Kieszonkowy Kalendarz robotniczy na r. 1907. Nakład „Naprzodu". Cena 70 h.



Druk ukończono 29 listopada 1906 r.

Odpowiedzialny wydawca i redaktor **Wilhelm Feldman.** Drukarnia Literacka w Krakowie.



